

# JEFFERY DEANER



Zegarmistrz

Przełożył: J. S. S.

Tytuł oryginału: THE COLD MOON

Copyright © 2006 by Jeffery Deaver All Rights Reserved Ilustracja na okładce: Jacek Kopalski

Redakcja: Jacek Ring

Redakcja techniczna: Elżbieta Urbańska

Korekta: Grażyna Nawrocka

Łamanie: Ewa Wójcik

Choć mnie nie widzisz, zawsze jestem.

Choćbyś biegł co sił w nogach, nigdy przede mną nie umkniesz.

Choćbyś ze mną walczył do utraty tchu,

nigdy mnie nie pokonasz.

Choć zabijam, kiedy chcę, nigdy nie stanę przed sądem.

Kto jestem ? Wie już każdy z was -

Wasz stary druh, czas.

ISBN 83-7469-422-X

Wydawca:

Prószyński i S-ka SA

02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

Druk i oprawa:

Drukarnia Naukowo-Techniczna Oddział Polskiej Agencji Prasowej SA 03-828 Warszawa, ul.

Mińska 65

I

## 0.02, wtorek

Czas jest martwy, dopóki odmierza się go tykaniem trybików; czas ożywa dopiero wtedy, gdy staje zegar\*

WILLIAM FAULKNER

\* „Wściekłość i wrzask” w przekładzie Jędrzeja Polaka (przyp. tłum.).

Rozdział 1

Jak długo umierali? Mężczyzna, do którego zostało skierowane to pytanie, chyba go nie usłyszał. Ponownie zerknął w lusterko wsteczne, skupiając się na drodze. Właśnie minęła północ i ulice dolnego Manhattanu były bar-dzo śliskie. Chłodny front oczyścił niebo z chmur, zmieniając śnieg pokrywający asfalt i beton w szklisty lód. Mężczyźni jechali rozkle-kotanym Wozem Opatrunkowym, jak Vincent Mądrała ochrzcił bežo-wy samochód terenowy, który w kolorze przypominał plaster. Wóz miał już kilka lat; należało w nim naprawić hamulce i wymienić opo-ny. Ale nie byłoby rozsądnie brać do naprawy kradzione auto, zwłasz-cza że jego dwaj ostatni pasażerowie padli ofiarą morderstwa.

Kierowca - szczupły pięćdziesięciokilkuletni mężczyzna o staran-nie przystrzyżonych, ciemnych włosach - ostrożnie skręcił w boczną ulicę i kontynuował jazdę, nie zwiększając prędkości, precyzyjnie pokonując zakręty, trzymając się dokładnie środka pasa ruchu.

Pro-wadziłby tak samo, nawet gdyby ulice nie były oblodzone, a samo-chód nie został właśnie wykorzystany do popełnienia zbrodni.

Uważny, skrupulatny.

Jak długo?

Duży Vincent - Vincent o długich i grubych palcach, zawsze spo-cony, ściśnięty brązowym paskiem zapiętym na pierwszą dziurkę - zadygotał. Czekał na rogu ulicy po nocnej zmianie w firmie, gdzie pracował na krótkoterminowym kontrakcie jako pomoc w biurze. Było przenikliwie zimno, lecz Y Vincent nie lubił holu swojego biurow-ca. Nie przepadał za zielonkawym światłem i dużymi lustrami ścien-nymi, w których mógł oglądać ze wszystkich stron swoją okrągłą syl-wetkę. Dlatego zanurzył się w mroźną grudniową noc i na ulicy pokrzepił się batonikiem. No dobrze, dwoma batonikami.

Gdy Vincent spojrział na księżyc w pełni, upiornie białą tarczę wi-doczną przez chwilę w kanionie budynków, Zegarmistrz powtórzył w zamyśleniu:

- Jak długo umierali? Ciekawe.

Vincent znalazł Zegarmistrza - który naprawdę nazywał się Gerald Duncan - dopiero od niedawna, ale zdążył się nauczyć, że zadawanie mu pytań jest ryzykowne. Każde mogło dać początek długiemu mo-nologowi. Facet miał gadane. A każda wypowiedź była doskonale skonstruowana, jak u profesora uniwersytetu. Vincent wiedział, że w ciągu kilkuminutowej ciszy Duncan zastanawia się nad odpowie-dzią.

Vincent otworzył puszkę pepsi. Było mu zimno, ale miał ogromną ochotę na coś słodkiego.

Opróżnił puszkę duszkiem i schował ją do kieszeni. Potem zjadł paczkę krakersów z masłem orzechowym. Duncan popatrzył na niego, upewniając się, czy Vincent ma ręka-wiczki. W Wozie Opatrunkowym nigdy nie zdejmowali rękawiczek.

Skrupulatny...

- Właściwie jest kilka odpowiedzi - rzekł Duncan swoim cichym, obojętnym głosem. - Na przykład pierwszy, którego zabiłem, miał dwadzieścia cztery lata, można więc powiedzieć, że

umierał dwa-dzieścia cztery lata.

No jasne... pomyślał Vincent Mądrała z szyderstwem godnym na-stolatka, choć musiał przyznać, że nie przysłała mu do głowy tak oczywista odpowiedź.

- Drugi

miał chyba trzydzieści dwa lata.

Minął ich policyjny radiowóz zmierzający w przeciwnym kierunku. Vincent poczuł pulsowanie w skroniach, lecz Duncan nie zareagował. Gliniarze nie wykazali żadnego zainteresowania kradzionym fordem explorerem.

- Można też odpowiedzieć na to pytanie inaczej - ciągnął Duncan - biorąc pod uwagę czas, jaki upłynął, odkąd zacząłem, do chwili, kiedy przestały bić ich serca. Zapewne o to ci chodziło. Widzisz, ludzie mają skłonność do zamykania czasu w łatwo zrozumiałych dla siebie ramach. Całkiem słusznie, o ile jest to im potrzebne. Przydaje się wiedza, że skurcze następują co dwadzieścia sekund. Przydaje się też informacja, że zwycięzca biegu pokonał milę w trzy minuty i pięćdziesiąt osiem sekund. A ile dokładnie trwało ich umieranie... to nieistotne. Ważne, że nie umarli szybko. - Zerknął

na Vincenta. - Nie mam ci za złe tego pytania.

Nie - odrzekł Vincent. Nie przejął się uwagą Duncana. Vincent Reynolds nie miał wielu przyjaciół i potrafił znieść każdą krytykę ze strony Geralda Duncana. - Pytałem z ciekawości.

Rozumiem. Po prostu nie zwróciłem uwagi. Następnym razem zmierzę czas.

- Z

dziewczyną? Jutro? - Serce Vincenta zabiło żywiej.

Przytaknął.

- Raczej

dzisiaj.

Minęła już północ. Z Geraldem Duncanem należało zachować precyzję, zwłaszcza gdy mowa była o czasie.

- Rzeczywiście.

10

Kiedy zaczął myśleć o Joannę, dziewczynie, która miała zginąć następną, Vincenta Mądrałę pokonał Głodny Vincent.

Już dzisiaj...

Morderca skomplikowaną trasą wrócił do ich tymczasowego domu w Chelsea na południe od środkowego Manhattanu, niedaleko rzeki. Miasto było puste; temperatura spadła do około minus dziesięciu stopni, a wiatr świszczący na wąskich ulicach ani na chwilę nie ustawał.

Duncan zaparkował przy krawężniku, wyłączył silnik i zaciągnął hamulec. Obaj mężczyźni wysiedli. W lodowatym wietrze ruszyli pieszo w kierunku najbliższej przecznicy. Duncan zerknął na swój cień w świetle księżyca.

-

Przychodzi mi na myśl jeszcze jedna odpowiedź. Na twoje pytanie, jak długo umierali.

Vincent znów zadygotał - przede wszystkim, choć nie tylko, z powodu zimna.

- Jeśli spojrzeć na to z ich punktu widzenia - rzekł morderca

- można powiedzieć, że umierali całą wieczność.

Rozdział 2

A

to co?

Rośły mężczyzna siedzący na skrzypiącym krześle i popijający kawę w ciepłym biurze spojrzął w stronę końca pirsu, mrużąc oczy w jasnym świetle poranka. Był szefem dziennej zmiany w firmie remontującej holowniki na rzece Hudson, na północ od Greenwich Village.

Za czter-dzieści minut do nabrzeża miał zacumować moran z uszkodzonym silnikiem, ale na razie pirs był pusty i kierownik ogrzewał się w dyżurce, opierając nogi na biurku i przyciskając do piersi kubek kawy. Przetarł zaparowane okno i wyjrzał ponownie.

Co to?

Na skraju pirsu od strony Jersey stała jakaś niewielka czarna skrzynka. Kiedy zamykano firmę poprzedniego dnia o szóstej, jeszcze jej tam nie było, a potem do brzegu nie przybijał

żaden statek. Musiał ją przynieść ktoś z lądu. Wprawdzie ogrodzenie z siatki uniemożliwiało intruzom i przechodniom przedostanie się na nabrzeże, ale sądząc po liczbie zaginionych narzędzi i beczek na odpady (diali wiedzą, do czego to komu potrzebne), szef wiedział, że gdyby ktoś chciał tu wejść, zrobiłby to bez kłopotu.

Ale po co miałyby coś zostawiać?

Patrzył przez chwilę na skrzynkę, zastanawiając się, co począć. Na dworze jest zimno i wieje, przyjemniej siedzieć przy kawie. Wreszcie podjął decyzję. Cholera, lepiej sprawdzić. Włożył grubą szarą kurtkę, rękawiczki i czapkę, wypił ostatni łyk kawy i wyszedł w zapierający dech w piersiach ziąb.

Walcząc z wiatrem, ruszył na koniec pirsu, nie odrywając załamanych oczu od czarnej skrzynki.

Co to, do cholery? Przedmiot był prostokątny, wysokości prawie trzydziestu centymetrów, a promienie słońca znad horyzontu odbijały się od czegoś z przodu skrzynki. Mężczyzna zmrużył oczy przed oślepiającym blaskiem. Spienione fale Hudsonu waliły w pale pirsu.

Przystanął trzy metry od tajemniczej skrzynki, uświadamiając sobie, co to jest.

n

Zegar. Staromodny, z rzymskimi cyframi i księżycem na tarczy. Wyglądał na drogi.

Spojrząwszy na swój zegarek, zobaczył, że zegar działa; pokazywał właściwą godzinę co do minuty. Kto mógł tu zostawić taką ładną rzecz? No i dobrze. Dostałem prezent.

Kiedy jednak podszedł bliżej, by wziąć zegar, nagle stracił równowagę i przemknęła mu przez głowę paniczna myśl, że zaraz wpadnie do rzeki. Na szczęście jednak upadł na pirs, lądując na kawałku lodu, którego wcześniej nie zauważył.

Krzywiąc się z bólu i sapiąc, zdołał wreszcie wstać. Zerkając pod stopy, zobaczył, że to nie był zwykły lód. Miał czerwono-brązową barwę. - Chryste... - szepnął, wpatrując się w kałużę krwi rozlanej tuż obok zegara i zamrożonej na kość. Kiedy pochylił się niżej, ze zgrozą zrozumiał, skąd się wzięła krew. Na deskach pirsu dostrzegł ślady zakrwawionych palców, jak gdyby pomostu kurczowo trzymał się ktoś z pokaleczonymi dłońmi albo podciętymi nadgarstkami, rozpaczliwie pragnąc się uchronić przed upadkiem do wzburzonej rzeki.

Mężczyzna podkraść się na skraj pirsu i spojrzął w dół. Nie zauważył nikogo pływającego w spienionej wodzie. Nic dziwnego; jeśli rzeczywiście zdarzyło się to, co przypuszczał, sądząc po zamrożonej krwi, biedak musiał wpaść do rzeki już jakiś czas temu i jeżeli nikt go nie uratował, jego ciało było już w połowie drogi do Liberty Island.

Szukając w kieszeniach telefonu, wycofał się z pomostu i ściągnął zębami rękawiczkę.

Jeszcze raz spojrzął na zegar, po czym biegiem wrócił do dyżurki, wystukując drżącym palcem numer policji.

Przed i Po.

Miasto było inne po tamtym wrześnieym poranku, po eksplozjach, gigantycznych słupach dymu i zniknięciu dwóch budynków.

Nie da się ukryć, że życie w mieście się zmieniło. Mówiło się o silnym charakterze i determinacji nowojorczyków, którzy mimo wszystko starali się wrócić do codzienności, i to była prawda. Ale ludzie zawsze przystawali, ilekroć samoloty podchodzące do lądowania na La Guardia leciały trochę niżej niż zwykle. Na ulicy szerokim łukiem obchodzili porzucone torby na zakupy. Nie dziwił ich widok żołnierzy czy policjantów w ciemnych mundurach, uzbrojonych w czarne karabiny maszynowe.

Parada z okazji Święta Dziękczynienia odbyła się bez zakłóceń, a już wielkimi krokami zbliżało się Boże Narodzenie i wszędzie kłębiły się tłumy. Ale w tle świątecznej radości, jak odbicie w sklepowej witrynie z gwiazdkowymi dekoracjami, wciąż majaczył obraz dwóch wież, których już nie było; cień ludzi, którzy odeszli. I wszyscy wciąż zadawali sobie pytanie: co teraz?

Lincoln Rhyme miał swoje Przed i Po, dlatego świetnie rozumiał tę sytuację. Był czas, gdy potrafił chodzić i normalnie funkcjonować, po-

| tem przyszedł czas, gdy nie mógł. Cieszył się doskonałym zdrowiem I

i 13

i najspokojniej w świecie przeprowadza! oględziny miejsca przestępstwa, a minutę później belka złamała mu czwarty krąg szyjny, czyniąc z niego tetraplegika, sparaliżowanego niemal zupełnie od ramion w dół.

Przed i Po...

Są chwile, które zmieniają człowieka na zawsze.

Mimo to Lincoln Rhyme sądził, że jeśli człowiek zacznie je mitologizować, wkrótce pokona go bieg wypadków. I zwyciężą jego wrogowie.

Takie myśli snuł Rhyme w chłodny wtorkowy poranek, słuchając spikerki radia publicznego, która opanowanym, modulowanym głosem informowała o planowanej na pojutrze paradzie, po której miały nastąpić uroczystości i spotkania z udziałem rządowych oficjeli, choć według wszelkiej logiki powinny się odbyć w stolicy. Zwyciężyła jednak postawa solidarności z Nowym Jorkiem, więc ulice miasta wokół Wall Street zatarasują widzowie i demonstranci, znacznie utrudniając pracę wyczulonej na sprawy bezpieczeństwa policji. W ślady polityków poszli sportowcy: mecze, które zamierzano rozegrać w New Jersey, zaplanowano w Madison Square Garden - co z jakiegoś powodu miało być manifestacją patriotyzmu. Rhyme zastanawiał się z nutą sarkazmu, czy przyszlóroczny maraton bostoński też zostanie zorganizowany w Nowym Jorku.

Przed i Po...

Rhyme dochodził do przekonania, że on sam nie bardzo zmienił się Po. Owszem, zmianie uległ jego stan fizyczny - można rzec, że z jego horyzontu też coś zniknęło. W gruncie rzeczy jednak pozostał tą samą osobą, jaką był Przed: policjantem i naukowcem, niecierpliwym, odrobinę wybuchowym (no dobrze, czasem nieprzyjemnym), nieustępliwym i nietolerującym nieudolności i lenistwa- Nigdy nie udawał bezradnego kaleki, nie marudził, nie robił

problemu ze swojego stanu (choć kiedy odwiedzał różne miejsca zbrodni, właściciele budynków

lekceważący przepisy ustawy o niepełnosprawnych po-winni się przed nim mieć na baczności, jeśli nie zadbali o podjazdy dla wózków i odpowiednio szerokie drzwi).

Słuchając radia, zdenerwował się tym, że pewni ludzie w mieście rozczulają się nad swoim losem.

- Zamierzam napisać list-oświadczył Thomowi.

Szczupły asystent, ubrany w ciemne spodnie, białą koszulę i gru-by sweter (w domu Rhyme'a przy Central Park West było kiepskie ogrzewanie i przedpotopowa izolacja cieplna), zerknął na swojego szefa, przerywając rozwieszanie świątecznych dekoracji. Rhyme nie bez szyderczej satysfakcji zauważył, że postawił miniaturową choin-kę na stole, pod którym jak na ironię czekał już nierozpakowany prezent: pudło jednorazowych pieluch dla dorosłych.

- List?

Wyjaśnił mu swoją teorię, według której o patriotyzmie świadczy raczej spokojny powrót do codziennych zajęć.

14

~ Nie zostawię na nich suchej nitki. Chyba napiszę do „Timesa”.

- To napisz - odparł Thom. Oficjalnie pełni! funkcję „opiekuna”, uważał jednak, że przy Lincolnie Rhymie zasłużył sobie na określe-nie „święty”.

Taki mam zamiar - oznajmił stanowczo Rhyme.

Doskonale... ale wiesz co?

Rhyme uniósł brew. Potrafił być niezwykle sugestywny, wyraża-jąc uczucia za pomocą jedynych części ciała, nad którymi zachował władzę: ramion, twarzy i głowy.

- Większość ludzi, którzy twierdzą, że zamierzają napisać list, wcale tego nie robi, a ci, którzy rzeczywiście piszą listy, bez gadania zabierają się do pracy. Nie rozgłaszają tego wszem wobec. Zwróciłeś kiedyś na to uwagę?

Dzięki za błyskotliwe spostrzeżenie z dziedziny psychologii, Thom. Wiesz, że teraz nic mnie nie powstrzyma.

Doskonale - powtórzył asystent.

Używając panelu dotykowego, Rhyme podjechał wózkiem Storm Arrow do jednego z kilku dużych płaskich monitorów w pokoju.

- Polecenie, edytor tekstu - powiedział do systemu rozpoznawa-nia giosu przez umieszczony na wózku mikrofon.

Na ekranie posłusznie otworzyło się okno WordPerfect. - Polecenie, wpisz. „Szanowni państwo”, średnik. Polecenie, no-wy akapit. Polecenie, wpisz. „Dowiedziałem się...”

Rozległ się dzwonek u drzwi i Thom poszedł otworzyć gościowi. Rhyme zamknął oczy, układając w myślach tyradę do świata, lecz przerwał mu głos: Cześć, Linc. Wesołych świąt.

Aha, wzajemnie - odburknął Rhyme do wymiętego Łona Sellitta, który ukazał się w drzwiach. Korpulentny detektyw musiał się poruszać uważnie; w czasach wiktoriańskich pokój być może ucho-dził za urokliwy salon, ale dziś był zastawiony sprzętem kryminalistycznym: upchano tu mikroskopy optyczne i elektronowe, chromatograf gazowy, zlewki i stojaki laboratoryjne, pipety, szalki Petriego, wirówki, odczynniki chemiczne, książki, czasopisma i komputery

- oraz

biegnące we wszystkie strony grube kable. (Kiedy Rhyme za-czął prowadzić konsultacje

kryminalistyczne w swoim domu, prądo-

żerne urządzenia często powodowały wysadzanie bezpieczników.

Rhyme prawdopodobnie zużywał tyle samo energii co reszta budynków w całym kwartale).

Polecenie, głośność, poziom trzeci. - Układ sterowania otoczeniem posłusznie ściszył radio.

Chyba nie jesteśmy jeszcze w świątecznym nastroju, co?

- rzekł detektyw.

Rhyme nie odpowiedział. Wpatrywał się w monitor.

- Cześć, Jackson. - Sellitto pochylił się, by pogłaskać małego, długowłosego psa zwiniętego w policyjnym pudle na dowody rzeczowe. Był to tymczasowy lokator Rhyme'a; jego była wia&i^,

ka Thoma z Westport w stanie Connecticut, zmarła niedawno po długiej chorobie. W spadku starsza pani zostawiła siostrzeńcowi między innymi Jacksona, hawańczyka. Rasa, spokrewniona z biszonym kędzierzawym, pochodziła z Kuby. Jackson na razie zamieszkał z nimi, podczas gdy Thom miał się rozejrzeć za nowym domem dla psa.

Mamy paskudną sprawę, Linc - powiedział Sellitto, prostując się. Zaczął zdejmować płaszcz, ale zaraz zmienił zamiar. - Jezu, ale zimno. To dzisiaj jest rekordowy mróz?

Nie wiem. Nie przesiaduję przed Weather Channel. - Wciąż się zastanawiał nad dobrym początkiem listu do gazety.

Paskudną - powtórzył Sellitto.

Rhyme posłał mu pytające spojrzenie.

Dwa zabójstwa, ten sam sposób działania. Mniej więcej.

-

Jest sporo paskudnych zabójstw, Lon. Dlaczego te mają być paskudniejsze od innych? - Rhyme był w złym humorze, co często zdarzało się między kolejnymi sprawami. Spośród wszystkich przeciwników, z jakimi miał okazję się zmierzyć, najgorsza była nuda.

Ale Sellitto pracował z Rhyme'em od lat i zdążył się uodpornić na zmienne nastroje kryminalistyka.

Dostałem wiadomość z Centrali. Góra chce do tej sprawy ciebie i Amelię. Powiedzieli, że będą nalegać.

Och, nalegać?

Obiecałem, że ci tego nie powtórzę. Nie lubisz, kiedy ktoś nalega.

- Mógłbyś przejść do konkretów „paskudności” tej sprawy, Lon?

Czy może żądam za wiele?

Gdzie Amelia?

W Westchester. Powinna niedługo wrócić.

Zadzwoił telefon detektywa, który gestem poprosił go o chwilę cierpliwości i odebrał. W trakcie rozmowy kiwał głową i robił notatki. Kiedy się rozłączył, spojrzął na Rhyme'a.

-

Dobra, a więc wygląda to tak. Wczoraj wieczorem albo w nocy gość dorwał...

Gość? - spytał znaczącym tonem Rhyme.

Zgoda, nie wiemy, czy w grę wchodzi rodzaj męski czy żeński.

Płec.

Słucham?



Rodzaj to pojęcie gramatyczne - wyjaśnił Rhyme. - Kategoria decydująca o formach wyrazów w pewnych językach. Natomiast płeć to pojęcie biologiczne związane z różnicami między męskim a żeńskim organizmem.

- Dzięki za lekcję gramatyki - mruknął detektyw. - Może mi się przyda, gdybym kiedyś wystartował w teleturnieju. W każdym razie gość dorwał jakiegoś biedaka i zabrał go nad Hudson, na przystań, gdzie naprawiają łodzie. Nie wiemy dokładnie, jak to zrobił, ale 16

poacią jej

dość długo, bo straciła cholernie dużo krwi - ale w końcu puściła.

Ciało?

Jeszcze nie znaleźli. Szuka go straż przybrzeżna i ESU.

Mówiłeś o zabójstwach w liczbie mnogiej.

Zgadza się. Parę minut później dostaliśmy drugie zgłoszenie.

Żeby sprawdzić uliczkę w centrum przy Cedar, niedaleko Broadwayu. Sprawca dopadł tam następną ofiarę. Patrol znalazł faceta skrupowanego taśmą i leżącego na plecach. Sprawca zawiesił mu nad szyją żelazną sztabę - ważyła chyba dobrze ponad trzydzieści kilo. Ofiara musiała ją podtrzymywać, żeby nie zmiażdżyła jej gardła.

Trzydzieści kilo? W porządku, biorąc pod uwagę siłę, jakiej to musiało wymagać, przyznam ci rację, że ofiara prawdopodobnie jest płci męskiej.

Do pokoju wszedł Thom, niosąc kawę i ciastka. Sellitto, wiecznie walczący z nadwagą, najpierw poświęcił uwagę ciastku, postanawiając zawiesić dietę na czas świąt. Gdy pochłonął połowę, otarł usta i ciągnął:

No więc ofiara podtrzymywała sztabę, może nawet długo, ale w końcu nie dała rady.

Co to za jeden?

Niejaki Theodore Adams. Mieszkał niedaleko Battery Park.

Wczoraj wieczorem pod dziewięć jeden jeden zadzwoniła kobieta i powiedziała, że była umówiona na kolację z bratem, który się nie zjawił. To ona podała nazwisko. Sierżant z posterunku miał do niej zadzwonić dzisiaj rano.

Lincoln Rhyme uważał, że ogólne opisy do niczego się nie przydają, musiał jednak przyznać, że słowo „paskudny” dobrze pasuje do sytuacji.

Podobnie jak słowo „intrygujący”.

Dlaczego twierdzisz, że to ten sam sposób działania? - zapytał.

Sprawca zostawił w obu miejscach swoją wizytówkę. Zegary.

Zegary? Tykające zegary?

Aha. Pierwszy stał przy kałuży krwi na piersi. Drugi obok głowy ofiary. Jak gdyby facet chciał, żeby ofiara widziała zegar. I chyba słyszała.

Opisz je. Te zegary.

Wyglądały na staroświeckie. Nic więcej nie wiem.

To nie bomby? - W czasie „Po” każdy podejrzany tykający do-wód poddawano rutynowym badaniom, sprawdzając, czy nie zawiera materiału wybuchowego.

Nie. Spokojna głowa, nie wybuchną. Ale odesłali je na Rodman's Neck, żeby sprawdzić, czy nie ma na nich jakichś środków chemicznych albo biologicznych. Zdaje się, że to zegary tej samej 17

marki. Któryś z przesłuchiwanym powiedział, że wyglądały trochę strasznie. Mają księżyc na cyferblacie. Aha, i gdybyśmy nie umieli niczego skojarzyć, pod zegarami zostawił liścik.

Wydruk komputero-wy. Nie pisał go ręcznie.

-

A co napisał?

Sellitto zerknął do notesu, nie dowierzając pamięci. Rhyme do-ceniał tę cechę detektywa. Nie był zbyt błyskotliwy, ale nie brako-owało mu uporu i choć wszystko robił wolno, zawsze cechowała go perfekcyjność. Sellitto przeczytał:

„Zimny Księżyc stoi w pełni, w jego blasku ziemi trup. Czas wędrówki się dopełnił, drogi kres wyznacza grób”. - Spojrzał na Rhyme^ -1 podpisał „Zegarmistrz”.

Czyli dwie ofiary i księżycowy motyw. - Odniesienie do astro-nomii często oznaczało, że morderca planował kolejne zbrodnie.

- Ma w programie coś więcej.

A jak myślisz, Linc, dlaczego tu jestem?

Rhyme spojrział na początek listu swojej odezwy do „Timesa”. Zamknął okno edytora tekstów. Esej na temat „Przed i Po” będzie musiał poczekać.

Rozdział 3

Z za okna dobiegł ledwie słyszalny dźwięk. Skrzypnięcie śniegu. Amelia Sachs znieruchomiała. Wyjrzała na ciche białe podwórko. Nikogo.

Była sama w posiadłości położonej o pół godziny drogi od miasta, na jego północnym obrzeżu. W zadbanym domu w stylu Tudorów pa-nowała martwa cisza, jak w grobie.

Skojarzenie całkiem na miejscu, pomyślała, ponieważ jego właściciela nie było już wśród żywych.

Znów rozległ się ten sam odgłos. Sachs była dziewczyną z miasta, przyzwyczajoną do kakofonii ulicznych hałasów - groźnych i zara-zem uspokajających. Znalazłszy się nagle w oazie podmiejskiego spokoju, poczuła się nieswojo.

Czyżby to odgłos kroków?

Wysoka rudowłosa policjantka ubrana w czarną skórzaną kurtkę, granatowy sweter i czarne dżinsy, nasłuchiwała przez chwilę, ma-chinalnie drapiąc się po głowie. Zza okna znów dobiegło skrzypnię-cie. Rozpięła kurtkę, by mieć glocka pod ręką. Przykucnęła i szybko wyjrzała na zewnątrz. Nic.

Wróciła do pracy. Usiadła na eleganckim skórzanym krześle i za-częła przeglądać zawartość ogromnego biurka. Było to frustrujące zadanie, ponieważ nie wiedziała, czego właściwie szuka. Zdarzało się tak, gdy trzeba było przeszukać trzeciorzędne, czwartorzędne czy któreś z kolei rzędne miejsce przestępstwa. W istocie trudno to było w ogóle nazwać miejscem przestępstwa. Mało prawdopodob-ne, żeby odwiedzili je sprawcy, nie znaleziono tu także żadnych ciał i nie ukryto żadnego łupu. Był to po prostu rzadko używany dom Benjamina Creeleya, który zmarł daleko stąd i ani razu nie pojawił się tu w ciągu ostatniego tygodnia życia.

Mimo to Sachs musiała szukać, i to dokładnie - dlatego że nie występowała w tej roli co zwykle: policjantki prowadzącej oględziny miejsca przestępstwa. Po raz pierwszy jako detektyw samodzielnie prowadziła sprawę zabójstwa.

Znów jakiś trzask na dworze. Lód, śnieg, gałązka, jelen, wiewiór-ka... Nie zwracając uwagi na dźwięk, pracowała dalej, kontynuując

Cholera...niecierpię niKOgo gonić. Natura obdarzyła ją wysokim wzrostem i kiepskimi stawami - artretyzm - i to połączenie sprawia-ło, że bieganie było dla niej prawdziwym cierpieniem.

- Policja,

stać! - Rzuciła się w pogoń za mężczyzną.

Mogła liczyć tylko na siebie. Nie mówiła policji z Westchester, że wybiera się do tego domu.

Pomoc mogłaby wezwać, tylko dzwoniąc pod 911, lecz nie miała na to czasu.

-

Nie zamierzam powtarzać. Zatrzymaj się!

Uciekinier nie reagował.

Pokonali rozległe podwórko i znaleźli się w lasku za domem. Dy-sząc ciężko i czując klucie pod żebrami towarzyszące bólowi kolan, biegła co sił w nogach, ale intruz wciąż zyskiwał przewagę.

Cholera, zgubię go.

W tym momencie jednak zainterweniowała natura. Uciekinier za-haczył butem o wystającą ze śniegu gałąź i runął na ziemię z głoś-nym jękiem, który Sachs usłyszała z odległości ponad dziesięciu me-trów. Przypadła do niego i łapiąc oddech, przyłożyła mu do szyi glocka. W

jednej chwili znieruchomiał.

Proszę mi nie robić krzywdy!

Cii.

Wyciągnęła kajdanki.

Ręce na plecy.

Zmrużył oczy.

Nic nie zrobiłem!

Ręce.

Niezdarnie spełnił polecenie, po czym Sachs poznała, że zapewne jeszcze nigdy nie został zatrzymany przez policję. Był młodszy, niż się spodziewała - miał kilkanaście lat i twarz obsypaną trądzikiem.

-

Niech mi pani nie robi krzywdy!

Sachs wreszcie odzyskała oddech i przeszukała chłopaka. Nie miał dokumentów, broni ani narkotyków. Tylko pieniądze i pęk kluczy.

Jak się nazywasz?

Greg.

A dalej?

Chwila wahania.

Witherspoon.

Mieszkaś tu?

Ze świstem wciągnął powietrze, wskazując głową w prawo.

W tamtym domu, zaraz obok Creeleyów.

He masz lat?

Szesnaście.

Dlaczego uciekałeś?

Nie wiem. Przestraszyłem się.

Nie słyszałeś, kiedy wołałam, że jestem z policji?

- Słyszałem, ale nie wygląda pani jak glina... jak policjantka.

Naprawdę jest pani z policji?

Pokazała mu odznakę.

Co robiłeś przy domu?

Mieszkam obok.

Już mówiłeś. Ale co robiłeś tutaj? - Pociągnęła go do pozycji siedzącej. Chłopak wyglądał na przerażonego.

Zobaczyłem, że ktoś jest w środku. Pomyślałem, że to pani Creeley albo ktoś z rodziny. Chciałem jej coś powiedzieć. Potem zajrza-

łem i zobaczyłem, że ma pani broń. Przestraszyłem się. Pomyślałem, że jest pani z nimi.

Z kim?

Z tymi facetami, którzy się tu włamali. Właśnie o tym chciałem powiedzieć pani Creeley.

Włamali się?

Widziałem, jak dwaj ludzie włamali się do domu. Parę tygodni temu. W okolicach Święta Dziękczynienia.

Zgłosiłeś to na policji?

Nie. Pewnie źle zrobiłem. Ale nie chciałem się w nic mieszać.

Wyglądali... no wie pani, groźnie.

Opowiedz mi, jak to się stało.

Byłem na podwórku za naszym domem i zobaczyłem, jak podchodzą do tylnych drzwi, rozglądają się, a potem wyłamują zamek i wchodzą.

Biali, czarni?

Chyba biali. Byłem za daleko i nie widziałem ich twarzy. Tacy zwykli faceci, wie pani. W dżinsach i kurtkach. Jeden był większy.

Kolor włosów?

Nie wiem.

Jak długo byli w środku?

Może z godzinę.

Widziałeś ich samochód?

-Nie.

Zabrali coś?

- Tak.

Wieżę stereo, płyty CD. Chyba jakieś gry. Mogę wstać?

Sachs pomogła mu się podnieść i zaprowadziła go do domu. Za-uważyła, że tylne drzwi rzeczywiście zostały podważone łomem. I to dość zręcznie.

Rozejrzała się po domu. W salonie wciąż stał telewizor z dużym ekranem. W szafce zobaczyła mnóstwo pięknej porcelany. Było także srebro. I to najwyższej próby. Kradzież wydawała się bezsensowna. Czyżby ukradli parę rzeczy, aby odwrócić uwagę od cze-goś innego?

Dokładnie obejrzała podłogę. Dom był nieskazitelnie czysty - z wyjątkiem kominka.

Zauważyła, że to model opalany gazem, lecz

22

23

w środku było mnóstwo popiołu. Gazowy kominek nie wymagał żadnej podpałki. Może włamywacze rozpalili ogień?

Nie dotykając niczego, skierowała światło latarki na palenisko.

Zauważyłeś, czy ci mężczyźni palili w kominku, gdy byli w domu?

Nie wiem. Może.

Przed kominkiem dostrzegła zacieki błota. W bagażniku samochodu miała podstawowy sprzęt do zbierania śladów. Postanowiła poszukać odcisków palców wokół kominka i na biurku, a także zebrać próbki popiołu i błota oraz innych dowodów fizycznych, które mogły się okazać przydatne.

Zaczął wibrować jej telefon. Sachs zerknęła na wyświetlacz. Do stała pilną wiadomość od Lincolna Rhyme'a. Miała natychmiast wracać do miasta. Wysłała potwierdzenie odbioru wiadomości.

Co tu się spaliło?, zastanawiała się, patrząc w kominek.

-

To co, mogę już iść? - zapytał Greg.

Sachs popatrzyła na niego.

Nie wiem, czy wiesz, ale kiedy ktoś umiera, policja sporządza kompletny spis rzeczy, jakie są w domu w dniu śmierci właściciela.

Tak? - Spuścił oczy.

Za godzinę zadzwonię na policję w Westchester i poproszę, żeby porównali listę z tym, co jest teraz w domu. Gdyby czegoś brakowało, zawiadomią mnie, a ja podam im twoje nazwisko i zadzwonię do twoich rodziców.

Ale...

Ci ludzie niczego nie zabrali, prawda? Kiedy wyszli, zakradłeś się tu przez tylne drzwi i wziąłeś sobie... co?

Tylko pożyczyłem sobie parę rzeczy. Z pokoju Todda.

Syna pana Creeleya?

Tak. Poza tym jedna gra na nintendo była moja. Nie oddał mi jej.

A ci mężczyźni? Wynieśli coś z domu?

Chwila wahania.

Chyba nie.

Sachs zdjęła mu kajdanki i oznajmiła:

W ciągu godziny masz wszystko oddać. Odnieś do garażu, zostawię otwarte drzwi.

Jasne, obiecuję - przytaknął pospiesznie. - Na pewno. Tylko że... - Rozplakał się. - Zjadłem trochę ciasta. Było w lodówce. Nie chciałem... Odkupię im.

Policja nie inwentaryzuje jedzenia.

-Nie?

Po prostu odnieś z powrotem resztę rzeczy.

Obiecuję. Naprawdę. - Otarł twarz rękawem.

Chłopiec ruszył do wyjścia.

-powiedz mi jeszcze jedno-zatrzymała go.-Kiedy usłyszałeś, że pan Creeley popełnił samobójstwo, zdziwiłeś się?

No pewnie.

Dlaczego?

Chłopiec zaśmiał się.

- Jeździł bmw 740 long. Jak ktoś ma taką brykę, to się przecież nie zabija?

24

Rozdział 4

U

marli w okropny sposób. Amelia Sachs widziała już wszelkie rodzaje śmierci - tak się jej przynajmniej zdawało. Takiego okrucieństwa jednak nie pamiętała.

Gdy zadzwoniła do Rhyme'a z Westchester, powiedział jej, żeby jak najszybciej pojechała na dolny Manhattan, gdzie miała prze-szukać dwa miejsca zabójstw popełnionych w ciągu kilku godzin przez sprawcę, który nazywał siebie Zegarmistrzem.

Sachs zdążyła już wykonać łatwiejsze z dwóch zadań - przepro-wadziła oględziny pirsu nad Hudsonem. Załatwiła sprawę szybko; nie było ciała, a większość śladów zdmuchnął lub zanieczyścił ostry wiatr znad rzeki. Obfotografowała miejsce ze wszystkich stron i na-kręciła wideo. Zauważyła, gdzie stał zegar, i pomyślała, że oddział pirotechników zapewne niestety zniszczył ślady, zabierając go do zbadania. Ale nie było innego wyjścia, ponieważ w zegarze mogła być ukryta bomba.

Zabrała list od mordercy, na którym także widniały ślady krwi. Następnie wzięła próbki zamrożonej krwi. Dostrzegła ślady pa-znokci w miejscu, gdzie ofiara trzymała się pomostu, wisząc nad spienioną wodą, dopóki nie wpadła. Zabrała oderwany kawałek pa-znokcia -

szeroki, krótki i niepolakierowany, co sugerowało, że ofia-rą był mężczyzna.

Morderca dostał się na pirs, przecinając ogrodzenie z siatki. Sachs wzięła próbkę drutu, by mogli sprawdzić ślady po narzędziu. W pobliżu kałuży zamrożonej krwi nie znalazła żadnych odcisków palców, śladów butów ani bieżników opon.

Nie odnaleziono świadków.

Koroner poinformował ją, że gdyby ofiara istotnie wpadła do Hudsonu, w ciągu około dziesięciu minut zmarłaby na skutek hipo-termii. Nurkowie z policji i straży przybrzeżnej kontynuowali poszukiwania ciała i dowodów.

Sachs dotarła do drugiego miejsca - uliczki przy Cedar Street, niedaleko Broadwayu.

Trzydziestokilkuletni Theodore Adams leżał na wznak z ustami zaklejonymi taśmą izolacyjną, którą także skrę-

26

powano mu ręce i nogi w kostkach. Morderca przerzucił sznur przez poręcz schodów przeciwpożarowych trzy metry nad nim, przywiązu-jąc jeden koniec do ciężkiej metalowej sztaby długości prawie dwóch metrów, z otworami na końcach przypominającymi ucho igielne. Drugi koniec sznura umieścił w rękach mężczyzny. Adams nie miał szansy wymknąć się z pułapki. Mógł jedynie użyć wszyst-kich sił, by podtrzymywał ciężar w nadziei, że zjawi się jakiś wy-bawca.

Ale nikt się nie zjawiał.

Adams nie żył już od pewnego czasu i w grudniowym chłodzie za-marzył pod sztabą, która zmiażdżyła mu gardło. Metal przyciskał go z taką siłą, że jego szyja miała grubość kilku centymetrów. Na kre-dowobiałej twarzy nieboszczyka malowała się obojętność, ale Sachs wyobrażała sobie, jak musiał wyglądać w ciągu dziesięciu czy pięt-nastu minut, gdy z oczyma wychodzącymi z orbit, purpurowy z wysił-ku walczył ze śmiercią.

Kto mógł mordować z takim okrucieństwem, obmyślając sposoby skazujące ofiary na bolesną i powolną śmierć?

Ubrana w biały kombinezon z tyveku, aby żadne mikroślady z jej ubrania i włosów nie zanieczyściły badanego miejsca, Sachs przygoto-wała sprzęt do zbierania dowodów, rozmawiając z dwójką kryminali-styków z policji nowojorskiej, Nancy Simpson i Frankiem Rettigiem, którzy pracowali w centralnej jednostce zabezpieczenia miejsc zbrod-ni w Queens.

Obok stał ich wóz techniczny - duża furgonetka wyposa-żona w podstawowy sprzęt laboratoryjny. Nałożyła gumki na podeszwy, by odróżnić własne ślady od śladów sprawcy. Był to pomysł Rhyme'a. („Po co właściwie miałabym to ro-bić? Przecież mam na sobie tyvek, a nie zwykłe buty” - zauważyła kiedyś Sachs. Rhyme posłał jej zmęczone spojrzenie. „Bardzo prze-praszam. Pewnie żaden sprawca nigdy nie pomyśli, żeby kupić kom-binezon z tyveku.

Ile to może kosztować, Sachs? Czterdzieści dzie-więć dziewięćdziesiąt pięć?”).

W pierwszej chwili nasunęło jej się przypuszczenie, że morder-stwa to robota przestępczości zorganizowanej albo dzieło psychopa-ty; gangi często załatwiały swoje porachunki w podobnie widowisko-wy sposób, wysyłając sygnał swoim rywalom. Natomiast socjopata mógł przygotować zbrodnię w tak misterny sposób z powodu swoich urojeń albo w celu zaspokojenia skłonności sadystycznych - w grę wchodził motyw seksualny lub po prostu lubował się w okrucień-stwie. W ciągu lat spędzonych na ulicach Sachs zdążyła się nauczyć, że samo sprawianie komuś bólu dawało niektórym ludziom poczucie władzy i mogło nawet uzależniać.

Nadszedł Ron Pułaski ubrany w mundur i skórzaną kurtkę. Ja-snowłosa posterunkowy, szczupły i miody, pomagał Sachs przy spra-wie Creeleya i zawsze był do dyspozycji, gdy Rhyme potrzebował asysty w prowadzonych przez siebie sprawach. Po starciu z pewnym 27

sprawcą, które skończyło się dla niego długim pobytem w szpitalu, Pułaskiemu zaproponowano przejście na rentę z powodu niezdolno-ści do służby.

Posterunkowy opowiadał Sachs, że postanowił omówić tę sprawę ze swoją żoną Jenny.

Powinien wrócić do departamentu czy nie? W dyskusji wziął też udział jego brat bliźniak, także policjant. W końcu Pułaski postanowił poddać się terapii i wrócić do służby. Sachs i Rhyme, na których jego młodzieńczy zapał wywarł duże wra-żenie, użyli swoich wpływów, aby przydzielano im go do pomocy, ile-kroć to będzie możliwe. Potem Pułaski wyznał Sachs (choć, rzecz jasna, nigdy nie mówił tego Rhyme'owi), że na jego decyzję o po-wrocie wpłynął

głównie upór kryminalistyka, który po wypadku na-rzucił sobie ostry reżim codziennych ćwiczeń i nie pozwolił, by tetra-plegia wykluczyła go z pracy.

Pułaski nie miał na sobie tyveku, musiał się więc zatrzymać za żółtą taśmą ogradzającą miejsce przestępstwa.

-

Jezu - mruknął, przyglądając się koszmarnej scenie.

Poinformował Sachs, że Sellitto i inni funkcjonariusze rozmawia-ją z pracownikami ochrony i szefami biur w budynkach wokół alej-ki, chcąc ustalić, czy ktokolwiek widział lub słyszał napaść albo znał Theodore'a Adamsa.

- Pirotechnicy

ciągle sprawdzają zegary - dodał - a później przy-

wiozą je do Rhyme'a- Idę spisać numery rejestracyjne wszystkich samochodów zaparkowanych w okolicy. Z polecenia detektywa Sellitta.

Sachs, odwrócona do niego plecami, skinęła głową. Nie zaprzętała się jednak tymi informacjami; w tym momencie były nieprzydatne. W skupieniu przygotowywała się do oględzin, odsuwając na bok

wszystkie inne myśli. Mimo że analiza miejsca przestępstwa z natury rzeczy polega na pracy z materiałem nieożywioną, zajęcie to wymaga od funkcjonariusza specyficznej bliskości z przestępcą; musi psychicznie i emocjonalnie zidentyfikować się ze sprawcą, wchodząc w jego rolę. W wyobraźni policjanta rozgrywa się cały makabryczny scenariusz zbrodni: co myślał morderca, gdzie stał, kiedy unosił pistolet, pałkę czy nóż, jak zmienił pozycję ciała, czy został przy ofierze, obserwując jej agonię, czy od razu uciekł, co mogło przykuć jego uwagę, co go pociągało, a co wzbudzało w nim wstręt, jaką wybrał

drogę ucieczki. Nie chodziło o tworzenie profilu psychologicznego - popularne w mediach malowanie portretu podejrzanego, który jednak czasami pomagał w śledztwie; była to sztuka wyłuskiwania z ogromnej sterty śmieci na miejscu zbrodni paru cennych detali, które mogły doprowadzić do drzwi podejrzanego.

Sachs właśnie zaczęła się wczuwać w rolę mordercy, który obmyślił i wykonał ten okropny wyrok na drugim człowieku.

Jej oczy lustrowały badawczo alejkę, zatrzymując się na bruku, murach, ciele, żelaznej sztabie...

28

I

Jestem nim... jestem nim... O czym myślę? Dlaczego chcę zabić tych ludzi? Dlaczego w taki sposób? Dlaczego na piersi, dlaczego tutaj?

Ale przyczyna śmierci ofiar była tak niezwykła, a umysł mordercy tak nieprzenikniony, że na razie nie potrafiła znaleźć na te pytania żadnych odpowiedzi. Nałożyła słuchawkę z mikrofonem.

Rhyme, jesteś tam?

A gdzie mógłbym być? - odparł z nutą rozbawienia w głosie.

- Czekałem, aż się odezwiesz. Gdzie jesteś? W drugim miejscu?

-Tak.

-

Co widzisz, Sachs?

Jestem nim...

Uliczkę, Rhyme - powiedziała do mikrofonu. - Ślepa. Dla samochodów dostawczych. Z drugiej strony nie ma wyjazdu. Ofiara leży blisko ulicy.

Jak blisko?

Niecałe pięć metrów. Uliczka ma jakieś trzydzieści metrów.

Jak się tam dostał?

Nie ma żadnych śladów, ale na pewno został tu przywleczony; z tytu kurtki i spodni ma sól i breję błota i śniegu.

Obok ciała są jakieś drzwi?

Tak. Leży na wprost drzwi.

Pracował w tym budynku?

Nie. Mam jego wizytówki. To copywriter, wolny strzelec. Adres służbowy ma taki sam jak domowy.

Mógł mieć klienta w tym budynku albo gdzieś w okolicach.

Lon właśnie to sprawdza.

To dobrze. Co z tymi drzwiami? Myślisz, że sprawca mógł tam na niego czekać?

Tak - odparła.



Niech jakiś ochroniarz je otworzy i sprawdź, co jest po drugiej stronie.

Zza taśmy zawołał do niej Lon Sellitto:

- Nie  
ma

świadców. Cholera, sami ślepi. I głusi... W budynkach przy tej uliczce jest ze czterdzieści czy pięćdziesiąt biur. Trochę potrwa, zanim ustalimy, czy ktoś go znał.

Sachs przekazała mu prośbę Rhyme'a, by otworzyć drzwi, przy których leżały zwłoki.

-

Jasne. - Sellitto ruszył wykonać zadanie, chuchając w stulone dłonie.

Sachs zrobiła zdjęcia i zapis wideo. Nie znalazła żadnych dowodów świadczących o czynnościach seksualnych, jakie mogły się odbyć z udziałem ofiary lub bez. Następnie zaczęła robić obchód po siatce - przemierzając dwukrotnie każdy centymetr kwadratowy miejsca w poszukiwaniu dowodów fizycznych. W przeciwieństwie do wielu kryminalistów, Rhyme upierał się, by oględzin dokonywała 29

tylko jedna osoba - oczywiście z wyjątkiem masowych katastrof - dlatego Sachs zawsze chodziła po siatce sama.

Ale sprawca zbrodni okazał się tak skrupulatny, że nie zostawił nic istotnego poza listem, zegarem, metalową sztabą, taśmą izolacyjną i sznurem.

Poinformowała o tym Rhyme'a.

- Nie

mają zwyczaju ułatwiać nam roboty, co, Sachs?

Rozdrażni! ją jego dobry humor; nie widział ofiary, która zginęła tak cholernie parszywą śmiercią. Ignorując jego uwagę, kontynuowała pracę: przeprowadziła wstępne oględziny zwłok, aby można je było przekazać koronerowi, zabrała rzeczy osobiste ofiary, obsypała miejsce proszkiem daktyloskopijnym, szukając odcisków palców, zdjęła obraz elektrostatyczny śladów butów, zebrała mikroślady za pomocą rolki podobnej do wałka używanego do usuwania sierści domowych zwierząt.

Ze względu na ciężar żelaznej sztaby należało przypuszczać, że sprawca przyjechał tu samochodem, lecz Sachs nie znalazła śladów opon. Środek uliczki był posypany solą, która miała rozpuścić lód, i jej grudki utrudniały kontakt kół i butów z brukiem.

Sachs zmrużyła oczy, przypatrując się uważniej.

Rhyme, widzę coś dziwnego. W promieniu około metra wokół ciała coś jest na ziemi.

Co to twoim zdaniem może być?

Sachs pochyliła się i przez szkło powiększające obejrzała jakiś drobny piasek. Zameldowała o tym Rhyme'owi.

Posypano nim lód?

Nie. Jest tylko obok ofiary. Nie ma go nigdzie indziej na uliczce. Śnieg i lód posypują solą. - Cofnęła się o krok. - Ale została tylko cienka warstewka. Jakby... tak, Rhyme. Posprzątał po sobie.

Wszystko pozamiatał.

Pozamiatał?

Widzę ślady szczotki. Jak gdyby wysypał parę garści piasku, a potem dokładnie zamiótł... ale może tonie on. W pierwszym miejscu, na piersie, nie zauważyłam nic takiego.

Czy ten piasek jest na ofierze albo sztabie?

Nie wiem... zaraz, jest.

A więc zrobił to po morderstwie - wyjaśnił Rhyme. - To prawdopodobnie środek maskujący.

Skrupulatni sprawcy czasem rozsypywali na miejscu zbrodni materiał w postaci proszku lub granulatu - piasek, żwirek dla kotów czy nawet mąkę - który następnie zamiatali lub zbierali odkurzaczem, usuwając w ten sposób większość mikrośladów.

-

Tylko po co? - zamyślił się Rhyme.

Sachs patrzyła na zwłoki i na brukowaną alejkę.

Jestem nim...

Po co miałabym zamiatać?

30

Sprawcy często wycierali odciski palców i zabierali widoczne do-wody, ale bardzo rzadko zadawali sobie tyle trudu, by używać środka maskującego. Sachs zamknęła oczy i choć było to trudne, wyobraziła sobie, jak stoi obok młodego człowieka, który usiłuje utrzymać ciężką sztabę nad własną szyją.

Może coś rozlał.

Mało prawdopodobne - odparł Rhyme. - Na pewno za bardzo uważał.

Myślała intensywnie. Jasne, bardzo uważam. Ale po co miałabym zamiatać?

Jestem nim...

Po co? - szepnął w słuchawce Rhyme.

Może chciał..,

Nie „chciał” - poprawił ją kryminalistyk. - Ty nim jesteś, Sachs. Pamiętaj. Ty.

Jestem perfekcjonistą. Chcę się pozbyć jak największej ilości dowodów.

- Rzeczywiście - przytaknął Rhyme. - Ale to, co zyskujesz, zamiatając ślady, tracisz, zostając dłużej na miejscu. Wydaje mi się, że powód był inny.

Wczuwając się głębiej w sytuację, wyobraziła sobie, jak unosi sztabę, wkłada koniec sznura w rękę mężczyzny, patrzy w jego twarz zaczerwienioną z wysiłku, w wytrzeszczone oczy.

Stawiam zegar przy jego głowie. Zegar tyka, tyka... Patrzę, jak umiera.

Nie zostawiam śladów. Zamiatam...

- Myśl, Sachs. O co mu chodzi?

Jestem nim...

Po chwili wyrzuciła 2 siebie:

- Wracam,

Rhyme.

-Co?

Wracam na miejsce zbrodni. To znaczy, on wraca. Dlatego pozamiatał. Bo nie chciał zostawić absolutnie nic, co mogłoby nam dać jakąś wskazówkę: żadnych włókien, włosów, śladów butów, błota 2 podeszew. Nie boi się, że dotrzemy do jego kryjówki - jest za dobry, żeby zostawiać takie ślady. Nie, boi się, że moglibyśmy znaleźć coś, co pomoże nam go rozpoznać, kiedy wróci.

Dobra, całkiem możliwe. Może jest podglądaczem i lubi patrzeć, jak ludzie umierają, lubi przyglądać się gliniarzom przy pracy. Albo chce zobaczyć, kto go tropi... żeby sam mógł ruszyć na lowy.

Sachs poczuła przebiegający jej po plecach dreszcz lęku. Rozejrzała się. Po drugiej stronie ulicy

jak zwykle stała grupka gapiów. Może jest wśród nich morderca i właśnie się jej przygląda?

W tym momencie Rhyme dodał:

- Może zresztą już zdążył wrócić. Przyszedł wcześniej zobaczyć, czy ofiara już nie żyje. A to oznacza...

31

Że mógł zostawić ślady gdzie indziej, poza uliczką. Na chodniku albo na ulicy.

Właśnie.

Sachs dała nura pod taśmą ogradzającą miejsce przestępstwa i rozejrzała się po ulicy. Potem spojrziała na chodnik przed budynkiem. Na śniegu zobaczyła ślady butów. Nie miała pojęcia, czy zostawił je Zegarmistrz, ale kilka - odciski szerokich traktorów - mogło świadczyć, że ktoś, prawdopodobnie mężczyzna, przez parę minut stał u wylotu alejki, przestępując z nogi na nogę. Rozejrzawszy się, uznała, że nikt nie miałby powodu tu wystawać - w pobliżu nie było żadnych automatów telefonicznych, skrzynek pocztowych ani okien.

- Mam

parę ciekawych śladów butów u wylotu alejki, przy krawężniku na Cedar Street - powiedziała do mikrofonu. - Dużych.

- Przeszukała okolicę, kopiąc w zaspie. - Mam coś jeszcze.

-Co?

Złożony metalowy klips na banknoty. - Zgrabiałyśmy z zimna palcami w lateksowej rękawiczce przeliczyła pieniądze. - Trzysta czterdzieści w nowiutkich dwudziestkach. Tuż przy śladach butów.

Ofiara miała przy sobie jakieś pieniądze?

Sześćdziesiąt dolców, też w dość nowych banknotach.

Może buchnął mu klips i zgubił podczas ucieczki.

Włożyła banknoty w złożonym uchwycie do torebki na dowody, po czym zakończyła oględziny miejsca, nie znajdując niczego więcej.

Otworzyły się tylne drzwi biurowca. Stali za nimi Sellitto i umundurowany strażnik z ochrony budynku. Cofnęli się, gdy Sachs przystąpiła do badania i fotografowania drzwi, meldując Rhyme'owi, że znalazła na nich milion odcisków palców (tylko zachichotał), a następnie obejrzała ciemny korytarzyk. Nie natrafiła na nic, co mogłoby mieć związek z morderstwem.

Nagle mroźne powietrze przeszył przerażony kobiecy głos:

- O

Boże, nie!

Do żółtej taśmy podbiegła krępa, trzydziestokilkuletnia brunetka, ale zatrzymał ją funkcjonariusz z patrolu. Kobieta szlochała, zasłaniając twarz dłońmi. Podeszedł do niej Sellitto. Sachs dołączyła do nich.

Zna go pani? - spytał gruby detektyw.

Co się stało? Co się stało? Nie... o Boże.

Zna go pani? - powtórzył Sellitto.

Zanosząc się płaczem, kobieta odwróciła się od makabrycznego widoku.

-

Mój brat... Czy on... Boże, to niemożliwe... - Osunęła się na kolana w śniegu.

Sachs domyśliła się, że to ona poprzedniego wieczoru zgłosiła zaginięcie brata.

32

W kontaktach z podejrzanymi Lon Sellitto przypominał pitbu-la. Ale wobec ofiar i ich rodzin potrafił się wykazać zaskakującą łagodnością. Cichym głosem z wyraźnym akcentem brooklyńskim rzekł:

Przykro mi. Tak, pani bratnie żyje.-Pomógł jej wstać, a kobieta oparła się o mur.

Kto to zrobił? Dlaczego? - Jej głos przeszedł w pisk, gdy wpatrywała się w makabrycznie uśmierconego brata. - Kto mógłby zrobić coś takiego? Kto?

Nie wiemy, proszę pani - powiedziała Sachs. - Przykro mi. Ale znajdziemy go. Przyrzekam.

Łapiąc oddech, kobieta odwróciła się szybko.

- Nie

chcę, żeby moja córka to zobaczyła.

Sachs podążyła za jej spojrzeniem w kierunku samochodu zaparkowanego dwoma kołami na krawężniku, gdzie w panice zostawiła go kobieta. Miejsce pasażera zajmowała kilkunastoletnia dziewczynka, która z przechyloną głową i zmarszczonym czołem przyglądała się Sachs. Detektyw stanęła między ciałem a samochodem, zasłaniając dziewczynce widok jej wuja.

Siostra ofiary, która nazywała się Barbara Eckhart, wyskoczyła z samochodu bez kurtki i kuliła się z zimna. Sachs zaprowadziła ją przez otwarte drzwi do korytarza biurowca, który zdążyła już przeszukać. Zszokowana kobieta spytała, czy może skorzystać z toalety, a gdy wróciła, wciąż była blada i wstrząśnięta, lecz zdołała zaplanować nad płaczem.

Barbara nie miała pojęcia, jaki mógł być motyw morderstwa. Jej brat, kawaler, pracował na własny rachunek jako autor tekstów reklamowych. Był lubiany i o ile jej wiadomo, nie miał żadnych wrogów. Nie wplątał się w żaden trójkąt małżeński - nie wchodził w grę zazdrosny mąż - nigdy też nie miał nic wspólnego z narkotykami i żadnym nielegalnym procederem.

Przeprowadził się do miasta przed dwoma laty.

Sachs zaniepokoiła wiadomość, że ofiara nie miała związków ze zorganizowaną przestępczością; na pierwszy plan wysuwała się bowiem możliwość popełnienia zbrodni przez psychopatę, znacznie groźniejszego od płatnego zawodowca.

Sachs wyjaśniła, że koroner przekaże zwłoki najbliższej rodzinie w ciągu dwudziestu czterech, najwyżej czterdziestu ośmiu godzin. Twarz Barbary skamieniała.

- Dlaczego zabił Teddy'ego w taki straszny sposób? O czym mógł myśleć?

Na to pytanie Amelia Sachs nie знаła jednak odpowiedzi.

Przyglądając się, jak Sellitto odprowadza kobietę do samochodu, Sachs nie mogła oderwać oczu od jej córki, która wciąż patrzyła na Policjantkę. Trudno było znieść to spojrzenie.

Dziewczynka musiała S1C już domyślić, że leżący w alejce mężczyzna to naprawdę jej wuj 33 i że nie żyje, lecz Sachs dostrzegła w jej oczach coś jeszcze: promyczek nadziei.

Promyczek, który wkrótce miał zgasnąć.

Głodny.

Vincent Reynolds leżał w zalatującym stęchlizną łóżku w tymczasowym domu, który urządzili sobie z Duncanem w ni mniej, ni więcej, tylko dawnym kościele. Jego duszę dręczył głód, współgrający z burczeniem w pokaźnym brzuchu.

Stara katolicka budowla w opuszczonej części Manhattanu nie-daleko Hudsonu stanowiła bazę operacyjną na czas morderstw. Gerald Duncan był spoza miasta, a Vincent miał

mieszkanie w New Jersey. Vincent zaproponował, żeby zatrzymali się u niego, ale Duncan kategorycznie się sprzeciwił. Twierdził, że w ogóle nie powinni się zbliżyć do swoich prawdziwych

miejsc zamieszkania. Mówił o tym takim tonem, jakby wygłaszał wykład. Ale nie surowym. Jak gdyby ojciec pouczał syna.

W kościele? - zdziwił się Vincent. - Dlaczego?

Bo jest na rynku od czternastu i pół miesiąca. Przestał być atrakcyjną nieruchomością. A o tej porze roku nikt nie będzie go chciał oglądać. - Przelotnie zerknął na Vincenta. - Nie musisz się obawiać. Jest dekonsekrowany.

Naprawdę? - spytał Vincent, który w swoim mniemaniu popełnił tyle grzechów, że miał zapewnioną drogę do piekła, jeżeli istniało; bezprawne wejście na teren kościoła, konsekrowanego czy nie, byłoby najdrobniejszym z jego przewinień.

Oczywiście agent handlu nieruchomościami pozamykał wszystkie drzwi, ale każdy zegarmistrz w gruncie rzeczy dobrze się zna na ślusarstwie (Duncan tłumaczył kiedyś, że pierwsi twórcy zegarów byli ślusarzami), więc bez trudu otworzył wytrychem jedno z tylnych drzwi, na które założył kłódkę, aby mogli wchodzić i wychodzić niewidziani przez nikogo z ulicy czy chodnika. Zmienił też zamek we frontowych drzwiach i zostawił na nim odrobinę wosku, żeby wiedzieli, czy ktoś próbował się dostać do środka podczas ich nieobecności.

Kościół był ponury i pełen przeciągów, pachniał tanimi środkami do czyszczenia.

Duncan miał pokój w dawnej sypialni księdza na piętrze w części budynku, gdzie kiedyś mieściła się plebania. Po drugiej stronie korytarza, w byłej kancelarii Vincent urządził sobie pokój, w którym właśnie leżał. Poza składanym łóżkiem był tu stół, przenośna kuchnia elektryczna, mikrofalówka oraz lodówka (Vincent Głodomór oczywiście trafił do kuchni). W

kościelnie nie odłączono prądu, na wypadek gdyby pośrednicy potrzebowali światła, ogrzewanie także działało, aby nie popękały rury, choć było ustawione na minimum.

Gdy Vincent pierwszy raz ujrzał kościół, znając obsesję Duncana na punkcie czasu, powiedział:

34

Szkoda, że nie ma tu wieży zegarowej. Takiej jak Big Ben.

To nazwa dzwonu, nie zegara.

Na londyńskiej Tower?

W wieży zegarowej - poprawił go starszy towarzysz. - W Pałacu Westminsterskim, gdzie jest siedziba parlamentu. Nazwano go tak na cześć sir Benjamina Halla. Pod koniec lat pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku był największym dzwonem w Anglii. W dawnych zegarach tylko dzwony podawały czas. Nie było tarcz ani wskazówek.

-Aha.

- Angielskie

słowo „clock” pochodzi od łacińskiego „clocca” oznaczającego dzwon.

Wiedział wszystko.

Vincentowi bardzo się to podobało. U Geralda Duncana podobało mu się wiele rzeczy.

Zastanawiał się, czy jako dwaj odmieńcy mogliby zostać prawdziwymi przyjaciółmi. Vincent miał niewielu przyjaciół. Czasem szedł na drinka z praktykantami albo innymi pracownikami biurowymi. Ale nawet Vincent Mądrala zwykle rzadko się odzywał, obawiając się, że wymknie mu się jakaś niewłaściwa uwaga o kelnerce albo kobiecie siedzącej przy sąsiednim stoliku. Głód sprawia, że przestajesz być ostrożny (wystarczy sobie przypomnieć, co się stało z Sally Annę).

Vincenta i Duncana wiele rzeczy dzieliło, ale mieli jedną wspólną cechę: mroczne sekrety w sercach. Każdy, kto kiedykolwiek je ukrywał, wie, że potrafią usunąć w cień nawet największe różnice poglądów na życie i politykę.

Tak, Vincent z pewnością był gotów spróbować tej przyjaźni.

Umył ręce, znów rozmyślając o Joannę, brunetce, której złożą dziś wizytę: kwiaciarczyce, ich następnej ofierze.

Vincent otworzył małą lodówkę. Wyciągnął obwarzanka i rozkroił na pół swoim nożem myśliwskim. Nóż miał dwudziestocentymetrowe ostrze i był bardzo ostry. Vincent posmarował obwarzanek twarogiem i zjadł, popijając dwiema colami. Nos szczypał go z zimna. Skrupulatny Gerald Duncan upierał się, by w kościele też nosił rękawiczki, co Vincent uznawał za zawracanie głowy, ale dziś było tak zimno, że nie przeszkadzała mu narzucona przez towarzysza zasada.

Wyciągnął się na łóżku, wyobrażając sobie, jak może wyglądać ciało Joannę.

Jeszcze dziś...

Skrecał się, umierał z głodu. Miał w sobie ogromną pustkę. Czuł, że jeśli wkrótce nie nadejdzie czas miłego sam na sam z Joannę, uschnie i zmarnieje.

Wypił puszkę dr pepper, zjadł paczkę ziemniaczanych chipsów. Potem jeszcze garść precli.

Nienasycony...

Głodny...

35

To nie Vincent Reynolds wpadł na myśl, że pragnienie gwałcenia kobiet jest głodem.

Zawdzięczał ją swojemu terapeutce, doktorowi Jenkinsowi.

Kiedy go zamknęli z powodu Sally Annę - pierwszy i jedyny raz trafił wtedy za kratki - lekarz wyjaśnił mu, że te pragnienia nigdy go nie opuszczą i musi się z tym pogodzić.

- Nie

będziesz potrafił się ich pozbyć. W pewnym sensie przypominają głód... A co wiemy o głodzie? Że jest naturalny. Na głód nic nie możemy poradzić. Mam rację?

-Tak.

Terapeuta dodał, że choć Vincentowi nie uda się zupełnie zagłuszyć głodu, może go „we właściwy sposób zaspokajać. Rozumiesz, co i mam na myśli? Jeśli chodzi o jedzenie, zamiast podjadać, o odpowiedniej porze siadasz do zdrowego posiłku. Jeśli chodzi o ludzi, angażujesz się w zdrowy związek, który prowadzi do małżeństwa i założenia rodziny”.

Rozumiem.

To dobrze. Chyba robimy postępy.

Słowa Jenkinsa dodały chłopcu otuchy, choć przyniosły nieco inny skutek, niż zamierzał pocziwy doktor. Vincent doszedł do wniosku, że wykorzysta analogię do głodu jako dosłowną wskazówkę. Postanowił, że będzie jeść, czyli odbywał miłe sam na sam z dziewczyną, kiedy naprawdę będzie tego potrzebował. W ten sposób nigdy nie straci głowy i nie stanie się tak nieostrożny jak wtedy z Sally Annę.

Genialne.

Mam rację, doktorze Jenkins?

Vincent przełknął precle i resztę napoju, po czym napisał kolejny list do siostry. Vincent Mądrala ozdobił go kilkoma rysunkami na marginesach. Powinny się jej spodobać. Vincent był całkiem niezłym rysownikiem.

Rozległo się pukanie.

- Proszę.

Drzwi otworzył Gerald Duncan. Mężczyźni przywitali się, a Vincent zajrzał do pokoju Duncana, w którym panował nienaganny porządek. Na biurku wszystko było ułożone symetrycznie. Wyprasowane ubrania równiutko wisiały w szafie w odstępach dokładnie pięciu centymetrów. Ta cecha Zegarmistrza mogła stanowić poważną przeszkodę w ich przyjaźni. Vincent był flejtuchem.

Chcesz coś zjeść? - spytał Vincent.

Nie, dziękuję.

Dlatego właśnie Duncan był taki chudy. Jadł rzadko i nigdy nie był głodny. To mogła być druga przeszkoda. Ale Vincent postanowił, że nie będzie zwracał uwagi na tę wadę. W końcu jego siostra też nie jadła dużo, a mimo to ją kochał.

Morderca zrobił sobie kawę. Kiedy grzała się woda, wyciągnął z lodówki słoik i odmierzył równe dwie łyżeczki ziaren kawy. Wsypał je z grzechotem do ręcznego młynka i zakręcił nim kilkanaście razy. Starannie wsypał zmieloną kawę do papierowego filtra umieszczonego w zaparzaczu. Postukał w niego, by wyrównać kawową górkę. Vincent uwielbiał obserwować, jak Duncan robi kawę.

Skrupulatny...

Duncan spojrział na złoty zegarek kieszonkowy. Bardzo ostrożnie go nakręcił. Dokończył kawę - pił szybko, jak lekarstwo - po czym spojrział na Vincenta.

- Trzeba

iść do naszej kwiaciarki - powiedział. - Joannę. Rozejrzysz się tam?

Ściśnięcie w żołądku. Żegnaj, Vincencie Mądralo.

Jasne.

Idę na uliczkę przy Cedar Street. Policja już tam powinna być.

Zobaczę, z kim przyjdzie się nam borykać.

Borykać...

Duncan włożył kurtkę i zawiesił na ramieniu torbę.

- Jesteś gotowy?

Vincent skinął głową, narzucając swoją kremową parkę i nakładając czapkę oraz ciemne okulary.

-

Daj mi znać, czy do pracowni przychodzą ludzie po zamówione bukiety, czy pracuje sama.

Zegarmistrz dowiedział się, że Joannę dużo czasu spędza w pracowni znajdującej się kilka przecznic od kwiaciarni. Pracownia była cicha i mroczna. Wyobrażając sobie ciemne, kręcone włosy Joannę, jej pociągłą, ale ładną twarz, Vincent Głodomór nie potrafił myśleć o niczym innym.

Zeszli na dół i znaleźli się w uliczce za kościołem.

Duncan spojrział na kłódkę.

Aha, chciałem ci jeszcze coś powiedzieć. O jutrzejszym. To też będzie kobieta. Czyli dwie z rzędu. Nie wiem, jak często lubisz mieć to swoje... jak o tym mówisz? Sam na sam?

Zgadza się.

Dlaczego tak to nazywasz? - zapytał Duncan. Vincent zdążył się już przekonać, że morderca jest ciekawy wszystkiego.

To wyrażenie także pochodziło od doktora Jenkinsa, jego doktora z poprawczaka, który

namawiał Vincenta, aby przychodził do jego gabinetu, kiedy tylko będzie miał ochotę porozmawiać o tym, co czuje; na miłe, szczerze sam na sam.

Z jakiegoś powodu Vincentowi spodobały się te słowa. Określenie brzmiało też o wiele lepiej niż „gwałt”.

-

Nie wiem. Po prostu tak to nazywam. - Dodał też, że dwie kobiety z rzędu to dla niego żaden problem.

Czasem apetyt rośnie w miarę jedzenia, doktorze Jenkins.

Mam rację?

Gdy ostrożnie szli oblodzonym chodnikiem, Vincent spytał:

-

Hm, co zamierzasz zrobić z Joannę?

36

37

Zabijając swoje ofiary, Duncan przestrzegał jednej zasady: ich śmierć nie mogła trwać krótko.

Nie było to wcale tak łatwe, jak mogło-by się wydawać, wyjaśniał mu swoim wyraźnym, obojętnym głosem. Duncan miał książkę pod tytułem „Ekstremalne techniki przesłuchań”

o wymuszaniu

zeznań od więźniów za pomocą tortur, które prowadziły do śmierci, jeśli dręczona osoba uparcie milczała: o przygniataniu ich gardeł ciężkimi przedmiotami, o podcinaniu nadgarstków, żeby ofiara się wykrwawiła, i kilkunastu innych metodach.

Duncan wyjaśnił:

- Nie

chcę na nią tracić za dużo czasu. Zaknebluję ją i zwiążę jej ręce za plecami. Potem położę ją na brzuchu i okręcę drut na jej szyi 1 kostkach.

- Będzie miała zgięte kolana? - Vincent bez trudu to sobie wyobraził.

- Zgadza

się. Tak jak w książce. Oglądałeś ilustracje?

Vincent przecząco pokręcił głową.

- Nie

zdoła zbyt długo utrzymać nóg w tej pozycji. Kiedy zaczniesz je prostować, zaciśnię sobie drut na szyi i sama się udusi. Przypuszczam, że po ośmiu, dziesięciu minutach będzie po wszystkim.

- Uśmiechnął się. - Tak jak zasugerowałeś, zmierzę czas. Potem cię zawołam i będzie cała twoja.

Miłe sam na sam...

Kiedy wyszli z uliczki, uderzył w nich podmuch mroźnego wiatru, rozchylając poły niezapiętej parki Vincenta.

Młodszy z mężczyzn przystanął zaniepokojony. Na chodniku przed sobą zobaczyli młodego człowieka. Miał rzadką brodę i był ubrany w przetartą kurtkę. Na ramieniu niósł plecak.

Pewnie student, pomyślał Vincent. Nieznajomy maszerował zważnym krokiem z opuszczoną głową.

Duncan zerknął na towarzysza.

-

O co chodzi?



Vincent wskazał na pasek, za którym miał zatknięty myśliwski nóż w pochwie.

- Chyba

widział... Przepraszam. Powinienem zapiąć kurtkę, ale...

Duncan zacisnął usta.

Nie, nie... Vincent miał nadzieję, że nie rozzłościł Duncana.

- Załatwię to, jeżeli chcesz. Zaraz...

Morderca spojrział na studenta, który szybko się od nich oddalał. Duncan odwrócił się do Vincenta.

- Zabiłeś kiedyś kogoś?

Nie potrafił wytrzymać przeszywającego spojrzenia niebieskich oczu. -Nie.

-

Zaczekaj tu. - Gerald Duncan rozejrzał się po ulicy, na której oprócz studenta nie było nikogo. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął

wysuwany nóż, którym poprzedniej nocy podciął nadgarstki człowiekowi na pirsie. Ruszył za studentem. Vincent patrzył, jak szybko go dogania. Kiedy morderca był już prawie metr za studentem, skręcili za róg, zmierzając na wschód.

To okropne... Vincent zapomniał o skrupulatności. Mógł stracić szansę na przyjaźń z Duncanem, szansę na następne sam na sam. Wszystko przez nieostrożność. Chciało mu się wrzeszczeć i płakać.

Sięgnął do kieszeni, znalazł batonik KitKat i pochłonął razem z kawałkiem opakowania.

Po pięciu ciągnących się w nieskończoność minutach wrócił Duncan, niosąc zmiętą gazetę.

Przepraszam - powiedział Vincent.

Nic się nie stało. Już wszystko w porządku - odrzekł cicho Duncan. W gazecie miał zakrwawiony nóż. Wytarł w nią ostrze i schował.

Potem wyrzucił poplamioną krwią gazetę i rękawiczki. Nałożył nową parę. Nalegał, żeby zawsze przy sobie mieli na zmianę dwie albo trzy pary rękawiczek.

Ciało jest w pojemniku na śmieci - powiedział Duncan. - Dobrze je przykryłem. Jeżeli dopisze nam szczęście, zanim ktoś zauwa-

ży krew, będzie już na wysypisku albo w morzu.

Nic ci się nie stało? - Vincentowi zdawało się, że dostrzegł czerwoną kropkę na policzku Duncana.

Jego towarzysz wzruszył ramionami.

- Byłem nieostrożny. Zaczął się bronić. Musiałem mu przejechać nożem po oczach. Zapamiętaj. Jeżeli ktoś się opiera, tnij oczy. Od ra-zu przestanie się bronić i będziesz mógł z nim zrobić, co zechcesz.

Tnij oczy...

Vincent wolno pokiwał głową.

Będziesz bardziej uważał? - spytał Duncan.

Och, tak. Obiecuję. Naprawdę.

Idź sprawdzić, co robi kwiaciarka. Spotkamy się przed muzeum kwadrans po czwartej.

Dobra, nie ma sprawy.

Duncan obrócił bladoniebieskie oczy na Vincenta. Na jego twarzy pojawił się rzadko u niego widziany uśmiech.

-

Nie przejmuj się. Mieliśmy kłopot. Został rozwiązany. W ostatecznym rozrachunku to nie znaczy zupełnie nic.

38

Rozdział 5

Z

abrano ciało Teddy'ego Adamsa, ulicę opuściła też jego pogrążona w żalu rodzina.

Lon Sellitto pojechał do Rhyme'a, a miejsce przestępstwa zostało oficjalnie otwarte. Ron Pułaski, Nancy Simpson i Frank Rettig zdejmowali żółtą taśmę.

Amelia Sachs, wciąż poruszona wyrazem rozpaczliwej nadziei na twarzy siostrzenicy Adamsa, ponownie obejrzała miejsce, przykła-dając się do pracy jeszcze pilniej niż zwykle.

Sprawdziła pozostałe drzwi i wszystkie prawdopodobne drogi dojazdu i ucieczki sprawcy.

Nie znalazła jednak nic więcej. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz znalazła tak niewiele dowodów w miejscu przestępstwa, z którym wią-zało się tyle komplikacji.

Kiedy spakowała sprzęt, przestawiła się w myślach na sprawę Benjamin Creeleya i zadzwoniła do jego żony, Suzanne, aby ją po-informować, że ktoś się włamał do ich domu w Westchester.

- Nie

miałam o tym pojęcia. Wie pani, co ukradli?

Sachs spotkała się z nią kilka razy. Żona Creeleya była ładna i bardzo szczupła - codziennie biegała - i miała krótkie włosy z ja-snymi pasemkami.

- Nie

zauważyłam, żeby zginęło coś istotnego. - Sachs postanowi-

ła nie wspominać o chłopaku z sąsiedztwa; doszła do wniosku, że udało się jej go skutecznie odstraszyć od występku.

Spytała, czy palono coś w kominku, lecz Suaanne odparła, że ostatnio nikt nie był w domu.

Jak pani sądzi, co tam się mogło stać?

Nie wiem. Ale wersja o samobójstwie wydaje się coraz mniej prawdopodobna. Aha, musi pani wstawić nowy zamek w tylnych drzwiach.

Jeszcze dzisiaj kogoś sprowadzę... dziękuję, detektywie.To dla mnie bardzo ważne, że mi pani uwierzyła. Że Ben nie popełnił samobójstwa.

Zakończywszy rozmowę, Sachs napisała prośbę do laboratorium o analizę popiołu, błota i innych dowodów zabezpieczonych w domu

40

Creeleya, pakując materiał oddzielnie od dowodów sprawy Zegar-mistrza. Następnie wypełniła karty ewidencyjne i pomogła Simpson i Rettigowi załadować sprzęt do furgonetki.

Metalowa sztaba była taka ciężka, że kryminaliści musieli we dwójkę owinąć ją w pla-stik i wtaszczyć do samochodu.

Kiedy zasuwała drzwi furgonetki, spojrzała na drugą stronę uli-cy. Zięb wypłoszył większość gapiów, ale zauważyła jakiegoś mężczy-znę stojącego przed remontowanym budynkiem na Cedar Street niedaleko Chase Plaża i czytającego „Post”.

Coś tu nie gra, pomyślała Sachs. Nikt nie stoi na rogu ulicy i nie czyta gazet w taką pogodę.

Nawet gdyby bardzo interesowały go no-towania giełdowe czy informacje o jakiejś głośnej katastrofie, prze-rzuciłby tylko szybko parę stron, żeby się dowiedzieć, ile zarobił lub stracił, albo jak groźny w skutkach był wypadek kościelnego auto-busu.

Ale nie wystawałoby na wietrze, żeby czytać kronikę towarzyską na szóstej stronie.

Nie widziała mężczyzny zbyt dobrze - był częściowo schowany za gazetą i zwałem gruzu usypanym przez ekipę budowlaną. Zwróciła jednak uwagę na jeden szczegół: jego buty.

Miały protektor, który mógł zostawić charakterystyczne ślady w śniegu u wylotu alejki.

Sachs zastanawiała się, co zrobić. Większość funkcjonariuszy już odjechała. Simpson i Rettig byli uzbrojeni, lecz nie mieli żadnego wyszkolenia taktycznego, a podejrzany znajdował się po drugiej stronie rzędu metalowych barierek metrowej wysokości ustawionych przed zbliżającą się paradą. Gdyby ruszyła w jego stronę z przeciwnej strony ulicy, mógłby bez trudu uciec. Musiała to więc rozegrać w subtelniejszy sposób.

Podeszła do Pułaskiego, szepcząc do niego:

Masz kogoś na godzinie szóstej. Chcę z nim pogadać. Facet z gazetą.

Sprawca? - zapytał.

Nie wiem. Być może. Zrobimy tak. Wsiądę do furgonetki z Nancy i Frankiem, wysadzą mnie na wschodnim rogu. Poradzisz sobie z ręczną skrzynią biegów?

Jasne.

Dala mu kluczyki do swojego jasnoczerwonego camaro.

Pojedziesz Cedar na zachód w stronę Broadwayu, jakieś dziesięć metrów. Potem się zatrzymasz, wysiądziesz, przeskoczysz przez barierki i ruszysz z powrotem.

Żeby go wypłoszyć.

Zgadza się. Jeżeli tylko czyta gazetę, pogadamy z nim, wylegi-tymujemy go i damy mu spokój. Jeżeli nie, to przypuszczam, że się odwróci i wpadnie prosto w moje ramiona. Wtedy zajdziesz go od tyłu i będziesz mnie osłaniał.

Rozumiem.

41

Sachs udała, że obrzuca ulicę ostatnim spojrzeniem, i wsiadła do dużej brązowej furgonetki.

Pochyliła się do przodu.

- Mamy

problem.

Nancy Simpson i Frank Rettig spojrzeli na nią. Simpson rozpięła kurtkę, kładąc dłoń na rękojeści pistoletu.

-

Nie, to niepotrzebne. Powiem wam, o co chodzi. -Wyjaśniła sytuację, po czym zwróciła się do Simpson, która siedziała za kierownicą: - Jedź na wschód. Na światłach skreć w lewo. I zwolnij. Wtedy wyskoczę.

Pułaski wsiadł do camaro, odpalił silnik i nie mógł się oprzeć, by nie dodać gazu, by posłuchać seksownego dudnienia sportowego układu wydechowego.

Nie chcesz, żebyśmy się zatrzymali? - zapytał Rettig.

Nie, po prostu zwolnijcie. Podejrzany musi pomyśleć, że naprawdę odjechałam.

Dobra - odrzekła Simpson. - Nie ma sprawy.

Furgonetka skierowała się na wschód. W bocznym lusterku Sachs zobaczyła, jak Pułaski rusza ~ spokojnie, poradziła mu w myślach; silnik był potężny, a sprzęgło łapało mocno jak rzep. Ale młody posterunkowy, panując nad stadem koni mechanicznych, płynnie pojechał w przeciwną stronę. 1

Kiedy furgonetka skręciła na skrzyżowaniu Cedar i Nassau, Sachs otworzyła drzwi.

-  
Nie zatrzymuj się. Nie zwalnij.  
Simpson posłusznie utrzymywała stałą prędkość.

-  
Powodzenia - zawołała.  
Sachs wyskoczyła.

Kurczę, trochę szybciej, niż zamierzała. Omal się nie potknęła, ale utrzymała równowagę, dziękując w duchu departamentowi usług komunalnych za szczodre posypanie oblodzonych ulic solą. Ruszyła pieszo chodnikiem, zbliżając się od tyłu do mężczyzny z ga-zetą. Nie widział jej.

Dzieliła ją od niego długość kwartału, po chwili pół kwartału. Sachs rozpięła kurtkę, zaciskając dłoń na glocku, który nosiła przy pasku. Około piętnastu metrów za podejrzanym Pułaski zahamował przy krawężniku, wysiadł i niezauważony przez mężczyznę bez tru-du przesadził barierkę. Wzięli go w kleszcze - z jednej strony drogę ucieczki zamykała mu barierka, a z drugiej fasada remontowanego budynku.

Plan był dobry.

Gdyby nie drobny feler.

Po drugiej stronie ulicy stali dwaj uzbrojeni strażnicy przed wej-ściem do budynku Departamentu Rozwoju Mieszkalnictwa i Urba-nistyki. Pomagali wcześniej policji przy organizacji oględzin miej-sca przestępstwa. Jeden z nich spojrzał na Sachs, pomachał do niej i zawołał:

42

- Zapomniała pani czegoś, detektywie?

Cholera jasna. Mężczyzna z gazetą obrócił się na pięcie i zoba-czył ją.

Rzucił gazetę, przeskoczył przez barierkę i sprintem popędził środ-kiem ulicy w kierunku Broadwayu, zostawiając Pułaskiego uwięzione-go po drugiej stronie metalowego ogrodzenia.

Nowy próbował się wy-dostać, ale zahaczył o barierkę nogą i rozciągnął się jak długi na ulicy. Sachs zerknęła na niego, ale gdy się przekonała, że nic mu się nie sta-ło, rzuciła się w pogoń za podejrzanym. Pułaski szybko zerwał się na nogi i dołączył do pościgu za mężczyzną, który miał nad nimi przewagę dziesięciu metrów i powiększał dystans.

Sachs chwyciła walkie-talkie i wcisnęła przycisk nadawania.

Detektyw pięć osiem osiem pięć - wykrztusiła zdyszana. - Prowadzę pieszy pościg za podejrzanym o zabójstwo przy Cedar Street.

Podejrzany biegnie na zachód... teraz na południe w stronę Broadwayu. Potrzebuję wsparcia.

Zrozumiałem, pięć osiem osiem pięć. Wysłałam jednostki w ten rejon.

Zgłosiło się kilka radiowozów, które były w pobliżu i ruszyły na pomoc, by przeciąć uciekinierowi drogę.

Gdy Sachs i Pułaski zbliżali się do Battery Park, mężczyzna nagle stanął, niemal tracąc równowagę. Spojrzał w prawo - na wejście do metra.

Nie, tylko nie to, pomyślała Sachs. Za dużo przypadkowych osób w jednym miejscu.

Nie rób tego...

Obejrzał się przez ramię, a potem pomknął schodami w dół.

Sachs zatrzymała się, wołając do Pułaskiego:

-  
Biegnij za nim. - Złapała oddech. - Jeżeli zacznie strzelać, do-kładnie sprawdź tło. Gdybyś nie

był pewien, w co możesz trafić, lepiej pozwól mu uciec.

Nowy skinął głową z zaniepokojoną miną. Sachs wiedziała, że ni-gdy nie brał udziału w strzelaninie.

Gdzie bę...

Ruszaj! - przerwała mu ostro.

Nowy nabrał powietrza i rzucił się w dalszy pościg. Sachs pod-biegła do wejścia na stację metra, patrząc, jak Pułaski przeska-kuje po trzy stopnie naraz. Potem przecięła ulicę i zatrzymała się kawałek dalej. Wyciągnęła broń, chowając się za kioskiem z gaze-tami.

Zaczęła odliczać. Cztery... trzy... dwa...

Jeden.

Wyszła z ukrycia, odwracając się w kierunku wyjścia z metra do-kładnie w chwili, gdy podejrzany z niego wybiegał. Wycelowała w niego pistolet.

-

Nie ruszaj się.

43

Rozległy się wrzaski przechodniów, którzy rzucali się na ziemię. Na twarzy podejrzanego odmalowała się bezsilna złość, kiedy zdał sobie sprawę, że sztuczka nie wyszła. Sachs domyśliła się, że może wyjść z drugiej strony. Uznała, że jego zaskoczenie na widok wejścia na stację wygląda na udawane. Być może zaplanował ten manewr, od początku kierując się w stronę metra. Mężczyzna ociężałym ge-stem uniósł ręce.

Kładź się, twarzą do ziemi.

Co pani...

Na ziemię! - warknęła.

Rzucił okiem na jej broń i spełnił polecenie. Zdyszana po biegu, : z obolałymi stawami, przycisnęła kolanem jego plecy, żeby nałożyć mu kajdanki. Skrzywił się. Sachs nie zważała na jego ból. Nie miała ochoty na ceregiele.

- Mają podejrzanego. Zatrzymali go na miejscu.

Lincoln Rhyme siedział w laboratorium z mężczyzną, który prze-kazał mu tę ciekawą wiadomość. Dennis Baker, przystojny, solidnie zbudowany mężczyzna, był porucznikiem w kryminalnym - wydzia-le Sellitta - i na polecenie ratusza miał dopilnować, by jak najszyb ciejs zatrzymano Zegarmistrza. To on był jednym z szefów, którzy „nalegali”, żeby Sellitto zatrudnił do sprawy Rhyme'a i Sachs.

Rhyme uniósł brew. Podejrzanego? Przestępcy z różnych powo dów często wracali na miejsce zbrodni i Rhyme był ciekaw, czy Sachs rzeczywiście zatrzymała mordercę.

Baker wrócił do rozmowy telefonicznej i przez chwilę słuchał, ki-wając głową. Porucznik - łudząco podobny do aktora George'a Cloo-neya - reprezentował typ obowiązkowego, pozbawionego poczucia humoru gliny, który świetnie nadawał się do pracy administracyj-nej, lecz był kiepskim kompanem do kieliszka.

Dobrze go mieć po swojej stronie - zapewniał Sellitto tuż przed przyjazdem Bakera z nowojorskiej komendy głównej.

W porządku, ale nie będzie się wtrącał? - spytał wymiętego detektywa Rhyme.

Na pewno nie będzie ci przeszkadzał.

To znaczy?

Chce mieć na koncie jakiś duży sukces i myśli, że mu go zapewnisz. Zostawi ci wolną rękę i udzieli wszelkiej pomocy, jakiej będziesz potrzebował.

To była dobra wiadomość, ponieważ brakowało im ludzi. Często współpracował z nimi inny funkcjonariusz departamentu, Roland Bell, przybysz z Południa. Detektyw, w przeciwieństwie do Rhyme'a, był spokojnym człowiekiem, ale równie świetnie zorganizowanym jak kryminalistyk. Bell wyjechał ze swoimi dwoma synami na urlop do Karoliny Północnej, gdzie jego dziewczyna była szeryfem.

44

Współpracowali także z agentem FBI Fredem Dellrayem, znanym i udziału w akcjach antyterrorystycznych i w tajnych operacjach. Wprawdzie morderstwa, nad jakimi pracowali, nie należały do kategorii przestępstw federalnych, ale Dellray często pomagał Rhyme'owi i Sellittowi w dochodzeniach, umożliwiając im dostęp do środków i danych FBI, bez typowych w takich sytuacjach zabiegów biurokratycznych. Ale federalni mieli właśnie na tapecie śledztwa w sprawie kilku poważnych oszustw podobnych do afery Enronu i Dellray był bez reszty pochłonięty jednym z nich.

Dlatego obecność Bakera - nie wspominając o jego wpływach w Centrali - była dla nich błogosławieństwem. Sellitto odłożył telefon, informując Rhyme'a, że Sachs zaczęła przesłuchiwać podejrzanego, który nie był jednak skłonny do współpracy.

Sellitto siedział obok Mela Coopera, szczupłego technika kryminalistyka, a prywatnie mistrza tańca towarzyskiego. Rhyme bez skrupułów wykorzystywał wybitne zdolności Coopera, nalegając, aby tylko on zajmował się techniczną stroną prowadzonych przez niego spraw, i nie wahał się wzywać go o każdej porze dnia i nocy. Kiedy rano Rhyme zadzwonił

do laboratorium w Queens, technik wahał się przez chwilę, wyjaśniając, że zamierzał zabrać na weekend swoją dziewczynę i jej matkę na Florydę.

A więc masz powód, żeby jak najszybciej do mnie przyjechać, nie sądzisz? - rozwiął jego wątpliwości Rhyme.

Będę za pół godziny,

Cooper siedział przy stole laboratoryjnym, czekając na materiał dowodowy. Dłonią w lateksowej rękawiczce karmił herbatnikami Jacksona; pies leżał zwinięty u jego stóp.

- Nie

będę zadowolony, jeżeli zanieczyścisz mi dowody psią sierścią - burknął Rhyme.

- Jest

śliczny - oświadczył Cooper, zmieniając rękawiczki.

Kryminalistyk chrząknął. Słowa „śliczny” próżno by szukać w słowniku Lincolna Rhyme'a.

Znów zabrzączała komórka Sellitta. Detektyw odebrał telefon i po chwili się rozłączył.

-

To w sprawie ofiary z pirsu - straż przybrzeżna i nasi nurkowie nie znaleźli jeszcze żadnego ciała. Ciągłe sprawdzają zgłoszenia o zaginionych.

W tym momencie przyjechała furgonetka kryminalistów 1 Thom

pomógł funkcjonariuszowi wnieść dowody z miejsc, które przeszukała Sachs.

Najwyższy czas...

Baker i Cooper wtaszczyli ciężką metalową sztabę owiniętą w plastik.

Broń, którą zamordowano mężczyznę na ulicze.

Funkcjonariusz przekazał im karty ewidencyjne i Cooper złożył na nich podpis. Policjant pożegnał się, lecz Rhyme nie odpowie-45

dział. Patrzył na dowody. Nie mógł się doczekać takich chwil. Wypadek go unieruchomił, ale nie zdołał zabić w nim pasji - bliskiej zależności - z jaką stawał do pojedynku z przestępcami. Dziś toczył tę walkę w laboratorium.

Ogarniała go gorączkowa niecierpliwość.

I poczucie winy.

Bo jego radość zawsze była okupiona czyjąś stratą: jej ceną było życie ofiary na pirsie i Theodore'a Adamsa, a także rozpacz ich rodzin i przyjaciół. Oczywiście, bardzo im współczuł, ale potrafił odsunąć od siebie świadomość tragedii. Niektórzy uważali go za zimnego i nieczułego człowieka, a Rhyme przypuszczał, że mają rację. Ale każdy, kto osiąga znakomite wyniki w jakiejś dziedzinie, zawdzięcza swoje sukcesy temu, że spotykają się w nim całkowicie różne cechy. U Rhyme'a błyskotliwość umysłu, determinacja i niecierpliwość szły w parze z emocjonalnym dystansem, koniecznym dla kryminalistyka.

Kiedy wpatrywał się w pudła spod zmrużonych powiek, zjawił się Ron Pułaski. Rhyme poznał go, kiedy młody człowiek dopiero zaczyna! służbę w policji. Mimo że od tamtej chwili minął już rok - a Pułaski miał żonę i dwoje dzieci - Rhyme wciąż nazywał go w myślach „nowy”. Niektóre przydomki potrafią przylgnąć do człowieka na stałe, Wiem, że Amelia kogoś zatrzymała - oznajmił Rhyme. - Gdyby się jednak okazało, że to nie sprawca, nie chcę tracić czasu. - Zwró-

cił się do Pułaskiego. - Opisz mi teren. Pierwszego miejsca, pirsu.

Dobrze - odparł niepewnie. - Pirs znajduje się mniej więcej przy Dwudziestej Drugiej nad Hudsonem. Wychodzi nad rzekę na odległość około piętnastu metrów i jest na wysokości około pięciu metrów nad powierzchnią wody. Morderstwo...

A więc znaleziono ciało?

Nie sądzę.

W takim razie masz na myśli domniemane morderstwo?

Zgadza się. Tak jest. Domniemane morderstwo popełniono na końcu pirsu, ściślej mówiąc na zachodnim końcu, między godziną osiemnastą wczoraj a szóstą rano dzisiaj. Przystań była wtedy nieczynna.

Dowodów było niewiele: kawałek paznokcia, prawdopodobnie należącego do mężczyzny, i krew, którą zbadał Mel Cooper i ustalił, że jest grupy AB, czyli że w osoczu ofiary znajdowały się antygeny A i B - proteiny - a nie występowały w niej aglutyniny skierowane przeciwko tym antygenom. We krwi stwierdził także obecność jeszcze jednej proteiny, Rh.

Kombinacja antygenów A i B oraz dodatniego Rh oznaczała, że ofiara miała trzecią pod względem rzadkości grupę krwi występującą u około 3,5 procent populacji. Dalsze testy potwierdziły przypuszczenie, że ofiarą był mężczyzna.

Doszli także do wniosku, że prawdopodobnie był starszy i miał chorobę wieńcową, ponieważ przyjmował środek zapobiegający

46

krzepnięciu krwi. Nie znaleźli śladów innych leków ani oznak infekcji czy schorzeń.

Na miejscu przestępstwa nie było odcisków paków, mikrośladów ani odcisków butów, a w

pobliżu żadnych śladów opon z wyjątkiem pozostawionych przez samochody pracowników.

Sachs zabrała fragment ogrodzenia, który Cooper dokładnie obejrzał, przekonując się, że sprawca przypuszczalnie przeciął je zwykłymi nożycami do drutu. Zespół mógłby zidentyfikować narzędzie, gdyby zostało znalezione, lecz tylko na podstawie śladów cięcia nie sposób było określić, skąd nożyce mogły pochodzić.

Rhyme obejrzał zdjęcia miejsca, zwracając baczna uwagę na kształt kałuży krwi na pirsie.

Przypuszczał, że ofiara wisiała na skraj-pomostu, opierając się o niego klatką piersiową i trzymając się palcami wciśniętymi w szpary między deskami. Ślady paznokci do-wodziły, że w końcu mężczyzna stracił siły i puścił. Rhyme zastana-wiał się, jak długo wytrzymał.

Wolno pokiwał głową.

Opowiedz o drugim miejscu.

Zabójstwo zostało popełnione na uliczce przy Cedar Street, niedaleko Broadwayu - zaczął Pułaski. - Z drugiej strony nie ma wyjazdu. Uliczka ma cztery i pół metra szerokości i trzydzieści dwa długości, jest wyłożona brukiem.

Rhyme przypomniał sobie, że ciało leżało niecałych pięć metrów od wylotu uliczki.

Kiedy nastąpiła śmierć?

Według lekarza z biura koronera co najmniej osiem godzin przed znalezieniem ofiary. Ciało było zamrożone na kość, więc precyzyjne ustalenie godziny śmierci wymaga czasu. - Młody funkcjonariusz miał, niestety, tendencję do nadużywania urzędowego języka policji.

Amelia mówiła o drzwiach przeciwpożarowych i wejściach służ-

bowych prowadzących bezpośrednio z uliczki. Ktoś się dowiadywał, o której je zamykają na noc?

Trzy budynki są handlowe. W dwóch z nich wejścia służbowe zamyka się o dwudziestej trzydzieści, w trzecim o dwudziestej drugiej. W czwartym budynku są biura administracji. Tam drzwi zamyka się o osiemnastej. O dwudziestej drugiej wywożą śmieci.

O której znaleziono ciało?

Około siódmej rano.

Dobra, ofiara na uliczce nie żyła od co najmniej ośmiu godzin, ostatnie drzwi zamykają o dziesiątej, a potem wywożą śmieci. Czyli morderstwo popełniono powiedzmy między dwudziestą drugą piętnaście a dwudziestą trzecią. Co wiemy o samochodach w okolicy?

Mam numery rejestracyjne wszystkich aut zaparkowanych w promieniu dwóch kwartałów. - Pułaski pokazał opasły notes.

-

Co to jest, do cholery?

47

Zrobiłem notatki o każdym wozie. Pomyślałem, że mogą się przydać. Informacje o miejscu parkowania, o różnych podejrzanych szczegółach i tak dalej.

Strata czasu. Potrzebne nam tylko numery rejestracyjne, żeby znać nazwiska i adresy - wyjaśni! Rhyme. -Trzeba porównać dane z wydziału komunikacji z danymi w NCIC i innych bazach. Nie obchodzi nas, który samochód ma pogiętą karoserię, łysy opony ani czy na tylnym siedzeniu leży fajka do palenia cracku... Zrobiłeś to?

-Co?

Sprawdziłeś numery?



Jeszcze nie.

Cooper zaczął szukać w sieci, ale nie znalazł informacji o żadnych nakazach wydanych na nazwiska zarejestrowanych właścicieli samochodów. Na polecenie Rhyme'a sprawdził też, czy w okolicy wystawiono jakiś mandat za nieprzepisowe parkowanie w porze popełnienia morderstwa. Nie wystawiono.

-

Mel, zobacz, czy znajdziesz coś o ofierze. Nakazy? Coś więcej?

Na nazwisko Theodore'a Adamsa nie wydano żadnego nakazu, a Pułaski zrelacjonował to, co mówiła o nim siostra - że prawdopodobnie nie miał żadnych wrogów ani problemów w życiu, które mogłyby doprowadzić do morderstwa.

-

Tylko dlaczego akurat te ofiary? - zastanawiał się Rhyme.

- Wybrał je przypadkowo? Wiem, że Dellray jest zajęty, ale to ważne. Zadzwoń do niego i poproś, żeby prześwietlił [ego Adamsa. Może federalni coś na niego mają.

Sellitto zadzwonił do FBI i został połączony z Dellrayem - który był w złym humorze z powodu „pieprzonego bagna”, jak nazwał prowadzoną przez siebie sprawę oszustwa finansowego. Mimo to przejrzał federalne bazy danych i akta otwartych dochodzeń. Nigdzie jednak nie figurowało nazwisko Theodore'a Adamsa.

-

No dobrze, dopóki czegoś nie znajdziemy, na razie założmy, że to szaleniec, który wybrał ofiary zupełnie przypadkowo - oznajmi!

Rhyme. Spojrzał na zdjęcia. - Gdzie do cholery są te zegary?

Telefon do pirotechników wyjaśnił, że zegary, w których nie wykryto żadnych toksyn ani zagrożenia biologicznego, są już w drodze do Rhyme'a.

Gotówka w klipsie z imitacji złota wyglądała na świeżo wyjętą z bankomatu. Banknoty były czyste, ale na klipsie Cooper znalazł wyraźne odciski palców. Niestety, na podstawie IAFIS -

należącego do FBI zintegrowanego systemu informacji daktyloskopijnej - nie udało mu się ich zidentyfikować. Wynik badania kilku odcisków zdjętych z pieniędzy, które Adams miał w kieszeni, był także negatywny, a według danych Departamentu Skarbu banknoty o tych numerach seryjnych nie zostały użyte w operacjach prania brudnych pieniędzy ani innych przestępstwach.

- Piasek? - spytał Rhyme, mając na myśli środek maskujący. 48

- Zwykły - zawołał w odpowiedzi Cooper, nie odrywając oczu od mikroskopu. - Można go znaleźć raczej na placach zabaw niż na budowach. Zobaczę, czy nie ma w nim innych śladów.

Sachs mówiła, że na piersie nie było piasku. Dlatego, że sprawca, jak podejrzewała Sachs, zamierzał wrócić na uliczkę? A może po prostu nie musiał nic rozsypywać na piersie, gdzie wiatr znad Hudsonu i tak zdmuchnąłby wszystkie ślady?

Co z łącznikiem? - zapytał Rhyme.

Z czym?

Z tą sztabą, która zmiażdżyła szyję ofierze. To jest łącznik oczkowy. - Rhyme analizował kiedyś materiały budowlane w mie-

ście, ponieważ przestępcy często pozbywali się ciał, podrzucając je na budowach. Cooper i Sellitto zważyli metalową sztabę - ważyła trzydzieści siedem kilogramów - a potem położyli ją na

stole. Łącznik miał metr osiemdziesiąt długości, grubość trzech i szerokość ośmiu centymetrów. Na każdym końcu był wywiercony otwór. - Takie płaskowniki wykorzystuje się głównie do budowy okrętów, cięż-

kiego sprzętu, dźwigów i mostów.

To chyba najcięższe narzędzie morderstwa, jakie w życiu widziałem - powiedział Cooper.

Cięższe od chevroleta suburba? - spytał Lincoln Rhyme, dla którego najważniejsza była precyzja. Miał na myśli sprawę pewnej kobiety, która przed kilkoma miesiącami na Trzeciej Alei przejechała dużym samochodem terenowym swojego męża, uganiającego się za spódniczkami.

Ach, to... niewierny! - zanucił Cooper piskliwym tenorem. Potem przystąpił do badania łącznika, ale nie znalazł na nim żadnych odcisków palców. Spiłował kilka drobin metalu. - Pewnie żelazo. Widzę ślady oksydacji. - Analiza chemiczna potwierdziła jego przy-puszczenia.

Żadnych cech umożliwiających ustalenie miejsca pochodzenia?

Żadnych.

Rhyme skrzywił usta.

No to mamy problem. W samym metrze musi być z pięćdziesiąt miejsc, skąd... zaraz. Amelia mówiła, że niedaleko była jakaś budowa...

Aha - odezwał się Pułaski. - Kazała mi sprawdzić, ale nie używali tam takich metalowych sztab. Zapomniałem o tym powiedzieć.

Zapomniałeś - mruknął Rhyme. - No dobrze, wiemy, że w mie-

ście prowadzi się duże prace na moście Queensboro. Spróbujmy tam. Zadzwoń do ekipy na Queensboro - zwrócił się do Pułaskiego

~ i dowiedz się, czy używają tam takich łączników, a jeżeli tak, to czy Jakichś nie brakuje.

Nowy skinął głową i wyciągnął telefon komórkowy. Cooper uniósł wzrok znad piasku.

49

Mam tu coś. Siarczan talu.

Co to jest? - spytał Sellitto.

Trutka na szczury - odparł Rhyme. -W kraju jest zakazana, ale czasem można ją znaleźć w okolicach zamieszkałych przez imigran-tów albo w budynkach, gdzie pracują imigranci. Jakie stężenie?

-Duże... w porównawczych próbkach gleby zebranych przez Amelię nie ma śladu. Czyli prawdopodobnie pochodzi z miejsca, w którym był sprawca.

- Może zamierza tym kogoś zabić - podsunął Pułaski, czekając z telefonem przy uchu.

Rhyme pokręcił głową.

- Mało prawdopodobne. Trudno zaaplikować ten środek, a dla człowieka potrzebna jest bardzo duża dawka. Ale ten trop może nas do niego doprowadzić. Sprawdźmy, czy w mieście były ostatnio jakieś konfiskaty albo skargi w wydziale ochrony środowiska.

Cooper zaczął dzwonić.

-

Obejrzyjmy sobie teraz taśmę izolacyjną - zakomenderował

Rhyme.

Technik zbadał prostokątne kawałki lśniącej szarej taśmy, który-mi skrupowano ręce i nogi ofiary oraz zaklejono jej usta. Oznajmił, że to zwykła taśma, którą sprzedaje się w tysiącach rolek w sklepach ze sprzętem gospodarstwa domowego, drogeriach i sklepach spożywczych w całym kraju.

Oglądając lepką stronę taśmy, znalazł zaledwie kilka ziaren soli do usuwania lodu, które pasowały do próbek zebranych przez Sachs w okolicy alejki, a także drobiny piasku rozsypanego przez Zegarmistrza w celu usunięcia śladów.

Rozczarowany małą przydatnością taśmy, Rhyme zaczął oglądać zrobione przez Sachs fotografie ciała Adamsa. Następnie podjechał bliżej stołu laboratoryjnego, uważnie wpatrując się w ekran.

Popatrz na brzegi taśmy.

Ciekawe - rzekł Cooper, odrywając wzrok od cyfrowych zdjęć i patrząc na taśmę.

Z zaskoczeniem zauważyli, że kawałki taśmy zostały ucięte z nie-zwykłą precyzją i bardzo starannie naklejone. Zwykle sprawcy rwała taśmę w pośpiechu, czasem nawet własnymi zębami (zostawiając na niej w prezencje DNA w postaci śliny), i okręcali nią byle jak ręce, nogi i usta ofiary. Zegarmistrz pociął taśmę równiutko jakimś ostrym narzędziem. Jej odcinki miały identyczną długość.

Ron Pułaski odłożył słuchawkę i oznajmił:

-

W pracach, jakie teraz odbywają się na moście, nie używają łączników oczkowych. Cóż, Rhyme nie spodziewał się prostych odpowiedzi.

-

A sznur, który ofiara trzymała w rękach?

Cooper obejrzał go, poszperał w bazach danych. Po chwili pokręcił głową.

- Zwykły.

50

Rhyme wskazał głową kilka białych tablic ustawionych w kącie laboratorium.

Trzeba zacząć listę. Ron, masz czytelny charakter pisma?

Dość czytelny.

Więcej nam nie trzeba. Pisz.

Prowadząc sprawy, Rhyme spisywał wszystkie dowody i fakty na tablicach. To były jego kryształowe kule; wpatrując się w słowa, zdjęcia i rysunki, usiłował zrozumieć, kim może być sprawca, gdzie się ukrywa i gdzie zaatakuje następnym razem. Kiedy Lincoln Rhyme patrzył na tablice, wpadał w stan bliski medytacji.

- W

na główku napisz jego pseudonim, skoro był tak uprzejmy i zawiadomił nas, jak chce być nazywany.

Gdy Pułaski pisał pod dyktando Rhyme'a, Cooper wziął próbkę z odrobiną ziemi.

Obejrzał ją pod mikroskopem ustawionym na czterokrotne powiększenie (zasada numer jeden korzystania z mikroskopów optycznych mówiła, by zaczynać od małych powiększeń; jeżeli zacnie się od dużego, badacz ujrzy tylko ciekawe, lecz z punktu widzenia kryminalistyki mało użyteczne abstrakcyjne wzory).

- Wygląda na zasadową glebę. Zobaczę, co w niej jeszcze jest.

- Przygotował próbkę do analizy w chromatografie sprzężonym ze spektrografem masowym - dużym urządzeniu, które rozdziela i identyfikuje substancje chemiczne w mikrośladach.

Gdy wyniki były gotowe, Cooper spojrział na ekran komputera i oznajmił:

- No

więc mamy oleje, azot, mocznik, chlorek... i białko. Sprawdzę profil. - Po chwili komputer

wyświetlił dodatkową informację.

- Białko rybie.

-

Czyli sprawca prawdopodobnie pracuje w restauracji rybnej

- powiedział z entuzjazmem w głosie Pułaski. - Albo na straganie rybnym w Chinatown. Zaraz, a może na stoisku z rybami w sklepie.

Ron - rzekł do niego Rhyme - słyszałeś kiedyś, jak ktoś w pu-blicznym przemówieniu mówi: „zanim zacznę, chciałbym coś powiedzieć”?

Hm. Chyba tak.

To trochę dziwna uwaga, bo jeżeli mówi, to znaczy, że już za-czął.

Pułaski uniósł brew.

- Chcę przez to powiedzieć, że w analizie dowodów musisz coś zrobić, zanim zaczniesz.

-Co?

-Dowiedzieć się, skąd pochodzi dowód. Gdzie Sachs pobrała próbkę gleby z rybim białkiem?

Nowy zerknął na kartkę z opisem. -Ach.

-

Ach, to znaczy gdzie?

- Z

wewnętrznej strony kurtki ofiary.

51

A więc o kim mówi nam coś ten dowód?

O ofierze, nie sprawcy.

Otóż to! Czy przyda się nam informacja, że dowód znalazł się wewnątrz kurtki, a nie na zewnątrz? Kto wie? Być może. Ważne jednak, żebyśmy nie wysyłali pochopnie brygady specjalnej do każdego handlarza ryb w mieście. Uspokoiła cię moja teoria, Ron?

Uspokoiła.

Niezmiernie się cieszę. Zapisz ziemię z rybim białkiem w profilu ofiary i bierzmy się do pracy, zgoda? Kiedy dostaniemy raport od koronera?

To pewnie trochę potrwa - odezwał się Cooper. - Idą święta.

- Wśród nocnej ciszy morderca chodzi... - zanucił Sellitto.

Pułaski zmarszczył brwi. Rhyme wyjaśnił mu:

Najwięcej morderstw w roku popełnia się w czasie upałów i w okresie świąt. Zapamiętaj, Ron: to nie stres zabija ludzi; to ludzie zabijają ludzi - ale robią to pod wpływem stresu.

Mam jakieś włókna, brązowe - rzekł Cooper. Zerknął na notatkę dołączoną do torebki. - Z obcasa ofiary i paska jej zegarka.

Co to za włókna?

Cooper dokładnie je zbadał i zajrzał do bazy danych federal-nych.

Zdaje się, że pochodzą z samochodu.

Logiczne, że musiał mieć wóz - trudno taszczyć trzydziestosied-miokilogramową żelazną sztabę metrem. Czyli nasz Zegarmistrz zaparkował przed wylotem uliczki i zawłókł ofiarę na miejsce. Co mo-

żemy powiedzieć o samochodzie?

Okazało się, że niewiele. Włókno pochodziło z wykładziny, jaką można znaleźć w ponad

czterdziestu modelach furgonetek i aut te-renowych. Nie było też śladów opon, ponieważ część uliczki, gdzie zaparkował, posypano solą, która uniemożliwiła kontakt kół z brukiem.

- A

więc w kwestii samochodowej mamy zero informacji. Obejrzyjmy sobie jego liścik miłosny.

Cooper wyciągnął białą kartkę z plastikowej koperty.

Zimny Księżyc stoi w pełni, w jego blasku ziemi trup. Czas wędrówki się dopełnił, drogi kres wyznacza grób.

ZEGARMISTRZ

To dziś? - spytał Rhyme.

Co dziś? - zdziwił się Pułaski, jak gdyby coś przegapił.

Pełnia. Na pewno dzisiaj.

Pułaski zajrzał do „New York Timesa”.

- Zgadza

się. Pełnia.

52

I

- Dlaczego

napisał Zimny Księżyc dużą literą? - zapytał Dennis Baker.

Cooper poszperał w Internecie.

- No

więc to jest nazwa miesiąca w kalendarzu księżycowym...

My używamy kalendarza słonecznego, w którym w roku jest trzysta sześćdziesiąt pięć dni. Kalendarz księżycowy odmierza czas od nowiu do nowiu. Nazwy miesiące opisują cykl naszego życia, od narodzin do śmierci. Pochodzą od ważnych etapów w roku: wiosną jest Truskawkowy Księżyc, jesienią Księżyc Żniwny i Księżyc Myśliwego. Zimny Księżyc wypada w grudniu, miesiącu snu zimowego i śmierci.

Jak Rhyme zdążył się przekonać, mordercy powołujący się na księżyc albo motywy astrologiczne często okazywali się zbrodniarzami se-ryjnymi. W literaturze nieraz pojawiały się twierdzenia, że ludzie na-prawdę popełniają przestępstwa pod wpływem księżyca, lecz Rhyme sądził, że to tylko sugestia - podobnie jak w wypadku wzrostu liczby zgłoszonych uprowadzeń przez kosmitów tuż po premierze „Bliskich spotkań trzeciego stopnia” Stevena Spielberga.

- Sprawdź w bazach danych „Zegarmistrza” razem z „Zimnym Księżycem”. I innymi księżycowymi miesiącami.

Dziesięciominutowe przeszukiwanie baz VICAP, federalnego programu ścigania przestępstw przeciwko życiu i zdrowiu, oraz krajowego centrum informacji kryminalistycznej NCIC nie przyniosło żadnych rezultatów.

Rhyme poprosił Coopera o ustalenie, skąd pochodzi wiersz, ale technik nie znalazł niczego, co przynajmniej brzmiało podobnie, w żadnej z kilkudziesięciu witryn poświęconych poezji.

Cooper za-dzwonił do profesora literatury z Uniwersytetu Nowego Jorku, który czasami im pomagał. Naukowiec nigdy nie słyszał o tym utworze. Wszystko wskazywało więc na to, że albo wiersz był zbyt mało znany, by znalazła go wyszukiwarka, albo był dziełem Zegarmistrza.

- Jeżeli chodzi o sam list - powiedział Cooper - to został napisany na zwykłym papierze do drukarek komputerowych. Toner Hewlett-Packard LaserJet, nic charakterystycznego.

Rhyme pokręcił głową, zawiedziony zupełnym brakiem tropów. Jeżeli Zegarmistrz rzeczywiście był seryjnym zabójcą, mógł w tym momencie śledzić lub już mordować kolejną ofiarę.

Chwilę później weszła Amelia Sachs, ściągając kurtkę. Została przedstawiona Dennisowi Bakerowi, który wyraził radość z powodu jej udziału w sprawie, zapewniając ją, że cieszy się doskonałą opinią w departamencie. Z nieco uwodzicielskim uśmiechem podał jej rękę (zauważyła, że porucznik nie nosi obrączki), a Sachs energicznie ją uścisnęła. Dla niej było to zwykłe spotkanie dwojga funkcjonariuszy na służbie.

Rhyme streścił jej dotychczasowe wnioski, jakie wyciągnęli na Podstawie dowodów.

Niewiele - mruknęła. - Niezły jest.

Co z tym podejrzanym? - zapytał Baker.

Sachs wskazała na drzwi.

- Za

chwilę tu będzie. Zwiął, kiedy próbowaliśmy do niego podejść, ale nie sądzę, żeby to był on. Prześwieciłam go. Żonaty, pracuje w tej samej firmie od pięciu lat, żadnych nakazów. Przypuszczam, że nawet by tego nie udźwignął - dodała, wskazując na żelazną sztabę.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Dwaj umundurowani funkcjonariusze wprowadzili mężczyznę w kajdankach, który wyglądał na bardzo niezadowolonego. Trzydziestokilkuletni, szczupły Ari Cobb był typowo przystojny jak setki innych biznesmenów. Miał na sobie gustowny, prawdopodobnie kaszmirowy garnitur, choć poplamiony śnieżną mazią z ulicy, którą zapewne ubrudził się podczas aresztowania.

Co pan ma do powiedzenia? - spytał szorstko Sełitto.

Jak już jej mówiłem - odparł, obojętnym ruchem głowy wskazując Sachs - wczoraj wieczorem szedłem na stację metra na Cedar Street i zgubiłem pieniądze. Właśnie te. - Pokazał banknoty i złożony klips. - Dzisiaj rano zorientowałem się, co się stało, i wróciłem,

żeby ich poszukać. Na miejscu zobaczyłem policję. Nie wiem, po prostu nie chciałem się do niczego mieszać. Jestem maklerem. Moi klienci są bardzo wrażliwi na punkcie dyskrecji. Mógłbym popsuć sobie interesy. - Dopiero teraz zauważył, że Rhyme jest na wózku.

Zamrugnął oczami, ale szybko otrząsnął się ze zdziwienia, znów przybierając minę pełną oburzenia.

Przeszukawszy jego ubranie, nie znaleźli żadnego ziarnka piasku ani śladu krwi i innych materiałów, które mogłyby wskazywać na je-go związek z zabójstwami. Podobnie jak Sachs, Rhyme wątpił, żeby to był Zegarmistrz, ale biorąc pod uwagę kaliber przestępstw, nie zamierzał niczego zaniedbywać.

-

Zdejmij mu odciski - polecił Cooperowi.

Technik zrobił to i zobaczył, że ślady linii papilarnych na klip-sie należały do Cobba. Według ewidencji wydziału komunikacji Cobb nie miał samochodu, a z danych wydawców jego kart kredytowych wynikało, że ostatnio nie płacił nimi za wynajem żadnego auta.

- Kiedy

zgubił pan te pieniądze? - zapytał Sełitto.

Cobb wyjaśnił, że wyszedł z pracy około wpół do ósmej wieczorem. Wypił parę drinków ze znajomymi, a potem ruszył do metra. Pamiętał, że idąc Cedar Street, wyciągał z kieszeni kartę do metra i prawdopodobnie wtedy wypadł mu z kieszeni klips z banknotami. Zszedł na stację i wrócił

do mieszkania na Upper East Side około m dwudziestej pierwszej czterdzieści pięć. Jego żona wyjechała służ- jbowo, więc poszedł do baru w pobliżu swego budynku, gdzie zjadł kolację. Do domu wrócił około jedenastej.

54

Sełlitto zaczął dzwonić, by sprawazic wjojJ6vw

”

ści. Nocny strażnik w biurze pamiętał, że Cobb wyszedł o wpół do ósmej, pokwitowanie płatności kartą w barze na Water Street nie pozostawiało wątpliwości, że był tam około dziewiętej, a portier w budynku i sąsiad potwierdzili, że wrócił do mieszkania o podanej godzinie. Wydawało się niemożliwe, że między dwudziestą pierwszą piętnaście a dwudziestą trzecią mógł uprowadzić dwie ofiary, zabić jedną na pirsie, a potem zorganizować morderstwo Theodore'a Adamsa na uliczce.

Prowadzimy śledztwo w bardzo poważnej sprawie - powiedział

Sełlitto. - Wydarzyło się niedaleko miejsca, w którym pan wczoraj był. Zauważył pan coś, co mogłoby nam pomóc?

Nie, nic nie widziałem. Przysięgam, że pomógłbym, gdybym tylko potrafił.

Morderca może znowu zaatakować.

Przykro mi to słyszeć - odparł tonem, który sugerował coś zu-pełnie innego. - Ale wpadłem w panikę. To nie jest przestępstwo.

Sełlitto zerknął na eskortę.

- Wyprowadźcie go na chwilę.

Po wyjściu Cobba Baker mruknął:

- Strata

czasu.

Sachs przecząco pokręciła głową.

- Coś wie. Mam przeczucie.

Rhyme zawsze oddawał Sachs pole w sprawach dotyczących, jak mawiał, „ludzkiej” strony policyjnej roboty - świadków, psychologii i - uchowaj Boże - przeczuc.

No dobrze - rzekł. - Ale co zrobimy z twoim przeczuciem?

Zamiast Sachs odpowiedział mu Lon Sełlitto.

Mam pomysł.

Detektyw rozpiął marynarkę, ukazując niemiłosiernie wymiętą koszulę, i wyciągnął telefon komórkowy.

Rozdział 6

V

incent Reynolds maszerował zimnymi ulicami skąpanej w błękit-nym świetle, pustej części dzielnicy SoHo na wschód od Broad-wayu, kilka przecznic od eleganckich restauracji i butików. Piętna-ście metrów przed nim szła kwiaciarka - Joannę, kobieta, która niebawem miała należeć do niego.

Nie odrywał od niej wzroku, czując silny, przenikający na wskroś głód, równie dojmujący jak tamtego wieczoru, gdy poznał Geralda Duncana. Spotkanie okazało się niezwykle ważnym wydarzeniem w życiu Vincenta Reynoldsa.

Po zejściu z Sally Annę-gdy Vincent przestał nad sobą panować i został aresztowany -

powiedział sobie, że musi być mądrzejszy. Po-stanowił wkładać kominiarkę, zachodzić kobiety

od tyłu, żeby nie mogły go zobaczyć, używać prezerwatyw (które zresztą pomagały mu zwolnić), nigdy nie polować w pobliżu domu, zmieniać techniki i teren ataków. Musiał

starannie planować każdy gwałt i być gotów do odwrotu w wypadku zagrożenia.

Tak przynajmniej wyglądała teoria. Ale w zeszłym roku coraz trudniej było mu panować nad głodem. Ulegał impulsowi i, widząc na ulicy samotną kobietę, myślał: muszę ją mieć, natychmiast! Nic mnie nie obchodzi, czy ktoś mnie zobaczy.

Wszystko przez głód.

Dwa tygodnie wcześniej siedział przy czekoladowym cieście i coli w knajpce przy tej samej ulicy, gdzie mieściło się biuro, w którym dorywczo pracował. Zerkał na nową kelnerkę. Miała szczupłą figurę, okrągłą twarz i kręcone złote włosy. Kiedy spojrzał na niebieską bluzeczkę ciasno opinającą jej ciało i dwa rozpięte guziki, jego du-sza zawyła z głodu.

Kelnerka uśmiechnęła się do niego, kładąc na stoliku rachunek. Wtedy postanowił, że musi ją mieć. Zaraz, natychmiast.

Usłyszał, jak dziewczyna mówi szefowi, że idzie na dwór na pa-pierosa. Vincent zapłacił, wyszedł i skierował się do alejki między budynkami. Zobaczył kelnerkę, która stała ubrana w kurtkę, opiera-jąc się o mur i nie patrząc w jego stronę. Było późno - Vincent wołał

56

zmiany od trzeciej po południu do jedenastej wieczorem - i choć po ulicy kręcili się jeszcze jacyś przechodnie, na uliczce było zupełnie pusto. Czuł przenikliwy chłód i wiedział, że bruk będzie jeszcze zim-niejszy, ale w ogóle się tym nie przejmował; ogrzeje się jej ciałem. W tym momencie czyjś głos szepnął mu do ucha:

- Zaczekaj  
pięć minut.

Vincent wzdrygnął się i odwrócił. Ujrzał szczupłego pięćdziesię-ciokiluletniego mężczyznę o okrągłej twarzy, na której malował się spokój. Nieznajomy patrzył przez ramię Vincenta w alejkę.

-Co?

Zaczekaj.

Kim jesteś? - Vincent właściwie się nie bał - był o kilka centymetrów wyższy i cięższy o co najmniej dwadzieścia kilogramów - ale w upiornie niebieskich oczach mężczyzny było coś budzącego grozę.

Nieważne. Udawaj, że rozmawiasz ze znajomym.

Pierdolę to. - Czując, jak wali mu serce i drżą dłonie, Vincent zaczął się oddalać.

Zaczekaj - powtórzył cicho mężczyzna. Jego głos miał niemal hipnotyczną moc.

Gwałtciciel posłusznie się zatrzymał.

Minutę później zobaczył, jak z tyłu budynku obok restauracji otwierają się drzwi wychodzące na alejkę. Kelnerka podeszła tam i zaczęła rozmawiać z dwoma mężczyznami. Jeden był w garniturze, a drugi w mundurze policyjnym.

Jeżu - szepnął Vincent.

To zasadzka - rzekł nieznajomy. - Kelnerka jest gliną. Podejrzewam, że właściciel przyjmuje w lokalu nielegalne zakłady. Zasta-wiają na niego pułapkę.

Vincent szybko doszedł do siebie.

No i co z tego? To nie ma nic wspólnego ze mną.

Gdybyś zrobił to, co zamierzałeś, miałbyś już na rękach kajdanki. Albo kulę w głowie.



Co zamierzałem? - spytał Vincent z miną niewiniątka. - Nie wiem, o czym mówisz. W odpowiedzi nieznajomy uśmiechnął się i dał Vincentowi znak, żeby wyszedł na ulicę.

- Mieszkasz

tu?

Po chwili milczenia Vincent odparł:

-

W New Jersey.

Pracujesz w mieście?

-Tak.

Dobrze znasz Manhattan?

~ Nieźle.

Mężczyzna skinął głową, mierząc Vincenta badawczym spojrzeniem. Przedstawił się jako Gerald Duncan i zaproponował mu, żeby poszli pogadać w jakimś ciepłym miejscu. Wstąpili do knajpki trzy

57

przecznice dalej, gdzie Duncan zamówił kawę, a Vincent jeszcze jedną porcję ciasta i napój.

Rozmawiali o pogodzie, o budżecie miejskim, o nocnym życiu dolnego Manhattanu.

Nagle Duncan rzekł:

Mam pewną myśl, Vincent. Jeżeli chciałbyś trochę popracować, szukam kogoś, kto niezbyt przejmuje się prawem. Przy okazji miałbyś okazję

zająć się swoim... hobby. - Ruchem głowy wskazał alejkę.

Mówisz o zbieraniu komedii z lat siedemdziesiątych? - spytał

Vincent Mądrala.

Duncan znów się uśmiechnął, a Vincent uznał, że chyba go polubił.

Co miałbym robić?

Byłem w Nowym Jorku tylko kilka razy. Potrzebuję kogoś, kt(

zna ulice, linie metra, dzielnice, komunikację... kto wie co niecc o pracy policji. O szczegółach porozmawiamy później.

Hmm.

-

W jakiej branży pracujesz? - zapytał Vincent.

-

Jestem biznesmenem. Tyle na razie wystarczy.

Hmm.

Vincent powiedział sobie, że lepiej wyjść. Ale uwaga o jego hol by zabrzmiała bardzo nęcąco.

Wszystko, co mogłoby mu pomóc za-spokoić głód, było warte rozważenia, nawet gdyby miało się wiązać z ryzykiem. Rozmawiali jeszcze pół godziny, dzieląc się pewnymi informacjami i zatajając inne. Duncan wyjaśnił, że jego hobby to ko lekcjonerstwo zabytkowych zegarów, które sam naprawia. Kilka na-wet samodzielnie skonstruował.

Kończąc czwarty tego dnia deser, Vincent spytał:

- Skąd wiedziałeś, że kelnerka jest glina?

Duncan zastanawiał się przez chwilę, po czym odparł:

- Obserwowałem kogoś w restauracji. Człowieka, który siedział

przy końcu baru. Pamiętasz go? W ciemnym garniturze.

Vincent przytaknął.

Śledzę go od miesiąca. Zamierzam go zabić.

Vincent uśmiechnął się.

Żartujesz.

Prawie nigdy nie żartuję.

I Vincent przekonał się, że to prawda. Nie było Geralda Mądrali. Ani Geralda Głodomora.

Istniał tylko jeden: Spokojny i Skrupulat-ny Gerald, który tamtego wieczoru beznamiętnym tonem wspo-mniał o zamiarze zabicia mężczyzny z restauracji - Waltera jakiegoś tam - a potem równie beznamiętnie spełnił tę obietnicę, podcinając sukinsynowi nadgarstki i przyglądając się jego rozpaczliwej szamo-taninie, dopóki nie spadł z pirsu do lodowatej, brązowej wody Hud-sonu.

Zegarmistrz zdradził Vincentowi, że przyjechał do miasta zabić jeszcze innych ludzi. Wśród nich były kobiety. Jeśli Vincent będzie

58

ostrożny i wystarczy mu najwyżej dwadzieścia do trzydziestu minut, będzie mógł zrobić z ich ciałami, co tylko zechce. W zamian za to Vincent miał mu pomagać jako przewodnik po mieście, po ulicach i systemach komunikacji, a także stać na czatach i od czasu do cza-su prowadzić samochód podczas ucieczki.

No i co? Jesteś zainteresowany?

Chyba tak - odrzekł Vincent, choć w głębi duszy przyjął propozycję ze znacznie większym entuzjazmem.

I tak Vincent ciężko pracował, śledząc trzecią ofiarę: Joannę Har-per, ich kwiaciarkę, jak przezwał ją Vincent Mądrala. Obserwował ją> gdy wyciągała klucz i znikła za służbowymi drzwiami pracowni. Przystanął, zjadł batonik i oparł się o słup latarni, wpatrując się w brudne okna.

Jego dłoń musnęła wybrzuszenie na pasku, gdzie spoczywał nóż myśliwski. Wodził wzrokiem za sylwetką Joannę, gdy zapalała świa-tło, zdejmowała płaszcz i krzątała się po pracowni. Była sama.

Zacisnął palce na nożu.

Zastanawiał się, czy dziewczyna ma piegi, zastanawiał się, jak pach-ną jej perfumy.

Zastanawiał się, czy kwili, gdy odczuwa ból. Czy...

Nie, nie powinien o tym w ogóle myśleć! Przyszedł tu tylko po in-formacje. Nie wolno mu złamać zasad i rozczarować Geralda Dunca-na. Vincent wciągnął do płuc lodowate, kłujące powietrze. Powinien zaczekać.

Ale wówczas Joannę podeszła do okna. Zobaczył ją bardzo wyraź-nie. Och, jaka ładna...

Zaczęły mu się pocić dłonie. Oczywiście mógłby po prostu wziąć ją od razu i zostawić związaną, żeby Duncan później ją zabił. Przyja-ciel zrozumiałby coś takiego. Obaj dostaliby to, czego chcieli.

Przecież czasem po prostu nie da się czekać.

Wszystko przez ten głód...

Następnym razem zapakuj ciepłe rzeczy. Czego się spodziewałaś?

Jadąc przesyconą nieprzyjemnym zapachem taksówką, trzydzie-stoparoletnia Kathryn Dance wyciągnęła ręce nad nadmuchem ogrzewania, z którego nie wydobywało się ani gorące, ani nawet cie-płe powietrze; w najlepszym razie można je było określić jako nie-zimne.

Zacierając dłonie o polakierowanych na ciemnoczerwono pa-znokciach, przysunęła do strumienia

powietrza kolana w czarnych rajstopach.

Dance pochodziła z okolic, gdzie przez cały rok panowała temperatura mniej więcej dwudziestu pięciu stopni, a kiedy chciała sprawić dzieciom frajdę i zabrać je na sanki, musiała jechać bardzo daleko drogą Carmel Valley, by znaleźć trochę śniegu. Pakując się w pośpiechu przed wyjazdem na seminarium do Nowego Jorku, ja-koś zapomniała, że północny wschód plus grudzień równa się Hima-laje.

59

Myślała: tu na pewno nie uda mi się stracić dwóch kilogramów przywiezionych w zeszłym miesiącu z Meksyku (gdzie przez cały czas siedziała w zadymionym pokoju, przesłuchując człowieka podejrzanego o porwanie). Jeżeli nie zrzucę wagi, przynajmniej będę miała dodatkową izolację. To nie fair... Otuliła się szczerzej cienkim płaszczem.

Kathryn Dance była agentką specjalną CBI, Biura Śledczego Kalifornii z siedzibą w Monterey. Należała do najwybitniejszych w kraju ekspertów w dziedzinie technik przesłuchiwanie i kinezyki - nauki polegającej na obserwacji oraz analizie mowy ciała i zachowań werbalnych świadków i podejrzanych. Ostatnie trzy dni spędziła w Nowym Jorku, prowadząc seminarium na temat kinezyki dla miejscowych stróżów prawa.

Kinezyka to rzadka specjalność w policyjnym rzemiośle, ale dla Kathryn Dance stanowiła jej żywioł. Fanatycznie uwielbiała ludzi. Fascynowali ją, działali na nią elektryzująco. Byli dla niej wielką zagadką i wyzwaniem. Miliardy wyjątkowych stworzeń krążących po świecie, które mówiły najdziwniejsze, najwspanialsze i najbardziej przerażające rzeczy... Odczuwała to co oni, bała się tego, czego oni się lekali, cieszyła się ich radością.

Po college'u Dance została dziennikarką, wybierając zajęcie idealne dla niezdecydowanych i ciekawych wszystkiego ludzi. Trafiała do działu kryminalnego i wiele godzin przesiedziała w sądach, obserwując prawników, podejrzanych i przysięgłych. Wtedy zauważyła u siebie pewną zdolność. Patrząc na świadka i słuchając go, potrafiła natychmiast odgadnąć, kiedy mówi prawdę, a kiedy nie. Patrząc na przysięgłych, od razu wiedziała, czy się nudzą, czy nie rozumieją, czy są oburzeni, czy wstrząśnięci; kiedy wierzą podejrzanemu, a kiedy nie.

Potrafiła odróżnić prawnika, który zupełnie nie nadawał się do swojej profesji, od takiego, który mógł zabłysnąć.

Umiała rozpoznać policjantów oddanych służbie całym sercem i tych, którzy traktowali pracę w policji jako formę dotrwania do emerytury. Na jednego z tych pierwszych zwróciła szczególną uwagę: był to przedwcześnie posiwiasty agent FBI z biura terenowego w San Jose, zeznający ze swadą i humorem w procesie gangu, o którym Dance pisała reportaż. Po wydaniu wyroków skazujących wykorzystała sytuację i przeprowadziła z nim wywiad, a on wykorzystał sytuację i umówił się z nią na randkę. Osiem miesięcy później wyszła za Williama Swensona.

Znudzona pracą reporterki, Kathryn Dance postanowiła zmienić zawód. Przez pewien czas żyła w szalonym tempie, łącząc obowiązki matki dwojga małych dzieci, żony i studentki, ale udało się jej skończyć uniwersytet w Santa Cruz z tytułem magistra psychologii i dziennikarstwa. Otworzyła firmę doradczą, oferując swoje usługi adwokatom przy procedurze selekcji ławy przysięgłych - radziła im, których kandydatów wybierać, a jakich unikać. Miała talent i świet-60

nie zarabiała. Ale przed sześciu laty znów zdecydowała się na zmianę drogi życiowej. Dzięki pomocy niestrudzonego męża, który we wszystkim ją wspierał, oraz swoich rodziców mieszkających w pobliskim Carmel wróciła do szkoły: tym razem była to akademia Biura Śledczego Kalifornii w

Sacramento.

Kathryn Dance została policjantką.

W Biurze nie istniała oddzielna specjalność kinezyki, więc Dance z formalnego punktu widzenia była zwykłym agentem śledczym zajmującym się sprawami zabójstw, porwań, narkotyków, akcji terrorystycznych i tak dalej. Mimo to w organach ścigania żaden talent nie pozostaje niezauważony i wkrótce o jej zdolnościach zrobiło się głośno. Została stałym ekspertem w dziedzinie przesłuchań (nie miała nic przeciwko temu, ponieważ dzięki silniejszej pozycji przetargowej mogła się wykręcić od tajnych operacji i pracy kryminalistycznej, które mało ją interesowały).

Spojrzała na zegarek, zastanawiając się, jak długo potrwa ta ochotnicza misja. Jej samolot odlatywał dopiero po południu, lecz musiała zarezerwować sporo czasu na dojazd na lotnisko JFK: w mieście panował straszny tłok, jeszcze gorszy niż na autostradzie 101 pod San Jose.

Musiała zdążyć. Nie mogła się doczekać powrotu do dzieci, poza tym trzeba było wracać do pracy - dziwne, ale kiedy człowiek opuszcza biuro, papierów nigdy nie ubywa; jak gdyby się rozmnażały.

Taksówka zahamowała z piskiem opon.

Dance wyjrzała przez okno.

-

To na pewno ten adres?

-

Taki mi pani podała.

- Nie

wygląda na posterunek policji.

Taksówkarz zerknął na bogato zdobiony budynek.

- Pewnie,

że nie. Należy się sześć siedemdziesiąt pięć.

I tak, i nie, pomyślała Dance.

To był posterunek policji, a jednocześnie nie.

W korytarzu przywitał ją Lon Sellitto. Detektyw poprzedniego dnia uczestniczył w prowadzonych przez nią zajęciach z kinezyki w nowojorskiej komendzie głównej i właśnie do niej dzwonił, pytając, czy nie mogłaby wpaść i pomóc w pracy nad sprawą wielokrotnego zabójstwa. Przez telefon podał jej adres, pod którym, jak przypuszczała, znajdował się komisariat policji. Wprawdzie zobaczyła tu prawie tyle sprzętu kryminalistycznego co w laboratorium centrali CBI w Monterey, niemniej jednak był to prywatny dom.

A jego właścicielem był nie kto inny, jak Lincoln Rhyme.

O tym też Sellitto nie wspomniał ani słowem.

Oczywiście nazwisko Rhyme'a nie było jej obce - wielu policjantów słyszało o błyskotliwym, sparaliżowanym detektywie - ale nie znała szczegółów jego życia ani jego roli w nowojorskim departamencie-61

mencie. Szybko przestała zwracać uwagę na jego niepełnosprawność; jeśli Kathryn Dance nie analizowała mowy ciała, zwykle skupiała się tylko na oczach ludzi. Poza tym jeden z jej kolegów z CBI był paraplegikiem i była oswojona z widokiem osób na wózkach.

Sellitto przedstawił jej Rhyme'a i wysoką kobietę o skupionym wyrazie twarzy, detektyw Amelię Sachs. Dance od razu się zorientowała, że byli dla siebie kimś więcej niż partnerami w pracy. Nie

po-trzebowała wyciągać żadnych wniosków z obserwacji mowy ciała; kiedy weszła, Sachs trzymała Rhyme'a za rękę i z uśmiechem szep-tała mu coś na ucho.

Sachs przywitała się z nią serdecznie, po czym Sellitto przedsta-wił jej kilku innych funkcjonariuszy.

Dance usłyszała za sobą cichy metaliczny dźwięk - wydobywał się z zawieszonych na jej szyi słuchawek. Roześmiała się i wyłączyła | iPoda, który zawsze nosiła przy sobie niczym aparat podtrzymujący życie.

Sellitto i Sachs opowiedzieli jej o sprawie zabójstwa, przy której miała im pomóc - odniosła wrażenie, że śledztwo prowadzi Rhyme, mimo że był cywilem.

Rhyme prawie nie uczestniczył w rozmowie. Jego oczy co chwilę obracały się w stronę dużej białej tablicy, na której widniała lista do-wodów. Podczas gdy pozostali członkowie zespołu podawali jej szcze-góły sprawy, Dance nie przestawała obserwować Rhyme'a - przyglą-dała się, jak mruży oczy, wpatrując się w tablicę, mruczy coś pod nosem i kręci głową, jak gdyby sam się ganił za jakieś przeoczenie. Od czasu do czasu przymykał oczy. Raz czy dwa dorzucił

jakąś uwa-1 gę, ale wyraźnie ignorował Kathryn Dance.

Rozbawiło ją to. Agentka była przyzwyczajona do takich reakcji. Najczęściej traktowano ją sceptycznie, ponieważ w ogóle nie wyglą-dała na policjantkę. Miała metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, włosy ciemnoblon, które, tak jak dziś, zazwyczaj zaplatała w ciasny war-kocz, usta malowała jasnopurpurową szminką, nosiła nieodłączne słuchawki iPoda oraz biżuterię ze złota i masy perłowej dzieła swo-jej matki, a całości dopełniały buty na wysokim obcasie, do których miała słabość (pościg za sprawcą nie należał do jej zwykłych obo-wiązków).

Domyślała się jednak, jaka może być przyczyna braku zaintere-f sowania u Lincolna Rhyme'a. Jak wielu kryminalistyków nie bardzo 1 wierzył w skuteczność kinezyki i przesłuchań. Kiedy padł pomysł wezwania agentki, prawdopodobnie zgłosił sprzeciw.

Natomiast Dance doceniała wagę dowodów fizycznych, ale nie budziły jej ciekawości. Serce biło jej żywiej tylko wówczas, gdy w trakcie rozwiązywania zagadki przestępstwa do głosu dochodził pierwiastek ludzki.

Kinezyka kontra kryminalistyka...

W porządku, detektywie Rhyme.

62

Gdy przystojny, niecierpliwy i sarkastyczny gospodarz wpatry-wał się w tablicę, Dance poznała szczegóły sprawy, która wydała się jej dziwna. Sprawca nazywający siebie Zegarmistrzem rzeczywiście popełnił morderstwa w okropny sposób, lecz Dance nie była nimi wstrząśnięta. Pracowała już nad równie makabrycznymi sprawami. Poza tym mieszkała w Kalifornii, gdzie standardy zła wyznaczył Charles Manson.

Dennis Baker, detektyw z nowojorskiego departamentu, wyjaś-nił, czego od niej oczekiwali.

Znaleźli świadka, który mógł mieć cenne dla śledztwa informacje, ale nie chciał zdradzić żadnych szczegółów.

- Twierdzi,

że niczego nie widział - dodała Sachs. - Ale mam wra-żenie, że widział.

Dance rozczarowała wiadomość, że nie miała przesłuchiwać po-dejrzanego, tylko świadka.

Zdecydowanie wolała stawać oko w oko z przestępcą - im trudniej było z niego wydobyć

prawdę, tym lepiej. Z drugiej strony przesłuchanie świadka trwało krócej niż próby zła-maniana podejrzanego, a ona nie mogła się spóźnić na samolot.

- Zobaczę, co da się zrobić - oświadczyła. Poszperała w torebce i nałożyła okrągłe okulary w bladuróżowych oprawkach.

Sachs opowiedziała jej przebieg wydarzeń poprzedniego wieczora, tak jak przedstawił go Ari Cobb, niechętny do współpracy świadek. Poinformowała ją też o jego porannej ucieczce.

Dance słuchała uważnie, popijając kawę, którą poczęstował ją opiekun Rhyme'a, i pozwalając sobie na połówkę ciastka z owocami.

Znając już obraz sytuacji, Dance zebrała myśli i powiedziała do zespołu:

-

Mój plan wygląda następująco: Najpierw muszę wam zrobić krótki wykład. Lon wysłuchał go już wczoraj na seminarium, ale chcę, żeby wszyscy wiedzieli, jak przeprowadzam przesłuchanie.

Tradycyjnie kinezyka zajmowała się badaniem zachowań fizycznych

- mowy ciała - żeby na jej podstawie poznać stan emocjonalny przesłuchiwanego i zdecydować, czy mówi prawdę, czy nie. Obecnie większość osób, nie wyłączając mnie, określa tym terminem analizę wszystkich form komunikacji - nie tylko mowy ciała, ale także oświadczeń ustnych i pisemnych.

Najpierw ustalę wzorzec zachowań świadka - zobaczę, jak reaguje, mówiąc o rzeczach, o których wiemy, że są prawdziwe - spytam go o nazwisko, adres, zawód i tego typu dane.

Zapamiętam jego gestykulację, postawę, dobór słów i treść odpowiedzi.

Kiedy będę miała wzorzec, zacznę zadawać różne pytania i zwrócić uwagę, kiedy wykazuje reakcje stresowe. To będzie oznaczało, że albo kłamie, albo ma jakiś problem ze sprawą, o którą pytam. Do tej chwili prowadzę z nim „wywiad”. Gdy tylko zacznę podejrzewać, że kłamie, rozpocznie się faza „przesłuchania”. Będę go męczyć, używając różnych technik, dopóki nie poznamy prawdy.

63

Doskonale - rzekł Baker. Mimo że dowodził Rhyme, Dance doszła do wniosku, że to Dennis Baker jest przedstawicielem dowódcy.

twą; miał znękaną minę człowieka, który ponosi ostateczną - i poli-

tyczną - odpowiedzialność za śledztwo.

Macie mapę dzielnic, gdzie to się zdarzyło? - spytała Dance.

- Chciałabym znać geografię. Bez tego nie ma mowy o skutecznym przesłuchaniu. Uważam, że zawsze muszę poznać terrarium przesłuchiwanego.

Lon Sellitto parsknął śmiechem. Dance uśmiechnęła się, nie rozumiejąc.

Lincoln mówi dokładnie to samo o kryminalistyce - wyjaśnił

detektyw. - Jeżeli nie znasz geografii, działasz w próżni. Mam rację, Linc?

Słucham? - odezwał się w roztargnieniu Rhyme.

Terrarium, jak ci się to podoba?

Ach. - Jego uprzejmy uśmiech oznaczał to samo co odpowiedź

„wszystko jedno”, którą Dance często słyszała od swojego syna.

Słuchając objaśnień Sachs i młodego posterunkowego Pulaskiego, Kathryn uważnie przestudiowała plan dolnego Manhattanu, zapamiętując szczegóły miejsca zdarzenia i zajęć Ariego Cobba z poprzedniego dnia.

Wreszcie uznała, że zna już wystarczająco dużo faktów.

Dobrze, bierzmy się do pracy. Gdzie on jest?

W pokoju po drugiej stronie korytarza.

Przyprowadźcie go.

Rozdział 7

P

o chwili funkcjonariusz z patrolu przyprowadził niewysokiego, szczupłego biznesmena ubranego w drogi garnitur. Dance nie wiedziała, czy mężczyzna został oficjalnie aresztowany, ale ze sposobu, w jaki dotykał swoich przegubów, wywnioskowała, że przed chwilą miał na nich kajdanki.

Dance przywitała się z niespokojnym i wzburzonym świadkiem, po czym wskazała mu krzesło. Sama usiadła naprzeciw niego - nie dzielił ich żaden stół ani inna przeszkoda -

przysuwając się bliżej, do granicy neutralnej strefy proksemicznej, jak określa się dystans fizyczny między przesłuchującym a przesłuchiwanym. Zwiększając lub zmniejszając odległość od przesłuchiwanego, mogła wpływać na jego komfort psychiczny. Nie była tak blisko, by naruszyć jego sferę osobistą, ale i nie tak daleko, by miał poczucie bezpieczeństwa. („Należy mieć pełną kontrolę nad nerwami zdenerwowanego”, mówiła na wykładach).

Panie Cobb, nazywam się Kathryn Dance. Jestem z biura śledczego i chciałabym porozmawiać o tym, co widział pan wczoraj wieczorem.

To śmieszne. Już im mówiłem. - Ruchem głowy wskazał Rhyme'a. - Powiedziałem wszystko.

Dopiero przyjechałam. Nie byłam obecna przy pańskim zeznaniu.

Notując odpowiedzi, zadała mu kilka prostych pytań - gdzie mieszka i pracuje, jaki jest jego stan cywilny i tak dalej - aby poznać wzorzec reakcji Cobba na stres. Uważnie słuchała jego odpowiedzi. („Obserwacja i słuchanie to dwa najważniejsze elementy Przesłuchania.

Mówienie jest na samym końcu”).

Jednym z pierwszych zadań przesłuchującego jest ustalenie typu osobowości przesłuchiwanego - należy bowiem wiedzieć, czy ma się do czynienia z introwertykiem czy ekstrawertykiem. Większość ludzi niewłaściwie pojmuje tę różnicę, uważając, że polega na przeciwieństwie pomiędzy hałaśliwą pewnością siebie a nieśmiałością. Tymczasem owo rozróżnienie dotyczy sposobu podejmowania decyzji.

Introwertyk nie kieruje się logiką i rozsądkiem, lecz intuicją i emocjami; ekstrawertyk przeciwnie. Określenie typu osobowości pomaga przesłuchującemu odpowiednio formułować pytania oraz dobrać właściwy ton głosu i postawę. Gdyby na przykład potraktował rozmówcę szorstko i bezceremonialnie, introwertyk natychmiast wycofałby się do swojej skorupy,

Ari Cobb okazał się jednak klasycznym ekstrawertykiem, i to aroganckim - delikatność była zupełnie zbędna. Takich delikwentów Kathryn Dance lubiła najbardziej. Zawsze ostro dobierała im się do skóry.

Cobb przerwał jej w pół słowa:

- Za

długo mnie tu przetrzymujecie. Muszę wracać do pracy. To naprawdę nie moja wina, że tego człowieka spotkało coś takiego.

Tonem pełnym szacunku, ale stanowczym, Dance odrzekła:

-

To nie jest kwestia winy... Ari, porozmawiajmy o tym, co widział pan wczoraj wieczorem.

-

Nie wierzy mi pani. Uważa mnie pani za kłamcę. Naprawdę mnie tam nie było, kiedy popełniono zbrodnię.

- Nie

sugeruję, że pan kłamie. Mimo to sądzę, że mógł pan wi- I dzieć coś, co może nam pomóc. Coś, co pana zdaniem jest nieistotne.

Widzi pan, moja praca polega między innymi na tym, by pomagać ;

ludziom przypominać sobie różne rzeczy. Prześledźmy razem przebieg wczorajszych wydarzeń i zobaczmy, czy coś przyjdzie panu na myśl.

-

Nic nie widziałem. Zgubiłem tylko pieniądze. To wszystko. Źle to rozegrałem, a teraz zrobiła się sprawa federalna. To jakaś straszna bzdura.

- Wróćmy do wczorajszego wieczoru. Od początku, krok po kroku. Pracował pan w swoim biurze. W Stenfeld Brothers Investments W Budyńku Hartsfielda.

-Tak.

Cały dzień?

Zgadza się.

O której pan wyszedł?

O wpół do ósmej, trochę przed.

I co pan potem robił?

Poszedłem do „Hanover's" na drinka.

Na Water Street - powiedziała. Zawsze należy trzymać przesłuchiwanego w niepewności, nie zdradzając, ile się wie.

Tak. Organizują tam taką imprezę, karaoke z martini. Nazywają to „Wieczór piosenki z oliwką".

Bardzo pomysłowo.

Mam tam swoją stałą grupę znajomych. Często się spotykamy.

To moi przyjaciele. Bliscy przyjaciele.

Z mowy jego ciała wywnioskowała, że Cobb chce coś dodać - prawdopodobnie spodziewał się, że zostanie spytany o ich nazwi-66

ska. Zbyttnia gorliwość w wykazywaniu swojego alibi to pierwszy sygnał fałszu -



przesłuchiwany sądzi, że wystarczy podać dużo szczegó-łów, a policja nie będzie sobie zadawała trudu, by je zweryfikować, albo nie przyjdzie jej do głowy, że ktoś siedzący w barze o ósmej może mieć coś wspólnego z kradzieżą dokonaną o wpół do ósmej.

O której wyszedł pan z lokalu?

Około dziewiątej.

I wrócił pan do domu?

-Tak.

Na Upper East Side.

Skinął głową.

pojechał pan limuzyną?

Jasne, limuzyną - odparł zgryźliwie. - Nie, wróciłem metrem.

Z której stacji?

Z Wall Street.

Poszedł pan na stację pieszo?

Owszem.

-Jak?

- Ostrożnie - powiedział, szczerząc zęby w uśmiechu. - Było ślisko.

Dance odwzajemniła uśmiech.

Którędy pan szedł?

Water Street, potem przez Cedar w stronę Broadwayu i na południe.

I tam zgubił pan pieniądze. Na Cedar. Jak to się stało? - W tonie jej głosu i pytaniach nie było cienia groźby. Cobb zaczynał się rozluźniać. Był już mniej agresywny. Jej uśmiech i cichy, opanowany głos wyraźnie go uspokajały.

Przypuszczam, że wypadły mi, kiedy wyciągałem kartę do metra.

Proszę mi przypomnieć, jaka to była kwota?

Ponad trzysta.

Ojej...

Otóż to.

Wskazała plastikową torebkę, w której spoczywały banknoty.

Wygląda na to, że właśnie wypłacił je pan z bankomatu. Najgorszy moment, żeby zgubić pieniądze, prawda? Po wyjęciu z bankomatu.

Zgadza się. - Wykrzywił twarz w smętnym uśmiechu.

Kiedy dotarł pan do stacji metra?

O wpół do dziesiątej.

Na pewno nie później?

Dobrze pamiętam. Kiedy stałem na peronie, spojrzałem na zegarek. Była dokładnie dziewiąta trzydzieści pięć. - Zerknął na duże-go złotego roleksa. Zapewne chciał podkreślić, że taki drogi zegarek musi pokazywać właściwą godzinę.

A potem?

67

Wróciłem do domu i zjadłem kolację w barze obok budynku, w którym mieszkam. Żony nie było. Jest prawniczką. Zajmuje się operacjami finansowymi dużych spółek. Jest wspólniczką w firmie.

Wróćmy na Cedar Street. Zauważył pan jakieś światła? Ludzie byli w mieszkaniach?

Nie, na ulicy są tylko biura i sklepy. Żadnych budynków mieszkalnych.

A restauracje?

Kilka, ale są czynne tylko w porze lunchu.

Pamięta pan jakieś place budowy?

Remontują jeden budynek na południowym końcu ulicy.

Widział pan jakichś przechodniów?

-Nie.

Mijały pana samochody, jadące podejrzanie wolno?

Nie - odparł Cobb.

Dance prawie nie zauważała obecności obserwujących ich funkcjonariuszy. Na pewno się niecierpliwili, czekając na wielką Chwilę] Wyznania. Nie zwracała na nich uwagi. Istniała tylko ona i przesłu-ł chiwana osoba. Kathryn Dance była w swoim własnym świecie -j „w strefie obronnej przeciwnika”, jak powiedziałby jej syn Wes (sportowiec w rodzinie).

Spojrzała na swoje notatki. Następnie zamknęła notes i założyła inne okulary, jak gdyby zmieniała szkła do czytania na okulary do dali. Nie różniły się jednak liczbą dioptrii, ale kształtem: pierwsze były duże, okrągłe i pastelowe, a drugie miały niewielkie prostokątne oprawki z czarnego metalu, które nadawały jej drapieżny wy-l gląd. Dance nazywała je

„okularami Terminatora”. Przysunęła się] bliżej Cobba, który założył nogę na nogę.

Znacznie ostrzejszym tonem zapytała:

-

Niech mi pan powie, Ari, skąd naprawdę miał pan te pieniądze?

-Pie.,.

Owszem, pieniądze. Nie wyciągnął ich pan z bankomatu. - Kiedy mówił o gotówce, zauważyła u niego wyższy poziomu stresu - patrzył jej prosto w oczy, ale lekko opuścił powieki i zmienił się rytm jego oddechu. Obję reakcje znacznie odbiegały od zaobserwowane-go wcześniej wzorca, kiedy mówił prawdę.

Ależ wyciągnąłem - zaprotestował.

W jakim banku?

Chwila milczenia.

Nie zmusi mnie pani, żebym to ujawnił.

Ale możemy wezwać bank do okazania historii pańskiego konta. I pozostanie pan zatrzymany, dopóki nie uzyskamy wglądu do tych dokumentów. Co może potrwać dzień lub dwa.

Przecież poszedłem do cholernego bankomatu!

Pytanie brzmiało inaczej. Pytałam, skąd pochodziły pieniądze w klipsie.

68

Spuścił wzrok.

Nie jest pan ze mną szczery, Ari. A to znaczy, że ma pan poważ-

nie kłopoty- Skąd te pieniądze?

Nie wiem. Część może z kasy podręcznej z mojej firmy.

Wczoraj je pan wziął?

Chyba tak.

-Ile?

-Niepa...

Pański pracodawca też może dostać wezwanie do okazania ksiąg-Groźba wyraźnie nim wstrząsnęła.

- Tysiąc dolarów - wyrzucił z siebie.

Gdzie jest reszta? W klipsie miał pan trzysta czterdzieści.

Gdzie reszta?

Trochę wydałem w „Hanover's". To był wydatek służbowy. Legalny. W ramach swoich obowiązków...

Pytałam, co się stało z resztą.

Chwila ciszy.

Część zostawiłem w domu.

W domu? Pańska żona już wróciła? Może to potwierdzić?

Jeszcze jej nie ma.

Wobec tego wyślemy funkcjonariusza, żeby poszukał tych pieniędzy. Gdzie dokładnie je pan zostawił?

Nie pamiętam.

Ponad sześćset dolarów? Jak można zapomnieć, gdzie jest sześćset dolarów?

Nie wiem. Miesza mi pani w głowie.

Nachyliła się jeszcze bliżej, wkraczając w jego strefę bezpieczeństwa.

- Co

naprawdę robił pan na Cedar Street?

- Szedłem na cholerną stację metra.

Dance chwyciła plan Manhattanu.

„Hanover's" jest tutaj. A stacja tu. - Jej palec głośno stukał w gruby papier mapy. - Żeby się dostać z „Hanover's" na stację Wall Street, nie ma sensu iść przez Cedar. Dlaczego wybrał pan tę drogę?

Chciałem się trochę przejść. Musiałem spalić kilka cosmopolitanów i kurze skrzydełka.

Po oblodzonym chodniku i przy minus dziesięciu stopniach?

Często pan tam spaceruje?

Nie. Tak się złożyło, że wczoraj tam trafiłem.

Jeżeli nie chodzi pan tam często, to skąd pan tyle wie o Cedar Street? Skąd pan wie, że nie ma tam budynków mieszkalnych, skąd pan wie, o której zamykają restauracje i że na końcu ulicy remontują budynek?

Po prostu wiem. O co pani, do diabła, chodzi? - Na jego czole zaśniły kropelki potu.

69

Kiedy zgubił pan pieniądze, zdejmował pan rękawiczki, żeby wyjąć z kieszeni kartę do metra?

Nie wiem.

Przypuszczam, że tak. Nie można sięgać do kieszeni ręką w cieplej rękawiczce.

Na dobrze - warknął. - Skoro wie pani lepiej, to zgoda, zdją-

łem.

Jeżeli byfo tak zimno, po co zrobił pan to dziesięć minut przed dojściem do stacji metra?

Nie życzę sobie, żeby mówiła pani do mnie w ten sposób.

-1 nie patrzył pan na zegarek na peronie - dodała dobitnym, choć cichym głosem. - Zgadza się?

- Owszem,

patrzyłem. Było pięć po wpół do dziesiątej.

Nie, nie patrzył pan. Nikt wieczorem na peronie metra nie pokazuje zegarka za pięć tysięcy dolarów.

Dość tego. Nie odpowiem już na żadne pytania.

W momencie konfrontacji przesłuchiwany, który kłamie, doświadcza intensywnego stresu i usiłuje się przed nim bronić, ucieka-jąc się do różnych mechanizmów - Dance nazywała je „barierami na drodze do prawdy”. Najbardziej destrukcyjną i najtrudniejszą do przełamania reakcją jest złość, po której następuje stan depresji, \ potem faza zaprzeczenia i wreszcie targowania się. Rola przesłuchu- J jacego polega na ocenie, w jakiej fazie znajduje się podejrzany, oraz na zneutralizowaniu jego reakcji - a także wszystkich następ- J nych -

dopóki przesłuchiwany nie osiągnie stanu akceptacji, czyli gotowości do wyznania prawdy.

Mimo że Cobb wybuchnął złością, Dance uznała, że jest w fazie i zaprzeczenia - osoba reagująca w ten sposób chętnie powołuje się na luki w pamięci i o wszelkie nieporozumienia obwinia przesłuchu- I jacego. Takiego przesłuchiwanego najlepiej jest złamać tak, jak !

właśnie uczyniła Dance - tę metodę nazywa się „atakowaniem fak- ] tów”. W wypadku ekstrawertyka należy zbijać jedną po drugiej nie- J ściśłości i sprzeczności w jego zeznaniu, aż skruszy się wszystkie za-1 pory obronne.

- Ari, opuścił pan biuro o wpół do ósmej i poszedł do „Hano- I ver's”. O tym już wiemy.

Spędził pan w barze półtorej godziny. Po-m tem zboczył pan z drogi dwie przecznice, by pójść na Cedar Street-1 Dobrze zna pan tę ulicę, bo chodzi pan tam na panienki. Wczoraj I wieczorem między dwudziestą pierwszą a dwudziestą pierwszą trzy-1 dzieści prostytutka zatrzymała samochód niedaleko alejki. Ustalili pan z nią cenę, zapłacił i wsiadł do jej samochodu. Wysiadł pan I około dwudziestej drugiej piętnaście. Wtedy zgubił pan pieniądze!

przy samym krawężniku, prawdopodobnie sprawdzając telefon ko-B mórkowy, żeby zobaczyć, czy nie dzwoniła pańska żona, albo szuka-1 jąc w kieszeni drobnego napiwku.

Tymczasem morderca wjechali w uliczkę, a pan to zauważył i coś zobaczył. Co? Co pan widział?

70  
-Nie...

-

Tak - odparła spokojnie Dance. Utkwiła w nim spojrzenie i zamilkła.

Wreszcie Cobb spuścił głowę i przestał zakładać nogę na nogę. Drgała mu warga. Nie był jeszcze gotów do wyznania prawdy, ale Dance przesunęła go o szczebel na drabinie reakcji stresowych - od fazy zaprzeczenia do fazy targowania się. Teraz musiała zmienić tak-tykę.

Należało wyrazić współczucie i dać mu szansę na zachowanie twarzy. W fazie targowania nawet najbardziej chętni do współpracy przesłuchiwani będą nadal kłamać lub wykręcać się od odpowiedzi, jeżeli nie pozostawi się im odrobiny godności i nadziei, że unikną najgorszych konsekwencji swojego czynu.

Dance zdjęła okulary i odchyliła się na krześle.

-

Ari, nie chcemy rujnować panu życia. Przestraszył się pan. To zrozumiałe. Ale staramy się powstrzymać bardzo groźnego człowieka. Zabił już dwie osoby, a może zabić więcej. Jeśli pomoże nam pan go znaleźć, żadna z tych informacji, jakie dzisiaj poznaliśmy, nie musi wyjść na jaw. Nie

będzie żadnych wezwań, żadnych telefonów do żony ani szefa.

Dance zerknęła na detektywa Bakera, który go zapewnił:

- Oczywiście, że nie.

Cobb westchnął. Wbijając wzrok w podłogę, mruknął:

-

Kurwa. To były tylko głupie trzy stowy. Po co w ogóle tam rano wracałem?

Przez chciwość i głupotę, pomyślała Kathryn Dance, lecz zauważyła życzliwym tonem:

- Wszyscy

popęlniamy błędy.

Chwila wahania. Potem Cobb znów westchnął.

Chodzi o to, że naprawdę niewiele widziałem. Pewnie mi nie uwierzycie. Prawie nic nie widziałem. Na pewno nie widziałem żadnego człowieka.

Jeżeli będzie pan z nami szczerzy, uwierzymy. Proszę mówić dalej.

Było trochę po wpół do jedenastej. Kiedy wysiadłem z samochodu... dziewczyny, poszedłem w stronę stacji metra. Ma pani rację. Zatrzymałem się, żeby wyciągnąć z kieszeni komórkę. Włączyłem ją żeby sprawdzić wiadomości. Pewnie wtedy wypadły mi pieniądze. Bo to rzeczywiście było przy tej uliczce. Spojrzałem tam 1 na jej końcu zobaczyłem tylne światła samochodu.

Jakiego? - spytała Sachs.

Nie widziałem wozu, tylko światła. Przysięgam.

Dance wierzyła. Spojrzała na Sachs, lekko kiwając głową.

Zaraz - wtrącił się nagle Rhyme. - Na końcu uliczki?

A więc kryminalistyk jednak cały czas słuchał.

- Zgadza

się. Na samym końcu. Potem zapaliły się światła cofa-na i wóz ruszył ryłem w moją stronę. Jechał dość szybko, więc po-71

szedłem dalej. Potem usłyszałem pisk hamulców, kierowca zatrzymał się i wyłączył silnik.

Ciągle był w uliczce. Szedłem dalej. Usłyszałem trzaśnięcie drzwi i dziwny hałas. Jak gdyby na ziemię spadł duży kawał metalu. Nic więcej. Nikogo nie widziałem. Wtedy byłem już daleko od tej uliczki. Naprawdę.

Rhyme zerknął na Dance, która skinęła głową na znak, że Cobb mówi prawdę.

Proszę powiedzieć coś o tej dziewczynie, z którą pan był - odezwał się Dennis Baker. - Z nią też chciałbym porozmawiać.

Trzydzieści kilka lat - odrzekł szybko Cobb. - Afroamerykanka, krótkie kręcone włosy. O ile dobrze poznałem, jeździła hondą.

Nie widziałem numeru rejestracyjnego. Ładna - dodał w żalosej próbie usprawiedliwienia.

Jak się nazywała?

Cobb westchnął.

Tiffanee. Przez dwa „e”. Nie „y”.

Rhyme parsknął krótkim śmiechem.

- Dzwon do obyczajówki i spytaj o dziewczyny pracujące na Cedar - polecił swojemu szczupłemu, łysiejącemu asystentowi.

Dance zadała jeszcze kilka pytań, po czym pokiwała głową, odwróciła się w stronę Łona Sellitta i oświadczyła:

- Sądzę, że pan Cobb powiedział nam wszystko, co wie. - Spoglądając na maklera, powiedziała szczerze: - Dziękuję za współpracę.

W zdumieniu wytrzeszczył oczy, nie wiedząc, jak ma rozumieć ostatnią uwagę. Ale Kathryn Dance nie powiedziała tego sarkastycznie. Za-wsze pozostawała niewzruszona na reakcje przesłuchiwanym, kiedy posyłali jej wściekłe spojrzenia, obrażali ją lub nawet pluli czy rzucali w nią przedmiotami. Ekspert kinezyk musi pamiętać, że wrogiem nigdy nie jest przesłuchiwany, tylko bariery na drodze do prawdy, które sam stawia, czasem nawet nieświadomie.

Sellitto, Baker i Sachs po kilkuminutowej naradzie postanowili zwolnić Cobba, nie stawiając mu żadnych zarzutów. Nerwowy mąż-czyzna wyszedł, patrząc na Dance wzrokiem, który dobrze znała: ma-łowały się w nim równocześnie lęk, odraza i nieskrywana nienawiść.

Po jego wyjściu Rhyme, patrząc na szkic uliczki, w której popeł-niono morderstwo, rzekł:

-  
Ciekawe. Z jakiegoś powodu sprawca uznał, że nie chce zabijać ofiary na końcu uliczki, więc cofnął samochód i wybrał miejsce niecałych pięć metrów od chodnika... Interesujący szczegół. Ale czy do czegoś się przyda?

Sachs skinęła głową.

- Być może. Na końcu uliczki nie było chyba śniegu. Możliwe, że w ogóle nie sypali tam solą. Moglibyśmy zdjąć ślady butów albo opon.

Rhyme zadzwonił - za pomocą imponującego programu rozpo-znawania głosu - i polecił wysłać funkcjonariuszy z powrotem na miejsce zdarzenia. Policjanci odezwali się po jakimś czasie, infor-mując ich, że na końcu uliczki znaleźli świeże ślady kół oraz brązowe włókno, prawdopodobnie takie samo, jakie zdjęli z buta i zegarka ofiary. Przesłali cyfrowe zdjęcia włókna i śladów, podając rozmiar Dpon.

Mimo zupełnego braku zainteresowania kryminalistyką Dance zaintrygowana przyglądała się ich poczynaniom zorganizowanym z choreograficzną precyzją. Rhyme i Sachs stanowili niezwykle wnikliwy zespół. Była pod wrażeniem, gdy dziesięć minut później Mel Cooper, ich technik, uniósł wzrok znad ekranu komputera i powie-dział:

-  
Z rozmiaru opon i rodzaju włókien wynika, że to może być ford explorer, dwu- albo trzyletni.

Najprawdopodobniej starszy - odparł Rhyme.

Dlaczego tak sądzi? - pomyślała Dance.

Zauważywszy jej minę, Sachs wyjaśniła:

Hamulce piszczały.

Ach tak.

Sellitto odwrócił się do Dance.

-  
Świetna robota, Kathryn. Przyskrzynałaś go.

- Jak to pani zrobiła? - spytała Sachs.

Objaśniła im proces przesłuchania.

- Zaczęłam badać teren. Powtórzyłam z nim wszystko, co nam powiedział - o barze po pracy, metrze, zgubionych pieniądzech, uliczce, chronologii wydarzeń i geografii. Przy każdej odpowiedzi sprawdzałam reakcje kinezyczne. Szczególnie drażliwym tematem były pieniądze. Zrobił z nimi coś, czego nie powinien. Na co mógł je wydać taki narcystyczny ekstrawertyk? W grę wchodziły albo

narkotyki, albo seks. Ale makler z Wall Street nie kupuje prochów na ulicy; na pewno miałyby własne dojścia. A więc została prostytutka.

Proste.

-

Genialne, nie sądzisz, Linc? - zwrócił się do Rhyme'a Cooper.

Dance ze zdziwieniem zauważyła, że kryminalistyk potrafi wzruszać ramionami, Odrzekł wymijająco:

- Udało się. Mamy parę nowych faktów, które i tak pewnie byśmy ustalili, tylko trochę później. - Wrócił spojrzeniem na tablicę.

-Linc, daj spokój. Znamy markę samochodu. Gdyby nie Kathryn, nic byśmy nie wiedzieli. Nie bierz tego do siebie - powiedział &> Dance Sellitto. - On po prostu nie ufa świadkom. Rhyme spojrzał na detektywa spod zmarszczonych brwi.

-

To nie jest konkurs, Łon. Chcemy poznać prawdę, a z moich doświadczeń wynika, że wiarygodność świadków jest nieco mniejsza ! dowodów rzeczowych. Nic więcej. Nie chciałem nikogo urazić.

Dance skinęła głową.

I Zabawne, ale to samo mówię na wykładach: naszym głównym 'laniem jako policjantów nie jest wsadzanie ludzi za kratki, tylko

73

dotarcie do prawdy. - Wzruszyła ramionami. - Mieliśmy niedawno taką sprawę w Kalifornii - więzień z celi śmierci został oczyszczony z zarzutów dzień przed zaplanowaną egzekucją.

Mój znajomy, pry-watny detektyw, pracował z jego adwokatem trzy lata, żeby ustalić, co się naprawdę stało. Po prostu nie chciał przyjąć do wiadomości wersji wydarzeń uznanej przez sąd. Więzień miał umrzeć za trzyna-ście godzin, kiedy się okazało, że był niewinny... Gdyby detektyw nie szukał prawdy przez te trzy lata, człowiek już by nie żył.

Wiem, jak to się stało - powiedział Rhyme. - Skazano go na podstawie fałszywych zeznań świadka, a zwolniono dzięki analizie DNA, zgadza się?

Nie było żadnych świadków zabójstwa - odparła Dance. - Prawdziwy morderca podrzucił spreparowane dowody.

-1 co wy na to? - odezwał się Sellitto, wymieniając uśmiech z Amelią Sachs. Rhyme zmierzył ich chłodnym spojrzeniem.

- Na

szczęście wszystko dobrze się skończyło - rzeki do Dance.

- Lepiej zabiorę się do pracy. - Jego oczy znów powędrowały na tablicę.

Dance pożegnała się ze wszystkimi i włożyła płaszcz, a Sellitto odprowadził ją do drzwi.

Kiedy wyszła na ulicę, włożyła do uszu słu-chawki i włączyła iPod. Na playliście miała irlandzki folk i parę ostrych kawałków Rolling Stonesów (kiedyś na prośbę znajomych na koncercie przeprowadziła analizę kinezyczną Micka Jaggera i Keitha Richardsa).

Zatrzymując taksówkę, zdała sobie sprawę z dziwnego uczucia, jakie ją ogarnęło. Rozpoznała je dopiero po chwili. Poczowała dotkli-wy żal na myśl, że jej udział w sprawie Zegarmistrza już się zakoń-czył.

Joannę Harper czuła się doskonale.

Szczupła trzydziestodwuletnia kobieta siedziała w pracowni kil-ka przecznic na wschód od swojej kwiaciarni w SoHo. Była wśród przyjaciół.

Czyli wśród róż, orchidei cymbidium, strelicji królewskich, lilii, helikonii, anturiów i alpinii.

Pracownia zajmowała kilka dużych parterowych pomieszczeń po jakimś magazynie. Była zimna i przewiewna, poza tym ze względu na dobro kwiatów prawie cała tonęła w mroku.

Mimo to Joannę uwielbiała tu przesiadywać, rozkoszując się chłodem, przyćmionym światłem, zapachem bzu i nawozów. Owszem, była w sercu Manhat-tanu, ale odnosiła wrażenie, jakby znalazła się w cichym lesie.

Dodała trochę pianki florystycznej do dużej ceramicznej wazy, która przed nią stała.

Czuła się doskonale.

Z dwóch powodów: ponieważ dostała bardzo intratne zamówienie i całkowicie wolną rękę w wyborze projektu.

I dlatego, że szumiało jej w głowie po wczorajszej randce.

Z Kevinem, który wiedział, że bielunie potrzebują wyjątkowo do-brego odprowadzania wody, aby dobrze rosnąć; że rozchodnik kauka-glti kwitnie olśniewającym karmazynem przez cały wrzesień; że w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku Donn Clende-non trzy razy posłał piłkę za parkan, pomagając Metsom pokonać Bal-timore (dwa z tych strzałów uwiecznił swoim kodakiem jej ojciec).

Uroczy Kevin, Kevin z dołkiem w brodzie i promiennym uśmie-chem- Bez żony- obecnej ani byłej.

Czy mogło się zdarzyć coś lepszego?

Okno od frontu przysłonił jakiś cień. Joannę uniosła wzrok, ale nikogo nie zauważyła.

Pracownia znajdowała się przy mało uczęsz-czanym wschodnim odcinku Spring Street, gdzie rzadko zaglądali przechodnie. Przyjrzała się oknom. Naprawdę powinna poprosić Ra-mona, żeby je umył. No, może zaczeka, aż zrobi się trochę cieplej.

Wróciła do przygotowywania kompozycji, znów rozmyślając o Ke-vinie. Czy coś między nimi będzie?

Może tak.

Może nie.

Zresztą to nie ma znaczenia (no dobrze, ma, ale trzydziestodwu-letnia SWM - samotna w wielkim mieście - nie może przywiązywać do tych spraw zbyt dużej wagi). Ważne, że dobrze się z nim bawiła. Po rozwodzie i kilku latach randkowania na Manhattanie czuła, że ma prawo dobrze się bawić z innym mężczyzną.

Joannę Harper, podobna do rudowłosej bohaterki „Seksu w wiel-kim mieście”, przyjechała do Nowego Jorku przed dziesięcioma la-ty, pragnąc zostać sławną artystką, mieszkać we własnym studiu w East Village i sprzedawać obrazy w galerii w Tribeca. Ale świat sztuki okazał się zupełnie inny od jej wyobrażeń. Był zbyt okrutny, zbyt małostkowy i zbyt...

nieartystyczny. Chodziło w nim tylko o szo-kowanie, szaleństwo, wskakiwanie każdemu do łóżka albo bogac-two. Joannę dała sobie spokój ze sztukami pięknymi, by przez jakiś czas zająć się projektowaniem graficznym, ale wówczas także spo-tkało ją rozczarowanie.

Przypadkiem trafiła do firmy florystycznej w Tribeca i wkrótce zakochała się w tej pracy.

Wówczas postanowiła, że jeżeli ma głodować, to przynajmniej będzie robiła coś, co uwiel-bia.

Zabawne było jednak to, że odniosła sukces. Kilka lat temu roz-kręciła własny interes składający



się dziś z kwiaciarni na Broad-rayu i pracowni na Spring Street, która obsługiwała firmy i organizacje, dostarczając codziennie kwiaty do biur oraz duże kompozycje •nawiane z okazji zebrań, uroczystości i innych ważnych wyda-rzeń.

Joannę wypełniała wazy pianką, gałązkami, eukaliptusem i kul-^u - kwiaty miała dodać na samym końcu. Lekko wzdrygnęła się ^Olna. Zerknęła na zegar wiszący na ciemnej ścianie pracowni. 12 niedługo, pomyślała. Kevin miał jeszcze rozwieźć towar do kilku 74

75

miejsc w mieście. Zadzwoił rano i powiedział, że po południu wpadnie do kwiaciarni. I jeżeli nie będziesz miała nic do roboty, to może skoczmy na jakieś cap puc ci no czy coś?

Kawa nazajutrz po randce? To wygląda...

Na okno znowu padł cień.

Szybko uniosła głowę. Nikogo. Ogarnął ją jednak niepokój. Za-trzymała wzrok na frontowych drzwiach, z których nigdy nie korzy, stała. Piętrzyły się przed nimi pudła. Drzwi były zamknięte na klucz... ale czy na pewno?

Joannę spojrziała w tę stronę, mrużąc oczy, ale oślepiął ją wpa-dający przez szybę blask słońca. Wstała od stołu, żeby się przeko-nać.

Sprawdziła zamek. Tak, zamknięte. Joannę uniosła wzrok i wyda-ła tłumiony okrzyk.

Nie dalej niż metr od niej na chodniku stał wysoki i gruby męż-czyzna, patrząc prosto na nią.

Wychylony do przodu wpatrywał się w Joannę przez okno pracowni, osłaniając oczy. Nosił staromodne lotnicze okulary przeciwsłoneczne z lustrzanymi szklami, czapkę bejsbolową i kremową parkę. Przez słońce i brud na szybach nie za-uważył, że Joannę stoi tuż przed nim.

Zastygła w bezruchu. Ludzie czasem zaglądali tu z ciekawości, ale w pozie mężczyzny i uwadze, z jaką patrzył przez okno, było coś, co przejęło ją lękiem. Szyba w drzwiach frontowych nie była z żad-nego zbrojonego szkła; można ją było rozbić młotkiem czy cegłą.

Ruch w tej części SoHo był tak niewielki, że włamania mógłby nikt nie zauważyć.

Cofnęła się.

Może oczy intruza przyzwyczały się do światła albo znalazł ka-wątek czystej szyby i zauważył Joannę. Zaskoczony gwałtownie od-sunął się od okna. Przez chwilę nad czymś się zastanawiał, a potem odwrócił się i zniknął.

Joannę przycisnęła twarz do szyby, ale nie zobaczyła, dokąd po-szedł mężczyzna. Kiedy stał przygarbiony z przechyloną głową i rę-kami w kieszeniach, gapiąc się na nią przez te cudaczne okulary, wy-glądał naprawdę groźnie.

Joannę odsunęła wazy na bok i jeszcze raz wyjrzała przez okno. Ani śladu intruza. Mimo to miała ochotę jak najprędzej opuścić pra-cownię, iść do kwiaciarni, przejrzeć poranne rachunki i pogadać ze sprzedawczyniami, dopóki nie zjawi się Kevin. Narzuciła płaszcz i po chwili wahania wyszła tylnymi drzwiami. Rozejrzała się po uli-cy. Ani śladu mężczyzny w okularach. Ruszyła na zachód w stronę Broadwayu - tam, gdzie skierował się nieznajomy.

Weszła w plamę słonecznego blasku, niemal czując na skórze gorąco. Oślepiąca ja-snym światłem zmrużyła oczy i przystanęła, nie widząc wyraźnie uli-cy przed sobą. Nie chciała przechodzić obok uliczki między domami. Może mężczyzna właśnie tam się ukrył i czekał na nią?

76

postanowiła pójść w przeciwną stronę, na wschód, i dotrzeć na broadway przez Prince Street.

Wprawdzie panował tam mniejszy ruch, ale przynajmniej nie będzie musiała mijać żadnych

alejek. Otuliła się szczelniej płaszczem i ze spuszczoną głową szybkim krokiem ruszyła przed siebie. Niebawem zapomniała o grubym mężczyźnie i znów zaczęła myśleć o Kevinie.

Dennis Baker pojechał do centrum złożyć meldunek o postępkach śledztwa, a reszta zespołu wróciła do badania dowodów.

Kiedy zadzwonił telefon z faksem, Rhyme z nadzieją spojrział na urządzenie, spodziewając się nowych informacji. Wiadomości były jednak adresowane do Amelii Sachs. Rhyme przyglądał się jej uważnie, gdy czytała. Znal ten wyraz twarzy. Przypominała psa gończego, który zwietrzył lisa.

-

Co to jest, Sachs?

Pokręciła głową.

-

Analiza dowodów z domu Bena Creeleya w Westchester. Odcisków nie ma w bazie IAFIS, ale na narzędziach przy kominku i biurku Creeleya były ślady skórzanych rękawiczek. Kto otwiera szuflady biurka w rękawiczkach?

Oczywiście nie istnieje żadna baza danych odcisków rękawiczek, lecz gdyby Sachs znalazła u podejrzanego parę odpowiadającą wzorowi śladów, byłaby to solidna poszlaka, prawie tak dobra jak wyraźny odcisk linii papilarnych.

Czytała dalej.

- Błoto, które znalazłam przed kominkiem, ma inny skład niż ziemia na podwórku Creeleya. Większa zawartość kwasu i jakieś zanieczyszczenia. Jak gdyby pochodziło z jakiegoś terenu przemysłowego.

W kominku były też ślady palonej kokainy - ciągnęła Sachs. Spojrzała na Rhyme'a, uśmiechając się krzywo. - Pech, że ofiara w mojej pierwszej sprawie nie jest takim niewiniątkiem, jak się zdawało.

Rhyme wzruszył ramionami.

Wszystko jedno, zakonnica czy handlarz prochów, morderstwo to morderstwo. Co masz jeszcze?

Popiół z kominka - w laboratorium niewiele udało się odzyskać, ale znaleźli to. - Pokazała mu zdjęcie dokumentów finansowych, fragmentu arkusza kalkulacyjnego albo księgi rachunkowej, gdzie figurowały kwoty milionów dolarów. - Znaleźli tu część jakiegoś logo. Technicy ciągle sprawdzają, co to może być. Wysłali te wpisy do biegłego księgowego, żeby coś z tego spróbował zrozumieć.

Znaleźli jeszcze kartkę z jego kalendarza. Jest tam coś o wymianie oleju w samochodzie i wizycie u fryzjera - nawiasem mówiąc, nie Ogląda na plan tygodnia, w którym ktoś zamierza popełnić samobójstwo... Dzień przed śmiercią poszedł do „Tawerny St. James”.

~ Pokazała odnalezioną stronę z kalendarza.

W notatce od Nancy Simpson była informacja o lokalu.

77

To bar na Dziewiątej Wschodniej. Podejrzana okolica. Po co bogaty księgowy miałby tam chodzić? Dziwne.

Niekoniecznie.

Zerknęła na Rhyme'a, a potem odeszła w kąt pokoju. Zrozumiał sygnał i ruszył za nią czerwonym wózkiem Storm Arrow.

Sachs kucnęła obok niego. Rhyme zastanawiał się, czy weźmie go za rękę (odkąd częściowo

odzyskał czucie w palcach i nadgarstku prawej dłoni, trzymanie się za ręce nabrało dla nich ogromnego znaczenia). Ale ich życie osobiste i zawodowe dzieliła bardzo wąska granica, a Sachs w tym momencie chciała rozmawiać wyłącznie o pracy.

Rhyme - szepnęła.

Wiem, co...

Daj mi dokończyć.

Chrząknął.

Muszę prowadzić to śledztwo. \_

- Pomyśl o priorytetach. Sachs, twoja sprawa jest starsza niż sprawa Zegarmistrza. Nawet gdyby Creeley został zamordowany, to prawdopodobnie nie była robota seryjnego sprawcy. Zegarmistrz jest seryjny. Musi być ważniejszy. Dowody w sprawie Creeleya zaczekają, dopóki nie zgarniemy naszego.

Pokręciła głową.

Nie sądzę, Rhyme. Uruchomiłam już całą maszynę. Zaczęłam wypytywać. Dobrze wiesz, jak to działa. Wiadomość szybko się rozejdzie. Możliwe, że już zaczęły znikać dowody i podejrzani.

A Zegarmistrz pewnie bierze na cel nową ofiarę. Albo nawet już ją zabija... Możesz mi wierzyć, że jeżeli dojdzie do następnego; morderstwa, a my odłożymy sprawę na bok, solidnie za to oberwiemy. Baker mówił, że prosiła o nas sama góra.

Będą nalegać...

-

Niczego nie odkładam. Jeżeli będzie nowe miejsce, pojedę i zrobię oględziny. Jeżeli Bo Hauniann zorganizuje jakąś akcję, wejdę razem z jego brygadą.

Rhyme teatralnie uniósł brew.

- Akcję? Żeby dostać deser, najpierw trzeba zjeść jarzynki.

Zaśmiała się i nagle Rhyme poczuł na dłoni jej dotyk.

-

Daj spokój, zejdź na ziemię. Żaden gliniarz nie prowadzi tylko jednego dochodzenia. Większość biur w kryminalnym ugina się

od papierów. Dam sobie radę z dwiema sprawami naraz.

Rhyme zawahał się przez chwilę, czując dziwny niepokój, którego nie potrafił wytłumaczyć.

- Miejmy

nadzieję, Sachs - powiedział. - Miejmy nadzieję.

Lepsze błogosławieństwo nie przychodziło mu do głowy.

Rozdział 8

B

ył tutaj? Amelia Sachs, stojąc przy cuchnącym moczem klombie, z którego wystawała uschnięta żółta łądyga, zaglądała do baru przez brudną szybę.

Znając adres, spodziewała się, że to będzie nędzna knajpa, ale nie aż tak. Sachs stała przed

„Tawerną St. James” na wystającym z chodnika trójkątnym fragmencie pękniętej betonowej płyty.

Bar znajdował się przy Dziewiątej Wschodniej, w części miasta, którą nazywano Alphabet City, ponieważ z północy na południe przebiegały przez nią aleje oznaczone literami A, B, C i D. Przed kilku laty okolica budziła strach, będąc jedną z miejskich pustyń Lower East Side opanowanych przez miejscowe gangi. Od niedawna zaczęła wyglądać nieco lepiej (dawne meliny narkomanów

przeobrażały się w odremontowane drogie domy z widokiem), mimo to w dzielnicy wciąż panowały prawa dżungli; w śniegu u swoich stóp Sachs zobaczyła wyrzuconą igłę od strzykawki, a na parapecie piętnaście centymetrów od jej twarzy leżała łuska po dziewięciomilimetrowym po-cisku.

Czego, u licha, mógł tu szukać dzień przed śmiercią zamożny księgowy i inwestor, właściciel dwóch domów i bmw, Benjamin Creeley?

O tej godzinie obskurna knajpa nie była jeszcze zbyt zatłoczona. Przez zarośnięte brudem okna Sachs dojrzała kilkoro miejscowych weteranów siedzących za barem i przy stolikach: tęgie kobiety i chudy mężczyźni, którzy większość dziennej porcji kalorii czerpali z butelki. W mniejszej sali w głębi siedziało czterech białych mężczyzn ubranych w dżinsy, drelichowe kombinezony i koszule robocze. Zachowywali się dosyć głośno - nawet przez szyby Sachs słyszała ich podniesione głosy i gromki śmiech. Natychmiast pomyślała o gówniarzach spędzających długie godziny w mafijnych klubach. Niektórzy bywali mało rozgarnięci, niektórzy leniwi, ale każdy był niebezpieczny. Jeden rzut oka na mężczyznę wystarczył, by odgadła, że nie zawaha się skrzywdzić człowieka.

79

Sachs weszła do speluny i znalazła wolne miejsce przy krótszym boku baru w kształcie litery L, gdzie była mniej widoczna. Za kontuarzem stała mniej więcej pięćdziesięcioletnia kobieta o wąskiej twarzy i czerwonych palcach, z włosami natapirowanymi jak u gwiazdy muzyki country. Wydawała się znużona życiem. Ale nie dlatego, że już wszystko widziała -

pomyślała Sachs; dlatego, że nie widziała niczego poza takimi knajpami.

Zamówiła dietetyczną colę.

Hej, Sonja! - zawołał ktoś z sali. W brudnym lustrze wiszącym za

barem Sachs zobaczyła, że głos należy do blondyna ubranego w wyjątkowo obcisłe dżinsy i skórzaną kurtkę. Miał szczurzą twarz i chyba spo-

ro już wypił. - Dickey ma na ciebie ochotę. Ale się wstydzi. Chodź do nas. Chodź i pogadaj z naszym wstydliwym chłopcem.

Odpierdol się - odkrzyknął ktoś inny. Prawdopodobnie Dickey, Sonja, chodź, skarbie! Usiądź wstydliwemu chłopcu na kolanach. Zobaczysz, jak wygodnie. Nic nie wystaje.

Gruchnął śmiech. Sonja zdawała sobie sprawę, że sama też jest obiektem niewybrednych żartów, mimo to dzielnie zawołała:

-

Dickey? Jest młodszy od mojego syna.

- To

się dobrze składa - wszyscy wiedzą, jaki z niego matkojebca.

Znowu ryknęli śmiechem.

Oczy Sonji napotkały wzrok Sachs i szybko uciekły w bok, jak gdyby barmanka została przyłapana na udzielaniu pomocy wrogowi.! Na szczęście jednak pijanym zwykle szybko przechodzi zarówno euforia, jak i skłonność do okrucieństwa, więc niebawem wrócili do kpin i wulgarnych żartów. Sachs pociągnęła łyk coli i spytała Sonję:]

- Jak

leci?

Kobieta odpowiedziała beztróskim uśmiechem.

-

Świetnie.

Widocznie nie oczekiwała współczucia, zwłaszcza od młodszej i ładniejszej kobiety, która nigdy nie obsługiwała podobnej klienteli.

W porządku. Sachs przystąpiła do rzeczy. Dyskretnie mignęła od-] znają, a potem pokazała zdjęcie Benjamina Creeleya.

Pamięta pani, czy tu bywał?

On? Tak, parę razy. A o co chodzi?

Znała go pani?

Właściwie nie. Kilka razy nalewiałam mu drinka. Pamiętani, że zamawiał wino. Czerwone. Mamy okropnego sikacza, ale pił. Porządny ]

gość. Nie tak jak niektórzy. - Nie musiała zerkać w stronę sali, by dać do zrozumienia, kogo ma na myśli. - Ale od jakiegoś czasu nie przychodzi. Może od miesiąca. Ostatnim razem strasznie się z kimś pokłó-] cii. Dlatego wydaje mi się, że już nie wróci.

Co się stało?

Nie wiem. Usłyszałam krzyki, a zaraz potem wypadł stąd jak] rakieta.

80

Z kim się kłócił?

Nie widziałam. Słyszałam tylko.

Widziała pani, żeby kiedyś miał jakieś narkotyki?

-Nie.

Słyszała pani, że popełnił samobójstwo?

Sonja wlepiała w nią zdumione spojrzenie.

Bez kitu.

prorowadzimy dochodzenie w tej sprawie... Będę wdzięczna, jeżeli zachowa pani naszą rozmowę dla siebie.

Jasne.

Może mi pani cokolwiek o nim powiedzieć?

Boże, nie wiem nawet, jak się nazywał. Był tu najwyżej trzy ra-zy. Miał jakąś rodzinę?

Owszem, miał.

To pech. To kiepsko.

Żonę i kilkunastoletniego syna.

Sonja pokręciła głową i po chwili dodała:

Może Gerte lepiej go znała. Też pracuje za barem. Częściej niż ja.

Jest tutaj?

Nie, powinna przyjść za jakiś czas. Mam jej powiedzieć, żeby do pani zadzwoniła?

Proszę mi dać jej telefon.

Kobieta zapisała numer na kartce. Sachs pochyliła się nad barem i pokazując na zdjęcie Creeleya, spytała:

Nie pamięta pani, czy spotykał się tu z kimś konkretnym?

Wiem tylko, że chodził tam, gdzie oni przesiadują. - Ruchem głowy wskazała salę w głębi.

Milioner i typy spod ciemnej gwiazdy? Może to dwaj z nich wla-mali się do domu Creeleyów w Westchester i upiekli sobie kokę w kominku?

Sachs zerknęła w lustro, przyglądając się stolikowi, przy którym siedzieli mężczyźni. Wałały się

na nim butelki, popielniczki i ogryzione skrzydełka kurczaka. Faceci musieli należeć do jakiegoś gangu. Może byli młodymi hersztami w organizacji. W całym mieście funkcjonowały różne małe rodziny Soprano. Należeli do nich zwykle drobni przestępcy, lecz często mniejsze grupy były bardziej niebezpieczne niż tradycyjna mafia, która unikała krzywdzenia niewinnych cywilów i trzymała się z daleka od cracku, amfy i ciemnych interesów. Sachs próbowała się oswoić z myślą, że Benjamin Creeley miał kontakty z gangami. To było trudne zadanie.

- Widziała pani u nich trawę, kokę - jakiegokolwiek narkotyki?

Sonja przecząco pokręciła głową.

-Nie.

Sachs nachyliła się jeszcze bliżej, pytając szeptem: Wie pani, do jakiej grupy należą?

Grupy?

81

Tylko na mechanizmie. Zegary nie mają numerów seryjnych.

Dobra, dzwoni - poleciał Rhyme.

Ja? - zdumiał się Pułaski.

-Aha. Ty.

Mam zadzwonić...

Do producenta i podać mu numery seryjne mechanizmów.

Pułaski skinął głową.

I sprawdzić, czy mają informacje, do którego sklepu trafiły te egzemplarze.

W stu procentach słusznie - przytaknął Rhyme.

Nowy wyciągnął telefon i wybrał numer podany przez Coopera.

Oczywiście morderca wcale nie musiał być nabywcą. Możliwe, że ukradł zegary ze sklepu.

Albo z czyjegoś domu. Możliwe, że kupił je z drugiej ręki na jakiejś wyprzedaży.

Ale słowo „możliwe” to nieodłączny element kryminalistyki, pomyślał Rhyme.

Trzeba od czegoś zacząć.

ZEGARMISTRZ

-

Do jakiego gangu. Kto jest ich szefem, komu podlegają? Wie pani coś?

Sonja przez chwilę się nie odzywała. Popatrzyła na Sachs, sprawdzając, czy mówi poważnie, po czym wybuchnęła śmiechem.

- Nie

są z żadnego gangu. Myślałam, że pani wie. To gliny.

Wreszcie od pirotechników przywieziono zegary - wizytówki Ze-garmistrza - z wystawionym świadectwem zdrowia.

- Och,

naprawdę nie znaleźli w środku żadnej mikroskopijnej broni masowego rażenia? - zapytał kąśliwie Rhyrae. Był zły, że nie dostał ich od razu - większe ryzyko zanieczyszczenia - i że tak długo musiał na nie czekać.

Pułaski podpisał karty ewidencyjne i posterunkowy, który przywiózł zegary, wyszedł.

-

Obejrzymy je sobie - rzekł Rhyme, podjeżdżając wózkiem do stołu, gdy Cooper wyciągał zegary z plastikowych torebek.

Były identyczne, jeśli nie liczyć faktu, że podstawę zegara znalezionego na pirsie pokrywała warstwa zaskorupiałej krwi. Wyglądały na stare - nie były zasilane elektrycznie; nakręcało się je ręcznie, ale składały się ze współczesnych elementów. Mechanizmy spoczywały w szczelnie zamkniętych skrzynkach, które otworzyli pirotechnicy, mimo to obydwie zegary chodziły i pokazywały właściwą godzinę. Obudowy były z pomalowanego na czarno drewna, cyferblaty z białego metalu stylizowanego na antyk. Godziny oznaczono na nich cyframi rzymskimi, a czarne wskazówki były zakończone ostrymi strzałkami. Zegary nie miały wskazówek sekundowych, lecz głośno tykały.

Najbardziej niezwykłym szczegółem było duże okienko w górnej części tarczy ukazujące krążek, na którym namalowano fazy księżyca. Pośrodku okienka widniała pełnia z widmową ludzką twarzą o złowrogim spojrzeniu i wąskich ustach.

„Zimny Księżyc stoi w pełni...”

Cooper jak zwykle dokładnie zbadał zegary i zameldował, że nie ma na nich odcisków linii papilarnych, ale znalazł minimalne ilości mikrośladów pasujących do próbek zebranych przez Sachs w obu miejscach, co oznaczało, że żadna z drobin nie pochodziła z samochodu ani mieszkania Zegarmistrza.

Kto jest producentem?

Arnold Products. Z Framingham w Massachusetts. - Cooper wstukał nazwę do wyszukiwarki Google i po chwili odczytał ze strony internetowej: - Sprzedają zegary, artykuły skórzane, akcesoria biurowe i upominki. Towar z górnej półki. Żadna tandeta. Kilkanaście modeli zegarów. Ten się nazywa „Victorian”. Mosiężny mechanizm, dębowe drewno, wzorowany na brytyjskim zegarze z dziewiętnastego wieku. W hurcie kosztuje pięćdziesiąt cztery dolary. Nie sprzedają go

w detalu. Trzeba kupować u pośrednika.

Numery seryjne?

MIEJSCE ZDARZENIA NR 1

Lokalizacja:

•

Pirs na przysłani remontowe) nad

Hudsonem, 22 Ulica.

Mara:

Tożsamość nieznana.

Mężczyzna.

Prawdopodobnie w średnim wieku lub starszy, mógł cierpieć na chorobę wieńcową (obecność Środka przeciwkrzepliowego we krwi).

! Brak śladów innych leków,

iniekcji czy schorzenia. ' Nurkowie straży przybrzeżnej i ESU

szukają ciała i dowodów ' Zatoce Nowojorskiej.

Sprawdzanie zgłoszeń

o zaginionych.

Sprawca:

niżej.

^ operandi: ' Sprawca zmusił ofiarę, żeby wspiął się na pomost i zawisła nad podcięciem jej nadgarstki palce i ofiara wpadła do rzeki.

• Godzina

napaści: między 18  
w poniedziałek a 6 we wtorek.

Dowody:

Krew grupy ABRh+.

Oderwany paznokieć,  
nielakierowany, szeroki.

Fragment siatkowego  
ogrodzenia przeciętego zwykłymi  
nożycami do drutu, nie  
do zidentyfikowania.

Zegar. Patrz niżej.

Wiersz. Patrz niżej.

Ślady paznokci na pomoście.

Brak dostrzegalnych śladów, brak  
odcisków palców, brak śladów  
butów i kół! samochodu.

MIEJSCE ZDARZENIA NR 2

Lokalizacja:

Uliczka przy Cedar Street,  
niedaleko Broadwayu, za trzema  
budynkami handlowymi (tylne  
wyjścia zamykane między  
20:30 a 22) i jednym budynkiem  
administracyjnym (tylne wyjście  
zamykane o 18).

Uliczka jest ślepa. Szerokość

83

cztery i pół metra, długość trzydzieści dwa metry, wybrukowana, ciało znaleziono pięć metrów  
od Cedar Street.

Ofiara:

Theodore Adams.

Mieszkał w Battery Park.

Copywriter, wolny strzelec.

Brak informacji o wrogach.

Brak nakazów, stanowych  
i federalnych.

Nie ustalono żadnych związków  
z osobami pracującymi  
w budynkach wokół uliczki.

Sprawca:

Zegarmistrz.

Mężczyzna.

W bazach danych brak informacji



o Zegarmistrzu.

Modus operandi:

Ofiara wywleczona z samochodu na uliczkę, gdzie zawieszono nad nią żelazną sztabę. Sztaba zmiażdżyła jej szyję.

Oczekiwanie na raport koronera w celu potwierdzenia przyczyny śmierci.

Brak dowodów czynności seksualnych.

Godzina zgonu:

między 22:15 a 23 w poniedziałek. Czas potwierdzi koroner.

Dowody:

- Zegar.

- Brak

materiałów wybuchowych, środków chemicznych i biologicznych.

Identyczny z zegarem na piersi.

Brak odcisków palców,

minimalna ilość mikrośladów.

Arnold Products, Framingham, Massachusetts.

Telefon do producenta w celu ustalenia dystrybutorów i sprzedawców detalicznych.

- 

Wiersz pozostawiony przez sprawcę w obu miejscach.

84

Drukarka komputerowa, zwykły papier, toner HP LaserJet.

Tekst:

Zimny Księżyc stoi w pełni, w jego blasku ziemi trup. Czas wędrówki się dopełnił, drogi kres wyznacza grób.

Zegarmistrz

Brak w bazach danych poezji;

prawdopodobnie autorstwa sprawcy.

Zimny Księżyc to nazwa miesiąca księżycowego, miesiąc śmierci.

60 dolarów w kieszeni,

brak tropów dot. numerów

seryjnych; brak odcisków palców w bazach danych.

Drobny piasek użyty jako „środek maskujący”, zwykły. Zamierza wrócić na miejsce zbrodni?

Metalowe sztaba. 37 kg. piaski łącznik oczkowy. Nieużywany na budowie naprzeciwko uliczki. Nie ustalono innych źródeł pochodzenia.

Taśma izolacyjna, zwykła. precyzyjnie pocięta na odcinki identycznej długości - niespotykane.

W piasku ślady siarczanu talu (trutki na szczury),

Ziemia z rybim białkiem na wewnętrznej stronie kurtki ofiary.

Znikoma ilość mikrośladów.

Brązowe włókna, prawdopodobnie z wykładziny samochodowej.

Inne:

- Samochód.

- 

Prawdopodobnie ford explorer, trzyletni. Brązowa wykładzina.

\*

Po sprawdzeniu numerów rejestracyjnych samochodów zaparkowanych w okolicy

we wtorek rano nie ujawniono żadnych nakazów. W poniedziałek wieczorem nie wypisano żadnych mandatów.

- 

Konsultacja z obyczajówką w sprawie prostytutki, w związku z zeznaniem świadka.

W każdym miejskim samorządzie działa sieć kumpli, skomplikowana struktura oparta na pieniądzu, protekcji i władzy, rozciągająca się jak pajęczyna na wszystkich szczeblach hierarchii służbowej i łącząca polityków z urzędnikami, biznesmenów z przywódcami związkowymi i pracownikami... Sięga wszędzie.

Nowy Jork nie stanowi oczywiście wyjątku od tej reguły, ale sieć kumpli, w którą wplątała się właśnie Amelia Sachs, miała jedną szczególną cechę: głównym graczem była w niej kumpela - kobieta. Miała pięćdziesiąt kilka lat i była ubrana w granatowy mundur z mnóstwem ozdób - naszywek, baretek, odznak i galonów. W klapie tkwiła obowiązkowa miniaturka flagi Stanów Zjednoczonych. (Podobnie jak politycy, przedstawiciele dowództwa nowojorskiego departamentu

pokazujący się publicznie musieli nosić znaczek z gwiazdzistym sztandarem).

Ciemne, przyprószone siwizną włosy nosiła obcięte na pazia, a na jej pociągłej twarzy malował się wyraz głębokiej powagi.

Marilyn Flaherty była inspektorem, jedną z niewielu kobiet w departamencie, które awansowały do tej rangi (stopień inspektora przewyższał kapitana). Pełniła funkcje starszego oficera w wydziale operacyjnym. Ten szczebel dowództwa podlegał bezpośrednio komendantowi departamentu policji. Wydział operacyjny miał różne zadania, między innymi współpracę z innymi organizacjami i instytucjami podczas ważnych wydarzeń w mieście -

zaplanowanych, takich jak wizyty dygnitarzy, oraz niespodziewanych, jak atak terrorystyczny. Do obowiązków Flaherty należało przede wszystkim występowanie w roli łącznika między policją a ratuszem.

Flaherty przeszła długą drogę awansu, podobnie jak Sachs (tak się składało, że obie wychowały się w tych samych okolicach Brook-lynu). Inspektorka najpierw pracowała w służbie patrolowej - krążyła po rewirze - potem w biurze detektywów, wreszcie została komendantką posterunku. Surowa i oschła, o imponującej sylwetce - budziła respekt pod każdym względem. Miała dość zręczności i odwagi, by nauczyć się poruszać po polu minowym, jakie czeka każdą kobietę na najwyższych stanowiskach w organach ścigania.

Aby się przekonać, że odniosła sukces, wystarczyło rzucić okiem na ścianę zawieszoną zdjęciami przyjaciół: miejskich urzędników, szefów związków, zamożnych inwestorów budowlanych i biznesmenów. Jedna z fotografii przedstawiała Flaherty w towarzystwie sta-tecznego łysego mężczyzny na werandzie letniego domu. Na innym inspektorka była w Metropolitan Opera, trzymając pod rękę człowieka, którego Sachs rozpoznała - był to biznesmen bogaty jak Donald Trump. Jeszcze jednym dowodem jej sukcesu był gabinet rozmiarów całej nowojorskiej komendy głównej, w którym teraz sifidzieli; inspektorze Flaherty przydzielono ogromny pokój narożny 1 widokiem na zatokę. Żaden inny ze znanych Sachs inspektorów nie mógł się poszczycić takim ładnym gniazdkiem.

85

Sachs siedziała naprzeciwko Flaherty, po drugiej stronie jej lśniącej, szerokiego biurka.

Poza nimi w gabinecie był jeszcze Robert Wallace, wiceburmistrz. Jego mięsista twarz wyrażała pewność siebie, a siwe włosy były nienagannie ułożone w klasyczną fryzurę polityka.

-

Jest pani córką Hermana Sachsa - powiedziała Flaherty. Nie czekając na odpowiedź, spojrzała na Wallace'a. - Funkcjonariusz służby patrolowej. Dobry policjant. Byłam na uroczystości, kiedy został odznaczony.

Jej ojciec był wielokrotnie odznaczony. Sachs zastanawiała się, które z jego wyróżnień ma na myśli inspektorka. Za tamto zdarzenie, kiedy nakłonił pijanego mężczyznę, żeby odłożył nóż, który przykładał do szyi własnej żony? Za interwencję w sklepie, do którego wpadł przez witrynę i rozbroił rabusia, mimo że nie był na służbie? Za odebranie porodu w kinie Rialto, gdzie pewna Latynoska zaczęła rodzić, jęcząc i wijąc się w bólach na zaśmieconej popcornem podłodze, podczas gdy na ekranie Steve McQueen ścigał bandytów?

-

O co właściwie chodzi? - zapytał Wallace. - Podobno funkcjonariusze policji są zamieszani w jakieś przestępstwa.

Flaherty utkwiała stalowoszare oczy w Sachs i przyzwalająco skinęła głową. Do dzieła.

Nie można tego wykluczyć... W grę wchodzi narkotyki. I podejrzana śmierć.

Niech pani mówi - rzekł Wallace, z westchnieniem przeciągając sylaby i krzywiąc się. Był biznesmen z Long Island po objęciu funkcji w zarządzie miasta został jego specjalnym pełnomocnikiem i do zwalczania korupcji w nowojorskiej administracji. Robił to skutecznie i bezwzględnie; tylko w ciągu zeszłego roku doprowadził do ujawnienia kilku poważnych oszustw wśród inspektorów budowlanych i urzędników związku nauczycieli. Wiadomość o skorumpowanych policjantach wyraźnie go zaniepokoiła.

Ale pokryta zmarszczkami twarz Flaherty pozostawała nieprzerwanie nienacka.

Pod badawczym spojrzeniem inspektorki Sachs opowiedziała o samobójstwie Benjamin Creeleya, które wydało się jej podejrzane z powodu jego złamanego kciuka. Wspomniała o spalonych dachach w jego domu, śladach kokainy i prawdopodobnym związku ze sprawą gliniarzy odwiedzających „St. James”.

-

To funkcjonariusze ze Sto Osiemnastego.

Czyli z posterunku numer 118 znajdującego się na East Village „Tawerna St. James”, jak ustaliła Sachs, była stałą knajpą załogi komisariatu.

- Kiedy

odwiedziłam bar, było ich tam czterech, ale od czasu do czasu przychodzą też pozostali. Nie mam pojęcia, z kim Creeley się spotykał. Z jednym, z dwoma czy z sześcioma z nich.

86

Zna pani ich nazwiska? - spytał Wallace.

Nie. Na razie nie chciałam zadawać zbyt wielu pytań. Nie potwierdziłam nawet informacji, czy Creeley w ogóle spotykał się z kimś z posterunku. Ale to bardzo prawdopodobne.

Flaherty dotknęła pierścienka z brylantem, który nosiła na środkowym palcu prawej dłoni.

Kamień był duży. Poza nim i grubą złotą bransoletką nie miała innej biżuterii. Inspektorka wciąż nie zdradzała żadnych emocji, lecz Sachs wiedziała, że ta wiadomość wzburzyła w niej najwyższy niepokój. Każdy sygnał o nieuczciwości gliniarzy przysparzał zarządowi miasta o dreszcz zgrozy, ale jeżeli sprawa dotyczyła Sto Osiemnastego, zapowiadały się poważniejsze kłopoty. Komisariat stanowił wizytówkę policji: wykazywał się wyższą liczbą aresztowań, a także większą liczbą ofiar wśród funkcjonariuszy niż pozostałe posterunki. Policjanci ze Sto Osiemnastego znacznie częściej niż z innych jednostek trafiali na wysokie stanowiska w Centrali-

- Kiedy

się dowiedziałam, że mogą istnieć związki między nimi a Creeleyem - ciągnęła Sachs - poszłam do bankomatu i wyciągnęłam dwieście dolarów.

Rozmieniłam je na wszystkie pieniądze, jakie były w kasie „St. James”. Niektóre banknoty na pewno pochodziły od tych funkcjonariuszy.

Dobrze. I sprawdziła pani numery seryjne. - Flaherty w roztargnieniu toczyła po blacie biurka pióro Mont Blanc.

Zgadza się. Numery nie były odnotowane ani w Departamencie Skarbu, ani Sprawiedliwości. Ale na prawie wszystkich banknotach analiza wykazała obecność kokainy. Na jednym heroiny.

Jezu - mruknął Wallace.

Nie należy wyciągać pochopnych wniosków - zauważyła Flaherty. Sachs skinęła głową,

wyjaśniając wiceburmistrzowi, co inspektorka ma na myśli: wiele będących w obiegu banknotów dwu-dziesięciodolarowych zawiera pewną ilość narkotyków. Ale fakt, że znaleziono ich ślad na prawie każdym z banknotów, którymi płacili gliniarze w „St. James”, dawał uzasadnione powody do obaw.

Taki sam skład jak kokaina znaleziona w kominku Creeleya?

- zapytała Flaherty.

Nie. Barmanka twierdzi, że nigdy nie widziała u nich narkotyków.

Ma pani jakikolwiek dowód, że ci funkcjonariusze mieli bezpośredni związek ze śmiercią Creeleya? - spytał Wallace.

Och, nie. Nie chcę tego nawet sugerować. Moim zdaniem, jeżeli w ogóle mieli z tym coś wspólnego, ich udział mógł polegać na skon-taktowaniu Creeleya z jakąś bandą. Potem Creeley płacił im za przemykanie oczu, jeśli prał brudne pieniądze, albo dawał im procent z handlu narkotykami. W zamian za to nie reagowali na żadne zgłoszenia związane ze sprawą i przeszkadzali w śledztwach prowadz<sup>o</sup>nych przez inne komisariaty.

87

Ma na koncie jakieś aresztowania?

Creeley? Nie. Dzwoniłam do jego żony. Nigdy nie zauważyła, że-by miał jakiś kontakt z narkotykami. Ale wielu narkomanów potra.

fi się świetnie maskować. Dilerzy na pewno bez trudu mogą utrzymać interes w tajemnicy, zwłaszcza jeżeli sami nie biorą towaru.

Inspektorka wzruszyła ramionami.

To oczywiście mogło być zupełnie niewinne zdarzenie. Może Creeley po prostu spotkał w barze jakiegoś znajomego, współnika w interesach. Wspomniała pani, że tuż przed śmiercią z kimś się tam pokłócił, tak?

Na to wygląda.

Powiedzmy, że poszło mu źle jakieś przedsięwzięcie. Na przykład transakcja nieruchomości. Być może kłótnia nie miała żadnego związku ze Sto Osiemnastym.

Sachs zdecydowanie pokiwała głową.

-

Naturalnie. To może być zbieg okoliczności, że „St. James” jest ulubioną knajpą policjantów. Creeley mógł zginąć, bo pożyczył pieniądze od niewłaściwych osób albo był świadkiem jakiegoś zdarzenia.

Wallace spojrzął przez okno na czyste i zimne niebo.

-

Skoro w grę wchodzi ofiara śmiertelna, powinniśmy się do tego ostro zabrać. Trzeba włączyć w sprawę wewnętrzny.

Wydział spraw wewnętrznych był najwłaściwszą jednostką do zba-dania przestępstwa z udziałem policji. Ale Sachs tego nie chciała, przy-najmniej nie w tym momencie. Zamierzała później przekazać im spra-wę, lecz dopiero wtedy, gdy sama przyskrzyni sprawcę.

Flaherty znów dotknęła pióra pokrytego żyłkowanym wzorem, ale zaraz cofnęła rękę.

Mężczyznom uchodzą różne bezmyślne na-wyki; kobiety nie mogą sobie na nie pozwolić, w każdym razie na pewno nie na takim stanowisku. Ujęła pióro palcami o wypiełgno-wanych, polakierowanych paznokciach i schowała je do górnej szu-flady biurka.

Nie, nie wewnętrzny.

Dlaczego? - zdziwił się Wallace.

Inspektorka pokręciła głową.

-

Jest za blisko Sto Osiemnastego. Mogłoby dojść do jakiegoś przecieku.

Wallace wolno pokiwał głową.

Skoro uważasz, że tak będzie lepiej.

Uważam.

Ale radość Sachs na wieść, że wewnętrzny nie odbierze jej sprawy, nie trwała długo.

Flaherty dodała:

- Znajdę u siebie kogoś, kto to poprowadzi. Kogoś starszego stopniem.

Sachs wahała się tylko krótką chwilę.

- Chciałabym kontynuować śledztwo, pani inspektor.

88

\_ Jest pani nowa - odparła Flaherty. - Nigdy nie miała pani do czynienia z dochodzeniami wewnętrznymi. - Najwyraźniej inspektorka >ż odrobiła zadanie domowe. -To zupełnie inny rodzaj śledztwa.

\_ Rozumiem. Ale poradzę sobie. - Sachs myślała: to ja zaczęłam sorawę- Ja doprowadziłam ją do tego etapu. Poza tym to moje pierwsze zabójstwo. Do diabła, nie dam go sobie odebrać.

- To

coś innego niż oględziny miejsca zdarzenia.

\_ Sama prowadzę sprawę zabójstwa Creeleya - powiedziała spokojnie- - Nie jestem pomocnikiem technicznym.

-Mimo to sądzę, że tak będzie najlepiej... Dlatego proszę mi przekazać wszystkie akta, wszystko, co pani ma.

Sachs nachyliła się nad biurkiem, wbijając w kciuk paznokiec palca wskazującego. Co mogła jeszcze zrobić?

W tym momencie wiceburmistrz zmarszczył brew.

Zaraz. Czy to pani współpracuje z tym byłym policjantem na wózku?

Z Lincolnem Rhyme'em. Zgadza się.

Zastanawiał się przez chwilę, a potem spojrzał na Flaherty.

Słuchaj, Marilyn, pozwólmy jej dalej nad tym pracować.

Dlaczego?

Ma doskonałą opinię.

Nie potrzeba nam doskonałych opinii. Potrzeba nam kogoś z doświadczeniem. Nie chciałam pani obrazić.

Nic nie szkodzi - odrzekła spokojnie Sachs.

-

To bardzo drażliwe sprawy. Mogą grozić wybuchem.

Wallace nie zamierzał jednak porzucić swojego pomysłu.

-

Burmistrzowi bardzo się to spodoba. Szczególnie fakt współpracy z Rhyme'em, który ma dobrą prasę. W dodatku jest cywilem.

Ludzie dojdą do wniosku, że detektyw Sachs prowadzi śledztwo samodzielnie.

Ludzie... czyli dziennikarze, zrozumiała Sachs.

Nie chcę żadnego wielkiego i głośnego śledztwa - powiedziała Flaherty.

Nie będzie wielkie - zapewniła ją szybko Sachs. - Pracuję tylko z jednym funkcjonariuszem.

Z kim?

Ze służby patrolowej. Nazywa się Ronald Pułaski. Jest dobry.

Miody, ale dobry.

Po chwili milczenia Flaherty spytała:

Jak zamierza się pani do tego zabrać?

Najpierw muszę się dowiedzieć czegoś więcej o związkach Creeleya ze Sto Osiemnastym i „St. James”. I o jego życiu - sprawdzę, Czy był inny powód, dla którego ktoś chciałby go zamordować. Chcę Porozmawiać z jego współnikiem. Może mieli jakieś kłopoty z klientami albo interesem. No i trzeba zbadać związki Creeleya z narkotykami.

89

Flaherty nie była do końca przekonana, ale oznajmiła:

-

Dobrze, spróbujmy w ten sposób. Ale proszę mnie o wszystkim informować. Tylko i wyłącznie mnie.

Sachs poczuła ogromną ulgę.

Oczywiście.

Proszę mnie informować telefonicznie albo osobiście. Żadnych e-maili ani notatek... - Flaherty zmarszczyła brwi. - Jeszcze jedno.

Czy prowadzi pani równoległe inne dochodzenia?

Żaden policjant nie osiągnąłby tak wysokiego stanowiska, gdyby nie miał szóstego zmysłu.

Flaherty zadała jej pytanie, którego Sachs miała nadzieję nie usłyszeć.

-

Pomagam w sprawie zabójstwa - Zegarmistrza.

Inspektor skrzywiła twarz.

-

Och, nie, w tej? Nie wiedziałam... W porównaniu z seryjnym za-bójcą problem „St. James” jest mniej ważny.

Usłyszała w myślach echo stów RhymeJa: twoja sprawa jest star-sza niż sprawa Zegarmistrza...

Wallace po chwili namysłu zerknął na Flaherty.

- Bądźmy dorośli. Co jest gorsze dla miasta? Człowiek, który za-bił parę osób, czy skandal w policji, który zaraz rozdmucha prasa, zanim zdążymy ją powstrzymać? Dziennikarze rzucają się na złych gliniarzy jak wilki na owce. Nie. Trzeba to załatwić. Jak najszybciej.

Sachs obruszyła się, słysząc uwagę wiceburmistrza - zabił parę osób - ale nie mogła zaprzeczyć, że mają ten sam cel. Chciała dopro-wadzić do końca sprawę Creeleya.

Po raz drugi tego dnia oświadczyła:

-

Dam sobie radę z dwiema sprawami. To na pewno nie będzie dla mnie żaden kłopot.

W jej głowie odezwał się sceptyczny głos: Miejmy nadzieję, Sachs.

Rozdział 9

A

melia Sachs zabrała Pułaskiego od Rhyme'a, który nie był zbyt zadowolony z tego porwania, choć młody posterunkowy nie miał w tym momencie nic szczególnego do roboty.

Ile da się z niego wycisnąć? - Pułaski dotknął deski rozdzielczej camaro SS rocznik 1969.

Kiedyś zmierzili mi trzysta jeden na godzinę.

Kurczę.

Lubisz samochody?

Raczej motocykle. W średniej szkole mieliśmy z bratem po mo-torze.

Do pary?

-Co?

Motory.

-A, dlatego, że jesteśmy bliźniakami. Nie, z nami było inaczej. Nigdy nie ubieraliśmy się tak samo. Mama chciała, ale i tak wygląda-liśmy dość głupio. Teraz się z nas śmieje - przez te mundury. W każ-dym razie, kiedy chcieliśmy mieć motory, nie było nas stać, żeby ku-pić na przykład dwie identyczne hondy 850. Zdobywaliśmy, co się dało, z drugiej albo trzeciej ręki.

- Uśmiechnął się szelmowsko. - Kiedyś w nocy, kiedy Tony spał, zakradłem się do garażu i zamieni-łem silniki. Nigdy się nie połapał.

- Ciągłe jeździsz?

-

Bóg daje człowiekowi wybór: dzieci albo motocykle. Tydzień po tym, kiedy Jenny zaszła w ciążę, jednemu szczęściarzowi z Queens trafił się fantastyczny moto guzzi za bardzo rozsądną cenę. - Wyszczerył zęby w uśmiechu. - Z wyjątkowo uroczym silnikiem.

Sachs parsknęła śmiechem. Po chwili wytłumaczyła mu plan ak--Ję. Chciała sprawdzić kilka tropów. Niedługo w „St. James” miała lf zjawić druga barmanka - Gerte - i Sachs musiała z nią porozma-"ać. Należało też wypytać współnika Creeleya, Jordana Kesslera, Sry wracał ze służbowego wyjazdu do Pittsburgha.

Najpierw czekało ich jednak inne zadanie.

~ Masz ochotę przeprowadzić tajną operację? - spytała.

91

Czemu nie?

Kilku ludzi ze Sto Osiemnastego mogło mnie widzieć w „St. James”, dlatego ty musisz tam iść. Ale nie będziemy ci zakładać żadnych podsłuchów pod ubranie. Nic z tych rzeczy. Nie zbieramy dowodów, tylko informacje.

Co mam zrobić?

Zajrzyj do mojej teczki. Leży na tylnym siedzeniu. - Gwałtownie zredukowała bieg, z lekkim poślizgiem pokonała zakręt i wyprostowała samochód. Pułaski podniósł teczkę z podłogi.

Mam.

Papiery są na samej górze.

Skinął głową, przeglądając dokumenty. Na urzędowo wyglądają-cym formularzu widniał nagłówek „Kontrola ewidencjonowania do-wodów niebezpiecznych”. Dołączono do niego notatkę z wyjaśnie-niem, że wprowadzono nową procedurę, zgodnie z którą należy przeprowadzać wyrywkowe kontrole niebezpiecznych dowodów ta-kich jak broń palna i substancje chemiczne, żeby sprawdzić, czy wszystko zgadza się z zapisem w rejestrach.

Nigdy o rym nie słyszałem.



Nie słyszałaś, bo sama to wymyśliłam. - Wytłumaczyła mu, że potrzebują wiarygodnego pretekstu, żeby przeniknąć do środka posterunku numer 118 i porównać ewidencję dowodów z ich faktycznym stanem.

Powiesz im, że sprawdzasz wszystkie dowody, ale zajrzyj tylko do spisu narkotyków skonfiskowanych w zeszłym roku. Zapisz dane sprawcy, datę, ilość i nazwiska aresztujących. Potem porównamy to z aktami w prokuraturze okręgowej z tych samych spraw.

Pułaski potakująco kiwał głową.

-1 będziemy wiedzieć, czy jakieś prochy zniknęły między datą ewidencjonowania a procesem albo ugodą... W porządku, dobry po-mysł.

Mam nadzieję. Nie musimy się dowiadywać, kto dokładnie je wziął, ale na początek wystarczy. No, ruszaj grać szpiega, - Zatrzymała się przecznicę przed Sto Osiemnastym, przy odrapanych kamienicach na East Village. - Dasz sobie radę?

Nigdy czegoś takiego nie robiłem. Ale co tam, spróbuję. - Zawahał się, patrząc w formularz, a potem głęboko nabrał powietrza i wysiadł z samochodu.

Kiedy oddalił się w stronę komisariatu, Sachs zadzwoniła do kilku zaufanych i dyskretnych kolegów z policji, FBI i DEA, pytając, czy na Sto Osiemnastym nie umorzono lub nie przeciągano w podejrzanych okolicznościach jakiegoś śledztwa w sprawie zabójstwa, przestępczości zorganizowanej lub narkotyków. Nikt nie słyszał o takim wypadku, ale według statystyki, mimo imponującej liczby dochodzeń z»' kończonych wyrokiem skazującym, posterunek prowadził bardzo mało spraw przestępczości zorganizowanej.

Mogłoby to świadczyć

92

o tym,

że detektywi kryli miejscowe gangi. Znajomy agent FBI powiedział jej, że odkąd dzielnica zyskała wyższy status, część tradycyjnej mafii znów zaczęła robić wypadki do East Village.

Następnie Sachs zadzwoniła do kolegi ze środkowego Manhattanu dowodzącego grupą specjalną rozpracowującą gangi. Dowiedziała się od niego, że na East Village działają dwie duże grupy - białych

1

Jamajczyków. Obie handlowały koką i amfą i na pewno bez wahania zlikwidowałyby niewygodnego świadka albo kogoś, kto próbował je oszukać czy nie płacił na czas. Mimo to zdaniem detektywa upozorowanie samobójstwa przez powieszenie nie było w stylu żadnego z dwóch gangów. Załatwiliby ofiarę na miejscu z maca-10 albo uzi, a potem skoczyli pokrzepić się red stripe'em albo jamesonem.

Niedługo potem wrócił Pułaski, niosąc jak zwykle obszerne notatki. Ten chłopak zapisuje wszystko, pomyślała Sachs.

- Jak

poszło?

Pułaski z trudem powstrzymywał uśmiech.

Chyba całkiem dobrze.

Coś wygrzebałeś, hm?

Wzruszenie ramion.

Na początku sierżant nie chciał mnie wpuścić, ale popatrzyłem na niego z groźną miną w stylu

„co ty sobie wyobrażasz, chcesz zadzwonić na komendę główną i powiedzieć im, że przez ciebie nie dostaną formularza?”. Zaraz ustąpił. Zaskoczył mnie.

Dobra robota. - Sachs stuknęła pięścią jego dłoń, widząc na twarzy młodego człowieka wyraźne zadowolenie z wypełnionej misji.

Sachs uruchomiła silnik i wyjechali z East Village. Kiedy uznała, że oddalili się już od posterunku na bezpieczną odległość, zatrzymała się i zaczęli porównywać listy.

Po dziesięciu minutach znali już wyniki. Ilości narkotyków wpisane do ewidencji na komisariacie i odnotowane w aktach prokuratury były bardzo zbliżone. W ciągu całego roku zniknęło tylko niecałych dwieście gramów trawki i sto gramów kokainy.

- W

żadnej ewidencji dowodów nie zauważyłem śladów fałszerstwa - rzekł Pułaski. - Pomyślałem sobie, że warto na to zwrócić uwagę.

A więc nie wchodził w grę jeden z przypuszczalnych motywów - że bywalcy „St. James” i Creeley handlowali narkotykami podprowadzonymi z posterunku numer 118. Brak niewielkiej ilości można było wytłumaczyć koniecznością pobrania próbek do analizy, przypadkowym rozsypaniem albo niedokładnym zapisem na miejscu "darzenia.

Jeżeli nawet gliniarze nie podkradali dowodów, nie oznaczało to jeszcze, że nie handlowali prochami. Może zdobywali narkotyki bezpośrednio z jakiegoś źródła. Albo zgarniali je tuż po aresztowaniu W zanim odnotowali ilość skonfiskowanego towaru. Być może Creeley był ich dostawcą.

93

Pierwsza operacja Pułaskiego w roli tajnego agenta przyniosła odpowiedź na jedno pytanie, ale pozostawało wiele innych.

-

Dobra, Ron, jedziemy dalej. Powiedz, kogo wolisz, barmankę czy biznesmena?

Wszystko mi jedno. Może rzucimy monetą?

Zegarmistrz najprawdopodobniej kupił je w sklepie „Zegary Hallersteina” - oznajmił Cooper, odkładając słuchawkę. -W okolicach Flatiron.

Zanim Sachs zabrała Pułaskiego, by pomógł jej przy sprawie Creeleya, posterunkowy znalazł hurtownika Arnold Products na Północny Wschód. Właśnie zadzwonił dyrektor firmy dystrybucyjnej z informacją, którą Cooper przekazał Rhyme'owi i Sellittowi.

Szef hurtowni nie prowadził rejestru numerów seryjnych, ale jego zdaniem, jeżeli zegary rzeczywiście kupiono w Nowym Jorku, to na pewno u Hallersteina prowadzącego jedyny punkt sprzedaży produktów Arnolda w mieście. Sklep znajdował się w południowej części środkowego Manhattanu, zawdzięczającej swoją nazwę historycznemu trójkątnemu budynkowi u zbiegu Piątej Alei i Dwudziestej Trzeciej Ulicy, który kształtem przypominał staroświeckie żelazko podgrzewane na piecu\*.

- Sprawdź ten sklep - polecił Rhyme.

Cooper poszukał w sieci. Hallerstein nie miał własnej witryny internetowej, ale nazwa pojawiała się na kilku stronach oferujących antyczne zegary i zegarki. Firma działała od lat.

Właściciel nazywał się Victor Hallerstein i nie był notowany. Sellitto włączył blokadę identyfikacji numeru dzwoniącego i zatelefonował do niego, nie przedstawiając się i pytając tylko o godziny otwarcia sklepu. Udając, że już tam był, spytał, czy rozmawia z Hallersteinem. Usłyszał

odpowiedź twierdzącą. Detektyw podziękował i się rozłączył.

- Pojadę z nim pogadać. Zobaczymy, co ma do powiedzenia.

- Sellitto narzucił płaszcz. Lepiej gdy świadek nie spodziewa się wizyty policji. Gdyby został uprzedzony telefonicznie, zyskałby czas, by zmyślić jakieś kłamstwo, nawet jeśli nie miał nic do ukrycia.

Zaczekaj, Lon - powstrzymał go Rhyme.

Gruby detektyw odwrócił się w jego stronę.

A jeżeli nie sprzedał zegarów Zegarmistrzowi?

Sellitto przytaknął.

- Też mi to przyszło do głowy - jeżeli to on jest Zegarmistrzem albo jego współnikiem?

-

Albo sam wszystko wymyślił, a Zegarmistrz działa na jego zł«' cenie.

-

O tym też pomyślałem. Ale nie musisz się martwić, zabezpie-  
czyłem się na taki wypadek.

' Flatiron Building; ang. flatiron - dawne żelazko (przyp. tłum.).

Słuchając pulsujących dźwięków harfy celtyckiej, agentka Biura Śledczego Kalifornii Kathryn Dance w roztargnieniu patrzyła na ulicę dolnego Manhattanu przesuwające się za oknami taksówki, która zmierzała na lotnisko Kennedy'ego.

Patrzyła na bożonarodzeniowe dekoracje z kartonu i światełek.

Patrzyła też na zakochanych. Szli, trzymając się za ręce odziane w ciepłe rękawiczki. Mieli wolne i wybierali się na zakupy.

Rozmyślała o Billu. Zastanawiała się, czy spodobałby mu się No-wy Jork.

Zabawne, jak dobrze pamięta się najdrobniejsze rzeczy - nawet po dwóch i pół roku, choć w innych okolicznościach zdawałoby się, że to szmat czasu-Pani Swenson?

Kathryn Dance. Mój mąż nazywa się Swenson.

Ach, tak. Mówi sierżant Wilkins. Z policji drogowej.

Po co gliniarz z drogówki dzwonił do niej do domu i nie zwracał się do niej per agentko Dance?

Zawsze przejawiała antytalent kulinarny, a kiedy zadzwonił tele-fon, przygotowywała kolację, nucąc piosenkę Roberta Flack i stara-jąc się odgadnąć przeznaczenie jednej z końcówek robota kuchen-nego. Zamierzała ugotować zupę grochową.

Obawiam się, że mam coś do zakomunikowania, pani Dance. Cho-dzi o pani męża.

Trzymając w jednej dłoni słuchawkę, a w drugiej książkę kuchar-ską, zastygła w bezruchu, wpatrując się w przepis. Wciąż miała przed oczyma tamtą stronę z książki, choć przeczytała ją tylko raz. Pamiętała nawet podpis pod zdjęciem. „Zdrowa i smaczna zupa, któ-r3

przygotujesz błyskawicznie. I bardzo pożywna".

Potrafiła ugotować tę zupę z pamięci.

Chociaż nigdy jej się to nie udało.

Kathryn Dance wiedziała, że musi upłynąć jeszcze trochę cza-su, zanim rana się zagoi - takiego określenia użył wówczas psy-cholog. Ale zaczęła sobie uświadamiać, że nie miał racji, bo rany nigdy się nie goją- Blizna zarastająca ranę pozostaje blizną. Z cza-sem ból ustępuje uczuciu odrętwienia. Ale ciało zmienia się na zawsze.

Dance uśmiechnęła się do siebie, zauważywszy, że skrzyżowała i podwinęła stopy. Ekspert kinezyk doskonale wie, co oznacza-|13 takie gesty.

Ulice wyglądały identycznie - ciemne kaniony, szare i ciemnobrą-"we, gdziegdzie rozjaśnione blaskiem neonów: „Bankomat”, „Bar Uatkowy”, „Manicure 9,95 dolara”. Zupełne przeciwieństwo półwy-sPu Monterey, gdzie rosły sosny, dęby i eukaliptusy, a piaszczyste miej-.a urozmaicały sukulentki. Taksówka - cuchnący chevrolet - posuwała |? bardzo wolno.

Pacific Grove, gdzie mieszkała Kathryn, był małym Wasteczkiem wiktoriańskich domków, położonym dwieście kilome-95

trów na południe od San Francisco i zamieszkanym przez osiemnaście tysięcy osób.

Mieścinę, wtuloną między eleganckie Caramel a pracowi; te Monterey, rozslawione przez „Ulicę Nadbrzeżną” Steinbecka, moż na było przejechać mniej więcej w tym samym czasie, w jakim taksów. ka pokonała odległość czterech kwartałów.

Patrząc na ulice, Dance rozmyślała: fakt, że miasto jest ciemne i zatłoczone, panuje w nim wieczny chaos i szalony pośpiech... Mj. mo to lubiła Nowy Jork. (W końcu fanatycznie uwielbiała ludzi, a ni-gdzie nie widziała aż tylu w jednym miejscu). Zastanawiała się, jak na widok miasta zareagowałyby jej dzieci.

Nie miała wątpliwości, że Maggie byłaby wniebowzięta. Bez tru-du wyobraziła sobie, jak jej dziesięcioletnia córka stoi pośrodku Times Square i kręcąc głową na wszystkie strony, z zachwytem spo-gląda to na billboardy, to na przechodniów, ulicznych sprzedawców i teatry na Broadwayu.

A Wes? Z nim byłoby inaczej. Miał dwanaście lat i od śmierci ojca przeżywał ciężkie chwile.

W końcu jednak zaczął mu wracać humor i pewność siebie. Dance była już na tyle o niego spokojna, że postanowiła zostawić go pod opieką dziadków i pojechała do Meksyku, aby asystować w ekstradycji porywacza - był to jej pierwszy wyjazd zagraniczny od śmierci Billa.

Matka Dance za-pewniała ją potem, że Wes radzi) sobie doskonale podczas jej nie-obecności, więc zaplanowała seminarium, o które od roku prosiły ją departament nowojorski i policja stanowa.

Mimo to wiedziała, że nadal musi uważać na szczupłego, przy-stojnego chłopca o kręconych włosach i zielonych oczach, takich sa-mych jak jej. Wciąż od czasu do czasu pochmurniał, stawał się obo-jętny i na wszystkich się złościł. Na pewno jedną z przyczyn był okres dojrzewania, ale strata ojca w młodym wieku także zrobiła swoje. To typowe zachowanie, wyjaśnił psycholog, nie ma się czym martwić. Dance czuła jednak, że Wes dopiero za jakiś czas będzie gotów stawić czoło chaosowi Nowego Jorku, a nie chciała go do ni-czego zmuszać. Po powrocie do domu zapyta go, czy chciałby tu przy-jechać. Dance nie rozumiała rodziców, którzy uważali, że aby zro-zumieć pragnienia dzieci, potrzebują magicznych zaklęć albo psychoterapii. Przecież wystarczy tylko zapytać i uważnie wysłu-chać odpowiedzi.

Tak jest, Dance postanowiła, że jeśli Wes nie będzie miał nic przeciwko temu, zabierze tu dzieci w przyszłym roku na ferie przed Bożym Narodzeniem. Urodzona i wychowana w Bostonie Dance za największą wadę środkowego wybrzeża Kalifornii zawsze uważała brak pór roku. Pogoda była cudowna, ale w okresie świąt miało się ochotę poczuć szczypiące zimno na nosie i ustach, tęskniło się za j śnieżycami, trzaskającym ogniem w kominku i pajęczą siecią mrozu] na szybach.

Z rozmyślań wyrwało ją melodyjne ćwierkanie telefonu, które co chwilę się zmieniało (figle dzieci), ale zasada numer jeden - ni- gdy nie wyłączaj dzwonka w telefonie gliniarza - nigdy me została

złamana.

Zerknęła w okienko wyświetlacza na numer.

Hm, ciekawe. Tak czy nie?

Kathryn Dance uległa impulsowi i wcisnęła przycisk ODBIERA.

96

Rozdział 10

S

iedząc za kierownicą, gruby detektyw wiercił się nerwowo, dotykał brzucha i skubał kołnierzyk.

a

Kathryn Dance odczytywała mowę ciała Łona Sellitta, który prowadził nieoznakowanego fforda crown victorię - taki sam służbowy samochód miała w Kalifornii. Mknęli ulicami Nowego Jorku z włączonymi światłami ostrzegawczymi, ale bez syreny.

To on dzwonił do niej, gdy jechała taksówką, i jeszcze raz poprosił, aby pomogła im w śledztwie.

- Wiem, że masz samolot, wiem, że musisz wracać do domu, ale... i Wyjaśnił jej, że ustalili prawdopodobne źródło pochodzenia zegarów pozostawionych przez Zegarmistrza na miejscach przestępstw, i chcieli, żeby przesłuchała człowieka, który być może mu je sprzedał. Nie wykluczali możliwości, że mógł mieć jakiś związek z Zegarmistrzem, dlatego potrzebowali jej opinii.

Zgodziła się prawie bez wahania. Wcześniej żałowała, że tak szybko opuściła dom Lincolna Rhyme'a; Kathryn Dance nie chciała zostawiać niedokończonych spraw, nawet jeżeli sama jej nie prowadziła. Kazała taksówkarzowi zawrócić i pojechała do Rhyme'a, I gdzie czekał już na nią Lon Sellitto. Dance spytała go teraz: To był twój pomysł, żeby do mnie zadzwonić, prawda?

Jak to?

Na pewno nie Lincoln. Nie bardzo wie, co ma o mnie sądzić.

Trwająca sekundę cisza była wystarczająco jasną odpowiedzią, i

-

Świetnie poradziłaś sobie z tym świadkiem, Cobbem - rzekł Sellitto.

Dance uśmiechnęła się.

Owszem. Mimo to Lincoln nie bardzo wie, co o mnie sądzić.

Znów chwila milczenia.

Lubi swoje dowody.

Każdy ma jakąś słabość.

Detektyw parsknął śmiechem. Włączył syrenę i przejechali skrzyżowanie na czerwonym świetle.

98

Dance zerknęła na niego podczas drogi, zwracając uwagę na jego ręce i oczy, słuchając jego głosu. Według jej oceny Sellittowi naprawdę bardzo zależało na schwytaniu Zegarmistrza, a inne sprawy, jakie z pewnością czekały już na jego biurku, obchodziły go tylko, co zeszłoroczny śnieg. Kiedy poprzedniego dnia uczestniczył w prowadzonych przez nią zajęciach, zauważyła, że jest uparty i pojętny. Był gotów poświęcić wiele czasu na zrozumienie jakiegoś zagadnienia czy opanowanie techniki przesłuchania, a jeśli ktoś tracił

do niego cierpliwość, cóż, to był jego problem.

Jego zachowanie zdradzało nerwowość, ale zupełnie inną niż Amelii Sachs, która miała skłonność do autoagresji. Zrzędził z przyzwyczajenia, lecz w gruncie rzeczy był zadowolony z życia.

Dance przeprowadzała tę analizę odruchowo. Każdy gest, spoj-rzenie, spontaniczna uwaga stanowiły dla niej kolejny kawałek nie-wiarygodnej układanki, jaką była każda istota ludzka.

Zwykle po-trafiła wyłączyć tę umiejętność - to żadna przyjemność, kiedy człowiek wychodzi z kimś na kieliszek pinot grigio albo szklanę an-chor steam i nagle uświadamia sobie, że analizuje zachowania towa-rzystwa przy stoliku (dla obiektów badania to jeszcze mniejsza przyjemność). Czasem jednak myśli same cisnęły się do głowy; były nieodłącznym elementem natury Kathryn Dance.

Fanatycznie uwielbiającej ludzi...

Masz rodzinę? - spytał Sellitto.

Owszem, dwoje dzieci.

Czym zajmuje się twój mąż?

Jestem wdową. - Zadanie Dance polegało między innymi na interpretacji różnych tonów głosu, a tę informację przekazała w szczególny sposób, poważnie i równocześnie nieco nonszalancko, co miało oznaczać „nie chcę o tym mówić”. Kobieta zapewne współ-

czująco ścisnęła ją za ramię; Sellitto zachował się tak, jak zachowałyby się większość przedstawicieli jego płci: z zakłopotaniem, ale szczerze wymamrotał „przykro mi”, po czym wrócił do głównego te-matu rozmowy. Zaczął mówić o znalezionych dowodach i tropach, które w gruncie rzeczy donikąd nie prowadziły. Był naburmuszony i zabawny.

I wiesz co, Bili? Chybabyś go polubił. Bo Dance na pewno poczu-ła sympatię do grubego detektywa.

Wspomniał o sklepie, z którego prawdopodobnie pochodziły ze-gary.

Jak już mówiłem, naszym zdaniem Hallerstein raczej nie jest sprawcą, ale to nie znaczy, że na pewno nie jest zamieszany w sprawę.

Trzeba się liczyć z tym, że... rozumiesz, może się zrobić gorąco.

Nie jestem uzbrojona - zauważyła Dance.

Prawo bardzo precyzyjnie określa granice jurysdykcji organów scigania i policji na ogół nie wolno nosić broni w innym stanie. Zresztą to i tak nie miało znaczenia; Dance używała swojego glocka

tylko na strzelnicy i miała nadzieję, że to samo będzie mogła powie-dzieć, odchodząc na emeryturę.

- Będę blisko - uspokoił ją Sellitto.

Sklep „Zegary Hallersteina” znajdował się pośrodku ponurego kwartału, obok jakichś hurtowni i magazynów. Dance przyjrzała się budynkowi. Farba odpadała płatami z brudnej fasady, ale zegary i zegarki wystawione w witrynie sklepu zabezpieczonej stalową kra-tą wyglądały nieskazitelnie.

Gdy podchodzili do drzwi, Dance uprzedziła:

- Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, to kiedy nas przedstawisz, ja poprowadzę rozmowę. Zgoda?

Niektórzy gliniarze na swoim terenie mieliby opory przed odda-niem jej inicjatywy. Choć wyczuwała, że Sellitto się zgodzi (zauwa-żyła jego dużą pewność siebie), musiała jednak zadać to pytanie. Detektyw odparł:

Jesteś dobra w te klocki. Przecież dlatego do ciebie zadzwonili-śmy.

Będę mówiła rzeczy, które mogą ci się wydać dziwne, ale to część mojego planu. Jeżeli wyczuję,

że to sprawca, pochylił się do przodu i zaplotę palce. -Wykonując taki gest, sprawiłaby wrażenie bardziej bezbronnej i uspokoiła mordercę, który byłby mniej skory do chwytania za broń. - Jeżeli uznam, że jest niewinny, zdejmę z ramienia torebkę i położę na ladzie.

Jasne.

Gotowy?

Proszę, ty pierwsza.

Dance nacisnęła guzik i brzęczyk otworzył przed nimi drzwi sklepu. Było to niewielkie pomieszczenie zapchane zegarami wszelkiego rodzaju: szafkowymi, stołowymi, zamkniętymi w bogato rzeźbionych obudowach, eleganckimi i nowoczesnymi oraz setką innych.

Zoba-czyli także kilkadziesiąt lśniących zegarków ręcznych i kieszonkowych.

Podeszli do siedzącego w głębi sklepu krępego, łysiejącego mężczyzny w wieku około sześćdziesięciu lat, który nieufnie spoglądał na nich znad lady. Leżał przed nim rozebrany na części mechanizm zegara.

Dzień dobry - powiedział Sellitto.

Mężczyzna skinął im głową.

Witam państwa.

Jestem detektyw Sellitto z policji, a to agentka Dance. - Sellitto pokazał odznakę. - Pan Victor Hallerstein?

Zgadza się. - Zdjął okulary z przymocowaną lupą zegarmistrzowską i obejrzał odznakę. Podając rękę detektywowi i Dance, uśmiechnął się, ale tylko ustami, bez udziału oczu.

Jest pan właścicielem? - spytała Dance.

Owszem, właścicielem. I chłopakiem do wszystkiego. Od dzie-100

cieciu lat prowadzę ten sklep. W tym samym miejscu. Prawie jede nastu.

Niepotrzebne informacje. Często pierwszy znak fałszu. Ale przy czyną mógł być po prostu niepokój wywołany nieoczekiwaną wizytą; dwojga policjantów. Jedna z najważniejszych zasad kinezyki mówi że jeden gest lub zachowanie znaczą bardzo niewiele. Nie sposób dokonać precyzyjnej oceny na podstawie pojedynczej reakcji - na leży wziąć pod uwagę całą

„grupę”, na przykład gest skrzyżowani: ramion trzeba porównać z rodzajem kontaktu wzrokowego, gestem dłoni, tonem głosu i treścią wypowiedzi, a także doborom słów.

poprawnie odczytać znaczenie zachowania można jedynie wtedy gdy jest ono stałe i niezmiennie przy powtarzaniu takich samych bodźców.

Analiza kinezyczna, mówiła na wykładach Kathryn Dance, nie polega na zdobywaniu pojedynczych punktów; polega na konsekwencji w rozgrywaniu całego meczu.

- Czym

mogę służyć? Państwo z policji? Znowu jakieś włamania\*

w okolicy?

Sellitto zerknął na Dance, która zamiast odpowiedzieć, rozejrzała się wokół ze śmiechem.

Nigdy w życiu nie widziałam tylu zegarów w jednym miejscu.

Od dawna nimi handluje.

Wszystkie są na sprzedaż?

Proszę mi złożyć taką ofertę, żebym nie mógł odmówić. - Zaśmiał się. - A tak poważnie, niektórych na pewno bym nie sprzedał

Ale większość tak. W końcu to sklep, prawda?

Ten jest piękny.

Hallerstein spojrział na zegar, który pokazała. Secesyjny, ze złocnego metalu, z prostym cyferblatem.

Seth Thomas z tysiąc dziewięćset piętego. Stylowy i niezawodny.

Drogi?

-Trzysta. Połączony, to masowa produkcja... Chce pani jakie drogie cacko? - Hallerstein wskazał ceramiczny różowo-niebiesko-fioletowy zegar malowany w kwiatki. Dance uznała go za szczyt bez guścia. - Kosztuje pięć razy tyle.

Ach, tak.

Widzę, co pani o nim sądzi. Ale w świecie kolekcjonerów zegarów to, co dla jednego jest tandetą, dla drugiego jest sztuką. Uśmiechnął się. Zaniepokojenie i nieufność nie zniknęły, lecz Hallerstein reagował nieco mniej defensywnie. Dance zmarszczyła brwi.

-

A co pan robi w południe? Wkłada zatyczki do uszu?

Śmiech.

- Dzwonienie

można wyłączyć. Najgorsze są kukułki. Doprowadzą mnie do szału, że się tak wyrażę.

10

Zadała mu jeszcze kilka pytań o sklep, sporządzając w myślach katalog gestów, spojrzeń, tonów głosu i słów - ustalając jego wzo-rzec zachowania.

Wreszcie, nie zmieniając swobodnego tonu, zapytała: Proszę pana, chcielibyśmy wiedzieć, czy ktoś ostatnio kupił u pana dwa zegary podobne do tego. - Pokazała mu zdjęcie jednego z dwóch zegarów Arnold Products pozostawionych na miejscach zbrodni. Nie spuszczała z niego wzroku, gdy z obojętną miną oglądał

fotografię. Uznała, że zbyt długo się w nią wpatruje, co mogło wskazywać, że gorączkowo się nad czymś zastanawia.

Raczej sobie nie przypominam. Proszę mi wierzyć, że sprzedaję dużo zegarów.

Kłopoty z pamięcią - sygnał fazy wyparcia w reakcji stresowej, podobnie jak przedtem u Ariego Cobba. Jeszcze raz uważnie obejrzał zdjęcie, jak gdyby naprawdę próbował im pomóc, ale nieznacznie obrócił ramię w stronę Dance, opuścił głowę i powiedział głosem wyższym o ton:

- Nie,

naprawdę wydaje mi się, że nie. Przykro mi, że nie mogę pomóc.

Wyczuła fałsz, nie tylko na podstawie znaków kinetycznych, ale także dzięki obojętnej reakcji odbiegającej od ekspresywnego wzorca, która powiedziała jej, że najprawdopodobniej rozpoznał zegar na fotografii. Pytanie tylko, czy kłamał, ponieważ po prostu nie chciał być w nic zamieszany, czy dlatego, że sprzedał zegary komuś, kogo podejrzewał o przestępcze zamiary, czy może dlatego, że sam miał związek z morderstwami?

Spleść ręce czy położyć torebkę na ładzie? Określając typ osobowości, Dance zaliczyła przesłuchiwanego wcześniej świadka do kategorii ekstrawertyków; Hallerstein reprezentował

przeciwny typ, introwertyka, który podejmuje decyzje pod wpływem emocji i intuicji. Doszła do takiego wniosku, ponieważ nie miała wątpliwości, że zegary są jego pasją, a jako biznesmen odniósł raczej umiarkowany sukces (wola! handlować czymś, co uwielbiał, zamiast działać na



masowym rynku i osiągać większe zyski).

Aby skłonić introwertyka do wyjawienia prawdy, musiała wytworzyć z nim więź i sprawić, żeby się odprężył. Gdyby zaatakowała go tak jak Cobba, Hallerstein natychmiast by zeszywniał i nic nie dałoby się z niego wyciągnąć.

Dance westchnęła, bezradnie opuszczając ramiona.

Był pan naszą ostatnią nadzieją. - Znow westchnęła, zerkając na Sellitta, który na szczęście doskonale odgrywał rolę zawiedzione-go gliniarza, kręcąc głową z grymasem rozczarowania.

Nadzieją? - zdziwił się Hallerstein.

Człowiek, który kupił te zegary, popełnił bardzo poważne przestępstwo. To nasz jedyny trop.

102

Wyraz niepokoju, jaki zagościł na twarzy Hallersteina, wydawał -ję autentyczny, lecz Kathryn Dance widziała już wielu dobrych aktorów- Schowała fotografię do torebki.

-

Zegary znaleziono obok ofiar morderstwa.

Jego oczy na moment znieruchomiały. Mieli przed sobą bardzo zestresowanego człowieka.

Morderstwa?

Owszem. Wczoraj w nocy zamordowano dwie osoby. Możliwe, że zegary miały przekazać nam jakąś wiadomość. Nie wiemy. - Dance zmarszczyła brwi. - To wszystko jest bardzo niejasne. Gdybym to ja miała kogoś zabić i zostawić wiadomość, nie ukrywałabym jej dziesięć metrów od ofiary. Zostawiłabym ją bliżej i na widocznym miejscu. Dlatego nie wiemy, co to miało oznaczać.

Dance uważnie obserwowała jego zachowanie. Na celowo błędną informację Hallerstein zareagował jak każdy niezorientowany w sytuacji - pokręcił głową, przejęty tragedią, ale nic więcej. Gdyby był mordercą, najprawdopodobniej zdradziłby go wyraz mimiczny -

koncentrujący się zwykle wokół oczu i nosa - sygnalizujący, że jej słowa są sprzeczne z jego znajomością faktów. Pomyślałby: przecież zabójca zostawił zegar tuż obok ciała; dlaczego ktoś umieścił go gdzie indziej? Myśli towarzyszyłaby specyficzna gestykulacja i mowa ciała.

Wytrawny kłamca potrafi zminimalizować takie oznaki i większość ludzi nie umiałaby ich rozpoznać, lecz radar Dance działał z nadzwyczajną czułością. Agentka uznała, że Hallerstein pomyślnie przeszedł test. Była przekonana, że nie było go na miejscu zdarzenia i nie znał

Zegarmistrza. Położyła na ladzie torebkę.

Łon Sellitto opuścił dłoń, którą dotąd trzymał na wysokości biodra. Ale dla Dance to nie był koniec zadania. Owszem, zdołali ustalić, że sprzedawca nie był mordercą i nie znał sprawcy, z pewnością jednak ukrywał przed nimi jakieś informacje.

Panie Hallerstein, ofiary tych morderstw zginęły w bardzo nieprzyjemny sposób.

Zaraz... to było w wiadomościach, prawda? To ten człowiek ze zmiażdżoną szyją? I ktoś chyba został wrzucony do rzeki.

Zgadza się.

-I... tam był ten zegar?

O mały wtos nie powiedział „mój zegar”.

Ostrożnie, nie wolno dopuścić, żeby zerwał się z żyłki.

Dance przytaknęła.

- Przypuszczamy, że ma zamiar jeszcze kogoś skrzywdzić. Dlatego powiedziałam, że byj pan naszą ostatnią nadzieją. Jeżeli będzie-my musieli szukać innych sklepów, gdzie morderca mógł kupić

zega-ry, to może potrwać parę tygodni.

Twarz Hallersteina spochmumiała.

Łatwo rozpoznać mimiczny wyraz obawy, ale może się on pojawić na skutek różnych emocji

- współczucia, bólu, rozczarowania, smutku, zakłopotania - i jeśli badany nie udzieli informacji

dobrowolnie, tylko kinezyka może wykryć źródło. Kathryn Dance patrzyła na oczy mężczyzny, jego palce muskające leżący przed nim zegar, jego język dotykający kącika ust.

Nagle zrozumiała, że widzi reakcję obronną „walcz lub uciekaj”: Hallerstein znalazł się w sytuacji bezpośredniego zagrożenia.

Bał się - o własne bezpieczeństwo.

Mam cię.

-

Panie Hallerstein, jeśli pamięta pan coś, co może nam pomóc, jesteśmy gotowi zagwarantować panu bezpieczeństwo.

Zerknęła na Sellitta, który pokiwał głową.

- Tak,

oczywiście. Jeżeli będzie trzeba, postawimy przed sklepem policjanta.

Hallerstein z nieszczęśliwą miną bawił się maleńkim śrubokrętem.

Dance ponownie wyjęła z torebki zdjęcie.

- Mógłby pan spojrzeć jeszcze raz? Może coś sobie pan przypomni.

Nie musiał jednak patrzeć. Lekko się przygarbił, zwieszając głowę. Jednym skokiem przeszedł do fazy akceptacji.

- Przepraszam.

Skłamałem.

Rzadko słyszała takie słowa. Dała mu szansę usprawiedliwienia, że za krótko ogląda! zdjęcie albo nie mógł się skupić. Tymczasem Hallerstein nie zamierzał się wykręcać. Bez zbędnych ceregieli wyznał prawdę.

-

Od razu poznałem ten zegar. Ale widzi pani, powiedział mi, że jeżeli pisnę o tym komuś słowo, to wróci i zrobi mi krzywdę, zniszczy wszystkie zegary, całą moją kolekcję! Przysięgam, że nic nie wiedzia-

łem o żadnych morderstwach! Pomyślałem sobie, że to jakiś dziwak i tyle. - Drżała mu szczęka. Położył dłoń na obudowie rozmontowanego zegara gestem, który Dance zinterpretowała jako rozpaczliwą potrzebę pociechy.

Wyczuła jednak coś więcej. Znawca kinezyki musi ocenić, czy zachowania przesłuchiwanego są stosowne do zadanych pytań i przedstawionych faktów. Wprawdzie Hallerstein był wstrząśnięty morderstwami i bał się o siebie i swoje skarby, lecz jego reakcja wydawała się nieproporcjonalna do przedmiotu rozmowy.

Kiedy chciała to zbadać, sprzedawca zegarów wyjaśni! przyczynę swojego zdenerwowania.

-

Zostawia zegary w miejscach, gdzie morduje swoje ofiary, tak-

- spytał Hallerstein.

Sellitto skinął głową.

- Muszę państwu powiedzieć... - Głos mu się załamał, więc dokończył szeptem. - Nie kupił u

mnie dwóch zegarów. Kupił dziesięć Rozdział 11

Ile? - zapytał Rhyme, z niedowierzaniem kręcąc głową i powtarzając to, co przed chwilą usłyszał od Sellitta. - Planuje dziesięć za-bójstw?

- Na to wygląda.

Kathryn Dance i Sellitto siedzący w laboratorium obok Rhyme'a, pokazali mu portret pamięciowy Zegarmistrza, który detektyw sporządził w sklepie za pomocą komputerowego programu EFIT - elek-tronicznej wersji dawnego zestawu do rekonstrukcji rysów podejrza-nego na podstawie szczegółów zapamiętanych przez świadka. Portret przedstawiał

białego mężczyznę około pięćdziesiątki, o okrągłej twa-rzy, podwójnym podbródku, szerokim nosie i niespotykane jasnych niebieskich oczach. Sprzedawca zegarów wspomniał, że morderca miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Był szczupły i miał ciemne włosy średniej długości. Nie nosił żadnej biżuterii. Hallerstein pa-ętał ciemne ubranie, ale nie potrafił sobie przypomnieć, co do-kładnie podejrżany miał na sobie.

Jance zrelacjonowała Rhyme'owi opowieść Hallersteina. Męż-zyzna zadzwonił do sklepu miesiąc wcześniej, pytając o pewien ro-teaj zegara - nie chodziło mu o konkretną markę, ale o głośno tyka-jący, niewielki zegar, pokazujący fazy księżyca.

Na rym mu najbardziej zależało - powiedziała. - Na księżycu 1 głośnym tykaniu.

e.

Zegarmistrz odmówił, gdy Hallerstein zaofiarował mu pomoc w zanieśieniu zegarów do samochodu. Chodził kilka razy, nosząc je

sam

105

Prawdopodobnie chciał, żeby ofiary, umierając, słyszały zegar. Hallerstein zam°wil dziesięć sztuk. Kiedy je przywieziono, lePie zjawił się mężczyzna i zapłacił gotówką. Nie podał

swoje-• nazwiska, nie zdradził, skąd pochodzi ani po co mu zegary, ale dużo wiedział o zegarmistrzostwie. Rozmawiali o cennych Plarzach kolekcjonerskich, o niedawnych aukcjach znanych i°w i wystawach chronometrycznych, jakie ostatnio urządzono w mieście.

W sklepie nie zachowały się prawie żadne dowody. Hallerstein nie przyjmował zbyt często gotówki, więc większość z dziewięciu stu. dolarówek i drobniejszych pieniędzy, którymi zapłacił Zegarmistrz wciąż była w kasie. Sprzedawca uprzedził jednak Sellitta:

- Jeżeli chcecie szukać odcisków palców, to raczej się nie uda.

Miał rękawiczki.

Mimo to Cooper sprawdził gotówkę, ale wykrył jedynie odciski palców sprzedawcy, które Sellitto zdjął dla porównania. Numery se-ryjne banknotów nie figurowały w żadnych rejestrach. Analiza mi-krośladów ujawniła tylko kurz bez żadnych cech charakterystycz-nych.

Próbowali ustalić, kiedy dokładnie Zegarmistrz kontaktował się ze sklepem, i przeglądając billingi, znaleźli numery, spod których mógł dzwonić. Okazało się jednak, że telefonowano z automatów na dolnym Manhattanie.

Od Hallersteina nie dowiedzieli się już niczego więcej.

Zadzwonili funkcjonariusze z obyczajówki z informacją, że w okolicach Wall Street nie udało się znaleźć prostytutki o imieniu Tiffanee, ani przez „ee", ani przez „y". Detektyw obiecał, że będą dalej szukać, ale uprzedził, że na wiadomość o popełnionym mor-derstwie większość dziewczyn zniknęła z dzielnicy.

W tym momencie wzrok Rhyme'a zatrzyma! się na jednym z na-pisów na tablicy dowodów.

Ziemia z rybim białkiem...

Ofiara wywleczona z samochodu do uliczki...

Po chwili znów spojrzał na zdjęcia miejsca zdarzenia.

Thom!

Co? - zawołał z kuchni asystent.

Jesteś mi potrzebny.

Młody człowiek błyskawicznie zjawił się w pokoju.

Co się stało?

Położ się na podłodze.

Co takiego?

Położ się na podłodze. Mel, pociągniesz go w stronę stołu.

Myślałem, że coś się stało - rzekł Thom.

Bo się stało. No już, kładź się na podłodze!

Asystent spojrzał na niego z drwiną i niedowierzaniem.

Chyba żartujesz.

Szybko, kładź się!

Nie na tej podłodze.

- Zawsze

powtarzam,

żebyś przychodził do pracy w dżinsach.

ty się upierasz, żeby nosić takie drogie spodnie. I włóż kurtkę -

co wisi na haku. Pospiesz się. Położ się na wznak.

Westchnienie.

- To

cię będzie słono kosztować.

Asystent włożył kurtkę i rozciągnął się na podłodze.

106

\_ Zaraz, zabierzcie stąd psa - zawołał Rhyme. Jackson zeskoczy! e gwojego legowiska, sądząc zapewne, że przyszła pora na zabawę. Cooper podniósł hawańczyka i podał go Dance.

\_ Możemy zaczynać? Nie, zapnij kurtkę. To ma być zima.

- Przecież jest zima - odparł Cooper. - Tylko nie w środku.

Thom zasunął zamek po szyję i położył się na wznak.

- Mel,

weź na palce trochę proszku aluminiowego, a potem pociągnij go przez pokój.

Technik nawet nie pytał o cel tego eksperymentu. Posłusznie za-nurzył palce w ciemnoszarym proszku daktyloskopijnym i stanął nadThomem.

-

Jak mam go pociągnąć?

-Tego właśnie chcę się dowiedzieć - wyjaśni! Rhyme. Zmrużył oczy. - Jak by by!o najporęczniej?

- Kazał Cooperowi złapać za dół kurtki, naciągnąć ją Thomowi na twarz i pociągnąć go głową na-przód.

Cooper zdjął okulary i chwycił! kurtkę.

Przepraszam - mruknął do asystenta.

Wiem, że wykonujesz tylko rozkazy.

Technik spełnił polecenie Rhyme'a. Dyszał z wysiłku, ale Thom zaczął gładko sunąć po podłodze. Sellitto przyglądał się tej scenie z niewzruszoną miną, a Kathryn Dance starała się powstrzymać uśmiech.

Wystarczy. Zdejmij kurtkę i pokaż mi wewnętrzną stronę.

Thom usiadł i zaczął rozpinać kurtkę.

Mogę już wstać?

-

Tak, tak, tak. - Rhyme wpatrywał się w kurtkę. Asystent podniósł się z podłogi, otrzepując ubranie.

O co tu chodzi? - zapytał Sellitto.

Rhyme skrzywił twarz.

Cholera, nowy miał rację i nawet o tym nie wiedział.

Pułaski?

- Tak.

Przypuszczał, że ten rybi ślad pochodzi od Zegarmistrza.

\* ja. że od ofiary. Popatrzcie na kurtkę.

Palce Coopera pozostawiły ślad proszku na wewnętrznej stronie, 'okładnie w miejscu, gdzie znaleźli drobiny ziemi na kurtce The-wre'a Adamsa. Zostawił je Zegarmistrz, gdy ciągnął ofiarę po uliczce.

Co za głupota - mruknął Rhyme. Niedbalstwo doprowadzało «o szalu - zwłaszcza własne. -

Następny krok. Muszę wiedzieć Czystko o rybim białku.

Cooper zasiadł przed komputerem.

Uiyme zauważył, że Kathryn Dance spogląda na zegarek. ' Uciekł ci samolot? - zapytał.

"Mam jeszcze godzinę. Ale czarno to widzę. Przy tym przedświątecznym tłoku i środkach bezpieczeństwa na lotnisku chyba nic z tego.

107

wał człowieka, który daje proste rady rozwiązywania konfliktów: 'jj oczy')- Tak więc zajrzał do dziewczyny jeszcze raz, zjadł suty lunch i przyjechał metrem do muzeum.

Kupując bilet, zauważył jakąś rodzinę - żona była podobna do je-siostry. W ubiegłym tygodniu napisał do niej, zapraszając siostrę X fjowego Jorku na Boże Narodzenie, ale nie dostał odpowiedzi, rchiał jej pokazać największe atrakcje miasta.

Oczywiście nie mo-eta przyjechać teraz, gdy mieli z Duncanem tyle pracy. Vincent miał nadzieję, że siostra wkrótce go jednak odwiedzi. Był przekonany, że coś by się odmieniło, gdyby częściej mogła przy nim być. Chyba ta-ka stabilizacja w życiu trochę zmniejszyłaby głód. Nie potrzebował-by tak często miłych sam na sam.

Naprawdę mała zmiana dobrze by mi zrobiła, doktorze Jenkins.

Mam rację?

Może przyjedzie na Nowy Rok. Mogliby pójść na Times Square i popatrzeć, jak opada kula.

Vincent wkroczył do sal muzeum. Nie miał wątpliwości, gdzie szukać Geralda Duncana. Na pewno w części, w której wystawiano ważne ekspozycje objazdowe - na przykład skarby Nilu albo klejno-ty Imperium Brytyjskiego. Dziś wystawa nosiła tytuł „Chronome-tria w starożytności”.

Duncan wyjaśnił mu, że chronometria to nauka o czasie i sposobach jego mierzenia.

Ostatnio morderca przychodził tu już kilka razy. Wystawa przyciągała go, tak jak sex shopy przyciągały Vincenta. Zwykle chłodny i beznamiętny Duncan zawsze się ożywiał, oglądając eksponaty. Vincent cieszył się, widząc, że przyjaciel potrafi znajdować w czymś przyjemność.

Duncan przyglądał się jakimś starym skorupom - z wywieszki wynikało, że to zegary ogniowe. Vincent niepostrzeżenie stanął obok niego.

Czego się dowiedziałeś? - zapytał Duncan, nie odwracając głowy. W szybie gabloty zobaczył odbicie Vincenta. Zawsze był czujny i dostrzegał wszystko, co powinien widzieć.

Kiedy do niej zaglądałem, cały czas była sama w pracowni. Nikt tam nie wchodził. Potem poszła do kwiaciarni na Broadwayu i spotkała się z tym dostawcą. Wyszli razem. Zadzwoń do sklepu...

Skąd?

~ Jasne, że z automatu. Skrupulatny...

- Sprzedawczyni

powiedziała, że wyszła na kawę. Miała wrócić za

godzinę, ale nie do kwiaciarni. Pewnie poszła z powrotem do pracowni.

-

Dobrze. - Duncan pokiwał głową.

~ A ty czego się dowiedziałeś?

~ Ogrodzili przystań, ale nikogo tam nie było. Widziałem policyj-109

Przykro mi - odezwał się Sellitto.

Jeżeli mogłam pomóc, było warto.

Detektyw zdjął z paska telefon.

\_^^

Sprowadzę ci radiowóz. Dojedziesz na lotnisko w pół godzim.

Na sygnale.

Wspaniale. Może zdążę. - Dance włożyła płaszcz i ruszyła do drzwi.

Chwileczkę. Mam dla ciebie propozycję.

Sellitto i Dance odwrócili się równocześnie do człowieka, który to powiedział.

Rhyme patrzył na agentkę z Kalifornii.

- Co

byś powiedziała na fundowany nocleg w pięknym Nowym Jorku?

Pytająco uniosła brew.

- Zastanawiam

się, czy mogłabyś zostać jeszcze na jeden dzień

- dodał kryminalistyk.

Sellitto wybuchnął śmiechem.

-

Linc, nie mogę w to uwierzyć. Zawsze narzekasz, że ze świadków nie ma żadnego pożytku. Zmieniasz poglądy?

Rhyme zmarszczył czoło.

-

Nie, Lon. Narzekam tylko na sposób, w jaki ludzie obchodzą się ze świadkami - na przecucia, intuicje, wszystkie te czary-mary. Bez sensu. Ale Kathryn robi to z głową - stosuje metodologię

opartą na konkretnych, powtarzalnych bodźcach i wyciąga wnioski, które da się zweryfikować. Oczywiście to nie jest takie pewne jak ślady papi-larne albo reagent A10 w testach narkotykowych, ale na pewno...

- szukał odpowiedniego słowa - ...przydatne.

Thom roześmiał się.

W jego ustach to największy komplement. Przydatne.

Objaśnienie zbędne, Thom - warknął Rhyme i zwrócił się do Dance: - No więc jak będzie?  
ze nie za na

Skierowała wzrok na tablicę dowodów, a Rhyme zauważył, łą skupia się na suchych zapiskach, lecz na fotografiach. Zwłaszcza na zdjęciu zamrożonych zwłok Theodore'a Adamsa i jego nieruchomych oczu wpatrzonych w górę.

- Zostaję - powiedziała.

Vincent Reynolds powoli wspinał się po schodach prowadzących do Metropolitan Museum na Piątej Alei. Zadyszał się, zanim dotarł na górę. Ręce miał silne - co się przydawało przy jego miłych samj na sam z kobietami - ale nigdy nie ćwiczył aerobiku.

W jego myślach znów zjawiała się Joannę, kwiaciarka. Owszem j śledził ją i omal jej nie zgwałcił, ale w ostatniej chwili do głosu doj szło inne z jego wcieleń. Vincent Mądrala, który odzywał się najrzadziej z całej gromadki. Pokusa była ogromna, ale nie mógł zawieść

przyjaciela. (Vincent uznał także, że nie byłoby rozsądnie denerwd 108

ne łódzie na rzece, czyli jeszcze nie znaleźli ciała. Na Cedar Street] nie mogłem podejść za blisko. Traktują sprawę bardzo poważniej Ulica była pełna policji. Zauważyłem dwoje, którzy chyba dowodzili akcją. Dziewczyna była bardzo ładna.

- Dziewczyna,

naprawdę? - Vincent Głodomór nastawił uszu. Ni-

gdy przez myśl mu nie przeszło, żeby odbyć miłe sam na sam z polk cjantką. Nagle spodobał mu się ten pomysł.

I to bardzo.

- Młoda, trzydzieści kilka lat, Rudowłosa. Lubisz rude?

Nigdy nie zapomni rudych włosów Sally Annę, rozsypanych na starym, cuchnącym kocu, kiedy pod nim leżała.

Głód stawał się coraz bardziej natarczywy. Vincent zaczynał się wręcz ślinić. Pogrzebał w kieszeni, wyciągnął batonik i błyskawicz-nie go pochłonał. Zastanawiał się, co mają oznaczać uwagi o rudo-włosej policjantce, ale Duncan nie powiedział na ten temat nic wie-cej.

Przeszedł do następnej gabloty, w której stały dawne zegary wahadłowe.

-

Wiesz, komu powinniśmy dziękować za precyzyjne wskazywanie czasu?

Znów z katedry odezwał się profesor, pomyślał Vincent Mądrala, zajmując chwilowo miejsce Vincenta Głodomora, który dostał swoją czekoladkę.

-Nie.

Pociągom.

Jak to?

W czasach gdy ludzie spędzali całe życie w jednym mieście,]

mogli zaczynać dzień, kiedy im się podobało. Szósta rano w Londy-nie mogła być szóstą

osiemnaście w Oksfordzie. Kogo to obchodziło?

A jeżeli ktoś musiał jechać do Oksfordu, dosiadał konia, nie przejmując się różnicą czasu. Ale odkąd pojawiła się kolej, pociąg musiał

odchodzić ze stacji punktualnie, bo inaczej z przeciwka nadjechał- , by drugi i skutki mogłyby się okazać nieprzyjemne.

Faktycznie.

Duncan odwrócił się od zegarów. Vincent miał nadzieję, że juii wyjdą z muzeum i pojedą na dolny Manhattan do Joannę. Duncan | ruszył jednak w głąb sali, w kierunku dużej gabloty zabezpieczonej grubą szybą. Dostęp do niej ogranicza! aksamitny sznur, a obok stał strażnik.

Duncan utkwiał wzrok w eksponacie - srebrno-złotej skrzynce, j wysokiej i szerokiej na ponad pół metra, głębokości dwudziesttfl centymetrów. Na przedniej ściance umieszczono kilkanaście tarcz\*/ na których były wybite sfery i rysunki planet, gwiazd i komet, a tak-że liczby oraz dziwne litery i symbole, jakby znaki astrologiczne. Skrzynka była ozdobiona rzeźbami i inkrustowana kamieniami szl» chętnymi.

- Co to jest? - zapytał Vincent. 110

,

-

Mechanizm Delficki - odparł Duncan. - Pochodzi z Grecji, sprzed ponad tysiąca pięciuset lat. Pokazują go właśnie na całym świecie.

\_ Co robi?

-

Wiele rzeczy. Widzisz te tarcze? Wskazują ruch Słońca, Księżyca i planet. - Spojrzał na Vincenta. -Właściwie ruch Ziemi i planet wokół

Słońca, co na tamte czasy było rewolucją i herezją - tysiąc lat przed kopernikańskim modelem Układu Słonecznego. Zdumiewające.

Vincent pamiętał coś o Koperniku ze szkoły średniej - chociaż znacznie lepiej pamiętał koleżankę z klasy, Ritę Johansson. Najżyw-sze było wspomnienie z pewnego jesiennego popołudnia, gdy pulch-na brunetka leżała na brzuchu na boisku niedaleko szkoły, z wor-kiem jutowym na głowie, jęcząc cicho: „Nie rób tego, proszę, nie”.

Spójrz na tę tarczę - powiedział Duncan, wrywając Vincenta z bardzo przyjemnych wspomnień.

Srebrną?

To platyna. Czysta platyna.

- Cenniejsza

niż złoto, prawda?

Duncan nie odpowiedział.

-

Pokazuje kalendarz księżycowy. Ale nie zwykły. Według kalendarza gregoriańskiego - którego używamy - rok ma trzysta sześć-

dziesiąt pięć dni i miesiące nieregularnej długości. Kalendarz lunarne jest bardziej spójny od gregoriańskiego - miesiące są zawsze tej samej długości. Nie są jednak liczone według ruchu Słońca, dlatego miesiąc słoneczny, który w tym roku zaczyna się na przykład piątego kwietnia, w przyszłym roku wypadnie innego dnia. Ale Mechanizm Delficki pokazuje kalendarz solarno-lunarny, czyli kombinację słonecznego i księżycowego. Nienawidzę gregoriańskiego i księżycowego. - W jego



głosie zabrzmiała nuta pasji. - Są niechlujne.

Nienawidzi ich? - pomyślał Vincent.

-

Ale solarno-lunarny jest elegancki i harmonijny. Piękny.

Duncan ruchem głowy wskazał Mechanizm Delficki.

Wielu ludzi nie wierzy w jego autentyczność, ponieważ naukowcy nie potrafią odtworzyć jego obliczeń bez komputerów. Nie wierzą, że ktoś tak dawno temu zbudował tak skomplikowane urządzenie liczące. Ja jednak jestem przekonany, że to autentyk.

Hę jest wart?

Jest bezcenny. - Po chwili dodał: - Krążyły o nim dziesiątki pogłosek - że kryje w sobie odpowiedzi na zagadki życia i wszechświata.

Myślisz, że to prawda?

Duncan wpatrywał się w światło odbite od metalu.

-

W pewnym sensie tak. Czy posiada jakąś nadprzyrodzoną moc?

Oczywiście, że nie. Ale ma bardzo ważną zdolność: unifikuje czas.

"ornaga nam zrozumieć, że czas jest rzeką płynącą w nieskończoność. Mechanizm traktuje sekundę tak samo jak milenium. I potra-

"ł zmierzyć każdy okres z prawie stuprocentową dokładnością.

111

- wskazał na skrzynkę. - Starożytni uważali czas za niezależny żywioł, za pewnego rodzaju boga dysponującego swoistą władzą. Mog. na powiedzieć, że Mechanizm Delficki symbolizuje to przekonanie. Wydaje mi się, że wszystkim nam byłoby lepiej, gdybyśmy w ten sposób traktowali czas: jedna sekunda może być równie potężna jak pocisk, nóż czy bomba. Może decydować o wydarzeniach, jakie zaj. dą w ciągu następnego tysiąca lat, i zupełnie je odmienić. W ostatecznym rozrachunku...

-

To jest coś.

Ton głosu Vincenta zdradzał jednak, że nie podziela entuzjazmu Duncana.

Ale morderca nie miał mu tego za złe. Spojrzał na swój zegarek kieszonkowy. Zaśmiał się, co rzadko mu się zdarzało.

- Dość się już nasłuchałeś mojego głośnego głośnienia. Chodźmy odwiedzić naszą kwiaciarkę.

Życie posterunkowego Rona Pułaskiego wyglądało tak: żona i dzieci, rodzice i brat bliźniak, dom w Queens z trzema sypialniami i miłe spotkania przy grillu z kolegami i ich żonami (Pułaski przyrządzał wyśmienite sosy do mięs i sałatek), jogging, mozolne zbieranie pieniędzy na opiekunkę do dzieci, wymykanie się z żoną do kina, praca w ogródku tak maleńkim, że jego brat nazywał go trawiatym dywanikiem.

Zwykła codzienność. Tak więc Pułaski czuł się dość niepewnie przed spotkaniem z Jordanem Kesslerem, współnikiem Benjamina Creeleya. Gdy rzut monetą w samochodzie Sachs zdecydował, że nie przypadnie mu rozmowa z barmanką, lecz z biznesmenem, Pułaski zadzwonił i umówił się na spotkanie z Kesslerem, który właśnie wrócił ze służbowej podróży. (Akurat wylądował jego samolot - własny samolot - i osobisty kierowca wiozł go do miasta).

Młody posterunkowy żałował, że nie trafiła mu się barmanka. J Grube pieniądze wzbudzały w

nim niepokój.

Kessler był w biurze klienta na dolnym Manhattanie i chciał I odłożyć spotkanie. Ale Sachs kazała Pułaskiemu naciskać, był więc I posłuszny. W końcu Kessler umówił się z nim w Starbucksie na par-terze biurowca, gdzie pracował jego klient.

Posterunkowy wkroczył do holu Penn Energy Transfer - przestronnego wnętrza ze szkła i chromu, pełnego marmurowych rzeźb. Na ścianach wisiały ogromne fotografie montowanych przez firmę rurociągów, pomalowanych w różne kolory. Jak na sprzęt przemysłowy, zaprojektowano je z prawdziwie artystycznym wyczuciem. Pula-1 skiemu zdjęcia bardzo się podobały.

W Starbucksie jakiś mężczyzna spojrzał w jego stronę i pomachał ręką. Pułaski kupił kawę - przed biznesmenem już stał kubek - po czym uścisnęli sobie dłonie. Kessler był mocno zbudowanym mężczyzną o rzadkich włosach zaczesanych w taki sposób, by zasłaniały

ł 112

całą skórę na czubku głowy. Miał na sobie ciemnoniebieską, sztywno wykrochmaloną koszulę, która gładkością przypominała drewno balsy. Kołnierzyk i mankiety były białe, a spinki połyskiwały złotem.

Piękuję, że zgodził się pan spotkać ze mną tutaj - rzekł Kessler. - Nie jestem pewien, co pomyślałby mój klient, gdyby policja odwiedziła mnie na dyrektorskim piętrze.

Co pan robi dla tej firmy?

Ach, to co zwykle robi księgowy. Ani chwili wytchnienia. - Kessler pociągnął tyk kawy, założył nogę na nogę i powiedział cicho:

- To straszne. Mówię o śmierci Bena. Po prostu straszne. Kiedy się dowiedziałem, nie mogłem uwierzyć... Jak przyjęli tę wiadomość jego żona i syn? - Pokręcił głową, sam odpowiadając sobie na to pytanie. - A jak mogli to przyjąć? Na pewno są zdruzgotani. Tak... co jnogę dla pana zrobić?

Wspomniałem w rozmowie z panem, że staramy się wyjaśnić okoliczności jego śmierci.

Oczywiście, jeżeli tylko mogę pomóc...

Kessler nie wyglądał na zdenerwowanego rozmową z policjantem. W jego głosie nie pobrzmiwał także żaden protekcyjny ton, mimo że miał przed sobą człowieka zarabiającego tysiąc razy mniej od niego.

-

Czy pan Creeley zażywa! jakieś środki?

-

Środki? Nigdy nie widziałem. Wiem, że kiedyś brał tabletki przeciwbólowe, kiedy dokuczały mu plecy, ale to było dawno. Chyba nigdy nie zauważyłem u niego żadnych... żadnych zaburzeń. Ale musi pan wiedzieć, że nie utrzymywaliśmy zbyt bliskich kontaktów towarzyskich. Różnica osobowości. Prowadziliśmy razem firmę i znali-

śmy się od sześciu lat, ale nasze życie prywatne było... prywatne.

Z wyjątkiem spotkań z klientami, może raz czy dwa razy do roku jedliśmy razem kolację.

Pułaski naprowadził rozmowę na właściwe tory.

A narkotyki?

Ben? Nie. - Kessler się zaśmiał.

Pułaski wróci! myślami do listy pytań. Sachs poleciła mu nauczyć się ich na pamięć. Jeżeli co chwilę patrzysz w notatki, mówiła, wyglądasz nieprofesjonalnie.

Czy kiedykolwiek spotykał się z kimś, kogo można by uznać za niebezpiecznego, kto pańskim zdaniem mógł być przestępcą?

Nigdy.

Powiedział pan detektyw Sachs, że pan Creeley był ostatnio w depresji.

Zgadza się.

Wie pan, jaka była przyczyna tego stanu?

Nie. Powtarzam, że rzadko rozmawiałbym o swoim życiu osobistym. - Kessler oparł ręce na stoliku i masywna spinka głośno stuknęła o blat. Musiała kosztować całą miesięczną pensję Pułaskiego.

113

i-usterunkowy usłyszał w głowie głos żony: „Uspokój się, kocha, nie. Świetnie ci idzie”.

Zaraz wtrąci! się jego brat: „Może i ma złote spinki, ale ty masz wielkiego gnata”.

Poza depresją, czy zauważył pan ostatnio u niego coś nieco-dziennego?

Owszem, zauważyłem. Pił więcej niż zwykle. I zaczął uprawiać hazard. Kilka razy jeździł do Vegas i Atlantic City. Nigdy wcześniej tego nie robił.

Mógłby pan to zidentyfikować? - Pułaski podał biznesmenowi zdjęcia częściowo spopieliałych kartek, które Amelia Sachs wyciągnęła z kominka w domu Creeleya w Westchester. - To fragment arkusza kalkulacyjnego albo zestawienia bilansowego - dodał.

Widzę - odparł nieco protekcyjnie, choć zapewne bez złej woli.

Były w posiadaniu pana Creeleya. Wie pan, co to może być?

Nie. Trudno cokolwiek odczytać. Co się z nimi stało?

^Ci-

Nie mów ani słowa, że zostały spalone, instruowała go Sachs. Czy. li nie odkrywać kart i chronić nam tyłki, podsunął Pułaski, ale zaraz uznał, że nie powinien używać takich słów w rozmowie z kobietą. Spłonął rumieńcem. Jego brat bliźniak na pewno by się nie zaczerwienił. Mieli identyczne geny - z wyjątkiem genu wstydlivosti.

Zapisano tu ogromne kwoty.

Kessler ponownie spojrzął na zdjęcia.

Nie takie ogromne, tylko parę milionów.

Nie takie ogromne...

Wracając do samopoczucia pana Creeleya, skąd pan wiedział, że jest w depresji, skoro nic o tym nie mówił?

Snuł się z ponurą miną. Często się irytował. Był rozkojarzony.

Widać było, że coś go gryzie.

Wspominał kiedyś o „Tawernie St. James”?

O czym?

To bar na Manhattanie.

Nie. Wiem, że od czasu do czasu wcześniej wychodził z pracy.

Chyba szedł na drinka ze znajomymi. Ale nigdy nie mówił z kim.

Czy kiedykolwiek prowadzono przeciwko niemu jakieś śledztwo?

W jakiej sprawie?

Czegokolwiek nielegalnego.

Nie. Na pewno bym coś słyszał.

Pan Creeley miał jakieś kłopoty z klientami?

-

Nie. Ze wszystkimi stosunki układały się doskonale. Ich śród nia stopa zysku była trzy, cztery razy wyższa od indeksu S&P 500

Kto by się nie cieszył?

S&P 500... Pułaski nie rozumiał. Mimo to zanotował tę informację. A pod spodem „cieszyli się”.

114

- Mógłby mi pan przysłać listę klientów?

Kessler zawahał się przez chwilę.

- Szczerze

mówiąc, wolałbym, żeby się pan z nimi nie kontakto-

wał. - Lekko pochylił głowę i popatrzył mu w oczy.

Pułaski wytrzymał spojrzenie.

-

Dlaczego? - spytał.

- Byłoby mi niezręcznie. To niedobrze dla interesów. Już mówi-fem.

-

Chyba nie sądzi pan, że może być coś krępującego w tym, że policja zada kilka pytań, prowadząc dochodzenie w sprawie czyjejś Śmierci? W końcu na tym polega nasza praca.

- Tak

przypuszczam.

- Przecież wszyscy pańscy klienci wiedzą, co się stało z panem Creeleyem, prawda?

-Tak.

- Czyli

spodziewają się, że będziemy chcieli wyjaśnić okoliczności zdarzenia.

-

Niektórzy tak, niektórzy nie.

- W

każdym razie na pewno zrobił pan coś, żeby opanować sytuację. Wynajął pan agencję public relations albo osobiście spotkał

się pan z klientami, żeby ich uspokoić, prawda?

Kessler znów się zawahał. W końcu rzekł:

- Każę zrobić listę i przysłać panu.

Jest! - pomyślał Pułaski. - Trafiony, zatopiony! I z trudem po-wstrzymał się od uśmiechu.

Amelia Sachs mówiła, że najważniejsze należy zostawić na sam koniec.

- Co

się stanie z połową firmy należącą do pana Creeleya?

W pytaniu krył się cień sugestii, że to Kessler zamordował współ-nika, aby przejąć interes.

Lecz Kessler albo nie odczytał aluzji, albo nie poczuł się nią urażony.

- Ja

ją wykupię. Tak zapisaliśmy w umowie spółki. Suzanne - je-go żona - dostanie uczciwą rynkową cenę. Czyti kupę forsy.

Pułaski zapisał to. Potem wskazał na fotografie rurociągów wi-doczne przez szklane drzwi.

Wszyscy pańscy klienci to takie wielkie firmy?

Na ogół pracujemy dla indywidualnych klientów, kadry kierow-niczej i członków zarządów. - Kessler dosypał do kawy torebkę cukru i zamieszał. -A pan nigdy nie angażował się w żaden biznes?

Ja? - Pułaski wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Nie. Kiedyś latem pracowałem u wujka. Ale padł. To znaczy jego drukarnia.

To fascynujące, stworzyć biznes i zbudować z niego coś wielkie-Eo. - Kessler upił łyk kawy, znów zamieszał, a potem pochylił się nad stolikiem. - Wyraźnie widać, że waszym zdaniem to nie było zwykłe samobójstwo.

Wolimy zabezpieczyć się na wszystkich frontach. - Pułaski nie miał pojęcia, co chciał przez to powiedzieć; słowa same przyszły mu na myśl. Znów wrócił pamięcią do przygotowanych pytań, lecz ich zapas już się wyczerpał. - To chyba tyle. Jestem wdzięczny za p0. moc.

Kessler dokończył kawę.

- Jeśli coś mi jeszcze przyjdzie do głowy, zadzwonię do pana. Ma pan wizytówkę?

Pułaski podał ją biznesmenowi, który powiedział:

Proszę mi przypomnieć, jak się nazywa ta detektyw, z którą rozmawiałem.

Detektyw Sachs.

Ach tak, rzeczywiście. Jeśli pana nie zastanę, mogę zadzwonić do niej? Dalej pracuje nad tą sprawą?

-lak.

Pułaski podyktował mu numer komórki Sachs, który Kessler za-notował na odwrocie wizytówki. Podał mu także numer telefonu do Rhyme'a.

Kessler skinął głową.

-

Wracam do pracy.

Pułaski jeszcze raz mu podziękował, dopił kawę i wyszedł. Rzucił ostatnie spojrzenie na największe zdjęcie rurociągu. Prawdziwe dzieło sztuki. Pomyślał, że chciałby powiesić sobie miniaturę w salo-nie. Przypuszczał jednak, że firma Penn Energy raczej nie prowadzi sklepiku z pamiątkami jak Disney World.

Rozdział 12

0

0 małego baru weszła przysadzista kobieta. Czarna kurtka, dzinsy, krótkie włosy. Wszystko zgadzało się z podanym przez nią opisem. Amelia Sachs pomachała do niej z boku w głębi sali.

To była Gerte, druga barmanka z „St. James”. Zgodziła się spo-tkać z Sachs w drodze do pracy, przed rozpoczęciem swojej zmiany.

Na ścianie wisiała tabliczka zabraniająca palenia, mimo to ko-bieta nie zamierzała gasić papierosa, którego ścisnęła w czerwonych palcach. Nikt z obsługi nie zwrócił jej uwagi; Sachs uznała, że to przejaw zawodowej uprzejmości w restauracyjnym świecie.

Kobieta zmrzyła ciemne oczy, patrząc na jej legitymację.

- Sonja

mówiła, że chciała mnie pani o coś zapytać. Ale nie powiedziała o co. - Miała niski, chropowaty głos.

Sachs wyczuła, że Sonja prawdopodobnie we wszystko ją wta-jemniczyła. Mimo to, udając, że niczego się nie domyśliła, przekaza-ła jej najistotniejsze szczegóły sprawy - przynajmniej te, które mo-gła zdradzić - a potem pokazała jej zdjęcie Bena Creeleya.

Popęłnił samobójstwo. - W oczach Gerte nie zauważyła zasko-czenia. - Badamy okoliczności jego śmierci.

Widziałam go dwa, może trzy razy. - Zerknęła na tablicę z me-nu. - W „St. James” mogę jeść za darmo, ale dzisiaj chyba się spóź-

nię na kolację. Bo siedzę tutaj. Z panią.

Może więc kupię pani coś do jedzenia?

Gerte gestem przywołała kelnerkę i złożyła zamówienie.

A dla pani? - zwróciła się do Sachs kelnerka.

Macie herbatę ziołową?

Jeżeli Lipton to zioła, to mamy.

Poproszę.

Coś do jedzenia?

Nie, dziękuję.

Gerte obrzuciła krótkim spojrzeniem szczupłą sylwetkę detek-po czym parsknęła drwiącym śmiechem. ~ Ten gość, co popełnił samobójstwo, miał rodzinę?

~ Owszem.

117

- Pech. Jak się nazywa?

Pytanie nie dawało nadziei, że Gerte będzie dobrym źródłem in-formacji. I rzeczywiście wiedziała tyle co Sonja. Pamiętała tylko, że w ciągu ostatnich trzech miesięcy widywała Creeleya w barze mniej więcej raz w miesiącu. Też odniosła wrażenie, że zadaje się z glinami z sali, lecz nie była pewna.

-

Rozumie pani, mamy duży ruch.

Zależy, co przez to rozumieć, pomyślała Sachs.

-

Zna pani osobiście któregoś z tych funkcjonariuszy?

-

Z posterunku? Tak, paru.

Kiedy kelnerka przyniosła napoje, Gerte podała Sachs kilka imion i rysopisów. Nie знаła żadnego nazwiska.

Większość jest w porządku. Jest paru gnojków. Jak na całym świecie, nie?... A ten - ruchem głowy wskazała zdjęcie Creeleya.

- Nie pamiętam, żeby się często śmiał. Zawsze się rozglądał, patrzył

przez ramię, w okna. Jakiś nerwowy. - Kobieta nalęła do kawy śmie-tanki i wsypała porcję słodziku.

Sonja mówiła, że kiedy był u was ostatnim razem, z kimś się kłócił. Pamięta pani inne awantury?

Nie. - Siorbnęła kawę. - Przynajmniej nie, kiedy stałam za barem.

Widziała pani kiedyś u niego narkotyki?

-Nie.

Beznadziejna sprawa, pomyślała Sachs. To ślepa uliczka.

Barmanka głęboko zaciągnęła się papierosem i dmuchnęła dy-mem w stronę sufitu.

Zerknąwszy na Sachs, rozciągnęła jasnoczerwone usta w zagadkowym uśmiechu.

Dlaczego tak bardzo interesuje się pani tym gościem?

Rutynowa procedura.

Gerte posłała jej porozumiewawcze spojrzenie, dodając po chwili: Dwóch facetów przychodzi do „St. James” i zaraz potem obaj nie żyją. To ma być rutynowa procedura, tak?

Dwóch?

Nic pani nie wiedziała.

-Nie.

Tak myślałam. Inaczej od razu byłaby mowa o dwóch.

Proszę mi opowiedzieć.

Gerte zamilkła, uciekając oczami w bok; Sachs w pierwszej chwili i zaczęła przypuszczać, że kobieta się boi. Ale ona patrzyła tyłka na hamburgera z frytkami, który zaraz miał wylądować przed nią nafl stole.

Dziękuję, skarbie - mruknęła. Znów spojrzała na Sachs. - Sar-|

kowski. Frank Sarkowski.

Co się z nim stało?

- Słyszałam, że zginął w czasie jakiegoś napadu.

-Kiedy?

118

Na początku listopada. Jakoś tak.

Z kim się spotykał w „St. James”?

Wiem tylko, że czasem chodził do sali na tyłach.

Znali się? - Wskazała fotografię Creeleya.

Kobieta wzruszyła ramionami, przypatrując się hamburgerowi. Zdjęła połówkę bułki, posmarowała majonezem, a potem zaczęła się siłować z nakrętką keczupu. Sachs pomogła jej otworzyć butelkę.

Kim on był? - zapytała.

Biznesmenem. Zdaje się, że od mostów i tuneli. Ale słyszałam, że mieszka na Manhattanie i ma kasę. Nosił dzinsy od Gucciego. Nigdy z nim nie rozmawiałam. Odzywał się tylko, kiedy zamawiał.

Skąd się pani dowiedziała o jego śmierci?

Usłyszałam przypadkiem. Kiedy gadali.

Policjanci z komisariatu?

Przytaknęła.

Słyszała pani jeszcze o czyjejś śmierci?

-Nie.

-

A o innych przestępstwach? Wymuszeniach, napaściach, łapówkach?

Pokręciła głową, polewając keczupem hamburgera i robiąc małą kałużę na brzegu talerza do maczania frytek.

Nic. Wiem tylko tyle.

Dzięki. - Sachs położyła na stoliku dziesięć dolarów za posiłek barmanki.

Gerte zerknęła na pieniądze.

- Mają tu pyszne desery. Zwłaszcza placek z owocami. Jak będzie tu pani kiedyś coś jadła, niech pani zamówi placek.

Detektyw dołożyła jeszcze piątkę.

Gerte uniosła wzrok, uśmiechając się chytrze.

- Pewnie

się pani zastanawia, dlaczego o tym wszystkim mówię, nie?

Sachs skinęła głową z uśmiechem. Rzeczywiście się nad tym za-stanawiała.

-

Nie zrozumie pani. Przez tych gliniarzy z sali. Przez to, jak patrzą na mnie i Sonję, co mówią i czego nie mówią. Przez to, jak z nas żartują, kiedy myślą, że ich nie słyszemy... - Uśmiechnęła się z goryczą. - W porządku, zarabiam na życie nalewaniem drinków. Ale to im nie daje prawa się ze mnie nabijać. Każdy zasługuje na trochę godności, nie?

Joannę Harper, dziewczyna z marzeń Vincenta, nie wróciła jesz-cze do pracowni.

Obaj mężczyźni czekali w Wozie Opatrunkowym zaparkowanym na Spring Street naprzeciwko ciemnej pracowni, gdzie Duncan miał niebawem zabić trzecią ofiarę, a Vincent miał odbyć swoje pierwsze sam na sam od bardzo, bardzo dawna.

119

samochód nie był zbyt komfortowy, ale przynajmniej pewny. Ze-garmistrz ukradł go skądś, gdzie jak twierdził, przez jakiś czas nikt nie zauważy jego braku. Auto miało nowojorskie tablice rejestracyj-ne ukradzione z innego beżowego explorera - żeby bezpiecznie przejść wstępną kontrolę policji, gdyby zostali zauważeni (Zegar-mistrz pouczał Vincenta, że policja rzadko sprawdza numer VIN, ograniczając się do tablic).

Vincent przyznał, że to sprytne posunięcie, ale spytał, co robią, je-żeli jakiś gliniarz jednak sprawdzi numer VIN. Zobaczy, że nie pasuje do numerów rejestracyjnych, i domyśli się, że ford jest kradziony.

- Och, wtedy go zabiję - odparł Duncan. Jak gdyby to było oczy-wiste.

Zwykła przeszkoda na drodze...

Duncan spojrzął na zegarek kieszonkowy i schował go, zapinając kieszeń kurtki. Otworzył torbę, w której spoczywał zegar i inne narzę-dzia pracy, wszystkie pieczołowicie ułożone.

Nakręcił zegar, ustawił czas i zasunął zamek torby. Przez nylon Vincent słyszał tykanie.

Podłączyli zestawy słuchawkowe do komórek, a Vincent ustawił skaner policyjny stojący na siedzeniu obok niego (to oczywiście był pomysł Duncana). Gdy włączył aparat, usłyszał szum zwykłych ko-munikatów o wypadkach drogowych, zamykaniu ulic przed jakąś uroczystością planowaną na czwartek, o zawale serca na Broadwayu, ulicznej kradzieży łańcuszka... Życie w wielkim mieście...

Duncan dokładnie się obejrzał, sprawdzając, czy ma zapięte wszystkie kieszenie. Przejechał przez ubranie wałkiem do zbierania sierści, aby usunąć najdrobniejsze ślady. Przypomniał Vincentowi, żeby zrobił to samo, zanim pójdzie na swoje sam na sam z Joannę.



Skrupulatny...

- Gotów?

Vincent skinął głową. Duncan wysiadł z Wozu Opatrunkowego, rozejrzał się po ulicy, a potem podszedł do tylnego wejścia. Otworzył drzwi wytrychem w ciągu dziesięciu sekund.

Zdumiewające. Vincent uśmiechnął się, podziwiając umiejętności przyjaciela. Zjadł dwa batoniki, pracowicie żując każdy kęs.

Chwilę później zaczął wibrować jego telefon. W słuchawce ode-, zwał się głos Duncana: Jestem w środku. Co na ulicy?

Od czasu do czasu przejeżdża parę aut. Na chodnikach nie ma j nikogo. Czysto.

Vincent usłyszał jakiś metaliczny szcęk, a potem szept:

- Zadzwoń do ciebie, gdy będzie gotowa.

Dziesięć minut później Vincent zobaczył kogoś w czarnym płaszczu idącego w stronę pracowni, z sylwetki i sposobu poruszania się odgadł, że to kobieta. Tak, to była jego kwiaciarka, Joannę.

Odezwał się w nim wilczy głód.

120

Schylił się, żeby nie mogła go zobaczyć. Wcisnął klawisz telefonu.

Usłyszał tylko cichy trzask. Żadnego „halo” ani „tak”.

Vincent uniósł nieco głowę i zobaczył, jak dziewczyna podchodzi do drzwi. Powiedział do telefonu:

- To ona. Jest sama. Za chwilę tam będzie.

Morderca nie odpowiedział. Vincent usłyszał tylko trzask przerywanego połączenia.

Nie ma co, warto go było przy sobie zatrzymać.

Joannę Harper i Kevin wypili trzy kawy w „Kosmo's Diner”, zwykłej i nieróżniącej się od innych knajpce w SoHo, która dziś jednak stała się wyjątkowym miejscem. Joannę podchodziła do tylnych drzwi pracowni, myśląc, że mogłaby zostać jeszcze z pół godzinki.

Kevin chciał ją zatrzymać - byto do opowiedzenia jeszcze tyle żartów i historii - ale czekała na nią praca. Wprawdzie zamówienie było dopiero na jutrzejszy wieczór, lecz złożył je ważny klient, dlatego Joannę musiała się postarać, by kompozycje wyglądały doskonale. Z

ociąganiem oświadczyła Kevinowi, że musi wracać.

Rozejrzała się po ulicy, wciąż trochę zaniepokojona widokiem tego mężczyzny w parce i dziwnych okularach przeciwsłonecznych. Okolica była jednak pusta. Wchodząc do pracowni, Joannę zamknęła drzwi i dwa razy przekręciła zamek.

Zawieszając na haku płaszcz, głęboko wciągnęła powietrze, jak zawsze, gdy tu wchodziła, rozkoszując się gamą zapachów: jaśminu, róż, bzu, lilii, gardenii, nawozu, ziemi, ściółki.

Aromat był odurzający.

Włączyła lampy i ruszyła w stronę kompozycji, nad którymi wcześniej pracowała. Nagle znieruchomiała, wydając okrzyk przerażenia.

Jej stopa zaczęła o coś, co natychmiast uciekło gdzieś w bok. Joannę odskoczyła, myśląc w panice: sznur!

Kiedy jednak spojrzała na podłogę, roześmiała się. Kopnęła dużą szpulkę drutu flory stycznego, która leżała w przejściu. Jak tu się znalazła? Wszystkie szpulki wisały na ścianie.

Joannę zmrużyła oczy i w półmroku zobaczyła, że jedna spadła i potoczyła się po podłodze.

Dziwne.

Pewnie duchy kwiaciarzy, powiedziała sobie, lecz zaraz pożałowała żartu. W pracowni i tak było trochę upiornie, w dodatku zaraz przypomniał się jej gruby mężczyzna w ciemnych okularach. Prze-stań się sama straszyć, upomniała się w duchu.

Podniosła szpulkę i przekonała się, dlaczego spadła ze ściany; hak wysunął się z drewna. To wszystko. Po chwili jednak zauważyła coś zagadkowego. Szpulka była nowa; Joannę pamiętała, że nie za-czCla jeszcze używać tego drutu. Ale musiała; przecież trochę już Ubyło.

Znów się zaśmiała. Zakochane dziewczyny robią się okropnie za-pominalskie.

121

Znieruchomiła, przechylając głowę. Usłyszała dźwięk, do kióre-go nie była przyzwyczajona.

Co to jest?

Bardzo dziwne... kapanie wody?

Nie, to jakiś odgłos mechaniczny. Metalowy...

Dziwaczny. Brzmiał jak tykanie zegara. Skąd mógł dochodzić? W głębi pracowni był duży ścienny zegar, ale elektryczny - nie ty. kał. Joannę się rozejrzała. Uznała, że tykanie dochodzi z małej, po-zbawionej okien części pracowni tuż za chłodzonym pomieszcze-niem. Zaraz to sprawdzi.

Tymczasem pochyliła się, by naprawić hak.

Rozdział 13

A

melia Sachs zahamowała przed Ronem Pułaskim. Kiedy wsiadł, skierowała samochód na północ i wcisnęła gaz. Nowy opowiedział jej przebieg spotkania z Jordanem Kesslerem.

Wydawał mi się zupełnie czysty - dodał. - Miły człowiek. Ale po-myślałem, że powinienem porozmawiać z panią Creeley, żeby wszystko potwierdzić - czy Kessler może skorzystać na śmierci Creeleya.

Powiedziała, że mu ufa i wszystko jest w absolutnym porządku. Cią-gle nie byłem do końca przekonany, więc zadzwoniłem do adwokata Creeleya. Mam nadzieję, że dobrze zrobiłem.

Dlaczego miałbyś zrobić źle?

Nie wiem. Pomyślałem, że spytam.

W tym fachu zawsze lepiej jest zrobić za dużo - zapewniła go Sachs. - Kłopoty zaczynają się wtedy, gdy ktoś robi za mało.

Pułaski pokręcił głową.

Trudno sobie wyobrazić, żeby dla Lincolna pracował ktoś leniwy.

Zaśmiała się tajemniczo.

I co powiedział adwokat?

- Mniej

więcej to samo co Kessler i żona. Wykupi udziały Creeleya za uczciwą rynkową cenę. Wszystko jest zupełnie legalne. Kessler mówił, że jego wspólnik ostatnio więcej pił i zaczął uprawiać hazard. Żona powiedziała, że jest zaskoczona. Nigdy nie był amatorem Atlantic City.

Sachs skinęła głową.

Hazard - może w grę wchodziły kontakty z mafią. Handel towa-rem albo po prostu branie dla przyjemności. Może pranie pieniędzy.

Wygrywał czy przegrywał, nie wiesz?

Zdaje się, że zostawił tam dużą forszę. Zastanawiałem się, czy nie wziął pożyczki u jakiegoś

lichwiarza, żeby pokryć straty. Ale żo-na twierdzi, że przy takich dochodach to nie było nic poważnego.

Stratę dwustu tysięcy mogli jakoś przeboleć. Chociaż można sobie

^obrazić, że nie była szczęśliwa... Kessler mówił, że Creeley miał

"Oskonale stosunki ze wszystkimi klientami. Ale poprosiłem go o li-stę. Wydaje mi się, że sami powinniśmy z nimi porozmawiać.

123

Dobrze - odrzekła Sachs. Po chwili dodała: - Sprawa zaczyna się robić lepka. Zginął ktoś jeszcze. Podobno morderstwo podczas włamania. - Zrelacjonowała mu rozmowę z Gerte, mówiąc o śmierci Franka Sarkowskiego. - Musisz wygrzebać akta tej sprawy.

Jasne.

Myślę...

Urwała. Zerknęła w lusterko wsteczne i tknęło ją złe przeczucie -Hm.

- Co

się Stało? - spytał Pułaski.

Nie odpowiedziała, tylko spokojnie skrzyła w prawo, wolno prze-jechała kawałek, a potem ostro skrzyła w lewo.

- Być może mamy ogon. Zauważyłam parę minut temu. Merc skrzył za nami. Nie, nie patrz.

Był to czarny mercedes z przyciemnianymi szybami.

Sachs znów skrzyła i raptownie zahamowała. Nowy stęknął, gdy pas bezpieczeństwa boleśnie wpił mu się w ciało. Mercedes pojechał dalej. Sachs obejrzała się przez ramię, nie zdołała jednak odczytać numerów rejestracyjnych, zauważając tylko, że to AMG - droga, podrasowana wersja niemieckiego auta.

Chciała zawrócić, ale w tym momencie tuż przed jej camaro za-parkował samochód dostawczy. Zanim go ominęła, czarny mercedes zniknął.

-

Kto to mógł być?

Sachs gwałtownie zmieniła bieg.

-

Nie wiem, może to tylko zbieg okoliczności. Raczej rzadko się zdarza, żeby ktoś mnie śledził. A już na pewno nigdy nie siedział mli na ogonie gość w wozie za sto czterdzieści tysięcy dolarów.

Dotykał zimnego ciała kwiaciarki leżącego na betonie, widząc jej twarz, bladą jak płatki białych róż rozsypanych na podłodze. \

Zimne ciało, zimne jak Zimny Księżyc, ale wciąż miękkie; śmierć nie zdążyła go jeszcze zmienić w kamień.

Rozcinał tkaninę, bluzkę, stanik...

Dotykał...

Smakował...

Takie obrazy bombardowały wyobraźnię Vincenta Reynoldsa gdy siedział w Wozie Opatrunkowym, wpatrując się w ciemną pra cownię po drugiej stronie ulicy, oddychając szybko i nie mogąc się doczekać sam na sam z Joannę. Trawił go głód.

Z rozmyślań wyrwał go hałas:

-

Patrol drogowy czterdzieści dwa, możecie... trzeba dostawić więcej barierek na Nassau i Pine. Przy trybunie.

-Jasne, załatwimy to. Bez odbioru.

Komunikat nie stanowił żadnego zagrożenia dla niego i Geralda Duncana, Vincent mógł więc dalej snuć swoje fantazje. , Smakował, dotykał...

124

Vincent przypuszczał, że morderca właśnie położył Joannę na podłodze i zaczął krępować.

Nagle spochmurniał. Czy Duncan będzie dotykał pewnych miejsc? Piersi albo między nogami?

Vincent poczuł zazdrość.

Joannę była jego dziewczyną, nie Duncana. Niech to szlag! Jeżeli ma ochotę kogoś przelecieć, niech sobie poszuka innej milej dziewczyny-"

Ale po chwili zdołał się opanować. Wszystko przez ten głód. Głód doprowadza cię do szaleństwa i jesteś opętany jak ludzie w tych krwawych filmach o zombi, które oglądał

Vincent. Duncan to twój przyjaciel. Jeżeli chce się z nią zabawić, niech się zabawi. Mogą się nią przecież podzielić.

Vincent niecierpliwie spojrział na zegarek. To trwało tak strasznie długo. Duncan mówił, że czas nie jest bezwzględny. Kiedyś naukowcy przeprowadzili eksperyment, podczas którego jeden zegar umieścili na wysokiej wieży, a drugi na poziomie morza. Ten na wieży szedł

szybciej niż zegar na ziemi. Z powodu jakiegoś prawa fizyki. Z punktu widzenia psychologii, dodał Duncan, czas też jest względny. Jeżeli robisz coś, co uwielbiasz, płynie szybko. Kiedy na coś czekasz, ciągnie się w nieskończoność.

Tak jak teraz. Szybciej, szybciej.

Radio ustawione na desce rozdzielczej znów zatrzeszczało. Pewnie następny komunikat drogowy.

Ale Vincent był w błędzie.

-

Centrala do wszystkich jednostek na dolnym Manhattanie. Udać się na Spring Street na wschód od Broadwayu. Uwaga, szukać znajdujących się w pobliżu kwaciarni. Wezwanie ma związek z wczorajszymi zabójstwami na pirsie przy

Dwudziestej Drugiej i alejce przy Cedar Street. Zalecana ostrożność.

-Chryste Panie... - mruknął głośno Vincent, wpatrując się w skaner. Błyskawicznie wcisnął klawisz ponownego wybierania numeru, rozglądając się po ulicy - policji jeszcze nie było.

Jeden dzwonek, drugi...

- Odbieraj!

Trzask. Duncan nie odezwał się ani słowem - zgodnie z ustalonym planem. Ale Vincent wiedział, że go słucha.

- Szybko,

wychodź! Zaraz tu będą gliny!

Vincent usłyszał stłumiony syk i Duncan natychmiast się rozłączył.

Tu trzy trzy siedem. Za trzy minuty będziemy na miejscu.

Zrozumiałem, trzy trzy siedem... Uzupełnienie wezwania - mamy Ogłoszenie dziesięć trzydziestu cztery, napaść przy Spring czterysta Osiemnaście. Do wszystkich wolnych jednostek, natychmiast interweniować.

~ Zrozumiałem.

~ Cztery sześć jeden, jedziemy.

125

- Pospiesz

się, na litość boską - mamrotał Vincent, wrzucając bieg.

Rozległ się brzęk i przez szklane drzwi frontowe pracowni wyle. ciała ceramiczna waza.

Zaraz potem wyskoczył stamtąd Duncan. Przebiegł sprintem po odłamkach wybitej szyby, o mały włos nie pośliznął się na lodzie, podbiegł do explorera i skoczył na fotel pasa-zera.

Vincent natychmiast ruszył.

-

Zwolnij - rozkazał morderca. - Skręć w następną ulicę.

Vincent zdjął stopę z gazu. Na całe szczęście, ponieważ w tej samej chwili tuż przed nimi zza rogu wypadł radiowóz.

Na ulicy zjawiły się dwa inne, z których już wyskakiwali poli-cjanci.

- Zatrzymaj

się na światłach - rzeki spokojnie Duncan. - Nie panikuj.

Vincent poczuł dreszcz przebiegający przez całe ciało. Miał ochotę zaryzykować i przejechać na czerwonym. Duncan to wyczuł.

-

Nie. Zachowuj się jak wszyscy. Jesteś ciekawy, co się stało. Popatrz na radiowozy. To normalne.

Vincent popatrzył. Zapaliło się zielone światło.

- Powoli.

Ruszył przez skrzyżowanie.

Mijało ich coraz więcej policyjnych samochodów, pędzących na wezwanie.

,

W radiu kilka innych jednostek zameldowało, że są w drodze na Spring Street. Jakiś funkcjonariusz nadał informację, że nie zidentyfikowano podejrzanego. Nie padło ani jedno słowo o Wozie Opa-trunkowym. Vincentowi dygotały ręce, ale prowadził równo, trzy-mając duży samochód dokładnie pośrodku pasa i jadąc ze stałą prędkością. Kiedy wreszcie oddalili się na bezpieczną odległość od pracowni, Vincent powiedział cicho: Wiedzieli, że to my.

Duncan odwrócił się do niego.

Co takiego?

-

Policja. Mieli szukać w okolicy kwaciarni i mówili, że to ma coś wspólnego z wczorajszymi morderstwami.

Gerald Duncan zamyślił się. Nie wyglądał na wstrząśniętego ani wściekłego. Zmarszczył brwi.

Wiedzieli, że tam jesteśmy? Dziwne. Skąd się mogli dowiedzieć?

Gdzie mam jechać? - zapytał Vincent.

Przyjaciel nie odpowiedział, patrząc na ulice. W końcu odrzekł spokojnie: Na razie jedź przed siebie. Muszę pomyśleć.

Uciekł? - zatrzeszczał w głośniku motoroli głos Rhyme'a. -.

to się stało?

126

Stojący obok Sachs przed pracownią kwiaciarską Lon Sellitto odparł:

- Wybrał właściwy moment. Albo miał szczęście. Kto to może, do cholery, wiedzieć?

Szczęście? - warknął Rhyme, jak gdyby to było obce słowo, któ-

reg° n'e rozumiał. Zamilkł na chwilę. - Zaraz... Używacie szyfrowa-nego kanału?

Jesteśmy na operacyjnym, ale centrala nie - odparł Sellitto.

\_ przynajmniej nie dla wezwań pod dziewięćset jedenaście. Musiał

usłyszeć zgłoszenie. Niech to szlag. Dobra, postaramy się, żeby cała łączność przy sprawie Zegarmistrza była szyfrowana.

Jak wygląda miejsce, Sachs? - zapytał Rhyme.

Dopiero przyjechałam.

-

No to przeszukaj,

Trzask.

Rany... Sellitto i Sachs spojrzeli po sobie. Kiedy tylko odebrała komunikat o 10-34 na Spring Street, wysadziła Pułaskiego z poleceniem, żeby odnalazł akta Sarkowskiego, a sama pomknęła przesu-kać miejsce zdarzenia.

Dam sobie radę z dwiema sprawami.

Miejmy nadzieję, Sachs...

Wrzuciła torebkę na tylne siedzenie camaro, zamknęła drzwi i ruszyła w stronę pracowni.

Ujrzała Kathryn Dance wracającą z głównej kwiaciarni, gdzie przesłuchiwała właścicielkę, Joannę Harper, której ledwie się udało nie zostać trzecią ofiarą Zegarmistrza.

Na ulicy zatrzyma! się nieoznakowany samochód z migającymi na kratce chłodnicy światłami ostrzegawczymi. Dennis Baker wyta-czył je i wysiadł, szybko podchodząc do Sachs.

-

To by! on? - zapytał.

-

Owszem - odrzekł Sellitto. - Ludzie z patroli znaleźli w środku następny zegar. Taki sam.

Mamy trzy, zostało siedem, pomyślała ponuro Sachs.

I kolejny liścik miłosny?

Tym razem nie. Ale naprawdę niewiele brakowało, żebyśmy go dopadli. Przypuszczam, że nie zdążył zostawić wierszyka.

Usłyszałem komunikat - powiedział Baker. - Jak się domyśliliście, że to on?

Przecnicę dalej był nalot wydziału ochrony środowiska - na zakład dezynsekcji, który wysypał gdzieś nielegalny siarczan talu, czyli trutkę na szczury. Potem Lincoln dowiedział się, że rybiego białka, które znaleziono na miejscu morderstwa Adamsa, używa się Przede wszystkim jako nawozu do orchidei. Lon wysłał patrole do kwiaciarni i firm florystycznych niedaleko zakładu dezynsekcji.

Trutka na szczury. - Baker parsknął śmiechem. - Ten Rhyme myśli o wszystkim.

A nawet więcej niż o wszystkim - dodał Sellitto.

127

Dołączyła do nich Duncie. Opowiedziała im, co ustaliła w trakcie przesłuchania: Joannę Harper wróciła do pracowni i zauważyła, że drut nie jest na swoim miejscu.

Nie bardzo się tym przejęła. Ale usłyszała tykanie i zdawało się jej, że w drugim pomieszczeniu ktoś jest. Zadzwoniła pod dziewięćset jedenaście.

Radiowozy i tak już tu jechały - podjął Sellitto - więc zdążyli.

Śmy, zanim ją zabił. Ledwie zdążyliśmy.

Dance dodała, że florystka nie ma pojęcia, dlaczego ktoś chciał-by jej zrobić krzywdę.

Rozwiodła się już dawno temu, ale były mai od lat się z nią nie kontaktował. Jej zdaniem nie miała żadnych wrogów.

Joannę powiedziała Dance, że wcześniej tego dnia zauważyła, jak ktoś obserwuje ją przez okno - biały krępy mężczyzna w kremowej parce, staromodnych ciemnych okularach i czapce bejsbolowej. Więcej nie zdołała zobaczyć z powodu brudnych szyb. Dance się zastanawiała, czy kwiaciarka ma jakieś związki z pierwszą ofiarą, Adamsem, lecz Joannę nigdy o nim nie słyszała.

Jak ona się czuje? - zapytała Sachs.

Jest w szoku, mimo to wraca do pracy. Ale nie chce iść do pracowni, tylko do kwiaciarni na Broadwayu.

Dopóki nie znajdziemy tego faceta albo nie poznamy motywu, postawię przed jej sklepem radiowóz - rzekł Sellitto, wyciągając radio, żeby wydać odpowiednie dyspozycje.

Nadeszli Nancy Simpson i Frank Rettig z wydziału kryminalistycznego, prowadząc młodego człowieka w wełnianej czapce i szerokiej kurtce. Chłopak był chudy i wyglądał na skostniałego z zimna.

- Pan chce nam pomóc - powiedziała Simpson. - Przyszedł do naszej furgonetki.

Zerkając na Sachs, która przyzwalająco skinęła głową, Dance odwróciła się do niego i spytała, co widział. Zaraz się jednak zorientowała, że niepotrzebna jest żadna analiza kinetyczna. Chłopak cieszył się, że może wystąpić w roli dobrego obywatela. Opowiedział, że idąc ulicą, zauważył, jak ktoś wyskakuje z pracowni kwiaciarskiej. Był to mężczyzna w średnim wieku, ubrany w ciemną kurtkę. Patrząc na portret pamięciowy sporządzony przez Dance i Sellitta w sklepie z zegarami, orzekł: - Tak, to mógł być on.

Człowiek podbiegł do beżowego auta terenowego, które prowadził biały mężczyzna o okrągłej twarzy, w okularach przeciwsłonecznych. Chłopak nie potrafił jednak podać bardziej szczegółowego rysopisu kierowcy.

Jest ich dwóch? - westchnął Baker. - Ma współnika.

To zapewne jego Joannę zobaczyła przez okno pracowni.

Czy to był ford explorer?

128

-

Nie umiem odróżnić explorera od... innych terenówek.

Sellitto zapytał go o numer rejestracyjny. Świadek nie widział tablic

Przynajmniej znamy kolor. - Sellitto nadał komunikat o poszukiwanym samochodzie. Informacja była adresowana do znajdujących się w okolicy radiowozów i patroli drogówki, które miały szukać beżowych explorerów z dwoma białymi mężczyznami.

Dobra, bierzmy się do roboty - zawołał Sellitto.

Simpson i Rettig pomogli Sachs przygotować sprzęt do oględzin. Do przeszukania było kilka miejsc: pracownia, uliczka, chodnik - droga ucieczki podejrzanego - oraz miejsce, gdzie parkował explorer.

Kathryn Dance i Sellitto pojechali do Rhyme'a, natomiast Baker został, żeby pokazać portret pamięciowy Zegarmistrza ludziom na ulicy oraz pracownikom magazynów i zakładów usługowych na Spring Street i znaleźć ewentualnych świadków.

Sachs zebrała dowody, jakie udało się jej znaleźć. Ponieważ pierwszy zegar nie zawierał materiału wybuchowego, nie było potrzeby wzywać pirotechników; aby się upewnić, wystarczył zwykły test na obecność azotanów. Zapakowała zegar wraz z pozostałymi dowodami, po czym zdjęła kombinezon z tyveku i włożyła skórzaną kurtkę. Potem biegiem wróciła do samochodu, wsiadła, uruchomiła silnik i ustawiła ogrzewanie na cały regulator.

Sięgnęła na tylne siedzenie po torebkę, aby wyciągnąć z niej rękawiczki, ale gdy ją podniosła, wysypało się z niej kilka przedmiotów.

Sachs zmarszczyła brwi. Zawsze pamiętała o dokładnym zamykaniu torebki. Nie mogła sobie pozwolić na zgubę jej zawartości, ponieważ nosiła tam dwa zapasowe magazynki do Glocka, a także miotacz gazu łzawiącego. Doskonale pamiętała, że gdy przyjechała na miejsce, zatrzasnęła zamek.

Spojrzała na okno po stronie pasażera. Smugi pozostawione na szybie przez rękawiczki sugerowały, że ktoś poradził sobie z zamkiem za pomocą listwy do otwierania samochodów.

Część miękkiej izolacji wokół okna została odsunięta na bok.

Została okradziona podczas oględzin miejsca przestępstwa. Pierwszy raz w życiu.

Zajrzała do torebki, przeglądając jeden po drugim wszystkie przedmioty. Nic nie zginęło.

Pieniądze i karty były na swoim miejscu - choć na pewno będzie musiała zadzwonić do banków, na wypadek gdyby złodziej zapisał numery kart kredytowych. Amunicja i pojemnik z gazem łzawiącym pozostały nietknięte. Sachs rozejrzała się po ulicy, kładąc dłoń na Glocku. Nieopodal stała grupka ludzi obserwujących z zainteresowaniem policyjną akcję.

Wysiadła i podeszła do nich, pytając, czy ktoś widział włamanie. Nikt niczego nie zauważył.

129

Wróciwszy do chevroleta, Sachs wyciągnęła z bagażnika podstawowy zestaw narzędzi kryminalnych i stycznych i sprawdziła samochód tak jak zwykle miejsce przestępstwa - szukając śladów stóp, odcisków palców i mikrośladów. Nie znalazła niczego. Schowała sprzęt i znów usiadła za kierownicą.

Nagle ujrzała wyjeżdżający powoli z uliczki duży czarny samochód. Pomyślała o Mercedesie, którego widziała wcześniej, jechać z Pułaskim. Nie rozpoznała jednak marki, a zanim zdążyła zawrócić i ruszyć za nim, samochód zniknął w sznurze innych aut.

Ciekawe, zbieg okoliczności czy nie?

Potężny silnik Camaro zaczął tłoczyć do środka gorące powietrze, Sachs zapięła pas i wrzuciła jedynkę. Ruszając, pomyślała: w każdym razie nic się nie stało.

Kiedy mijala następną przecnicę, włączając trójkę, nagle przemknęło jej przez myśl: Właściwie czego on szukał? Nie ruszył piekielnie ani kart, a to oznaczało, że włamywaczowi chodziło o coś innego.

Amelia Sachs wiedziała, że najbardziej niebezpieczni są ludzie kierujący się nieznanymi motywami.



## Rozdział 14

### U

Rhyme'a Sachs przekazała dowody Melowi Cooperowi. Zanim włożyła lateksowe rękawiczki, wyciągnęła z puszkii kilka ciastek dla psów i nakarmiła Jacksona, który pożarł je z apetytem.

Zastanawiałeś się kiedyś, czyby nie sprawić sobie psa pomocni-ka? - zapytała Rhyme'a Kathryn Dance.

Przecież to jest pies pomocnik.

Jackson? - zdziwiła się Sachs.

Aha. Bardzo mi pomaga. Zajmuje uwagę gości i nie muszę ich zabawiać.

Obie kobiety wybuchnęły śmiechem.

- Pytam

poważnie.

Jeden z jego terapeutów sugerował, że przydałby mu się pies. Wielu paraplegików i tetraplegików miało czworonożnych pomocni-ków. Krótko po wypadku, gdy psycholog wspomniał o tym pierwszy raz, Rhyme nie okazał entuzjazmu. Nie potrafił właściwie wytłuma-czyć dlaczego, ale sądził, że nie miał ochoty być zależny od nikogo i niczego. Teraz pomysł nie wydawał się wcale taki zły.

Zmarszczył brwi.

- Można je tak wytresować, żeby nalewały whisky? - Kryminalistyk spojrzał na Sachs. - A, kiedy pojechałaś przeszukać miejsce, był do ciebie telefon. Dzwonił jakiś Jordan Kessler.

-Kto?

Powiedział, że będziesz wiedziała.

Zaraz... no tak, wspólnik Creeleya.

Chciał z tobą rozmawiać. Powiedziałem mu, że cię nie ma, więc postawił wiadomość. Podobno rozmawiał z pracownikami firmy 1 Wszyscy potwierdzili, że ostatnio Creeley wyglądał na bardzo przy-wabionego. Kessler przygotowuje listę klientów, ale to potrwa dzień czy dwa.

Dwa dni?

~ Tak powiedział.

Rhyme patrzył na dowody, które układała na stole przed Coope-"; Szybko przestał myśleć o zagadkach „Tawerny St. James” - na-131

zywał to „Drugą Sprawą”. W przeciwieństwie do „Jego Sprawy”, Zg. garmistrza.

- Bierzmy

się do pracy - zakomenderował.

Sachs włożyła lateksowe rękawiczki i zaczęła wypakowywać pu. dełko i torbę.

Zegar był taki sam jak dwa poprzednie: głośno tykał i pokazywał właściwą godzinę. Tarcza z fazami księżyca minęła już pełnię.

Cooper i Sachs rozmontowali zegar, ale nie znaleźli żadnych istot-nych śladów.

W pracowni kwiaciarskiej nie było śladów stóp, odcisków Unii papilarnych, broni ani niczego innego. Rhyme się zastanawiał, czy morderca przeciął drut florystyczny jakimś specjalnym narzędziem lub wykorzystał specyficzną technikę, która mogłaby im zdradzić je-go dawny czy obecny zawód albo praktykę. Okazało się jednak, że nie - użył nożyc Joannę. Podobnie jak taśma izolacyjna, drut został pocięty bardzo precyzyjnie. Każdy z dwóch odcinków miał

dokład-nie sto osiemdziesiąt centymetrów długości. Rhyme nie był pewien, czy sprawca

zamierzał związać ofiarę drutem, czy chciał go wykorzystać jako narzędzie morderstwa.

Przed wyjściem na kawę Joannę Harper zamknęła drzwi na klucz. Było jasne, że morderca otworzył zamek wytrychem. Rhyme nie był zaskoczony; człowiek znający się na mechanizmach zegarów mógł się z łatwością nauczyć ślusarskich sztuczek.

Z danych wydziału komunikacji wynikało, że w mieście jest zarejestrowanych czterystu dwudziestu trzech właścicieli bezowych for-dów explorerów. Porównali ich listę z rejestrem nakazów i znaleźli dwa nazwiska: sześćdziesięciokilkuletniego mężczyznę poszukiwanego z powodu kilkudziesięciu niezapłaconych mandatów za złe parkowanie oraz młodszego, którego przymknięto za handel kokainą, Rhyme zastanawiał się, czy to może być pomocnik Zegarmistrza, ale okazało się, że mężczyzna siedzi jeszcze w więzieniu. Wśród pozostałych osób na liście mógł figurować Zegarmistrz, lecz niemożliwością byłoby sprawdzenie wszystkich, choć Sellitto zamierzał wysłać swoich ludzi pod adresy na dolnym Manhattanie.

Dostali też kilka sygnałów w odpowiedzi na komunikat o poszukiwanym samochodzie ale żaden z rysopisów kierowców nie pasował do Zegarmistrza ani jego współnika.

Sachs zebrała próbki śladów w pracowni i po ich analizie była już pewna, że ziemia z rybim białkiem - w formie nawozu - istotnie pochodziła z kwaciarni Joannę. Substancja była w budynku, Sachs znalazła też spore ilości przed budynkiem, wewnątrz i obok wyrzuconych torebek po nawozie.

Rhyme sceptycznie kręcił głową.

Co jest? - zapytał Sellitto.

Nie chodzi o białko. Chodzi o to, że znalazło się na ciele drugiego ofiary. Adamsa.

132

\_ Dlaczego?

-

Bo to znaczy, że sprawca wcześniej odwiedził pracownię - prawdopodobnie szukał alarmów i kamer. Dokładnie obserwował miejsca akcji. Czyli ma jakiś powód, żeby wybierać na ofiary te, a nie inne osoby. Tylko do diabła jaki?

Mężczyzna uduszony żelazną belką na ulicy przypuszczalnie nie był zamieszany w żadną działalność przestępczą i nie miał wrogów. Podobnie było z Joannę Harper. Kwaciarka nigdy nie słyszała o Adamsie - nic ich nie łączyło. A jednak Zegarmistrz wziął oboje na cel.

Dlaczego ich? Nieznana ofiara na piersie, młody biznesmen, florystka... i siedem następnych, o których jeszcze nie wiedzieli - Co takiego w sobie mają, że właśnie ich postanawia zabić?

Co

ich łączy?

Znalazłaś coś jeszcze?

Czarne płatki - rzekł Cooper, pokazując plastikową kopertę.

Spoczywały w niej cętki przypominające zaschnięte kleksy.

Zebrałam je tam, gdzie wziął szpulkę z drutem i gdzie się prawdopodobnie ukrył. Kilka płatków znalazłam też przed drzwiami frontowymi, gdzie nadepnął na szkło, biegnąc do samochodu.

Wrzucmy je do chromatografu.

Cooper włączył chromatograf gazowy ze spektrometrem masowym i umieścił w nim próbkę czarnych płatków. Po kilku minutach na ekranie wyświetliły się wyniki.

-

Co tam mamy, Mel?

Technik poprawił okulary i nachylił się nad monitorem. -Organiczne... siedemdziesiąt trzy procent n-alkanów, wielopierścieniowe węglowodory aromatyczne i tiareny.

Ach, smoła dachowa. - Rhyme zmrużył oczy.

Kathryn Dance parsknęła śmiechem.

Wiesz na pewno?

Lincoln włączył się kiedyś po mieście i zbierał, co się dało do swojej bazy danych... Śmiesznie to musiało wyglądać, kiedy szedłeś z kimś na kolację, Linc. Brałeś ze sobą próbówki i torebki?

Możesz spytać moją byłą żonę - odburknął Rhyme, lecz ton je-go głosu zdradzał rozbawienie. Całą uwagę skupiał na czarnych płatkach smoły. - Założę się, że obserwował kolejną ofiarę z budynku, gdzie kładą nowy dach.

Albo zmieniają dach na jego budynku - podsunął Sellitto.

Wątpię, żeby w taką pogodę popijał koktajl albo oglądał zachód słońca na dachu własnego domu - odparł Rhyme. - Założmy, że 1° inny budynek. Chcę się dowiedzieć, na ilu budynkach kładzie się teraz nowy dach.

W grę mogą wchodzić setki, tysiące - zauważył Sellitto.

W taką pogodę prawdopodobnie nie.

" Jak do diabła mamy je znaleźć? - spytał detektyw.

- Przez

ASTER.

133

-

Co to takiego? - zapytała Dance.

-

Orbitalny sensor emisji termicznej - wyjaśnił Rhyme. - Skana, obrazujący Ziemię w kilkunastu zakresach spektralnych, umieszczony na satelicie Terra - wspólnym projekcie NASA i japońskiego rząd. Wykonuje obrazy termiczne z kosmosu. Okrąża Ziemię co... ile, Mel?

Co mniej więcej dziewięćdziesiąt osiem minut. Ale zobrazowa.

nie całej Ziemi trwa szesnaście dni.

Dowiedz się, kiedy ostatnio satelita był nad Nowym Jorkiem.

Chcę mieć termogramy. Sprawdź, czy mogą zaznaczyć miejsca o temperaturze ponad stu stopni - przypuszczam, że co najmniej tyle inn smoła, kiedy się ją nakłada. To powinno zawęzić nam pole poszukj.

wań.

Całe miasto? - zapytał Cooper.

Wygląda na to, że poluje na Manhattanie. Wystarczy na początek.

tek.

Cooper przeprowadził długą rozmowę telefoniczną, a gdy odłożył słuchawkę, oznajmił:

- Zajmą się tym. Powiedzieli, że się postarają.

Thom wprowadził Dennisa Bakera.

- Nie

znaleźliśmy żadnych innych świadków w okolicach pracowni - zameldował porucznik, zdejmując płaszcz i z wdzięcznością przyjmując kubek kawy. - Szukaliśmy godzinę. Albo nikt niczego nie

widział, albo boją się przyznać, że coś widzieli. Facet napędzi]

wszystkim strachu.

Potrzebujemy czegoś więcej. - Rhyme spojrział na naszkicowa-ny przez Sachs plan miejsca zdarzenia. - Gdzie był zaparkowany ich samochód?

Po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko pracowni - odparła Sachs.

-1 przeszukałaś miejsce, gdzie byt zaparkowany. - To nie było pytanie. Rhyme doskonale wiedział, że to zrobiła. - Przed nim albo za nim stały jakieś auta?

-Nie.

- Dobra, a więc biegnie do forda, jego współnik jedzie do naj-bliższego skrzyżowania i skręca, chcąc się zgubić w ruchu. Nie za-mierza łamać przepisów, więc wykonuje ładny - i ostry - skręt, trzy-mając się swojego pasa. - Podobnie jak podczas przejeżdżania praei garby i nagiego hamowania, w trakcie wolnego pokonywania ostrych zakrętów bieżnik opon może pozostawić ważne mikroślady\* - Jeżeli ulica jest jeszcze zamknięta, trzeba tam wysłać zespół

z kry minalistycznego, żeby zebrał wszystkie ślady ze skrzyżowania. Peff nie niewiele z tego będzie, ale musimy spróbować. - Zwrócił się o Bakera. - Jedziesz prosto stamtąd, prawda?

Byłeś tam jeszcze óne sieć, piętnaście minut temu?

- Mniej więcej - odrzekł Baker, przeciągając się i siadając. Dus\* kiem opróżnił kubek.

Wyglądał na wyczerpanego. 134

\_ Ulica była jeszcze zamknięta?

\_ Nie zwróciłem uwagi- Chyba tak.

\_ Dowiedz się - poleci! Sellittowi Rhyme. - A jeżeli tak, wyślij ludzi.

po telefonie detektywa okazało się jednak, że ulicę już otwarto. Wszystkie ślady pozostawione przez explorera zostały zniszczone przez pierwszy albo drugi samochód skręcający w tę samą ulicę.

\_ Niech to szlag - mruknął Rhyme, wracając spojrzeniem na ta-blice dowodów. Już dawno żadna sprawa nie nastroczała mu tylu trudności.

Thom zapukał we framugę i wprowadzi! do pokoju gościa - ko-bietę w średnim wieku ubraną w drogi czarny płaszcz. Wyglądała znajomo, lecz Rhyme nie pamiętał jej nazwiska.

- Cześć, Lincoln.

Wtedy sobie przypomniał.

\_ Witaj, inspektorze.

Marilyn Flaherty była starsza od Rhyme'a, ale oboje byli kapita-nami w tym samym czasie i współpracowali przy kilku operacjach specjalnych. Pamiętał ją jako inteligentną i ambitną osobę - i z ko-nieczności nieco bardziej bezwzględną i zdecydowaną niż mężczyźni na podobnych stanowiskach. Przez kilka minut rozmawiali o wspól-nych znajomych i kolegach, byłych i obecnych. Flaherty zapytała go

O sprawę Zegarmistrza i Rhyme zdał jej krótką relację z przebiegu dochodzenia.

Następnie inspektorka odciągnęła na bok Sachs, pytając o stan śledztwa - oczywiście chodziło jej o Drugą Sprawę. Rhyme mimo woli podsłuchał, jak Sachs mówi, że nie znalazła żadnych niezbitych dowodów. Na posterunku numer 118 nie doszło do poważnych kra-dzieży narkotyków. Wspólnik Creeleya i jego pracownicy potwier-dzili informacje o złym stanie psychicznym biznesmena, wspomina-jąc, że ostatnio dużo pil. Okazało się też, że jeździł do Las Vegas

1 Atlantic

City.

Mógł tam mieć kontakt ze zorganizowaną przestępczością - zauważyła Flaherty.

Też tak przypuszczam - zgodziła się Sachs. Dodała, że podobno żaden klient nie żywił do Creeleya urazy, mimo to poprosili z Pułaskim Jordana Kesslera o listę klientów, aby porozmawiać z nimi osobiście.

Suzanne Creeley była jednak przekonana, że mąż nie miał nic wspólnego z narkotykami ani działalnością przestępczą, ani że nie Popęłnił samobójstwa.

I mamy jeszcze jedną zagadkową śmierć - powiedziała Sachs.

Jeszcze jedną?

. - To człowiek, który kilka razy przyszedł do „St. James”. Być mo-ze spotykał się z tymi samymi ludźmi co Creeley.

Jeszcze jedna śmierć?, pomyślał Rhyme. Musiał przyznać, że ^ga Sprawa rozwija się w bardzo ciekawym kierunku.

135

Kto? - spytała Flaherty.

Też biznesmen. Frank Sarkowski. Mieszkał na Manhattanie. I Flaherty, marszcząc brwi, rozglądała się po laboratorium, patr^J na tablice dowodów i sprzęt.

-

Wiadomo, kto mógł go zabić?

- Sądzę, że zginął podczas napadu rabunkowego. Ale dowiem si dopiero, gdy przeczytam akta sprawy.

Rhyme zauważył zdenerwowanie malujące się na twarzy inspefc. torki.

Sachs także była spięta. Wkrótce przekonał się dlaczego, gdy tyl ko Flaherty oświadczyła: Na razie zaczekam z decyzją przekazania śledztwa wydziałowi spraw wewnętrznych. - Sachs wyraźnie odetchnęła z ulgą. Nie odbiorą jej sprawy. Lincoln Rhyme cieszył się wprawdzie z jej radości lecz w głębi serca wolałby, żeby przekazała Drugą Sprawę wewnątrz nemu i wróciła do pracy nad Jego Sprawą.

A ten młody funkcjonariusz Ron Pułaski? - spytała Flaherty.

- Dobrze sobie radzi?

Doskonale.

Idę złożyć raport Wallace'owi, detektywie. - Inspektorka skinę-

ła głową Rhyme'owi. - Miło było cię zobaczyć, Lincoln. Uważaj na siebie.

Tymczasem, inspektorze.

Flaherty ruszyła do drzwi krokiem generała maszerującego po placu defiladowym.

Amelia Sachs chciała zadzwonić do Pułaskiego i zapytać, czego się dowiedział o Sarkowskim, kiedy tuż obok siebie usłyszała głos

- Wielka

Inkwizytor.

Sachs odwróciła się i ujrzała Sellitta wsypującego cukier do kawy

-

Zapraszam do biura - powiedział, wskazując korytarz doimi Rhyme'a.

Zostawiając resztę zespołu, oboje detektywi wyszli do słabo oświetlonego pomieszczenia.

Inkwizytor? Tak nazywają Flaherty? - spytała Sachs.

Aha. Co nie znaczy, że nie jest dobra.

Wiem. Słyszałam o niej.

Mhm. - Gruby detektyw popijał kawę, kończąc ciastko. - Słuchaj, mam na głowie tego stukniętego Zegarmistrza i nie wiem, o co chodzi z „St. James”, ale jeżeli w grę wchodzi gliniarze, którzy bio rą w łapę, to dlaczego ty dostałaś sprawę, a nie wewnętrzny?

Flaherty nie chciała ich jeszcze włączać. Wallace się zgodził Wallace?

Robert Wallace. Wiceburmistrz.

Taa, znam go. Swój chłop. Ale tak właśnie trzeba zrobić, czyć wewnętrzny. Dlaczego Flaherty nie chciała?

136

, Chciała to oddać któremuś ze swoich podwładnych. Mówiła, że sto Osiemnasty jest za blisko Centrali. Ktoś by się dowiedział, że w sprawę wszedł wewnętrzny, i daliby nogę.

Selli"0 wysunął dolną wargę.

„Możliwe. - Ścisząc głos jeszcze bardziej, dodał: -A ty się nie kłóciłaś, bo chciałaś sprawę.

Spojrzała mu w oczy.

\_ Zgadza się.

\_ Czyli poprosiłaś i dostałaś. - Zaśmiał się.

\_Co?

\_ Teraz jesteś chodzącą tarczą.

-Cóż tym złego?

Musisz wiedzieć, co jest grane. Jeżeli coś się spieprzy - dobrzy się sparzą, a źli dadzą nogę - wszystko się skrupi na tobie, nawet gdyby nie było w tym twojej winy. Flaherty jest kryta, a wewnętrzny ma czyściutkie rączki. Gdyby udało ci się przymknąć jakieś grube ryby, nagle góra przejmie sprawę, a o tobie nikt nie będzie pa-miętał-

Chcesz powiedzieć, że mnie wrobili? - Sachs pokręciła głową.

-

Ale Flaherty wcale nie chciała dawać mi sprawy. Miała zamiar przekazać ją komuś innemu.

Amelia, daj spokój. Kończy się randka i facet mówi: „Wiesz, fajnie było, ale lepiej będzie, jak nie zaproszę cię na górę”. Co odpowiada dziewczyna?

„Chodźmy na górę”. O to od początku chodzi facetowi. Twierdzisz, że to zagrywka Flaherty?

Twierdę, że nie odebrała ci sprawy, nie? A mogła to zrobić w pięć minut.

Sachs bezwiednie podrapała się po głowie. Poczowała skurcz w żołądku na myśl o polityce departamentu na tak wysokim szczeblu

-

dla niej była to ziemia nieznana.

Wolałbym, żebyś nie prowadziła sama takiej sprawy, przynajmniej nie w tym momencie kariery. Ale prowadzisz. Dlatego musisz pamiętać - za cholerę się nie wychylaj. Bądź niewidzialna.

Niewi...

Daj mi skończyć. Niewidzialna z dwóch powodów. Po pierwsze, ludzie się dowiedzą, że tropisz złych gliniarzy, rozniosą się Plotki - że jeden bierze, drugi gubi dowody i tak dalej. I gównem wszystkich obchodzi, czy to prawda, czy nie. Plotki są jak grypa.

N'e można udawać, że ich nie ma. Rozłają się wszędzie i niszczą ludziom kariery.

Skinęła głową.

-  
A drugi powód?

- Myślisz, że skoro nosisz odznakę, to jesteś pod ochroną. Fakt, y gliniarz ze Sto Osiemnastego cię nie załatwi. Takie rzeczy się nie arzają. Ale cywile, z którymi prowadzi interesy, będą mieli gdzieś 137

jego zdanie. Nie zawahają się wrzucić twoich zwłok do bagażnika są. mochodu na wielodobowym parkingu na lotnisku Kennedy'ego.1 Niech Bóg ma cię w opiece, mała. Złap tych drani, ale bądź ostrożnjj Nie chcę przyjść do Lincolna ze złą wiadomością. Nigdy by mi tea3 nie wybaczył.

U Rhyme'a zjawi! się Ron Pułaski, którego Sachs powitała w ko-rytarzu, stojąc tam, zaglądając do kuchni i zastanawiając się nad tym, co usłyszała od Sellitta.

Przekazała mu najnowsze wieści o Zegarmistrzu, po czym spytała,-

-  
Co z tym Sarkowskim?

Pułaski zajrzał do notatek.

- Znalazłem jego żonę. Denat miał pięćdziesiąt siedem lat był biały, prowadził własną firmę na Manhattanie. Nie był notowany. Został zamordowany czwartego listopada tego roku, pozostawiając wspomnianą żonę i dwoje nastoletnich dzieci, chłopca i dziewczynkę. Śmierć nastąpiła w wyniku rany postrzałowej, która...

Ron? - powiedziała znaczącym tonem.

Skrzywił się.

Ach, tak, przepraszam. Swoimi słowami.

Sachs stanowczo postanowiła zwalczyć jego skłonność do poli-cyjnego żargonu.

Nowy uspokoił się i podjął:

- Był właścicielem budynku na West Side na Manhattanie.

Mieszkał tam. Jego firma zajmowała się wywozem śmieci i świadczyła usługi porządkowe. Pracował dla dużych firm i przedsię-

biorstw komunalnych w całym mieście. Firma miała czyste konto

- federalne, miejskie i stanowe. Żadnych związków z przestępczo-

ścią zorganizowaną, żadnych śledztw w toku. Sam też nie miał żadnych nakazów ani aresztowań, z wyjątkiem mandatu za przekroczenie prędkości w zeszłym roku.

Są jacyś podejrzani o morderstwo?

-Nie.

Który komisariat prowadził sprawę?

Sto Trzydziesty Pierwszy.

Zginął w Queens, nie na Manhattanie?

Zgadza się.

Co się stało?

Sprawca zabrał mu portfel i gotówkę, a potem strzelił mu trzy razy w pierś.

A „St. James”? Wspominał kiedyś o barze w rozmowach z żoną?

-Nie.

Znał Creeleya?

Żona nie była pewna, przypuszczała, że raczej nie. Pokazałem 138

jej zdjęcie, ale go nie poznała. - Zamilkł na chwilę, po czym dodał: \_ Jeszcze jedno. Chyba znowu widziałem tego mercedesa.

Naprawdę?

Kiedy mnie wysadziłaś, szybko przeszedłem przez ulicę, żeby zdążyć na zielonym, i obejrzałem się, sprawdzając, czy nic nie jedzie. Nie jestem pewien, ale to był mercedes. Nie widziałem numerów. Pomyślałem, że powinienem o tym wspomnieć.

Sachs pokręciła głową.

- Ja

też miałam gościa.

Opowiedziała mu o włamaniu do samochodu. I o tym, że chyba też zauważyła mercedesa.

- Sporo

się musiał najeździć.

Spojrzała na jego ręce, w których trzymał tylko notes.

Gdzie akta Sarkowskiego?

W tym właśnie kłopot. Nie ma akt, nie ma dowodów. Przeszukałem cały magazyn na Sto Trzydziestym Pierwszym. Nic.

Coś tu zaczyna śmierdzieć. Nie ma dowodów?

Zaginęły.

Ktoś wypożyczył akta?

Być może, ale nie ma o tym notatki w komputerze. A powinna być, gdyby akta zostały gdzieś przesłane albo ktoś je wziął. Ale mam nazwisko detektywa prowadzącego sprawę. Mieszka w Queens. Wła-

śnie odszedł na emeryturę. Art Snyder. - Pułaski podał jej kartkę z nazwiskiem i adresem policjanta. - Mam z nim porozmawiać?

Nie, sama do niego pojedę. Zostań tu i przepisuj nasze notatki na tablicę. Chcę mieć obraz ogólnej sytuacji. Ale nie rób tego w laboratorium. Za duży tam ruch. - U Rhyme'a często zjawiali się funkcjonariusze z kryminalistycznego i inni policjanci, przywożąc dowody i dokumenty. Ponieważ sprawa dotyczyła korupcji w policji, Sachs nie chciała, by ktokolwiek zobaczył, co udało się im ustalić.

Wskazała Pułaskiemu pokój ćwiczeń Rhyme'a, gdzie stał ergometr i bieżnia mechaniczna. - Tam je wstawimy.

Jasne. Ale to nie potrwa długo. Mam przyjechać do Snydera, kiedy skończę?

Sachs znów pomyślała o czarnym mercedesie. I usłyszała w gło-wie echo słów Sellitta: ...do bagażnika samochodu na wielodobo-wym parkingu na lotnisku Kennedy'ego...

-

Nie, lepiej zostań i pomóż Lincolnowi. - Zaśmiała się. - Może to mu poprawi humor.

139

MIEJSCE ZDARZENIA NR 1

Lokalizacja:

• Pirs na przystani remontowej nad Hudsonem, 22 Ulica.

Ofiara:

Tożsamość nieznana.

Mężczyzna.



Prawdopodobnie w średnim wieku lub starszy, mógł cierpieć na chorobę wieńcową (obecność środka przeciwkrzepliwego we krwi).

Brak śladów innych leków, infekcji czy schorzenia.

Nurkowie straży przybrzeżnej i ESU szukają ciała i dowodów w Zatoce Nowojorskiej.

- Sprawdzanie zgłoszeń o zaginionych.

Sprawca:

- Patrz niżej.

Modus operandi:

- 

Sprawca zmusił ofiarę, żeby złapała się pomostu i zawisała nad wodą, podciął jej nadgarstki lub palce i ofiara wpadła do rzeki.

- Godzina

napaści: między 18

w poniedziałek a 6 we wtorek.

Dowody:

- 

Krew grupy AB Rh+.

- Oderwany

paznokieć,

nielakierowany, szeroki.

Fragment siatkowego ogrodzenia przeciętego zwykłymi nożycami do drutu, nie do zidentyfikowania.

Zegar. Patrz niżej.

Wiersz. Patrz niżej.

Ślady paznokci na pomoście.

Brak dostrzegalnych śladów, brak odcisków palców, brak śladów butów i kół samochodu.

140

MIEJSCE ZDARZENIA NR 2

Lokalizacja:

- Uliczka przy Cedar Street, niedaleko Broadwayu, za trzema budynkami handlowymi (tylne

wyjścia zamykane między 20:30 a 22) i jednym budynkiem administracyjnym (tylne wyjście zamykane o 18). • Uliczka jest ślepa. Szerokość cztery i pół metra, długość trzydzieści dwa metry, wybrukowana, ciało znaleziono pięć metrów od Cedar Street.

Ofiara:

Theodore Adams.

Mieszkał w Bartery Park.

Copywriter, wolny strzelec.

Brak informacji o wrogach.

Brak nakazów, stanowych i federalnych.

Nie ustalono żadnych związków z osobami pracującymi w budynkach wokół uliczki.

Sprawca:

Zegarmistrz.

Mężczyzna.

W bazach danych brak informacji o Zegarmistrzu.

Modus operandi:

Ofiara wywleczona z samochodu na uliczkę, gdzie zawieszono nad nią żelazną sztabę. Sztaba zmiażdżyła jej szyję.

Oczekiwanie na raport koronera w celu potwierdzenia przyczyny śmierci.

Brak dowodów czynności seksualnych.

Godzina zgonu:

między 22:15 a 23 w poniedziałek. Czas potwierdzi koroner.

. Zegar.

• Brak materiałów wybuchowych, środków chemicznych i biologicznych.

•

Identyczny z zegarem na piersi.

. • Brak odcisków palców, minimalna ilość mikrośladow.

Arnold Products, Framingham, Massachusetts.

Kupiony w sklepie „Zegary Hallersteina” na Manhattanie.

. Wiersz pozostawiony przez sprawcę w obu miejscach.

Drukarka komputerowa,  
zwykły papier, toner HP LaserJet.

Tekst:

Zimny Księżyc stoi w petni, w jego blasku ziemi trup. Czas wędrówki się dopełnit, drogi kres  
wyznacza grób

Zegarmistrz

Brak w bazach danych poezji;  
prawdopodobnie autorstwa  
sprawcy.

Zimny Księżyc to nazwa miesiąca  
księżycowego, miesiąc śmierci.

60 dolarów w kieszeni, brak  
tropów dot. numerów seryjnych;  
brak odcisków palców w bazach  
danych.

Drobny piasek użyty jako „środek  
maskujący", zwykły. Zamierza  
wrócić na miejsce zbrodni?

Metalowa sztaba, 37 kg, płaski  
łącznik oczkowy. Nieużywany  
na budowie naprzeciwko uliczki.

Nie ustalono innych źródeł  
pochodzenia.

Taśma izolacyjna, zwykła,  
precyzyjnie pocięta na odcinki  
identycznej długości  
-niespotykane.

W piasku ślady siarczanu talu  
(trutki na szczury).

' Ziemia z rybim białkiem

~ Pochodząca od sprawcy,  
nie ofiary. ' Znikoma ilość mikrośladów.

• Brązowe włókna,  
prawdopodobnie z wykładziny  
samochodowej.

Inne:

• Samochód.

Prawdopodobnie ford explorer,  
trzyletni. Brązowa wykładzina.

Po sprawdzeniu numerów  
rejestracyjnych samochodów  
zaparkowanych w okolicy we

wtorek rano nie ujawniono żadnych nakazów. W poniedziałek wieczorem nie wypisano żadnych mandatów.

- Konsultacja z obyczajówką w sprawie prostytutki, w związku z zeznaniem świadka.

- Brak tropów.

## PRZESŁUCHANIE HALLERSTEINA

Sprawca:

Portret pamięciowy Zegarmistrza - około pięćdziesięciu lat, okrągła twarz, podwójny podbródek, szeroki nos, niezwykle jasne niebieskie oczy. Ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, szczupły, włosy czarne, średniej długości, brak biżuterii, ciemne ubranie.

Nazwisko nieznane.

Duża znajomość zegarmistrzostwa; wiedział, jakie zegary sprzedano niedawno na aukcjach i jakie są obecnie wystawiane w mieście.

Groźbą zmusił sprzedawcę do milczenia.

Kupił dziesięć zegarów.

Dla dziesięciu ofiar?

Zapłacił gotówką.

Chciał, żeby zegar pokazywał fazy księżyca i głośno tykał.

Dowody:

- Zegary pochodziły ze sklepu „Zegary Hallersteina” w okolicy Flatiron.

- Brak odcisków palców na

141

## ZABÓJSTWO FRANKA SARKOWSKIEGO

w»yay, ipuitiery seryjne nienotowane. Brak mikrośladów na banknotach.

- Dzwonił z automatów

telefonicznych.

### MIEJSCE ZDARZENIA NR 3

Lokalizacja:

Spring Street 481.

Ofiara:

Joannę Harper.

Brak widocznego motywu.

- Nie

znała drugiej ofiary,

Adamsa.

Sprawca:

Zegarmistrz.

Wspólnik.

Prawdopodobnie mężczyzna

zauważony wcześniej przez

ofiary pod jej pracownią.

Biały, krępy, w ciemnych

okularach, kremowej parce

i czapce. Prowadził samochód.

Modus operandi:

Otworzył zamki wytrychem.

Planowana metoda ataku

nieznana. Prawdopodobnie

zamierzał użyć drutu florystycznego

należącego do ofiary.

Dowody:

- Biało rybie pochodziło z pracowni

Joannę (nawóz do orchidei).

— —

«-«i i wału.

Drut florystyczny pocięty na

odcinki jednakowej długości

(narzędzie morderstwa?).

Zegar.

Taki sam jak dwa poprzednie.

Brak azotanów.

Brak mikrośladów.

Brak wiadomości i wiersza.

Brak śladów stóp i odcisków

palców; nie pozostawiono broni

ani niczego innego.

Czarne płatki - smoła dachowa.

- Prośba o termogramy Nowego Jorku z ASTER-a w celu odnalezienia potencjalnych źródeł

pochożenia.

Inne:

Sprawca śledził ofiarę przed atakiem. Miał powód, żeby wziąć ją na cel. Jaki?

Miał skaner policyjny.

Zmiana częstotliwości.

Samochód.

Beżowy samochód terenowy.

Numery rejestracyjne nieznane.

Komunikat o poszukiwaniu pojazdu.

•

423 zarejestrowanych właścicieli beżowych fordów explorerów.

Porównanie listy z kartotekami przestępców. Znalaziono dwóch mężczyzn. Jeden dużo starszy od podejrzanego; drugi w więzieniu za handel narkotykami.

na narzęziacn Kominkowych i biurku Creeleya.

•

Ziemia znaleziona przed kominkiem ma większą zawartość kwasów i zanieczyszczeń niż ziemia wokół domu. Z terenu przemysłowego?

. W kominku ślady spalonej kokainy.

• Popiół w kominku.

Dokumenty finansowe, arkusz kalkulacyjny, z wpisanymi milionowymi kwotami.

Sprawdzanie logo na dokumentach, bilans przesłany do biegłego księgowego.

Kalendarz: wpisy o wymianie oleju, wizycie u fryzjera

i w „Tawernie St. James”. „Tawerna St. James”.

Creeley bywał tam kilka razy.

Przypuszczalnie nie przyjmował tam narkotyków.

Nie wiadomo, z kim się spotykał;

być może z policjantami

z posterunku nr 118.

- Podczas ostatniej wizyty w barze - dzień przed śmiercią - wdał się w kłótnię z niezidentyfikowanymi osobami.

- Analiza

pieniędzy w „St. James” pochodzących od funkcjonariuszy

-

numery seryjne czyste,

ale znaleziono ślady koki i heroiny. Ukradzione z komisariatu? • W magazynie dowodów niewielki ubytek narkotyków, dwustu gramów trawki i stu gramów kokainy.

Posterunek 118 prowadził zaskakująco mało śledztw w sprawach przestępczości zorganizowanej, ale brak dowodów celowego przeciągania dochodzeń.

Możliwość udziału dwóch gangów z East Village, ale niskie prawdopodobieństwo.

Przesłuchanie Jordana Kesslera, współnika Creeleya, kolejne przesłuchanie żony.

Potwierdzono brak wyraźnych oznak zażywania narkotyków.

Brak informacji o kontaktach z przestępcami.

Creeley pił więcej niż zwykle, zaczął uprawiać hazard; wyjazdy do Vegas i Atlantic City. Wysokie przegrane, ale strata mało znacząca dla Creeleya.

Niejasne przyczyny depresji.

Kessler nie rozpoznał spalonych dokumentów.

Oczekiwanie na listę klientów.

Nie wydaje się, żeby Kessler odniósł korzyść ze śmierci Creeleya.

Creeleya.

Sachs i Pułaski śledzeni przez mercedesa AMG.

ZABÓJSTWO BENJAMINA CREELEYA

Creeley, 56 lat, rzekome

samobójstwo przez powieszenie.

Sznur od bielizny. Miał złamany kciuk,  
nie mógł sam zadzierzgnąć pętli.

Napisany na komputerze list  
pożegnalny informujący o depresji.

Według świadków Creeley nie miał  
skłonności samobójczych;

brak problemów psychicznych i emocjonalnych w przeszłości.

142

• W okolicach Święta Dziękczynienia do jego domu włamało się dwóch mężczyzn; przypuszczalnie spalili dowody. Biali, ale twarzy nie widziano. Jeden wyższy. Spędzili w domu około godziny. Dowody w domu w Westchester:

Wyłamany zamek;

dzieło fachowca.

Ślady skórzanych rękawiczek

\* Sarkowski

miał 57 lat,

nienotowany, zamordowany

4 listopada tego roku, pozostawił żonę i dwoje nastoletnich dzieci.

\* Ofiara

była właścicielem

budynku i firmy na Manhattanie.

Firma zajmowała się wywozem

śmieci i świadczyła usługi

Porządkowe dużym firmom

^ i Przedsiębiorstwom komunalnym.

\*

Śledztwo prowadził

detektyw Art Snyder.

> Brak podejrzanych.

« Morderstwo/napad rabunkowy?

1 Niepowodzenie jakiegoś

interesu? 1 Morderstwo popełniono w Queens

-

nie wiadomo, po co tam był.

1 Brak akt sprawy i dowodów.

Brak informacji o związkach

z Creeleyem.

Czyste konto w rejestrze karnym

-

Sarkowski i firma.

L

Rozdział 15



Bungalow znajdował się w Long Island City, części Queens tuż za East River, po drugiej stronie Manhattanu i Wyspy Roosevelta.

Całe podwórko było udekorowane mnóstwem świątecznych ozdób, chodnik perfekcyjnie odśnieżony, toyota camry zaparkowana na podjeździe nieskazitelnie czysta, mimo że niedawno padał śnieg. Z okiennych futryn usunięto starą farbę przed malowaniem, a obok domu piętrzył się stos kostki brukowej przeznaczonej na nowe patio albo ścieżkę.

Tu mieszkał ktoś, kto właśnie zyskał dużo wolnego czasu.

Amelia Sachs nacisnęła przycisk dzwonka.

Kilka sekund później otworzyły się drzwi, zza których spojrzał na nią mocno zbudowany mężczyzna wyglądający na mniej więcej sześćdziesiąt lat. Był ubrany w zielony welurowy dres.

Detektyw Snyder? - Sachs pamiętała, żeby użyć jego dawnego tytułu. Uprzejmością można zdziałać więcej niż pistoletem, mawiał

jej ojciec.

Tak, proszę, wejdz. Jesteś Amelia, prawda?

Na „detektywa” odpowiedział „Amelią”. Zawsze trzeba wybrać, do jakiego pojedynku warto stanąć. Uśmiechnęła się, podała mu rękę i weszła za nim do środka. Do chłodnego i nieprzytulnego salonu sączył się zimny blask ulicznej latarni. Sachs poczuła wilgotny dym z kominka i zapach świadczący o tym, że w domu jest kot. Zdjęła kurtkę i usiadła na kanapie, słysząc jęk sprężyn. Nie miała wątpliwości, że wielki rozkładany fotel, obok którego spoczywały trzy piloty, to tron króla.

Żony nie ma - oznajmił gospodarz. Przymrużył oczy. - Jesteś córką Hermana Sachsa?

Zgadza się. Pracował pan z nim?

Od czasu do czasu. W Brooklynie i parę razy na Manhattanie- Porządny gość. Słyszałem, że impreza pożegnalna była na sto dwa- Hulali całą noc. Chcesz się czegoś napić? Wody albo czegoś z bąbelkami? Przepraszam, nie mam nic mocniejszego. - Powiedział to

szczególnym tonem, który zdradzał - podobnie jak widoczne na n

144

się zylki - ze isk ja«. wieiu ;

z piciem. Ale teraz odstawił. I bardzo dobrze.

- Nie,

dziękuję... mam tylko parę pytań. Krótco przed emeryturą prowadził pan sprawę napadu rabunkowego z morderstwem.

Frank Sarkowski.

Omiótł spojrzeniem dywan.

- Tak,

pamiętam. Biznesmen. Obrobili go i dostał parę kulek.

\_ Chciałam zobaczyć akta. Ale zniknęły. Dowody też.

\_ Nie ma akt? - Snyder wzruszył ramionami, nieco zdziwiony. Choć nie za bardzo. - Na tym komisariacie zawsze mieli bałagan w kartotekach.

- Muszę się dowiedzieć, co się stało.

-

Jezu, niewiele pamiętam. - Snyder podrapał zewnętrzną stronę muskularnej dłoni, pokrytej łuszczącą się egzemą. - To jedna z tych spraw... żadnych tropów... dosłownie nic. Po tygodniu zupełnie wylatują z głowy. Na pewno zdarzyło ci się takie prowadzić.

Zabrzmiało to niemal jak drwina, przytyk do faktu, że za krótko była detektywem i zapewne nie prowadziła wielu spraw tego rodzaju. Innych zresztą też nie.

Sachs nie zareagowała.

Proszę mi powiedzieć, co pan pamięta.

Znalazłem go na pustej działce. Leżał obok samochodu. Nie miał pieniędzy ani portfela. Gnat był niedaleko.

Co to była za broń?

Zimna podróbka smitha & wessona. Wytarta do czysta - żadnych odcisków.

Ciekawe. „Zimna”, czyli bez numerów seryjnych. Kiedy bandyci potrzebowali niemożliwej do zidentyfikowania broni, kupowali ją na ulicy. Nie sposób do końca usunąć numerów wybitych na rewolwerze czy pistolecie - wszyscy producenci w Stanach mieli obowiązek je umieszczać - ale niektóre firmy zagraniczne produkowały broń bez numerów. Korzystali z niej zawodowi mordercy, często po-zostawiając ją na miejscu zbrodni.

-

Wtyczki niczego się później nie dowiedziały?

Wiele spraw zabójstw rozwiązywano dzięki donosom, ponieważ morderca przechwalał się swoim sprytem i wielkim łupem, jaki rze-komo udało mu się zdobyć podczas napadu.

Wiadomość o tym często docierała do informatorów, którzy sypali sprawcę w zamian za przychylność policji.

Niczego.

Gdzie była ta pusta działka?

~ Przy kanale. Wiesz, gdzie są te duże zbiorniki?

Z gazem ziemnym?

-Tak.

Co on tam robił?

! wzruszył ramionami.

145

JNie mam pojęcia. Jego firma zajmowała się wywózką śmieci.

Może był u jakiegoś klienta czy coś takiego.

Kryminalistyka znalazła coś konkretnego? Mikroślady? Odciski palców? Ślady stóp?

Nie zauważyliśmy nic szczególnego. - Jego zaczerwienione oczy przyglądały się jej badawczo. Miał nieco zaskoczoną minę. Może po-myślał: a więc tak wygląda departament nowego pokolenia. Dobrze że zdążyłem uciec na czas.

Był pan przekonany, że wszystko odbyło się tak, jak na to wskazywały okoliczności? Że to był napad, który źle się skończył?

Zawahał się przez chwilę.

Prawie przekonany.

Ale nie do końca?

Myślę, że to mogła być robota na zamówienie.

Zawodowiec?

Snyder wzruszył ramionami.

W te okolice nikt nie zagląda. Do najbliższej zamieszkannej ulicy trzeba iść prawie kilometr. Same fabryki i tak dalej. Dzieciaki tam nie chodzą. Nie ma po co. Mogło być tak, że facet zabrał portfel i

pieniądze, żeby wyglądało na zwykły napad. No i zostawił broń - to mi pachniało zleceniem.

Ale nie było związków z mafią?

Żadnych nie znalazłem. Chociaż jeden z jego pracowników mó-

wił, że nie wyszedł mu jakiś interes. Stracił kupę pieniędzy. Poszedłem tym tropem, ale do niczego nie doprowadził.

Czyli Sarkowski - i niewykluczone, że Creeley - mógł pracować dla jakiegoś gangu: w grę wchodziły narkotyki albo pranie brudnych pie-niędzy. Interes się posypał, więc go zabili. To by wyjaśniało, dlaczego jeździł za nią mercedes - jacyś szefowie albo żołnierze mafii obserwo-wali przebieg śledztwa - a kryli ich gliniarze ze Sto Osiemnastego.

Czy w śledztwie pojawiło się nazwisko Benjamina Creeleya?

Przecząco pokręcił głową.

Wiedział pan, że ofiara - Sarkowski - chodziła do „St. James”?

-

„St. James”... zaraz, to ten bar w Alphabet City? Za rogiem jest... -urwał.

Zgadza się. Sto Osiemnasty.

Snyder wyraźnie się zaniepokoił.

Nie wiedziałem. Naprawdę.

W każdym razie chodził. Ciekawe, co człowiek, który mieszka!

na West Side i pracował na środkowym Manhattanie, mógłby robić w takiej podejrzanej speluncie. Wie pan coś o tym?

Nie. Zupełnie nic. - Z posępną miną rozejrzał się po pokoju-

- Ale jeżeli chcesz mnie zapytać, czy przyszedł do mnie ktoś ze Sto Osiemnastego i kazał mi odłożyć sprawę na półkę, to nie. Prowadziliśmy śledztwo zgodnie z zasadami, a potem zabraliśmy się do na-stępnej roboty.

146

Spojrzała mu w oczy.

-

Co pan wie o Sto Osiemnastym?

Zaczął się bawić jednym z pilotów, ale zaraz odłożył go z powrotem.

Mówiłam coś? - spytała Sachs.

Co? - odezwał się ponuro. Zauważyła, że jego wzrok zatrzymał

się przelotnie na pustym barku. Zobaczyła na drewnie okrągłe ślady w miejscach, gdzie przedtem stały butelki.

Mam bardzo kiepską pamięć - poinformowała go.

Pamięć?

Trudno mi nawet sobie przypomnieć, jak się nazywam.

Snyder patrzył na nią zdezorientowany.

Dziecko, w tym wieku?

-

No pewnie - odrzekła ze śmiechem. - Kiedy tylko stąd wyjdę, zapomnę, że tu w ogóle byłam. Zapomnę pana nazwisko, pana twarz.

Kamień w wodę. Sama się dziwię, jak to możliwe.

Zrozumiał aluzję. Mimo to pokręcił głową.

Po co to robisz? - spytał szeptem. - Jesteś młoda. Musisz się nauczyć, że w pewnych sprawach lepiej nie wywoływać wilka z lasu.

A jeżeli wilk sam wyłazi z lasu? - spytała, pochylając się do przodu. - Mam dwie wdowy i osierocone dzieci.

Dwie wdowy?

Mam na myśli tego Creeleya. Chodził do tego samego baru co Sarkowski. Wygląda na to, że obaj znali ludzi ze Sto Osiemnastego.

I obaj nie żyją.

Snyder spojrział w imponujący telewizor z płaskim ekranem.

-

Co pan słyszał? - spytała.

Uważnie wpatrywał się w podłogę, dostrzegając kilka plam. Mo-że postanowił dopisać do planu remontu wymianę dywanu. Wreszcie powiedział:

-

Tylko plotki. Nic więcej. Mówię szczerze. Nie znam żadnych nazwisk. Żadnych konkretów.

Sachs zachęcająco skinęła głową.

Niech będą plotki.

Podobno krążyła jakaś kasa. To wszystko.

Pieniądze? Ile?

Może bardzo dużo. Mam na myśli naprawdę grubą forszę. A mo-że chodziło o jakieś grosze.

Proszę mówić dalej.

Nie znam szczegółów. Jest tak, że człowiek pracuje na ulicy, ktoś coś mówi do faceta, który stoi obok, i niby nic nie dociera, ale Potem zaczyna się rozumieć.

Pamięta pan nazwiska?

Nie, nie. To było jakiś czas temu. Była tylko mowa o pienią-

dzach. Nie wiem, jak płacono, ile ani komu. Słyszałem tylko, że członek, który za tym wszystkim stał, miał coś wspólnego z Maryland. Tam płynęły pieniądze.

147

Nie zna pan żadnego konkretnego? Baltimore? Wybrzeże? |

Nic. !

Sachs zamilkła, zastanawiając się, jaki mógł być scenariusz. Czy Creeley albo Sarkowski miał dom w Marylandzie, może na wodzie - w Ocean City albo Rehobeth? Mo-że któryś z policjantów ze Sto Osiemnastego? Albo brał w tym udział syndykat z Baltimore? Tak, to miałyby sens; wtedy byłoby jasne, dlaczego nie mogli znaleźć żadnych tropów prowadzących do grup z Manhattanu, Brooklynu czy Jersey.

- Chcę zobaczyć akta Sarkowskiego - powiedziała. - Mógłby pan wskazać, gdzie mam ich szukać?

Snyder zawahał się.

- Zadzwoń do paru osób.

- Dzięki.

Sachs wstała.

- Chwileczkę - zatrzymał ją Snyder. - Posłuchaj mnie. Nazwałem cię dzieckiem. W porządku, nie

powiniennem tego mówić. Masz odwagę, spryt, nie cofniesz się przed niczym. Od razu widać. Ale za krótko pracujesz w firmie. Podejrzewasz o coś chłopaków ze Sto Osiemnastego, ale musisz zrozumieć jedno. Oni nie będą do nikogo strzelać. Nawet jeżeli coś się tam dzieje, nie znajdziesz niczego czarno na białym. Musisz sobie zadać pytanie: jakie to ma znaczenie?

Głupich kilka dolarów? Czasem zły gliniarz ratuje życie dziecku.

A czasem dobry gliniarz weźmie sobie coś, czego nie powinien. Tak wygląda życie na ulicy. - Zdziwiony zmarszczył brwi. - Jezu, akurat ty powinnaś o tym wiedzieć.

-Ja?

A kto? - Przyjrzał się jej uważnie. - Klub Szesnastej Alei.

Nie wiem, co to jest.

Och, na pewno wiesz.

I wszystko jej opowiedział.

- Podobno

świetnie strzela - powiedział do Rhyme'a Dennis Baker.

Laboratorium miało w tym momencie wyłącznie męską obsadę; Kathryn Dance pojechała jeszcze raz zameldować się w hotelu, a Amelia zajmowała się Drugą Sprawą. W domu zostali Pułaski, Cooper i Sellitto oraz Jackson.

Rhyme opowiedział mu o klubie strzeleckim, do którego należała Sachs, i o zawodach, w jakich brała udział. Z dumą oświadczył Bakerowi, że niewiele jej zabrakło, żeby zostać mistrzynią ligi miejskiej w strzelaniu z pistoletu. Niedługo znów miała wystąpić w turnieju, z dużymi szansami na pierwsze miejsce.

Baker pokiwał głową.

-

Czyli jest w równie dobrej formie jak nowicjusze świeżo p° akademii. - Poklepał się po brzuchu. - Mnie też przydałoby się trochę gimnastyki.

148

Jak na ironię, przykuty do wózka łtymy cwiczyi teraz z więcej niż przed wypadkiem.

Codziennie korzystał ze specjalnego roweru treningowego - ergometru - oraz sterowanej komputerowo bieżni mechanicznej. Kilka razy w tygodniu poddawał się także hydroterapii.

Treningowy reżim służył dwóm celom. Miał wzmocnić mięśnie i utrzymać ich masę, aby Rhyme był gotów na dzień, w którym znów będzie mógł chodzić. Dzięki ćwiczeniom poprawiało się również działanie nerwów w sparaliżowanych częściach ciała. W ciągu kilku lat organizm Rhyme'a odzyskał funkcje, których zdaniem lekarzy już nigdy nie miał odtworzyć.

Lecz Rhyme wyczuł, że Bakera nie interesuje uprawiany przez Sachs aerobik, a utwierdził się w tym podejrzeniu, gdy porucznik zadał następane pytanie:

- Słyszałem, że... chodźcie ze sobą.

Amelia Sachs przypomiwała lampę przyciągającą niejedną ćmę i Rhyme nie zdziwił się, że detektyw sprawdza, czy mógłby się ogrzać przy tym płomieniu. Zaśmiał się, słysząc użyty przez Bakera staroświecki zwrot. „Chodźcie ze sobą”.

Można to tak określić - odparł.

Musi być wam ciężko. - Nagle Baker zamrugał oczami, uprzytomniwszy sobie, co mówi. - Zaraz,

nie mam na myśli tego, co są-  
dzisz.

Rhyme doskonale jednak wiedział, co detektyw ma na myśli. Nie chodziło mu o związek kaleki z pełnosprawną osobą - Baker nie zwracał prawie żadnej uwagi na stan Rhyme'a. Nie -  
chodziło mu

o konflikt

zupełnie innej natury.

- Miałeś na myśli dwoje gliniarzy.

Druga Sprawa kontra Jego Sprawa.

Baker przytaknął.

- Chodziłem kiedyś z agentką FBI. Mieliśmy spór kompeten-cyjny.

Rhyme parsknął śmiechem.

Lepiej tego nie można ująć. Moja była żona nie służyła w policji, ale też nie było nam ze sobą łatwo. Blaine była pierwszorzędnym miotaczem. Straciłem kilka ładnych lamp. No i mikroskop Bausch & Lomb. Pewnie nie powinienem przynosić go do domu... Chociaż nie, w domu mógł być; nie powinienem tylko go trzymać na nocnym stoliku w sypialni.

Nie zamierzam dowcipkować na temat mikroskopów w sypialni

~ zawołał Sellitto z drugiego końca pokoju.

- Zdaje

się, że właśnie to zrobiłeś - zauważył Rhyme.

Kończąc pogawędkę z Bakerem, Rhyme podjechał do Pułaskiego 1

Coopera, którzy próbowali zdjąć odciski palców ze szpulki drutu 2

Pracowni florystki. Rhyme miał nadzieję, że Zegarmistrz miał

trudności z odwinięciem cienkiego zielonego drutu w rękawiczkach 1 ^ zdjął. Ale poszukiwanie

odcisków okazało się bezowocne.

149

Rhyme usłyszał odgłos otwieranych drzwi i po chwili do laborato-rium weszła Sachs, zdejmując skórzaną kurtkę i roztargnionym ru-chem rzucając ją na krzesło. Nie uśmiechała się. Skinieniem głowy przywitała się z zespołem i spytała Rhyme'a: Coś nowego?

Jeszcze nic. Parę zgłoszeń na komunikat o samochodzie, ale za każdym razem pudło. Nie ma też informacji z ASTER-a.

Sachs wpatrywała się w tablicę. Rhyme odniósł jednak wraże-nie, że nie widzi ani jednego z napisanych tam słów. Zwracając się do nowego, powiedziała: Ron, detektyw, który prowadził sprawę Sarkowskiego, powiedział mi, że krążyły plotki o forsie zgarnianej przez naszych znajomych z „St. James” i Sto Osiemnastego. Przypuszcza, że w grze bierze udział ktoś z Marylandu. Jeżeli go znajdziemy, znajdziemy pieniądze i zapewne dowiemy się, kto jest zamieszany. Wydaje mi się, że stoi za tym PZ z Baltimore.

Przestępczość zorganizowana?

To właśnie oznacza PZ, chyba że kończyłeś inną akademię niż ja.

Przepraszam.

Łap za telefon. Dowiedz się, czy w Nowym Jorku działa ktoś z grupy z Baltimore. I dowiedz się, czy Creeley, Sarkowski albo ktoś ze Sto Osiemnastego ma dom albo prowadzi interesy w Marylandzie.

Pójdę na posterunek i...

Nie, po prostu zadzwoń. Anonimowo.

Chyba byłoby lepiej, gdybym zrobił to osobiście. Mógłbym...

Lepiej zrób, co mówię - przerwała ostro Sachs.

W porządku. - Uniósł ręce w geście kapitulacji.

Linc, twój dobry humor zaczął się udzielać zespołowi - powiedział Sellitto.

Sachs zacisnęła usta, lecz po chwili złagodniała.

- Tak

będzie bezpieczniej, Ron.

Były to przeprosiny w stylu Lincolna Rhyme'a, czyli niewiele miały wspólnego z prawdziwymi przeprosinami. Mimo to Pułaski je przyjął.

- Jasne.

Oderwała wzrok od tablic.

- Rhyme,

muszę z tobą pogadać. W cztery oczy. - Zerknęła na Bakera. - Można?

Pokiwał głową.

Oczywiście. Mam jeszcze parę spraw do załatwienia. - Włożył

płaszcz. - Gdybyście mnie potrzebowali, będę w centrum.

Co jest? - spytał ją cicho Rhyme.

Powiem ci na górze.

Rhyme skinął głową.

W porządku.

150

O co jej chodziło?

Sachs i Rhyme wjechali maleńką windą na piętro. Kryminalistyk wjechał wózkiem do sypialni, a Sachs weszła za nim, usiadła przed komputerem i zaczęła wściekle stukać w klawisze.

Co się dzieje? - spytał.

Daj mi chwilę. - Przewijała dokumenty na ekranie.

Rhyme zauważył dwie rzeczy: ślady krwi na paznokciu kciuka świadczyły, że drapała się po głowie. Zdawało mu się też, że płakała. A to podczas ich całej znajomości zdarzyło się tylko dwa czy trzy razy.

Stukała jeszcze mocniej, a strony migały z szybkością uniemożliwiającą odczytanie czegokolwiek.

Zaczął się niecierpliwić. I niepokoić. Wreszcie rozkazał stanowczo:

- Mów,

Sachs.

Wpatrywała się w monitor, kręcąc głową. W końcu odwróciła się do niego.

-

Mój ojciec... był skorumpowany. - Głos uwiązał jej w gardle.

Rhyme podjechał bliżej, a Sachs wróciła do dokumentów wyświetlonych na ekranie. Zobaczył, że to artykuły z gazet.

Jej nogi podrygiwały w napięciu.

Brał łapówki... - wyszeptała.

Niemożliwe. - Kryminalistyk nie znał Hermana Sachsa, który zmarł na raka, zanim Rhyme poznał Sachs. Jej ojciec całe życie pracował w patrolu (kiedy Sachs przysłała do służby patrolowej, zyskała sobie przydomek „Córka Krawężnika”). W żyłach Hermana płynęła policyjna krew - jego ojciec, Heinrich Sachs, wyemigrował do Ameryki z Niemiec w 1937 roku z ojcem swojej narzeczonej, detektywem berlińskiej policji. Po otrzymaniu obywatelstwa Heinrich wstąpił do nowojorskiego departamentu.

Myśl, że ktokolwiek z rodziny Sachs mógł być skorumpowany, nie mieściła się Rhyme'owi w głowie.

Właśnie rozmawiałam z jednym detektywem o sprawie „St. James”. Pracował z tatą. Pod koniec lat siedemdziesiątych wybuchł ja-kiś skandal. Wymuszenia, łapówki, nawet kilka napaści. Zamknęli kilkunastu detektywów i mundurowych. Byli znani jako Klub Szesnastej Alei.

Zgadza się. Czytałem o tym.

Byłam wtedy mała. - Drżał jej głos. - Nigdy nic nie słyszałam, nawet kiedy wstąpiłam do policji. Mama i tato ani słowem o tym nie Wspominali. Ale w tym klubie był tato.

-

Sachs, nie wierzę. Pytałaś mamę?

Skinęła głową.

- Powiedziała, że to nic ważnego. Niektórzy z zatrzymanych gliniarzy zaczęli podawać nazwiska, żeby wynegocjować lepsze warunki ugody z prokuratorem.

~ Zawsze tak jest w dochodzeniach prowadzonych przez we-151

wewnętrzny. Wszyscy sypią wszystkich, nawet niewinnych. Dopiero po-tem sprawa się wyjaśnia. Normalna rzecz.

Nie, Rhyme. To nie jest normalna rzecz. Byłam w archiwum we-wewnętrznego i znalazłam akta. Tato był winny. Dwóch gliniarzy, któ-

rzy też brali w tym udział, zeznali pod przysięgą, że byli świadkami, jak wymuszał haracz od właścicieli sklepów i chronił nielegalne zakłady, a nawet gubił akta i dowody w poważnych sprawach przeciw gangom z Brooklynu.

Pogłoski.

Dowody - warknęła. - Mają dowody. Jego odciski na pienią-

dzach z łapówki. I na niezarejestrowanej broni, którą trzymał w ga-rażu. - Zniżyła głos do szeptu. - Balistyka ustaliła, że jednego z tych pistoletów użyto do próby zabójstwa rok wcześniej. Rhyme, tato ukrywał ciepłą broń. Wszystko jest w aktach. Widziałam raport z analizy daktyloskopijnej. Widziałam odciski.

Rhyme zamilkł. Po chwili spytał:

- Dlaczego

więc nic mu nie zrobili?

Zaśmiała się z goryczą.

-

W tym cały dowcip, Rhyme. Wszystko spieprzyła kryminalistyka. Źle wypełnili karty ewidencyjne i podczas rozprawy jego adwokat doprowadził do wyłączenia dowodów ze sprawy.

Karty ewidencyjne stanowią zabezpieczenie przed sytuacją, w której ktoś mógłby nieumyślnie czy celowo preparować dowody, by zwiększyć prawdopodobieństwo wyroku skazującego. Ale w sprawie Hermana Sachsa żadne majstrowanie nie wchodziło w grę; nie sposób zdjąć odcisków palców z



dowodu, jeżeli podejrzany go nie dotykał. Mimo to zasady są jednakowe dla wszystkich i jeśli nie sporządzono kart ewidencyjnych albo wypełniono je źle, taki dowód prawie zawsze zostaje wyłączony z rozprawy.

- Były jeszcze... zdjęcia z Tonym Gallantem.

Był to jeden z ważniejszych szefów mafii z Bay Ridge.

Twój ojciec i Gallante?

Jedli razem kolację. Zadzwoiłam do gliniarza, z którym tato pracował, Joego Knoxa - był w Klubie Szesnastej Alei i też go przymknęli. Prosto z mostu spytałam go o tatę. Z początku nie chciał nic mówić. Był mocno zaskoczony moim telefonem, ale w końcu przyznał, że to prawda. Tato, Knox i dwaj inni przez ponad rok brali haracz od właścicieli sklepów i dostawców. Pozbywali się dowodów, a nawet grozili ludziom, że ich pobiją, jeżeli złożą skargę.

Spodziewali się, że tato porządnie za to beknie, ale przez fuszerkę z dowodami wszystko uszło mu na sucho. Mówili o nim, że jest ry-bą, która urwała się z haczyka.

Ocierając łzy, kontynuowała przeglądanie danych. Czytała także urzędowe dokumenty z archiwów departamentu, do których he miał dostęp ze względu na zadania zlecane mu przez policję.

nalistyk podjechał do niej tak blisko, że poczuł zapach jej perfumo-wanego mydła.

- Oskarżono dwunastu funkcjonariuszy Klubu Szesnastej Alei \_ powiedziała Sachs. - Wydział wewnętrzny wiedział, że było jeszcze trzech, ale nie mógł postawić im żadnych zarzutów z powodu problemów z dowodami. W tej trójce był tato. Jezu, „ryba, która urwała się z haczyka”.

Bezwładnie opadła na krzesło, zanurzając palce we włosach i dra-piąc się po głowie. Kiedy się zorientowała, co robi, opuściła rękę. Na paznokciu lśniła świeża krew.

Tamta historia z Nickiem... - zaczęła Sachs. Wzięła głęboki oddech. - Kiedy to się stało, myślałam, że nie może być nic gorszego niż skorumpowany glina. Nic... A teraz się dowiaduję, że mój ojciec też był umoczony.

Sachs... - Frustrowała go własna bezradność; Rhyme irytował

się, że nie może ruszyć ręką, dotknąć jej dłoni, spróbować choć trochę złagodzić jej ból. Był wściekły na tę niemoc.

Brali łapówki za niszczenie dowodów, Rhyme. Wiesz, co to znaczy. Ilu drani nie trafiło dzięki nim do pudła? - Odwróciła się z powrotem do komputera. - Ilu morderców? Ilu niewinnych ludzi zginęło przez mojego ojca? Ilu?

152

Rozdział 1G

Znów odezwał się głód, nadciągając nieubłaganie jak wielka fala przyływu. Vincent nie mógł przestać się gapić na idące ulicami kobiety.

Fantazje, jakie przy tym snuł, jeszcze bardziej zaostrzały mu ape-tyt.

Ujrzał krótkowłosą blondynkę niosącą torbę z zakupami. Wyobraził sobie, jak kładzie się na niej, przytrzymując rękami jej głowę.

Zatrzymał wzrok na brunetce w wełnianej czapce, spod której widać było długie włosy, takie jak u Sally Anne. Niemal poczuł drze-nie jej mięśni, w myślach kładąc dłoń na jej plecach.

A tam inna blondynka, w eleganckim kostiumie, z aktówką w rę-ku. Zastanawiał się, czy krzyczałaby, czy płakała. Na pewno lubi so-bie pokrzyczeć.

Gerald Duncan siedział za kierownicą Wozu Opatrunkowego, wolno wyjeżdżając z małej przecznicy na główną ulicę i ruszając na północ.

Już nie nadają. - Morderca ruchem głowy wskazał na policyjny skaner, w którym brzęczały rutynowe komunikaty drogowe. - Zmienił częstotliwość.

Mam poszukać nowej?

Na pewno zaszyfrowali łączność. Dziwię się, że od razu tego nie zrobili.

Vincent zobaczył następną brunetkę - och, śliczną - wychodzącą ze Starbucksa. Miała kozaczki. Vincent lubił kozaczki.

Jak długo jeszcze będzie musiał czekać?

Niedługo. Może do wieczora, może do jutra. Kiedy poznał Dunca-na, morderca powiedział mu, że musi przerwać swoje miłe sam na sam, dopóki nie rozpoczną „projektu”. Vincent przystał na ten warunek - czemu nie? Zegarmistrz poinformował go, że wśród ofiar będzie pięć kobiet. Dwie starsze, w średnim wieku, ale jeśli będzie miał ochotę, też może je mieć (przykry obowiązek, ale ktoś musi go wypełnić, zażartował sobie Vincent Mądrała).

Tak więc posłusznie zachowywał wstrzeźliwość.

154

Duncan pokręcił głową.

\_ Wciąż usiłuję dociec, skąd się dowiedzieli, że to my.

Dociec? Czasami naprawdę śmiesznie się wyrażał.

\_ Coś ci przychodzi do głowy?

- Nic - odrzekł Vincent.

Duncan ciągle się nie złościł, co dziwiło Vincenta. Kiedy ojczym Vincenta wpadał w gniew, wrzeszczał jak opętany, tak jak po tam-tym zdarzeniu z Sally Annę. Vincent też się wściekał, gdy któraś z jego pań zaczynała się bronić i robiła mu krzywdę. Ale nie Duncan. Twierdził, że złość jest nieskuteczna. Trzeba pamiętać, co jest ważne w ostatecznym rozrachunku, mawiał. Zawsze jest jakiś główny plan, wobec którego drobne niepowodzenia nic nie znaczą i nie warto marnować na nie energii.

-

Podobnie jak czas. Istotne są wieki i milenia. Tak samo jest z ludźmi. Pojedyncze życie to nic. Liczą się pokolenia.

Vincent był gotów przyznać mu rację, choć dla niego ważne było każde sam na sam; nie miał ochoty stracić ani jednej okazji. Dlatego zapytał:

-

Spróbujemy jeszcze raz? Z Joannę?

-

Nie teraz - odparł morderca. - Mogli jej dać ochronę. Poza tym gdybyśmy nawet mogli się do niej dostać, zorientowaliby się, że mam powód, żeby ją zabić. Powinni myśleć, że ofiary to przypadkowe osoby. Teraz powinniśmy raczej...

Zamilkł, patrząc w lusterko wsteczne. -Co?

-

Gliny. Z bocznej ulicy wyjechał radiowóz. Zaczął skręcać w drugą stronę, ale nagle ruszył w naszym kierunku.

Vincent obejrzał się przez ramię. Przecnicę za nimi dostrzegł biały samochód z kogutami na dachu. Wóz wyraźnie przyspieszał.

-

Chyba nas goni.

Duncan szybko skręcił w wąską uliczkę i dodał gazu. Na następnym skrzyżowaniu pojechał na południe.

Co widzisz?

Chyba... zaraz. Jest. Jedzie za nami. Teraz już na pewno.

- Widzisz

następną ulicę w prawo? Znasz ją? Dochodzi do autostrady West Side?

- Tak.

Możesz tam jechać. - Vincent poczuł, jak pocałował mu się ręce.

Duncan skręcił i pomknął jednokierunkową ulicą, a potem wjechał na autostradę, kierując się na południe.

Co to jest? Przed nami? Policyjne koguty?

Aha. - Vincent widział je wyraźnie. Zbliżyły się do nich. - Co robimy? - zawołał.

155

, - To co trzeba - odrzekł Duncan, spokojnie obracając kierownicę 1 z Pełną prędkością, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, precyzyjnie pokonując ostry skręt.

I

i:1

Lincoln Rhyme usiłował nie zwracać uwagi na monotony głos Sel-litta rozmawiającego z kimś przez komórkę. Nie słuchał też Rona Pu. laskiego, który dzwonił w sprawie gangsterów z Baltimore.

Nie zwracał uwagi na nic, koncentrując się wyłącznie na jednej myśli chodzącej mu po głowie.

Nie był pewien, co to właściwie jest. Nie dawało mu spokoju ja-kieś mgliste wspomnienie.

Czyjeś nazwisko, zdarzenie, miejsce. Nie potrafił tego określić. Wiedział jednak, że to istotne, najważniejsze.

Co?

Zamknął oczy, starając się uchwycić tę myśl. Ale znów umknęła.

Ulotna jak puch dmuchawca, za którym się uganiał, gdy w dzieciństwie mieszkał na Środkowym Zachodzie pod Chicago i godzina-mi biegał po polach. Lincoln Rhyme uwielbiał

biegać, uwielbiał łąpać puch dmuchawców i wirujące w powietrzu nasiona spadające z drzew jak helikoptery. Uwielbiał gonić ważki, ćmy i pszczoły.

Pragnął je badać i poznawać. Lincoln Rhyme od urodzenia zdradzał zachłanną ciekawość świata i już jako dziecko był naukowcem.

Biegał... do utraty tchu.

A dziś, choć unieruchomiony, uganiał się za innym nieuchwytnym nasionkiem. Mimo że pościg rozgrywał się tylko w jego myślach, był nie mniej zaciekle i forsowny od rzeczywistych pogoni w młodości.

Jest... jest...

Prawie miałem.

Niezupełnie.

Do diabła.

Spokojnie, nic na siłę. Niech samo wpadnie w sidła.

W jego myślach galopowały wspomnienia i fragmenty wspomnień w równie szaleńczym tempie,

jak jego stopy pędzące po won-nej trawie i rozgrzanej ziemi, przez szeleszczące trzciny i pola kukurydzy, pod białymi cumulusami zwiastującymi nadciągającą z pomrukiem burzę.

Tysiące obrazów z zabójstw, porwań i kradzieży, zdjęcia z miejsc zbrodni, notatki i raporty, ewidencje dowodów, barwne dzieła sztuki uchwycone w okularze mikroskopu, zygzakowate linie wykresów na ekranie chromatografu. Jak tysiące dmuchawców, wirujących na-sion, pasikoników i piórek drozdów.

Już jest blisko... blisko...

Nagle otworzył oczy.

-

Luponte - szepnął.

Jego pozbawione czucia ciało wypełniło ogromne zadowolenie-Rhyme nie był pewien, ale przypuszczał, że nazwisko Luponte ma ogromne znaczenie.

, .

- Potrzebuję akt. - Rhyme zerknął na Sellitta, który siedział przed komputerem, wpatrując się w ekran monitora. - Akta!

Gruby detektyw odwrócił wzrok w jego stronę. \_ Do mnie mówisz? \_ Tak, do ciebie. Sellitto zachichotał.

- Akta?

Są u mnie?

\_ Nie, masz je znaleźć.

-

Jakie? Akta sprawy?

-

Chyba tak. Nie wiem, z którego roku. Wiem tylko, że figuruje w nich nazwisko Luponte. - Przeliterował je. - To dawna sprawa.

- Tak

się nazywał sprawca?

- Może. A może świadek, może aresztujący albo przełożony. Albo nawet ktoś z dowództwa. Nie wiem.

Luponte...

- Wyglądasz jak kot, który się dobrał do śmietany - poinformował go Sellitto.

Rhyme zmarszczył brwi.

Co ma znaczyć to wyrażenie?

Nie wiem. Po prostu mi się podoba. Dobra, akta Luponte. Po-dzwonię. To ważne?

Lon, mamy do czynienia z psychopatycznym mordercą. Sądzisz, że prosiłbym cię o poświęcenie twojego cennego czasu na szukanie czegoś nieważnego?

Nadszedł faks.

Zdjęcia z ASTER-a? - spytał niecierpliwie Rhyme.

Nie, to do Amelii - odparł Cooper. - Gdzie ona jest?

Na górze.

Rhyme chciał ją zawołać, ale w tym momencie weszła do labora-torium. Miała już suchą twarz i oczy bez śladu zaczerwienienia. Rzadko się malowała, lecz Rhyme zastanawiał się, czy tym razem nie zrobiła wyjątku, aby ukryć fakt, że płakała.

Do ciebie - powiedział Cooper, rzucając okiem na faks. - Druga analiza popiołu z domu tego... jak mu tam?

Creeleya.

Laboratorium zidentyfikowało logo z arkusza - rzekł technik.

~ To znak oprogramowania używanego w rachunkowości. Nic niezwykłego. Programy sprzedaje się tysiącom dyplomowanych księgowych w całym kraju.

Sachs wzruszyła ramionami, wzięła kartkę i zaczęła czytać.

~ Queens przekazało dokumenty do analizy biegłemu księgowemu, o zwykła lista płac zarządu jakiejś firmy. Nie ma tu nic niezwykłego.

określiła głową. - Wygląda na zupełnie nieważny papier. Pewnie włą-mywacze spalili wszystko, co udało im się znaleźć, żeby zniszczyć każ-dy ślad, który mógłby ich łączyć z Creeleyem.

Rhyme spojrział w jej zbolące oczy.

~ Często też zdarza się tak, że sprawca pali materiały, które nie mAJĄ nic wspólnego ze sprawą.  
zshv rm^MA —i-:-.---

Sachs skinęła głową. '

- Słusznie, Rhyme. Dzięki.

Zadzwoił jej telefon.

Słuchała przez chwilę, marszcząc brwi.

Gdzie? - spytała. - Dobra. - Coś zapisała. - Zaraz będę. - Zwracając się do Pułaskiego, powiedziała: - Może jest trop do akt Sarkowskiego. Pojadę sprawdzić.

Mam iść z tobą? - zapytał niepewnie.

Uśmiechnęła się, choć Rhyme wyczuł, że jej spokój jest wymu-szony.

- Nie,

zostań, Ron. Dzięki.

Chwyciła kurtkę i bez słowa wybiegła z domu.

Kiedy tylko zamknęły się drzwi, zabrzączał telefon Sellitta. Słu-chając wiadomości, detektyw czujnie się wyprostował. Uniósł wzrok i oznajmił:

- Słuchajcie, jest poszukiwany samochód. Beżowy explorer, dwóch białych w środku. Uciekli przed radiowozem. Ścigają ich.

Znów przez chwilę słuchał. - Dobra, zrozumiałem. - Rozłączył się.

Pojechali za nimi do tego piętrowego garażu nad rzeką przy Houston, zaraz za autostradą West Side. Bramy wyjazdowe są zamknięte. Może ich mamy.

Rhyme polecił ustawić szyfrowaną częstotliwość i wszyscy w la-boratorium utkwili wzrok w czarnych plastikowych głośniczkach. Dwóch funkcjonariuszy z patrolu zameldowało, że znaleziono explo-rera na drugim poziomie garażu, ale auto jest puste. Nie ma śladu po jego pasażerach.

-

Znam ten garaż - rzekł Sellitto. - Dziurawy jak sito. Bez trudu mogli uciec.

W radiu odezwali się Bo Haumann i jakiś porucznik, informując, że ich ludzie przeczesują okoliczne ulice, lecz jak dotąd nie natrafili na żaden ślad Zegarmistrza ani jego współnika.

Rozczarowany Sellitto pokręcił głową.

-

Przynajmniej mamy ich wóz. Powinien nam dużo powiedzieć.

Trzeba wezwać Amelię, żeby przeszukała miejsce.

Rhyme zaczął się zastanawiać. Przewidywał, że konflikt między dwiema sprawami w końcu da o sobie znać, nie przypuszczał jednak, że stanie się to tak szybko.

Jasne, że powinni ją wezwać.

Ale kryminalistyk postanowił, że nie będzie tego robił. Znał Sachs jeszcze lepiej, niż ona sama znała siebie, i rozumiał, że teraz musi się zająć sprawą „St. James”.

Nie ma nic gorszego niż skorumpowany glina...

Zrobi to dla niej.

Nie. Dajmy jej spokój.

Ależ Linc...

Znajdziemy kogoś innego. jla

Długą, przeciągającą się w nieskończoność ciszę przerwał głos: \_ Ja to zrobię.

Rhyme zerknął w prawo.

\_ Ty, Ron?

\_ Tak. Dam sobie radę.

\_ Nie sądzę.

Nowy spojrzał mu w oczy i wyrecytował:

Należy zauważyć, że w przypadku popełnienia zabójstwa punkt, w którym odnaleziono zwłoki, często jest najmniej istotnym miejscem oględzin, ponieważ skrupulatni sprawcy dokładnie usuwają ślady z tego miejsca, podrzucając fałszywe dowody w celu zmylenia śledczych. Znacznie ważniejszym...

To przecież...

Pański podręcznik, kapitanie. Przeczytałem go. Nawet kilka razy.

Nauczyłeś się na pamięć?

Tylko najważniejszych fragmentów.

A które są nieważne?

Mam na myśli konkretne zasady oględzin.

Rhyme zamyślił się. Pułaski był młody i niedoświadczony. Ale przynajmniej wiedział, z kim ma do czynienia, i miał bystre oko.

Dobrze, Ron. Ale niczego nie dotykaj, zanim się ze mną nie połączysz.

W porządku, kapitanie.

Ach, w porządku? - powtórzył kpiąco Rhyme. - Dzięki za łaskawą zgodę, nowy. Ruszaj.

Wyczerpani biegiem, z trudem łapali oddech.

Duncan i Vincent, taszcząc płócienne torby z rzeczami zabranymi z Wozu Opatrunkowego, zwolnili kroku, gdy dotarli do parku w po-bliżu Hudsonu. Byli już dwie przecznice za garażem, gdzie porzucili samochód, uciekając przed glinami.

A więc opłacało się nosić rękawiczki - choć Vincent z początku uważał to za przejaw paranoi.

Duncan oparł się o młode drzewko, odkaszlnął i splunął w trawę. Vincent przyciskał rękę do piersi, czując tępy ból od wysiłku. Z ich ust i nosów buchała para. Morderca ciągle się nie złościł, tylko jeszcze bardziej się dziwił.

-

Teraz ford. O samochodzie też wiedzieli. Nie rozumiem. Jak się dowiedzieli? I kto nas szuka?... Może tamta ruda policjantka, którą widziałem na Cedar Street.

Duncan spojrział w dół i zmarszczył brwi. Płócienna torba była otwarta.

-

O nie... - szepnął.

-Co?

Morderca przyklęknął i zaczął przetrząsać zawartość torby.

-

Brakuje paru rzeczy. W samochodzie zostały książka i amunicja.

Przecież na niczym się nie podpisaliśmy. I nie ma naszych odcisków palców, nie?

Nie ma. Nie mogą nas zidentyfikować. - Zerknął na Vincenta.

- A opakowania i puszki? Cały czas miałeś rękawiczki?

Vincent żył w ciągłym strachu, że zawiedzie przyjaciela, i zawsze bardzo uważał. Skinął głową.

Duncan spojrział w stronę garażu.

Mimo to... każdy ślad, jaki znajdą, jest jak trybik zegarka. Kiedy się zbierze wystarczająco dużo elementów, przy odrobinie sprytu można zrozumieć, jak działa mechanizm. Można się nawet domyślić, kto go wyprodukował. - Zdjął kurtkę i podał Vincentowi. Pod spodem miał szarą bluzę. Wyciągnął z torby czapkę bejsbolową i ją włożył.

Spotkamy się w kościele. Idź tam i nie zatrzymuj się nigdzie po drodze.

Co chcesz zrobić? - spytał szeptem Vincent.

Garaż jest ciemny i duży. Na pewno nie mają tylu ludzi, żeby obstawić wszystkie miejsca. Tych bocznych drzwi, przez które wyszliśmy, z zewnątrz prawie nie widać. Może nikogo przy nich nie postawili... A może mamy szczęście i nie znaleźli jeszcze explorera.

Pójdę po resztę rzeczy.

Wydobył składany nóż i wsunął do skarpety. Potem sięgnął do kieszeni, wyciągnął mały pistolet, sprawdził, czy jest naładowany, i schował z powrotem.

A jeżeli znaleźli? - spytał Vincent. - Mówię o wozie.

Duncan odrzekł swoim spokojnym jak zawsze głosem:

Zobaczymy. W każdym razie spróbuję.

Rozdział 17

R

on Pułaski nie sądził, by kiedykolwiek przedtem czuł takie na-pięcie jak teraz, gdy stał w lodowatym garażu, patrząc na beżowe-go forda explorera, oświetlonego ostrym blaskiem reflektorów.

Był sam. Lon Sellitto i Bo Haumann - dwie legendy nowojorskie-go departamentu - zostali na dole przy stanowisku dowodzenia. Dwaj technicy z wydziału kryminalistycznego ustawili światła i wcisnęli mu do rąk nesesery ze sprzętem, życząc mu powodzenia takim tonem, jak gdyby udzielali przestrogi.

Miał na sobie tylko kombinezon z tyveku i dygotał z zimna.

No, Jenny - powiedział bezgłośnie do żony, jak zawsze w chwili stresu - pomyśl o mnie dobrze. A potem dodał, mówiąc już tylko do siebie - nie pozwól mi tego spieprzyć. Takie słowa mogłyby skierować do brata.

Na uszach miał słuchawki i choć powiedziano mu, że został połą-czony bezpośrednio z Lincolnem Rhyme'em na bezpiecznej często-tliwości, jak dotąd słyszał tylko szum. Nagle:

-  
Mów, co mamy - zadudnił w słuchawkach głos Lincolna Rhyme'a.

Pułaski wzdrygnął się i ściszył odbiornik.

- Widzę forda explorera, kapitanie. Około sześciu metrów przede ną. Samochód jest zaparkowany w dość pustej części ga...

- Dość pustej? Coś jak „raczej niepowtarzalny” albo „prawie w Cląży”. Stoją obok inne samochody czy nie?

- Tak.

-He?

- Sześć, kapitanie. Odległość między nimi a pojazdem podejrzanych wynosi od trzech do sześciu metrów.

-  
Daruj sobie tego kapitana. Oszczędzaj oddech na ważniejsze rzeczy.

~ Dobrze.

"" Samochody są puste? Nikt się w nich nie ukrywa?

~ Przeszukał je oddział ESU.

~ Maski są ciepłe?

-  
Hm, nie wiem. Sprawdzę. - Powinien sam o tym pomyśleć.

Dotknął wszystkich po kolei - zewnętrzną częścią dłoni, na wypadek gdyby trzeba było zdjąć odciski palców.

-  
Nie. Wszystkie są zimne. Stoją tu już jakiś czas.

Dobra, czyli nie ma świadków. Są jakieś świeże ślady kół prowadzące w stronę wyjazdu?

Nie, żadne nie wyglądają na nowe. Poza śladami explorera.

A więc prawdopodobnie nie mieli drugiego wozu - powiedział

Rhyme. - I uciekli pieszo. To dla nas lepiej... A teraz, Ron, ogarnij całość.

Rozdział trzeci.

To ja napisałem tę cholerną książkę. Nie musisz mi powtarzać.

W porządku, całość - samochód jest zaparkowany byle jak, w poprzek dwóch linii.

Jasne, szybko dali nogę - zauważył Rhyme. - Wiedzieli, że depczemy im po piętach. Są jakieś widoczne ślady stóp?

Nie. Posadzka jest sucha.

Gdzie są najbliższe drzwi?

Wyjście na schody, osiem metrów od samochodu.

Schody przeszukane przez ESU?

Zgadza się.

Jeszcze jakieś wnioski w związku z całością miejsca?

Pułaski rozejrzał się dookoła. Garaż. Nic więcej... Zmrużył oczy, pragnąc dostrzec coś konkretnego. Ale niczego nie zauważył. Z ociąganiem rzekł:

- Nie

wiem.

-



W tej branży nigdy niczego nie wiemy - powiedział spokojnie Rhyme, przemawiając tonem łagodnego profesora. - Wszystko opiera się na prawdopodobieństwie. Nic nie wydaje ci się dziwne, zaskakujące? Mów o swoich wrażeniach.

Przez chwilę Pułaskiemu nic nie przychodziło na myśl. Nagle jed-nak coś mu zaświtało.

-

Dlaczego tu zaparkowali?

-Co?

Pytał pan, czy coś mnie zaskoczyło. Wydaje mi się dziwne, że zaparkowali tak daleko od wyjścia. Dlaczego nie podjechali pod drzwi? I czemu lepiej nie ukryli samochodu?

Słusznie, Ron. Sam powinienem o to zapytać. Jak sądzisz? Dla'

czego tam zaparkowali?

Może wpadli w panikę.

Możliwe. Tym lepiej dla nas - strach zwykle wywołuje nieuwag?-

Pomyślmy nad tym. Teraz przejdź po siatce do wyjścia i z powrotemi^

a potem wokół samochodu. Zagląдай pod spód i na dach. Znasz siatką Tak - odparł, nie dodając „kapitanie”.

Przez następnych dwadzieścia minut Pułaski chodził tam i z P° wrotem. oeladaiac podłogę garażu i sufit nad samochodem. Nie p°

jął ani milimetra. Wąchał powietrze, ale zapach garażu - miesza-nina woni spalin, oleju i środka dezynfekującego - nic mu nie powie-dział- Zmartwiony poinformował Rhyme'a, że niczego nie znalazł, t^yminalistyk nie zareagował, polecając Pułaskiemu przystąpić do przeszukania samochodu.

po sprawdzeniu numeru VTN i numerów rejestracyjnych explorera okazało się, że ford należał jednak do jednego z mężczyzn zidentyfiko-wanych wcześniej przez Sellitta, ale nie uznali go za podejrzanego, po-nieważ odsiadywał rok na Rikers Island za posiadanie kokainy.

Explo-rer został skonfiskowany, co oznaczało, że Zegarmistrz ukradł go z parkingu, gdzie auto czekało na aukcję szeryfa - niezły pomysł, uznał Rhyme, biorąc pod uwagę, że często mijało wiele tygodni, zanim w ewi-dencji wydziału komunikacji pojawił się wpis o konfiskacie, i kilka miesięcy, zanim pojazdy wystawiano na sprzedaż. Tablice rejestracyjne zostały natomiast skradzione z innego beżowego explorera zaparkowa-nego przy lotnisku Newark.

Zagadkowo cichym głosem Rhyme powiedział:

-

Uwielbiam samochody, Ron. Można w nich czytać jak w książkach.

Jego słowa przypomniały Pułaskiemu fragment z podręcznika Rhyme'a. Zamiast go zacytować, rzekł tylko:

-

Jasne, numer VTN, tablice, naklejki na zderzakach, firmowe na-lepki z salonu, z warsztatów...

Śmiech.

Owszem, jeżeli właściciel jest sprawcą. Ale nasz wóz został

skradziony, więc do niczego się nam nie przyda informacja, na jakiej stacji Jiffy Lube zmieniano olej ani czy właściciel skończył

z wyróżnieniem liceum imienia Johna Adamsa, nie uważasz?

Chyba tak.

Chyba tak - powtórzył Rhyme. - Co możemy znaleźć w skradzionym samochodzie?

No, odciski palców.

Bardzo dobrze. Jest tyle miejsc, których trzeba dotykać w samochodzie - kierownica, dźwignia zmiany biegów, włącznik ogrzewania, uchwyty, mnóstwo. I wszystkie mają cudownie gładką powierzchnię. Dzięki ci, Detroit... albo Tokio czy Hamburgu, nieważne.

Jeszcze jedno: większość ludzi traktuje samochód jak aktówkę albo Szufladę na drobiazgi - wiesz, taką jak w kuchni, gdzie wrzuca się szystko. Śmietnik osobistych rzeczy. Prawie jak pamiętnik, w którym każdy pisze prawdę.

Najpierw zajrzyj tam. Szukaj DF. Dowodów fizycznych, przypomniał sobie Pułaski. Gdy młody posterunkowy schylił się, by zajrzeć do wnętrza samochodu, a usłyszał jakiś metaliczny zgrzyt z tyłu. Natychmiast wyskoczył, rozejrzawszy się po mrocznym garażu. Znał zasadę Rhyme'a, według OreJ oględziny należało przeprowadzać w pojedynkę, dlatego zrezygnował

ze wsparcia. Może sprawcą hałasu był szczur. Albo

spadający sople. Nagle usłyszał cichy trzask. Przypominający tyka. nie zegara.

Do roboty, powiedział do siebie Pułaski. Pewnie coś trzasnęło w gorących reflektorach. Nie bądź taki cykor. Sam się zgłosiłeś do zadania, nie pamiętasz?

Obejrzał przednie siedzenia.

Są okruchy. Mnóstwo.

Okruchy?

Chyba głównie słodczy i chipsów. Wyglądają na okruchy ciastek, chrupki kukurydzianych i ziemniaczanych, kawałki czekolady.

I jakieś lepkie plamy. Pewnie po napojach. Zaraz, widzę coś pod tylnym siedzeniem... Niezłe. Pudełko pocisków.

Jakich?

Remingtona. Kaliber trzydzieści dwa.

Co jest w środku?

Hm, pociski?

Na pewno?

Nie otwierałem. Mam otworzyć?

Z cizy wywnioskował, że tak.

Aha. Pociski. Trzydziestkidwójki. Ale pudełko nie jest pełne.

Ilu brakuje?

Siedmiu.

Ach, warto wiedzieć.

Dlaczego?

O tym później.

A tutaj jeszcze to.

Co? - warknął w słuchawkach Rhyme.

Przepraszam. Znalazłem coś jeszcze. Książkę o przesłuchiwa-niu. Ale wygląda raczej na książkę o torturach.

Torturach?

Zgadza się.

Kupiona? Z biblioteki?

Nie ma na niej żadnej naklejki, w środku nie ma paragonu ani numerów bibliotecznych. Ale ktoś czytał ją bardzo często.

Dobrze, że to powiedziałaś, Ron. Nie należy zakładać, że to sprawca. Zawsze trzeba mieć otwartą głowę. Zawsze.

Nie była to pochwała wprost, ale słowa Rhyme'a ucieszyły młodego człowieka. . .

Pułaski zdjął rolką mikroślady z podłogi i zebrał je sporniedzy siedzeń za pomocą odkurzacza z mikrofiltrem.

Chyba mam wszystko.

Jeszcze schowek.

Sprawdziłem. Pusty.

Pedały?

Zdrapałem próbki. Niewiele na nich jest.

Zagłówki? - zapytał Rhyme.

\_ Och, nie pomyślałem.

- Mógł na nich zostać włos albo płyn do włosów.

\_ Ludzie chodzą w czapkach - zauważył Pułaski.

\_ Biorąc pod uwagę znikome prawdopodobieństwo, że Zegar-mistrz nie jest sikhem, zakonnicą, kosmonautą, poławiaczem gąbek czy kimkolwiek innym z całkowicie zakrytą głową, zrób mi przyjemność i sprawdź zagłówki.

\_ Jasne.

po chwili Pułaski ujrzał czarny włos ze śladami siwizny. Przyznał się do tego Rhyme'owi.

Kryminalistyk oszczędził mu przytyków w rodzaju „a nie mówiłem?”.

-

Dobrze - powiedział. - Do torebki. Teraz odciski palców. Oddałbym wszystko, żeby się dowiedzieć, kim naprawdę jest Zegarmistrz.

Pułaski, zlany potem mimo panującego w garażu zimna i wilgoci, przez dziesięć minut mozolnie manipulował aplikatorem magne-tycznym, proszkami, sprayami, oświetlaczami i goglami.

Kiedy zniecierpliwiony Rhyme zapytał go, jak idzie, posterunkowi musiał wyznać: Nie ma żadnych.

Mówisz o całych odciskach. W porządku. Wystarczą częściowe.

Nie, mówię, że nie ma ani jednego odcisku, kapitanie. Nigdzie.

W całym samochodzie.

Nieemożliwe.

Pułaski pamiętał z książki Rhyme'a, że są trzy rodzaje odcisków palców - plastyczne, czyli trójwymiarowe, pozostawiane w błocie czy glinie; widoczne, które można zobaczyć gołym okiem, oraz utajone, zauważalne tylko przy zastosowaniu specjalnego sprzętu. Plastyczne znajduje się rzadko, podobnie jak widoczne, ale utajone są wszędzie.

Z wyjątkiem forda explorera Zegarmistrza.

Smugi?

Nie ma.

To jakieś szaleństwo. Przecież nie zdążyliby w ciągu pięciu minut powycierać do czysta całego samochodu. Sprawdź z zewnątrz, każdy kawałek. Zwłaszcza przy drzwiach i pokrywie wlewu paliwa.

Pułaski kontynuował przeszukiwanie nieco drżącymi rękami. Może coś pokręcił z aplikatorem? Albo źle rozpylił odczynniki? Założył me te gogle?

Straszne obrażenia głowy, jakich niedawno doznał, pozostawiły ugotrwały efekt w postaci stresu pourazowego i napadów paniki. 1(1) rpiął też na zaburzenie, które objaśnił Jenny jako „takie skom-li ikowane medyczne coś - myślenie rozmyte”. Prześladowała go Usy^1 ie Po wypadku nie jest taki sam jak kiedyś, że jest jakimś ^kodzonym egzemplarzem, nie tak byстрыm jak brat, choć kiedyś ^leli identyczny iloraz inteligencji. Szczególnie niepokoił się tym, Jest mniej bystry od przestępców, których pomagał tropić Lincol-ncHvi RhymeWi.

V

Potem jednak pomyślał: odpuść sobie. Wydaje ci się, że to ty spieprzyłeś. Cholera, przecież byłeś wśród najlepszych pięciu pro. cent absolwentów akademii. Znasz się na tej robocie.

Pracujesz dwa razy tyle, co inni gliniarze.

- Jestem

pewien,

że nic nie ma, kapitanie - powiedział. - Jakimś

cudem udało się im nie zostawić ani jednego odcisku... zaraz, niech pan zaczeka.

- Nigdzie

się nie wybieram, Ron.

Pułaski nałożył gogle powiększające.

-

Coś mam. Bawełniane włókna. Jasnobezowe. Jakby cieliste.

Jakby? - zbeształ go Rhyme.

Cielistej barwy. Założę się, że z rękawiczek.

- A

więc Zegarmistrz i jego wspólnik są ostrożni i sprytni.

- W głosie Rhyme'a zabrzmiała nutka niepokoju, która wzbudziła w Pułaskim obawę. Nie podobała mu się niepewność Lincolna Rhyme^1. Dreszcz przebiegł mu po plecach. Przypomnił sobie metaliczny zgrzyt. I cichy stuk.

Tik-tak...

- Jest

coś w bieżnikach opon i na kratce chłodnicy? Na bocznych lusterkach?

Obejrzał je.

Tylko śniegowa breja i błoto.

Weź próbki.

Pułaski spełnił polecenie i zameldował:

- Skończyłem.

Teraz zdjęcia i wideo - wiesz, jak to zrobić?

Wiedział. Był fotografem na ślubie brata. "

Sprawdź możliwe drogi ucieczki.

Pułaski znów się rozejrzył. Czy to był odgłos kroków? Gdzieś ka-pała woda. Ten dźwięk też przypominał tykanie zegara, co denerwo-wało go jeszcze bardziej. Znów ruszył po siatce, maszerując tam i z powrotem między samochodem a wyjściem, spoglądając w górę i w dół, tak jak Rhyme pisał w podręczniku.

Miejsce zdarzenia jest trójwymiarowe...

-

Na razie nic.

Usłyszał kolejne zniecierpliwione burknięcie.

Pułaski usłyszał coś, co wyraźnie przypominało odgłos kroków.

Jego dłoń powędrowała do boku. W tym momencie uświadomił sobie, że jego glock został pod kombinezonem z tyveku, poza zasięgiem ręki. Co za głupota. Może powinien rozpiąć tyvek i przełożyć kaburę na wierzch?

W ten sposób mógłby jednak zanieczyścić miejsce.

Ron Pułaski postanowił zostawić broń tam, gdzie była.

Przecież to tylko stary garaż: takie hałasy to zwykła rzecz. USP° kój się.

Na Lincolna Rhyme'a spoglądały nieprzeniknione księżycowe twarze z oryginalnych wizytówek Zegarmistrza. Upiorne nieruchome oczy bez wyrazu.

Słyszał tylko tykanie; w radiu panowała cisza. Nagle rozległy się jakieś dziwne dźwięki.

Zgrzyt, stukot... Może to zwykłe zakłócenia? \_ Ron? Słyszysz mnie? Nic tylko tik... tik... tik...

\_ Ron? Naraz głośny metaliczny łoskot.

-

Ron? Co się dzieje?

Wciąż nie było odpowiedzi.

Chciał już zmienić kanał i powiedzieć Haumannowi, żeby sprawdził, czy z nowym wszystko w porządku, gdy wreszcie radio ożyło. Usłyszał paniczny głos Rona Pułaskiego:

- ...wsparcia!

Dziesięć trzymaście, dziesięć...

Kod 10-13 był wezwaniem radiowym wymagającym natychmiastowej reakcji: funkcjonariusz w niebezpieczeństwie.

Ron, odezwij się! - krzyknął Rhyme. - Jesteś tam?

Nie mogę...

Zdławione chrząknięcie.

Radio umilkło.

Jezu.

Mel, połącz mnie z Haumannem!

Technik wcisnął kilka guzików.

Masz go - krzyknął Cooper, wskazując na słuchawki Rhyme'a.

Bo, tu Rhyme. Pułaski ma kłopoty. Zgłosił dziesięć trzymaście.

Słyszałeś?

Nie. Ale już do niego idziemy.

Miał przeszukać schody blisko explorera.

Zrozumiałem.

Rozmawiając z nim na wspólnej częstotliwości, Rhyme słyszał wszystkie komunikaty.

Haumann wydawał dyspozycje kilku zespołom i wzywał ambulans. Rozkazał swoim ludziom rozproszyć się po garażu i zabezpieczyć wyjścia.

Rhyme z wściekłością wcisnął głowę w zagłówek wózka.

bie

Był zły na Sachs, że porzuciła Jego Sprawę na rzecz Drugiej Sprawy zmuszając Pułaskiego do wykonania tego zadania. Był zły na siebie, że pozwolił niedoświadczonemu młokosowi samodzielnie przeprowadzić oględziny prawdopodobnie ciepłego miejsca. - Linc, idziemy tam. Nie widzimy go. - To był głos Sellitta. ~ Do cholery, nie mów mi, czego nie widzicie. Odezwało się więcej głosów. ~ Na tym poziomie nic. ~ Jest ford. "" Gdzie on jest? ~ Mamy kogoś na godzinie dziewiątej?

Nie, to nasz.

Więcej świateł! Potrzebujemy więcej świateł!

Mijały chwile ciszy, ciągnąc się jak godziny.

Co się dzieje?

Niech to szlag. Niech ktoś mi powie!

Jego nieme żądanie pozostało bez odpowiedzi. Rhyme przestawił radio na częstotliwość Pułaskiego.

-Ron?

Usłyszał tylko serię urywanych dźwięków, jak gdyby ktoś z pode-rżniętym gardłem usiłował coś powiedzieć, mimo że już stracił głos.

Rozdział 18

S

łuchaj, Amie, musimy pogadać. - Jasne.

Sachs jechała do Hell's Kitchen na środkowym Manhattanie po informacje na temat akt sprawy Franka Sarkowskiego. W ogóle jednak o niej nie myślała. Myślała o zegarach pozostawionych na miejscach zbrodni, o czasie, który przemija, i o czasie, który stoi w miejscu. O chwilach, gdy pragniemy przyspieszyć bieg czasu, że-by uchronił nas przed odczuwanym bólem. Ale czas nas nie słucha. Dłuzi się w nieskończoność, a niekiedy nawet zatrzymuje się jak serce skazańca w celi śmierci tuż przed egzekucją.

- Musimy  
pogadać.

Amelia Sachs wracała wspomnieniem do rozmowy sprzed lat.

- To

poważna sprawa - mówi Nick.

Kochankowie są w mieszkaniu Sachs na Brooklynie. Sachs nie-dawno wstąpiła do policji, ma na sobie mundur i wyglansowane buty przypominające czarne lusterka. (Ojciec radził:

„Czyste buty budzą więcej szacunku niż wyprasowany mundur, skarbie. Pamiętaj o tym”. I pamiętała).

Przystojny, ciemnowłosy i muskularny Nick (też mógłby być modelem) również jest policjantem. Starszym stopniem. Lubi kowbojski styl, nawet bardziej niż Sachs obecnie.

Siedzi na niskim stoliku, adnym, z tekowego drewna, kupionym rok wcześniej za ostatnie Pieniądze, które zarobiła jako modelka.

Tego wieczoru Nick brał udział w tajnej operacji. Ma na sobie

°szulkę bez rękawów i dżinsy, na jego biodrze spoczywa mały re-olwer. Powinien się ogolić, choć Sachs lubi, gdy wygląda tak nie-ale. Zaplanowali, że po jego powrocie zjedzą późną kolację. Sachs Ugotowała wino, świece, sałatkę i łososia, nakryła do stołu, two-23c przytulny domowy nastrój.

rawdę mówiąc, Nick od pewnego czasu nie przychodził na noc. ioze więc zjedzą później.

Albo w ogóle nie będą jeść. Al coś wyraźnie wisi w powietrzu. Poważna sprawa.

-. i

Przecież stoi przed nią cały i zdrowy, nie zginął ani nie został ranny, nikt do niego nie strzelał w trakcie zadania - tajna akcja jeSf najbardziej niebezpieczną operacją policyjną. Tropił gangi napada jące na ciężarówki. W grę wchodziły duże pieniądze, więc potrzebna była duża siła.

Nickowi towarzyszyło dziś trzech bliskich kumpli Sachs zaczyna się obawiać, czy nie zginął jeden z nich. Znała wszystkich.

Chodzi o to czy coś innego?

Może chce ze mną zerwać?

Parszywie... ale przynajmniej lepiej, niż gdyby ktoś miał zarobić kulkę w strzelaninie z bandą ze wschodniej części Nowego Jorku.

Słucham - powiedziała.

Widzisz, Amie... - Tak nazywał ją ojciec. Pozwalała tak do siebie mówić tylko dwóm mężczyznom na świecie. - Chodzi o to, że...

Mów - przerwała mu. Amelia Sachs zawsze przekazywała wiadomości bez długich wstępów. Od innych oczekiwała tego samego.

Niedługo się dowiesz, ale wolałem, żebyś usłyszała to ode mnie.

Mam kłopoty.

Wydaje się jej, że rozumie. Nick jest kowbojem gotowym bez namysłu złapać za M-5 i poczęstować bandytę ołowiem. Sachs, która lepiej strzela, przynajmniej z pistoletu, naciska spust z większą rozważnością. (Znow rada ojca: „Kul nie możesz cofnąć”). Sachs przypuszcza, że padły strzały i Nick kogoś zabił - może nawet niewinnego człowieka. Trudno. Zostanie zawieszony, dopóki nie zbierze się komisja, która zdecyduje, czy interwencja była uzasadniona.

Współczuje mu z całego serca i już ma powiedzieć, że będzie przy nim bez względu na to, co się stanie, gdy Nick dodaje:

- Zdegradowali

mnie.

-Zde...

-

Sammy'ego i mnie... Franka R też... przez te skoki - napady na ciężarówki. Dobrali się nam do skóry. - Drży mu głos. Sachs nigdy nie widziała w jego oczach łez, ale Nick wygląda, jak gdyby za kilka sekund miał wybuchnąć płaczem.

- Brałeś w łapę? - Udaje się jej wykrztusić.

Wpatruje się w zielony dywan. Wreszcie szepcze:

-

Tak, ale... - Skoro już zaczął wyznawać prawdę, nie chce się wycofać. - Stało się coś gorszego.

Gorszego? Co może być gorszego?

To my. My napadaliśmy na ciężarówki.

To znaczy, że dzisiaj... - Głos odmówił jej posłuszeństwa.

Och, Amie, nie tylko dzisiaj. Przez rok. Cały pieprzony rok-Mieliśmy w magazynach swoich ludzi, którzy dawali nam cynk o stawach. Zatrzymywaliśmy ciężarówki i... zresztą sama wiesz. J\*1 musisz znać szczegółów. - Pociera zmęczoną twarz. - Właśnie się °

wiedzieliśmy, że wystawili nakazy. Ktoś nas sypnął. Mają nas w ga ści. Cholera, to koniec.

Sachs przypomina sobie noce, gdy szedł na tajną akcję, żeby ła-ać bandytów. Co najmniej raz w tygodniu.

\_ Wciągnęli mnie. Nie miałem wyboru...

jjie chce odpowiadać, ależ tak, Boże, przecież zawsze mamy jakiś wybór. Amelia Sachs nigdy nie szuka wymówek i jest głucha na prawiedliwienia innych. Nick dobrze o tym wie i akceptuje to. Na tym polega ich miłość.

Polegała.

Dlatego Nick daje za wygraną.

\_ Wszystko spieprzyłem, Amie. Wszystko. Przyszedłem, żeby ci o tym powiedzieć.

Chcesz się poddać?

Chyba tak. Sam nie wiem, co robić. Kurwa.

Jest odrętwiała i nie przychodzą jej do głowy żadne słowa, które byłyby teraz odpowiednie.

Myśli o spędzonych wspólnie chwilach - na strzelnicy, gdzie marnowali tony amunicji; w barach na Broad-wayu, gdzie przesiadywali przy mrożonym daiquiri; w jej brooklyń-skim mieszkaniu, gdzie leżeli przed starym kominkiem.

- Obejrzą pod mikroskopem całe moje życie, Amie. Powiem im, że jesteś czysta. Postaram się, żebyś nie została w to umoczona. Ale będą ci zadawać dużo pytań.

Chce go spytać, dlaczego to robił. Jaki miał powód? Nick wychował się w Brooklynie, był typowym przystojnym cwaniakiem. Przez jakiś czas obracał się w podejrzanym towarzystwie, ale gdy ojciec dość bru-talnie przemówił mu do rozsądku, dał sobie spokój. Dlaczego znowu w to wsiąkł? Szukał emocji? Pieniędzy? (Uświadomiła sobie, że to także przed nią ukrywał; gdzie je odkładał?).

Dlaczego?

Ale nie miała okazji zapytać.

- Muszę iść. Zadzwońię do ciebie. Kocham cię.

Pocałował ją w czubek nieruchomej głowy. I zniknął za drzwiami. Myślała o tamtej nieskończonej długiej nocy, kiedy czas się za-trzymał, a ona siedziała wpatrzona w świece zmieniające się w ciem-ne kałuże ciemnoczerwonego wosku. Zadzwońię... Ale nigdy nie zadzwonił.

Podwójny cios - jego przestępstwo i koniec ich związku - zrobił

Woje; Sachs postanowiła rzucić służbę patrolową. Przenieść się za

\*urko. Zmieniła decyzję i nie pożegnała się z mundurem dopiero fJCKi przypadkowemu spotkaniu z Lincolnem Rhyme'em. Tamta historia z Nickiem odcisnęła na niej piętno, budząc jej głęboką od-2C do skorumpowanych policjantów. Brzydziła się nimi bardziej kłamliwymi politykami, niewiernymi mężami i żonami, a nawet rutnymi przestępcami.

j §° była gotowa zrobić wszystko, by odkryć prawdę o grupie tych gości „St. James”.

Jeżeli się okaże, że są nimi źli gliniarze

z posterunku numer 118, była gotowa zrobić wszystko, by skorump0 wani policjanci i współpracujący z nimi gangsterzy trafili za kratki Camaro zatrzymał się z piskiem opon przy krawężniku. Sach rzuciła na deskę rozdzielczą policyjny identyfikator i wysiadła z rozmachem zatraskując drzwi, jak gdyby próbowała oddzielić te-raźniejszość od tamtej smutnej przeszłości.

- Ale

ohyda.



Funkcjonariusz patrolu, który podzielił się tą uwagą z kolegami przyglądał się postaci leżącej na brzuchu na górnym poziomie gara! zu, gdzie znaleziono forda Zegarmistrza.

Masz rację - przytaknął drugi policjant. - Jezu.

Trzeci dorzucił zupełnie niepolicyjny komentarz:

Fu!

Nadbiegli Sellitto i Bo Haumann.

-

Nic ci się nie stało? Nic ci się nie stało? - zawołał Sellitto.

Pytanie było skierowane do Rona Pułaskiego, który stał nad leżą-cym człowiekiem przysypanym cuchnącymi śmieciami. Posterunko-wy dyszał ciężko, a jego kombinezon także oblepiały odpadki. Ski-nał głową.

- Wystraszył mnie jak diabli. Ale nic mi nie jest. Kurczę, strasznie silny jak na bezdomnego.

Zjawił się ratownik i odwrócił napastnika na wznak. Zagrzecho-tały kajdanki, które Pułaski zdążył mu nałożyć. Bezdomny rozglądał się w panice. Miał podarte i brudne ubranie, które wydzielalo obrzydliwy zapach. Przed chwilą zmoczył spodnie - stąd „ohyda" i „fu".

Co się stało? - spytał Pułaskiego Haumann.

Zabezpieczałem miejsce. - Wskazał na podest schodów. - Doszedłem do wniosku, że to była droga ucieczki, którą sprawcy oddalili się z...

Przestań, upomniał się w duchu. Zaczął jeszcze raz: Jestem prawie pewien, że uciekli tymi schodami. Szukałem tam śladów stóp, kiedy nagle coś usłyszałem i się odwróciłem. Zaatakował mnie ten człowiek. - Wskazał na rurkę, którą bezdomny usiłował go uderzyć. - Nie mogłem wyciągnąć broni, ale rzuciłem w niego kubłem na śmieci. Szamotaliśmy się ze dwie minuty, aż wreszcie założyłem mu chwyt duszący.

Nie używamy takich środków - przypomniał mu Haumann.

Chciałem powiedzieć, że udało mi się go obezwładnić za pom<sup>o</sup> cą metod samoobrony.

Szef oddziału specjalnego skinął głową.

- Rozumiem.

Pułaski znalazł słuchawki i założył. Skrzywił się, gdy uszy wyPel nił mu przeraźliwy wrzask:

- Na

litość boską, żyjesz czy nie?! Co się dzieje?

\_ Przepraszam, kapitanie.

pulaski opowiedział mu, co się stało.

\_ Wszystko w porządku?

-

Tak, nic mi nie jest.

\_ To dobrze - rzekł kryminalistyk. - Powiedz mi, dlaczego do cho-lery miałeś broń pod kombinezonem?

\_ Przez niedopatrzenie. To się nigdy nie powtórzy, kapitanie.

Lepiej, żeby się nie powtórzyło. Jak brzmi zasada numer jeden ciepłego miejsca?

Ciepłego?

Ciepłego miejsca zdarzenia - gdzie sprawca nadal może być w pobliżu. Zasada brzmi: szukaj dobrze, ale pilnuj tyłów. Zrozumiano?

Tak jest.

A więc droga ucieczki została zanieczyszczona - burknął niezadowolony Rhyme.

Ściślej mówiąc, jest zasypana śmieciami.

Śmieciami - powtórzył zirytowany. - Wobec tego bierz się do sprzątanía. Chcę mieć wszystkie dowody za dwadzieścia minut. Co do kawałeczka. Poradzisz sobie?

Tak jest, kapi...

W tym momencie Rhyme się rozłączył.

Gdy dwaj funkcjonariusze ESU wkładali lateksowe rękawiczki i zabierali bezdomnego mężczyznę, Pułaski pochylił się i zaczął zbierać rozsypane odpadki, starając się odgadnąć, co oznaczał pewien znajomy ton, jaki zabrzmiał w głosie Rhyme'a. W końcu go olśniło. Usłyszał tę samą mieszaninę gniewu i ulgi co wówczas, gdy jego ojciec przeprowadzał z synami „męską rozmowę”, przyłapawszy ich na urządzaniu biegów przez tory kolejki niedaleko domu.

Jak szpieg.

Emerytowany detektyw Art Snyder stał na rogu ulicy w Hell's Kitchen ubrany w trencz, w tyrolskim kapeluszu z piórkiem, i wyglądał jak dawny agent obcego wywiadu z powieści Johna le Carre.

Amelia Sachs podeszła do niego.

Snyder przywitał ją przelotnym spojrzeniem, a potem, rozejrzawszy się po ulicach, odwrócił się na pięcie i ruszył na zachód, oddalając się od gwarne go Times Square.

- Dzięki za telefon.

Snyder wzruszył ramionami.

~ Dokąd idziemy? - zapytała.

~ Idę na spotkanie z kolegą. Co tydzień gramy w bilard w lokalu na tej ulicy. Nie chciałem mówić przez telefon. Szpieczy...

Zaczepił ich wychudzony mężczyzna o gładko zaczesanych żółtych włosach - nie blond, ale żółtych - prosząc o parę groszy. Snyder

najpierw uważnie mu się przyjrzał, a potem wręczył mu dolara. Mężczyzna ruszył dalej, dziękując im, ale bez przekonania, jak gdyby spodziewał się piątki.

Szli przez ciemny odcinek ulicy, gdy nagle Sachs poczuła jakieś muśnięcie na nodze, potem drugie, i przez chwilę myślała, że emeryt zamierza się do niej przystawiać. Ale zerknąwszy w dół, zobaczyła że dyskretnie podaje jej złożoną kartkę.

Wzięła ją i zajrzała do niej dopiero, gdy doszli do latarni.

Była to kserokopia strony z segregatora albo księgi.

Snyder nachylił się i szepnął:

-

Strona z rejestru akt. Ze Sto Trzydziestego Pierwszego.

Przebiegła ją wzrokiem. Zauważyła wpis pośrodku kartki: Numer akt: 3453496, Sarkowski, Frank

Sprawa: zabójstwo

Przesłane do: Posterunku nr 158

Na prośbę:

Data wysłania: 28 listopada

Data zwrotu:

Posterunkowy, który ze mną współpracuje, twierdził, że w ewidencji nie ma żadnego wpisu o wypożyczeniu akt - powiedziała Sachs.

Pewnie zajrzał tylko do komputera. Też tam sprawdziłem. Prawdopodobnie zapisali, ale potem skasowali. To jest ręczna kopia.

Dlaczego akta poszły do Sto Pięćdziesiątego Ósmego?

Nie wiem. Nie było żadnego powodu.

Skąd pan to ma?

Przyjaciel znalazł. Gliniarz, z którym pracowałem. Swój chłop.

Już zapomniał, że o to prosiłem.

Dokąd akta mogły trafić w Sto Pięćdziesiątym Ósmym? Do kartotek?

Snyder wzruszył ramionami.

-

Nie mam pojęcia.

- Sprawdzę.

Klasnął w dłonie.

- Cholerny

ziąb. - Obejrzał się przez ramię. Sachs zrobiła to sa-mo. Czy to nie czarny samochód stoi na skrzyżowaniu?

Snyder zatrzymał się, wskazując zaniedbany lokal. Nad wejściem wisiał szyld: „Klub bilardowy Flannagana. Rok założenia 1954”.

Jestem na miejscu.

Jeszcze raz dziękuję - powiedziała.

Snyder zajrzał do klubu, po czym zerknął na zegarek.

Niewiele zostało takich starych bud na Times Square... kiedy pracowałem na Dwójce. Wiesz...

Na Czterdziestej Drugiej. To też był mój rewir. - Znów obejrzała się w stronę Ósmej Alei. Czarne auto zniknęło.

patrzając przez okna w głąb sali bilardowej, Snyder rzekł cicho: \_ Najlepiej pamiętam lato.

Sierpień. Nawet uliczni bandyci i zło-dzieje siedzieli w domach, tak było gorąco. Pamiętam tamte restaura-cje, bary i kina. Na niektórych wisiały takie tablice, chyba z lat czter-dziestych albo pięćdziesiątych, „Lokal klimatyzowany”. Śmieszne, że reklamowali się klimatyzacją.

Dzisiaj jest inaczej, nie? Czasy się zmieniają. - Snyder otworzył drzwi, wchodząc do zadymionego wnę-trza. - Nie ma co, czasy diabelnie się zmieniają.

Rozdział 19

Ich nowym wozem był buick lesabre. - Skąd go wzięłeś? - zapytał Duncana Vincent, wsiadając do samo-chodu. Buick stał z włączonym silnikiem przed kościołem.

Z Lower East Side. - Duncan zerknął na niego z boku.

Nikt cię nie widział?

Właściciel. Tylko przez chwilę. Ale niczego nie powie. - Poklepał się po kieszeni, w której spoczywał pistolet. Głową wskazał róg ulicy, gdzie wcześniej zabił nożem studenta. - Kręciła się tu policja?

Nie. To znaczy, nie widziałem.

Dobrze. Pewnie już opróżnili pojemnik i ciało jest na barce w połowie drogi do morza.

Tnij oczy...

- Co się stało w garażu? - spytał Vincent.  
Duncan lekko się skrzywił.

- Nie udało mi się zbliżyć do explorera. Nie przyjechało dużo glin, ale w garażu był jakiś bezdomny. Narobił hałasu, potem usłyszałem krzyk i gliniarze wbiegli do środka. Musiałem się wycofać.

Ruszyli spod kościoła. Vincent nie miał pojęcia, dokąd jada. Buick był stary i cuchnął papierosowym dymem. Vincent nie wiedział, jak go nazwać. Samochód był ciemnoniebieski, ale „Niebieski Wóz” nie brzmiał zabawnie. Vincenta Mądralę na razie opuściło natchnienie.

Po kilku minutach milczenia zapytał:

Jaka jest twoja ulubiona potrawa?

Moja...

Potrawa. Co lubisz jeść?

Duncan lekko przymrużył oczy. Często to robił, głęboko rozważając pytania, a potem recytując precyzyjnie zbudowane odpowiedzi - Teraz jednak był zupełnie zбитy z tropu.

Zaśmiał się.

Wiesz, że niewiele jem.

Ale musisz mieć coś ulubionego.

Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Dlaczego pytasz?

Pomyślałem sobie, że mógłbym od czasu do czasu przygotować

kolację. Umiem ugotować dużo rzeczy. Pastę - no wiesz, spaghetti - Lubisz spaghetti? Robię takie z klopsikami. Potrafię zrobić sos śmietanowy. Nazywa się Alfredo. Albo pomidorowy.

-

Chyba pomidorowy - rzekł Duncan. - Taki zwykle zamawiam w restauracji.

\_ W takim razie ci ugotuję. Może kiedy przyjedzie moja siostra, wydani przyjęcie. No, może nie przyjęcie. Tylko dla nas.

To... - Duncan pokręcił głową. Wydawał się wzruszony. - Nikt nie przygotował dla mnie kolacji od... nikt mi od bardzo dawna nie gotował.

Może w przyszłym miesiącu.

W przyszłym miesiącu mogłoby się udać. Powiedz mi coś o swojej siostrze.

Jest dwa lata młodsza ode mnie. Pracuje w banku. Też jest chuda. To znaczy... nie chcę powiedzieć, że jesteś chudy. Tylko, no wiesz, w dobrej formie.

Ma męża, dzieci?

-

Och, nie. Za bardzo zajmuje ją praca. Jest w tym dobra.

Duncan skinął głową...

W przyszłym miesiącu. Jasne. Przyjadę do miasta. Mogliby-

śmy zjeść razem kolację. Ale nie będę mógł ci pomóc. Nie umiem gotować.

Och, ja się tym zajmę. Lubię gotować. Oglądam Food Channel.

Ale mogę przynieść deser. Coś gotowego. Wiem, że lubisz słodczy.

Byłoby wspaniale - zapewnił go przejęty Vincent. Rozejrzał się po ciemnych, zimnych ulicach. - Gdzie jedziemy?

Duncan przez chwilę milczał. Zatrzymał się na czerwonym świetle, ustawiając przednie koła

dokładnie na brudnej linii stopu.

- Coś ci opowiem - rzekł.

Vincent spojrział na przyjaciela.

W tysiąc siedemset czternastym roku brytyjski parlament wyznaczył nagrodę tysiąca funtów za wynalezienie przenośnego zegara na tyle dokładnego, aby można go było używać na morzu.

To wtedy było dużo pieniędzy, prawda?

~ Ogromnie dużo. Potrzebowali zegara na statki, ponieważ co ro-ku z powodu błędów w nawigacji ginęły tysiące marynarzy. Widzisz, żeby obliczyć kurs, trzeba znać długość i szerokość geograficzną. Szerokość można określić na podstawie danych astronomicznych.

Ale do obliczenia długości jest potrzebny dokładny czas. Brytyjski zegarmistrz, John Harrison, postanowił stanąć do konkursu. Rozpo-zął pracę w tysiąc siedemset trzydziestym piątym i wreszcie skon-ruował mały zegar, z którego można było korzystać na morzu. Ze-°ar spóźniał się zaledwie o kilka sekund w ciągu całego rejsu eni

demset sześćdziesiątym pierwszym. ~ Tak długo go budował?

transatlantyckiego. Wiesz, kiedy Harrison skończył? W tysiąc sie-en

- Musiał się borykać z polityką, konkurencją, spiskami biznesmenów i członków parlamentu, no i rzecz jasna z trudnościami technicznymi, które niemal uniemożliwiały skonstruowanie zegara. Ale nie ustawał w pracy. Dwadzieścia sześć lat.

Zapaliło się zielone światło i Duncan łagodnie przyspieszył.

A odpowiadając na twoje pytanie - jedziemy na spotkanie z następną dziewczyną z naszej listy. Mieliśmy jedno niepowodze-nie. Ale nic nas nie powstrzyma. To nic wielkiego...

W ostatecznym rozrachunku.

Przez twarz mordercy przemknął uśmiech.

-  
Po pierwsze, czy w garażu są kamery? - zapytał Rhyme.

Śmiech Sellitta oznaczał: „Chyba śnisz”.

Detektyw, Pułaski i Baker wrócili do domu Rhyme'a i oglądali dowody zebrane przez nowego w garażu. Bezdomny, który zaatakował Pułaskiego, został przewieziony do szpitala Bellevue. Nie miał związku ze sprawą i zdiagnozowano u niego schizofrenię paranoidal-ną, której od dawna nie leczył. Usłyszawszy tę wiadomość, Pułaski mruknął: Zły czas i złe miejsce.

Masz na myśli siebie czy jego? - skwitował Rhyme.

- Na  
strzeżonym parkingu policyjnym, skąd buchnął explorera, chyba są kamery? - zapytał kryminalistyk.

Znów odpowiedział mu śmiech. Westchnął.

-  
Zobaczmy, co znalazł Ron. Najpierw pociski.

Cooper przyniósł pudełko i otworzył, by Rhyme mógł zajrzeć do środka.

Amunicja ACP kalibru .32 jest dosyć popularna. Pocisk do pisto-letów automatycznych ma większy zasięg niż mniejszy kalibru .22, ale mniejszą siłę rażenia od znacznie skuteczniejszych .39 czy dzie-więć milimetrów. Trzydziestkidwójki tradycyjnie nazywano damską bronią. Rynek jest ograniczony, choć całkiem duży. Znalezienie od-powiedniej trzydziestkidwójki u podejrzanego mogłoby stanowić po-szlakę wskazującą na to, że jest Zegarmistrzem, lecz Cooper nie mógł tak po

prostu zadzwonić do okolicznych sklepów z bronią i sporządzić krótkiej listy nabywców, którzy ostatnio kupili taką amunicję. Ponieważ w pudełku brakowało siedmiu kul, Rhyme przypuszczał, że może chodzić o pistolet Autauga Mkll, którego magazynek mieścił siedem pocisków, ale amunicja pasowała też do beretty toni-cat, north american guardiana i LWS-32. Możliwe, że morderca niaa którykolwiek z tych pistoletów - jeżeli w ogóle był uzbrojony. Rhyfl16 zauważył, że pociski nie dowodzą, ale jedynie sugerują, iż podejrz

ny ma broń.

Pocisk ważył 71 granów, gdyby więc wystrzelono go z niewielki6-1 odległości, ofiara mogłaby doznać poważnych obrażeń.

\_ Na tablicę, nowy - zakomenderował Rhyme, dyktując Pułaskie-mu nową informację.

Książka znaleziona w fordzie nosiła tytuł „Ekstremalne techniki przesłuchań” i została wydana przez niewielką oficynę w Utah. Pa-pier, jakość druku oraz typografia - nie wspominając o stylu - były trzeciorzędne.

Anonimowy autor, przedstawiający się jako były żołnierz sił specjalnych, opisał w niej techniki tortur, które doprowadzały do śmierci, jeśli ofiara się nie przyznała - topienie, duszenie, dławienie, trzymanie w lodowatej wodzie i tak dalej. Jedna z nich polegała na zawieszeniu ciężaru nad szyją przesłuchiwanego. Inna na podcięciu nadgarstków i wykrwawieniu ofiary.

Chryste - mruknął Dennis Baker, krzywiąc się. - Znalazł sobie podręcznik... Chce zabić dziesięć osób w taki sposób? To chore.

Mikroślady? - spytał Rhyme, bardziej przejmując się znaczeniem książki z punktu widzenia kryminalistyki niż konstrukcją psychologiczną jej nabywcy.

Trzymając książkę nad dużą płachtą czystego papieru, Cooper otworzył ją i omiółt każdą stronę po kolei, aby usunąć mikroślady. Ze środka nie wypadło zupełnie nic.

Oczywiście nie znalazł też odcisków palców.

Cooper ustalił, że książki nie ma w ofercie największych księgarń internetowych ani sieci sprzedaży detalicznej - wszystkie odmawiały jej dystrybucji. Była jednak łatwo dostępna w witrynach aukcyjnych oraz wielu prawicowych organizacjach paramilitarnych, które sprzedawały wszystko, czego potrzeba do walki z plagą wszelkich mniejszości, od obcokrajowców po rząd federalny. (W ostatnich latach Rhyme był konsultantem w licznych śledztwach dotyczących zagrożeń terro-rystycznych; wiele tropów prowadziło do al Kaidy i innych islamskich grup fundamentalistycznych, ale równie wiele do rodzimych terrory-stów -

w jego przekonaniu zbyt często lekceważonych przez władze tego kraju).

Kiedy zadzwonili do wydawcy, ten nie wykazał chęci współpracy, co nie zdziwiło Rhyme'a.

Kryminalistyk usłyszał, że firma nie prowadzi bezpośrednio sprzedaży książki, a jeżeli Rhyme chce się dowiedzieć, jakie księgarnie kupują ją w dużych ilościach, powinien Przedstawić nakaz sądowy. Uzyskanie dokumentu mogłoby potrwać wiele tygodni.

-

Czy pan nie rozumie - warknął do mikrofonu Dennis Baker - że toś wykorzystuje ją jako instrukcję do torturowania i mordowania ludzi?

~ Cóż, właśnie temu służy - oznajmił szef wydawnictwa, po czym odłożył słuchawkę.

-

Niech to szlag.

Kontynuując przegląd dowodów, stwierdzili, że żwir, liście i po-l0\* jakie Pułaski zebrał z osłony

chłodnicy, bieżnika opon i bocznych lusterek, nie mają żadnych cech charakterystycznych. W próbkach z tylnej części samochodu znaleźli ślady piasku - takiego samego jak środek maskujący użyty przez sprawcę na uliczce przy Cedar Street.

Okruszki pochodziły z chrupków kukurydzianych i ziemniaczanych, precli i batonów czekoladowych. Wśród śladów zidentyfikowali także kawałki krakersów z masłem orzechowym oraz plamy po napojach gazowanych - słodzonych cukrem, niedietetycznych.

Naturalnie żaden z tych szczegółów nie mógł ich doprowadzić do sprawcy, ale każdy mógłby stanowić kolejne ogniwo łączące podejrzanego z explorerem.

Krótkie włókna bawełniane - w cielistym kolorze - tak jak przypuszczał Pułaski, rzeczywiście mogły pochodzić ze zwykłych rękawiczek roboczych, jakich tysiące sprzedawano w drogeriach, sklepach ogrodniczych i spożywczych. Wszystko wskazywało na to, że podejrzani tuż po kradzieży samochodu pieczołowicie wytarli całe wnętrze i wkładali rękawiczki, ilekroć do niego wsiadali.

To było nowe odkrycie. I przypominało im o perfekcjonizmie Zegarmistrza.

Włos z zagłówka miał dwadzieścia dwa centymetry długości i był czarny z drobnymi śladami siwizny. Włosy to dobry dowód, ponieważ zawsze wypadają albo zostają wyrwane podczas szamotaniny. Na ogół jednak pozwalają tylko na wstępną klasyfikację, co oznacza, że włos znaleziony na miejscu zdarzenia stanowi tylko poszlakę przeciwko podejrzanemu, który ma włosy o podobnej długości, o podobnym kolorze i strukturze, farbowane lub pielęgnowane tym samym kosmetykiem. Włos nie może natomiast zostać zindywiduowany: nie sposób ustalić jednoznacznego związku z podejrzanym, jeżeli brakuje mieszka włosowego, na podstawie którego można określić profil DNA. Znaleziony przez Pułaskiego włos nie miał

mieszka.

Włos był za długi, by mógł należeć do Zegarmistrza - portret pa-mięciowy sporządzony u Hallersteina przedstawiał człowieka o włosach średniej długości. Możliwe, że pochodził z peruki - Zegarmistrz mógł działać w przebraniu - lecz Cooper nie znalazł na nim żadnych śladów kleju. Wspólnik sprawcy nosił czapkę, więc włos mógł być jego. Rhyme uznał

jednak, że prawdopodobnie pozostawił go ktoś inny - pasażer, który jechał fordem, zanim Zegarmistrz ukradł samochód. Oczywiście włosy długości dwudziestu centymetrów mógł

mieć mężczyzna albo kobieta, ale Rhyme stawiał raczej na kobietę - Siwizna wskazywała na średni wiek, a rzadko spotyka się włosy tej długości u mężczyzn w tym wieku - częściej noszą krótkie lub najwyżej do ramion.

- Któryś z nich mógł mieć dziewczynę albo współniczkę, chociaż to mało prawdopodobne... ale zapisz na tablicy - polecił Rhyme.

\_ Bo nigdy nie wiadomo - rzekł Pułaski, jak gdyby recytował za-słyszana mądrość.

Rhyme uniósł brew.

\_ Buty? - spytał.

Jedyny ślad, jaki znalazł Pułaski, pozostawiły buty numer trzydzieści o gładkiej podeszwie.

Odcisk był obok kałuży wody, w którą właściciel butów wszedł chwilę wcześniej; w kierunku wyjścia z garażu prowadziło sześć zanikających śladów. Pułaski był niemal pewien, że należą do Zegarmistrza albo jego współnika, ponieważ była to jedyna logiczna droga z explorera do najbliższego wyjścia. Zwrócił też uwagę, że ślady były w dużej odległości od siebie i nie wszędzie odcisnął się obcas.

- Czyli

biegł - powiedział Pułaski. - Tego nie było w pana książce. Ale na to wychodzi.

Trudno nie lubić tego chłopaka, pomyślał Rhyme.

Ślad przyniósł jednak niewiele przydatnych informacji. Nie można było określić marki obuwia, bo skóra była pozbawiona charakterystycznego protektora. Nie znaleźli też specyficznego zderzenia podszwy, które mogłoby mieć związek ze schorzeniami ortopedycznymi.

Przynajmniej wiemy, że ma duże stopy - zauważył Pułaski.

Nie słyszałem o żadnym przepisie, który zabraniałby komuś z numerem osiem nosić obuwia numer trzystaście - mruknął Rhyme.

Nowy przytaknął zmieszany.

Człowiek uczy się przez całe życie, pomyślał kryminalistyk. Spojrzał na dowody.

To wszystko?

Pułaski skinął głową.

Starłem się niczego nie przeoczyć.

Nieźle sobie poradziłeś - odburknął Rhyme.

Ale bez zbytniego entuzjazmu. Zastanawiał się, czy efekty byłyby inne, gdyby po siatce przeszła Sachs. Miał nieodparte wrażenie, że tak.

Rhyme odwrócił się do Sellitta.

-

Co z tymi aktami Luponte?

-

Na razie nic. Gdybyś więcej wiedział, łatwiej byłoby mi je znaleźć.

- Gdybym

wiedział więcej, sam bym je znalazł.

Nowy patrzył na tablice z dowodami.

-

Z tego... z tego wszystkiego wynika, że prawie nic o nim nie wiemy.

Niezupełnie, pomyślał Rhyme. Wiemy, że cholerny z niego spryciarz.

ZEGARMISTRZ

MIEJSCE ZDARZENIA NR 1

Lokalizacja:

•

Pirs na przystani remontowej nad

Hudsonem, 22 Ulica.

Ofiara:

Tożsamość nieznana.

Mężczyzna.

Prawdopodobnie w średnim wieku

lub starszy, mógł cierpieć

na chorobę wieńcową (obecność środka przeciwkrzepliwego we krwi).

Brak śladów innych leków,

infekcji czy schorzenia.

Nurkowie straży przybrzeżnej i ESU



szukają ciała i dowodów w Zatoce Nowojorskiej.

Sprawdzanie zgłoszeń o zaginionych.

Sprawca:

- Patrz niżej.

Modus operandi:

Sprawca zmusił ofiarę, żeby ztapata się pomostu i zawisła nad wodą, podciął jej nadgarstki lub palce i ofiara wpadła do rzeki.

Godzina napaści: między 18 w poniedziałek a 6 we wtorek.

Dowody:

Krew grupy AB Rh+.

Oderwany paznokieć, nielakierowany, szeroki.

Fragment siatkowego ogrodzenia przeciętego zwykłymi nożycami do drutu, nie do zidentyfikowania.

Zegar. Patrz niżej.

Wiersz. Patrz niżej.

Ślady paznokci na pomoście.

Brak dostrzegalnych śladów, brak odcisków palców, brak śladów butów i kół samochodu.

**MIEJSCE ZDARZENIA NR 2**

Lokalizacja:

- 

Uliczka przy Cedar Street, niedaleko Broadwayu, za trzema budynkami handlowymi

(tylne wyjścia zamykane między 20:30 a 22) i jednym budynkiem administracyjnym (tylne wyjście zamykane o 18).

- Uliczka

jest

ślepa. Szerokość

cztery i pół metra, długość

trzydzieści dwa metry,

wybrukowana, ciało znaleziono

pięć metrów od Cedar Street.

Ofiara:

Theodore Adams.

Mieszkał w Battery Park.

Copywriter, wolny strzelec.

Brak informacji o wrogach.

Brak nakazów, stanowych  
i federalnych.

Nie ustalono żadnych  
związków z osobami pracującymi  
w budynkach wokół uliczki.

Sprawca:

Zegarmistrz.

Mężczyzna.

W bazach danych brak  
informacji o Zegarmistrzu.

Modus operandi:

- Ofiara

wywleczona

z samochodu na uliczkę, gdzie zawieszono nad nią żelazną sztabę. Sztaba zmiażdżyła jej szyję.

Oczekiwanie na raport koronera  
w celu potwierdzenia przyczyny  
śmierci.

Brak dowodów czynności  
seksualnych.

Godzina zgonu:

między 22:15 a 23

w poniedziałek.

Czas potwierdzi koroner.

powody: . Zegar. . Brak materiałów wybuchowych,  
środków chemicznych  
i biologicznych.

Identyczny z zegarem na piersi.

Brak odcisków palców,  
minimalna ilość mikrośladow.

. Arnold Products, Framingham, Massachusetts.

- 

Kupiony w sklepie

„Zegary Hallersteina”

na Manhattanie.

. Wiersz pozostawiony przez sprawcę w obu miejscach.

Drukarka komputerowa, zwykły  
papier, toner HP LaserJet.

Tekst:

Zimny Księżyc stoi w pełni, w jego blasku ziemi trup. Czas wędrówki się dopełnił, drogi kres  
wyznacza grób

Zegarmistrz

Brak w bazach danych poezji;  
prawdopodobnie autorstwa  
sprawcy.

Zimny Księżyc to nazwa  
miesiąca księżycowego,  
miesiąc śmierci.

60 dolarów w kieszeni,  
brak tropów dot. numerów  
seryjnych; brak odcisków palców  
w bazach danych.

Drobny piasek użyty jako  
„środek maskujący”, zwykły.  
Zamierza wrócić na miejsce zbrodni?

Metalowa sztaba, 37 kg, płaski  
tętniak oczkowy. Nieużywany  
ia budowie naprzeciwko uliczki.

Nie ustalono innych źródeł  
Pochodzenia.

' Taśma izolacyjna, zwykła, precyzyjnie pocięta na odcinki "Antycznej długości  
< - niespotykane.

' W Piasku ślady siarczanu  
t taju (trutki na szczury).

' Ziemia z rybem białkiem ~ Pochodząca od sprawcy, nie ofiary.  
Znikoma ilość mikrośladów.

Brązowe włókna,  
prawdopodobnie z wykładziny  
samochodowej.

Inne:

- Samochód.

Ford explorer, prawdopodobnie  
trzyletni. Brązowa wykładzina.

Po sprawdzeniu numerów  
rejestracyjnych samochodów  
zaparkowanych w okolicy  
we wtorek rano nie ujawniono  
żadnych nakazów.

W poniedziałek wieczorem  
nie wypisano żadnych mandatów.

-

Konsultacja z obyczajówką  
w sprawie prostytutki, w związku z zeznaniem świadka.

- Brak tropów.

## PRZESŁUCHANIE HALLERSTEINA

Sprawca:

Portret pamięciowy Zegarmistrza  
- około pięćdziesięciu lat, okrągła twarz, podwójny podbródek, szeroki nos, niezwykle jasne niebieskie oczy. Ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, szczupły, włosy czarne, średniej długości, brak biżuterii, ciemne ubranie.

Nazwisko nieznane.

Duża znajomość

zegarmistrzostwa; wiedział, jakie zegary sprzedano niedawno na aukcjach i jakie są obecnie wystawiane w mieście.

Groźbą zmusił sprzedawcę do milczenia.

Kupił dziesięć zegarów.

Dla dziesięciu ofiar?

Zapłacił gotówką.

Chciał, żeby zegar pokazywał fazy księżyca i głośno tykał.

Dowody:

- Zegary pochodziły ze sklepu „Zegary Hallersteina” w okolicy Flatiron.

- 

Brak odcisków palców

na gotówce, którą zapłacono za zegary, numery seryjne nienotowane. Brak mikrośladów na banknotach.

- 

Dzwonił z automatów telefonicznych.

## MIEJSCE ZDARZENIA NR 3

Lokalizacja:

Spring Street 481.

Ofiara:

Joannę Harper.

Brak widocznego motywu.

Nie znata drugiej ofiary, Adamsa.

Sprawca:

Zegarmistrz.

Wspólnik.

- Prawdopodobnie

mężczyzna

zauważony wcześniej

przez ofiarę pod jej pracownią.

- Białe,

krępy, w ciemnych

okularach, kremowej parce

i czapce. Prowadzi) samochód.

Modus operandi:

Otworzy! zamki wytrychem.

Planowana metoda ataku

nieznana. Prawdopodobnie

zamierza! użyć drutu florystycznego

należącego do ofiary.

Dowody:

- Białko rybie pochodziło

z pracowni Joannę (nawóz do orchidei).

W pobliżu znaleziono siarczan talu.

Drut florystyczny pocięty

na odcinki jednakowej długości (narzędzie morderstwa?).

- Zegar.

Taki sam jak dwa poprzednie.

Brak azotanów.

Brak mikrośladów.

Brak wiadomości i wiersza.

Brak śladów stóp i odcisków

palców; nie pozostawiono broni ani

niczego innego.

- Czarne

płatki - smolą dachowa.

- Prośba o termogramy Nowego Jorku z ASTER-a w celu odnalezienia potencjalnych źródeł pochodzenia.

Inne:

- Sprawca

śledził ofiarę przed

atakami. Miał powód, żeby wziąć ją

na cel. Jaki?

Miał skaner policyjny. Zmiana

częstotliwości.

Samochód.

Beżowy.

Numery rejestracyjne nieznane.

Komunikat o poszukiwaniu  
pojazdu.

423 zarejestrowanych

właścicieli beżowych fordów

explorerów. Porównanie listy

z kartotekami przestępców.

Znaleziono dwóch mężczyzn.

Jeden dużo starszy

od podejrzanego; drugi w więzieniu za handel narkotykami.

• Właścicielem jest mężczyzna w więzieniu.

FORD EXPLORER ZEGARMISTRZA

Lokalizacja:

•

Znaleziony w garażu przy

Hudsonie, na Houston Street.

Dowody:

• Właścicielem explorera jest  
mężczyzna przebywający  
w więzieniu. Samochód został  
skonfiskowany i skradziony  
z parkingu, gdzie czeka! na aukcję.

Zaparkowany w pustym  
miejscu. Daleko od wyjścia.

Okruchy chrupek kukurydzianych  
i ziemniaczanych, precli,  
batonów czekoladowych.

Kawałki krakersów z mastem  
orzechowym. Plamy po napojach  
gazowanych, zwykłych,  
niedietetycznych.

. pudełko amunicji pistoletowej

Remington kaliber .32,

brak siedmiu pocisków. Możliwe,

że broń to autauga mk II. . Książka - „Ekstremalne  
techniki przesłuchań”.

podręcznik z instrukcjami

morderstw? Brak istotnych

informacji od wydawcy.

Czarnosiwy wtos, prawdopodobnie kobiety. W całym samochodzie żadnych odcisków palców.

Piasek taki sam jak na uliczce. Odcisk buta numer trzynaście, z gładką podeszwą.

Rozdział 20

P

otrzebuję akt sprawy. - Taa. - Kobieta żuła gumę. Bardzo głośno. Trach.

Amelia Sachs była w pomieszczeniu z kartotekami na posterunku numer 158 na dolnym Manhattanie, niedaleko Sto Osiemnastego. Podała numer akt Sarkowskiego dyżurnej siedzącej za szarym biurkiem. Kobieta zaczęła bębnić staccato na klawiaturze komputera.

Zerknęła na ekran.

Nie mamy.

Na pewno?

:

Nie mamy.

Hm. - Sachs parsknęła krótkim śmiechem. - W takim razie dokąd wywędrowały?

Wywędrowały?

Trafiły tu dwudziestego ósmego albo dwudziestego dziewiątego listopada ze Sto Trzydziestego Pierwszego. Chyba na prośbę kogoś stąd.

Trach.

Znaczy się, nie ma w ewidencji. Na pewno mają być u nas?

Nie na tysiąc procent, ale...

Tysiąc? - zdziwiła się kobieta, zując zawzięcie. Obok niej w zasięgu ręki leżała paczka papierosów, tak aby dyżurna mogła ją bty"

skawicznie porwać i zbiec na dół na przerwę.

Czy możliwy jest jakiś scenariusz, w którym akta nie zostały za' pisane w ewidencji?

Scenariusz?

Wszystkie akta trafiają do ewidencji?

Jeżeli prosił konkretny detektyw, to idą prosto do biura i wtedy on je wpisuje. Wszystkie się ewidencjonuje. Taki jest przepis.

A jeżeli na prośbie nie było nazwiska odbiorcy?

Wtedy idą tu. - Wskazała duży kosz opatrzonej kartką z napisem\*

„Sprawy w toku”. - I ten, kto prosił o akta, przychodzi i bierze. r°  
tem wpisuje do ewidencji. Wszystko musi być w ewidencji.

Ale tych nie było.

Muszą być. Bo skąd byśmy wiedzieli, gdzie są? - Wskazała drugą karteczkę „Do ewidencji”.

Sachs zaczęła buszować w koszu.

- Znaczy

się, nie może pani tego robić.

\_ Mam kłopot, nie rozumie pani?

Kobieta wlepiła w nią zdumione spojrzenie, strzelając gumą.

Akta trafiły na posterunek. Nie może pani ich znaleźć. Co mam zrobić?

Złożyć wniosek. Ktoś ich poszuka.

Naprawdę? Nie jestem pewna, czy ktoś zechciałby tym sobie zawracać głowę. - Sachs spojrzała w stronę regałów z aktami. - Zajrzę tam, jeżeli wolno.

Naprawdę nie można.

Tylko parę minut.

Mówię, że nie wol...

Sachs minęła ją i zaczęła szperać w zawartości półek. Dyżurna mruknęła coś, czego detektyw nie usłyszała.

Akta były ułożone według numerów i oznaczone różnymi kolorami, w zależności, czy sprawa była otwarta, zamknięta, czy czekała na roz-poczęcie procesu. Teczki z aktami poważnych przestępstw kryminal-nych miały czerwoną obwódkę. Sachs odnalazła ostatnie sprawy i sprawdzając wszystkie teczki po kolei, przekonała się, że - jakżeby inaczej - akt Sarkowskiego wśród nich nie było.

Przerwała poszukiwania i opierając dłonie na biodrach, spojrze-ła na pozostałe półki.

-

Witam - odezwał się męski głos.

Odwróciwszy się, zobaczyła wysokiego, siwowłosego mężczyznę w białej koszuli i granatowych spodniach. Miał posturę żołnierza 1 Przyglądał się jej z uśmiechem.

-Pani...?

Detektyw Sachs.

Jestem podinspektor Jefferies. - Komendanci posterunków na

ogół mieli stopień podinspektora. Sachs słyszała już nazwisko, ale nie znała szefa Sto Pięćdziesiątego Ósmego. Musiał być sumiennym Pracownikiem, skoro o tak późnej porze był jeszcze w komisariacie.

Co mogę dla pani zrobić, detektywie?

- Trafiły tu akta pewnej sprawy ze Sto Trzydziestego Pierwszego, rzed mniej więcej dwoma tygodniami. Są mi potrzebne w związku 2e śledztwem.

Podinspektor zerknął na dyżurną, która przed chwilą wsypała Przed nim Sachs. Kobieta stała w korytarzu. ~ Mówiłam jej, że ich nie mamy, inspektorze. "~ Jest pani pewna, że przesłano je do nas?

-

Tak wynika z danych w komisariacie, który je przekazał - od-rła Sachs.

-

Wprowadzono do ewidencji? - zwrócił się do dyżurnej Jeffe.

ries.

-Nie.

Może więc są w koszyku ze sprawami w toku?

Nie ma.

-

Zapraszam do siebie, detektywie. Zobaczę, co da się zrobić.

Sachs nawet nie rzuciła okiem na dyżurną, nie chcąc jej dawać powodów do satysfakcji.

Ruszyli przez nijakie, kręte korytarze, nie odzywając się ani słowem. Zmagając się z artretycznym bólem w kolanach, Sachs usiłowała dotrzymać kroku zwawo maszerującemu podinspektorowi.

Jefferies wszedł do narożnego gabinetu, ruchem głowy wskazał jej krzesło naprzeciw biurka i zamknął drzwi opatrzone dużą mo-sięzną tabliczką „Halston P. Jefferies”.

Sachs usiadła.



Nagle podinspektor pochylił się, zbliżając twarz do jej twarzy. Rąbnął pięściami w blat biurka.

-

Co ty sobie, kurwa, wyobrażasz?

Sachs cofnęła się, kiedy owionął ją jego gorący czosnkowy od-dech.

- Chciałam tylko... O co chodzi? - Ugryzła się w język, omal nie dodając „inspektorze”.

Skąd jesteś?

Jak to skąd?

Pytam, z jakiego jesteś posterunku, smarkulo?

Sachs przez chwilę nie mogła wykrztusić słowa, wstrząśnięta atakiem furii komendanta posterunku.

Formalnie rzecz biorąc, pracuję w wydziale kryminalnym...

Formalnie? Co to ma znaczyć, do cholery? Z kim pracujesz?

Jestem detektywem prowadzącym tę sprawę. Pod nadzorem Łona Sellitta. Z kryminalnego.

Sprawa...

Jesteś detektywem...

Chciałam...

Nigdy nie przerywaj przełożonemu. Nigdy. Zrozumiano?

Sachs zamilkła obruszona.

Zrozumiano? - wrzasnął.

Całkowicie.

Jesteś detektywem od niedawna, prawda?

-Tak.

- To

widać, bo prawdziwy detektyw postąpiłby zgodnie z protokołem. Zgłosiłby się do inspektora, przedstawił się i spytał, czy ifl<sup>o</sup>”

że przejrzeć akta. A to, co zrobiłaś... Chciałaś mi znowu przerwać Rzeczywiście chciała. Odparła jednak: -Nie.

-

A to, co zrobiłaś, osobiście mnie obraziło. - Nad biurkiem Vrze leciała kropelka śliny jak pocisk mózdzierzowy.

Jefferies umilkł. Czy można się teraz odezwać, czy to też zostanie uznane za przerywanie?

Nic jej to nie obchodziło.

\_ Nie miałam zamiaru pana obrażać. Prowadzę dochodzenie. Po-trzebowałam akt, które okazały się zaginione.

\_ „Okazały się zaginione”. Co to ma znaczyć? Albo coś się okazy-je, albo ginie. Jeżeli prowadzisz śledztwa tak samo niechlujnie, jak się wyrażasz, to zaczynam się zastanawiać, czy sama nie zgubiłaś tych akt i próbujesz chronić tyłek, zrzucając winę na nas.

- Akta

wypożyczono ze Sto Trzydziestego Pierwszego i przesłano tutaj.

\_ Na czyją prośbę? - warknął.

W tym właśnie kłopot. Ta rubryka była pusta.

Wiadomo ci o jakichś innych wypożyczonych aktach, które do nas trafiły? - Usiadł na brzegu biurka i utkwiał w niej wzrok.

Sachs zmarszczyła brwi.

Trafiały do nas akta z innych miejsc? - ciągnął.

Nie wiem, o co panu chodzi.

Wiesz, co tu robię?

Słucham?

Na czym polega moja praca w Sto Pięćdziesiątym Ósmym?

Przypuszczam, że dowodzi pan komisariatem.

Przypuszczasz - powtórzył kpiąco. - Znałem policjantów, którzy ginęli na ulicy dlatego, że coś przypuszczali. Ginęli od kul.

Rozmowa stawała się męcząca. Sachs popatrzyła mu prosto w oczy, bez trudu wytrzymując jego spojrzenie. Jefferies prawie tego nie zauważał.

Poza tym, że jestem komendantem posterunku - jak błyskotliwie wydedukowałaś - przewodniczę też komisji przydziału kadr w całym departamencie. Przeglądam tysiące akt rocznie, ustalę, jakie są tendencje, i decyduję, jakich przesunięć trzeba dokonać, żeby praca przebiegała sprawniej. Mam wsparcie władz miasta i stanu, z którymi ściśle współpracuję. Zapewne uważasz to za stratę czasu, prawda?

Nie uwa...

Otóż nie jest to strata czasu, młoda damo. Przeglądam akta 1 oddaję... Jakież to dokumenty tak bardzo cię interesują?

Nagle postanowiła, że mu nie powie. Cała sytuacja była dziwaczka- Logicznie rzecz biorąc, jeżeli Jefferies miał coś do ukrycia, raczej nie zachowywałby się tak idiotycznie. Z drugiej strony możliwe, że urządził tę scenę, aby odwrócić od siebie podejrzenie. Sachs przypomniała sobie, że podała dyżurnej tylko numer akt, nie wymieniając nazwiska Sarkowskiego. Najprawdopodobniej roztrzepana koleśka nie zapamiętała takiego długiego ciągu cyfr.

~ Wolałabym nie mówić - odparła spokojnie Sachs.

Spojrzał na nią zdumiony.

-Wolałabyś...

-

Nie powiem panu.

Jefferies skinął głową. Wyglądało na to, że odzyskuje panowanie nad sobą. Ale po chwili nachylił się i znów grzmotnął pięścią w biurko.

Do cholery, musisz mi podać nazwę sprawy! Mów, ale już!

-Nie.

Dopilnuję, żebyś została zawieszona za niesubordynację.

Proszę robić, co pan uzna za stosowne, inspektorze.

Powiedz mi, co to za akta, i zrobisz to teraz.

Nie, nie powiem.

Zadzwoń do twojego przełożonego. - Zaczynał mu się łamać głos. Zabrzmiał w nim ton hysterii. Sachs zaczęła się obawiać, że Jefferies zaatakuje ją fizycznie.

Nic o tym nie wie.

Wszyscy jesteście tacy sami - syknął zjadliwie podinspektor.

- Wydaje się wam, że kiedy dostajecie złotą odznakę, wiecie już wszystko o policyjnej robocie. Jesteś tylko przemądrzałą gówniarą.

Przychodzisz na mój posterunek, oskarżasz mnie o kradzież akt...

O nic pana...

Niesubordynacja - obrażasz mnie, przerywasz mi. Nie masz pojęcia, co to znaczy być policjantem.

Sachs patrzyła na niego łagodnym wzrokiem. Była w bezpiecznym miejscu - swoim prywatnym schronie przeciwhuraganowym. Wiedziała, że ta konfrontacja może mieć katastrofalne skutki, ale w tym momencie Jefferies nic jej nie mógł zrobić.

Wychodzę.

Będiesz miała poważne kłopoty, młoda damo. Znam numer twojej odznaki. Pięć osiem osiem pięć. Myślisz, że nie zapamięta-

łem? Dopilnuję, żeby przenieśli cię do nakazów. Jak ci się podoba przerzucanie papierków przez cały dzień? Odechce ci się obrażać funkcjonariuszy na komisariatach!

Sachs wyminęła go, gwałtownym ruchem otworzyła drzwi i wypadła na korytarz. Dygotały jej ręce i miała przyspieszony oddech. Ścigał ją podniesiony głos, przechodzący we wrzask:

- Zapamiętam numer odznaki! Zadzwonię, do kogo trzeba. Jeżeli kiedykolwiek przyjdiesz na mój posterunek, gorzko tego pożałujesz-Słyszysz mnie, młoda damo?

Sierżant Lucy Richter zamknęła na klucz drzwi mieszkania w starym domu spółdzielczym w Greenwich Village i skierowała się do sypialni, gdzie zdjęła ciemnozielony mundur wojskowy, pe\*el1 równiutko naszytych galonów i baretek. Miała ochotę rzucić 8° n łóżko, ale oczywiście starannie powiesiła go w szafie, podobnie Ja bluzkę, chowając identyfikatory w kieszonce na piersi, gdzie z je trzymała. Następnie wyczyściła i wyglansowała buty, które ustawiła na półce w drzwiach szafy.

Wzięła szybki prysznic, po czym owinięta w stary różowy szla-frok usiadła na puszystym dywanie w sypialni, patrząc przez okno. Wodziła spojrzeniem po budynkach na Barrow Street, światłach przebłyskujących spomiędzy targanych wiatrem drzew i białej tar-czy księżycy zawieszanej nad dolnym Manhattanem. Znajomy, po-krzepiający widok. Siadywała przed tym oknem, będąc małą dziew-czynką.

Lucy, której przez pewien czas nie było w kraju, właśnie przyje-chała na urlop. Powoli mijały skutki długiej podróży samolotem i stan oszołomienia po maratonie snu, jaki sobie zafundowała. Mąż jeszcze nie wrócił z pracy i dobrze było siedzieć na dywanie, patrzeć przez okno i rozmyślać o odległej i nieodległej przeszłości.

No i oczywiście o przyszłości. O wiele bardziej dręczymy się go-dzinami, jakie nas czekają, niż tymi, które już minęły, przemknęło jej przez myśl.

Lucy wychowała się w tej kamienicy w najsympatyczniejszej z dzielnic Manhattanu.

Uwielbiała Greenwich Village. A kiedy ro-dzice przeprowadzili się na drugi koniec miasta, a na zimę zaczęli wyjeżdżać w cieplejsze strony, przekazali mieszkanie dwudziesto-dwuletniej córce. Pewnego wieczoru trzy lata później Lucy przyjęła oświadczyzny swojego chłopaka, stawiając jeden warunek: mieli tu zamieszkać. Oczywiście się zgodził.

Lubiła życie w dzielnicy, lubiła spotykać się z przyjaciółmi, pra-cować w firmach gastronomicznych i biurach (mimo że nie skończy-ła college'u, zawsze należała do najbystrzejszych i najpilniejszych pracowników). Podobała się jej kultura i dziwactwa miasta.

Lucy przesiadywała przed wychodzącym na południe oknem, wpatrując się w imponujący krajobraz tego imponującego miasta, myśląc f tym, co chciałyby zrobić ze swoim życiem, albo nie myśląc o ni-czym.

Ale potem nadszedł ten wrześnieowy dzień, gdy zobaczyła przez okno płomień, dym, a potem straszną pustkę.

Lucy wróciła do codzienności, z której bywała mniej lub bardziej zadowolona, i czekała, aż minie złość i ból. Nie minęły. Tak więc szczy-Pła dziewczyna, która zawsze była zwolenniczką Demokratów, lubiła "Kroniki Seinfelda" i sama piekła chleb z mąki ekologicznej, wyszła ze swojej kamienicy, wsiadła do metra na Broadwayu, pojechała na

\*Wies Square i zaciągnęła się do wojska.

wyjaśniła mężowi, że musiała to zrobić. Bob pocałował ją w czoło, "toco uścisnął i w ogóle nie próbował wyperswadować jej tego po-?ysłu. Z dwóch powodów. Po pierwsze, jako były żołnierz jednostki •t-AL uważał, że każdemu przyda się doświadczenie wojskowe. Po rugie, był przekonany, że Lucy ma nieomylny instynkt, dzięki które-mu zawsze postępuje tak jak należy.

P° podstawowym szkoleniu w kurzu Teksasu wysłano ją za ocean " Przez pewien czas towarzyszył jej Bob, który wziął urloo z firnw

dostawczej, jego szef okazał się bowiem patriotą - a mieszkanie w GreenwichVillage wynajęli na rok. Lucy nauczyła się niemieckie-go, poznała tajniki prowadzenia pojazdów wszelkiego typu i

dowie-działa się ważnej rzeczy o sobie: że ma wrodzony talent organizacyjny. ny.

Powierzono jej oddział logistyczny - ludzi, którzy dostarczali paliwo i inne niezbędne zapasy tam, gdzie były potrzebne.

Wojny wygrywają benzyna i ropa; puste baki przegrywają. Tak od stu lat brzmi podstawowa zasada sztuki wojennej.

Pewnego dnia przyszedł do niej porucznik, aby przekazać jej dwie informacje: że dostała awans na sierżanta oraz że wysyłają ją na kurs arabskiego.

Bob wrócił do Stanów, a Lucy załadowała swój dobytek na pokład C130 i odleciała do krainy gorzkiej mgły.

Uważaj, o co prosisz...

Lucy Richter wyjechała z Ameryki - ziemi o odmienionym krajobrazie - do świata bez krajobrazu. Zaczęła życie na bezkresnej pustyni, pod piekącym słońcem, wśród kilkunastu rodzajów piasku - od ostrego żwiru, który ranił skórę, po drobny pył przypominający talk i wciskający się w każdy centymetr kwadratowy wszystkiego. Jej praca zyskała nowe znaczenie. Jeżeli jakimś pojazdowi zabraknie paliwa w drodze między Berlinem a Kolonią, wystarczy zadzwonić po pomoc. Jeżeli stanie się to na polu walki, giną ludzie.

Lucy dbała, aby nigdy do tego nie dochodziło.

Długie godziny mijały na dyrygowaniu cysternami i pojazdami do transportu amunicji, choć czasem zdarzało się coś niezwykłego

- na

przykład raz musiała zabawić się w kowboj kę i zagnać na ciężarówkę owce, napędzając organizując ochotniczą akcję dostawy żywno-

ści do wioski, która od wielu tygodni czekała na zaopatrzenie.

Owce... śmiechu warte!

A teraz wróciła do kraju, gdzie linię horyzontu wyznaczały budynki, żywy inwentarz spotykało się tylko - już przetworzony

-

w delikatesach albo ladach mięsnych w Food Emporium, nie było piasku, palącego słońca... ani gorzkiej mgły.

Zupełnie inaczej niż za oceanem.

Lucy Richter nie odzyskała jednak spokoju. Dlatego właśnie Va' trzymała na południe, szukając odpowiedzi w Wielkiej Pustce odmienionego krajobrazu.

Tak czy nie...

Zadzwonił telefon. Lucy podskoczyła. Ostatnio często reagowała w ten sposób - na każdy nieoczekiwany odgłos. Dzwonek telefon11' trzaśnięcie drzwi, strzał w silniku.

Spokojnie... Podniosła słuchawkę.

-Halo?

- Cześć, dziewczyno. - Dzwoniła jej dobra przyjaciółka z i twa.

\_ Claire.

Co porabiasz?

-Marznę.

Hej, w jakiej strefie czasowej jesteś?

Bóg jeden raczy wiedzieć.

\_ Bob w domu?

Nie, jeszcze w pracy.

\_ To dobrze, chodźmy na sernik.

\_ Tylko sernik? - spytała znaczącym tonem Lucy.

\_ I Białego Rosjanina?

\_ Odpowiedź w granicach błędu. Zgoda.

Umówiły się w pobliskiej kawiarni i zakończyły rozmowę.

Rzucając ostatnie spojrzenie na puste ciemne niebo na połu-dniu, Lucy wstała, włożyła dres, kurtkę narciarską i czapkę, po czym wyszła z mieszkania. Z tupotem zbiegła po ciemnych schodach na parter.

Przystanąła zaskoczona widokiem jakiejś postaci.

Cześć, Lucy - powiedział mężczyzna przesiąknięty zapachem kamfory i papierosów. Gospodarz domu, który był już starym człowiekiem, gdy Lucy mieszkała tu z rodzicami, wynosił na ulicę powiązane w paczki gazety. Ważący dobrych dziesięć kilo więcej od niego i wyższy o piętnaście centymetrów Lucy wzięła od niego dwa pakunki.

Nie trzeba - zaprotestował.

Panie Giradello, muszę trzymać formę.

Formę? Jesteś silniejsza od mojego syna.

Na dworze poczuła na ustach i nosie szczypanie mrozu. Uwielbiała to uczucie.

Widziałem cię dzisiaj w mundurze. Dostałaś już ten medal?

Dopiero w czwartek. Dzisiaj była próba. Poza tym to nie jest medal, tylko wyróżnienie.

Co to za różnica?

Dobre pytanie. Właściwie nie wiem. Medal trzeba zdobyć.

A wyróżnienie dają zamiast podwyżki. - Rzuciła makulaturę na chodnik.

Rodzice są z ciebie dumni. - To było stwierdzenie, nie pytanie.

Chyba tak.

~ Pozdrów ich ode mnie.

~ Pozdrowię. Idę, panie Giradello, bo za chwilę zamarznię. Proszę nL» siebie uważać.

~ Dobrej nocy.

Lucy zaczęła maszerować przed siebie. Dostrzegła zaparkowanego ° drugiej stronie ulicy granatowego buicka. W samochodzie siedzia-dwóch mężczyzn. Ten na fotelu pasażera zerknął na nią, ale zaraz PUsił wzrok. Potem chciwie opróżnił puszkę z jakimś napojem. Lu-Pomyślała: kto pije zimne napoje w taką pogodę? Sama miała ochotę na kawę po irlandzku, gorącą, z podwójną porcją whiskey Bushmills. No i rzecz jasna z bitą śmietaną.

Spojrzała na chodnik, zatrzymała się raptownie i ruszyła w in. nym kierunku. Z rozbawieniem zauważyła, że oblodzony chodnik to chyba jedyne niebezpieczeństwo, na jakie nie była narażona w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy.

Rozdział 21

W

domu Lincolna Rhyme'a byli tylko Kathryn Dance i gospodarz. Oraz hawańczyk Jackson.

Pies siedział na kolanach Dance.

Było pyszne - powiedziała Kathryn do Thoma. Właśnie zjedli przygotowaną przez niego kolację, na którą składała się wołowina bourguignon, ryż, sałata oraz butelka caymus. - Poprosiłabym o

przepis, ale na pewno nie potrafiłabym tak tego przyrządzić.

Ach, pochwała publiczności - rzekł Thom, zerkając na Rhyme'a.

- Ja

też chwale. Ale nie przesadnie.

Thom wskazał talerz z potrawą.

-

Dla niego to po prostu „gulasz”. Nawet nie próbuje wymówić francuskiej nazwy. Powiedz, co myślisz o jedzeniu, Lincoln.

Kryminalistyk wzruszył ramionami.

Po prostu nie jestem wybredny, to wszystko.

Nazywa je „paliwem” - wyjaśnił asystent, odnosząc naczynia do kuchni.

Masz w domu psy? - spytał Rhyme, ruchem głowy wskazując Jacksona.

Dwa. O wiele większe od tego mikrusa. Parę razy w tygodniu zabieramy je z dziećmi na plażę.

Psy gonią mewy, a my gonimy psy.

Trochę ruchu dla każdego. Ale nie myśl, że prowadzimy taki zdrowy tryb życia. Potem idziemy na gofry do First Watch w Monterey i uzu-Pełniamy spalone kalorie.

Rhyme zerknął do kuchni, gdzie Thom zaczął zmywać. Ściszonym Stosem spytał Dance, czy jest gotowa wziąć udział w małym podstępie. Zmarszczyła brwi.

~ Nie pogniewałbym się, gdyby odrobina tego... - wskazał butelkę arej whisky Glenmorangie

- ...trafiła tu. - Podbródek skierował się stroną kubka. - Lepiej jednak zachować dyskrecję.

Thom?

Przytaknął.

Ma taki irytujący zwyczaj, że od czasu do czasu ustanawia pro-Kathryn Dance dobrze wiedziała, ile znaczą drobne przyjeitino ści. (Zgoda, może rzeczywiście w Tijuana przytyła ze trzy kilo; to był naprawdę długi tydzień). Postawiła psa na podłodze i nalała porzajj ną porcję trunku. Następnie włożyła kubek do uchwytu przy wózku umieszczając słomkę blisko ust Rhyme'a.

Dzięki. - Pociągnął duży łyk. - Bez względu na to, jaki rachunek wystawisz miastu, dam zgodę na podwójną stawkę. Poczęstuj się. Tobie Thom na pewno nie będzie suszył głowy.

Wystarczy mi kofeina. - Nalała sobie czarnej kawy i wzięła owsiane ciasteczko. Asystent Rhyme'a piekł je osobiście.

Dance zerknęła na zegarek. W Kalifornii jest o trzy godziny wcześniej.

Przeproszę cię na chwilę. Sprawdzę, co w domu.

Nie krępuj się.

Zadzwoiła ze swojej komórki. Telefon odebrała Maggie.

Cześć, kochanie.

Mamusia.

Dziewczynce usta się nie zamykały i Dance wysłuchiwała dziesięcio-minutowej relacji z wyprawy z babcią na świąteczne zakupy.

A potem wróciliśmy - powiedziała na koniec Maggie - i czytałam Harry'ego Pottera.

Nowego?

Mhm. »

Który raz?

i  
Szósty.

Nie miałabyś ochoty poczytać czegoś nowego? Poszerzyć sobie horyzontów?

-

Jeju, mamó - odparła Maggie. - A ty ile razy słuchałaś Boba Dylana? Tej płyty „Blonde on Blonde”, co nie? Albo U2?

Argument nie do odparcia.

Poddam się, kochanie, tylko nie mów „co nie”.

Mamó. Kiedy wracasz?

Prawdopodobnie jutro. Kocham cię. Daj brata do telefonu.

W rozmowie z Wesem pobrzmiewał poważniejszy ton i było więcej chwil ciszy. Syn wspominał jej kiedyś o lekcjach karate, a teraz spytał wprost, czy może się zapisać. Dance wolała jednak, aby wybrał mniej agresywny sport, jeżeli chciał uprawiać coś poza baseball-em czy piłką nożną. Uważała, że jego muskularne ciało jest stworzone do tenisa albo gimnastyki, ale te dyscypliny nie budziły w chłopcu większego entuzjazmu.

Jako specjalistka w dziedzinie przesłuchań Kathryn Dance wie' działa dużo o złości; widziała jej oznaki i u podejrzanych, i u ofiar przestępstw. Przypuszczała, że zainteresowanie sztukami walki rnie wywołać gniew, który towarzyszył Wesowi od śmierci ojca, gniew który nieraz dawał o sobie znać. Nie miała nic przeciwko współwodnictwu, lecz nie sądziła, by uprawianie brutalnego sportu w zło synowi na dobre, przynajmniej nie w tym okresie życia. Usankionowana wściekłość może być bardzo niebezpieczna, zwłaszcza u młodzieży.

przez chwilę rozmawiali o jego decyzji.

pracując z Rhyme'em i Sachs nad sprawą Zegarmistrza, Kathryn Dance zaczęła inaczej postrzegać czas. Uświadomiła sobie, ile prz znacza go na pracę - a ile na dzieci. Na przykład upływ czasu szybko gasi gniew (wybuchy złości rzadko trwają dłużej niż trzy minuty) i łagodzi opór wobec odmiennych opinii - na ogół lepiej niż zażarta kłótnia. Dance nie sprzeciwiła się otwarciu karate, ale uzyskała od syna obietnicę, że na próbę weźmie kilka lekcji tenisa. (Kiedyś przypadkiem usłyszała, jak mówił do kolegi: „Masz przechłapanie, jak twoja mama jest gliną”. Śmiała się serdecznie).

Nagle zmienił mu się nastrój i Wes zaczął wesoło opowiadać o filmie, jaki obejrzał na HBO.

Dance usłyszała dźwięk komórki - przyszedł SMS od kolegi. Pa, muszę kończyć, kocham cię, mamó, do zobaczenia.

Trzask.

Usłyszawszy króciutkie i spontaniczne „kocham cię”, wiedziała już, że warto było negocjować.

Rozłączyła się i spojrzała na Rhyme'a.

Masz dzieci?

Ja? Nie, nie sądzę, żeby to była moja mocna strona.

-

Nikt nie wie, czy to jego mocna strona, dopóki się nie pojawią.

Kryminalistyk patrzył na nieodłączne słuchawki iPod'a, które nosiła na szyi jak lekarz stetoskop.

Domyślam się, że lubisz muzykę... Sprytnie wydedukowałem?

To moje hobby - odparła Dance.

Naprawdę? Grasz?

Trochę śpiewam. Kiedyś folk. Ale teraz, kiedy mam wolne, pakuję dzieci i psy do wozu



kempingowego i jadę szukać piosenek.

Rhyme zmarszczył brwi.

Coś o tym słyszałem. To się nazywa...

Mówią o nas „poławiacze piosenek”.

Ach, tak.

Pasjonowała ją to zajęcie. Kathryn Dance kontynuowała długą tradycję folklorystów, którzy podróżowali do odległych miejsc, aby nagrywać dawną muzykę u jej źródeł. Chyba naj słynniejszym z nich był Alan Lomax, wędrujący po Stanach i Europie w poszukiwaniu starych piosenek. Dance od czasu do czasu jeździła na Wschodnie Wybrzeże, ale tam jej twórczość została bogato udokumentowana, więc od pewnego czasu penetrowała ubogie śródmieścia, Nową Szkocję, zachodnią Kanadę, bagniste południe i duże skupiska Latynosów, takie jak południowa ródkowa Kalifornia. Nagrywała i katalogowała piosenki.

Opowiedziała o tym Rhyme'owi, wspominając o założonej wspólnie z przyjacielem witrynie internetowej poświęconej muzykom,

piosenkami i samej muzyce. Pomagali uzyskać twórcom prawa autorskie i przekazywali im pieniądze wpłacane przez słuchaczy za ściągnięte z sieci utwory. Z kilkoma muzykami nawiązały kontakt wytwórnie płytowe, które postanowiły wykorzystać ich muzykę w ścieżkach dźwiękowych niezależnych filmów.

Kathryn Dance nie zdradziła jednak Rhyme'owi, że muzyka odgrywa w jej życiu jeszcze jedną ważną rolę.

Dance często czuła się przeciążona pracą. Jej zadanie wymagało ścisłego zespolenia się z przesłuchiwanym świadkiem lub przestępcą. Wielogodzinny, wielodniowy czy nawet wielotygodniowy pojedynek z siedzącym metr od niej psychopatycznym mordercą był emocjonującym, lecz zarazem wyczerpującym doświadczeniem. Dzięki swojej empatii i bliskości z przesłuchiwanymi Dance jeszcze długo po zakończonej sesji nie mogła się otrząsnąć. Czuła to co oni, a w jej myślach rozbrzmiewały echem ich głosy.

„Już dobrze, si, si, zabiłem ją. Podciąłem gardło... Jej synowi też. On widział, widział mnie, ja musiałem. Każdy by musiał zabić. Ale sobie zasłużyła, czego tak na mnie patrzyła? Nie moja wina. Mogę już dostać ten papieros?”

Muzyka okazała się cudownym lekiem. Kiedy Kathryn Dance słuchała Sonny'ego Terry'ego i Browniego McGhee albo U2, Dylana czy Davida Byrne'a, potrafiła zapomnieć o oburzeniu Carlosa Allena, który żalił się, że pierścienek zaręczynowy ofiary skaleczył go w dłoń, gdy podrzynał jej gardło.

„Bolało bardzo, mówię pani. Ta suka...”

- Występowałaś zawodowo? - zapytał Lincoln Rhyme.

Trochę występowała. Ale lata w Bostonie, a potem w Berkeley i North Beach w San Francisco pozostawiły w niej pustkę. Występ na scenie to intymne doznanie, lecz Kathryn Dance odkryła, że w istocie polega na osobistym związku z muzyką, nie ze słuchaczem. O wiele bardziej ciekawiło ją, co inni ludzie mają do powiedzenia - i zaśpiewania o sobie, swoim życiu i miłości. Uświadomiła sobie, że w muzyce, podobnie jak w pracy, woli rolę profesjonalnej publiczności.

Próbowałam - odrzekła. - Ale w końcu uznałam, że muzyka będzie tylko moją przyjaciółką.

I zostałaś gliną. Zmiana o sto osiemdziesiąt stopni.

Ciekawe, co?

Jak to się stało?

Dance wahała się przez chwilę. Chociaż zazwyczaj niechętni mówiła o sobie (najpierw słuchaj, dopiero potem mów), wyczuła w Rhyme pokrewną duszę. W pewnym sensie byli rywalami - minimalistka kontra kinezyka - jednak łączył ich wspólny upór uważała u niego tę samą determinację i upór co u siebie. I po zamyślenie do łowów.

Dlatego powiedziała:

\_ To był Jonny Ray Hanson... Jonny bez „h”.

\_ Sprawca?

Skinęła głową i opowiedziała całą historię. Sześć lat temu Dance została poproszona przez prokuratorów o konsultacje przy selekcji rzymskich w sprawie stan Kalifornia przeciw Hansonowi.

Hanson, trzydziestopięcioletni agent ubezpieczeniowy, mieszkał w okręgu Contra Costa na północ od Oakland, pół godziny drogi od domu swojej byłej żony, do której sąd zakazał mu się zbliżać. Pewnej nocy ktoś próbował się do niej włamać. Kobiety nie było w domu, a zastępcy szeryfa, regularnie patrolujący okolicę, zauważyli sprawcę i zaczęli go gonić, lecz udało mu się uciec.

- Zdawało się, że to nic poważnego... ale to nie było wszystko.

Szeryf się niepokoił, bo Hanson ciągle groził byłej żonie i dwa razy na nią napadł. Dlatego zgarnęli go, żeby z nim pogadać. Wszystkiemu zaprzeczył, więc go wypuścili. W końcu jednak uznali, że mają przeciw niemu poważne dowody, i został aresztowany.

Z powodu poprzednich zarzutów za włamanie mógł trafić za kratki na co najmniej pięć lat - i przestałby nękać byłą żonę i nastoletnią córkę.

- Spędziłam z nimi trochę czasu w prokuraturze. Bardzo im współczułam. Żyły w ciągłym strachu. Hanson przysyłał im puste kartki, nagrywał na sekretarce dziwne wiadomości. Stał przecnicę dalej od domu - na taką odległość wolno było mu się zbliżać - i po prostu się gapił. Zamawiał dla nich jedzenie. Nie robił nic nielegalnego, ale komunikat był jasny: zawsze będę was miał na oku.

Jadąc na zakupy, matka z córką musiały w przebraniu wymykać się chyłkiem z dzielnicy i jeździć do centrów handlowych odległych o piętnaście lub dwadzieścia kilometrów.

Dance wybrała dobrą jej zdaniem ławę przysięgłych, włączając do składu samotne kobiety i mężczyzn na stanowiskach (liberalnych, choć nie skrajnie liberalnych), którzy potrafili dobrze zrozumieć sytuację ofiar. Zgodnie ze swoim zwyczajem, Dance obserwowała przebieg procesu, udzielając rad oskarżeniu - i analizując trafność swojego wyboru.

- Uważnie przyglądałam się Hansonowi w sądzie i byłam przekonana, że jest winny.

~ Ale coś poszło nie tak? Dance przytaknęła.

- Nie

można było odnaleźć świadków albo ich zeznania nie trzy-aty się kupy, dowody ginęły albo były odrzucane przez sąd jako

^wiarygodne. Hanson miał kilka solidnych alibi, których oskarżenie nie potrafiło podważyć.

Obrona zbijała po kolei każdy argument jarzenia; wyglądało to tak, jak gdyby założyli pluskwy w prokura-2e- Hanson został uniewinniony.

, - Pech. - Rhyme spojrzał na nią uważnie. - Ale widzę, że to nie koniec historii?

-

Niestety. Dwa dni po procesie Hanson wytropił żonę i w podziemnym parkingu centrum handlowego i zakłuł je. Był z nimi chłopak córki. Hanson też go zabił. Uciekł i złapali go dopiero po

roku.

Dance pociągnęła łyk kawy.

Po morderstwach prokurator starał się ustalić, co źle poszło na procesie. Poprosił mnie, żebym przejrzała zapis wstępnego przesłuchania z biura szeryfa. - Zaśmiała się z goryczą. - Zaczęłam czytać i osłupiałam. Hanson poradził sobie fantastycznie - a zastępca szeryfa, który go przesłuchiwał, albo był zupełnie zielony, albo leniwy.

Hanson robił z nim, co chciał. Poznał tyle szczegółów, że mógł podważyć całe oskarżenie - wiedział, których świadków zastraszyć, jakich dowodów się pozbyć, jakie wykombinować alibi.

Domyślałam się, że zdobył też jeszcze jedną informację - rzekł

Rhyme, kręcąc głową.

O, tak. Zastępca szeryfa zapytał go, czy kiedykolwiek był w Mili Valley. A potem czy kiedykolwiek odwiedzał centra handlowe w okręgu Marin. Hanson już wiedział, gdzie robi zakupy jego była żona z córką. Koczował pod centrum handlowym w Mili Valley i czekał, aż się zjawią. Wtedy je zabił - a tam nie miały ochrony policji, bo były w innym okręgu.

Wieczorem wracałam drogą numer jeden - Pacific Coast High-way - zamiast sto pierwszą, tą szeroką autostradą. Zaczęłam się za-stanawiać. Każdy, kto potrzebuje konsultacji przy selekcji przysię-głych, płaci mi sto pięćdziesiąt doków za godzinę. Wszystko pięknie, nie ma w tym nic niemoralnego - tak działa system. Ale nie mogłam przestać myśleć o tym, że gdybym sama przeprowadziła przesłucha-nie, Hanson trafiłby do pudła, a troje ludzi ocaliłoby życie.

Dwa dni później wstąpiłam do akademii, a ciąg dalszy już wszy-scy znają. A jak to było z tobą?

Jak postanowiłem zostać gliną? - Wzruszył ramionami. - Na pewno nie w tak dramatycznych okolicznościach. Właściwie nic cie-kawego... po prostu mnie wciągnęło.

Naprawdę?

Rhyme parsknął śmiechem. Dance zmarszczyła brwi.

Nie wierzysz mi.

Przepraszam, zaczęłam cię analizować. Staram się tego nie ro-bić. Moja córka twierdzi, że czasem na nią patrzę jak na szczura do-świadczalnego.

Rhyme pociągnął whisky przez słomkę. -I co?

Co? - Pytająco uniosła brew.

Twardy ze mnie orzech dla specjalistów od kinezyki. Nic nJ

możesz we mnie wyczytać, prawda?

Roześmiała się.

\_ Och, wszystko mogę z ciebie wyczytać. Język ciała sam szuka środków wyrazu. Twoja twarz, oczy i głowa mówią mi tyle samo, co u innych całe ciało.

\_ Naprawdę?

\_ Tak to działa. Właściwie jest nawet łatwiej - informacje są bar-dziej skondensowane.

\_ Czyli jestem otwartą książką, hm?

\_ Nikt nie jest otwartą książką. Po prostu niektóre łatwiej się czyta niż inne.

\_ Pamiętam, co mówiłaś o fazach reakcji przesłuchiwanego. Złość, depresja, zaprzeczenie, targowanie się... Po wypadku ciągle przechodziłem jakieś terapie. Nie chciałem, ale kiedy człowiek leży na plecach, nic nie może poradzić. Psycholodzy opowiadali mi o fa-zach rozpachy. Są prawie takie same.

Kathryn Dance dobrze znała się na fazach rozpaczy. Ale to nie był temat na dziś.

- To

fascynujące, jak umysł radzi sobie z trudnościami - bez względu na to, czy to cierpienie fizyczne, czy stres emocjonalny.

Rhyme odwrócił wzrok.

- Często muszę tłumić złość.

Nie odrywając od niego zielonych oczu, Dance zaprzeczyła ru-chem głowy.

Och, wcale nie jesteś taki zły, jakiego udajesz.

Jestem kaleką - oświadczył ostrym tonem. - To jasne, że jestem zły.

A ja jestem gliniarzem kobietą. Czyli oboje mamy prawo od czasu do czasu się wkurzyć. I mnóstwo powodów, żeby być w depresji i zaprzeczać różnym rzeczom. Ale złość? Nie, na pewno nie w twoim wypadku. Jesteś już w kolejnej fazie. Akceptacji.

-Kiedy nie tropię morderców... - wskazał głową tablicę do-wodów - poddaję się fizykoterapii.

Thom twierdzi, że ćwiczę

0 wiele

więcej, niż trzeba. Do znudzenia. Trudno to nazwać akceptacją.

-

Akceptacja to co innego. Godzisz się ze swoim stanem i zaczy-nasz się bronić. Nie siedzisz cały dzień na tyłku. Och, przepraszam.

Chyba jednak siedzisz.

Nie zabrzmiało to jednak jak przeprosiny. Rhyme nie mógł po-strzysnąć wybuchu śmiechu, a Dance zauważyła, że tym żartem

1 °była u niego sporo punktów. Zdążyła się domyślić, że Rhyme nie arzy przesadnym szacunkiem poprawności politycznej.

0, ~ Akceptujesz rzeczywistość. Próbujesz ją zmienić, ale się nie amujesz. To trudne wyzwanie, ale nie reagujesz na nie złością. ~ Chyba się mylisz.

~ Aha, dwa razy mrugnąłeś. Oznaka reakcji stresowej. Nie wie-ysz w to, co mówisz. ~ Ciężko z tobą dyskutować. - Rhyme opróżnił kubek.

I

M<

-

Lincoln, znam twój wzorzec zachowania. Nie nabierzesz Ale bądź spokojny. Nie wydam twojej tajemnicy.

Otworzyły się drzwi. Do pokoju weszła Amelia Sachs. Zrzuciła kurtkę i przywitała się z Dance. Jej poza i oczy wyraźnie mówiły że coś ją gnębi. Podeszła do frontowego okna, wyjrzała i spuściła roletę

O co chodzi? - spytał Rhyme.

Właśnie dzwoniła do mnie sąsiadka. Powiedziała, że ktoś dzisiaj o mnie pytał. Przedstawił się jako Joey Treffano. Pracowałam z Joeyem w patrolu. Chciał wiedzieć, co robię, zadawał mnóstwo py.

tań, oglądał dom. Sąsiadce wydawało się to trochę dziwne, więc da-ła mi znać.

Myślisz, że ktoś podawał się za Joeya? To na pewno nie był on?

Na pewno. W zeszłym roku odszedł ze służby i przeprowadził się do Montany.

Może wpadł do kogoś z wizytą i chciał cię odwiedzić.

W takim razie musiałby być duchem. Wiosną zeszłego roku Jo-ey zginął w wypadku motocyklowym... Poza tym Ron i ja mieliśmy ogon. A dzisiaj ktoś mi grzebał w torebce. Zostawiłam ją w zamknię-

tym samochodzie. Ktoś się włamał.

Gdzie?

-

Na Spring Street, niedaleko pracowni kwiaciarskiej.

Kathryn Dance sięgnęła do jakiegoś mglistego wspomnienia, które uporczywie kołatało się jej w głowie. Po chwili sobie przypomniała.

-

Powinam wam o czymś powiedzieć... Być może to nic ważne-go, ale warto wspomnieć.

Mimo późnej pory Rhyme wezwał do siebie wszystkich. Sellitta, Coopera, Pułaskiego i Bakera.

Amelia Sachs przypatrywała im się uważnie.

- Mamy

kłopot, o którym chciałabym z wami porozmawiać

- oznajmiła. - Ktoś śledził mnie i Rona. Kathryn właśnie mi powiedziała, że chyba też kogoś zauważyła.

Agentka przytaknęła skinieniem głowy. Sachs zerknęła na Pułaskiego.

Podobno zdawało ci się, że widziałeś tego mercedesa. Zauważy-

łeś go jeszcze potem?

Nie. Od popołudnia już nie.

A ty, Mel? Widziałeś coś niezwykłego?

Nie sądzę. - Szczupły mężczyzna poprawił okulary. - Ale nig J

nie zwracam uwagi na takie rzeczy. Laboranci nie są przyzwyczaję\*1

do ogonów.

Sellitto powiedział, że być może kogoś widział, ale nie był Pe wien.

- Dennis, kiedy byłeś dzisiaj w Brooklynie - zwróciła się do p Zawahał się.

Ja? Nie byłem w Brooklynie.

Zmarszczyła brwi.

Przecież... nie byłeś?

Baker pokręcił głową.

-Nie.

Sachs spojrzała na Dance, która analizowała zachowanie Bakera. Agentka lekko skinęła głową.

Sachs odwróciła się do Bakera, kładąc dłoń na glocku.

Dennis, ręce na widoku.

Otworzył szeroko oczy.

-Co?

Chyba musimy pogadać.

Nikt z pozostałych - którzy zostali wcześniej wtajemniczeni w sprawę - nie zareagował, choć Pułaski trzymał rękę blisko kabury. Lon Sellitto stanął za plecami Bakera.

-

Hej, o co chodzi? - zaniepokoił się porucznik, spoglądając przez ramię na krępego detektywa. - Co jest grane?

-

Chcemy ci zadać kilka pytań, Dennis - rzekł Rhyme.

Informacja, jaką Kathryn Dance chciała się z nimi podzielić, nie miała nic wspólnego ze śledzącym ją pojazdem; Sachs powiedziała tym tylko po to, aby nie wzbudzać obaw Bakera. Dance zapamięta-

ła, że wspominając wcześniej o swoim pobycie przed pracownią kwiaciarską, Baker skrzyżował nogi, unikał kontaktu wzrokowego siedział w sposób sugerujący fałsz. Powiedział wtedy, że przyjechał prosto z miejsca zdarzenia i nie pamięta, czy Spring Street została już otwarta. Ponieważ nie miał żadnego powodu, aby kłamać, agentka uznała, że jej obserwacje są bez znaczenia.

Kiedy jednak Sachs powiedziała o włamaniu do swojego samo-chodu - w miejscu, gdzie był też Baker - Dance przypomniała sobie zachowanie porucznika, które mogło być oznaką kłamstwa. Sachs zadzwoniła do Nancy Simpson, także obecnej na Spring Street, i spytała ją, o której Baker odjechał.

-

Zaraz po tobie - odparła funkcjonariuszka.

Tymczasem Baker twierdził, że spędził tam jeszcze prawie godzinę. Simpson dodała, że jej zdaniem Baker pojechał do Brooklynu. Sachs zapytała go o to, aby się przekonać, czy Dance zauważyła sygnały fałszu.

- Włamałeś się do mojego samochodu i przeszukałeś torebkę

~ Powiedziała ostrym tonem. -1 wypytywałeś o mnie moją sąsiadkę U(\*ając gliniarza, z którym kiedyś pracowałam. Zaprzeczy? Gdyby Dance i Sachs się myliły, byłyby ugotowane. Ale Baker wbił wzrok w podłogę. ~ Słuchajcie, to wielkie nieporozumienie. ~ Rozmawiałeś z moją sąsiadką? - powtórzyła ze złością Sachs.

-Tat

Podeszła do niego. Byli prawie tego samego wzrostu, lecz kipiąc gniewem Sachs zdawała się nad nim górować.

- Jeździsz czarnym mercedesem?

Zmarszczył brwi.

- Z

policyjną pensją? - Odpowiedź zabrzmiała szczerze.

Rhyme zerknął na Coopera, który zajrzał do bazy danych wydziału komunikacji. Technik przecząco pokręcił głową.

-

To nie jego wóz.

A więc tu się pomylili. Na pewno jednak Baker miał coś na sumieniu.

-

Opowiesz nam, o co chodzi? - zapytał Rhyme.

Baker spojrział na Sachs.

Amelio, naprawdę chciałem, żebyś prowadziła tę sprawę. Ty i Lincoln to pierwszorzędny zespół. No i szczerze mówiąc, macie media po swojej stronie. Dlatego chciałem się przyłączyć. Ale kiedy

już przekonałem górne piętro, żeby was wzięli, okazało się, że jest problem.

Jaki? - spytała stanowczo.

Mam w teczce kartkę. - Dał znak Pułaskiemu, który stał najbliższej sfatygowanej aktówki. - Jest złożona. Na samej górze po prawej. Nowy otworzył teczkę i znalazł kartkę.

-

To e-mail - ciągnął Baker.

Sachs wzięła od Pułaskiego list i przeczytała, marszcząc brwi. Przez chwilę stała bez ruchu, po czym podeszła do Rhyme'a i położyła kartkę na szerokiej poręczy wózka. Kryminalistyk przeczytał krótką, poufną wiadomość od nadinspektora z nowojorskiej komendy głównej.

Informowano w niej, że przed kilkoma laty Sachs była związana z detektywem Nicholasem Carellim, który został skazany za kilka przestępstw, między innymi napady na samochody, przyjmowanie łapówek i napaść.

Sachs nie brała udziału w żadnym z tych czynów, ale niedawno Carelli wyszedł na wolność i dowództwo się niepokoiło, czy Sachs nie utrzymuje z nim kontaktów. Nie podejrzewali jej o nic nielegalnego, lecz gdyby widziano ją w jego towarzystwie, byłoby to, jak się wyrażono w e-mailu, „kłopotliwe”.

Sachs odchrząknęła, ale nie odezwała się ani słowem. Rhyme znał całą historię Nicka i Sachs - wiedział, że planowali małżeństwo, wiedział, jak byli sobie bliscy i jak Sachs była zdruzgotana wiadomością o jego potajnym życiu przestępcy.

Baker pokręcił głową.

Przykro mi. Nie wiedziałem, jak inaczej mógłbym to załatwić-

Miałem przedstawić pełny raport. Gdzie cię widziałem, co o tobi słyszałem i tak dalej. Co robisz w pracy i po pracy. Czy masz kontakty ty z Carellim albo kimś z jego znajomych. . .

To dlatego próbowałeś wycisnąć ze mnie informacje o m

- powiedział ze złością Rhyme. - Co za bzdura.

\_ Z całym szacunkiem, Lincoln, ale sam tu nadstawiam karku. Góra chciała ją wycofać.

Woleli, żeby z taką przeszłością nie prowadziła żadnej głośnej sprawy. Ale powiedziałem nie.

\_ Od lat nie widziałam się z Nickiem. Nie wiedziałam nawet, że już wyszedł.

\_ Właśnie to im powiem. - Znów wskazał aktówkę. - Mam tam wszystkie notatki. - Pułaski znalazł kilka kartek i podał Sachs, która przejrzała je, a potem rozłożyła przed Rhyme'em. W zapiskach były informacje, gdzie Baker widział Sachs i o co ją pytał, co znalazł w jej kalendarzyku i notesie z adresami, co mówili o niej ludzie.

Ale masz na koncie włamanie - zauważył Sellitto.

Fakt. To był faul. Przepraszam.

Cholera, dlaczego nie przyszedłeś z tym do mnie? - warknął

Rhyme.

Albo do kogoś z nas - dodał Sellitto.

Polecenie przyszło z góry. Miałem to zrobić dyskretnie. - Baker zwrócił się do Sachs. - Jesteś zdenerwowana. Przepraszam cię. Ale naprawdę chciałem, żebyś pracowała przy tej sprawie. Tylko taki sposób przyszedł mi do głowy. Przekazałem im swoje wnioski. Już po wszystkim. Proszę, możemy o tym zapomnieć i wziąć się do roboty?

Rhyme spojrział na Sachs i z przykrością zauważył jej reakcję: jej gniew już się ulotnił.

Wyglądała na zakłopotaną faktem, że stała się przedmiotem sporu niepotrzebnie zaprzatającego uwagę policji. Wi-dok przybitej i bezbronnej Amelii Sachs był czymś niecodziennym - i dlatego tak bolesnym.

Oddała Bakerowi kartkę z wydrukiem e-maila. Nie odzywając się do nikogo, złapała kurtkę i spokojnie wyszła z domu, wyciągając z kieszeni kluczyki do samochodu.

1

## Rozdział 22

Vincent Reynolds przyglądał się kobiecie w kawiarni - szczupłej, trzydziestoletniej brunetce ubranej w dres. Jej krótkie włosy by-ły zaczesane do tyłu i umocowane spinkami. Śledzili ją od mieszka-nia w starym domu w Greenwich Village do pobliskiego baru, a te-raz przyjechali za nią do kawiarni, kilka przecznic dalej. Świetnie się bawiła w towarzystwie dwudziestokilkuletniej blondynki, śmie-jąc się i gadając bez przerwy.

Lucy Richter cieszyła się ostatnimi chwilami spędzonymi na zie-mi.

Duncan słuchał muzyki klasycznej płynącej z odtwarzacza w bu-icku. Był jak zwykle zamyślony i spokojny. Czasami zupełnie nie można było odgadnąć, co mu chodziło po głowie.

Natomiast Vincent czuł głód skręcający mu kiszkę. Zjadł bato-nik, potem jeszcze jeden.

Pieprzyć ostateczne rozrachunki. Potrzebuję dziewczyny...

Duncan wyciągnął złoty zegarek kieszonkowy, spojrział na tarczę i delikatnie go nakręcił.

Vincent kilka razy już widział ten zegarek, jednak zawsze robił na nim wrażenie. Duncan powiedział mu, że to dzieło Bregueta, francuskiego zegarmistrza, który żył dawno temu („moim zdaniem żaden inny nigdy mu nie dorównał”).

Zegarek był całkiem prosty. Miał biały cyferblat z rzymskimi cy-frami oraz mniejsze tarcze pokazujące fazy księżyca i kalendarz. Był także wyposażony w „spadochron”, system przeciwwstrząsowy własnego pomysłu Bregueta.

Ile lat ma ten zegarek? - zapytał Vincent.

Został skonstruowany w dwunastym roku.

Dwunastym? Znaczy się w starożytnym Rzymie?

Duncan uśmiechnął się.

-

Nie, przepraszam. To data na oryginalnym dowodzie sprzedaż^

dlatego przyjąłem, że to rok produkcji. Mam na myśli dwunasty r°

we francuskim kalendarzu rewolucyjnym. Po upadku monarchii re publika ustanowiła nowy kalendarz, w którym liczono lata od ty

«iac siedemset dziewięćdziesiątego drugiego. To był osobliwy po-mysł- Tygodnie miały dziesięć dni, a każdy miesiąc trzydzieści. Co sześć lat przypadał rok przestępny poświęcony wyłącznie sportowi. Rząd z jakiegoś powodu uznał, że taki właśnie kalendarz będzie bar-dziej egalitarystyczny od tradycyjnego. Ale okazał się niepraktycz-ny Obowiązywał tylko czternaście lat. Idee rewolucyjne dobrze wy-glądają na papierze, ale zwykle nie sprawdzają się w rzeczywistości. Duncan z czułością przyglądał się złotemu krążkowi.

- Lubię zegarki z tamtej epoki. Wtedy symbolizowały władzę.

Niewielu ludzi mogło sobie na nie pozwolić. Właściciel zegarka panował nad czasem. Trzeba było przyjść do niego i zaczekać, aż nadejdzie wyznaczony przez niego czas spotkania. Wymyślono specjalne kieszonki i dewizki, żeby każdy widział, kto ma zegarek, nawet gdy właściciel trzymał go



w kieszeni. W tych czasach zegarmistrze byli bogami. - Duncan zamilkł na moment. - Oczywiście mówię w przenośni, chociaż w pewnym sensie to prawda.

Vincent pytająco uniósł brew.

-

W osiemnastym wieku rozwinął się prąd filozoficzny wykorzystujący zegarek jako metaforę. Jego przedstawiciele utrzymywali, że Bóg stworzył mechanizm wszechświata, potem nakręcił sprężynę i puścił go w ruch. Rodzaj wiecznego zegara. Boga nazywano „Wielkim Zegarmistrzem”. Można wierzyć lub nie, ale ta fi-lozofia miała wielu zwolenników. A zegarmistrze zyskali status bliski kapłanom.

Jeszcze raz zerknął na bregueta, po czym schował zegarek.

- Powinniśmy jechać - rzekł Duncan, wskazując kobiety. - Zaraz będą wychodzić.

Wrzucił bieg, włączył kierunkowskaz i wyjechał na ulicę, zostawiając ofiarę, którą niebawem jeden człowiek miał pozbawić życia, a drugi czci. Nie mogli jednak zaatakować dzisiaj, ponieważ Duncan dowiedział się, że jej mąż, który pracował o różnych porach, w każdej chwili może się zjawić w domu.

Vincent głęboko oddychał, próbując zapanować nad głodem. Aiadł paczkę chipsów.

-

Jak chcesz to zrobić? Jak ją zabijesz?

Duncan przez dłuższą chwilę milczał.

- Wcześniej zadałeś mi pewne pytanie. Jak długo umierały dwie Pierwsze ofiary.

Vincent skinął głową.

~ Lucy będzie umierała bardzo długo.

Choć stracili książkę o torturach, Duncan prawdopodobnie prawie całą znał na pamięć. Opisał metodę, jaką chciał zastosować, °rdując Lucy. Nazywano ją torturą wodną. Ofiarę zawieszano nana, z uniesionymi nogami. Zaklejano jej usta taśmą i wlewano °dę do nosa. Męczarnię można było dowolnie przedłużać, jeżeli od ^su do czasu pozwalano ofierze zaczerpnąć nieco Powietrza.

- Spróbuję utrzymać ją przy życiu przez pół godziny. Albo czterdzieści minut, jeżeli się uda.

- Zasłużyła na to, hm? - zapytał Vincent.

Duncan się zawahał.

Tak naprawdę chcesz spytać, dlaczego zabijam akurat tych ludzi.

No... - Miał rację.

Nigdy ci nie mówiłem.

Nie.

Zaufanie jest prawie tak cenne jak czas...

Duncan zerknął na Vincenta i wrócił spojrzeniem na drogę.

Widzisz, wszyscy przebywamy na ziemi przez pewien czas. Może ledwie parę dni lub miesięcy. Mamy nadzieję, że wiele lat.

Racja.

Jak gdyby Bóg - czy coś, w co wierzysz - miał długą listę wszystkich ludzi żyjących na ziemi. Kiedy wskazówki Jego zegara wskażą pewną godzinę, to koniec. Już po nich... A ja mam swoją listę.

Dziesięciu osób.

Dziesięciu osób... różnica polega na tym, że Bóg nie ma żadnego powodu, żeby ich zabijać. Ja mam.

Vincent milczał. W tej chwili nie był ani Mądrałą, ani Głodomo-rem. Był zwykłym Vincentem, który słuchał przyjaciela dzielącego się z nim ważną tajemnicą.

- Jestem

już na tyle spokojny, że mogę ci wyjawić ten powód.

I zaczął mówić.

Blask księżyca znaczył maskę samochodu białą smugą, odbijając się w jej oczach.

Amelia Sachs pędziła wzdłuż East River, ustawivszy na desce rozdzielczej migającego koguta.

Przygniatał ją ciężar wydarzeń z kilku ostatnich dni. Świado-mość, że z mordercami Benjamina Creeleya i Franka Sarkowskiego mogą mieć związek skorumpowani policjanci.

Ryzyko, że inspektor Flaherty może w każdej chwili odebrać jej sprawę. Akcja szpiegow-ska Bakera i wotum nieufności dowództwa z powodu Nicka. Atak złości podinspektora Jefferiesia.

A przede wszystkim okropna wiadomość o ojcu.

Mysłała: jaką można mieć nadzieję, pełniąc ofiarną służbę, PO' święcąc spokój ducha i narażając własne życie, jeśli policyjna ro-bota ostatecznie zabija w człowieku przyzwoitość?

Wrzuciła czwórkę, rozpędzając samochód do stu dwudziestu. Si nik zawył jak wilk o północy.

Nie było gliniarza lepszego niż ojciec, bardziej sumiennego, rz telnego. I proszę co mu się stało... uświadomiła sobie, że nie, nie ° że myśleć w ten sposób. Nic mu się nie stało. Sam podjął o wejściu na złą drogę.

pamiętała Hermana Sachsa jako spokojnego, dowcipnego czło-wieka, który lubił spędzać popołudnia z przyjaciółmi, oglądać wy-ścigi samochodowe, włóczyć się z córką po złomowiskach w okrę-gu Nassau w poszukiwaniu rzadkich gaźników, uszczerek czy rur wydechowych. Wiedziała już jednak, że to była tylko fasada skry-wająca mroczną postać, której w ogóle nie znała.

W duszy Amelii Sachs tkwił jakiś cień, który kazał jej wątpić, zadawać pytania i podejmować największe ryzyko. Często przez to cierpiała. Ale nagrodą była radość z ocalenia życia niewinnego czło-wieka albo złapania niebezpiecznego bandyty.

Ta siła poprowadziła ją w jedną stronę; widocznie jej ojca zapro-wadziła w przeciwną.

Chevroletem zarzuciło. Sachs bez trudu opanowała poślizg.

Minęła most Brooklyński i gwałtownie zjechała z autostrady. Po-konując kilkanaście zakrętów, ruszyła na południe.

Wreszcie znalazła molo, którego szukała. Wcisnęła pedał hamul-ca i zatrzymała camaro, zostawiając za sobą ślady długości trzech metrów. Wsiadła, zatraskując mocno drzwi.

Przecięła mały park, pokonała betonową barierę. Ignorując tablicę z ostrzeżeniem, wy-szła na molo, zderzając się z porywistym podmuchem wiatru.

Kurczę, ale zimno.

Przystanęła, łapiąc się niskiej drewnianej balustrady. Opadły ją wspomnienia.

Pewnego letniego dnia, gdy miała dziesięć lat, ojciec podsadził ją na pal - słupek do dziś tkwił w tym samym punkcie, w połowie dłu-gości mola - i mocno ją trzymał, by nie straciła równowagi. Nie bała się, bo chodzili razem na basen, gdzie nauczył ją pływać, a nawet gdyby wiatr zdmuchnął ich z mola do East River, ze śmiechem pod-płynęliby do drabinki i wspięli się z powrotem - a potem może sko-czyliby jeszcze raz z wysokości trzech metrów w ciepłą, mętną toń, trzymając się za ręce.

Gdy miała czternaście lat, popijając colę, słuchała ojca, który siedział z kubkiem kawy w dłoni i patrząc na wodę, mówił o Rose. „Twoja matka miewa swoje humory, Amie. To nie znaczy, że cię nie

kocha. Pamiętaj o tym. Po prostu taki już ma charakter. Ale jest z ciebie dumna. Wiesz, co mi niedawno powiedziała?".

A później, gdy była już policjantką, stali tu przy tym samym samochodzie, którym dziś jeździła (samochód był wówczas żółty, w najpiękniejszym dla sportowego auta kolorze). Sachs miała na sobie mundur, a Herman tweedową marynarkę i sztruksy.

~ Mam problem, Amie.

- Problem?

~ Ze zdrowiem.

Czekała, wbijając paznokiec w kciuk.

. ~ Jakiś mały rak. Nic poważnego. Będę się leczyć. - Opowiedział jej o wszystkim ze szczegółami - zawsze rozmawiał z córką szczerze

- a potem dziwnie spoważniał i pokręcił głową. - Ale jest większy problem.. właśnie zapłaciłem pięć dolarów za fryzjera, a teraz wszystkie mi wyjdą. - Przejechał palcami włosy. -

Szkoda pieniędzy

Po jej policzkach popłynęły łzy.

- Niech to szlag - mruknęła do siebie Sachs. - Przestań.

Lecz nie potrafiła. Łzy płynęły dalej, zmieniając się w lodowatą wilgoć szczypiącą w twarz.

Wróciła do samochodu, odpaliła potężny silnik i pojechała do Rhyme'a. Gdy weszła do domu, Lincoln spał już na górze.

Sachs zajrzała do pokoju ćwiczeń, gdzie Pułaski zostawił tablicę z informacjami na temat spraw Creeleya i Sarkowskiego. Nie mogła powstrzymać uśmiechu. Nie dość, że nowy ukrył

tablicę, to jeszcze pieczołowicie zasłonił ją prześcieradłem. Sachs zdjęła płótno, przeczytała notatki sporządzone starannym charakterem pisma, a po-tem dodała kilka własnych.

ZABÓJSTWO BENJAMINA CREELEYA

ZABÓJSTWO FRANKA SARKOWSKIEGO

Creeley, 56 lat, rzekome samobójstwo przez powieszenie. Sznur od bielizny. Miał ztamani kciuk, nie mógł sam zadzierzgnąć pętli.

Napisany na komputerze list pożegnalny informujący o depresji. Według świadków Creeley nie miał skłonności samobójczych; brak problemów psychicznych i emocjonalnych w przeszłości. W okolicach Święta Dziękczynienia do jego domu wtamato się dwóch mężczyzn; przypuszczalnie spalili dowody. Biali, ale twarzy nie widziano. Jeden wyższy. Spędzili w domu okolo godziny. Dowody w domu w Westchester:

Wyłamany zamek;

dzieta fachowca.

Ślady skórzanych rękawiczek na narzędziach kominkowych i biurku Creeleya.

•  
Ziemia znaleziona przed kominkiem ma większą zawartość kwasów

i zanieczyszczeń niż ziemia wokół domu. Z terenu przemysłowego?

W kominku ślady spalonej kokainy.

Popiół w kominku.

Dokumenty finansowe, arkusz kalkulacyjny, z wpisanymi milionowymi kwotami.

Sprawdzanie logo na dokumentach, bilans przesłany do biegłego księgowego.

Kalendarz: wpisy o wymianie oleju, wizycie u fryzjera i w „Tawernie St. James”.

- Analiza

popiołu z laboratorium

w Oueens:

Logo programu

komputerowego używanego w rachunkowości.

Biegły księgowy: zwykła lista płac zarządu.

Spalono z powodu zawartości czy żeby zmylić trop śledztwa?

- „Tawerna St. James”

Creeley bywał tam kilka razy.

Przypuszczalnie nie przyjmował tam narkotyków.

Nie wiadomo, z kim się spotyka'; być może z policjantami z posterunku nr 118.

- 

Podczas ostatniej wizyty w barze - dzień przed śmiercią - wdał się w kłótnię z niezidentyfikowanym osobami.

. Analiza pieniędzy w „St. James” pochodzących od funkcjonariuszy - numery seryjne czyste, ale znaleziono ślady koki i heroiny. Ukradzione z komisariatu? • W magazynie dowodów niewielki ubytek narkotyków, dwustu gramów trawki i stu gramów kokainy. . posterunek 118

prowadził zaskakująco mało śledztw w sprawach przestępczości zorganizowanej, ale brak dowodów celowego przeciągania dochodzeń.

- Możliwość udziału dwóch gangów z East Village, ale niskie prawdopodobieństwo. 1

Przesłuchanie Jordana Kesslera,

- Sarkowski

miął 57 lat,

nienotowany, zamordowany

4 listopada tego roku, pozostawił żonę i dwoje nastoletnich dzieci.

•

Ofiara była właścicielem budynku  
i firmy na Manhattanie.

Firma zajmowała się wywozem śmieci i świadczyła usługi Porządkowe dużym firmom t  
'Przedsiębiorstwom komunalnym, śledztwo prowadził detektyw Art Snyder. | Brak podejrzanych.

\* Morderstwo/napad rabunkowy? \* Zastrzelony po domniemanym napadzie rabunkowym.

Broń znaleziona na miejscu

darzenia - podróbka

smitha & wesson, .38 special

prak odcisków palców,

broń zimna. Detektyw'

Podejrzewa morderstwo

na zlecenie. lePowodzenie jakiegoś interesu?

wspólnika Creeleya, kolejne przesłuchanie żony.

Potwierdzono brak wyraźnych

znak zażywania narkotyków.

Brak informacji o kontaktach

z przestępcami.

Creeley pit więcej niż zwykle,

zaczął uprawiać hazard;

wyjazdy do Vegas i Atlantic City.

Wysokie przegrane, ale strata

mato znacząca dla Creeleya.

Niejasne przyczyny depresji.

Kessler nie rozpoznał spalonych

dokumentów.

Oczekiwanie na listę klientów.

Nie wydaje się, żeby Kessler

odniósł korzyść

ze śmierci Creeleya. • Sachs i Pułaski śledzeni przez mercedesa AMG.

• Morderstwo

popołniono w Queens

- nie wiadomo, po co tam był.

• Opuszczona

część dzielnicy,

niedaleko zbiorników z gazem

ziemnym.

•

Brak akt sprawy i dowodów.

• Akta

trafiły na posterunek 158

w okolicach 28 listopada.

Nie wróciły. Brak informacji  
o nazwisku funkcjonariusza, który prosił o akta.

Brak informacji, do kogo  
ze 158 trafiły akta.

Brak współpracy ze strony  
podinspektora Jefferiesa.

Brak informacji o związkach  
z Creeleyem.

Czyste konto w rejestrze karnym  
- Sarkowski i firma.

1 Plotki - pieniądze brali policjanci z posterunku 118. Płynęły do kogoś mającego związek z  
Marylandem. Udział mafii z Baltimore?

- Brak  
tropów.

Sachs wpatrywała się w tablicę przez pół godziny, dopóki głowa nie zaczęła jej ciążyć.

Wreszcie poszła na górę, rozebrała się i weszła pod prysznic, długo stała pod parzącym  
strumieniem wody. Potem włożyła koszulkę, jedwabne bokserki i weszła do sypialni.

Wsunęła się do łóżka obok Rhyme'a, kładąc głowę na jego piersi

- Wszystko w porządku? - wymamrotał sennie.

Nie odpowiedziała, tylko pocałowała go w policzek. Zatrzymała wzrok na zegarze obok łóżka,  
obserwując zmieniające się świetlne cyfry. Minuty miały bardzo powoli, jak gdyby każda była  
długim dniem. Wreszcie tuż przed trzecią rano Sachs zasnęła.

II

9.02, środa

Czas to ogień, w którym płoniemy.

DELMORE SCHWARTZ

Rozdział 23

L

incoln Rhyme nie spał już od ponad godziny. Młody funkcyjna-riusz straży przybrzeżnej  
przywiózł męską kurtkę numer 44, którą znaleziono w Zatoce Nowojorskiej. Kapitan łodzi  
patrolowej do-szedł do wniosku, że prawdopodobnie należała do zaginionej ofiary, ponieważ  
rękawy były zakrwawione, a mankiety rozcięte.

Kurtka miała metkę domu towarowego „Macy's", ale nie znaleźli w niej żadnych przedmiotów ani  
śladów, które mogłyby pomóc w ustaleniu tożsamości właściciela.

Rhyme był w sypialni z Thomem. Asystent właśnie skończył ruty-nowe czynności poranne -  
ćwiczenia fizykoterapeutyczne oraz, we-dług jego eufemistycznego określenia, „zabieg  
higieniczny" (Rhyme nazywał to „akcją głównomoczową", choć zwykle tylko w obecności  
wrażliwszych osób).

Na górze zjawiała się Amelia Sachs. Rzuciła kurtkę na krzesło, po-deszła do okna i rozsunała  
zasłony, spoglądając na Central Park.

Szczupły asystent natychmiast wyczuł, że coś wisi w powietrzu.

- Pójdę przygotować kawę. Albo grzanekę czy coś. - Zniknął, zamykając za sobą drzwi.

O co znowu chodzi?, pomyślał niezadowolony Rhyme. Ostatnio ł więcej niż dosyć problemów

osobistych. Sachs wciąż patrzyła na zalany ostrym światłem park.

Co to za ważna sprawa, że musiałaś tak wcześnie wyjść? - spyła ją.

Pojechałam do Argyle Security.

Rhyme w zdumieniu zamrugał oczami i uważnie przyjrzał się jej twarzy.

~ To oni dzwonili do ciebie po tym artykule w „Timesie”, kiedy odknęliśmy sprawę iluzjonisty?

-Tak.

. Argyle była międzynarodową agencją specjalizującą się w ochronie szefów dużych firm i negocjacjach z porywaczami pracowników ^ niektórych krajach bardzo często dochodziło do takich prze-stępstw. Zaproponowali Sachs dwa razy więcej, niż zarabiała <sup>TM</sup> \*->”-

cji. I obiecali jej pozwolenie na broń ważne w większości stanów, Co było rzadkim przywilejem w agencjach ochrony. Oferta pracy wiązała się też z perspektywą wyjazdów do egzotycznych i niebezpiecznych miejsc, ale Sachs bez namysłu ją odrzuciła.

Co tu jest grane?

Odchodzę, Rhyme.

Odchodzisz ze służby? Mówisz serio?

Skinęła głową.

- Prawie

się już zdecydowałam. Chcę spróbować czegoś innego.

Tam też mogę robić coś dobrego. Chronić rodziny, pilnować dzieci. Poza tym agencja prowadzi dużo akcji antyterrorystycznych.

Rhyme także spojrzął przez okno na nagie drzewa Central Par-ku. Myślał o swojej wczorajszej rozmowie z Kathryn Dance, o początkach terapii. Pewien bystry, młody lekarz z nowojorskiej policji, Terry Dobyns, powiedział mu wtedy: „Nic nie trwa wiecznie”. Miał na myśli jego depresję po wypadku.

Teraz jednak zdanie zyskało zupełnie nowe znaczenie i słowa uporczywie dźwięczały mu w głowie.

Nic nie trwa wiecznie...

-Ach, tak.

Chyba muszę, Rhyme. Muszę.

Z powodu ojca?

Przytaknęła. Zanurzyła palec we włosach i zaczęła drapać. Skrzywiła się z bólu, a może powód grymasu był inny.

Sachs, to szalony pomysł.

Nie sądzę, żebym dłużej mogła to robić. Nie mogę już być policjantką.

To dość nagła decyzja, nie sądzisz?

Myślałam o tym całą noc. Nigdy w życiu niczego tak dobrze nie przemyślałam.

Zastanów się. Nie możesz tak pochopnie zmieniać swojego życia z powodu jednej złej wiadomości.

Złej wiadomości? Wszystko, co wiedziałam o ojcu, to kłamstwo.

Nie wszystko - odparł Rhyme. - Tylko część.

Ale najważniejsza. Ojciec był przede wszystkim gliną.

To było dawno temu. Klub Szesnastej Alei przestał działać, kiedy byłaś dzieckiem.

-  
Dlatego ojciec ma być mniej skorumpowany?

Rhyme nie odpowiedział.

Mam ci tłumaczyć, Rhyme? Myślisz, że to takie proste jak ana^

liza dowodów? Dodajesz kilka kropli reagenta i patrzysz na efekt-Nie potrafię tego wyjaśnić.

Wiem tylko, że mam po tym niesmak Zupełnie inaczej patrzę na swoją pracę.

Na pewno jest ci ciężko - rzekł łagodnie. - Ale żadne zdarzenia z przeszłości twojego ojca nie ma wpływu na to, jaką jesteś po ciętą. Najważniejsze, że jesteś dobra i jeżeli odejdziesz, o wiele mniej spraw doczeka się zamknięcia.

- Mogę zamykać sprawy, jeżeli wkładam w to serce. A nie potrafię. Coś się skończyło... Pułaski radzi sobie coraz lepiej - dodała.

- Lepiej niż ja, kiedy zaczynaliśmy razem pracować.

\_ Dlatego, że ty go uczysz.

- Przestań.

-Co?

- Przestań się podlizywać i daruj sobie komplementy. Tak samo matka robiła z ojcem. Rozumiem, że nie chcesz, żebym odeszła, ale nie stosuj takich tanich chwytów.

Ale Rhyme musiał uciekać się do wszelkich chwytów. Po wypadku nieraz był bliski decyzji o samobójstwie. Zawsze jednak ostatecznie odrzucał to wyjście. Krok, jaki rozważała Amelia Sachs, stał się rodzajem psychicznego samobójstwa. Gdyby odeszła ze służby, zamordowałaby własną duszę.

Ale Argyle? Przecież to nie dla ciebie. - Pokręcił głową. - Nikt nie traktuje poważnie ochroniarzy, nawet - zwłaszcza - klienci.

Nie, mają całkiem niezłe zlecenia. I wysyłają cię do szkoły.

Uczysz się języków... Mają nawet dział kryminalistyki. No i dobrze płacą.

Zaśmiał się.

-Od kiedy tak bardzo zależy ci na forsie?... Zaczekaj z tym, Sachs. Po co ten pośpiech?

Pokręciła głową.

Chcę zamknąć sprawę „St. James”. I zrobię wszystko, żeby pomóc ci złapać Zegarmistrza. Ale potem...

Wiesz, że twoja rezygnacja będzie miała poważne skutki. Mo-

żesz je długo odczuwać, gdybyś kiedyś chciała wrócić. - Oderwał od niej wzrok, czując pulsowanie krwi w skroniach.

Rhyme. - Przysunęła sobie krzesło, usiadła i ujęła w dłoń jego rękę - prawą, która częściowo odzyskała czucie i zdolność poruszania. Ucisnęła ją. - Bez względu na to, co zrobię, nic się między nami nie zmieni. - Uśmiechnęła się.

Ty i ja, Rhyme... Ty i ja, Sachs...

Odwrócił wzrok. Lincoln Rhyme był naukowcem, człowiekiem ufającym umysłowi, nie sercu.

Rhyme i Sachs poznali się przed kilku laty Przy trudnej sprawie - seryjnego porywacza i mordercy, który miał obsesję na punkcie ludzkich kości. Nikt nie potrafił go powstrzymać wyjątkiem tej pary odmieńców - tetraplegika, który poszedł w odstawkę, i pozbawionej zmysłów młodej policjantki, zdradzonej przez ochroniarza udającego dobrego glinę. A jednak razem stworzyli harmonijną całość, zblizniając nawzajem swoje rany, i złapali mordercę.



Musiał przyznać, że te słowa, „ty i ja”, stanowiły dla niego buso-^ w niepewnym świecie, jaki sobie stworzyli. Nie był do końca

przekonany, czy rzeczywiście wszystko między nimi pozostanie tak jak dawniej. Czy kiedy zniknie wspólny cel, nic się nie zmieni? Czyżby właśnie był świadkiem przechodzenia Przed w Po?

Już złożyłaś rezygnację?

Nie. - Wyciągnęła z kieszeni kurtki białą kopertę. - Napisałam Ale chciałam, żebyś dowiedział się pierwszy.

Zaczekaj parę dni z tą decyzją. Nie jesteś mi tego winna. Po prostu cię proszę. Parę dni.

Długą chwilę patrzyła na kopertę. W końcu odrzekła:

- W

porządku.

Rhyme pomyślał: pracujemy nad sprawą człowieka, który ma ob-sesję na punkcie zegarów, a mnie w tym momencie zależy tylko na tym, żeby kupić od Sachs trochę czasu.

Dzięki... No to bierzmy się do roboty.

Musisz zrozumieć...

Nie ma tu nic do rozumienia - odparł z zaskakującą obojętno-

ścią. - Trzeba złapać mordercę. Tylko o tym powinniśmy myśleć.

Zostawił ją w sypialni i zjechał windą do laboratorium, gdzie krzątał się już Mel Cooper.

-

Na kurtce jest krew grupy AB Rh+. Taka sama jak na piersi.

Rhyme skinął głową. Następnie polecił technikowi zadzwonić do laboratorium JPL NASA w sprawie informacji z ASTER-a - termogra-mów miasta, które miały ujawnić miejsca, gdzie smołowano dachy.

W Kalifornii był wczesny ranek, lecz Cooperowi udało się znaleźć ja-kiegoś pracownika i skłonić go, by odnalazł i przesłał zdjęcia. Niedługo potem nadeszły. Termogramy robiły wrażenie, ale okazały się mało przydatne. Tak jak przypuszczał Sellitto, były na nich setki, a nawet ty-siące budynków, gdzie satelitarny skaner zaznaczył źródła wysokiej temperatury, urządzenie nie potrafiło jednak odróżnić smołowanych dachów od miejsc budowy, domów ogrzewanych parą z Consolidated Edison czy po prostu bardzo gorących kominów.

Rhyme'owi nie pozostało nic innego, jak poprosić centralę, żeby natychmiast łączono do niego wszystkie zgłoszenia o napadach albo włamaniach w budynkach albo w okolicach budynków, gdzie wymie-niano dach.

Po chwili wahania dyżurna poinformowała go, że wprowadzi taki komunikat do głównego komputera.

Ton jej głosu sugerował, że Rhyme chwyta się brzytwy.

Cóż mógł powiedzieć? Miała rację.

Lucy Richter zamknęła drzwi mieszkania i przekręciła zamki.

Powiesiła kurtkę i bluzę z kapturem, na której z przodu widnia\* napis „4. Dywizja Piechoty, Fort Hood”, a na plecach slogan dywizja „Oddani i wierni”.

Bolały ją mięśnie. W klubie pokonała osiem kilometrów na bieżni mechanicznej ustawionej na dziewięcioprocentowe nachylenie, a potem przez pół godziny robiła pompki i brzuszki. Jeszcze jeden plus służby wojskowej; człowiek uczy się doceniać własne mięśnie. Można lekceważyć sprawność fizyczną i kpić z niej, uważając ją za przejaw próżności i stratę czasu, ale naprawdę daje ona

poczucie siły.

Lucy nastawiła wodę na herbatę i wyciągnęła z lodówki lukrowa-nego pączka, myśląc o nowym dniu. Miała do zrobienia mnóstwo rzeczy: trzeba zadzwonić do kilku osób, napisać e-maile, upiec ciastka i popisowy sernik na czwartkowe przyjęcie. A może po prostu pójdzie z przyjaciółkami na zakupy i kupi jakiś deser w cukierni. Albo zje lunch z matką.

Albo będzie się wylegiwać w łóżku i oglądać seriale. Zrobi sobie labę. Zaczynał się rajski okres - dwa tygodnie z dala od krainy gorzkiej mgły - i Lucy zamierzała się cieszyć każdą minutą urlopu. Gorzka mgła...

Usłyszała to wyrażenie od miejscowego policjanta pod Bagdadem, gdy mówił o chmurze dymu i pyłu po detonacji fugasa - ładunku wybuchowego domowej roboty.

Eksplozje w filmach to tylko widowiskowe rozbłyski płonącej benzyny. Kiedy ogień gaśnie, nie zostaje nic z wyjątkiem szoku malującego się na twarzach bohaterów. W rzeczywistości wybuch fugasa pozostawia gęstą, cuchnącą, niebieskawą chmurę, która szczypie w oczy i parzy płuca. Przez wiele godzin w miejscu detonacji unosi się mieszanina kurzu i chemicznego dymu, przesycona odorem spalonej skóry i włosów.

Gorzka mgła stanowiła symbol okropności, jakie przyniósł nowy rodzaj wojny. Nie można było ufać nikomu z wyjątkiem współtowarzyszy broni. Nie istniały już pozycje nieprzyjaciela ani fronty. I zupełnie nie było wiadomo, kim jest wróg. Mógł się nim okazać tłumacz, kucharz, przechodzień, miejscowy biznesmen, nastolatek albo staruszek. Albo ktoś przebywający pięć kilometrów dalej. A broń? Nie było haubic ani czołgów, tylko maleńkie pakunki wytwarzające gorzką mgłę. Paczki trotylu, C4, C3 albo wypełnione ładunkiem wykradzionym z twojego własnego arsenału, schowane w tak niewidocznym miejscu, że nie sposób ich było zauważyć, dopóki... prawdę mówiąc, nigdy ich nie zauważano.

Lucy szperała w szafce, szukając herbaty.

Gorzka mgła...

Nagle znieruchomiała. Co to za odgłos?

Przechyliła głowę i zaczęła nasłuchiwać.

Co to było?

Tykanie. Na ten dźwięk poczuła skurcz w żołądku. Nie mieli z Bobem nakręcanych zegarów.

Ale wyraźnie coś tykało.

Cholera, co to może być?

Weszła do małego pokoiku, który wykorzystywali głównie jako schowek. Światło było zgaszone. Pstryknęła włącznikiem. Nie, dźwięk na pewno nie dochodził stąd.

Zwilgotniały jej ręce, oddech stał się szybszy, serce waliło j młotem.

Tylko to sobie wyobrażam... Zaczynam wariować. Fugasy nie tykają. Nawet bomby zegarowe mają elektroniczne zapalniki.

Poza tym czyżby naprawdę podejrzewała, że ktoś mógłby podłożyć bombę w jej nowojorskim mieszkaniu?

Dziewczyno, chyba potrzebujesz fachowej pomocy.

Lucy stanęła w drzwiach sypialni. Skrzydła szafy były uchylone zasłaniając przed jej wzrokiem toaletkę. Może to tu... Zrobiła krok naprzód, ale przystanęła. Tykanie dobiegało z innej części mieszkania. Wróciła do przedpokoju i zajrzała do jadalni. Nic.

Potem weszła do łazienki. I parsknęła śmiechem.

Na szafce z umywalką obok wanny stał zegar. Wyglądał na antyk. Był czarny, a na cyferblacie miał okienko, z którego spoglądał na nią księżyc w pełni. Skąd się tu wziął?

Znowu ciotka pozbywała się ru-pieci z domu? Może Bob kupił go podczas jej nieobecności i posta-wił tu rano, gdy wyszła do klubu?

Ale dlaczego w łazience?

Dziwaczny księżyc przyglądał się jej z zagadkową miną, jak gdy-by wrogo. Przywodził jej na myśl twarze stojących przy drodze dzie-ci, które rozciągały usta w grymasie nie całkiem przypominającym uśmiech; nie miała pojęcia, co im chodziło po głowie. Czy patrząc na nich, widziały w nich wybawców? Wrogów? Może przybyszów z innej planety?

Lucy postanowiła zadzwonić do Boba albo matki i zapytać o ze-gar. Poszła do kuchni.

Zaparzyła herbatę, wzięła do łazienki kubek oraz telefon, po czym zaczęła napełniać wannę.

Zastanawiała się, czy pierwsza od wielu miesięcy kąpiel w pianie zdoła z niej zmyć gorzką mgłę.

Na ulicy przed domem, gdzie mieszkała Lucy Richter, Vincent Reynolds spojrzął na przechodzące uczennice.

Ich widok nie wzmagał dręczącego głodu. Dziewczynki chodziły zapewne do szkoły średniej i były dla niego za młode. (Fakt, Sally Annę też miała kilkanaście lat, ale on był wtedy w podobnym wie-ku, więc wszystko grało).

Przez komórkę Vincent usłyszał szept Duncana:

-

Jestem w jej sypialni. Poszła do łazienki, zamierza wziąć ką-piel... Tym lepiej.

Tortura wodna...

W budynku mieszkało wielu lokatorów i gdyby Duncan chciał otwo-rzyć drzwi wytrychem, ktoś mógłby go zauważyć, dlatego wspiął się na jeden z sąsiednich domów, po dachach dotarł do kamienicy Lucy, a PO' tem schodami przeciwpożarowymi dostał się do jej sypialni. Był napraw' dę wysportowany (to także różniło obu przyjaciół).

- Dobra,

idę to zrobić.

Dziękuję...

Ale nagle Vincent usłyszał:

\_ Zaraz.

\_ Co? Coś nie tak?

\_ Rozmawia przez telefon. Musimy poczekać.

Głodny Vincent kręcił się nerwowo. Czekanie nie wychodziło mu najlepiej-Minęła minuta, dwie, pięć.

- Co

się dzieje? - spytał szeptem Vincent.

\_ Ciągłe rozmawia.

Vincent był wściekły.

Niech ją szlag... Żałował, że nie poszedł z Duncanem i nie może mu pomóc jej zabić. Gdzie ona, do cholery, wydzwania? Znow musiał się posilić.

Wreszcie Zegarmistrz powiedział:

- Spróbuję jej przerwać. Wrócę na dach i zejdem po schodach na korytarz. Będzie musiała

otworzyć drzwi. - W następnych słowach Vincent usłyszał rzadkie u Duncana zniecierpliwienie. - Nie mogę dłużej czekać.

Co ty wiesz o czekaniu, zdążył pomyśleć Vincent Mądrala, zanim zagłuszyła go jego druga, wygłodniała połowa.

Rozbierając się, Lucy Richter usłyszała inny dźwięk. Nie było to tykanie księżycowego zegara. Odgłos dobiegał z niedaleka. Z miesz-kania? Z korytarza? Z uliczki?

Metaliczny stukot.

Co to?

Dźwiękiem towarzyszącym życiu żołnierza jest szcęk metalu o metal. Wypełnianie magazynków długimi, pachnącymi olejem po-ciskami, ładowanie koltów, trzask zamków u drzwi pojazdów, brzęk klamer u pasów i kamizelek. Zgrzyt kuli z AK-47 odbitej rykoszetem

°d bradleya czy humvee.

Znów ten sam odgłos. Stuk, stuk.

Potem cisza.

Poczuła chłodny powiew, jak gdyby otworzyło się okno. Gdzie? Uznała, że w sypialni. Na wpół naga podeszła do drzwi i zajrzała do Pokoju. Rzeczywiście, okno zastała otwarte. Ale kiedy sprawdzała Wcześniej to miejsce, szukając źródła tykania, czy okno nie było zamk-nięte? Nie pamiętała.

Dość tej paranoi, żołnierzu, obsztorcowała się Lucy. To zaczyna yć nudne. Nie ma tu fugasów, zamachowców samobójców, nie ma Sorzkiej mgły.

Weź się w garść.

Jedną ręką zasłaniając piersi - naprzeciwno były mieszkania "" starannie zamknęła okno.

Spojrzała w dół na uliczkę. Niczego nie ^uważł

W tym momencie rozległo się łomotanie do drzwi. Lucy obróciła się na pięcie, tłumiąc okrzyk. Narzuciła szlafrok i wybiegła do ciem. nego przedpokoju.

- Kto

tam?

Po chwili milczenia odezwał się męski głos:

Jestem z policji. Nic się pani nie stało?

O co chodzi? - zawołała.

Może pani grozić niebezpieczeństwo. Proszę otworzyć. Wszystko w porządku?

Zaniepokojona zawiązała pasek szlafroka i odkręciła zamki, my-śląc o oknie w sypialni i zastanawiając się, czy ktoś przypadkiem nie próbował się włamać. Zdjęła łańcuch.

Lucy nacisnęła klamkę i w chwili, gdy drzwi zaczęły się uchylać, zdała sobie sprawę, że zanim zdjęła łańcuch, powinna poprosić funk-cjonariusza o legitymację albo odznakę. Po długim czasie spędzo-nym w całkiem innym świecie zapomniała, że w jej ojczystym kraju także roi się od złych ludzi.

Amelia Sachs i Lon Sellitto przyjechali pod starą kamienicę na urokliwej Barrow Street w Greenwich Village.

- To

tutaj?

Mhm - odparł Sellitto. Miał sine palce. I czerwone uszy.

Zajrzeli w uliczkę obok budynku. Sachs uważnie ją zlustrowała.

Jak ona się nazywa? - spytała.

Richter. Na imię ma zdaje się Lucy.

Które okno?

Na drugim piętrze.

Spojrzała na wyjście przeciwpożarowe.

Ruszyli w stronę schodków przy wejściu do kamienicy. Gapił się na nich tłum ludzi. Sachs przebiegła wzrokiem ich twarze, wciąż przekonana, że Zegarmistrz usunął ślady na pierwszym miejscu zda-rzenia, ponieważ zamierzał wrócić. Co oznaczało, że mógł zostać tak-że tutaj. Nie dostrzegła jednak nikogo, kto przypominałby sprawcę ani jego współnika.

-

To na pewno był Zegarmistrz? - spytała Franka Rettiga i Nancy Simpson, którzy trzęśli się z zimna obok swojej furgonetki technicznej zaparkowanej krzywo na środku Barrow Street.

Aha, zostawił zegar - wyjaśnił Rettig. - Z księżycem.

Sachs i Sellitto weszli na schody.

Muszę was uprzedzić - powiedziała Nancy Simpson.

Detektywi zatrzymali się i odwrócili.

Funkcjonariuszka wskazała głową dom, krzywiąc twarz.

Nie będzie przyjemnie.

Rozdział 24

S

Sachs i Sellitto wolno wspinali się na drugie piętro. W ciemnej klatce schodowej unosił się zapach sosnowego środka do czysz-czenia i rozgrzanych pieców olejowych.

- Jak

się tu dostał? - zastanawiała się Sachs.

- To

jakiś pieprzony duch. Dostaje się wszędzie, jak chce.

Spojrzała w górę schodów. Zatrzymali się przed drzwiami opatrzonymi tabliczką „Richter/Dobbs”.

Nie będzie przyjemnie...

-

Nie ma na co czekać.

Sachs otworzyła drzwi i weszli do mieszkania Lucy Richter.

Ujrzeni tam muskularną kobietę ubraną w dres, z upiętymi włosami. Odwróciła się od umundurowanego funkcjonariusza, z którym rozmawiała. Kiedy ujrzała Sachs i Sellitta i zauważyła złote odznaki na ich szyjach, jej twarz pociemniała.

Pan tu dowodzi? - zapytała ze złością Lucy Richter, podchodząc do Łona Sellitta i patrząc mu prosto w oczy.

Jestem jednym z detektywów prowadzących sprawę. - Przedstawił się. Sachs uczyniła to samo.

Lucy Richter ujęła się pod boki.

-

Co wy sobie wyobrażacie? - warknęła. - Wiecie, że po mieście grasuje jakiś psychopatyczny zabójca, który zostawia te cholerne zegary. I nikomu nic nie mówicie? Nie po to przeżyłam tyle miesięcy-

cy na tej przeklętej pustyni, żeby mnie mordował jakiś skurwysyn, o którym nawet nie raczycie poinformować ludzi!

Udało się ją uspokoić dopiero po pewnym czasie. ~ Proszę pani, on nie ma zwyczaju podrzucania zegarów, żeby Przedzie ofiary o swoim nadejściu - tłumaczyła Sachs. - Musiał tu yc. W pani mieszkaniu. Miała pani dużo szczęścia.

Lucy Richter rzeczywiście miała za co dziękować losowi. ^ Około pół godziny wcześniej przechodzień przypadkiem zauważył jakiegoś mężczyznę, który wychodził schodami przeciwpożarowymi na dach. Zadzwoił pod dziewięćset jedenaście, aby to zgłosić.

Zegarmistrz prawdopodobnie spojrzał w dół, zdał sobie sprawę, że został nakryty, i uciekł. W trakcie przeszukiwania okolicy nie natrafiono na żaden ślad nie było też świadków, którzy widzieliby kogoś podobnego do męż' czyzny z komputerowego portretu pamięciowego.

Sachs zerknęła na Sellitta, który rzekł:  
Przykro nam z powodu tego zajścia, pani Richter.  
Przykro wam - powtórzyła drwiąco. - Musicie to ogłosić.  
Detektywi spojrzeli po sobie. Sellitto przytaknął.  
Ogłosimy. Przekażę wydziałowi prasowemu, żeby dał komunikat do lokalnych wiadomości.  
Chciałabym sprawdzić, czy nie zostawił w pani mieszkaniu jakichś śladów - powiedziała Sachs.

-1 zadać pani kilka pytań.

Za chwilę. Najpierw muszę zadzwonić. Moja rodzina dowie się o tym z telewizji. Nie chcę, żeby się martwili.

To dosyć ważne - zauważył Sellitto.  
Sierżant Richter otworzyła telefon komórkowy.  
Powiedziałam, za chwilę - odparła stanowczym tonem.  
Rhyme, jesteś tam?

-  
Mów, Sachs. - Kryminalistyk był w laboratorium i rozmawiał z Sachs przez radio. Przypomniał sobie, że w przyszłym miesiącu zamierzali wypróbować łączność za pomocą kamery o dużej rozdzielczości, umocowanej na głowie lub ramieniu Sachs, dzięki której Rhyme mógłby widzieć w laboratorium obraz miejsca zdarzenia.

W żartach nazywali to gadżetem Jamesa Bonda. Rhyme poczuł ukłucie żalu na myśl, że to nie Sachs pierwsza użyje nowego urządzenia.

Odsunął na bok sentymenty. Powiedział sobie to, co często powtarzał swoim współpracownikom: na wolności jest bandyta; nic poza tym się nie liczy, ale żeby go złapać, potrzebna jest stuprocen-towa koncentracja.

Pokazaliśmy Lucy portret pamięciowy Zegarmistrza. Nie rozpoznała go.  
Jak się dzisiaj dostał do środka?

Nie jestem pewna. Jeżeli nie zmienił sposobu działania, powinien otworzyć zamek wytrychem. Ale tym razem chyba wspiał się na dach i zszedł po schodach przeciwpożarowych do okna. Dostał się do środka, postawił zegar i czekał na Lucy. Ale z jakiegoś powodu wyszedł na zewnątrz. Wtedy zobaczył go świadek z ulicy i Zegarmistrz

zaraz się wymeldował. Wrócił schodami na dach.  
W którym miejscu mieszkania się zaczął?

- Zegar

zostawił w łazience. Schody przeciwpożarowe są z oknem w sypialni, więc tam też musiał być. - Zamilkła na chwil?'

- Szukamy świadków, ale nikt go nie widział. Samochodu też nie'

Może odkąd mamy ich explorera, chodzą ze swoim współnikiem Pie'

0 \_ Przez Greenwich Village przebiega kilka linii metra, mogli joC bez trudu uciec z dzielnicy.

\_ Nie sądzę. - Rhyme wyjaśnił, że jego zdaniem Zegarmistrz ze współnikiem wolą poruszać się samochodem. Wybierając środek transportu na akcję, przestępcy zwykle są konsekwentni.

Rzadko zmieniają decyzję.

Sachs przeszukała sypialnię, schody przeciwpożarowe, łazienkę i wszystkie drogi, jakimi prawdopodobnie sprawca dostał się do tych miejsc. Sprawdziła też dach. Poinformowała Rhyme'a, że ostat-nio nie był smołowany.

\_ Nic, Rhyme. Jak gdyby sam był ubrany w tyvek. Nie zostawia dosłownie nic.

Edmond Locard, słynny francuski kryminalistyk, sformułował tak zwaną zasadę przeniesienia, według której w wyniku każdego prze-stępstwa dochodzi do przeniesienia dowodów fizycznych między sprawcą a miejscem zdarzenia. Przestępca zostawia po sobie ślad i zabiera jakąś część miejsca zbrodni. Zasada może napawać optymizmem, ale to tylko pozory, ponieważ czasem ślad jest tak mikro-skopijny, że nie sposób go zauważyć, a gdy można go odnaleźć, często okazuje się zupełnie nieprzydatny w dochodzeniu. Mimo to, zgodnie z zasadą Locarda, zawsze następuje przeniesienie materiału.

Rhyme często się jednak zastanawiał, czy spotka kiedyś prze-stępcę, który mu dorówna, a nawet przewyższy go sprytem. I czy istnieje sprawca, który będzie na tyle dobrze znał się na kryminalistyce, aby popełnić zbrodnię, łamiąc zasadę Locarda - nie zostawiając żadnego dowodu i nie zbierając żadnego śladu. Czyżby taką osobą miał być Zegarmistrz?

- Myśl, Sachs... Przecież musi coś być. Na pewno czegoś nie zauważyliśmy. Co mówi ofiara?

Jest w lekkim szoku. Nie bardzo potrafi się skupić.

Po chwili milczenia Rhyme rzekł:

Wysyłam wam naszą tajną broń.

Kathryn Dance usiadła naprzeciw Lucy w jej salonie.

Sierżant Richter miała nad sobą plakat Jimiego Hendrixa oraz swoje zdjęcie ślubne, na którym towarzyszył jej wesoły mężczyzna o kragłej twarzy, ubrany w galowy mundur wojskowy.

Dance zaobserwowała, że zważywszy na okoliczności, kobieta jest wyjątkowo spokojna, chociaż, jak mówiła Amelia Sachs, wyraźnie coś 33 dręczyło. Agentka odniosła jednak wrażenie, że przyczyną jej nie-pokoju nie jest niedawne zajście. Lucy Richter nie zdradzała oznak s resu pourazowego niedoszłej ofiary; trapiło ją coś poważniejszego.

~ Mogłaby pani jeszcze raz opowiedzieć przebieg wydarzeń? . ~ Zrobię wszystko, żeby pomóc złapać tego sukinsyna. - Lucy wy-śniła, że rano poszła poćwiczyć w klubie. Kiedy wróciła, znalazła Zegar.

Trochę się zdenerwowałam. To tykanie... - Jej twarz zdradzała subtelne oznaki lęku. Reakcja „walczyć lub uciekać”. Zachęcona przez Dance, opowiedziała o bombach za oceanem. - Pomyślałam j;e to jakiś prezent, ale strach mnie obleciał. Potem poczułam chłód i poszłam zobaczyć, co się dzieje. Zobaczyłam, że okno w sypialni jest otwarte. Wtedy przysłała policja.

Nie zauważyła pani nic niezwykłego?

Nie. W każdym razie nie pamiętam.

Dance zadała jej jeszcze kilka pytań. Lucy Richter nie знаła The-odore'a Adamsa ani Joannę Harper. Nie wiedziała, kto mógłby chcieć ją skrzywdzić. Próbowwała sobie przypomnieć coś więcej, co mogłoby pomóc policji, lecz nie potrafiła.

Wydawała się odważną kobietą („złapać tego sukinsyna”), ale Dance podejrzewała, że jakaś podświadoma blokada nie pozwala Lucy skupić się na szczegółach niedawnego wydarzenia.

Oznaką te-go był klasyczny obronny gest krzyżowania rąk i nóg, choć w tym wypadku nie sygnalizował fałszu, lecz miał stanowić barierę ochronną przed zagrożeniem.

Agentka musiała spróbować innego sposobu. Odłożyła notes.

-

Co pani robi w mieście? - zapytała swobodnym tonem.

Lucy wyjaśniła, że przyjechała z Bliskiego Wschodu na urlop. Zwykle spotykała się z mężem, Bobem, w Niemczech, gdzie mieli przyjaciół, ale tym razem miała otrzymać wyróżnienie na czwartko-wej uroczystości.

Ach, to z tej okazji ma być parada poparcia dla armii?

Zaraz po ceremonii.

Gratuluję.

Uśmiechnęła się, lecz jej usta zadrżały. Mikroekspresja nie uszła uwagi Dance.

U siebie agentka także zauważyła reakcję stresową: jej mąż zo-stał odznaczony przez FBI za odwagę w akcji, a cztery dni później zginął. Dance natychmiast odsunęła od siebie wspomnienia, jak gdyby wyciszała zakłócenia przeszkadzające w odbiorze.

Agentka pokręciła głową.

Wraca pani do Stanów i proszę - nagle wpada pani na bandytę.

Paskudna sprawa. Zwłaszcza po służbie za oceanem.

Nie jest tam tak źle. W wiadomościach wygląda gorzej.

-

Mimo wszystko... ale chyba dobrze sobie pani radzi.

Jej ciało mówiło, że jest zupełnie inaczej.

Och, tak. Robię, co trzeba. Nic nadzwyczajnego. - Miała sple-cione palce.

Co pani tam robi?

Zajmuję się logistyką. Moja praca w zasadzie polega na obsW  
dze wozów dostawczych.

- To

ważne zadanie.

Wzruszenie ramion.

Chyba tak.

Na pewno dobrze jest być na urlopie, prawda?

Służyła pani w wojsku?

Nie - odrzekła Dance.

W wojsku trzeba pamiętać o zasadzie numer jeden: relaksuj się, kiedy tylko możesz. Nawet jeżeli to ma być szklaneczka ponczu z dowództwem albo zdejmowanie dekoracji ze ścian.

Dance drążyła dalej.

Ilu żołnierzy będzie na uroczystości?



Osiemnastu.

Lucy wcale nie wyglądała na spokojną. Dance zastanawiała się, czy jej ukryta obawa może mieć związek z koniecznością powiedzenia kilku słów do tłumu. Przemawianie publiczne na skali strachu znajduje się wyżej niż skoki spadochronowe.

Jak duża ma być publiczność?

Nie wiem. Sto, może dwieście osób.

Pani rodzina też tam będzie?

Och, tak. Wszyscy. Po ceremonii urządzamy przyjęcie.

Jak mawia moja córka: „ imprezy to sam czad ” - zauważyła Dance. - Co będzie w menu?

Niech się pani nie wygłupia, jesteśmy w Village - zażartowała Lucy. - Kuchnia włoska. Zapiekane ziti, krewetki, kiełbaski. Goto-waniem zajmą się moja matka i ciotka. Ja mam przygotować deser.

Słodczyce, moje przekleństwo... - powiedziała Dance. - Robię się głodna. - Po chwili dodała: - Przepraszam, chyba odeszłam od te-matu. - Nie otwierając notesu, głęboko spojrzała w oczy swojej rozmówczyni. - Wróćmy do pani nieproszonego gościa. Mówiła pani, że zaparzyła herbatę. Nalała wody do wanny. Czuje pani chłodny powiew. Idzie pani do sypialni. Okno jest otwarte. O co pytałam wcześniej-

niej? Aha, czy nic innego nie zwróciło pani uwagi?

Właściwie nie. - Powiedziała to szybko, tak jak poprzednio, lecz nagle zmrużyła oczy. - Zaraz. Chyba... coś jednak zauważyłam.

Naprawdę?

Dance użyła metody zwanej „zatapianiem”. Zorientowała się, że przejmuje się nie tyle wizytą Zegarmistrza, ile swoją służbą na im Wschodzie i zbliżającą się ceremonią. Zaczęła więc mówić na ten temat i bombardowała ją pytaniami w nadziei, że uda się jej znie-czulić Lucy i wydobyć z niej wspomnienia o niedawnym zdarzeniu.

Sierżant Richter wstała i ruszyła do sypialni. Dance bez słowa Podążyła za nią. Dołączyła do nich Amelia Sachs. Lucy rozejrzała się po pokoju.

Ostrożnie, nakazała sobie Dance. Lucy jest na tropie. Agentka

czuła. Przesłuchujący zbyt często rujnują całą sesję, rzucając się

<\* upragniony cel. Zasada mówi, że niejasne wspomnienia rzadko tłaJe się wyciągnąć siłą; należy pozwolić im samym wypłynąć na Powierzchnię.

Obserwacja i słuchanie to dwa najważniejsze elementy przesłuchania. Mówienie jest na samym końcu.

Rzeczywiście coś tu było nie tak, poza otwartym oknem... Ach już wiem. Kiedy wcześniej weszłam do sypialni, żeby sprawdzić to tykanie, coś zauważyłam. Nie widziałam toaletki.

Dlaczego zwróciła pani na to uwagę?

Bo kiedy wychodziłam do klubu, zerknęłam na nią, żeby zobaczyć, czy nie ma tam moich ciemnych okularów. Były, więc je wzięłam Ale kiedy później zaglądałam do pokoju, kiedy usłyszałam tykanie nie widziałam toaletki - bo drzwi szafy były uchylone.

A więc gdy ten człowiek zostawił zegar, prawdopodobnie ukryj się w szafie albo za drzwiami - powiedziała Dance.

Na to wygląda - przytaknęła Lucy.

Dance odwróciła się do Sachs, która z uśmiechem skinęła głową i oznajmiła:

-  
W takim razie biorę się do pracy. - I ręką w lateksowej rękawiczce otworzyła drzwi szafy. Już drugi raz się nie udało.

Duncan prowadził samochód jeszcze uważniej, jeszcze bardziej skrupulatnie niż zwykle.

Nie odzywał się i był absolutnie spokojny. A to jeszcze bardziej niepokoiło Vincenta. Gdyby Duncan walił pięścią w kierownicę i wrzeszczał jak jego ojczym, Vincent poczułby się lepiej.

(„Coś ty zrobił?” - krzyczał ojczym, kiedy się dowiedział o gwałcie na Sally Annę. „Ty tłusty zbrojeńcu!”). Martwił się, że Duncan ma już dość i zamierza zakończyć całą operację.

Vincent nie chciał, żeby przyjaciel go opuszczał.

Duncan jechał powoli, trzymając się swojego pasa, nie przyspieszał, nie próbował mijać skrzyżowań na żółtym świetle.

I przez długi czas nie mówił ani słowa.

Wreszcie opowiedział Vincentowi, co się stało. Kiedy wspinał się na dach - aby dostać się na korytarz budynku i zapukać do mieszkania Lucy, żeby w końcu odłożyła słuchawkę - zerknął

w dół i ujrzał\* jakiegoś człowieka stojącego na uliczce, który patrząc na niego, wyciągnął komórkę i krzyknął, żeby Duncan natychmiast się zatrzymał. Morderca błyskawicznie znalazł się

na dachu, biegiem ruszył na zachód i kilka budynków dalej zjechał na linie do alejki pociągów między budynkami. Potem sprintem wrócił do buicki.

Owszem, Duncan prowadził samochód skrupulatnie, ale wyraźnie nie krążył bez celu. Vincent z początku przypuszczał, że chce zgubic policję, ale nie groził im pościg. W końcu uznał, że Duncan nie zastanawia się, dokąd jedzie, machinalnie zataczając szerokie kręgi - Jak wskazówki zegara.

Gdy minął szok po ucieczce w ostatniej chwili, Vincent znów poczuł narastający głód, od którego bolały go szczęki, głowa i krocze - z jedzenia umieramy...

Chciał wrócić do Michigan, posiedzieć z siostrą, zjeść z nią kolację obejrzeć telewizję. Ale siostra była daleko stąd, może akurat o nim myślała - choć nie potrafił znaleźć w tym pociechy...

Głód był tak dojmujący. Nic się nie udawało! Miał ochotę wrzeszczeć. Vincent miał więcej szczęścia, krążąc po pasażach handlowych w New Jersey i czyhając w pustym parku na uprawiające jogging panienki z college'u albo recepcjonistki. Po co w ogóle...

\_ Przepraszam - powiedział cichym głosem Duncan.

-Słucham...

- Przepraszam.

Poczuł się zupełnie rozbrojony. Gniew opadł. Vincent nie bardzo wiedział, co powiedzieć.

-  
Pomagasz mi, bardzo się starasz i zobacz, jak się odwdzięczam.  
Zawiodłem cię.

Mówił jak matka Vincenta, gdy wyznawała dziesięcioletniemu synowi, że zawiodła go z Gusem, potem z drugim mężem, potem z Bartem, później był eksperyment z Rachelem, później trzeci mąż.

I za każdym razem mały Vincent odpowiadał to samo, co teraz.

Nic się nie stało.

Stało się... Ciągłe mówię o ostatecznym rozrachunku. Ale on nie umniejsza naszych rozczarowań. Jestem twoim dłużnikiem.

Wszystko ci wynagrodzę.

Tego matka nigdy nie mówiła, a tym bardziej nie robiła, pozwalając Vincentowi szukać

pociechy w jedzeniu, programach telewizyj-nych, szpiegowaniu dziewczyn i odbywaniu swoich sam na sam.

Nie, nie miał wątpliwości, że Duncan, jego przyjaciel, mówi szczerze. Naprawdę czuł wyrzuty sumienia, że Vincent nie mógł nuć Lucy. Vincentowi wciąż chciało się płakać, lecz z innego powo-du. Nie z głodu, nie z poczucia niezaspokojenia. Ogarnęło go jakieś dziwne uczucie. Ludzie prawie nigdy nie mówili mu takich miłych rzeczy. Prawie nigdy się nim nie przejmowali.

Posłuchaj - rzekł Duncan. - Ta, którą teraz zamierzam zabić...

chyba nie będziesz jej chciał.

Jest brzydka?

Niezupełnie. Chodzi o sposób, w jaki umrze... Mam zamiar ją sPalić.

-Ach.

~ Pamiętasz torturę spirytusową z książki? ~ Nie bardzo.

Ilustracje w książce przedstawiały torturowanych ludzi; nie inte-resowały Vincenta.

- Oblewa się spirytusem dolną część ciała i podpala. Jeżeli prze-uchiwany się przyzna, można szybko ugasić ogień. Oczywiście nie Zmierzam go gasić.

Vincent uznał, że po tym rzeczywiście nie będzie jej chciał.

-

Ale mam inny pomysł.

Kiedy Duncan wyjaśniał, co ma na myśli, z każdym jego słowem Vincentowi poprawiał się nastrój.

- Nie

sądzisz, że wszystkim to wyjdzie na dobre?

No, może nie całkiem wszystkim, odezwał się Vincent Mądrała któremu mimo wszystko znów zaczął dopisywać humor.

Siedząc przed tablicą dowodów, Rhyme usłyszał w głośniku głos Sachs.

Rhyme, ustaliłyśmy, że ukrył się w szafie.

Której?

W sypialni Lucy.

Rhyme zamknął oczy.

Opisz mi wszystko.

Sachs przedstawiła mu plan i wygląd mieszkania - korytarz pro-wadzący do sypialni, rozkład sypialni, meble, obrazy na ścianach, drogę wejścia i wyjścia Zegarmistrza oraz inne detale.

Wszystko zo-stało opisane precyzyjnie, w najdrobniejszych szczegółach. Sachs wzbudzała podziw swoimi umiejętnościami i doświadczeniem, rów-nie olśniewającymi jak jej płomiennorude włosy. Gdyby rzuciła służbę, Rhyme zastanawiał się, jak długo musiałby uczyć innego gli-nę, aby tak perfekcyjnie robił obchód po siatce.

Wieczność, pomyślał sceptycznie.

Zawrzała w nim złość, lecz zaraz zdusił emocje i skupił się na pły-nącym przez radio głosie.

Sachs opisała szafę:

- Szerokość metr dziewięćdziesiąt. Pełna ubrań. Męskie po lewej, damskie po prawej, pół na pół. Buty na podłodze. Czternaście par. Cztery pary męskich, dziesięć damskich.

Typowe proporcje dla małżeństwa, pomyślał Rhyme, przypomi-nając sobie zawartość własnej szafy przed laty.

Gdzie się schował? Leżał na podłodze?

Nie, za dużo tu pudeł.

Usłyszał, jak Sachs zadaje komuś pytanie. Po chwili znów się odezwała.

Ubrania wiszą równo, ale musiał je przesunąć. Widzę parę Pu' deł odstawionych na bok i kawałki smoły z dachu, takie same jak wcześniej.

Między jakimi rzeczami się ukrył?

Między garniturem a mundurem Lucy.

Świetnie. - Niektóre części garderoby, na przykład mundury wojskowe, wyjątkowo dobrze zbierają ślady, które pozostają na na'

ramiennikach, guzikach i odznaczeniach. - Dotykał przodu czy tyłu munduru?

Przodu.

230

Doskonale. Sprawdź każdy guzik, medal, baretkę.

Dobra. Daj mi parę minut.

Zapadła cisza.

Znów zaczęło go ogarniać podszyte gniewem zniecierpliwienie, phynie spojrzął na białe tablice. W końcu usłyszał:

- Znalazłam dwa włosy i jakieś włókna.

Chciał jej polecić, żeby porównała włosy z próbkami w mieszka-niu. Ale oczywiście nie musiał o tym wspominać.

- Porównałam je z włosami Lucy. Nie pasują.

Zaczął mówić, aby znalazła próbkę włosów męża, gdy Sachs poinformowała go:

- Ale

znalazłam szczotkę do włosów, której używa jej mąż. Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent jestem pewna, że to jego włosy.

Dobrze, Sachs. Bardzo dobrze.

- Ale

włókna... nie pasują do niczego. - Sachs zawahała się przez chwilę. - Wyglądają na wełniane, jasne. Może ze swetra... ale znalazłam je na guziku kieszeni munduru, mniej więcej na wysokości ramienia kogoś wzrostu Zegarmistrza. Możliwe, że to z kołnierza z owczej wełny.

Sensowny wniosek, choć będą musieli dokładnie zbadać włókna w laboratorium.

Po kilku minutach Sachs powiedziała:

To chyba wszystko, Rhyme. Niewiele, ale coś mam.

Dobra, przyjeżdżaj. Obejrzymy to sobie. - Rozłączyli się.

Thom zapisał informacje podane przez Sachs. Po wyjściu asy-stenta Lincoln Rhyme znów utkwiał wzrok w tablicy. Przyszło mu na myśl, że nie patrzy na zwykłe notatki sprawy zabójstwa, ale na dowody morderstwa, którego ofiarą było ostatnie miejsce zbrodni przeszukane wspólnie z Amelią Sachs.

Lon Sellitto opuścił mieszkanie Lucy Richter, a Sachs kończyła pakować dowody. Odwróciła się do Kathryn Dance, aby jej podziękować.

Mam nadzieję, że to się do czegoś przyda.

Na tym właśnie polega zabezpieczanie miejsc. To tylko parę włó-

kien, ale wystarczą, żeby kogoś skazać. Zobaczymy, co z tego wyniknie. Wracam do Rhyme'a -

dodała Sachs. - Posłuchaj, nie wiem, czy

°iasz ochotę, ale mogłabyś porozmawiać z ludźmi w okolicy? Masz podejście do świadków.

~ Nie ma sprawy.

Sachs dała jej kilka wydruków portretu pamięciowego Zegarmi-strza i wyszła.

Dance spojrzała na sierżant Richter.

Wszystko w porządku?

W najlepszym - odparła T.n™ — - ;

k

do kuchni i nastawiła czajnik. - Napije się pani herbaty? kawy?

- Nie,

dziękuję. Muszę iść poszukać świadków.

Wbity w podłogę wzrok Lucy dla znawcy kinezyki był sygnałem. czytelnym jak semafor.

Dance milczała.

Mówiła pani, że jest z Kalifornii - powiedziała Lucy. - Kiedy pani wraca?

Prawdopodobnie jutro.

Zastanawiałam się, czy nie znalazłaby pani czasu na kawę czy coś. - Lucy bawiła się łąpką kuchenną. Dance dostrzegła na niej na pis: „4. Dywizja Piechoty. Oddani i wierni”.

Jasne, umówimy się. - Znalazła w torebce wizytówkę, na odwrocie napisała nazwę hotelu i określiła numer swojej komórki. - Proszę zadzwonić.

Zadzwonię.

Na pewno wszystko w porządku?

Tak, oczywiście.

Dance uścisnęła jej rękę i wyszła z mieszkania, przypominając sobie ważną zasadę analizy kinezyki: czasem nie trzeba docierać do każdej prawdy ukrytej za usłyszonym kłamstwem.

Rozdział 25

A

melia Sachs zjawiła się u Rhyme'a z niewielkim kartonem z do-wodami.

-

Co tu mamy? - zapytał kryminalistyk.

Sachs jeszcze raz wymieniła wszystkie ślady znalezione w miesz-kaniu, dopisując szczegóły na tablicy.

Według bazy danych wydziału kryminalistycznego nowojorskiej policji włókna zdjęte z munduru Lucy istotnie pochodziły z owczego kozucha, jakim obszywano kiedyś lotnicze kurtki. Sachs na miejscu sprawdziła zegar pod kątem zawartości azotanów - ten także nie zawierał materiału wybuchowego i był taki sam jak poprzednie trzy. Nie znaleźli na nim żadnych śladów z wyjątkiem plamy jakiejś sub-stancji, którą okazał się alkohol metylowy -

spirytus drzewny uży-wany jako środek odkażający i czyszczący. Podobnie jak w pracowni florystycznej, u Lucy Zegarmistrz również nie zdążył lub nie chciał zostawić wiersza.

Rhyme zgodził się na ogłoszenie ostrzeżenia o zegarze w me-diach, choć jego zdaniem komunikat mógł mieć tylko taki skutek, że morderca zostawi zegar dopiero wówczas, kiedy się upewni, że ofiara nie będzie mogła wezwać pomocy.

Mikroślady, które Sachs znalazła na prawdopodobnej drodze ucieczki mordercy, okazały się zupełnie nieprzydatne.

Nie było nic więcej - oznajmiła.

Nic? - Rhyme ze zdumieniem pokręcił głową.

Zasada Locarda...

Wszedł Ron Pułaski, zdejmując kurtkę i wieszając ją. Rhyme za-uważył, że Sachs natychmiast skierowała na posterunkowego pyta-Jący wzrok.

Druza Sprawa...

~ Udało ci się znaleźć coś o Marylandzie?

-

W porcie Baltimore toczą się trzy śledztwa w sprawie korupcji 7 °dparł nowy. - Jedno ma związek z Nowym Jorkiem, ale obejmuje tylko nabrzeże Jersey. I nie dotyczy narkotyków. Chodzi o procent od lewych interesów i fałszowanie dokumentów spedycyjnych.

pp

Czekam na wiadomość z policji Baltimore o dochodzeniach stanowych. Ani Creeley, ani Sarkowski nie mieli żadnej nieruchomości w Marylandzie, poza tym ustaliłem, że żaden z nich nigdy nie je\*dził tam w interesach. Creeley najbliżej bywał w Pensylwanii gdzie regularnie spotykał się z jakimś klientem. A Sarkowski w ogóle nigdzie nie wyjeżdżał. Aha, wciąż jeszcze nie nadesłano listy klientów od Jordana Kesslera. Zostawiłem mu jeszcze jedną wiadomość, ale nie oddzwonił. Znalazłem dwie osoby ze Sto Osiem, następnego, które urodziły się w Marylandzie - ciągnął - ale nie mają już tam żadnych krewnych. Porównałem listę całej załogi komisariatu z bazą danych płatników podatku od nieruchomości w Marylandzie i...

Zaraz - przerwała mu Sachs. - Co zrobiłeś?

Coś nie tak?

Nie, Ron. W porządku. Dobry pomysł. - Sachs uśmiechnęła się do Rhyme'a, który z uznaniem uniósł brew.

Może i dobry. Ale niczego nie wygrzebałem.

W takim razie kop dalej.

Jasne.

Sachs podeszła do Sellitta.

Mam pytanie. Znasz Halstona Jefferies'a?

Podinspektora ze Sto Pięćdziesiątego Ósmego?

Tak. Co mu jest? Strasznie drażliwy facet.

Sellitto parsknął śmiechem.

Zgadza się, to nawiedzony choleryk.

A więc nie tylko na mnie tak naskoczył?

Nie. Opieprza każdego bez powodu. Jak na niego trafiłaś?

- Zerknął na Rhyme'a.

Nie patrz na mnie - odparł wesoło kryminalistyk. - Pewnie chodziło o jej sprawę. Nie moją.

Jej zirytowane spojrzenie nie zdołało go zbić z tropu. Małostkowość w pewnych okolicznościach działa bardzo orzeźwiająco, pomyślał Rhyme.

Potrzebowałam akt, więc poszłam do źródła. Jefferies uznał, że najpierw powinnam poprosić go o zgodę.

Ale nie możesz pisać słowa nikomu z dowództwa o tym, co się dzieje na Sto Osiemnym.

Otóż to.

Taki już jest. Miał w przeszłości poważne kłopoty. Jego żona na-leżała do socjety...

Ładne słowo, „socjeta” - wtrącił Pułaski. - Podobne do „socja-listy”. Tylko że to przeciwieństwo. W pewnym sensie.

Kiedy Sellitto zgromił go wzrokiem, posterunkowy natychmiast zamilkł. .

- Słyszałem, że stracili duże pieniądze - ciągnął detektyw. - Je feries i jego żona. Naprawdę duże. Ani ty, ani ja nie potrafilibyśmy liczyć zer, tyle tego było. Przez jakiś nieudany interes żony. Jeffe-es chciał startować na jakieś wysokie stanowisko - zdaje się, że

w Libany. Ale bez kasy nic się tam nie działo. I kiedy interes się po-wpał, żona go zostawiła. Chociaż taki nerwus już wcześniej musiał mieć problemy.

Słuchała go, kiwając głową, gdy nagle zabręczał jej telefon. Sachs odebrała.

- Zgadza

się, to ja... Och, nie. Gdzie?... Będę za dziesięć minut.

Z pobladałą twarzą biegiem ruszyła do drzwi, rzucając przez ramię:

- Kłopoty. Wracam za pół godziny.

\_ Sachs... - zaczął Rhyme. Ale odpowiedział mu tylko trzask za-mykanych drzwi.

Camaro zatrzymał się, wjeżdżając kołami na krawężnik na Czter-dziesiątej Czwartej Zachodniej, niedaleko autostrady West Side.

Wysiadając, Sachs zobaczyła wysokiego mężczyznę w płaszczu i futrzanej czapce, który spojrzał na nią, mrużąc oczy. Nie знаła go ani on jej, lecz zawodowy sposób parkowania i policyjny identyfikator na desce rozdzielczej nie pozostawiały wątpliwości, że to na nią czekał.

Młody człowiek miał czerwone uszy i nos, a z jego nozdrzy bucha-ła para. Energicznie przytupywał, pobudzając krążenie.

Ale zimno. Mam już potąd zimy. Detektyw Sachs?

Tak. Coyle?

Podali sobie ręce. Mężczyzna miał mocny uścisk dłoni.

Co się stało? - zapytała.

Chodźmy. Pokażę ci.

Gdzie?

W samochodzie. Na parkingu kawałek dalej.

Ruszyli szybkim krokiem, aby mniej marznąć. Sachs spytała:

-

Z którego jesteś posterunku? - Dzwoniąc do niej, Coyle przedstawił się jako policjant.

Nie usłyszał jej w hałasie aut jadących ulicą. Powtórzyła pytanie.

-

Z którego posterunku jesteś? Z południowo-centralnego?

Zamrugnął zdziwiony.

~ Tak. - Wydmuchał nos.

- Pracowałam tam przez jakiś czas - poinformowała go Sachs.

-

Hm. - Nic więcej nie padło z jego ust. Coyle poprowadził ją Przez duży parking. Zatrzymał się na samym końcu, gdzie stał ford mdstar z przyciemnianymi szybami i włączonym silnikiem. Rozejrzał

się, po czym otworzył  
drzwi auta.

Prowadząc wywiad w domach i sklepach w Greenwich Village okolicy mieszkania Lucy Richter, Kathryn Dance doszła do wniosku, że między kinezyką a kryminalistyką istnieje symbiotyczny związek.

Specjalista kinezyk potrzebuje żywego człowieka - świadka luk podejrzanego - podobnie jak kryminalistyk potrzebuje materiału dowodowego. Szczególny charakter tej sprawy polegał jednak na zaskakującym braku ludzi i śladów fizycznych.

Irytowała ją ta sytuacja. Dance nigdy dotąd nie brała udziału w podobnym dochodzeniu.

Przepraszam pana, panią, halo, młody człowieku, niedaleko stąd odbyła się akcja policji, słyszała pani o niej, ach, to dobrze. Może przypadkiem w okolicy widział pan kogoś, kto szybko się stąd odda-ła? Nie zauważyła pani czegoś podejrzanego, nic nie zwróciło pana uwagi? Proszę spojrzeć na ten portret...

Ale nic nie wskórała.

Dance nie rozpoznawała u ludzi chronicznej świadkopatii - choroby objawiającej się tym, że ktoś wyraźnie coś wie, lecz ze strachu

o

siebie lub rodzinę twierdzi, że nic nie wie. Nie, po czterdziestu minutach spędzonych na zimnej ulicy była przekonana, że naprawdę nikt nie widział absolutnie nic.

Przepraszam pana, owszem, to legitymacja z Kalifornii, ale współpracuję z nowojorskim departamentem policji, może pan za-dzwonić pod ten numer i sprawdzić osobiście, ale czy nie widział pan...

Zero.

Raz Dance została zaskoczona, a właściwie przeżyła szok, za-czepiwszy mężczyznę, który wychodził z domu. Osłupiała i przez chwilę miała pustkę w głowie, ponieważ nieznajomy był

ludząco podobny do jej nieżyjącego męża. Zdołała się jednak opanować i wyrecytowała swoją formułkę. Ale mężczyzna wyczuł, że coś jest nie tak, i z troską w głosie spytał ją, czy dobrze się czuje.

Jak można być tak nieprofesjonalnym?, pomyślała ze złością Dance.

- Oczywiście - odrzekła ze sztucznym uśmiechem.

Lecz podobnie jak jego sąsiedzi, biznesmen oznajmił, że nie wi-dział niczego podejrzanego, po czym odszedł. Odprowadziwszy go wzrokiem, Dance wróciła do poszukiwań.

Chciała znaleźć jakikolwiek trop, chciała pomóc złapać tego dra-nia. Oczywiście jak każdemu glinie zależało jej na tym, aby zdjąć z ulicy chorego, niebezpiecznego człowieka. Ale chciała go takz przesłuchać, kiedy już zostanie aresztowany. Zegarmistrz był in-j od wszystkich sprawców, z którymi kiedykolwiek miała do czyn1 nia. Kathryn Dance była niezmiernie ciekawa, co go nakrecało - z śmiała się w duchu z dwuznaczności tego wyrażenia.

Kontynuowała wypytywanie ludzi na ulicy, lecz nie znalazła go, kto mógłby pomóc.

Dopóki nie natknęła się na człowieka wracającego ze sklepu-przecznicę od kamienicy Lucy zatrzymała mężczyznę pchającego ręczny wózek pełen zakupów spożywczych. Zerknął na portret pa-mięciowy Zegarmistrza i z ożywieniem przytaknął.

- Chyba

widziałem kogoś podobnego... - Nagle się zawahał.

- Ale



właściwie nie zwróciłem uwagi. - Zaczął odchodzić.

Kathryn Dance natychmiast zauważyła, że mężczyzna widział coś więcej.

Świadkopia.

\_ To naprawdę bardzo ważne.

Widziałem tylko, jak ktoś biegł ulicą. To wszystko.

Proszę posłuchać, mam pomysł. Ma pan tu coś, co się może zepsuć? -Wskazała wózek z zakupami.

Znów się zawahał, próbując odgadnąć jej zamiary.

Właściwie nie.

Może wstąpimy gdzieś na kawę i zadam panu jeszcze kilka py-tań. Zgoda?

Widziała, że nie ma ochoty się zgodzić, ale nagle uderzył w nich podmuch lodowatego wiatru, a z miny mężczyzny wyczytała, że nie miałby nic przeciwko temu, aby schronić się gdzieś przed mrozem.

- Może. Ale naprawdę nie potrafię powiedzieć pani nic więcej.

Och, zobaczymy.

Amelia Sachs wsiadła na tylne siedzenie forda windstara.

Z pomocą Coyle'a usiłowała unieść do pozycji siedzącej emeryto-wanego detektywa Arta Snydera, który był półprzytomny i mamro-tał coś niezrozumiale.

Kiedy Coyle otworzył drzwi samochodu, Snyder leżał jak długi z odrzuconą do tyłu głową, nieprzytomny. Sachs w pierwszej chwili pomyślała ze zgrozą, że popełnił samobójstwo.

Zaraz się jednak przekonała, że jest po prostu zalany w pestkę. Potrząsnęła nim deli-katnie.

-Art?

Otworzył oczy i utkwiał w niej zamglone, zdezorientowane spoj-rzenie.

Dwojgu policjantom udało się go w końcu posadzić.

Nie, chcę spać. Dajcie mi spokój. Spać.

To jego samochód?

Tak - odparł Coyle.

~ Co się stało? Jak się tu dostał?

~ Był u Harry'ego na tej ulicy. Nie chcieli go obsłużyć - był już stawiony - więc wyszedł na zewnątrz. Krótco potem akurat wpa-^m tam kupić fajki. Barman wiedział, że jestem gliną, i powie-lał mi o nim. Bał się, żeby nie wsiadł za kółko i nie zabił siebie al-0 kogoś innego. W

kieszeni miał pani wizytówkę. Zamroczony Art Snyder poruszył się na siedzeniu. ~ Dajcie mi spokój. - Zamknął oczy.Sachs zerknęła na Coyle'a.

Zajmę się nim.

Na pewno?

Tak. Sprowadź mi tylko taksówkę.

Nie ma sprawy.

Policjant wysiadł z samochodu i oddalił się w stronę ulicy. Sachs przycupnęła obok detektywa, dotykając jego ramienia. -Art?

Otworzył oczy, przyjrzał się i w końcu ją poznał. <

-To ty...

;

Art, zabieramy cię do domu.

Zostawcie mnie. Kurwa, dajcie mi święty spokój.

Po upadku miał rozcięte czoło i rozdarty rękaw. Ślady na ubraniu wskazywały, że niedawno wymiotował.

-

Jeszcze ci mało? - warknął. - Za mało mi zrobiłaś? - Wytrzeszczył oczy. - Odejdź. Chcę być sam. Daj mi spokój! - Osunął się na kolana, próbując wgramolić się za kierownicę. - Odczep się!

Sachs pociągnęła go do tyłu. Nie był drobnym mężczyzną, ale al-kohol odebrał mu siły.

Próbował wstać, lecz opadł z powrotem na sie-dzenie.

Świetnie sobie poradziłeś. - Wskazała leżącą na podłodze butelkę. Była pusta.

Co ci do tego? Co cię to, kurwa, obchodzi?

Co się stało? - dopytywała się.

Nie rozumiesz, że to przez ciebie?

Przeze mnie?

Myślałem, że uda się wszystko załatwić po cichu. W tym pie-przonym departamencie nie ma żadnych tajemnic. Pytam tylko o parę rzeczy, co się stało z tymi cholernymi aktami, które chciałaś zobaczyć... i nagle przestaje się pokazywać mój kumpel, ten, z któ-

rym grywam w bilard. Telefonów też nie odbiera. - Otarł usta rękawem. - Potem dzwoni - facet przez trzy lata był moim partnerem, mieliśmy razem z naszymi żonami popłynąć w rejs. Zgadnij, kto nie może jechać?... Wszystko przez to, że zadałem parę pytań. Glina na emeryturze zadawał pytania... Kiedy tylko weszłaś do mojego do-mu, powinienem ci kazać wypieprzać.

-Art, nie...

Och, nie martw się, moja pani. Nikomu nie mówiłem, jak sie nazywasz. Nic nie mówiłem. - Po omacku zaczął szukać butelki- L°"

baczył, że jest pusta, i cisnął ją na podłogę.

Znam dobrego terapeutę. Jeżeli potrzebujesz porady facho ca...

-

Porady? Co on może mi poradzić? Powie mi, jak spieprzyłemJ  
sobie życie?

Spojrzała na butelkę.

-

To tylko potknięcie. Wszyscy się potykają.

\_ Mówię o czymś innym. To właśnie przez to, że wszystko spie-przyłem.

\_ Co chcesz przez to powiedzieć, Art?

- Bo

byłem gliną. Wszystko zmarnowałem. Zmarnowałem życie.

Przeszył ją dreszcz: w jego słowach usłyszała echo własnych uczuć. Snyder ubrał w słowa powód, dla którego chciała odejść ze służby.

- Art,

powinieneś chyba wrócić do domu - powiedziała.

Mogłem robić setki innych rzeczy. Mój brat jest hydraulikiem.

Moja siostra skończyła studia i pracuje w agencji reklamowej. Zrobiła tę reklamę z motylkiem, tych podpasek ze skrzydełkami dla kobiet. Jest sławna. Mógłbym coś robić.

Po prostu czujesz się...

Cicho bądź - przerwał jej ostro, celując w nią palcem. - Za ma-

ło mnie znasz, żeby tak do mnie mówić. Nie masz prawa.

Sachs zamilkła. To prawda. Nie miała prawa.

-

Wszystko jedno, co wyniknie z tego twojego śledztwa, mam przesrane. Tak czy inaczej, mam przesrane.

Serce się jej ścisnęło na widok jego złości i bólu; otoczyła go ramieniem.

Art, posłuchaj...

Nie dotykaj mnie! - Jego głowa opadła bezwładnie, uderzając w szybę.

Po chwili zjawił się Coyle, pokazując drogę taksówkarzowi. Wspólnymi siłami Coyle i Sachs zaprowadzili Snydera do taksówki. Sachs podała adres Snydera, po czym opróżniła swój portfel, wręczając kierowcy prawie pięćdziesiąt dolarów oraz kluczyki do forda de-tektywa.

Zadzwoń do jego żony i dam jej znać, że jest w drodze - poinformowała taksówkarza. Żółty samochód odjechał, włączając się w gęsty ruch środkowego Manhattanu.

Dzięki - powiedziała do Coyle'a, który skinął głową i odszedł.

Wzięła mu wdzięczna, że nie zadawał żadnych pytań.

Sachs sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła pistolet Snydera, który Niepostrzeżenie wyjęła mu z kabury za plecami, obejmując go. Mo-Ze miał w domu drugi, ale przynajmniej z tego się nie zastrzeli. Rozładowała broń i pustą ukryła pod siedzeniem pasażera. Potem zamknęła drzwi i wróciła do swojego samochodu.

. Wbiła w kciuk paznokieć palca wskazującego. Miała wrażenie, Jakby swędziała ją skóra. Wezbrała w niej bezsilna złość, gdy sobie swiadomiła, że poza wymuszeniami i kradzieżą dowodów jej ojciec

~ i wszyscy skorumpowani policjanci - popełnił przestępstwo na znacznie większą skalę. Jej próby dotarcia do prawdy poruszyły nie-bezpieczną lawinę, która porwała nawet niewinnych ludzi. Nadzieje

. Snydera na spokojną emeryturę, na którą czekał tyle lat, rozwiały się

\* dym. Wszystko przez to, co się działo na posterunku numer 118.

Podobnie na zawsze odmieniło się życie rodzin skazanych gUnja rzy z Klubu Szesnastej Alei.

Przez to, co zrobili ojciec i jego kuitple żony i dzieci musiały oddać własne domy bankom, rzucić szkołę i j§ -do pracy; skandal skazał je na ostracyzm i napiętnował na zawsze Sachs miała jeszcze czas, aby uciec - mogła rzucić pracę w policji i uciec. Wstąpić do Argyle, zostawić brudną politykę. Wciąż miała czas. Ale dla Art Snydera było już za późno.

Dlaczego, tato? Dlaczego to zrobiłeś?

Amelia Sachs nigdy się już tego nie dowie.

Upływający czas pozbawił ją szansy odnalezienia odpowiedzi na to pytanie.

Była skazana wyłącznie na domysły, pozostawiające w duszy bolesną, niegojącą się ranę.

Mogłaby tylko cofnąć wskazówki zegara, a to oczywiście oznaczało, że była bezsilna.

Tony Parsons siedział w barze naprzeciwko Kathryn Dance, po-stawiwszy wózek z zakupami obok stolika. Mrużąc oczy, z żalem pokręcił głową.

Staram się coś sobie przypomnieć, ale naprawdę nic mi nie przychodzi do głowy. - Uśmiechnął się. - Chyba wyrzuciła pani pieniądze w błoto. - Uniósł filiżankę z kawą.

Mimo to spróbujemy. - Dance była pewna, że młody człowiek wie coś więcej. Uznała, że odezwał się bez zastanowienia - och, przesłuchujący uwielbiają ludzi ulegających impulsom - a potem zdał

sobie sprawę, że mężczyzna, którego widział, mógł być mordercą, może nawet tym, który poprzedniego dnia popełnił te okropne zbrodnie na pirsie i w alejce. Dance wiedziała z doświadczenia, że ludzie ochoczo zeznający na temat zdradzających się sąsiadów i dzieciaków kradnących w sklepach nagle mają kłopoty z pamięcią w wypadku poważniejszych przestępstw.

Może się okazać oporny, pomyślała Dance, ale to jej nie przeszkadzało. Uwielbiała wyzwania (radość, jaką często czuła w chwili przyznania się przesłuchiwanego, zawsze mąciła świadomość, że jego podpis na zeznaniu kończy kolejny słowny pojedynek).

Nalała mleka do kawy i rzuciła tęskne spojrzenie na widoczny za szybą placek z jabłkami.

Czterysta pięćdziesiąt kalorii. Cóż, trudno. Odwróciła się do Parsonsa.

Mężczyzna dosłodził kawę i zamieszał.

- Może coś bym sobie przypomniał, gdybyśmy o tym porozmawiali.

Świetny pomysł.

Skinął głową.

Nie ma to jak szczerze sam na sam.

I szeroko się do niej uśmiechnął.

Rozdział 26

Była jego nagrodą pocieszenia. Prezentem od Geralda Duncana. Morderca chciał go w ten sposób przeprosić i udowodnić, że naprawdę mu przykro, nie tak jak matce Vincenta.

W ten sposób mogli także zwolnić śledztwo - gwałcąc i zabijając jedną z prowadzących je osób. Duncan wspominał wcześniej o rudowłosej policjantce pracującej na miejscu drugiego morderstwa, proponując ją Vincentowi (och, tak, proszę... rude włosy, jak u Sally Anne). Ale obserwując policję z buicka pod domem Lucy Richter w Greenwich Village, zorientowali się, że nie mają szans dostać się do rudej; zawsze ktoś jej towarzyszył. Za to druga kobieta, chyba de-tektyw w cywilu, wyszła na ulicę sama, chcąc prawdopodobnie poszukać świadków.

Duncan i Vincent poszli kupić wózek ręczny, nową kurtkę zimową oraz wydali pięćdziesiąt dolarów na mydło, chipsy, słodycze i napoje, którymi wypełnili wózek. (Człowiek z zakupami w wózku nie jest podejrzany - jego przyjaciel zawsze myślał o wszystkim). Według planu Vincent miał krążyć po ulicach Greenwich Village, dopóki nie spotka drugiej policjantki lub ona się na niego nie natknie, a potem zaprowadzić ją do opuszczonego budynku oddalonego przecnicę od kamienicy Lucy Richter.

Vincent zamierzał zabrać ją do piwnicy i spędzić z nią tyle czasu, ile będzie chciał, podczas gdy Duncan miał się zająć następną ofiarą.

Duncan przyjrzał mu się uważnie.

- Nie

będziesz miał problemu z zabiciem policjantki?

Drżąc z obawy, by nie rozczarować przyjaciela, który zrobił mu tak wspaniały prezent, Vincent odrzekł: -Nie. Ale Duncan domyślał się, że to nieprawda.

-

Wiesz co - po prostu zostaw ją w piwnicy. Związaną. Kiedy skończę w centrum, wrócę tu i sam się nią zajmę.

Słyszając to, Vincent poczuł się o wiele lepiej.

Przyglądając się Kathryn Dance siedzącej niewiele ponad metr od niego, umierał z głodu.

Przesuwał wzrok po jej zaplecionych włosach, gładkiej szyi, długich palcach. Nie była gruba,

ale miała pełną figurę, zupełnie inną niż te chude jak modelki dziewczyny, które można było spotkać w całym mieście. Kto by miał ochotę na takie chuchra?

Jej figura wzmagala głód.

Jej zielone oczy wzmagaly głód.

Głód wzmagalo nawet jej imię, Kathryn. Z jakiegoś powodu należało do tej samej kategorii co imię Sally Annę. Nie wiedział dlacze-go. Może brzmiało staroświecko. Zauważył też jej łakomy wzrok, kie-dy spojrzała na desery. Jest taka sama jak ja! Nie mógł się doczekać chwili, gdy położy ją na brzuchu w pustym budynku.

Upił łyk kawy.

A więc jest pani z Kalifornii? - spytał Vincent, a raczej uczynny Tony Parsons.

Zgadza się.

Na pewno jest tam ładnie.

Rzeczywiście. W niektórych okolicach. Proszę sobie przypomnieć, co dokładnie pan widział. Zobaczył pan biegnącego mężczyznę, tak? Proszę mi coś o nim powiedzieć.

Vincent wiedział, że cały czas musi być skupiony - przynajmniej dopóki nie znajdą się sami w opuszczonym budynku. „Bądź ostrożny” - radził mu Duncan. - „Odpowiadaj powściągliwie. Udawaj, że wiesz coś o mnie, ale wolisz nie mówić. Wahaj się. Tak się zachowują prawdziwi świadkowie”.

Zdradził jej - powściągliwie i z wahaniem - kilka szczegółów o biegnącym ulicą mężczyźnie, podając ogólny rysopis Geralda Dun-cana, który i tak policja już знаła, ponieważ miała komputerowy portret pamięciowy (będzie musiał powiedzieć o tym Duncanowi). Kathryn zapisała coś w notesie.

Jakieś znaki szczególne?

Hm. Nie pamiętam. Mówiłem już pani, że nie widziałem go z bliska.

Miał przy sobie jakąś broń?

Nie sądzę. Co on właściwie zrobił?

Doszło do próby napaści.

Och, nie. Ktoś został ranny?

Na szczęście nie.

Albo na nieszczęście, pomyślał Vincent Mądrala/Tony.

- Zauważył pan, czy coś niósł? - pytała agentka Dance.

Niczego nie komplikuj, przypomniał sobie. Nie daj się na niczyi\*1 złapać.

Z namysłem zmarszczył brwi i po chwili wahania odparł:

- Być może. Może coś niósł. Chyba torbę. Naprawdę nie widzi3'łem. Biegł dość szybko... - Urwał.

Kathryn przechyliła głowę.

\_ Chciał pan coś dodać?

\_ Przykro mi, nie mogę więcej pomóc. Wiem, że to ważne.

\_ Nic nie szkodzi - odparła uspokajającym tonem kobieta i Vincent przez moment poczuł wyrzuty sumienia z powodu tego, co zamierzał z nią za kilka minut zrobić.

Ale głód przekonał go, że nie powinien mieć wyrzutów sumienia. Jego pragnienie było całkiem normalne.

Bez jedzenia umieramy...

Mam rację, agentko Dance?

Pijąc kawę, Vincent podał jej jeszcze kilka zmyślonych szczegółów na temat wyglądu podejrzanego.

Kathryn gawędziła z nim jak z dobrym znajomym. Wreszcie Vincent uznał, że już czas.

Oznajmił:

Ma pani rację, wiem coś jeszcze... przedtem trochę się bałem.

Wie pani, jestem tu codziennie. Pomyślałem sobie, a jak wróci?

Mógłby się domyślić, że coś o nim powiedziałem.

Dopilnujemy, żeby pozostał pan anonimowy. I będziemy pana chronić. Obiecuję.

Chwila roztropnego wahania.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Będzie pana pilnował policjant.

Ciekawy pomysł. Mogę dostać tę rudą?

Powiem pani. Widziałem, dokąd uciekł. To było tylne wejście do budynku na tej ulicy. Wbiegł do środka.

Drzwi były otwarte? Czy miał klucz?

Chyba były otwarte. Jeżeli pani chce, mogę pokazać.

To by nam bardzo pomogło. Skończył pan? - spytała, wskazując filiżankę.

Wychylił resztkę kawy.

- Już tak.

Zamknęła notes. Będzie musiał pamiętać, żeby go zabrać, kiedy już skończy.

Dziękuję, agentko Dance.

Proszę bardzo.

Wyszedł z wózkiem na ulicę, a agentka zapłaciła rachunek. Po-tem ruszyli razem we wskazanym przez niego kierunku.

W grudniu w Nowym Jorku zawsze jest tak zimno?

Tak, dość często.

Okropnie marzną.

Naprawdę? Wyglądasz mi na nieźle napaloną.

- Dokąd idziemy? - spytała, zwalniając kroku i spoglądając na tabliczki z nazwami ulic. Zmrużyła oczy w ostrym blasku słońca.

Przystanęła i zapisała coś w notesie, powtarzając głośno treść notatki- - Sprawca widziany niedawno na Sherman Street w Greenwich

Will. - Rozejrzała się. - Wszedł do alejki między Sherman a Barrow... - Zerknęła na Vincenta. - Z której strony ulicy jest alejka? Od północy, południa?

Muszę być dokładna.

Ach, więc też jest skrupulatna.

Przez chwilę zbierał myśli, otumaniony głodem, który dokuczał mu bardziej niż przenikliwy ziąb.

- Zdaje

się, że od południowego wschodu.

Spojrzała do notesu i zaśmiała się.

-

Tak mi się trzęsą ręce, że ledwie da się cokolwiek odczytać.

Ten mróz jest nie do wytrzymania. Nie mogę się doczekać powrotu do Kalifornii.

Długo sobie poczekasz, złotko... Ruszyli dalej.

Ma pan rodzinę? - spytała.

Aha. Żonę i dwoje dzieci.

Ja też mam dwójkę. Syna i córkę.

Vincent skinął głową, zastanawiając się, ile lat może mieć córka.

To ta uliczka?

Aha. Tu właśnie wbiegł. - Ciągnąc za sobą wózek z zakupami, wszedł do alejki prowadzącej do ich miłosnego gniazda - opuszczonego budynku. Miał bolesną erekcję.

Vincent sięgnął do kieszeni i zacisnął dłoń na rękojeści noża. Nie, nie mógłby jej zabić. Ale jeżeli zacznie się opierać, będzie mu-siał się bronić.

Tnij oczy...

Obrzydliwość, ale zakrwawiona twarz to żaden problem. Vincent i tak wolał kłaść swoje ofiary na brzuchu.

Szli w głąb alejki. Vincent rozejrzał się i zobaczył budynek w odległości dziesięciu czy piętnastu metrów.

Dance znów przystanęła i otworzyła notes. Zaczęła pisać, recytując głośno:

-

Alejka przebiega na tyłach sześciu, nie, siedmiu budynków mieszkalnych. Stoją tu cztery kubły na śmieci. Alejka jest asfalto-wana. Sprawca wbiegł tu, kierując się na południe. - Nałożyła rękawiczki na zziębnięte dłonie o cudownie czerwonych paznokciach.

Vincent poczuł, że słabnie od trawiącego go głodu. Kurczowo ścisnął nóż, oddychając szybko.

Znów się zatrzymała.

Teraz! Bierz ją!

Zaczął wyciągać nóż z kieszeni.

Nagle powietrze przeszył ryk syren dobiegający z drugiego końca alejki. Zaskoczony Vincent spojrział w tę stronę.

I poczuł na karku lufę pistoletu.

- Ręce do góry! - krzyknęła agentka Dance, łapiąc go za ramię.

-Ale...

-Już!

Mocniej wbiła lufę w skórę jego czaszki.

Nie, nie, nie! Upuścił nóż, unosząc ręce. Co się dzieje?

Zahamował przed nimi policyjny radiowóz, tuż za nim drugi. 2 samochodów wyskoczyło czterech wielkich gliniarzy. Nie, och, nie...

- Na

ziemię! - zakomenderował jeden z nich. - Ale już!

Dance odsunęła się, pozwalając funkcjonariuszom otoczyć Vincenta.

Nic nie zrobiłem! Nic!

Do ciebie mówię! - wrzasnął jeden z policjantów. - Twarzą w glebę.

-

Ale jest zimno, brudno! Naprawdę nic nie zrobiłem!

Rzucili go na ziemię. Jęknął, gdy powietrze uszło mu z płuc.

Znowu było tak samo jak z Sally Annę.

Nie waż się drgnąć, tłuściochu! Pieprzony zboczeńcu!...

Nie, nie, nie!

Poczuł mocne szarpnięcie. Boleśnie wykręcono mu ramiona do tyłu i zatrzaśnięto na przegubach kajdanki. Czyjeś ręce przeszukały go, wywracając kieszenie na lewą stronę.

-

Jest prawo jazdy. I nóż.

Vincent stracił orientację, nie wiedząc, czy to się dzieje dzisiaj, czy trzynaście lat temu.

-

Nic nie zrobiłem! O co chodzi?

Jeden z policjantów powiedział do agentki Dance:

- Słyszeliśmy wyraźnie każde słowo. Nie musiała pani wchodzić z nim do alejki.

- Bałam się, że ucieknie. Chciałam z nim zostać jak najdłużej.

Co się dzieje?, myślał gorączkowo Vincent. O czym ona mówi?

Agentka Dance spojrzała na policjanta, wskazując głową Vincenta.

-

Świetnie mu szło, dopóki nie poszliśmy na kawę. Kiedy tylko usiadł, już wiedziałam, że udaje.

- Oszalała pani, nic nie...

Odwróciła się do Vincenta.

- Zauważyłam sprzeczność między twoją wymową a treścią wypowiedzi, a twój język ciała zdradzał, że w ogóle ze mną nie rozmawiasz. Miałeś jakiś ukryty zamiar i z jakiegoś powodu próbowałeś mną manipulować... teraz już wiem, że chciałeś mnie zwabić do alejki.

Wyjaśniła, że płacąc rachunek w barze, wyciągnęła telefon ko-mórkowy i wcisnęła przycisk ponownego wybierania numeru, dzwoniąc do detektywa, z którym współpracowała.

Poinformowała go szeptem o swoich wnioskach, prosząc, żeby przysłał w tę okolicę pa-trole.

Potem ukryła telefon pod notesem, nie wyłączając go.

Dlatego głośno podawała nazwy ulic; dawała wskazówki, gdzie ają ich szukać.

Vincent spojrzał na jej ręce. Dance pochwyciła jego wzrok i p0. kazała długopis.

Zgadza się. Oto mój pistolet.

Popatrzył na pozostałych gliniarzy.

Nie wiem, co tu się dzieje. To jakaś straszna bzdura.

Jeden z nich powiedział:

-

Daruj sobie. Tuż przed jej telefonem dostaliśmy sygnał, że kierowca samochodu, który uciekł z miejsca tamtej napaści, znowu zjawił się w dzielnicy z wózkiem zakupów. Biały, gruby mężczyzna.

Ma na imię Sally Annę, grubasie. Uciekła, zadzwoniła na policję i powiedziała nam o tobie...

To nie ja! Nic nie zrobiłem. Mylicie się. Bardzo się mylicie.

Jasne - odezwał się z rozbawieniem inny z umundurowanych funkcjonariuszy. - Znamy to na pamięć. Idziemy.

Chwycili go za ramiona i bezceremonialnie powlekli do radiowo-zu. Usłyszał w głowie głos Geralda Duncana.

Przepraszam. Zawiodłem cię. Wszystko ci wynagrodzę...



I gruby Vincent Reynolds podjął niezłomne postanowienie. Po-wiedział sobie, że bez względu na to, co z nim zrobią, za nic nie zdra-dzi swojego przyjaciela.

Przy frontowym oknie w laboratorium Rhyme'a usiadł zwalisty, pękaty mężczyzna z rękami skutymi na plecach.

Z jego prawa jazdy i danych w wydziale komunikacji wynikało, że nie nazywa się Tony Parsons, lecz Vincent Reynolds, ma dwadzie-ścia osiem lat, mieszka w New Jersey i pracuje w biurach na kon-traktach krótkoterminowych. Żadna z kilku agencji pośrednictwa pracy, które go wynajmowały, nie wiedziała o nim nic poza tym, co wynikało z podstawowych dokumentów o zatrudnieniu i CV; był wzorowym, zupełnie nierzucającym się w oczy pracownikiem.

Z mieszaniną złości i niepokoju Vincent spoglądał to w podłogę, to na otaczających go policjantów - Rhyme'a, Sachs, Dance, Bakera i Sellitta.

Nie był wcześniej karany, na jego nazwisko nie wystawiono żad-nych nakazów, a podczas przeszukania jego nędznego mieszkania w New Jersey nie wykryto niczego, co mogłoby go łączyć z Zegarmi-strzem. Nie było też dowodów na obecność w życiu Reynoldsa ko-chanki, bliskich przyjaciół ani rodziców. Funkcjonariusze znaleźli tylko list do siostry mieszkającej w Detroit. Sellitto zdobył numer jej telefonu od policji stanowej z Michigan i zadzwonił.

Zostawił jej wiadomość z prośbą, aby się z nimi skontaktowała.

W nocy, gdy popełniono morderstwa na pirsie i przy Cedar Street, Reynolds pracował, ale od wtorku był na urlopie.

Mel Cooper przesłał jego cyfrową fotografię do pracowni flory stycznej Joannę Harper.

Kobieta poinformowała ich, że osoba n\*ję zdjęciu rzeczywiście jest podobna do mężczyzny, który obserwowa1

ją przez okno, nie jest jednak pewna, ponieważ widziała go przez brudną szybę w jasnym świetle słonecznym, a twarz intruza przesła-niały okulary przeciwsłoneczne.

Mimo podejrzania, że Reynolds jest współnikiem Zegarmistrza, mieli na to bardzo wątle dowody. Ślad buta z garażu, gdzie porzucili forda explorera, zgadzał się z jego numerem butów, trzynaście, nie było jednak żadnych cech charakterystycznych pozwalających na jednoznaczną identyfikację. Wśród zakupów - które zdaniem Rhy-me'a stanowiły przykrywkę mającą mu ułatwić zbliżenie się do Dan-ce lub innej osoby z ekipy śledczej - były chipsy, chrupki, ciastka i słodczyce, ale żadna z paczek nie była otwarta, a w kieszeniach jego ubrania nie znaleźli żadnych okruchów podobnych do resztek jedze-nia zebranych przez Pułaskiego w samochodzie.

Zatrzymali go więc jedynie za nielegalne posiadanie noża i za-klócenie działań operacyjnych policji - był to typowy zarzut w wy-padku zgłoszenia się fałszywego świadka.

Mimo to duża część ratusza i komendy głównej chciała urządzić Vincentowi Abu Ghraib i za pomocą grózb zmusić go, by sypnął Ze-garmistrza. Ku takiej metodzie skłaniał się Dennis Baker; ratusz mocno na niego naciskał, by znaleźć sprawcę.

Kathryn Dance oświadczyła jednak:

- Nic z tego nie będzie. Schowa się w skorupie jak żółw i powie jakąś bzdurę na odczepne. A tak między nami - dodała - tortury są bardzo nieskuteczne, jeżeli chodzi o zdobywanie precyzyjnych infor-macji.

Tak więc Rhyme i Baker poprosili ją, by sama przesłuchała Vin-centa. Musieli jak najszybciej znaleźć Zegarmistrza, a jeśli bicie i polewanie nie wchodziło w grę, potrzebowali pomocy fachowca.

Agentka z Kalifornii zasłoniła okna i usiadła naprzeciw Vincen-ta, przysuwając się z krzesłem, dopóki nie znalazła się w odległości metra od niego. Rhyme przypuszczał, że chciała w ten sposób naru-szyć jego strefę osobistą i ułatwić sobie pokonanie oporu z jego stro-ny. Uświadomił sobie też, że gdyby Vincent stracił nad sobą panowa-nie, mógłby się na nią rzucić i dotkliwie ją zranić zębami lub głową.

Dance niewątpliwie też zdawała sobie z tego sprawę, lecz nie zdradzała oznak poczucia zagrożenia. Uśmiechnęła się do niego z re-zerwą i powiedziała spokojnie: Vincent, wiem, że zostałeś poinformowany o swoich prawach i zgodziłeś się z nami porozmawiać. Jesteśmy ci za to wdzięczni.

Oczywiście, zrobię wszystko, żeby pomóc. To jedno wielkie...

~ wzruszył ramionami - ...nieporozumienie.

Wobec tego wszystko sobie wyjaśnimy. Najpierw musisz mi po-dać kilka podstawowych informacji. - Zapytała go o imię i nazwisko, adres, wiek, miejsce pracy i czy kiedykolwiek został aresztowany.

Zmarszczył brwi.

- Już to wszystko mówiłem. - Spojrzał na Sellitta.

Przykro mi, ale rozumiesz, jak to jest. Nie wie lewica, co czyni prawica... Gdybyś był uprzejmy wszystko powtórzyć...

Zgoda.

Dance pytała o potwierdzone informacje, Rhyme wysnuł więc wniosek, że agentka chce ustalić jego wzorzec reakcji. Ponieważ Kathryn Dance zmieniła jego opinię na temat przesłuchiwania i świadków, kryminalistyk zaintrygowany obserwował rozmowę.

Notując odpowiedzi Vincenta, Dance uprzejmie kiwała głową, dziękując mu od czasu do czasu za współpracę. Rhyme nie rozumiał dlaczego obchodzi się z nim tak łagodnie. Sam potraktowałby go znacznie ostrzej.

Vincent skrzywił się.

- Mogę mówić tak długo, jak pani chce, ale mam nadzieję, że wy-słaliście kogoś, żeby poszukał tego człowieka, którego widziałem.

Nie może uciec. Trochę się niepokoję. Próbowałem tylko pomóc, a tu proszę, co się stało. Tak to już ze mną jest.

Informacja o podejrzanym, którą Vincent wcześniej przekazał Dance i policjantom, nie okazała się jednak przydatna. W budynku, gdzie według niego zniknął morderca, nie znaleziono śladów niczy-jej obecności.

Wróćmy do faktów. Chciałabym, żeby jeszcze raz opowiedział

mi pan, co się stało. Ale tym razem proszę, żeby zrobił to pan w od-wrotnej kolejności.

Słucham?

W odwrotnym porządku chronologicznym. To dobry sposób na pobudzenie pamięci. Proszę zacząć od ostatniego zdarzenia. Podejrzany znika za drzwiami tego starego budynku w alejce... Zacznij-my od detali. Od koloru drzwi.

Vincent poruszył się na krześle, marszcząc czoło. Po chwili rozpo-czął relację od widoku mężczyzny wchodzącego do budynku (koloru drzwi nie pamiętał). Następnie opowiedział, co zdarzyło się wcześ-niej - podejrzany biegł alejką. Przedtem w nią skręcił. A wcześniej biegł

ulicą. Na koniec Vincent wrócił do chwili, gdy zauważył męż-czyznę na Barrow Street, jak z niepokojem rozgląda się dookoła i za-czyna biec.

Dobrze - odrzekła Dance, zapisując wszystko w notesie. - Dziękuję, Vincent. - Lekko zmarszczyła brwi. - Ale dlaczego mi powiedziałeś, że nazywasz się Tony Parsons?

Bo się bałem. Zrobiłem dobry uczynek, powiedziałem, co widziałem, ale miałem stracha, że morderca mnie zabije, kiedy się d°; wie, jak się nazywam. - Zadrżały mu usta. - Żałuję, że w ogóle panl o tym powiedziałem. Ale stało się. Mówiłem, że się boję.

Jego żałosne jęczenie zirytowało Rhyme'a. Zacznił go wreszcie maglować, rozkazał agentce w duchu.

Kathryn Dance powiedziała jednak uprzejmym tonem:

-

Porozmawiajmy o nożu.

-

No dobrze, nie powinienem go mieć przy sobie. Ale parę lat te-mu mnie napadli. To było straszne. Głupi jestem. Powinienem zostaje nóż w domu. Zwykle tak robię. Ale czasem nie myślę. I wtedy zawSZe pakuję się w kłopoty.

Dance zsunęła żakiet i powiesiła go na stojącym obok krześle.

- Inni

mają dość oleju w głowie, żeby się do niczego nie mieszać

- ciągnął Vincent. - A ja ledwie coś powiem i proszę. - Wbił wzrok w podłogę, z wyraźnie zde gustowaną miną.

Dance spytała go, skąd dowiedział się o zbrodniach Zegarmistrza i gdzie był podczas popełnienia dwóch pierwszych przestępstw.

Pytania wydały się Rhyme'owi dziwne. Płytkie. Na miejscu Kath-ryn byłby bardziej dociekliwy, żądając od niego podania dokładne-go alibi i nie zostawiając na nim suchej nitki.

A Dance nie podejmo-wała żadnego z niezłych tropów, jakie pojawiły się w jego zeznaniu.

Ani razu nie zapytała go, czy był jakiś inny powód, dla którego za-prowadził ją do alejki - wszyscy przypuszczali, że zamierzał ją za-mordować albo torturami zmusić do powiedzenia, co policja wie o Zegarmistrzu.

Nie reagując na jego odpowiedzi, agentka cały czas notowała. Po chwili spojrzała na Sachs.

Amelio, mogę cię o coś prosić?

Jasne.

- Mogłabyś pokazać Vincentowi ślad buta, jaki znaleźliśmy?

Sachs wstała, wzięła elektrostatyczny obraz podeszwy i podsunę-ła Vincentowi pod oczy.

Po co mi to pani pokazuje? - zapytał.

To twój rozmiar, prawda?

Mniej więcej.

Wpatrywała się w niego bez słowa. Rhyme wyczuł, że Dance za-stawia na niego kapitalną pułapkę. Uważnie ich obserwował...

- Dziękuję - powiedziała agentka do Sachs, która usiadła.

Dance przysunęła się bliżej, wchodząc głębiej w przestrzeń osobistą podejrzanego.

Vincent, ciekawa jestem, gdzie zrobiłeś zakupy?

Chwila wahania.

W Food Emporium.

Wreszcie Rhyme zrozumiał. Poruszając temat zakupów, chciała go spytać, dlaczego poszedł do sklepu na Manhattanie, skoro mieszka w New Jersey i wszystko, co miał w wózku, mógłby kupić bliżej domu i prawdopodobnie taniej. Nachyliła się, zdejmując okulary.

Teraz - już wpadł w potrzask.

Kathryn Dance uśmiechnęła się i rzekła:

- Dziękuję, Vincent. To chyba wszystko. A może chciałbyś się czegoś napić?

Vincent skinął głową.

- Tak.

Dziękuję.

Dance zerknęła na Rhyme'a.

- Możemy mu coś podać?

Rhyme posłał zdumione spojrzenie Sachs, która zmarszczyła brwi. Co ona sobie wyobrażała?

Nie wyciągnęła z niego ani jednej informacji. Strata czasu, uznał kryminalistyk. O nic więcej nie za. mierzą go pytać? A teraz jeszcze chce go ugościć? Rhyme niechętnie zawołał Thoma, który przyniósł colę.

Dance włożyła do napoju słomkę i przytrzymała szklanekę, aby Vincent mógł się napić bez zdejmowania kajdanek. Opróżnił ją w kilka sekund.

-

Vincent, zostaw nas na parę minut samych, a wszystko sobie wyjaśnimy.

- Jasne.

Funkcjonariusze z patrolu wyprowadzili go z laboratorium. Dance zamknęła za nimi drzwi.

Dennis Baker z niezadowoleniem pokręcił głową. Sellitto mruknął:

- Beznadziejna

sprawa.

Dance spojrzała na nich z dezaprobatą.

Ależ nie, świetnie nam idzie.

Doprawdy? - odezwał się Rhyme.

Zmierzamy prosto do celu... Sytuacja wygląda tak. Najpierw ustaliłam wzorzec reakcji, a potem poprosiłam, żeby opowiedział

wszystko w odwrotnym porządku chronologicznym - to najlepszy sposób przyłapania przesłuchiwanego na kłamstwie. Ludzie potrafią bez kłopotu opisać w dowolnym porządku tylko prawdziwe wydarzenia - od początku do końca albo odwrotnie. Ale zmyślają tylko w jednym kierunku, od początku do końca. Kiedy próbują zrekonstruować całą historię wstecz, brakuje im elementów, na których budowali scenariusz, dlatego się mylą. Od razu poznałam, że to wspólnik Zegarmistrza.

Naprawdę? - zaśmiał się Sellitto.

Och, to było oczywiste. Jego reakcje rozpoznania były widoczne jak na dłoni, poza wszelką skalą. I wcale nie boi się o własne bezpieczeństwo, jak twierdził. Nie, na pewno zna Zegarmistrza i brał

udział w tych przestępstwach, ale nie wiem, na czym polegała jego rola. Był kimś więcej niż tylko kierowcą.

Ale w ogóle go o to nie pytałaś - zauważył Baker. - Czy nie powinniśmy się raczej dobrać do

jego alibi i wyciągnąć z niego, gdzie był podczas napadu w pracowni kwiaciarskiej i mieszkaniu w Greenwich Village?

Rhyme doszedł do tych samych wniosków.

-

Och, nie. Nie moglibyśmy zrobić nic gorszego. Ten typ przesfU

chiwanego natychmiast się blokuje. To skomplikowany człowiek, o°

si w sobie jakiś poważny konflikt. Przypuszczam, że jest w drugiej fazie reakcji stresowej, w depresji. A to w gruncie rzeczy złość skie'

rowana do wewnątrz. I bardzo trudno się przez nią przebić. W Vrte słuchaniu kogoś o takim typie osobowości musiałabym wytworzyć yfięi zrozumienia, a zanim odkryłabym prawdę tradycyjnymi meto-dami, minęłoby wiele dni albo nawet tygodni. Ale nie mamy czasu. Trzeba spróbować czegoś radykalnego.

- Czego?

Dance wskazała słomkę, przez którą pił Vincent.

Możesz zamówić analizę DNA? - spytała Rhyme'a.

Owszem, ale to trochę potrwa.

Nie szkodzi, jeżeli tylko będziemy mogli zgodnie z prawdą powiedzieć, że została zamówiona. -

Uśmiechnęła się. - Nigdy nie wolno kłamać. Ale nie trzeba mówić podejrzanemu wszystkiego.

Rhyme odjechał do głównej części laboratorium, gdzie Mel Cooper i Pułaski nadal pracowali nad dowodami. Kiedy wyjaśnił, o co chodzi, Cooper zapakował słomkę w plastik i wypełnił prośbę o analizę DNA.

- Proszę. Formalnie rzecz biorąc, test został zamówiony. Tylko laboratorium nic jeszcze o tym nie wie. - Parsknął śmiechem.

-

Vincent ukrywa przede mną coś ważnego - ciągnęła Dance.

-1 bardzo się tym denerwuje. Jego reakcja na moje pytanie, czy kiedykolwiek został aresztowany, była fałszywa, ale jednocześnie dobrze przećwiczona. Sądzę, że trafił za kratki, ale jakiś czas temu. W kartotekach nie ma jego odcisków, więc jakoś udało mu się wymknąć - może z powodu fuszerki w laboratorium, a może był nieletni. Wiem jednak, że na pewno był już na bakier z prawem. I chyba się domyślam, o co chodziło. Dlatego zdjęłam żakiet i poprosiłam Amelię, żeby do niego podeszła. Pożerał nas obie wzrokiem. Próbował się powstrzymać, ale nie potrafił. Myślę, że ma na koncie gwałt. Chcę to wykorzystać i zable-fować. Kłopot w tym, że może zażądać dowodów - ciągnęła. - Wtedy stracimy kartę przetargową i może upłynąć dużo czasu, zanim wydusi-my z niego coś konkretnego.

-

Ciebie chyba nie muszę pytać o zdanie - powiedział do Rhyme^ Sellitto.

Do diabła, pewnie, że nie musisz, pomyślał Rhyme.

Trzeba zaryzykować.

Co ty na to, Dennis? - spytał Sellitto.

Powinienem zadzwonić do centrum. Ale jeżeli się nie zgodzą, będziemy pluć sobie w brodę. Dobra, zrób to.

Jeszcze jedno - dodała agentka. - Sama muszę się wyłączyć 2 gry. Bez względu na to, co zamierzał mi zrobić w alejce, trzeba na to machnąć ręką. Jeżeli poruszę ten temat, zmieniają się relacje

mię-

dzy nami i przestanie ze mną rozmawiać; trzeba będzie zaczynać Wszystko od początku.

Przecież wiesz, co ci chciał zrobić - zauważyła Sachs.

~ Och, wiem doskonale. Ale musimy się skupić na naszym celu "z znalezieniu Zegarmistrza.

Czasem pewne rzeczy muszą zejść na dr«gi plan.

Sellitto zerknął na Bakera i skinął głową.

Agentka podeszła do najbliższego komputera i wstukała jakieś polecenie, a potem wpisała nazwę użytkownika i hasło. Mrużąc oczy spojrzała na ekran, na którym wyświetliła się strona internetowa. Kiedy wcisnęła kilka klawiszy, na monitorze ukazał się profil DNA jakiegoś podejrzanego.

Następnie Dance otworzyła torebkę i zamieniła okulary łagodnej owieczki na oprawki okrutnego wilka.

- No to zaczynamy zabawę. - Otworzyła drzwi i poleciła przyprowadzić Vincenta.

Tęgi mężczyzna, z ciemnymi plamami potu pod pachami, ponownie wtoczył się do pokoju i usiadł na krześle, które jęknęło pod jego ciężarem. Był ostrożny.

Dance przerwała milczenie.

-

Vincent, obawiam się, że mamy problem.

Z niepokojem zmrużył oczy.

Dance pokazała mu plastikową torebkę ze słomką, przez którą pił colę.

-

Wiesz, co to jest DNA, prawda?

-

O czym pani mówi?

Uda się czy nie?, myślał Rhyme. Da się na to nabrać?

Czy Vincent przerwie przesłuchanie, zamilknie i zażąda adwoka-ta? Miał do tego pełne prawo. Błef zakończy się katastrofą i być może nie uda im się uzyskać żadnej informacji, dopóki Zegarmistrz nie zabije następnej ofiary.

Dance spokojnie zapytała:

- Vincent,

widziałeś kiedyś analizę swojego DNA?

Odwróciła monitor w jego stronę.

- Przypuszczam,

że nie wiesz, co to jest CODIS. Tak się nazywa za-

łożony przez FBI system baz danych DNA. Ilekroć dochodzi do gwał-

tu albo przestępstwa seksualnego, a sprawcy nie udaje się złapać, pobiera się próbki jego płynów ustrojowych, skóry i włosów. Nawet jeżeli używał prezerwatywy, zwykle na ciele ofiary zostaje pewna ilość materiału z DNA. Profil wprowadza się do bazy, a kiedy policja znajduje podejrzanego, jego profil porównuje się z próbką. Spójrz.

Pod nagłówkiem „CODIS” widniało kilkadziesiąt linijek wypeł-nionych cyframi, literami, wykresami i niewyraźnymi paskami, kompletnie niezrozumiałymi dla kogoś, kto pierwszy raz miał do czynienia z systemem.

Mężczyzna siedział zupełnie nieruchomo. Słyszał było tylko jego ciężki oddech. Rhyme zauważył jego harde spojrzenie.

To jakiś kit.

Dobrze wiesz, Vincent, że DNA to niepodważalny dowód. Wyr<sup>o</sup>

ki skazujące zapadają wiele lat po popełnieniu przestępstwa.

Nie możecie... Nie zgodziłem się na to. - Spojrzał na słomkę w 1-nrpbce.

- Vincent - powiedziała cicho Kathryn. - Masz poważne kłopoty. W zasadzie to prawda, pomyślał Rhyme. Był w posiadaniu śmier-telnie niebezpiecznej broni. Nigdy nie wolno kłamać...

-

Ale wiesz coś, na czym nam zależy. - Dance zrobiła krótką pauzę. - Nie znam się na nowojorskich procedurach prawnych, ale w Kalifornii nasz prokurator okręgowy ma dużo swobody w podejmowaniu decyzji o losie świadków współpracujących z policją.

Spojrzała na Sellitta, który zapewnił go:

-

Tak, Vincent, u nas jest tak samo. Prokurator posłucha naszych sugestii.

Vincent milczał, zaciskając zęby i wpatrując się w kreski i paski na ekranie monitora.

Mamy dla ciebie propozycję - odezwał się Baker. - Jeżeli pomo-

żesz nam złapać Zegarmistrza i przyznasz się do dawniejszych gwał-tów, zrezygnujemy z zarzutów udziału we wczorajszych dwóch morderstwach. Dopilnujemy, żeby umożliwiono ci terapię. I zostaniesz odizolowany od reszty więźniów.

Ale musisz nam pomóc - dodała stanowczym tonem Dance.

-W tej chwili. Co ty na to, Vincent?

Znów popatrzył na ekran z profilem DNA, który w rzeczywistości nie miał z nim nic wspólnego. Jego noga nieznacznie podrygiwała - znak, że gorączkowo się zastanawiał, co począć.

Skierował harde spojrzenie na Kathryn Dance.

Tak czy nie? Jaka będzie decyzja?

Minęła cała minuta. Rhyme słyszał tylko tykanie zegarów Zegar-mistrza.

Vincent skrzywił się boleśnie. Obrócił na nich ciężki wzrok.

-

Jest biznesmenem ze Środkowego Zachodu. Nazywa się Gerald Duncan. Mieszka w kościele na Manhattanie. Mogę dostać jeszcze jedną colę?

^L

Rozdział 27

Gdzie teraz jest? - warknął Dennis Baker. - Zamierzał jeszcze kogoś... -Vincent urwał.

Zabić?

Podejrzany przytaknął.

Gdzie?

Nie wiem dokładnie. Mówił, że na środkowym Manhattanie.

Nie powiedział gdzie. Naprawdę.

Wszyscy zerknęli na Kathryn Dance, która, nie wyczuwając fał-szu w jego słowach, lekko skinęła głową.

-

Nie wiem, czy jest tam, czy w kościele.

Podał im adres.

-

Znam ten kościół - powiedziała Sachs. - Jakiś czas temu został zamknięty.

Sellitto zadzwonił do ESU i polecił Haumannowi przygotować oddział antyterrorystów do akcji.

- Za godzinę mieliśmy się spotkać w Greenwich Village. Niedaleko tego budynku w alejce.

Gdzie Vincent zamierzał zabić i zgwałcić Kathryn Dance, pomyślał Rhyme. Sellitto kazał postawić w pobliżu budynku nieoznakowane samochody.

Kim jest następna ofiara? - spytał Baker.

Nie wiem. Naprawdę. Nic mi o niej nie mówił, bo...

Dlaczego? - zapytała Dance.

Bo nie miałem z nią niczego robić.

Robić...

Rhyme zrozumiał.

- Czyli

pomagałeś mu, a w zamian za to mogłeś się zająć ofiarą mi, tak?

-

Tylko kobietami - rzekł szybko Vincent. - Mężczyzn nie chcia-

łem - dodał ze wstrętem. - Nie jestem nienormalny... I dopiero wtedy, gdy już nie żyły, więc to nie był gwałt. Nie był. Tak mówił GeraW-Dance i Sellitto nie zareagowali, lecz na twarzy Bakera odmalował się szok. Sachs starała się nad sobą panować.

-

Dlaczego nie miałeś niczego robić z następną ofiarą? - zapytał Baker.

\_ Bo... bo chciał ją spalić.

-

Jezu... - mruknął Baker.

Jest uzbrojony? - spytał Rhyme.

Vincent skinął głową.

Ma broń. Pistolet.

Trzydziestkędwójkę?

Nie wiem.

Jakim samochodem jeździ? - indagował Sellitto.

Ciemnoniebieskim buickiem. Kradzionym. Dwuletnim.

Numer rejestracyjny?

Nie znam. Naprawdę. Dopiero go ukradł.

Nadaj komunikat - polecił Rhyme. Sellitto wydał odpowiednie dyspozycje.

Ale to nie wszystko, prawda? - włączyła się Dance. Wyczuła coś w jego zachowaniu.

O czym pani mówi?

- Dręczy cię coś, co ma związek z samochodem.

Spuścił wzrok.

Chyba zabił właściciela. Nie wiedziałem, że chce to zrobić. Naprawdę.

Gdzie?



Nie powiedział.

Cooper wysłał prośbę o informacje o niedawnych napadach na samochody, zabójstwach i zgłoszeniach o zaginionych osobach.

I jeszcze... - Vincent przełknął ślinę. Znow zaczął lekko podrygiwać nogą.

Co? - zapytał Baker.

Zabił jeszcze jedną osobę. Takiego chłopaka, chyba studenta college'u. W alejce za rogiem kościoła, przy Dziesiątej Alei.

Dlaczego?

Chłopak widział, jak wychodziliśmy z kościoła. Duncan zadźgał go nożem, a ciało wrzucił do pojemnika na śmieci.

Cooper zadzwonił na komisariat w rejonie kościoła, aby to sprawdzić.

Niech zadzwoni do Duncana - rzekł Sellitto, wskazując na Vincenta. - Moglibyśmy zlokalizować jego komórkę.

Jego telefon nie działa. Kiedy... nie pracujemy, wyjmuję baterię i kartę SIM.

Pracujemy...

Mówił, że wtedy nie można go namierzyć.

Telefon jest zarejestrowany na jego nazwisko?

Nie. Ma aparat pre-paid. Co parę dni kupuje nowy, a stary wy-  
^uca.

-

Podaj numer - rozkazał Rhyme. -Trzeba sprawdzić u operatorów Mell Cooper zadzwonił do największych miejscowych sieci k0

mórkowych. Po kilku krótkich rozmowach odłożył słuchawkę i oznai mił:

East Coast Communications. Faktycznie w systemie pre-paid Kupiony za gotówkę. Bez baterii nie da rady go namierzyć.

Cholera - mruknął Rhyme.

Zadzwoił telefon Sellitta. Bo Haumann zameldował, że jego lu. dzie są w drodze. Za kilka minut mieli być pod kościołem.

- Zdaje

się, że to nasza jedyna nadzieja - powiedział Baker.

Wybiegł z domu, a za nim do drzwi ruszyli Sachs i Pułaski, by tak-  
że wziąć udział w akcji brygady specjalnej.

Rhyme, Dance i Sellitto zostali w laboratorium, próbując wydo-być z Vincenta coś więcej na temat Geralda Duncana, tymczasem Cooper przeczesywał bazy danych w poszukiwaniu informacji o Ze-garmistrzu.

Skąd u niego to zainteresowanie zegarami, czasem i kalenda-rzem księżycowym? - spytał Rhyme.

Kolekcjonuje stare zegary i zegarki. I naprawdę był zegarmi-strzem - takim hobbystą. To znaczy, nigdy nie miał swojego zakładu, nic z tych rzeczy.

- Ale

mógł pracować z jakimś zawodowcem - odparł Rhyme. -

Poszukaj zegarmistrzowskich organizacji zawodowych. I związków kolekcjonerów.

Cooper zaczął stukać w klawisze.

Tylko w Ameryce?

Jakiej jest narodowości? - spytała Vincenta Dance.

Chyba Amerykanin. Nie mówił z żadnym obcym akcentem.

Po przejrzeniu różnych stron internetowych Cooper sceptycznie pokręcił głową.

-

Popularny biznes. Największe organizacje to Genewskie Stowarzyszenie Zegarmistrzów, Jubilerów i Złotników, Association Inter-professionnelle de la Haute Horlogerie w Szwajcarii; Amerykański Instytut Zegarmistrzostwa; Szwajcarskie Zrzeszenie Sprzedawców Zegarków i Bizuterii; Brytyjskie Stowarzyszenie Kolekcjonerów Zegarów i Zegarków; Brytyjski Instytut Chronometryczny; Zrzeszenie Pracowników Szwajcarskiego Przemysłu Zegarkowego i Federacja Szwajcarskiego Przemysłu Zegarkowego... ale jest jeszcze parędziesiąt innych.

- Wyślij do nich e-maile - polecił Sellitto. - Zapytaj o Duncana Czy to zegarmistrz, czy kolekcjoner.

-

I do Interpolu - dodał Rhyme. Zwracając się do Vincenta, zap>'

tał: - Jak się poznaliście?

Reynolds zaczął chaotycznie opowiadać o przypadkowym i nie winnym spotkaniu. Słuchając go, Kathryn Dance swoim spokojny<sup>1</sup>\* głosem zadała kilka pytań, po czym oznajmiła, że Vincent kłamie'

\_ Chodzi o to, że musisz być z nami szczery - powiedziała, nachyla-• c się bliżej i spoglądając surowo zza swoich okularów drapieźnika.

\_ Dobrze, chciałem tylko opowiedzieć w skrócie.

\_ Nie chcemy żadnych skrótów - burknął Rhyme. - Chcemy, do cholery, wiedzieć, jak go poznałeś.

Gwałciciel przyznał, że choć istotnie spotkanie było przypadko-we, to jednak nie tak niewinne. Szczegółowo opisał okoliczności pierwszego kontaktu z Zegarmistrzem w restauracji niedaleko miejscy-sca pracy Vincenta. Duncan śledził jednego z mężczyzn, których za-mordował, a Vincentowi wpadła w oko kelnerka.

Co za duet, pomyślał Rhyme.

Mel Cooper uniósł wzrok znad komputera.

- Mam

parę trafień... W piętnastu stanach Środkowego Zachodu jest sześćdziesięciu ośmiu Geraldów Duncanów. Najpierw sprawdzę w rejestrze nakazów i VICAP-ie, a potem dopasuję przybliżony wiek i zawód. Nie da się powiedzieć czegoś więcej o jego pochodzeniu?

- Powiedziałbym, gdybym wiedział. Nigdy o sobie nie mówił.

Dance skinęła głową. Wierzyła mu.

Lon Sellitto zadał pytanie, które Rhyme miał na końcu języka.

Wiemy, że wcześniej wybiera i śledzi swoje ofiary. Dlaczego?

O co mu chodzi?

O żonę - odparł gwałciciel.

Jest żonaty?

-Był.

Mów.

-

Dwa lata temu przyjechał z żoną do Nowego Jorku na urlop.

Był na kolacji z jakimiś współnikami, a żona poszła sama na koncert. Kiedy wracała do hotelu, na pustej ulicy potrafił ją jakiś samochód. Kierowca uciekł. Wzywała pomocy, ale nikt nie przyszedł jej uratować, nikt nawet nie zadzwonił na policję ani po karetkę. Lekarz powiedział, że po wypadku żyła jeszcze dziesięć, może piętna-

ście minut. I nawet ktoś, kto nie jest lekarzem, mógłby zatamować krwotok. Wystarczyło założyć jakiś opatrunek uciskowy czy coś. Ale nikt jej nie pomógł.

- Sprawdź we wszystkich szpitalach przyjęcia na nazwisko Duncan, od półtora do trzech lat temu - zarządził Rhyme.

Vincent przecząco pokręcił głową.

-

Nie ma po co. W zeszłym roku włamał się do szpitala i ukradł

JeJ kartę. Protokół z policji też. Przekupił dyżurnego czy coś. Wtedy zaczął układać plan.

~ Ale dlaczego wybiera akurat te ofiary?

~ Kiedy policja prowadziła dochodzenie, ustaliła nazwiska ludzi, którzy byli w okolicy w czasie wypadku. Nie wiem, czy mogli ją urazić, czy nie. Ale Gerald wmówił sobie, że mogli.

Przez cały zeszły rok dowiadywał się, gdzie mieszkają, jaki mają rozkład dnia. Musiał ich

złapać, kiedy byli sami, żeby umierali powoli. Tak jak jego żona.

A ten człowiek na piersie we wtorek? Nie żyje?

Na pewno. Duncan kazał mu się złapać pomostu, a potem pOd ciął mu żyły i przyglądał się, jak wpada do wody. Mówił, że faCet przez jakiś czas próbował pływać, ale potem przestał się ruszać i zniknął pod pirssem.

Jak się nazywał?

Nie pamiętam. Walter jakiś tam. Nie pomagałem przy tych dwóch pierwszych razach, naprawdę.

- Ze strachem w oczach zerknął na Dance.

Co jeszcze wiesz o Duncanie? - zapytała agentka.

To chyba wszystko. Najbardziej lubił mówić o czasie.

O czasie? Co mówił?

Wszystko. Znał się na historii czasu, na działaniu zegarów, na kalendarzach, opowiadał, jak ludzie różnie rozumieją czas. Powiedział mi na przykład, że wyrażenie „czas schodzi” pochodzi od napę-

du zegarów mechanicznych. Taki ciężar zawieszony na sznurze opadał i poruszał mechanizm.

Gdyby opowiadał mi to ktoś inny, toby było nudne. Ale on mówił tak, że... no, to po prostu wciągało.

Cooper znów spojrzał znad monitora.

- Mam

parę odpowiedzi z organizacji zegarmistrzowskich. Nie znają żadnego Geralda Duncana... Zaraz, jest coś z Interpolu... Ale też nic. W VICAP-ie zero informacji.

Zadzwonił telefon Sellitta. Detektyw odebrał i rozmawiał z kimś przez kilka minut, mierząc chłodnym spojrzeniem gwałciciela. Po chwili się rozłączył.

- To

był mąż twojej siostry - powiedział do Vincenta.

Reynolds zmarszczył brwi.

-Kto?

Mąż twojej siostry.

Vincent pokręcił głową.

Nie, musiał pan rozmawiać z kimś innym. Moja siostra nie jest mężatką.

- Owszem,

jest.

Gwałciciel popatrzył na niego zdumiony.

- Sally

Annę wyszła za mąż?

Patrząc z odrazą na Vincenta, Sellitto poinformował Rhyme a i Dance:

- Była zbyt zdenerwowana, żeby zadzwonić. Rozmawiałem z J^J

mężem. Trzydzieści lat temu jej brat na tydzień zamknął ją w piwni cy, kiedy ich matka i ojczym wyjechali na miodowy miesiąc. Własny brat... Związał ją i wielokrotnie zgwałcił. Miał piętnaście lat, on trzydzieści. Odsiedział swoje w poprawczaku i został zwolniony P

terapii. Akta zostały utajnione. Dlatego nie było żadnych odciskó

w bazie IAFIS.

Wyszła za mąż - wyszeptał Vincent z pobladłą twarzą.

Od tamtego zdarzenia leczy się z depresji i zaburzeń lękiem. Kilkanaście razy przyłapano go, jak ją śledził, więc dostał sądowy akaz zbliżania się do siostry. Od trzech lat ich jedyny kontakt to listy, które do niej pisze.

\_ Grozi jej? - spytała Dance.

-

Nie - mruknął Sellitto. -To listy miłosne. Chciał, żeby się przeprowadziła i zamieszkała z nim tutaj.

\_ Rany - bąknął niewzruszony zwykle Mel Cooper.

\_ Czasem na marginesach dopisuje przepisy kulinarne. Czasem robi pornograficzne rysunki.

Jego szwagier powiedział, że są gotowi zrobić wszystko, żeby do końca życia nie wyszedł z więzienia. - Sel-litto spojrział na dwóch umundurowanych funkcjonariuszy stojących za plecami Vincenta. - Zabierzcie go stąd.

Policjanci pomogli mu wstać i zaprowadzili go w stronę wyjścia. Vincent Reynolds był tak wstrząśnięty, że ledwie mógł chodzić.

-

Jak Sally Annę mogła mi to zrobić? Jak mogła wyjść za mąż?

Przecież mieliśmy być zawsze razem... Jak mogła?

Rozdział 28

W

ygłądało to jak oblężenie średniowiecznego zamku. Sachs, Baker i Pułaski dołączyli do Bo Haumanna czekającego za rogiem kościoła w nijakiej części Chelsea. Oddział ESU cicho i sprawnie zajął pozycje, otaczając budynek i nie rzucając się niko-mu w oczy.

Kościół miał tylko tyle dodatkowych wejść, aby być w zgodzie z przepisami przeciwpożarowymi, a większość okien zasłaniały stało-we kraty. To oczywiście utrudniałoby ucieczkę Geraldowi Duncanowi, lecz jednocześnie ograniczało dostęp brygadzie specjalnej. Wią-

,1.1,1 zało się z tym duże niebezpieczeństwo, że morderca mógł zastawić pułapki i czekać na nich z bronią. Kamienne mury ponadpółmetro-wej grubości dodatkowo utrudniały działania, niemal uniemożliwiając zespołowi rozpoznania wykorzystanie czujników podczerwieni i dźwięku; nie

mogli sprawdzić, czy Zegarmistrz jest w środku.

- Jaki jest plan? - zapytała Amelia Sachs stojącego obok niej Bo

! 'Jl! Haumanna. Na uliczce za kościołem był także Dennis Baker. Rozglą-

' ""

dał się wokół nerwowo i trzymał rękę blisko pistoletu. Z jego zachowania Sachs odgadła, że dawno nie brał udziału w akcji szturmowej - o ile kiedykolwiek w jakiejś uczestniczył. Wciąż nie mogła mu dać rować szpiegowania, dlatego jego wyraźne zdenerwowanie nie zdołało wzbudzić w niej współczucia.

Stojący w pobliżu Ron Pułaski trzymał dłoń na rękojeści glocka-On także nerwowo przestępował z nogi na nogę, przyglądając się okazałej, pokrytej sadzą budowli.

Haumann wyjaśnił, że jego zespoły przeprowadzą zwykłe dynamiczne wejście, wysadzając wcześniej wszystkie drzwi ładunkami pirotechnicznymi. Nie mieli wyboru - drzwi były zbyt masywne, a wystarczył taran - zdawali sobie jednak sprawę, że eksplozje uprzędy o ich nadejściu Duncana, który będzie miał czas przygotować się do obrony. Co zrobi, gdy usłyszy wybuch i tupot wbiegających środka policjantów?

Podda się?

Wielu sprawców składało broń.

Al niektórzy nie. Wpadali w panikę albo czepiali się szalonej myśli, że uda im się w pojedynkę pokonać kilkunastu uzbrojonych funkcjonariuszy. Rhyme powiedział jej o planowanej przez Dunca-na zemście; Sachs nie przypuszczała, aby ktoś dręczony taką obsesją był gotów skapitulować.

Sachs zajęła pozycję w zespole, który miał wejść do kościoła przez boczne drzwi, natomiast Baker i Pułaski zostali z Haumannem na stanowisku dowodzenia.

W słuchawce usłyszała dowódcę ESU:

-

Ładunki uzbrojone... Do wszystkich zespołów, zgłaszajcie się.

Zespoły A, B i C zameldowały, że są gotowe.

Haumann swoim ochryłym głosem zaczął odliczanie.

- Uwaga...

pięć, cztery, trzy, dwa, jeden.

Rozległy się trzy równoczesne huk, od których zatrzęsły się szyby w okolicznych oknach i rozjazgoty się alarmy samochodowe. Funkcjonariusze wpadli do środka.

Ich obawy, że natkną się na pułapki i zacięty opór sprawcy, okazały się nieuzasadnione. Po sprawdzeniu wszystkich pomieszczeń przekonali się jednak, że Zegarmistrz albo należy do największych szczęściarzy na ziemi, albo znów przewidział ich ruch. W kościele go nie było.

- Popatrz,

Ron.

Amelia Sachs stała w drzwiach małego składziku na piętrze kościoła.

- Aż ciary przechodzą - orzekł młody posterunkowy.

Właściwe określenie.

Patrzyli na kilka zegarów ustawionych pod kamienną ścianą. Księżycy przyglądały się im z zagadkową miną, przypominającą ni to uśmiech, ni to złośliwy grymas, jak gdyby dokładnie wiedziały, ile jeszcze życia im zostało, i były gotowe usłużnie odliczyć ten czas do ostatniej sekundy.

Ich głośnie tykanie irytowało Sachs.

Doliczyła się pięciu zegarów. Co oznaczało, że jeden Duncan miał Przy sobie.

Chciał ją spalić...

Pułaski zasuwiał zamek kombinezonu z tyveku, zapinając pas z glockiem na zewnątrz. Sachs powiedziała mu, że zrobi obchód po siatce w pokojach, w których według zeznania Vincenta mieszkali mężczyźni. Nowy miał się zająć parterem.

Pułaski skinął głową, patrząc z niepokojem w głąb ciemnych korytarzy. Kiedy w zeszłym roku doznał poważnych obrażeń czaszki po

•Wrzuceniu w głowę, jego przełożony chciał go odesłać za biurko.

^ody funkcjonariusz nie zamierzał dać się zepchnąć na boczny tor,

^zeszedł zmuszoną kuracją i wrócił do patrolu. Sachs wiedziała, że haskiego czasem ogarnia lęk. W jego oczach widziała nie, kiedy decydował, czy podjąć zadanie, czy nie. Mimo że zawsze postanawiał przyjąć wyzwanie, wiedziała, że z powodu tej niepełności, ności niektórzy gliniarze nie chcieli z nim pracować. Ale Sachs wolała pracować z kimś, kto wychodząc na ulicę, za każdym razem stawia czoło gnębiącym go duchom. To był dowód odwagi.

Gdyby mieli zostać partnerami, nie zastanawiałaby się ani chwili Uświadamiając sobie, co właśnie pomyślała, dodała: jeżeli w ogóle

zostanę w policji.

Pułaski otarł dłonie spocone mimo przenikliwego zimna, po

czym nałożył lateksowe rękawiczki.

Kiedy dzielili między siebie sprzęt do zabezpieczania śladów Sachs powiedziała:

- Podobno

ktos cię zaskoczył w garażu, kiedy przeszukiwałeś

explorera. -Tak.

- Nie

cierpię takich numerów.

Zaśmiał się na znak, że zrozumiał sugestię - chciała mu w ten sposób powiedzieć, że nerwy to coś zupełnie normalnego. Ruszył do

drzwi. -Ron? Zatrzymał się.

A propos garażu, Rhyme powiedział, że świetnie się spisałeś.

Naprawdę?

Może nie użył aż tylu słów. Ale to przecież był Rhyme.

- Oczywiście. Idź i zabezpiecz każdy najdrobniejszy pyłek. Chcę złapać tego gnojka.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Jasne.

-

To nie jest prezent na Boże Narodzenie, tylko zadanie do wykonania - dodała Sachs.

I pokazała mu schody prowadzące na parter.

Sachs nie znalazła niczego, co wskazywałoby, kim może być następna ofiara, ale przynajmniej w kościele było sporo śladów.

W pokoju Vincenta Reynoldsa zebrała próbki jedzenia i napojów, natrafiła także na dowody jego mroczniejszych apetytów: prezerwatywy, taśmę izolacyjną i szmaty, których zapewne używał jako knebli. Panował tu nieopisany bałagan i unosił się przykry zapach

dawno niepranych ubrań.

W pokoju Duncana Sachs znalazła czasopisma zegarmistrzowskie (bez nalepek prenumeraty), narzędzia (między innymi nożyce do drutu, za pomocą których prawdopodobnie przeciął ogrodzenie na pierwszym miejscu zdarzenia) oraz ubrania. W przeciwieństwie do sypialni Vincenta, u Duncana wszystko lśniło czystością, a idealny porządek wręcz zadziwiał. Łóżko było tak równiutko pościelone, że spodobało się nawet instruktorowi musztry. Ubrania (zauważyła, że wszystkie

netki zostały usunięte) wisiały w szafie w dokładnie takich samych odległościach od siebie.

Przedmioty na biurku były ułożone pod iden-tycznym kątem. Zegarmistrz zadbał, aby nie zostawić tu prawie nic osobistego; pod koszem na śmieci były schowane programy muzeów i Bostonu i Tampa i choć mógł to być dowód jego pobytu w tych miastach, żadne z nich nie miało nic wspólnego ze Środkowym Zachodem gdzie jak twierdził Vincent, Duncan mieszkał. Sachs znalazła także wałek do usuwania sierści zwierząt domowych.

Jak gdyby sam był ubrany w tyvek...

Odkryła także rzeczy, które przypuszczalnie miały związek z poprzednimi miejscami przestępstw - rolkę taśmy izolacyjnej, z której prawdopodobnie pochodziła taśma użyta na uliczce i którą zapewne morderca zakneblował ofiarę na piersi. Znalazła też starą miotłę za-brudzoną ziemią, miłkim piaskiem i solą. Podejrzewała, że drobiny pochodzą z uliczki przy Cedar Street, gdzie Zegarmistrz pieczołowicie zamiótł wszystkie ślady wokół ciała Teddy'ego Adamsa.

Miała nadzieję, że inne znalezione przedmioty mogą być wskazówką prowadzącą do jego obecnego miejsca pobytu lub kolejnych ofiar. W małym plastikowym pojemniku Tupperware znajdowało się kilka monet, trzy długopisy Bic, kwity z garażu w centrum i drogerii na Upper West Side oraz tekturowe zapalniczki (brakowało trzech) z restauracji na Upper East Side. Na niczym nie było odcisków palców. Sachs znalazła również parę butów z podeszwami upstrzonymi plamkami jasnozielonej farby i pustą galonową butelkę po alkoholu metylowym.

Odcisków palców nie było, lecz Sachs odnalazła mnóstwo bawełnianych włókien tego samego koloru co włókna zebrane w fordzie explorerze. Natrafiła też na plastikową torbę z kilkunastoma parami rękawiczek, bez metek i paragonów ze sklepu. Na torbie także nie było żadnych odcisków.

Na dole Pułaski nie znalazł zbyt wiele, ale dokonał dziwnego odkrycia: w toalecie była warstwa białego proszku. Dopiero analiza mogła to potwierdzić, ale nowy podejrzewał, że proszek pochodzi z gaśnicy, ponieważ w worku ze śmieciami przy tylnych drzwiach znalazł

puste kartonowe opakowanie po tym urządzeniu. Uważnie odejrzwał pudełko, lecz nie było na nim żadnych nalepek zdradzających miejsce nabycia.

Nie wiadomo, po co właściwie opróżniono gaśnicę. W toalecie nie było śladów pożaru.

Sachs zadzwoniła do aresztu, gdzie połączono ją z Vincentem Eynoldsem, który powiedział jej, że rzeczywiście Duncan kupił statnio gaśnicę. Nie miał jednak pojęcia, dlaczego ją opróżnił.

O wypełnieniu kart ewidencyjnych Sachs i Pułaski dołączyli do Kera, Haumanna i pozostałych funkcjonariuszy, którzy czekali na nich przy frontowych drzwiach kościoła. Sachs połączyła się przez telefon z Rhyme'em i poinformowała kryminalistykę i Sellitta, co udało im się znaleźć.

Recytując listę dowodów, słyszała, jak Rhyme dyktuje nowe informacje Thomowi, który zapisywał je na tablicy.

-

Boston i Tampa? - spytał kryminalistyk, mając na myśli programy z muzeów. - Może Vincent się mylił. Zaczekaj. - Polecił Cooperowi poszukać Geraldów Duncanów w danych statystycznych i ew'

dencji wydziału komunikacji w obu miastach, ale choć istnieli mieszkańcy o takich imionach i nazwiskach, ich wiek nie zgadzał się z wiekiem Zegarmistrza. Rhyme przez chwilę milczał.

Gaśnica... - rzekł w końcu. - Założę się, że skonstruował z niej bombę zapalającą. Wypełnioną metanolem. Na zegarze w mieszkaniu Lucy Richter była plama alkoholu. Tak właśnie chce spalić następną ofiarę. A co takiego wiemy o gaśnicach?

Poddaję się - odparła Sachs.

Są niewidzialne. Ktoś może ją mieć tuż pod nosem i w ogóle nie zwróci na nią uwagi.

Moim zdaniem powinniśmy rozdzielić zadania - włączył się Baker. - Może któryś z tych tropów zaprowadzi nas do następnej ofiary.

Mamy kwity z garażu i sklepu, zapalki i buty.

Wszystko jedno, co chcecie zrobić, ale się pośpieszcie - zatrzeszczał w radiu głos Rhyme'a. - Vincent twierdzi, że jeżeli nie ma go w kościele, to jest w drodze do następnej ofiary. Może już dotarł

na miejsce.

ZEGARMISTRZ

MIEJSCE ZDARZENIA NR 1

Lokalizacja:

•

Pirs na przystani remontowej nad Hudsonem, 22 Ulica.

Ofiara:

Tożsamość nieznana.

Mężczyzna.

Prawdopodobnie w średnim wieku lub starszy, mógł cierpieć

na chorobę wieńcową (obecność środka przeciwkrzepliwego we krwi).

Brak śladów innych leków, infekcji czy schorzenia.

Nurkowie straży przybrzeżnej i ESU szukają ciała i dowodów w Zatoce Nowojorskiej.

Sprawdzanie zgłoszeń o zaginionych.

Z Zatoki Nowojorskiej wytowiono

kurtkę. Zakrwawione rękawy. „Macy's", numer 44. Brak innych tropów, ciała nie znaleziono.

Sprawca:

• Patrz

niżej.

Modus operandi:

Sprawca zmusił ofiarę, żeby złapała się pomostu i zawisała nad wodą, podciął jej nadgarstki lub



palce i ofiara wpadła do rzeki.

Godzina napaści: między 18  
w poniedziałek a 6 we wtorek.

Dowody:

Krew grupy ABRh+.

Oderwany paznokieć,  
nielakierowany, szeroki.

Fragment siatkowego ogrodzenia  
przeciętego zwykłymi nożycami oO  
druutu, nie do zidentyfikowania.

. Zegar- Patrz niżej.

. Wiersz. Patrz niżej.

. Ślady paznokci na pomoście.

, Brak dostrzegalnych śladów, brak  
odcisków palców, brak śladów  
butów i kół samochodu.

MIEJSCE ZDARZENIA NR 2

Lokalizacja:

. Uliczka przy Cedar Street, niedaleko Broadwayu, za trzema budynkami handlowymi (tylne wyjścia zamykane między 20:30 a 22) i jednym budynkiem administracyjnym (tylne wyjście zamykane o 18).

• Uliczka

jest

ślepa. Szerokość

cztery i pół metra, długość

trzydzieści dwa metry,

wybrukowana, ciało znaleziono

pięć metrów od Cedar Street.

Ofiara:

Theodore Adams.

Mieszkał w Battery Park.

Copywriter, wolny strzelec.

Brak informacji o wrogach.

Brak nakazów, stanowych

i federalnych.

Nie ustalono żadnych związków

z osobami pracującymi

w budynkach wokół uliczki.

Sprawca: ' Zegarmistrz. ' Mężczyzna.

' W bazach danych brak informacji o Zegarmistrzu.

^us operandi:

\* Ofiara wywleczona z samochodu na uliczkę, gdzie zawieszono nad nią żelazną sztabę.

Sztaba

, ^iażdżyta jej szyję. Oczekiwanie na raport koronera \* celu potwierdzenia przyczyny > śmierci.

Brak dowodów czynności Seksualnych.

- Godzina

zgonu:

między 22:15 a 23 w poniedziałek. Czas potwierdzi koroner.

Dowody:

- Zegar.

- Brak

materiałów wybuchowych,

środków chemicznych

i biologicznych.

Identyczny z zegarem na piersi.

Brak odcisków palców,

minimalna ilość mikrośladów.

Arnold Products, Framingham,

Massachusetts.

Kupiony w sklepie „Zegary

Hallersteina" na Manhattanie.

- Wiersz pozostawiony przez sprawcę w obu miejscach.

Drukarka komputerowa, zwykły

papier, toner HP LaserJet.

Tekst:

Zimny Księżyc słońce w pełni, w jego blasku ziemi trup. Czas wędrówki się dopełnił, drogi kres wyznacza grób

Zegarmistrz

Brak w bazach danych poezji;

prawdopodobnie autorstwa

sprawcy.

Zimny Księżyc to nazwa miesiąca

księżycowego, miesiąc śmierci.

60 dolarów w kieszeni, brak tropów

dot. numerów seryjnych; brak

odcisków palców w bazach

danych.

Drobny piasek użyty jako „środek

maskujący", zwykły. Zamierza

wrócić na miejsce zbrodni?

Metalowa sztaba, 37 kg, płaski

łącznik oczkowy. Nieużywany

na budowie naprzeciwko alejki.

Nie ustalono innych źródeł

pochodzenia.

Taśma izolacyjna, zwykła,  
precyzyjnie pocięta na odcinki  
identycznej długości

- niespotykane.

W piasku ślady siarczanu talu  
(trutki na szczury).

7ipmia -r ruWim i~:«h-:~—

- pochodząca od sprawcy, nie ofiary.

Znikoma ilość mikrośladów.

Brązowe włókna, prawdopodobnie  
z wykładziny samochodowej.

Inne:

- Samochód.

Beżowy ford explorer,  
prawdopodobnie trzyletni.

Brązowa wykładzina.

Po sprawdzeniu numerów  
rejestracyjnych samochodów  
zaparkowanych w okolicy  
we wtorek rano nie ujawniono  
żadnych nakazów. W poniedziałek  
wieczorem nie wypisano  
żadnych mandatów.

- 

Konsultacja z obyczajówką  
w sprawie prostytutki, w związku z zeznaniem świadka.

- Brak  
tropów.

PRZESŁUCHANIE HALLERSTEINA

Sprawca:

- Portret

pamięciowy Zegarmistrza  
- okoto pięćdziesięciu lat, okrągła  
twarz, podwójny podbródek,  
szeroki nos, niezwykle jasne  
niebieskie oczy. Ponad metr  
osiemdziesiąt wzrostu, szczupły,  
włosy czarne, średniej długości,  
brak biżuterii, ciemne ubranie.

Nazwisko nieznane.

- Duża znajomość zegarmistrzostwa;  
wiedział, jakie zegary  
sprzedano niedawno na aukcjach

i jakie są obecnie wystawiane w mieście.

Groźbą zmusił sprzedawcę do milczenia.

Kupił dziesięć zegarów.

Dla dziesięciu ofiar?

Zapłacił gotówką.

Chciał, żeby zegar pokazywał fazy księżyca i głośno tykał.

Dowody:

- Zegary

pochodziły ze sklepu „Zegary Hallersteina” w okolicy Flatiron.

Brak odcisków palców na gotówce którą zapłacono za zegary, numery seryjne nienotowane. Brak mikrośladów na banknotach.

Dzwonił z automatów telefonicznych.

MIEJSCE ZDARZENIA NR 3

Lokalizacja:

- 

Spring Street 481.

Ofiara:

Joannę Harper.

Brak widocznego motywu.

- Nie

znała drugiej ofiary, Adamsa.

Sprawca:

Zegarmistrz.

Wspólnik.

Prawdopodobnie mężczyzna zauważony wcześniej przez ofiarę pod jej pracownią.

Biały, krępy, w ciemnych okularach, kremowej parce i czapce. Prowadził samochód.

Modus operandi:

- Otworzył zamki wytrychem.

- 

Planowana metoda ataku nieznana. Prawdopodobnie zamierzał użyć drutu florystycznego należącego do ofiary.

Dowody:

Białko rybnie pochodziło z pracowni  
Joannę (nawóz do orchidei).

W pobliżu znaleziono siarczan talu.

Drut florystyczny pocięty

na odcinki jednakowej długości (narzędzie morderstwa?).

- Zegar.

- 

Taki sam jak dwa poprzednie.

Brak azotanów.

- Brak

mikrośladów.

Brak wiadomości i wiersza.

Brak śladów stóp i odcisków

palców; nie pozostawiono broni

ani niczego innego.

Czarne płatki - smoła dachowa.

. prośba o termogramy Nowego Jorku z ASTER-a w celu odnalezienia potencjalnych źródeł pochodzenia.

- 

Brak jednoznacznych rezultatów.

Inne:

. sprawca śledził ofiarę przed

atakami. Miał powód, żeby wziąć ją

na cel. Jaki?

Miał skaner policyjny. Zmiana

częstotliwości.

Samochód.

Beżowy.

Numery rejestracyjne nieznane.

Komunikat o poszukiwaniu

pojazdu.

423 zarejestrowanych właścicieli

beżowych fordów explorerów.

Porównanie listy z kartotekami

przestępców. Znaleziono dwóch

mężczyzn. Jeden dużo starszy

od podejrzanego; drugi

w więzieniu za handel narkotykami.

- Właścicielem jest mężczyzna

w więzieniu.

FORD EXPLORER ZEGARMISTRZA

Lokalizacja:

- Znaleziony w garażu  
przy Hudsonie, na Houston Street.

Dowody:

- ' Właścicielem explorera jest

Mężczyzna w więzieniu.

Samochód został skonfiskowany

1 skradziony z parkingu, gdzie ^ czekał na aukcję. ' Zaparkowany w pustym miejscu.

Daleko od wyjścia. ' Okruchy chrupek kukurydzianych 1 ziemniaczanych, precli, batonów  
czekoladowych. Kawałki

Krakersów z masłem

Orzechowym. Plamy po napojach

Skowanych, zwykłych, % ^dietetycznych.

udełko amunicji pistoletowej

Hemington kaliber .32, brak

siedmiu pocisków. Możliwe, że broń to autauga Mk II.

- Książka - „Ekstremalne techniki

przesłuchań". Podręcznik

z instrukcjami morderstw? Brak istotnych informacji od wydawcy.

- Czarnosiwy

włos,

prawdopodobnie kobiety.

W całym samochodzie żadnych

odcisków palców.

Piasek taki sam jak w alejce.

Odcisk buta numer trzynaście,

z gładką podeszwą.

MIEJSCE ZDARZENIA NR 4

Lokalizacja:

- 

Barrow Street, Greenwich Village.

Ofiara:

- Lucy

Richter.

Sprawca:

Zegarmistrz.

Wspólnik.

Modus operandi:

Planowana metoda morderstwa

nieznana.

Nieustalona droga

wejścia/wyjścia.

Dowody:

- Zegar.

Taki sam jak poprzednie.

Pozostawiony w łazience.

Brak materiałów wybuchowych.

Plama metanolu, brak innych śladów.

Brak wiadomości i wiersza.

Dach nie był ostatnio smołowany.

Brak śladów stóp i odcisków palców.

Brak istotnych mikrośladów.

Wełniane włókna z kurtki lub kożucha.

PRZESŁUCHANIE VINCENTA REYNOLDSA I PRZESZUKANIE KOŚCIOŁA Lokalizacja:

- 

10 Aleja i 24 Ulica.

Sarah Stanton szła szybkim krokiem przez oblodzony chodnik) wracając do biurowca na środkowym Manhattanie, gdzie pracowała-Niosła kubek kawy latte ze Starbucksa i ciastko z czekoladą - grzeszna przyjemność, ale Sarah uznała, że należy się jej w nagr<sup>o</sup> dę za długi dzień w biurze.

Wcale nie potrzebowała słodkich zachęt, by wrócić za biurko, uwielbiała swoją pracę. Sarah była kosztorysantką w dużej firmie projektowania wnętrz. Miała ośmioletniego syna i z powodu ci?z' kich przejść w trakcie rozwodu wróciła do pracy kilka lat wcześniej'

' I..

Sprawca:

- Zegarmistrz:

Nazywa się Gerald Duncan.

Biznesmen ze Środkowego

Zachodu, szczegóły nieznane.

Żona zginęła w Nowym Jorku;

morderstwa są zemstą.

Uzbrojony w pistolet i wysuwany

nóż.

Nie można zlokalizować jego

komórki.

Kolekcjonuje zegary i zegarki.

Poszukiwania w organizacjach

zegarmistrzowskich.

- Brak trafień.

- 

Brak informacji z Interpolu i baz

danych przestępców.

- Wspólnik:

Vincent Reynolds.

Zatrudniony przez agencje

pośrednictwa na kontrakty  
krótkoterminowe.

Mieszka w New Jersey.

Ma na koncie wielokrotne gwałty.

Dowody:

- Pięć kolejnych zegarów, takich samych jak poprzednie.

Brak jednego.

- 

W pokoju Vincenta:

Chipsy, słodycze, napoje.

Prezerwatywy.

Taśma izolacyjna.

Szmaty (kneble?).

- 

W pokoju Duncana:

Czasopisma zegarmistrzowskie.

Narzędzia.

Ubrania.

Programy z muzeów w Bostonie i Tampa.

Taśma izolacyjna.

Stara miotta ze śladami ziemi, piasku i soli.

Trzy długopisy Bic.

Monety.

Kwit z garażu w centrum.

Paragon z drogerii na Upper West Side.

Zapałki z restauracji na Upper East Side.

Buty ze śladami jasnozielonej farby.

Pusta galonowa butla po metanolu.

Walek do zbierania sierści.

Beżowe rękawiczki.

Brak odcisków palców.

Osad z gaśnicy proszkowej.

Puste pudełko po gaśnicy.

Gaśnica jako bomba zapalająca z alkoholem?

Inne:

- Zamordował pod kościołem



studenta - świadka.

•

Miejscowy komisariat sprawdza okoliczności zdarzenia.

• Kradziony

samochód,

ciemnoniebieski buick.

Zamordował właściciela.

Poszukiwanie informacji

o napadach na kierowców, zabójstwach i osobach zaginionych.

•

Komunikat o poszukiwaniu

pojazdu; na razie brak sygnałów.

jijż planowała. Zaczęła jako recepcjonistka i szybko awansowała na stanowisko głównego kosztorysanta firmy.

Praca była niełatwa (mnóstwo liczenia), ale Sarah lubiła firmę i współpracowników (w każdym razie większość z nich). Poza tym miała ruchomy czas pracy, ponieważ często przebywała poza biurem, spotykając się z klientami. Było to istotne, bo musiała ubrać i przygotować dziecko do szkoły, potem odwieźć je na Dziewięćdziesiątą Piątą przed dziewiątą rano i wrócić na środkowy Manhattan do pracy, a rozkład dnia zawsze był

uzależniony od kaprysów przedsiębiorstwa transportu miejskiego. Dziś zamierzała pracować ponad dziesięć godzin; za to jutro brała wolne i cały dzień planowała spędzić z synem na zakupach przedsięwziętych.

Sarah wsunęła kartę do czytnika i weszła do budynku przez tylne drzwi, po czym wykonała codzienne popołudniowe ćwiczenie - wchodząc do biura po schodach. Firma zajmowała całe drugie piętro, ale jej biurko znajdowało się w mniejszym pomieszczeniu w części pierwszego piętra. W biurze urzędowało tylko troje pracowników i było tu bardzo cicho, lecz Sarah wolała spokój. Szefowie rzadko się tu pojawiali, nikt więc nie przeszkadzał jej w pracy.

Przystanęła na podeście schodów. Sięgnęła do klamki, myśląc to co zwykle: dlaczego te drzwi nie mają żadnego zamka od strony klatki schodowej? Ktoś mógłby bez żadnego kłopotu...

Nagle podskoczyła, słysząc stłumiony brzęk metalu. Odwróciła się, lecz nie zobaczyła nikogo.

A potem... czyżby usłyszała czyjś oddech? Może komuś coś się stało?

Powinna pójść zobaczyć? Może lepiej wezwać ochronę? - Jest tu ktoś? Halo? Odpowiedziała jej cisza.

Pewnie nic takiego, pomyślała. Weszła na korytarz prowadzący do biura. Otworzyła kluczem wewnętrzne drzwi i ruszyła w głąb długiego korytarza.

Zdejmując płaszcz i stawiając na biurku kawę i ciastko, usiadła, zerkając na monitor.

Dziwne, pomyślała. Na ekranie ujrzała otwarte okno „Właściwości: data i godzina”.

Było to narzędzie Windows XP umożliwiające ustawienie w systemie operacyjnym daty, godziny i strefy czasowej. W oknie wyświetlał się kalendarz z zaznaczoną datą, a z prawej analogowy zegar ze Wskazówkami oraz cyfrowy, odliczający sekundy.

Kiedy wychodziła do Starbucks, okna na ekranie nie było.

Czyżby samo się włączyło? Dlaczego? Może ktoś korzystał z komputera podczas jej

nieobecności, choć Sarah nie miała pojęcia, kto to mógł być ani po co tu przyszedł.

Nieważne. Zamknęła okno i przysunęła się do biurka.

Zerknęła w dół. A to co?

Zobaczyła pod blatem gaśnicę. Przedtem jej nie było. Firma za-wsze sprawiała jej takie dziwne niespodzianki. Montowała nowe oświetlenie, wymyślała plany ewakuacyjne, przestawiała meble bez żadnej widocznej przyczyny.

A teraz gaśnice.

Pewnie jeszcze jedna rzecz, za którą trzeba podziękować terrory-stom.

Zerkając na zdjęcie syna, którego uśmiech zawsze sprawiał jej radość, postawiła torebkę pod biurkiem i rozpakowała ciastko.

Porucznik Dennis Baker powoli kroczył pustą ulicą. Był w południowej części Hell's Kitchen, w przemysłowym rejonie zachodnie-go Manhattanu.

Zgodnie z jego propozycją policjanci podzielili się tropami znale-zionymi w kościele i ruszyli na poszukiwanie Zegarmistrza. Baker powiedział Sachs i Haumannowi, że pamięta magazyn pomalowany tak samo zjadliwie zieloną farbą, jakiej ślady znaleziono na butach w pokoju Zegarmistrza. Pozostała część zespołu udała się tropem in-nych wskazówek, a Baker przyjechał tu.

Masywny budynek ciągnął się wzdłuż ulicy, ciemny, opuszczony i ponury, nawet w ostrym blasku słońca. Dolną część brudnego cegła-nego muru do wysokości około dwóch metrów pokrywało graffiti, po-łowa szyb w oknach była wybita - część chyba nawet pociskami. Na dachu wisiał wyblakły szyld z wymalowaną staroświecką czcionką napisem „Preston -

Transport i Magazynowanie”.

Jasnozielone frontowe drzwi były zamknięte na klucz i zabezpieczo-ne łańcuchem, lecz Baker znalazł boczne wejście, ukryte za kubłem na śmieci. Rozejrzał się po ulicy, po czym otworzył

drzwi i wszedł do środ-ka. Ruszył przez ciemne wnętrza, do którego wpadały ukośne promie-nie światła. W powietrzu unosił się zapach gnijącego kartonu, stęchli-zny i rozgrzanego oleju. Baker wyciągnął pistolet. Broń źle leżała mu w dłoni. W ciągu całej służby nie wystrzelił ani jednego pocisku.

Idąc bezszelestnie korytarzem, dotarł do głównej przestrzeni ma-gazynowej, której podłogę pokrywały śmieci i kałuże wody z piania-mi tłuszczu. Baker dostrzegł też z obrzydzeniem sporo prezerwatyw. Trudno było sobie wyobrazić mniej romantyczne miejsce na miłos-ne schadzki.

Jego uwagę przykuł błysk światła z biur na antresoli. Kiedy wzrok przyzwyczał mu się do ciemności, Baker podszedł bliżej i za' uważył palącą się lampę stołową w jednym z pokoików. Poza nią do-strzegł coś jeszcze.

Jeden z czarnych zegarów z księżycową twarzą - wizytówek Ze-garmistrza.

Baker ruszył naprzód.

Nagle wdepnął w dużą plamę smaru, której nie zobaczył w ciel11 ności, i ze stłumionym jękiem runął na bok. Pistolet wypadł m11

z dłoni i ze stukotem wylądował na betonowej posadzce. Baker skrzywił się z bólu.

W tym momencie z jednego z bocznych korytarzy za jego plecami wybiegł jakiś mężczyzna.

Baker spojrział w oczy Geralda Duncana, Zegarmistrza.

Morderca pochylił się.

I wyciągnął rękę, pomagając Bakerowi wstać.

Nic ci się nie stało?

Tylko straciłem oddech. Powinienem bardziej uważać. Dzięki, Gerry.

Duncan odszedł o krok, podniósł pistolet i oddał Bakerowi.

- Naprawdę tego nie potrzebowałeś - powiedział ze śmiechem.

Porucznik schował broń do kabury.

- Nie

byłem pewien, kogo poza tobą mogę tu spotkać. Trochę tu strasznie.

Zegarmistrz wskazał biuro.

- Wejdz. Opowiem ci dokładnie, co się z nią stanie.

Mówił o sposobie, w jaki obaj mieli popełnić morderstwo.

A wspomniana przez niego „ona” była detektywem nowojorskiego departamentu policji i nazywała się Amelia Sachs.

Rozdział 29

Siedząc na krześle w biurze magazynu, Dennis Baker otrzepał za-brudzone przy upadku spodnie. Drogie, włoskie. Niech to szlag.

- Przymknęliśmy Vincenta Reynoldsa - powiedział do Duncana.

-1 byliśmy w kościele.

Duncan oczywiście o tym wiedział, ponieważ sam zadzwonił na policję, aby ostrzec, że wspólnik Zegarmistrza krąży po zachodnim Greenwich Village z wózkiem pełnym zakupów (Baker był jednak pod wrażeniem, gdy Kathryn Dance domyśliła się, kim jest Vincent, jeszcze przed telefonem Duncana).

Duncan wiedział też, że gwałciciel pod naciskiem policji zdradzi, gdzie mieszkali.

Trwało to trochę dłużej, niż myślałem - rzekł Baker. - Ale w końcu się złamał.

Oczywiście, że tak - odparł Duncan. - To robak.

Duncan od początku zamierzał przeznaczyć chorego gnojka na odstrzał; chodziło bowiem o to, aby na podstawie uzyskanych od niego informacji gliny nabrały przekonania, że Zegarmistrz jest opętanym żądzą zemsty psychopata, a nie płatnym mordercą. A Vincent posłużył jako drogowskaz, który zaprowadził policję we właściwym kierunku, umożliwiając Duncanowi dokończenie realizacji planu.

A plan był elegancki i misterny jak najwytworniejszy zegarek. Miał na celu powstrzymanie śledztwa Amelii Sachs, które zagroziło siatce szantażystów z posterunku numer 118

kierowanej przez Bakera.

Dennis Baker pochodził z rodziny stróżów prawa. Jego ojciec służył w policji metra, ale odszedł na wcześniejszą emeryturę, gdy pewnego dnia spadł ze schodów prowadzących na stację. Starszy bra pracował w departamencie więziennictwa, a wuj Bakera był glina. w małym miasteczku w okręgu Suffolk, z którego pochodziła rodzina' Dennis z początku nie miał najmniejszej ochoty wkładać munduru - przystojny, dobrze zbudowany młody człowiek pragnął przede wszystkim zarabiać duże pieniądze. Ale gdy utopił wszystko, co miał w firmie recyklingowej, która zbankrutowała, postanowił wstąpić do służby. Przeprowadził

się z Long Island do Nowego Jorku i próbował odnaleźć się w roli policjanta.

Jednak fakt, że tak późno zaczął pracę, a także jego arogancja i poza twardego gliniarza z seriali zrażały do niego zwierzchników i innych funkcjonariuszy. Nie pomagała mu nawet tradycja rodzinna (jego krewni nigdy nie wspięli się na wyższe szczeble w hierarchii).

Owszem, Baker zarabiał na życie, lecz nie był mu przeznaczony na-żożny gabinet w Centrali.

Tak więc postanowił spróbować zarobić duże pieniądze. Ale nie w biznesie. Chciał wykorzystać do tego celu odznakę.

Gdy zaczął ściągać haracz od biznesmenów, zastanawiał się, czy będzie miał wyrzuty sumienia. Ależ skąd. Sumienie milczało.

Kłopot polegał na tym, że aby utrzymać odpowiedni styl życia

-

a Baker uwielbiał wykwintne wina i jedzenie oraz piękne kobiety

- potrzebował trochę więcej niż nędzny tysiąc tygodniowo, wyciąga-ny od koreańskich hurtowników i grubych właścicieli pizzerii w Queens. Dlatego Baker wraz z byłym partnerem i kilkoma gliniarzami ze Sto Osiemnastego utworzyli siatkę, która w założeniu mia-

ła przynosić duże zyski. Szajka Bakera kradła z magazynu dowodów małe ilości narkotyków albo zgarniała odrobinę koki czy hery na ulicy. W klubach na Manhattanie wyławiali dzieci bogatych biznesmenów i podrzucali im narkotyki. Baker rozmawiał z rodzicami, informując ich, że jeżeli uiszczą sześciocyfrową opłatę, raporty z aresztowań znikną. Jeżeli nie zapłacą, pociechy trafią za kratki. Od czasu do czasu podrzucał narkotyki samym biznesmenom.

Zamiast jednak brać forszę do kieszeni, aranżowali sytuacje, w których ofiary traciły ją w fikcyjnych transakcjach (tak jak w wy-padku Franka Sarkowskiego), albo w ustawionych rozgrywkach po-kerowych w Vegas i Atlantic City - ten sposób zastosowali z Benem Creeleyem. Dzięki temu każdy miał wiarygodne usprawiedliwienie nieoczekiwanej straty dwustu czy trzystu tysięcy dolarów.

Ale w pewnym momencie Dennis Baker popełnił błąd. Stał się le-niwy. Niełatwo było znaleźć nowe ofiary, postanowił więc wziąć na cel kilka osób, od których już wcześniej ściągał haracz, i zażądał drugiej raty.

Niektórzy posłusznie zapłacili. Ale dwaj - Sarkowski i Creeley - okazali się twardzi i choć za pierwszym razem byli gotowi zapłacić, arjy Baker się od nich odczepił, to kiedy znów zaczął

ich nękać, sta-n»wcz o odmówili. Jeden zagroził, że pójdzie na policję, drugi, że o Wszystkim poinformuje prasę. Na początku listopada Baker i gli-n\*arz ze Sto Osiemnastego porwali Sarkowskiego i zawieźli go do Przemysłowej dzielnicy Queens, gdzie jeden z jego klientów miał fabrykę. Sarkowski został zastrzelony, a zabójstwo upozorowano na bandycki napad.

Kilka tygodni później Baker z tym samym poli-

cjantem włamali się do wieżowca, w którym mieszkał Creeley, żyli biznesmenowi pętlę na szyję i zrzucili go z balkonu.

Następnie ukradli lub zniszczyli jego dokumenty, księgi i termi-narze - wszystko, co mogłoby zawierać jakikolwiek trop prowadzący do Bakera. Policyjne akta sprawy Creeleya były czyste, ale w aktach Sarkowskiego znalazły się informacje o dowodach, z których bystry detektyw mógłby wyciągnąć niebezpieczne wnioski. Tak więc jeden z członków szajki doprowadził do zniknięcia dokumentów.

Baker sądził, że obydwa zdarzenia pozostaną niezauważone i siatka dalej działała w najlepsze - dopóki na horyzoncie nie zjawi-ła się pewna młoda policjantka. Detektyw trzeciego stopnia Amelia Sachs nie uwierzyła w samobójstwo Benjamin Creeleya i rozpoczę-ła dochodzenie mające wyjaśnić prawdziwą przyczynę jego śmierci.

Nic nie mogło powstrzymać tej kobiety. Nie mieli wyboru i musieli ją zabić. Baker wątpił, by po wyeliminowaniu Sachs komukolwiek się chciało tak dociekliwie badać obie sprawy. Był

tylko jeden problem - gdyby zginęła, Lincoln Rhyme natychmiast wydedukowałby, że jej śmierć ma związek ze śledztwem w sprawie „St. James”, a wówczas ab-solutnie nic nie mogłoby powstrzymać kryminalistyka i Sellitta przed znalezieniem morderców.

Dlatego Baker musiał zorganizować wszystko tak, aby powód śmierci Sachs nie miał nic wspólnego z przestępstwami posterunku numer 118.

Baker zaczął badać grunt przez kilku swoich znajomych, którzy mieli kontakty z przestępczością zorganizowaną, i wkrótce zgłosił się do niego Gerald Duncan, płatny morderca znany z umiejętności inscenizowania miejsc zbrodni i pozorowania motywów odwracają-cych uwagę od osoby swojego zleceniodawcy. „Motyw to jedyny hak, na jaki na pewno cię złapią” - tłumaczył Duncan. - „Jeżeli eliminu-jesz motyw, eliminujesz podejrzania”.

Ustalili cenę - facet słono sobie liczył - i Duncan zaczął opraco-wywać plan.

Znalazł jakiegoś oferwę, za którego pośrednictwem zamierzał przekazać policji informacje o Zegarmistrzu. Vincent Reynolds oka-zał się stuprocentowym frajerem, który bez zastrzeżeń uwierzył w historyjkę Duncana o psychopacie mszczącym się na nieczułych obywatelach za śmierć żony.

Potem Duncan przystąpił do realizacji planu. Zegarmistrz zabił dwie pierwsze ofiary, wybierając je zupełnie przypadkowo - jakie-goś faceta, którego porwał z West Street w Greenwich Village i za' mordował na pirsie, oraz drugiego, który zginął na uliczce poiM?' dzy domami kilka godzin później. Baker dopilnował, żeby d° śledztwa przydzielono Sachs.

Doszło jeszcze do dwóch prób mor-derstwa - fakt, że były nieudane, nie miał żadnego znaczenia; Ze-garmistrz wciąż był postrachem miasta i należało go jak najszy" ciejsz łapać.

Duncan wykonał następny ruch: nasłał Vincenta na Kathryn pance, aby policja uwierzyła, że Zegarmistrz nie zawaha się przed mordowaniem funkcjonariuszy. Zgodnie z jego planem Vincent miał zostać złapany i wydać Zegarmistrza.

Teraz nadszedł czas na ostatni krok: Zegarmistrz miał zabić inną policjantkę, Amelię Sachs, której śmierć, jako dzieło mściwego mor-dercy, nie będzie miała nic wspólnego ze śledztwem w sprawie po-sterunku numer 118.

- Dowiedziała się, że ją śledziłeś? - zapytał Duncan.

Baker skinął głową.

- Miałeś nosa. To wyjątkowa spryciara. Ale zrobiłem to, co proponowałeś.

Duncan przewidywał, że Sachs będzie podejrzliwa wobec wszyst-kich z wyjątkiem ludzi, których znała osobiście. Wyjaśnił, że kiedy ktoś cię podejrzewa, należy podsunąć mu inny - niewinny - powód swojego zachowania. Trzeba się po prostu przyznać do mniej poważ-nego przestępstwa i udać skruchę, a to wystarczy; zostaniesz skre-ślony z listy podejrzanych.

Za radą Duncana Baker wypytał kilku funkcjonariuszy o Sachs. Usłyszał plotki, że była kiedyś związana ze skorumpowanym poli-cjantem, i spreparował e-mail od kogoś z Centrali, wykorzystując go jako pretekst do jej szpiegowania. Nie była zadowolona, ale nie po-dejrzewała go o nic gorszego.

- Plan jest taki - zaczął Duncan, pokazując mu plan biurowca na środkowym Manhattanie. -

Tu pracuje ostatnia ofiara. Nazywa się Sarah Stanton. Siedzi w biurze na pierwszym piętrze.

Wybrałem to miejsce ze względu na rozkład. Jest idealne. Nie mogłem podrzucić zegara, bo policja wydała komunikat, że morderca zostawia je jako swoją wizytówkę - ale otworzyłem w jej komputerze okno z datą i godziną.

- Subtelne posunięcie.

Duncan uśmiechnął się.

- Też tak sędzę. - Morderca mówił cicho i dobitnie, lecz w jego głosie pobrzmiewała wyraźna nuta satysfakcji rzemieślnika demon-strującego gotowy mebel, instrument muzyczny... albo zegarek, po-myślał Baker.

Duncan wyjaśnił, że przebrał się za robotnika, zaczekał, aż Sarah Wyjdzie z biura, i podrzucił jej gaśnicę wypełnioną spirytusem. Za Kilka minut Baker miał zadzwonić do Rhyme'a albo Sellitta i poin-formować ich, że udało mu się ustalić, gdzie podłożono bombę. Do biura natychmiast przyjadą funkcjonariusze ESU i pirotechnicy. Oraz Amelia Sachs.

~ Ustawiłem gaśnicę w taki sposób, że kiedy Sarah ją poruszy, trysnie spirytus i dojdzie do zapłonu. Alkohol pali się naprawdę szybko. °Śień ją zabije albo zrani, ale biuro się nie zajmie.

- Dodał, że policja ^oże nawet rozbroić bombę i uratować irnhiW^ t—•

Duncanowi zależało tylko na tym, aby Amelia Sachs zjawiała się w biu. rze i zaczęła zabezpieczać miejsce zdarzenia.

Pokój Sary znajdował się na końcu wąskiego korytarza. Sachs jak zawsze będzie pracować sama. Kiedy odwróci się tyłem, stojący nie-daleko Baker zastrzeli ją i wszystkich w pobliżu.

Użyje automatycz-nej trzydziestkidwójki Duncana załadowanej amunicją z tego same-go pudełka, które morderca celowo zostawił w explorerze, aby znalazła je policja. Po zastrzeleniu Sachs Baker wybije okno wycho-dzące na alejkę i wyrzuci pistolet, żeby wszystko wyglądało tak, jak gdyby Zegarmistrz wyskoczył oknem i uciekł, porzucając broń.

Rzadki typ broni i amunicja identyczna z pociskami znalezionymi w fordzie nie pozostawia żadnych wątpliwości, że sprawcą jest Ze-garmistrz.

Sachs zginie, a śledztwo w sprawie korupcji na posterunku nu-mer 118 utknie w miejscu.

- Możesz dopuścić innych do ciała, ale to byłby zręczny manewr, gdybyś ich odepchnął i sam próbował ją reanimować - powiedział

Duncan.

Myślisz o wszystkim, co? - odrzekł Baker.

W zegarach cudowne jest to - rzekł Duncan, patrząc na księżyc na cyferblacie - że w każdym zegarmistrz umieszcza dokładnie tyle elementów, ile potrzeba. Niczego nie brakuje, ale nie ma tu ani jednego zbytecznego detalu. - Ścisząc głos, dodał: - Czysty ideał, nie sądzisz?

Amelia Sachs i Ron Pułaski brnęli przez zimne ulice dolnego Manhattanu. Sachs doszła do wniosku, że czasem największe prze-szkody w sprawie nie są dziełem sprawców, ale świadków i ofiar.

Poszli tropem jednego z dowodów znalezionych w kościele, kwi-tów z wielopoziomowego parkingu położonego niedaleko pirsu, gdzie zginęła pierwsza ofiara. Ale pracownik obsługi parkingu nie mógł im pomóc. „Pani, nie, nie znam jego. Nie pamiętam nikt taki. Ahmed - może on widział... Och, nie, dzisiaj nie ma Ahmed. Nie, nie mam jego numer telefonu”.

I tak dalej.

Zniecierpliwiona Sachs wskazała restaurację sąsiadującą z par-kingiem.

- Może akurat tam wstąpił - powiedziała. - Spróbujmy.

W tym momencie zatrzeszczało radio. Poznała głos Sellitta.

- Amelia,

słyszysz mnie?

Chwyciła za ramię Pułaskiego i podkręciła głośność, żeby oboje mogli go słyszeć.

- Mów.

Gdzie jesteście?

W centrum. Z garażem nic nie wyszło. Chcemy popytać w ciach

Możecie sobie dać spokój. Jedźcie na Trzydziestą Drugą i Siód-jną Aleję. Szybko. Dennis Baker znalazł trop. Zdaje się, że następna ofiara jest w biurowcu.

Kto to jest?

Dokładnie nie wiemy. Pewnie trzeba będzie przeczesać cały budynek. Na miejsce jadą już pirotechnicy - to jest ofiara, którą chciał

spalić. Rany, mam nadzieję, że zdążymy. Pospieszcie się.

Będziemy za piętnaście minut.

Straż pożarna wysłała do dwudziestosiedmiopiętrowego budynku na dolnym Manhattanie dwudziestu czterech strażaków. Bo Haumann przygotował pięć zespołów szturmowych ESU

- większych niż zwykle, bo zamiast czterech było w nich sześciu funkcjonariuszy - aby przeszukali biurowiec piętro po piętrze.

Z powodu przedświątecznego ruchu Sachs jechała na miejsce prawie pół godziny. Spóźnienie było niewielkie, ale dodatkowy kwadrans oznaczał dla niej dużą różnicę: nie weszła w skład zespołu szturmowego. Amelia Sachs oficjalnie była detektywem zabezpieczającym miejsca zbrodni, lecz sercem należała także do brygady specjalnej, która pierwsza pukała do drzwi sprawcy.

Jeżeli znajdą tu Zegarmistrza, będzie to dla niej ostatnia okazja do udziału w szturmie przed odejściem ze służby. Przypuszczała, że w nowej pracy w agencji ochrony Argyle będą ją czekały emocjonujące zadania, ale jeżeli trzeba będzie kogoś zdjąć, z pewnością większość akcji szturmowych wezmą na siebie jednostki policji.

Sachs i Pułaski wyskoczyli z samochodu i podbiegli do stanowiska dowodzenia przy tylnym wejściu do biurowca.

- Pokazał się? - zapytała Haumanna.

Szpakowaty mężczyzna pokręcił głową.

-

Jeszcze nie. Mamy zdjęcia z kamery w holu, gdzie widać kogoś z torbą, podobnego do faceta z portretu pamięciowego, ale nie wiemy, czy wyszedł, czy nie. Są dwa tylne i dwa boczne wyjścia bez alarmu i kamer.

Przeprowadzacie ewakuację? - spytał męski głos.

Sachs odwróciła się. To był detektyw Dennis Baker.

Dopiero zaczynamy - odparł Haumann.

Jak go znalazłeś? - spytała Sachs.

- Skojarzyłem ten magazyn pomalowany na zielono - rzekł Baker. - Urządził sobie tam punkt obserwacyjny. Znalazłem notatki i mapę budynku.

Sachs wciąż czuła do niego urazę za to, że ją szpiegował, ale solidnie wykonana praca zasługiwała na uznanie. Skinęła głową. ~ Dobra robota.

~ Nic nadzwyczajnego - odparł z uśmiechem. - Zwykła policyjna ubanina. Plus trochę szczęścia. - Baker utkwiał wzrok w biurowcu, rękawiczki.

Rozdział 3D

Siedząc przy biurku, Sarah Stanton znów usłyszała skrzek w głośniku umieszczonym nad swoją głową.

W biurze żartowano, że firma założyła na system nagłośnienia jakiś filtr, który uniemożliwiał zrozumienie choćby jednego słowa z nadawanych przez głośniki komunikatów. Sarah odwróciła się od komputera i zawołała:

Co oni mówią? Nic z tego nie rozumiem.

Coś ogłaszają - zawołał jeden z pracowników.

Ba. Ale co?

- Ciągle to samo. Zaczynają mnie wkurzać. To jakieś ćwiczenia przeciwpożarowe? Pewnie tak.

Po jedenastym września alarm odzywał się mniej więcej co mie-siąc. Na początku kilka razy posłusznie maszerowała z wszystkimi na dół. Ale dziś temperatura wahała się w okolicach minus pięciu stopni, a Sarah miała jeszcze dużo pracy. Poza tym gdyby wybuchł prawdziwy pożar i tłum zablokowałby wszystkie wyjścia, mogłaby po prostu wy-skoczyć przez okno. Jej biuro było przecież na pierwszym piętrze. Z powrotem spojrzała w ekran monitora.

Nagle usłyszała głosy na drugim końcu korytarza prowadzącego do jej pokoiku. Brzmiał w nich ton zniecierpliwienia i niepokoju-Głosem towarzyszył inny dźwięk - brzęk metalu.

Czyżby sprzęt gaś-niczny?

Może rzeczywiście coś się działo.

Za jej plecami rozległ się tupot stóp. Odwróciwszy się, Sarah z° baczyła uzbrojonych policjantów w czarnych strojach. Policja? Boz > może to atak terrorystyczny? W pierwszej chwili pomyślała, że mu si natychmiast jechać do szkoły po syna.

Ewakuujemy cały budynek - wyjaśnił policjant.

Terrorystyci? - zawołał ktoś. - Znowu zamach?

Nie. - Funkcjonariusz nie wdawał się w szczegóły. - Niech wsw scv spokojnie opuszczą biura. Proszę wziąć tylko okrycia.

Sarah odetchnęła z ulgą. Nie musiała się martwić o syna.

Inny policjant zawołał:

- Szukamy gaśnic. Są jakieś na tym piętrze? Proszę ich nie doty-kać i tylko dać nam znać.

Powtarzam, proszę ich nie dotykać!

A więc naprawdę wybuchł pożar, pomyślała, narzucając płaszcz.

Nagle przyszło jej do głowy: trochę dziwne, że strażacy chcą uży-wać biurowych gaśnic. Nie mieli własnych? I dlaczego tak im zależy, żebyśmy ich nie używali? Przecież nie trzeba do tego żadnego spe-cjalnego szkolenia.

Powtarzam, proszę ich nie dotykać!... Policjant zajrzał do biura obok pokoju Sary.

Szuka pan gaśnicy? - zapytała. - Mam tu jedną.

I podniosła z podłogi ciężki czerwony cylinder.

Nie! - krzyknął policjant, rzucając się w jej stronę.

Sachs skrzywiła się, gdy w słuchawce zatrzeszczał głośny komunikat:

- Straż i pirotechnicy, na pierwsze piętro, narożne biuro od południowego wschodu. „Aranżacja Wnętrze, K. Lanam". Biegiem, biegiem!

Kilkunastu strażaków i funkcjonariuszy oddziału pirotechnicz-nego zarzuciło sprzęt na ramiona i sprintem ruszyło do tylnego wej-ścia.

- Status? - krzyknął do mikrofonu Haumann.

Usłyszeli tylko gwar rozgrzanych głosów i przeraźliwe wy-cie alarmu.



Jest detonacja? - powtórzył niecierpliwie dowódca ESU.

Nie widzę dymu - rzekł Pułaski.

Dennis Baker pokręcił głową, patrząc na pierwsze piętro.

- Jeżeli to alkohol - odezwał się jeden ze strażaków - to nie będzie dymu, dopóki nie zapalą się inne materiały. Albo włosy i skóra

- dodał beznamiętnym tonem.

Sachs wpatrywała się w okna, zaciskając pięści. Może kobieta właśnie kona w męczarniach otoczona przez policjantów i strażaków?

Szybciej - szepnął Baker.

Nagle w radiu zaterkotał głos:

Mamy ładunek... jest... Tak, mamy go. Nie wybuchł.

Sachs zamknęła oczy.

Dzięki Bogu - rzekł Baker.

2 biurowca wysypywali się ludzie, wśród których funkcjonariusze z patroli i ESU szukali Duncana, porównując twarze pracownic<sup>o</sup> w portretem pamięciowym.

Jeden z policjantów przyprowadził jakąś kobietę do Sachs, Baker-a i Pułaskiego, do których dołączył Sellitto.

Niedoszła ofiara, Sarah Stanton, wyjaśniła, że pod biurkiem zna-azła gaśnicę, której wcześniej nie było, ale nie widziała, kto ją po-awił. Ktoś z biura przypomniał sobie, że zauważył krecaceo sif nr.

korytarzu robotnika, ale nie pamiętał żadnych szczegółów, nie roz-poznał człowieka z portretu pamięciowego, nie wiedział też, dokąd poszedł robotnik.

Status ładunku? - nadał przez radio Haumann.

Nie widziałem mechanizmu zegarowego - odpowiedział jeden z funkcjonariuszy. - Ale manometr pokazywał zero. Możliwe, że to zapalnik. Czuję też zapach alkoholu. Pirotechnicy włożyli gaśnicę do komory, zabierają ją do Rodman's Neck. Ciągłe przeczesujemy budynek.

Trafiliście na ślad sprawcy? - zapytał Baker.

Nie. Są dwa wyjścia przeciwpożarowe i windy. Mógł uciec tamtędy. Na piętrze jest jeszcze pięć innych firm. Możliwe, że ukrył się w którejś z nich. Za chwilę zaczniemy szukać, jak tylko odwołamy alarm bombowy.

Dziesięć minut później funkcjonariusze zameldowali, że w biu-rowcu nie ma więcej ładunków.

Sachs przesłuchała Sarę, a potem przekazała uzyskane od niej informacje Rhyme'owi.

Kobieta nie знаła poprzednich ofiar i ni-gdy nie słyszała o Geraldzie Duncanie. Przykro jej było usłyszeć, że jego żona zginęła niedaleko jej mieszkania, ale nie pamięta, że-by w okolicy doszło do jakichś wypadków śmiertelnych.

W końcu Haumann oznajmił, że jego oddział skończył przeszuka-nie budynku; Zegarmistrzowi udało się uciec.

- Do

diabła - mruknął Dennis Baker. - A tak niewiele brakowało.

Zniechęcony Rhyme rzekł:

-

Wobec tego zrób siatkę, a potem powiedz mi, co znalazłaś.

Rozłączyli się. Haumann wysłał dwa zespoły do magazynu, w któ-rym Duncan urządził sobie

punkt obserwacyjny, na wypadek gdyby morderca wrócił. Sachs włożyła biały kombinezon z tyveku i złapała metalowy neseser z narzędziami do zbierania i zabezpieczania śladów.

- Pomogę - oświadczył Pułaski, także przebierając się w biały strój ochronny.

Podziała mu neseser, a sama wzięła drugi.

Na pierwszym piętrze przystanąła, rozglądając się po korytarzu-Sfotografowała go i weszła do biura Lanam, kierując się do stanowiska Sary Stanton.

Wydobyli z neseserów podstawowy sprzęt do zabezpieczania do-wodów: torebki, fiołki, rolki do zbierania mikrośladów, folię do zdejmowania elektrostatycznego obrazu odcisków butów oraz chemika-lia i narzędzia do ujawniania odcisków palców.

- Co mam zrobić? - zapytał Pułaski. - Przeszukać klatki schodowe-Zastanawiała się przez chwilę. Należało sprawdzić schody, a uznała, że lepiej będzie, jeżeli sama to zrobi; Zegarmistrz najprawdopodobniej tamtędy dostał się na miejsce zdarzenia i z yieS uciekł, trzeba więc było odnaleźć każdy najdrobniejszy ślad. Sachs obejrzała biuro Sary, zwracając uwagę na pusty boks obok jej biurka. Być może zaczął się tam Zegarmistrz, czekając na dogodny moment, aby podłożyć bombę. Zaczynaj od tego boksu - poleciła nowemu.

Nie ma sprawy. - Pułaski wziął latarkę i zaczął obchód po siatce. Zauważyła, że wacha powietrze, zgodnie z nakazem Lincolna Rhyme'a, który zalecał to wszystkim funkcjonariuszom dokonują-

cym oględzin miejsca zdarzenia. Chłopak daleko zajdzie, przemknęło jej przez myśl.

Sachs weszła do boksu, gdzie znaleziono ładunek. Usłyszała jakiś hałas i obejrzała się przez ramię. To był tylko Dennis Baker. Przeszedł przez korytarz, zatrzymując się około sześciu metrów od biura, na tyle daleko, by uniknąć ryzyka zanieczyszczenia dowodów.

Nie wiedziała, po co przyszedł, ale ponieważ wciąż nie mieli pojęcia, gdzie jest Zegarmistrz, była mu wdzięczna za obecność.

Szukaj dobrze, ale pilnuj tyłów...

To było jednak co innego.

Detektyw Dennis Baker - razem z gliniarzem ze Sto Osiemnastego - zamordował Benjaminą Creeleya i Franka Sarkowskiego. Przy-szło im to z pewnym trudem, ale zabili bez wahania.

Baker był gotów zlikwidować każdego cywila, który stanowiłby zagrożenie dla ich procederu.

Bez problemów. Pięć milionów dolarów - tyle wynosiły ich zyski do dziś - mogło skutecznie zagłuszyć sumienie. Ale Baker nigdy dotąd nie zabił innego policjanta. Wierząc się niecierpliwie, obserwował Amelię Sachs i tego chłopaka, Pułaskiego, który stanowił równie łatwy cel. To zupełnie co innego.

Zamierzał zabić członków rodziny, innych policjantów. Ale smutna prawda była taka, że Sachs, a przez związek z nią także Pułaski, mogła mu zniszczyć życie.

Tak więc nie było się nad czym zastanawiać. Uważnie zlustrował miejsce. Tak, Duncan zaplanował to doskonale. Wyrzął przez wspomniane przez niego okno. Alejka pięć metrów niżej była pusta. Obok stało szare metalowe krzesło, które po oddaniu strzałów miał wyrzucić przez okno. Nad głową ujrzał dużą kratkę wlotu wentylacji, którą miał wyjąć, stwarzając pozory, że w przedwodzie ukrywał się Zegarmistrz. Głęboki oddech.

Dobra, już czas. Musiał działać szybko, zanim zjawi się tu ktokol-Wlek inny. Amelia Sachs wysłała pozostałych funkcjonariuszy do głównego korytarza, ale w każdej chwili ktoś mógł tu nadejść.

"YJął trzydziestkędwójkę, bezgłośnie odciągając zamek, by sPrawdzić, czy w komorze jest pocisk. Trzymając broń za plecami, 2r°bił krok naprzód. Patrzył na Sachs, która poruszała się niemal pK tancerka. Przeszukiwała miejsce płynnie, precyzyjnie i w abso-utnyni skupieniu.

Piękny widok.

Baker otrząsnął się z zamyślenia.

Kto pierwszy?

Pułaski stał trzy metry od niego, Sachs sześć, i oboje byli zwróci- ni do niego plecami.

Logika podpowiadała, że pierwszy powinien być Pułaski, ponie- waż stał bliżej. Lecz Baker słyszał od Lincolna Rhyme'a o umiejęt- nościach strzeleckich Sachs. Potrafiła w sekundę wyciągnąć broń i strzelić. Chłopak prawdopodobnie nie oddał ani jednego strzału w akcji.

Może sięgnie po pistolet, gdy Baker zabije Sachs, ale umrze, zanim zdąży go wyciągnąć.

Odetchnął kilka razy.

Amelia Sachs bezwiednie mu pomogła. Wyprostowała się, zmie- niając się w doskonały cel.

Baker wycelował w jej kręgosłup i nacis- nął spust.

Rozdział 31

Dla większości ludzi byłby to zwykły metaliczny stuk, nieróżniący się niczym szczególnym od innych hałasów wielkomiejskiego biu- rowca.

W uszach Amelii Sachs zabrzmiało to jednak wyraźnie jak ude- rzenie poruszanej sprężyną iglicy w spłonkę wadliwego naboju albo odgłos wydawany przez nienaładowaną broń podczas strzelania na sucho. Słyszała ten dźwięk setki razy, gdy wydawał go jej własny pi- stolet i broń innych gliniarzy.

Po trzasku nastąpiło to co zwykle - strzelec odciągnął zamek, by wyrzucić zepsuty pocisk i załadować do komory następny nabój w magazynku. W wielu wypadkach - tak jak teraz - manewr jest wy- konywany w gorączkowym pośpiechu, ponieważ strzelec musi błý- skawicznie opróżnić komorę i załadować nową kulę. Często jest to kwestia życia i śmierci.

Wszystko trwało zaledwie ułamek sekundy. Sachs upuściła rolkę do zbierania mikrośladów.

Sięgnęła prawą ręką do biodra - zawsze wiedziała, gdzie jest kabura - i obróciła się na pięcie, przyjmując postawę strzelecką i kierując glocka w stronę, z której dobiegł me- taliczny szczęk.

Kątem oka dostrzegła Rona Pułaskiego, który wyprostował się w sąsiednim boksie, z niepokojem spoglądając na pistolet w jej rę- ku i zastanawiając się, co Sachs wyprawia.

Sześć metrów przed nią stał Dennis Baker z szeroko otwartymi Oczyma. W dłoni w rękawiczce ścisnął maleńki pistolet, chyba trzy-dziesiątkędwójkę, celując w Sachs i drugą ręką manipulując przy Zamku. Sachs zauważyła, że to autauga MKII, broń, którą zgodnie z Przypuszczeniami Rhyme'a mógł mieć Zegarmistrz.

Baker wlepił w nią zdumione spojrzenie, nie mogąc przez chwilę ^krztusić słowa.

- Coś słyszałem - rzekł szybko. - Zdawało mi się, że wrócił... Zegarmistrz.

~ Nacisnąłeś spust.

-

Nie, tylko przeładowałem.

Zerknęła na podłogę, gdzie upadł uszkodzony pocisk. Mógł się tam znaleźć tylko wówczas, gdyby Baker próbował strzelić, a potem

wyrzucił niewypał z komory.

Przekładając maleńką trzydziestkędwójkę do lewej dłoni, opu- ścił prawą rękę wzdłuż ciała.

- Musimy

uważać. Myślę, że wrócił.

Sachs wycelowała prosto w pierś Bakera.

-

Nie rób tego, Dennis - ostrzegła, wskazując na jego biodro gdzie w kaburze spoczywała służbowa broń. - Ja na pewno strzelę.

Przypuszczam, że pod garniturem masz kamizelkę. Pierwszą kulę dostaniesz w pierś, ale druga i trzecia trafią wyżej. To nie będzie przyjemne.

- Ależ... nie rozumiesz. -W jego oczach zamigotała panika. - Musisz mi uwierzyć.

Czy zdaniem Kathryn Dance nie jest to kluczowe wyrażenie sygnalizujące kłamstwo?

Co się dzieje? - zapytał Pułaski.

Zostań tam, Ron - rozkazała Sachs. - Nie zwracaj uwagi na to, co on mówi. Wyciągnij broń.

- Pułaski - odezwał się Baker. - Ona oszalała. Coś z nią nie tak.

Kątem oka dostrzegła jednak, jak nowy wyciąga broń i mierzy do Bakera.

Dennis, połóż trzydziestkędwójkę na stole. Potem lewą ręką, dwoma palcami wyciągnij służbową broń i połóż obok. Cofnij się o pięć kroków i połóż się twarzą do ziemi. Wyrażam się jasno?

Nie rozumiesz.

Nie muszę niczego rozumieć - odparła spokojnie. - Masz zrobić, co mówię.

-Ale...

Masz to zrobić natychmiast.

Zwariowałaś - warknął Baker. - Uwzięłaś się na mnie, kiedy się dowiedziałaś, że grzebałem w tej historii z twoim dawnym chłopakiem. Próbujesz mnie za to skompromitować... Pułaski, ona chce mnie zabić. Przeszła na drugą stronę. Nie daj się jej wciągnąć w to bagno.

- Otrzymał pan polecenie od detektyw Sachs. Jeżeli to będzie konieczne, rozbroję pana. Jak będzie?

Minęło kilka sekund. Każda dłużyła się jak godzina. Nikt się nie ruszał.

-

Kurwa. - Baker położył pistolety tam, gdzie mu kazano, i rozciągnął się na podłodze. - Oboje wdepnęliście w niezłe gównno.

-

Skuj go - powiedziała do Pułaskiego Sachs.

Ośłaniała nowego, który zdezorientowany założył poruczniko ręce do tyłu i zatrzasnął na nich kajdanki.

- Przeszukaj

go.

«arVis chwyciła motorolę.

Detektyw pięć osiem osiem pięć do Haumanna, odbiór.

Mów, odbiór.

Zmiana sytuacji. Mam tu człowieka w kajdankach, którego trzeba sprowadzić na dół.

Co się dzieje? - zapytał dowódca ESU. -To sprawca?

Dobre pytanie - odparła, chowając pistolet do kabury.

Po ostatnim nieoczekiwanym zwrocie akcji, gdy detektyw Dennis Baker najprawdopodobniej usiłował zabić Amelię Sachs i Rona Pułaskiego, przed biurowcem na środkowym Manhattanie pojawiła się nowa postać.

Używając panelu dotykowego, Lincoln Rhyme manewrował czerwonym wózkiem Storm Arrow, zmierzając w stronę wejścia do budynku. Baker, ze skutymi rękami i nogami, siedział z tyłu stojącego przed biurowcem radiowozu. Miał kredowobiałą twarz i patrzył prosto przed

siebie.

Z początku utrzymywał, że Sachs chce się na nim zemścić za hi-storię z Nickiem Carellim.

Rhyme postanowił jednak sprawdzić in-formację u źródeł. Zapytał pewną osobę z dowództwa departamen-tu, kto wysłał e-mail w tej sprawie. Okazało się, że to Baker poruszył temat związku Sachs ze skorumpowanym policjantem i nikt z Cen-trali nie wysyłał żadnego e-maila; Baker sam go napisał. Wszystko sfabrykował, aby mieć alibi, na wypadek gdyby Sachs przyłapała go na szpiegowaniu.

Rhyme podjechał bliżej budynku, gdzie Sellitto i Haumann zor-ganizowali stanowisko dowodzenia akcją. Kiedy zatrzymał wózek, Sellitto opowiedział, co się stało na górze.

-  
Nic z tego nie rozumiem - dodał. - Po prostu nic.

Gruby detektyw zatarł zgrabiące ręce. Spojrzał w czyste niebo, jak gdyby właśnie zdał sobie sprawę, że jest jeden z najzimniej-szych miesięcy. Kiedy prowadził śledztwo, nie zważał na mrozy ani upały.

- Znaleźliście coś przy nim? - zapytał Rhyme.

- Tylko  
trzydziestkędwójkę i lateksowe rękawiczki - odrzekł Pu-  
łaski. -1 parę rzeczy osobistych.

Po chwili zjawiała się Amelia Sachs, niosąc karton zawierający kilkanaście plastikowych torebek z dowodami. Właśnie skończyła Przeszukiwanie samochodu Bakera.

- Z  
każdą minutą robi się ciekawiej, Rhyme. Zobacz. - Zaczęła Pokazywać torebki po kolei. Były w nich kokaina, pięćdziesiąt tysięcy-

^ w gotówce, jakaś stara część garderoby, paragony z klubów i ba-

°w na Manhattanie, w tym również z „St. James”. Jedna torebka na Pierwszy rzut oka wydawała się pusta. Dopiero oglądając ją z bli-a' Rhyme dostrzegł cieniutkie włókna.

- Z  
wykładziny samochodowej? - spytał.

"" Aha. Brązowej.

Założę się, że pasują do tych z explorera.

Tak właśnie przypuszczam.

Jeszcze jedno ogniwo łączące Bakera z Zegarmistrzem.

Rhyme pokiwał głową, patrząc na foliową torebkę łopoczącą na chłodnym wietrze. Ogarnęło go poczucie satysfakcji, zawsze towa-rzyszące chwili, gdy kawałki układanki zaczynały do siebie pasować. Odwrócił wózek w stronę radiowozu, w którym siedział Baker i zawołał do niego przez uchylone okno:

- Kiedy  
dostałeś przydział do Sto Osiemnastego?

Porucznik spojrział na kryminalistykę.

Odpieprz się. Myślisz, że coś wam powiem? To wszystko jedna wielka bzdura. Ktoś mi to podrzucił.

Zadzwoń do kadr - powiedział do Sellitta Rhyme. - Chcę wiedzieć, gdzie był wcześniej przydzielony.

Sellitto spełnił polecenie i po krótkiej rozmowie oświadczył: Bingo. Przez dwa lata pracował na Sto Osiemnym. Wydział

narkotyków i zabójstw. Trzy lata temu awansowali go do Centrali.

Jak poznałeś Duncana?

Baker zgarbił się i znów utkwiał wzrok w przestrzeni.

Jakaż nieoczekiwana konwergencja naszych spraw - rzekł

Rhyme w przypływie dobrego humoru.

Co takiego? - warknął Sellitto.

Konwergencja. Zbieżność, Lon. Lub upodobnienie. Nie rozwiązujesz krzyżówek?

Jakich spraw? - odburknął Sellitto.

Sprawy Sachs dotyczącej Sto Osiemnego i sprawy Zegarmistrza, rzecz jasna. To w ogóle nie są oddzielne śledztwa, tylko dwa ostrza tego samego miecza - dodał, wyraźnie zadowolony z metafory.

Jego Sprawa i Druga Sprawa...

- Mógłbyś wyjaśnić?

Naprawdę musiał?

Baker był jednym z graczy afery korupcyjnej w Sto Osiemnym - odezwała się Sachs. - Wynajął Zegarmistrza - to znaczy Duncana - żeby mnie zlikwidował, bo za bardzo się zainteresowałam.

Co świadczy o tym, że istotnie źle się dzieje w państwie duńskim.

Teraz nie zrozumiał Pułaski.

Duńskim? W Europie?

U Szekspira, Ron - odrzekł zniecierpliwiony kryminalistyk A gdy młody posterunkowy uśmiechnął się bezradnie, Rhyme skąp tulował.

To znaczy, że mamy dowód korupcji na naprawdę wielką s\*^

- ciągnęła Sachs. - W Sto Osiemnym nie tylko utrudniają śl twa na zlecenie jakiegoś gangu z Baltimore czy Bay Ridge, ale coś znacznie poważniejszego.

Spoglądając w roztargnieniu na biurowiec, Rhyme skinął głową, nie zważając na zimno ani wiatr. Oczywiście wiele pytań wciąż pozo-stawało bez odpowiedzi. Na przykład Rhyme nie wiedział, czy Vincent Reynolds naprawdę był współnikiem Zegarmistrza, czy tylko został przez niego wrobiony.

Należało też ustalić, dokąd płynęły brudne pieniądze.

Kim jest człowiek z Marylandu? - zapytał Rhyme. - Dla kogo pracujesz? Dla mafii czy kogoś innego?

Głuchy jesteś? - warknął Baker. - Nie powiem ani słowa.

-

Zabierzcie go do centralnego aresztu - polecił Sellitto umundu-rowanym funkcjonariuszom stojącym przy samochodzie. - Aresztujcie go za napaść z usiłowaniem zabójstwa. Potem dorzucimy parę innych ozdobników.

Patrząc w ślad za odjeżdżającym radiowozem, Sellitto pokręcił głową.

Jezu - mruknął. - Ale mieliśmy szczęście.

Szczęście? - powtórzył zirytowanym tonem Rhyme, przypominając sobie, że wcześniej mówił coś podobnego.

Tak, szczęście, że Duncan nie zabił nikogo więcej. Tu zresztą też -

Baker miał Amelię jak na dłoni. Gdyby ta pukawka wypaliła...

- Urwał, zanim zdążył opisać tragedię, do jakiej o mały włos nie doszło.

Lincoln Rhyme wierzył w szczęście mniej więcej tak jak w duchy i latające spodki. Chciał zapytać, co u licha ma do tego szczęście, lecz słowa zamarły mu na ustach.

Szczęście...

Nagle w głowie zaroilo mu się od myśli wirujących jak pszczoły uciekające z przewróconego ła. Zmarszczył brwi.

Dziwne... - Nie dokończył. Po chwili wyszeptał: - Duncan.

Coś nie tak, Linc? Wszystko w porządku?

Rhyme? - zaniepokoiła się Sachs.

Cii...

Dotykając palcem panelu, wolno obrócił wózek wokół własnej osi, zaglądając do alejki obok, patrząc na torebki i pudełka z dowo-dami zebranymi przez Sachs. Zaśmiał się cicho i oznajmił:

Chcę zobaczyć broń Bakera.

Służbową? - zapytał Pułaski.

Oczywiście, że nie. Tę drugą. Trzydziestkędwójkę. Gdzie ona Jest? Szybko!

Pułaski znalazł broń opakowaną w plastikową torebkę i przyniósł Rhyme'owi.

- Rozłóż ją.

~ Ja? - zdziwił się Nowy.

~ Nie, ona. - Kryminalistyk wskazał głową Sachs.

Sachs rozpostarła na chodniku kawałek folii, zdjęła skórzane rękawiczki i włożyła lateksowe, a po kilku sekundach leżał przed nią °zniontowany pistolet.

Pokaż mi wszystkie części po kolei.

Spełniła polecenie. Wymienili spojrzenia.

Ciekawe - powiedziała.

No dobrze. Nowy?

Tak jest.

Muszę porozmawiać z lekarzem z biura koronera. Znajdź mi go

Oczywiście. Mam zadzwonić?

Westchnieniu Rhyme'a towarzyszył obłoczek pary ulatujący rano z ust.

- Możesz spróbować wysłać telegram, możesz pójść i zapukać do jego drzwi, ale mam przeczucie, że najlepszym wyjściem będzie sko-rzystanie... z... telefonu. I nie daj się zbyć byle czym. Muszę z nim porozmawiać.

Młody posterunkowy chwycił telefon komórkowy i zaczął wystu-kiwać numer.

Linc - odezwał się Sellitto. - O co tu...

Ty też zrób coś dla mnie, Lon.

Jasne,co?

Po drugiej stronie ulicy stoi mężczyzna, który się nam przygląda. U wylotu alejki.

Sellitto odwrócił się w tę stronę.



- Widzę. - Był to szczupły człowiek w skórzanej kurtce, dżinsach i czapce. Mimo zapadającego zmroku miał na twarzy ciemne okulary. - Wygląda znajomo.

- Zaprosz go tu do nas. Chciałbym mu zadać kilka pytań.

Sellitto parsknął śmiechem.

- Linc,

widzę, że Kathryn Dance naprawdę ma na ciebie wpływ.

Zdawało mi się, że nie ufasz świadkom.

Och, w tym wypadku mogę zrobić wyjątek.

Gruby detektyw wzruszył ramionami.

Kto to jest?

- Mogę się mylić - odparł Rhyme tonem człowieka przekonane-go, że rzadko jest w błędzie. - Ale mam przeczucie, że to Zegarmistrz.

Rozdział 32

Gerald Duncan siedział na krawężniku obok stojących przy nim Sachs i Sellitta. Założono mu kajdanki i pozbawiono czapki, okularów przeciwsłonecznych, kilku par beżowych rękawiczek, portfela i zakrwawionego składanego noża.

W przeciwieństwie do Dennisa Bakera, Duncan zachowywał się uprzejmie i był gotów do współpracy - mimo że został rzucony na ziemię, zrewidowany i skuty przez troje funkcjonariuszy, między innymi Sachs, która nie słynęła z delikatności w obchodzeniu się ze sprawcami, zwłaszcza takimi jak ten.

Wydane w Missouri prawo jazdy potwierdziło jego tożsamość. Według dokumentu Duncan mieszkał w St. Louis.

-  
Chryste, jakim cudem go zauważyłeś? - zapytał Sellitto.

Wniosek Rhyme'a, kim jest jeden z gapiów na ulicy, nie był żadnym objawieniem.

Kryminalistyk zaczął podejrzewać, że Zegarmistrz nie uciekł, zanim jeszcze zauważył mężczyznę na uliczce.

-  
Mam go - rzekł Pułaski. - Koronera.

Rhyme nachylił się do telefonu, który nowy przytrzymał mu przy uchu, i odbył krótką rozmowę z lekarzem. Koroner przekazał mu bardzo ciekawe informacje. Rhyme podziękował i ruchem głowy dał znak Pułaskiemu, że może już się rozłączyć. Kryminalistyk podjechał wózkiem Storm Arrow bliżej Duncana.

-  
Pan Lincoln Rhyme - powiedział zatrzymany mężczyzna, jak śdyby spotkanie z kryminalistyką poczytywał sobie za zaszczyt.

-  
Owszem. A pan jest, cytuję, „Zegarmistrzem”, koniec cytatu.

Duncan zaśmiał się porozumiewawczo.

Rhyme przyjrzał się mężczyźnie. Wyglądał na zmęczonego, lecz "o od niego poczucie satysfakcji - a nawet spokój.

Z uśmiechem, jaki rzadko gościł na jego twarzy, Rhyme spytał Podejrzanego:

^ ~ A więc kim naprawdę była ofiara na uliczce? Możemy poszukać eodore'a Adamsa w

urzędowych rejestrach, ale to będzie strata Czasu, prawda?

^przechylił głowę.

Tego też się pan domyślił?

Co z tym Adamsem? - spytał Sellitto. Nagle zdał sobie sprawę że należy postawić pytanie nieco ogólniejsze. - Linc, o co tu chodzić Pytam naszego podejrzanego o mężczyznę, którego znaleźliśmy z zmiądzoną szyją na uliczce wczoraj rano. Chcę wiedzieć, kto to był i jak umarł.

Przecież ten drań go zabił - zauważył Sellitto.

Nie, nie zabił. Właśnie rozmawiałem z koronerem. Nie ma dla nas jeszcze ostatecznej wersji protokołu, ale przedstawił mi wersje wstępną. Ofiara zginęła w poniedziałek około szóstej po południu nie o jedenastej. Przyczyną śmierci były natomiast rozległe obrażenia wewnętrzne powstałe w wyniku wypadku samochodowego albo upadku z wysokości. Kiedy nazajutrz rano znaleziono ciało, było zamarznęte na kość, więc lekarz nie potrafił na miejscu określić precyzyjnie przyczyny ani godziny śmierci. - Rhyme pytająco uniósł

I j;!i brew. - A więc, panie Duncan? Kto i jak?

j j:|f - Pewien biedak, który zginął w wypadku w Westchester - wyjaś-

)[' nił Duncan. - Nazywał się James Pickering.

;; -

Proszę mówić dalej - ponaglił go Rhyme. - Nie możemy się do-

!| czekać odpowiedzi.

- Dowiedziałem się o wypadku przez policyjny skaner. Karetka

,|' zawiozła ciało do kostnicy w szpitalu okręgowym. Stamtąd wykradłem zwłoki.

!i -

Dzwoń do szpitala - rzekł Rhyme do Sachs.

; Spełniła polecenie. Po krótkiej rozmowie zameldowała: Około piątej rano w poniedziałek trzydziestojednoletni mąż-

czynna zjechał z Bronx River Parkway. Stracił kontrolę nad pojazdem na oblodzonej jezdni. Zginął na miejscu z powodu obrażeń we-wnętrznych. Nazywał się James Pickering. Ciało odwieziono do szpitala, ale zniknęło. Myśleli, że przez pomyłkę przetransportowa-no zwłoki do innego szpitala, ale nie mogli go znaleźć. Rodzina, jak się można domyślić, nie przyjęła tego najlepiej.

Przykro mi - powiedział Duncan ze szczerze stroskaną miną-

-  
Ale nie miałem wyboru. Mam jego wszystkie rzeczy osobiste.

Zwrócę je rodzinie. I pokryję koszty pogrzebu.

-  
A prawo jazdy i rzeczy w portfelu znalezionym przy zwłokach.

- spytała Sachs.

Falsyfikaty. - Duncan pokiwał głową. - Ujawniłaby to dokład-niejsza analiza, ale przez kilka dni musiałem oszukiwać ludzi.

A więc wykradł pan ciało, zawiózł do alejki, a potem przygnio"

je pan żelazną sztabą, żeby upozorować okrutne morderstwo.

Skinął głową.

Zostawił pan też zegar i list.

Zgadza się.

A pirs na Dwudziestej Drugiej? - zapytał Sellitto. - Kto tam z<sup>o</sup> stał zabity?

Rhyme zerknął na Duncana.

Ma pan grupę krwi AB Rh+?

Duncan się zaśmiał.

Jest pani niezły.

- Nie

było żadnej ofiary na pirsie, Lon. Rozlał tam swoją krew.

- Przyglądając się podejrzanemu, Rhyme rzekł: - Podrzucił pan na pirs zegar z listem i oblał własną krwią pomost i kurtkę - którą wrzucił pan następnie do rzeki. Zrobił pan też ślady paznokci. Skąd pan wziął swoją krew? Sam ją zbierał?

Nie, w szpitalu w New Jersey. Powiedziałem, że muszę zrobić zapas krwi przed planowaną operacją.

Stąd obecność środka przeciwkrzepliwego. - Do konserwowa-nej krwi zwykle dodaje się środek rozrzedzający, aby zapobiec jej krzepnięciu.

Duncan przytaknął.

Zastanawiałem się, czy pan to sprawdzi.

A paznokiec? - pytał dalej Rhyme.

Duncan pokazał palec serdeczny. Koniec paznokcia był ode-rwany.

Vincent na pewno mówił o młodym człowieku, którego rzeko-mo zabiłem pod kościołem - dodał. - Nic mu nie zrobiłem. Krew na nożu i na kawałku gazety w śmieciach - jeżeli jeszcze tam jest - była moja.

Jak to się stało?

To była kłopotliwa sytuacja. Vincent myślał, że chłopak zobaczył jego nóż. Musiałem więc udać, że go zabiłem. Inaczej Vincent mógłby zacząć mnie podejrzewać. Poszedłem za chłopakiem za róg, potem skręciłem w uliczkę, zaciąłem się w ramię i umazałem nóż własną krwią. - Pokazał świeżą ranę na przedramieniu. - Możecie zrobić test DNA.

-Bez obawy, zrobimy... - Kolejna rzecz przyszła mu na myśl. - Teraz samochód - nikogo pan nie zabił, żeby ukraść buicka, praw-da? - Nie mieli żadnych zgłoszeń o zaginionych studentach w Chelsea ani o morderstwach kierowców podczas napadów na samochody w jakiegokolwiek części miasta.

Lon Sellitto znów poczuł, że musi się wtrącić.

Cholera, o co tu chodzi?

To nie jest seryjny morderca - odparł Rhyme. - W ogóle nie Jest mordercą. Wszystkie zbrodnie zostały zainscenizowane.

Żona nie zginęła w wypadku? - spytał Sellitto.

~ Nigdy nie byłem żonaty.

Jak pan na to wpadł? - zapytał Rhyme'a Pułaski.

~ Dzięki temu, co powiedział Lon.

-Ja?

~ Po pierwsze, wspomniałeś nazwisko: Duncan. ~ No i? Wszyscy je znamy.

i.lilii „lilii

lit

- Otóż to. Bo wyjawiał je nam Vincent Reynolds. Ale pan Duncan jest osobą, która dwadzieścia cztery godziny na dobę nosi rękawicz.

ki i nigdzie nie zostawia odcisków palców. Za bardzo uważa, żeby zdradzać swoje nazwisko komuś takiemu jak Vincent - chyba że nie zważa na to, czy się dowiemy, kim jest.

Potem powiedziałeś o szczęściu w tym kontekście, że nie zabił ostatnich ofiar i Amelii. Z początku wkurzyłem się, słysząc to gada-nie, ale potem zacząłem się nad tym zastanawiać.

Miałeś rację. Tak naprawdę nie ocaliliśmy żadnych ofiar. Florystka? Joannę? Ow-szem, czatował na nią, ale to ona zadzwoniła pod dziewięćset jede-naście, kiedy usłyszała jakiś hałas w pracowni - hałas, który zapew-ne wywołał celowo.

Zgadza się - przytaknął Duncan. - Zostawiłem też szpulkę drutu na podłodze, żeby ją ostrzec, że ktoś się włamał.

A sierżant Lucy Richter w Greenwich Village? - odezwał się Sachs. - Dostaliśmy anonimowy telefon od świadka z informacją o włamaniu. Ale to nie był żaden świadek, prawda? To pan dzwonił.

Powiedziałem Vincentowi, że ktoś z ulicy zadzwonił pod dziewięćset jednaście. Ale to ja skorzystałem z automatu i sam się za-denuncjowałem.

Rhyme wskazał głową biurowiec.

A tutaj... przypuszczam, że bomba w gaśnicy była atrapą.

Zupełnie niegroźną. Obląłem z zewnątrz alkoholem, ale napełniłem ją wodą.

Sellitto zadzwonił na posterunek numer 6, gdzie mieściła się sie-dziba oddziału pirotechników. Po chwili się rozłączył.

Woda z kranu.

Podobnie jak broń, którą dał pan Bakerowi, żeby zabił Sachs.

- Rhyme

zerknął na rozłożoną trzydziestkędwójkę. - Właśnie zobaczyłem, że iglica jest spiłowana.

- Zaczopowałem też lufę - rzekł Duncan, zwracając się do Sachs.

- Można sprawdzić. Wiedziałem, że nie może użyć własnej broni, bo to powiązałoby go z morderstwem.

-

No dobrze - warknął Sellitto. - Wystarczy. Czy ktoś mógłby n»  
to wreszcie wytłumaczyć?

Rhyme wzruszył ramionami.

- Ja

potrafię doprowadzić opowieść tylko do tego punktu, Lon-Dokończyć może ją jedynie pan Duncan. Podejrzewam, że od p°"

czątku zamierzał nas oświecić, jaki jest jej sens. Dlatego właśnie p0'

dziwiał przedstawienie z głównej trybuny po drugiej stronie ulicy-Duncan skinął głową, mówiąc: Trafił pan w sedno, detektywie Rhyme.

Nie jestem już w czynnej służbie - poprawił kryminalistyk. .

Rzeczywiście z przyjemnością patrzyłem, jak realizuje się^\_

plan - kiedy aresztowaliście tego sukinsyna Bakera i odstawiliCl go za kratki. mŚ

- Proszę mówić dalej.

Twarz Duncana znieruchomiała. \* - Rok temu przyjechałem tu w interesach - jestem właścicielem

firmy finansującej leasing urządzeń przemysłowych. Pracowałem z przyjacielem - moim najlepszym przyjacielem. Ocalił mi życie, kiedy dwadzieścia lat temu służyliśmy razem w wojsku. Cały dzień pracowaliśmy nad dokumentami, potem wróciliśmy do hotelu, żeby odświeżyć się przed kolacją. Ale nie przyszedł do restauracji. Do-wiedziałem się, że został zastrzelony. Policja twierdziła, że to był na-pad rabunkowy. Coś się jednak nie zgadzało. Jak często złodzieje strzelają z bliska w głowę swoim ofiarom - i to dwa razy?

Och, podczas popełnienia rozbojów wyjątkowo rzadko dochodzi do śmierci na skutek postrzału, na przykład według ostatnich...

- Pułaski urwał, zgromiony spojrzeniem Rhyme'a.

Kiedy ostatni raz widziałem się z przyjacielem - ciągnął Duncan - powiedział mi coś dziwnego. Mówił, że poprzedniego wieczoru był w klubie w centrum. Kiedy wychodził, dwaj policjanci odciągnęli go na bok i oświadczyli, że widziano go, jak kupował narkotyki. To była bzdura, bo nigdy nie brał żadnych narkotyków. Wiem na pewno.

Domyślił się, że to szantaż, i zaczął się domagać rozmowy z ich przełożonym. Zamierzał zadzwonić do kogoś z komendy i złożyć skargę.

Ale wtedy z klubu wyszli jacyś ludzie i policjanci się od niego odczepili. Następnego dnia został zastrzelony.

Nie wyglądało to na zbieg okoliczności. Chodziłem do tego klubu i pytałem. Kosztowało mnie to pięć tysięcy, ale w końcu znalazłem kogoś, kto mi powiedział, że to Dennis Baker i jego kumple glińiarze wymuszają od ludzi pieniądze.

Duncan opowiedział o ich metodzie polegającej na podrzucaniu narkotyków biznesmenom lub ich dzieciom i odstępowaniu od za-rzutów w zamian za wysoki haracz.

- Dlatego

zniknęła część narkotyków na Sto Osiemnym - powiedział Pułaski.

Sachs przytaknęła.

Za mało, żeby sprzedać, ale w sam raz, żeby komuś podrzucić.

Podobno mieli bazę w jakimś barze na dolnym Manhattanie

~ dodał Duncan.

W „St. James”?

Tak jest. Spotykali się tam po skończonej zmianie w komisa-ncie.

~ Jak się nazywał pański przyjaciel? - spytał Rhyme. - Ten, który \*°stał zabity?

Duncan podał im nazwisko, a Sellitto zadzwonił do wydziału za-°Jstw. Podejrzany mówił prawdę. Człowiek o tym nazwisku został strzelony w trakcie napadu rabunkowego, którego sprawcy nie Uczęło się zatrzymać.

"" Wykorzystałem swój kontakt z klubu - zapłaciłem za to sporo pieniędzy - żeby poznać parę osób, które znały Bakera. Przedstawi-łem się jako płatny morderca i zaoferowałem swoje usługi. Prze» pewien czas nie miałem żadnego sygnału.

Sądziłem, że go zamknęli albo że sporządniał i już nigdy się do mnie nie odezwie. Zaczęła in się denerwować. Ale wreszcie Baker zadzwonił i umówił się ze mną Okazało się, że sprawdzał, czy jestem godny zaufania. Widocznie był zadowolony z tego, czego się dowiedział. Nie chciał zdradzać zbyt wielu szczegółów, ale powiedział, że jest zagrożony planowany przez niego interes. Podobno razem z innym policjantem zajęli się już swoimi „problemami”.

Creeley i Sarkowski? - zapytała Sachs. - Wspominał o nich?

Nie wymieniał żadnych nazwisk, ale było jasne, że mówi o zabi-janiu ludzi.

Sachs pokręciła głową z wyrazem udręki w oczach.

- Sama

myśl, że niektórzy gliniarze ze Sto Osiemnastego biorą procent od gangsterów, była nieprzyjemna.

A teraz się okazuje, że sami mordowali.

Rhyme zerknął na nią. Wiedział, że myśli o Nicku Carellim. I o ojcu.

-

Potem Baker powiedział, że ma jeszcze jeden problem - ciągnął Duncan. - Chciał wyeliminować jeszcze jedną osobę, detektywa kobietę. Ale sami nie mogli jej zabić - gdyby zginęła, byłoby wiadomo, że to z powodu prowadzonego przez nią śledztwa, więc policja zaczęłaby jeszcze intensywniej drążyć sprawę. Wpadłem na pomysł, że zagram seryjnego zabójcę. I wymyśliłem sobie pseudonim - Zegarmistrz.

Dlatego nie trafiliśmy na żaden ślad w organizacjach zegarmistrzowskich - zauważył Sellitto. - Żadna z nich nie wiedziała nic o żadnym Geraldzie Duncanie.

Zgadza się. Stworzyłem tę postać. Potrzebowałem też kogoś, kto przekazałby wam informacje o mnie i przekonał, że naprawdę jestem psychopatą, znalazłem więc Vincenta Reynoldsa. I zaczęliśmy realizować rzekomy plan zemsty. Pierwsze dwa morderstwa sfignowałem, kiedy Vincenta przy tym nie było. Następne - gdy nu towarzyszył - celowo spartaczyłem.

Musiałem się postarać, byście znaleźli pudełko z amunicją, która połączy Zegarmistrza z Bakerem. Zamierzałem podrzucić gdzieś te pociski, ale... -Duncan zaśmiał się - ...okazało się, że nie musiałem-Dowiedzieliście się o explorerze i o mały włos nas nie złapaliście.

A więc dlatego zostawił pan amunicję w samochodzie.

Tak. Książkę też.

Rhyme'owi przyszła do głowy następna myśl.

-

Funkcjonariusz, który przeszukiwał samochód, zdziwił się, ford był zaparkowany na środku, nie blisko wyjścia. Chciał pan, z byśmy znaleźli auto.

- Otóż to. A pozostałe rzekome przestępstwa miały prowadzi0

- w którym Baker zostanie przyłapany na gorący

uczynku. Uznałem, że to będzie wystarczający powód, żeby przesu-kać jego samochód i znaleźć obciążające go dowody.

A wiersz? „Zimny Księżyc stoi w pełni...”

Sam go napisałem - wyznał z uśmiechem Duncan. - Chyba lepszy ze mnie biznesmen niż poeta. Ale wydawał się na tyle straszny, żeby spełnić swoją rolę.

Dlaczego wybrał pan na ofiary akurat te osoby?

Nie wybrałem. Wybierałem miejsca, z których można było szybko uciec. Ten biurowiec natomiast świetnie się nadawał do wystawienia wam Bakera.

W zemście za śmierć przyjaciela? - spytała Sachs. - Wielu innych ludzi po prostu zastrzeliłoby go na miejscu.

Nigdy nie zrobiłbym nikomu krzywdy - odrzekł szczerze Duncan. - Nie potrafiłbym. Być może nieco nagiąłem prawo - przyznaję, popełniłem kilka wykroczeń. Ale nie było żadnych ofiar. Nawet nie ukradłem żadnego samochodu; Baker je zdobył - wziął z policyjnego parkingu.

Kim była ta kobieta, która udawała siostrę pierwszej ofiary?

- zapytała Sachs.

Znajomą, którą poprosiłem o pomoc. Kilka lat temu pożyczyłem jej sporo pieniędzy, ale nie mogła mi ich oddać. Dlatego zgodziła się pomóc.

A dziewczynka w jej samochodzie? - indagowała dalej Sachs.

To była jej prawdziwa córka.

- Jak

nazywała się ta kobieta?

Skruszony uśmiech.

Wolałbym zachować to dla siebie. Obiecałem jej. Tak jak facetowi z klubu, który skontaktował mnie z Bakerem. Taka była umowa i chcę jej dotrzymać.

Kto jeszcze ze Sto Osiemnastego poza Bakerem brał udział w wymuszeniach?

Duncan z żalem pokręcił głową.

Niestety nie wiem. Chciałbym, żeby też trafili do pudła jak Baker. Próbowałem się dowiedzieć. Nie rozmawiał ze mną o swojej szajce. Ale odniosłem wrażenie, że jest w to zamieszany ktoś spoza Posterunku.

Ktoś inny?

~ Tak. I to wysoko postawiony.

~ Z Marylandu? - spytała Sachs. - Albo ktoś, kto ma tam dom?

-

Nigdy o tym nie wspominał. Ufał mi, ale tylko do pewnego

°Pnia. Chyba się nie obawiał, że go wydam; bardziej przejmował

,IS tym, że będę miał ochotę dobrać się do pieniędzy. Wydaje mi się,

\*e było ich sporo.

rzy Policyjnej taśmie zatrzymał się ciemny samochód, z którego "siadł szczupły, łysiejący mężczyzna w cienkim płaszczu. Był to za-CPca prokuratora okręgowego. Rhyme zeznawał w kilku procesach, w których oskarżał. Kryminalistyk przywitał nowo przybyłego skinieniem głowy, a Sellitto poinformował o ostatnich wydarzeniach.

Prokurator uważnie słuchał relacji o przedziwnym rozwoju wypadków. Na ogół wsadzał za kratki głupich naśladowców Tony'ego Soprano albo jeszcze głupszych ćpunów i gówniarzy.

Wydawał się rozbawiony spotkaniem z błyskotliwym przestępcą, którego zbrodnie, jak się okazało, były o wiele mniej poważne, niż przypuszczali. Bardziej niż seryjny morderca podekscytowała go ogromna afery korupcyjna w departamencie policji - taka sprawa mogła mieć decydujące znaczenie dla jego kariery.

W śledztwie bierze udział wydział spraw wewnętrznych? - zapytał Sachs.

Nie. Prowadzę je sama.

Kto wydał na to zgodę?

Flaherty.

Inspektor? Szefowa wydziału operacyjnego?

Zgadza się.

Prokurator zaczął zadawać pytania i robić notatki starannym i wyraźnym charakterem pisma.

Po pięciu minutach przerwał.

-

No dobrze, czyli mamy wtargnięcie... ale brak przestępstwa kierunkowego.

Przestępstwo kierunkowe polega na działaniu ukierunkowanym na cel, jakim może być kradzież lub zabójstwo. Celem Duncana by-ło natomiast tylko wtargnięcie na cudzy teren.

Kradzież ludzkich szczątków... - ciągnął prokurator.

Wypożyczenie. Nie zamierzałem zatrzymać zwłok - przypomniał mu Duncan.

O tym już zdecydują w Westchester. Ale mamy utrudnianie pracy organów ścigania, ingerowanie w procedury policyjne...

Duncan zmarszczył brwi.

- Można przyjąć, że skoro nie doszło do żadnych morderstw, żad-ne działania policji nie były konieczne, a więc utrudnianie pracy organów ścigania jest dyskusyjne.

Rhyme zachichotał.

Zastępca prokuratora okręgowego zignorował jednak ten kome-tarz.

Posiadanie broni palnej...

Zaczopowałem lufę - odparował Duncan. - Broń była nie-sprawna.

A kradzione pojazdy? Skąd się wzięły?

Duncan wyjaśnił, że Baker skradł je z policyjnego parking w Queens, gdzie trzymano skonfiskowane samochody. Wskazał »

swoje rzeczy, wśród których leżały kluczyki.

, j

-

Buick jest zaparkowany na Trzydziestej Pierwszej. Baker wz«

go z tego samego parkingu co explorera.

W jaki sposób dostarczono pojazdy? Brały w tym udział osoby trzecie?

Pojechaliśmy po nie z Bakerem. Czekaliśmy na parkingu pod restauracją. Baker twierdził, że ma tam paru znajomych.

Zna pan ich nazwiska?

-Nie.

Co to była za restauracja?

- Jakaś grecka. Nazwy nie pamiętam. Stamtąd pojechaliśmy czterysta dziewięćdziesiątką piątką. Nie pamiętam zjazdu, ale kiedy wyjechaliśmy z Midtown Tunnel na drogę, po mniej więcej dziesięciu minutach skręciliśmy w lewo na zjazd.

- Na

północy - rzekł Sellitto. - Każę to sprawdzić. Może Baker handlował też skonfiskowanymi wozami.

Prokurator pokręcił głową.

Mam nadzieję, że zdaje pan sobie sprawę z konsekwencji. Nie mam na myśli samych przestępstw - grożą panu grzywny za bezpodstawne zaangażowanie służb ratowniczych i pracowników miejskich. W grę wchodzi dziesiątki, a nawet setki tysięcy dolarów.

Nie mam nic przeciwko temu. Zanim wszystko zacząłem, sprawdziłem przepisy prawne i wskazówki dotyczące wyroków. Uznałem, że ujawnienie działań Bakera jest warte ryzyka wyroku więzienia.



Ale na pewno nie zrobiłbym tego, gdyby miał ucierpieć ktoś niewinny.

Ale narażał pan ludzi - mruknął Sellitto. - Kiedy zostawiliście samochód w garażu, Pułaski został zaatakowany. Mógł zginąć.

Duncan roześmiał się.

- Ależ to ja go uratowałem. Kiedy porzuciliśmy explorera i wybiegliśmy z parkingu, zauważyłem tego bezdomnego. Nie spodobał mi się. Miał w ręce pałkę czy klucz do kół. Gdy uciekliśmy z Vincentem, wróciłem do garażu dopilnować, żeby nikogo nie skrzywdził.

Kiedy ruszył na pana... - Duncan spojrział na Pułaskiego - ...znalazłem w śmieciach kołpak i rzuciłem nim o ścianę, żeby się pan odwrócił.

Nowy skinął głową.

Tak było. Myślałem, że się potknął i sam narobił hałasu. W każdym razie nie zdążył mnie zaskoczyć. I rzeczywiście niedaleko leżał kołpak.

A Vincent? - ciągnął Duncan. - Zrobiłem wszystko, żeby nie skrzywdził żadnej kobiety. To ja wydałem go policji. Zadzwoiłem P<sup>o</sup>d dziewięćset jedenaście i złożyłem doniesienie. Mogę to udowodnić - Podał szczegóły, gdzie i kiedy gwałciciel został zatrzymany - co <sup>o</sup>twierdzało, że istotnie to on zadzwonił na policję.

Mina prokuratora wskazywała, że potrzebował chwili do namyślenia - Zerknął w notatki, potem na Duncana i potarł lśniąca łysinę. Od <sup>o</sup>zu miał czerwone uszy.

- Muszę porozmawiać o tym z prokuratorem okręgowym. - Odwrócił się do dwóch detektywów z komendy głównej, którzy także zjawili się na miejscu.

Wskazując na Duncana, powiedział: - Za-bierzcie go do centrum. I dajcie mu kogoś do ochrony. Pamiętajcie że sypie skorumpowanych gliniarzy. Komuś może zależeć, żeby się go pozbyć.

Pomogli Duncanowi wstać z krawężnika.

-

Dlaczego nie przyszedł pan po prostu do nas i nie opowiedział o wszystkim? - zapytała Amelia Sachs. - Albo nie nagrał Bakera, kiedy się przyznał, co robił? Mógł pan sobie oszczędzić tej maskarady.

Duncan zaśmiał się z goryczą.

Komu miałbym zaufać? Komu miałem wysłać taśmę? Skąd miałem wiedzieć, kto jest uczciwy, a kto pracuje z Bakerem?... Taka jest smutna rzeczywistość.

Jaka?

Pełna skorumpowanych glin.

Rhyme zauważył, że Sachs nie zareagowała na te słowa, podczas gdy dwaj umundurowani funkcjonariusze odprowadzali do radiowo-zu sprawcę, jeśli można go w ogóle nazwać sprawcą.

Chwilowo znów stanowili zespół.

Ty i ja, Sachs...

Sprawa Lincolna Rhyme'a stała się sprawą Amelii Sachs i mimo że Zegarmistrz okazał się łagodnym gatunkiem przestępcy, wciąż było sporo do zrobienia. Skandal korupcyjny na posterunku numer 118 został, jak się wyraził Sellitto, „upriorytetowany” (co wywołało szyderczą uwagę Rhyme'a „Takich słów nie słyszy się co dzień”). Należało zidentyfikować mordercę lub morderców

Benamina Creeleya i Franka Sarkowskiego, biorąc pod uwagę zwłaszcza policjan-tów podejrzanych o współudział w korupcji. Trzeba też było upo-rządkować dowody przeciwko Bakerowi, a także ujawnić tajemniczą osobę z Marylandu

- i miejsce przeznaczenia brudnych pieniędzy-

Kathryn Dance zaofiarowała się, że przesłucha Bakera, ale ponie-waż porucznik nie chciał powiedzieć ani słowa, zespół musiał pole-gać na tradycyjnych dowodach rzeczowych.

Na polecenie Rhyme'a Pułaski sprawdzał billingi telefonów Ba-ker'a i ślęczał nad jego zapiskami i palmtopem, usiłując się dowie dzieć, z kim spędzał najwięcej czasu na posterunku numer 1 i w innych miejscach, ale jak dotąd nie znalazł żadnych istotnych i formacji. Mel Cooper i Sachs analizowali dowody z samochodu kera, jego domu na Long Island i biura w nowojorskiej komend głównej, a także z domów i mieszkań kilku dziewczyn, z którymi ostatnio spotykał (okazało się, że żadna z nich nie wiedziała o p<sup>o</sup> stałych). Sachs jak zwykle bardzo starannie przeszukała wszyskne miejsca, przywożąc do Rhyme'a kartony pełne ubrań, narzędzi, \*<sup>1</sup> żeczek czekowych, dokumentów, fotografii, broni i materia z bieżnika opon.

Po godzinie badania śladów Cooper oznajmił:

Coś mam.

Co? - zapytał Rhyme.

Popiół na ubraniach, które były w bagażniku samochodu Bakera - odrzekła Sachs.

I co? - spytał Sellitto.

Taki sam jak popiół znaleziony w kominku w domu Creeleya \_ wyjaśnił Cooper. - Czyli miał jakiś związek z miejscem.

Odkryli także, że włókno znalezione w garażu Bakera pochodzi ze sznura użytego w „samobójstwie” Benamina Creeleya.

- Chciałbym mu też dopisać do konta śmierć Sarkowskiego

- oświadczył Rhyme. - Powiedz Nancy Simpson i Frankowi Rettigowi, żeby pojechali do Queens, w to miejsce, gdzie znaleziono ciało.

Niech wezmą próbki ziemi. Może uda się ustalić związek Bakera al-bo któregoś z jego kumpli z tą okolicą.

W ziemi, którą znalazłam przed kominkiem u Creeleya, były chemikalia - zauważyła Sachs. - Jak gdyby z terenu fabryki. Może będzie pasować.

To dobrze.

Sellitto zadzwonił do wydziału kryminalistycznego w Queens i polecił pobrać próbki.

Sachs i Cooper mieli jeszcze drobiny piasku i jakiejś rośliny -jak się okazało, glonu.

Substancje pochodziły z samochodu Bakera. Podobne były w jego garażu.

- Piasek i glony - rzekł Rhyme. - Może letni dom - znowu wraca-my do Marylandu. Możliwe, że Baker albo któraś z jego dziewczyn ma tam domek.

Baza danych właścicieli nieruchomości nie potwierdziła jednak tej hipotezy.

Sachs wtoczyła do laboratorium drugą tablicę z pokoju ćwiczeń Rhyme'a i zapisała ostatnie informacje. Cofnęła się i wyraźnie sfru-strowana czytała wszystkie zapiski.

- Związek z Marylandem - powiedziała. - Musimy się dowiedzieć, co albo kto to jest. Jeżeli zamordowali dwie osoby i o mało nie zabili Rona i mnie, na pewno są gotowi zabić kogoś jeszcze. Wiedzą, że depczemy im już po piętach, i nie będą chcieli żadnych świadków.

Pewnie już niszczą dowody.

Sachs zamilkła zdenerwowana.

Nie jest łatwo, gdy partnerzy życiowi są także partnerami w pracy. e Luicohi Rhyme nie stosował żadnej taryfy ulgowej, nawet - a szcze-łnie ~ wobec Amelii Sachs. Powiedział

cichym i spokojnym głosem: ~ To twoja sprawa, Sachs. Ty nią żyjesz. Ja nie. Do czego to może Prowadzić?

~ Nie wiem. - Wbiła paznokieć kciuka w palec. Z zaciśniętymi ^ami wpatrywała się w tablicę, kręcąc głową. Same niewiadome Jest za mało downrłrW

### ZABÓJSTWO FRANKA SARKOWSKIEGO

Zawsze jest za mało dowodów - przypomniał jej Rhyme. - Ale to nie jest żadne usprawiedliwienie. Na tym polega nasza praca Sachs. Oglądamy parę brudnych cegieł i odgadujemy, jak wyglądaj cały zamek.

Nie wiem.

Nie umiem ci pomóc, Sachs. Musisz to sama rozgryźć. Zastanów się nad tym, co masz. Kogoś związanego z Marylandem... kogoś kto cię śledził w mercedesie... słońą wodę i glony... i forse, kupę forsy. Skorumpowanych gliniarzy.

Nie wiem - powtórzyła głośno.

Ale Rhyme nie ustępował.

To nie jest odpowiedź. Musisz wiedzieć.

Spiorunowała go wzrokiem, wiedząc, że jego słowa w istocie zna-czą: jeżeli chcesz, możesz jutro stąd wyjść i rzucić tę robotę, ale na razie jesteś gliną i masz zadanie do wykonania.

Zanurzyła palce we włosach.

Jest coś jeszcze, coś, czego nie zauważasz - mruknął Rhyme, też wpatrując się w tablicę dowodów.

Czyli mamy zdjąć klapki z oczu? - odezwał się Ron Pułaski.

Ach, te oklepane zwroty - burknął Rhyme. - No dobrze, jeśli macie klapki na oczach, może macie je z jakiegoś powodu. Nie zdejmujcie ich; przyjrzyście się uważniej wszystkiemu mimo ograniczonego pola widzenia. A raczej skupcie się na tym, co wtedy widać...

Co widzisz, Sachs?

Przez kilka chwil patrzyła na tablicę. A potem uśmiechnęła się i szepnęła:

- Maryland.

### ZABÓJSTWO BENJAMINA CREELEYA

Dowody w domu w Westchester:

Wyłamany zamek;

dzieło fachowca.

Ślady skórzanych rękawiczek

na narzędziach kominkowych

i biurku Creeleya.

Ziemia znaleziona przed

kominkiem ma większą

zawartość kwasów

i zanieczyszczeń niż ziemia woko domu. Z terenu przemysłowego-W kominku ślady spalonej kokainy.

Popiół w kominku.

- Dokumenty finansowe, arkusz kalkulacyjny, z wpisanymi milionowymi kwotami.

Creeley, 56 lat, rzekome samobójstwo przez powieszenie. Sznur od bielizny. Miał ztamany kciuk, nie mógł sam zadzierzgnąć pętli.

Napisany na komputerze list pożegnalny informujący o depresji. Według świadków Creeley nie miał skłonności samobójczych; brak problemów psychicznych i emocjonalnych w przeszłości. W okolicach Święta Dziękczynienia do jego domu włamało się dwóch mężczyzn; przypuszczalnie spalili dowody. Biali, ale twarzy nie widziano. Jeden wyższy. Spędzili w domu około godziny.

- Sprawdzenie

logo

na dokumentach, bilans przesłany do biegłego księgowego.

•

Kalendarz: wpisy o wymianie

oleju, wizycie u fryzjera

i w „Tawernie St. James”.

- Analiza

popiołu z laboratorium

w Queens:

Logo programu

komputerowego używanego

w rachunkowości.

Biegły księgowy: zwykła lista

płac zarządu.

Spalono z powodu

zawartości czy żeby zmylić

trop śledztwa?

„Tawerna St. James”

Creeley bywał tam kilka razy.

Przypuszczalnie nie przyjmował

tam narkotyków.

Nie wiadomo, z kim się spotykał;

być może z policjantami

z posterunku nr 118.

•

Podczas ostatniej wizyty

w barze - dzień przed śmiercią

- wdał się w kłótnię

z niezidentyfikowanymi osobami.

- Analiza

pieniędzy w „St. James”

pochodzących od funkcjonariu-

szy - numery seryjne czyste,

ale znaleziono ślady koki

i heroiny. Ukradzione z komisariatu?

' Sarkowski miał 57 lat, nienotowany, zamordowany 4 listopada tego roku, pozostawił żonę i dwoje

^ nastoletnich dzieci.

' Ofiara była właścicielem budynku 1 firmy na Manhattanie. Firma zajmowała się wywozem śmieci i świadczyła usługi porządkowe użycym firmom i przedsiębiorstwom-

( Komunalnym.

yder. Bfak podejrzanych.

Śledztwo prowadził detektyw Art knyder

• W magazynie dowodów niewielki ubytek narkotyków, dwustu gramów trawki i stu gramów kokainy.

Posterunek 118 prowadził

zaskakująco mało śledztw

w sprawach przestępczości

zorganizowanej, ale brak

dowodów celowego przeciągania

dochodzeń.

Możliwość udziału dwóch gangów

z East Village, ale niskie

prawdopodobieństwo.

Przesłuchanie Jordana Kesslera,

wspólnika Creeleya, kolejne

przesłuchanie żony.

Potwierdzono brak wyraźnych

znak zażywania narkotyków.

Brak informacji o kontaktach

z przestępcami.

Creeley pił więcej niż zwykle,

zaczął uprawiać hazard; wyjazdy

do Vegas i Atlantic City. Wysokie

przegrane, ale strata mało

znacząca dla Creeleya.

Niejasne przyczyny depresji.

Kessler nie rozpoznał spalonych

dokumentów.

Oczekiwanie na listę klientów.

Nie wydaje się, żeby Kessler

odniósł korzyść ze śmierci

Creeleya.

Sachs i Pułaski śledzeni przez mercedesa AMG.

• Morderstwo/napad rabunkowy?

•

Zastrzelony po domniemanym

napadzie rabunkowym. Broń

znaleziona na miejscu zdarzenia  
- podróbka smitha & wessona,  
38 special, brak odcisków  
palców, broń zimna. Detektyw  
podejrzewa morderstwo  
na zlecenie.

Niepowodzenie jakiegoś interesu? Morderstwo popełniono w Queens - nie wiadomo, po co tam  
był.

- Opuszczona  
część dzielnicy,  
niedaleko zbiorników z gazem  
ziemnym.

Brak akt sprawy i dowodów. • Akta trafiły na posterunek 158  
w okolicach 28 listopada.

Nie wróciły. Brak informacji  
o nazwisku funkcjonariusza,  
który prosił o akta.

Brak informacji, do kogo ze  
158 trafiły akta.

Brak współpracy ze strony  
podinspektora Jefferies.

Brak informacji o związkach z Creeleyem.

Czyste konto w rejestrze karnym - Sarkowski i firma. | Plotki - pieniądze brali policjanci z  
posterunku 118. Płynęły do kogoś mającego związek z Marylandem. Udział mafii z Baltimore?

Brak tropów.

Brak wskazówek udziału mafii.

Nie znaleziono innych związków  
z Marylandem.

Rozdział 33

ZEGARMISTRZ

MIEJSCE ZDARZENIA NR 5

Lokalizacja:

- 

Biurowiec, 32 Ulica, Siódma Aleja.

Ofiary:

- 

Amelia Sachs/Ron Pułaski.

Sprawca:

- 

Dennis Baker, Dep. Policji NJ.

Modus operandi:

- Strzał z pistoletu.

Dowody:

Pistolet autauga Mk II, .32.

Lateksowe rękawiczki.

Dowody z samochodu,  
domu i biura Bakera:

Kokaina.

50.000 dol. w gotówce.

Ubrania.

Kwity z klubów i barów,  
w tym z „St. James”.

Włókna z wykładziny z explorera.

Włókno pochodzące ze sznura  
użytego do zabicia Creeleya.

Popiół taki sam jak popiół  
w kominku u Creeleya.

Pobranie próbek z miejsca  
zamordowania Sarkowskiego.

•

Piasek i glony. Związek  
z wybrzeżem Marylandu?

Inne:

• Gerald Duncan sfingował całą sprawę w celu ujawnienia działań Dennisa Bakera i innych, którzy zabili przyjaciela Duncana. Zamieszanych jest ośmiu lub dziesięciu funkcjonariuszy z posterunku nr 118, dokładnie nie wiadomo kto. Zamieszany jest ktoś spoza posterunku.

Duncan nie jest już podejrzanym o zabójstwa.

Amelia Sachs weszła do małego, pustego sklepiku spożywczego w Little Italy, na południe od Greenwich Village. Jego okna były zamalowane, a wewnątrz oświetlała tylko jedna naga żarówka. Drzwi do ciemnego po-mieszczenia na zapleczu były uchylone, ukazując stertę śmieci, stare re-gały i stos zakurzonych puszek sosu pomidorowego.

Sklepik wyglądał jak były klub jakiegoś gangu i rzeczywiście spotykali się tu drobni przestępcy, zanim rok temu do sklepu wkro-czyła policja i go zamknęła. Tymczasowym właścicielem było mia-sto, które starało się wcisnąć komuś lokal, ale jak dotąd nie znalazł się żaden chętny. Sellitto powiedział, że to bezpieczne miejsce na dyskretne spotkanie.

Przy rozklekotanym stole siedzieli wiceburmistrz Robert Wallace oraz młody policjant o sympatycznym wyglądzie - detektyw z wy-działu spraw wewnętrznych. Gliniarz z wewnętrznego, Toby Henson, przywitał Sachs mocnym uściskiem dłoni i spojrzeniem, które mówi-ło, że gdyby przyjęła jego zaproszenie, mogłaby z nim spędzić wie-czór swojego życia.

Ponuro skinęła głową, skupiając się wyłącznie na trudnym zada-niu, jakie miała wykonać.

Kiedy przemyślała wszystkie fakty, za ra-dą Rhyme'a spoglądając na nie z klapkami na oczach, doszła do wy-jątkowo nieprzyjemnych wniosków.

- Powiedziała pani, że mamy nową sytuację? - odezwał się Wallace. -1 nie chciała pani nic mówić przez telefon.

Przekazała im nowiny o Geraldzie Duncanie i Dennisie Bakerze. Wallace znał już z grubsza sprawę, natomiast Henson zaśmiał się 2dziwiony.

~ Ten Duncan to zwykły obywatel? I chciał wystawić skorumpowanego glinę? Tylko po to wszystko to zrobił? ~ Zgadza się. ~ Zna nazwiska?

~ Tylko Bakera. Zamieszanych jest jeszcze ośmiu czy dziesięciu kto Osiemnastego, ale jest ktoś jeszcze, główny rozgrywający.

- Ktoś jeszcze? - zapytał Wallace.

- Zgadza

się. Cały czas szukaliśmy osoby, która miałaby z Marylandem... jak mogliśmy tak się pomylić.

Z Marylandem? - spytał policjant z wewnętrznego.

Zaśmiała się ponuro.

Zna pan zabawę w głuchy telefon?

Tę, w której dzieci powtarzają sobie coś na ucho i kiedy wiadomość wraca, brzmi zupełnie inaczej?

Zgadza się. Moje źródło usłyszało „Maryland”. Wydaje mi się że powinno być „Marilyn”.

Imię? - Gdy skinęła głową, Wallace podejrzliwie zmrużył oczy.

Zaraz, chyba nie chce pani powiedzieć...

Inspektor Marilyn Flaherty.

Niemożliwe.

Detektyw Henson pokręcił głową.

-

Nie ma mowy.

Chciałabym się mylić. Ale zdobyliśmy dowody. W samochodzie Bakera znaleźliśmy piasek i ślady słonej wody. Inspektor ma dom w Connecticut, niedaleko plaży. Jeździł za mną ktoś w mercedesie AMG. Początkowo sądziłam, że śledzi mnie jakiś gang z Jersey czy Baltimore. Okazało się jednak, że to samochód Flaherty.

Policjantka ma merca AMG? - spytał z niedowierzaniem detektyw z wewnętrznego.

Trzeba pamiętać, że Flaherty zarabia nielegalnie paręset tysięcy rocznie - odparła chłodno Sachs. - W explorerze ukradzionym przez Bakera znaleźliśmy ciemny włos ze śladami siwizny, długością odpowiadający jej włosom. Ach, i proszę sobie przypomnieć, jak bardzo nie chciała włączać w sprawę wydziału wewnętrznego.

Rzeczywiście, to było dziwne - zgodził się Wallace.

Dlatego, że zamierzała wszystko zamieść pod dywan. Śledztwo miała prowadzić wyznaczona przez nią osoba. Czyli sprawa zniknęła-by w czarnej dziurze.

Cholera jasna, inspektor - wyszeptał elegancik z wewnętrznego.

-

Jest aresztowana? - spytał Wallace.

Sachs zaprzeczyła ruchem głowy.

Kłopot w tym, że nie możemy znaleźć pieniędzy. Nie mamy wystarczających dowodów, żeby zajrzeć na jej konta bankowe ani dostać nakaz rewizji domu. Dlatego potrzebuję pańskiej pomocy.

Co mogę zrobić? - spytał Wallace.

Poprosiliśmy ją, żeby tu przyszła. Opowiem, co się stało - tylko w okrojonej wersji. Pan zakomunikuje jej, że według naszych ustaleń Baker miał współnika. Na specjalne polecenie burmistrza poi1'



cja ma poruszyć niebo i ziemię, żeby go znaleźć. Powie jej pan, że w sprawę wszedł wydział wewnętrzny.

- Spodziewa

się pani, że Flaherty wpadnie w panikę, pojedzie zabezpieczyć pieniądze i wtedy ją zgarniecie.

Taką mamy nadzieję. Kiedy tu przyjedzie, mój partner założy jej w samochodzie lokalizator.

Kiedy Flaherty odjedzie, wyślemy za nią ogon... To co, jest pan gotów ją okłamać?

Nie, nie jestem. - Wallace wbił wzrok w zniszczony blat upstrzony graffiti. - Ale zrobię to.

Detektyw Toby Henson, porzucając fantazje o romantycznej przygodzie z Sachs, westchnął i wygłosił opinię, z którą trudno się

było nie zgodzić:

- Nie

będzie przyjemnie.

Czego się nauczyliśmy?

Takie pytanie zadawał sobie Ron Pułaski, który mając brata bliźniaka, przyzwyczał się do myślenia w liczbie mnogiej.

Oznaczało to: czego się nauczyłem, pracując przy tej sprawie z Rhyme'em i Sachs?

Postanowił zostać jak najlepszym gliną, dlatego poświęcał dużo czasu na analizowanie, co zrobił dobrze, a co źle. Zmierzając ulicą w stronę starego sklepiku spożywczego, gdzie Sachs miała się spotkać z Wallace'em, uznał, że przy tej sprawie prawie niczego nie schrząnił.

Jasne, mógł lepiej przeprowadzić oględziny explorera. I na pewno odtąd zawsze będzie pamiętał, żeby nosić broń na kom-binezonie z tyteku - i nie stosować chwytów duszących, jeżeli to na-prawdę nie będzie konieczne.

Ale ogólnie rzecz biorąc, chyba dobrze sobie poradził. Mimo to nie był zadowolony.

Przypuszczał, że przyczyną braku satys-fakcji jest współpraca z detektyw Sachs. Wysoko ustawiała poprzeczkę. Zawsze należało sprawdzić jeszcze jakiś szczegół, znaleźć jeszcze jeden ślad, spędzić jeszcze jedną godzinę na miejscu zdarzenia. Można było oszaleć.

Można się też było nauczyć, jak zostać cholernie dobrym gliną. Teraz będzie się musiał

jeszcze bardziej starać. Pułaski słyszał plotki, że Sachs zamierza odejść, i bynajmniej się z tego nie cieszył. Ale będzie robił to, co trzeba. Nie wiedział tylko, czy kiedykolwiek osiągnie taką determinację jak ona. Na przykład teraz, idąc szyb-kim krokiem zimną ulicą, myślał o swojej rodzinie. Tak naprawdę chciałby być już w domu. Zapytać Jenny, jak jej minął dzień -

nie, o swoim dniu nie miałby ochoty rozmawiać - a potem pobawić się z dziećmi. Cudownie było obserwować oczy synka. Ich wyraz zmienił się tak szybko i tak zupełnie - kiedy zauważał coś, czego przed-tem nie widział, kiedy zaczynał kojarzyć różne rzeczy, kiedy się śmiał. Siadali z żoną na podłodze, a Brad raczkował między nimi, chwytając paluszkami kciuk Pułaskiego.

A ich nowo narodzona córeczka? Okrągła i pomarszczona jak sta-ry grejpfrut, leżała w stojącym obok łóżeczku, w pościeli we wzór ze SpongeBobem Kanciastoportym, i niczego jej nie brakowało do

szczęścia.

305

Ale radości życia rodzinnego musiały zaczekać. Po tym, co miało nastąpić, zapowiadała się długa noc.

Spojrzał na numery domów. Zostały dwie przecznice do sklepu w którym umówił się z Amelią

Sachs. Czego jeszcze się nauczyłem?

- pomyślał.

Na pewno jednego: że lepiej zawsze trzymać się z daleka od uliczek między domami.

Rok temu omal nie zginął, gdy szedł za blisko muru, a za rogiem budynku czaił się sprawca.

W pewnym momencie mężczyzna wyszedł z ukrycia i grzmotnął go pałką w głowę.

Nieostrożność i głupota.

Jak mawia detektyw Sachs: „Nie wiedziałeś. Teraz już wiesz”.

Zbliżając się do następnej uliczki, Pułaski skręcił w lewo w stronę krawężnika, obchodząc ją szerokim łukiem - na wypadek gdyby za murem chował się jakiś bandyta albo ćpun.

Odwrócił się i spojrzał w głąb ciemnego, wyłożonego brukiem zaułka. Uliczka była pusta.

Ale przynajmniej uważał. Na tym właśnie polega bycie gliniarzem, na wyciąganiu nauki z...

Czyjaś ręka złapała go od tyłu.

- Jezu - wykrztusił i chwilę potem został wciągnięty do furgonetki zaparkowanej przy krawężniku, której nie zauważył, ponieważ gapił się na uliczkę. Wydał stłumiony okrzyk, próbując wzywać

pomocy.

Ale napastnik - podinspektor Halston Jefferies o oczach zimnych jak zawieszony nad ulicą księżyc - błyskawicznie zasłonił mu usta. Ktoś inny złapał Pułaskiego za rękę i po dwóch sekundach posterunkowy zniknął w furgonetce.

Drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem.

Marilyn Flaherty wkroczyła do starego sklepu spożywczego, stannie zamykając za sobą drzwi.

Bez uśmiechu rozejrzała się po ponurym wnętrzu, po czym skinęła głową Wallace'owi i dwójgu policjantom. Sachs odniosła wrażenie, że inspektor wygląda na bardziej spiętą niż zwykle.

Wiceburmistrz z niezmaconym spokojem przedstawił jej funkcjonariusza wydziału spraw wewnętrznych. Flaherty podała mu rękę i usiadła obok Sachs przy sfatygowanym stole.

Sprawa ściśle tajna, hm?

Chyba wsadziliśmy kij w mrowisko - powiedziała Sachs i zaczęła

relacjonować sprawę w szczegółach, uważnie obserwując jej minę. Inspektor zachowywała kamienną twarz. Sachs zastanawiała się, co Kathryn Dance mogłaby wyczytać z jej sztywnej postawy, mocno zaciśniętych ust i chłodnego, nieprzeniknionego spojrzenia. Flaherty siedziała nieporuszona jak posąg.

Sachs powiedziała jej o wspólniku Bakera, dodając:

-

Wiem, jakie jest pani zdanie o wydziale spraw wewnętrznych, je z całym szacunkiem, postanowiłam, że musimy ich włączyć r sprawę. -Ale...

-

Przykro mi, pani inspektor. - Sachs odwróciła się do Wallace'a.

Lecz wiceburmistrz milczał. Pokręcił głową, westchnął i zerknął

na detektywa z wewnętrznego. Henson wyciągnął broń. Sachs osłupiała.

-

Co... co ty wyprawiasz?

Wycelował pistolet w przestrzeń pomiędzy nią a Flaherty.

-

Co to ma znaczyć? - wykrztusiła inspektor.

- To

znaczy,

że mamy kłopot - rzekł Wallace niemal z żalem

w głosie. - Poważny kłopot. Ręce na stół, moje panie.

Toby Henson oddał broń wiceburmistrzowi, który osłaniał go, nie spuszczać wzroku z kobiet.

Henson nie pracował w wydziale spraw wewnętrznych; był detektywem z posterunku numer 118 należącym do grona hersztów siatki korupcyjnej. To on pomógł Dennisowi Bakerowi zamordować Sar-kowskiego i Creeleya. Detektyw włożył skórzane rękawiczki i wyciągnął

glocka z kabury Sachs, po czym obszukał ją, sprawdzając, czy nie ma dodatkowej broni.

Następnie otworzył torebkę inspektor Flaherty i zabrał jej służbowy rewolwer.

- Miała pani rację, detektywie - powiedział Wallace do Sachs, która wpatrywała się w niego wstrząśnięta. - Rzeczywiście sytuacja uległa zmianie. - Wyciągnął telefon komórkowy i zadzwonił do jednego z czekających na zewnątrz funkcjonariuszy, także należących do siatki. - Czysto?

-Tak.

Wiceburmistrz się rozłączył.

Pan... to pan? - Sachs odwróciła głowę, by spojrzeć na Flaherty.

O co tu chodzi? - zapytała ostro inspektor.

Wskazując podbródkiem na Flaherty, Wallace powiedział do Sachs: Popełniliście ogromny błąd. Ona nie miała z tym nic wspólnego. Dennis Baker i ja byliśmy współnikami - ale współnikami w interesach. Na Long Island. Obaj się tam wychowaliśmy. Założyliśmy firmę recyklingową. Kiedy padła, Dennis wstąpił do akademii i został gliną. Ja rozkręciłem nowy interes. Potem zaangażowałem się w miejską politykę, ale nie straciliśmy kontaktu. Zostałem osobą odpowiedzialną za współpracę z policją i miejskim rzecznikiem praw obywatelskich. Szybko się zorientowałem, jakie numery mogą przejść, a jakie nie. Razem z Dennisem ułożyliśmy plan, który musiał się powieść.

Robert! - krzyknęła Flaherty. - Nie, nie...

Och, Marilyn... - brzmiała odpowiedź siwowłosego mężczyzny.

Jak więc wygląda scenariusz? - zapytała Amelia Sachs, beśsił-

nie opuszczając ramiona. Zaśmiała się głucho. - Inspektor zastrzelił mnie, a potem popełnił samobójstwo. Podrzucicie w jej domu pieniądze i...

Dennis Baker umrze w areszcie - narazi się jakiemuś więźniowi, spadnie ze schodów, kto wie? Pech. Ale powinien bardziej uwa-

żać. Nie ma świadków, koniec sprawy.

Myśli pan, że wszyscy to kupią? Ktoś ze Sto Osiemnastego w końcu się złamie. Wpadniecie prędzej czy później.

Proszę wybaczyć, detektywie, ale najpierw musimy opanować pożar, a tak się składa, że to pani jest jego źródłem.

Posłuchaj, Robercie - powiedziała szorstko Flaherty. - Masz kłopoty, ale jeszcze nie jest za późno.

Wallace włożył rękawiczki.

- Sprawdź jeszcze raz ulicę i powiedz im, żeby przygotowali samochód. -Wiceburmistrz wziął glocka Sachs.

Henson ruszył do drzwi.

Wallace utkwił w Sachs zimne spojrzenie, chwytając mocno pi-stolet.

Sachs popatrzyła mu prosto w oczy.

- Chwileczkę.

Wallace zmarszczył brwi.

Zważywszy na okoliczności, jest dziwnie spokojna, pomyślał.

-

ESU jeden, wchodź - powiedziała nagle.

Wallace osłupiał.

-Co?

Zaskoczony wiceburmistrz usłyszał męski głos, który krzyknął z ciemnego pomieszczenia na zapleczu sklepu:

- Nie

ruszać się, bo będę strzelał!

Co to?

Wallace obejrzał się na drzwi, gdzie stał funkcjonariusz ESU uzbrojony w automat H&K, przesuwając lufę w stronę Hensona.

Sachs wsunęła rękę pod stół i wyciągnęła stamtąd drugiego glo-cka. Musiała go ukryć wcześniej! Obróciła się na pięcie w kierunku drzwi, celując z pistoletu do Hensona.

- Rzuć broń! I kładź się na podłogę!

Funkcjonariusz ESU skierował karabinek w stronę wiceburnu-strza.

Wallace myślał w panice: Chryste, to zasadzka... Pułapka.

Na ziemię! - krzyknęła Sachs.

Niech to szlag - mruknął Henson i spełnił rozkaz.

Wallace wciąż ścisnął w dłoni glocka Sachs. Spojrzał na broń.

Nie odrywając wzroku od Hensona, Sachs lekko odwróciła głowę do Wallace'a.

-

Pistolet jest nienaładowany. Zginie pan bez powodu.

Z wyrazem niesmaku na twarzy rzucił broń na stół i podniósł ręce. Zdziwiona inspektor Flaherty odsunęła krzesło i wstała.

- Możecie wchodzić - powiedziała Sachs do kołnierza kurtki.

Frontowe drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wpadło sze-ściu policjantów -

funkcjonariuszy ESU. Za nimi wbiegli podinspektor Halston Jefferies i szef wydziału spraw wewnętrznych kapi-tan Ron Scott. A także jasnowłosy posterunkowy.

Funkcjonariusze brygady specjalnej pchnęli na podłogę Walla-ce^, który poczuł przeszywający ból w biodrze i stawach. Hensono-wi także założono kajdanki. Wyglądając na zewnątrz, wiceburmistrz ujrzał dwóch funkcjonariuszy ze Sto Osiemnastego, którzy trzymali wcześniej straż przed sklepem. Obaj leżeli skrępowani na zimnym chodniku.

-

Oryginalny sposób zadawania pytań - powiedziała Amelia Sachs, nie zwracając się do nikogo konkretnego. Przeładowała swojego glocka i schowała go do kabury. - Ale na pewno poznaliśmy odpowiedź.

Pytanie, jakie miała na myśli, nie dotyczyło winy Roberta Walla-ce^ - już wcześniej dowiedzieli się, że był jednym ze współników Bakera; musieli się przekonać, czy w przestępstwa była też zamie-

szana Marilyn Flaherty.

Zorganizowali pułapkę, aby to sprawdzić, a także po to, by mieć na taśmie przyznanie się do winy Wallace'a.

Lon Sellitto, Ron Scott i Halston Jefferies założyli stanowisko dowodzenia w furgonetce zaparkowanej kawałek dalej od sklepu i ukryli w ciemnym pomieszczeniu na zapleczu snajpera ESU, by za-bezpieczyć się, na wypadek gdyby Wallace i towarzyszący mu poli-cjant zaczęli strzelać, zanim Sachs zdąży nagrać rozmowę. Pułaski miał wejść od frontu z jednym zespołem oddziału specjalnego, a drugi oddział miał przypuścić szturm od zaplecza. W

ostatniej chwili dowiedzieli się jednak, że Wallace'owi towarzyszą jeszcze in-ni funkcjonariusze z posterunku numer 118 - nie wiadomo, czy na-leżący do korupcyjnej siatki - tak więc należało odrobinę zmienić Plany.

Pułaski o mały włos nie wszedł pod lufy goryli Wallace'a przed sklepem i nie zrujnował całej akcji.

Inspektor Jefferies wciągnął mnie do furgonetki, zanim ci przed sklepem zdążyli mnie zauważyć - wyjaśnił nowy.

Maszerujesz ulicami jak jakiś pieprzony harcerzyk na wyciecz-ce - warknął Jefferies. - Chłopcze, jeżeli chcesz przeżyć na ulicy, miej oczy szeroko otwarte. - Sachs zauważyła, że wściekłość podinspektora wydaje się blada w porównaniu z wczorajszym atakiem furii- Przynajmniej nie pluć.

Tak jest. W przyszłości będę bardziej uważał, panie inspektorze.

Chryste Panie, kogo oni dzisiaj przyjmują do akademii.

Powstrzymując uśmiech, Sachs zwróciła się do Flaherty: Przepraszam, pani inspektor. Musieliśmy się po prostu upewnić, czy nie brała w tym pani udziału. - Wyjaśniła swoje podejrzenia oparte na śladach wskazujących, że inspektor mogła współpraco-wać z Bakerem.

- Mercedes?

Oczywiście, że jest mój - odparła Flaherty. - Oczy-

wiście, że poleciłam was śledzić. Jeden z funkcjonariuszy wydziału operacyjnego cały czas miał oko na panią i Pułaskiego. Oboje jeste-

ście młodzi i niedoświadczeni, sprawa mogła was przerastać. Dałam mu swój samochód, bo rozpoznalibyście od razu służbowy wóz.

Drogi samochód rzeczywiście ją zmylił i wywołał zupełnie inne podejrzenia. Sachs uznała, że jeżeli w sprawie nie maczała palców mafia, to być może Pułaski pomylił się co do współnika Creeleya, Jordana Kesslera, który mógł mieć jakiś związek z zabójstwami. Za-częła przypuszczać, że Creeley i Sarkowski wplątali się w jakieś śledztwo w rodzaju afery Enronu i zostali zlikwidowani, ponieważ odkryli w dokumentach któregoś z klientów dowody jakichś oszustw. Kessler był jedynym graczem, którego byłoby stać na mer-cedesa AMG.

Uświadomiła sobie jednak, że sprawa dotyczyła tylko skorumpo-wanych policjantów, a popiół w kominku Creeleya nie był pozostało-ścią fałszowanych dokumentów finansowych, lecz dowodów, które spalili, aby zatrzeć jakiegokolwiek ślady brudnych pieniędzy, tak jak początkowo przypuszczała.

Inspektor skierowała uwagę na Roberta Wallace'a, pytając Sachs: Jak go pani znalazła?

Powiedz, Ron - poleciła Sachs Pułaskiemu.

Detektyw Sachs w toku działań operacyjnych ustaliła... - za-czął nowy, lecz zaraz urwał. - Detektyw Sachs znalazła w samochodzie i domu Bakera wiele śladów, które nasunęły nam myśl... to znaczy nasunęły detektywom Sachs i Rhyme'owi myśl, że domniemany współnik może mieszkać w

pobliżu plaży albo przystani.

Uznałam, że podinspektor Jefferies nie jest zamieszany w tę sprawę - podjęła Sachs - bo gdyby chciał zniszczyć akta, nie prosił-

by o przesłanie ich do własnego posterunku. Skierował je tam ktoś inny, a potem przechwycił, zanim akta zostały wciągnięte do ewidencji. Zapytałam inspektora, czy w kartotekach był ostatnio ktoś, kto mógł mieć związek ze sprawą. I rzeczywiście ktoś był. Pan. - Zerknęła na Wallace'a. - Potem zadałam następne logiczne pytanie. Czy miał pan jakiś związek z Marylandem? I miał pan. Choć nie tak oczywisty.

Spójrzcie na to, co widzicie z kłapkami na oczach...

-

Chryste Panie - mruknął. - Baker mówił, że wspominała pafll o Marylandzie. Ale nie przypuszczałem, że się pani domyśli.

Ron Scott, szef wydziału spraw wewnętrznych, powiedział do Fla herty:

- Wallace

ma

łódź przycumowaną przy swoim domu na południ

I

wym brzegu Long Island. Jest zarejestrowana w Nowym Jorku, ale zbudowana w Annapolis.

Łódź nazywa się „Maryland Monroe”. - Scott spojrzał na wiceburmistrza, parskając szyderczym śmiechem. - Ech, żeglarze, lubicie słowne gierki, nie ma co.

- Ślady piasku, glonów i słonej wody z samochodu i domu Bake-ra odpowiadały próbkom pobranym na przystani. Zdobyliśmy nakaz i przeszukaliśmy łódź. Znaleźliśmy mnóstwo dowodów. Numery tele-fonów, dokumenty, mikroślady. Ponad cztery miliony w gotówce -

ach, i narkotyki. Poza tym sporo alkoholu, prawdopodobnie kra-dzionego. Ale whisky to chyba pański najmniejszy problem. Ron Scott skinął głową dwóm funkcjonariuszom ESU.

-

Zabierzcie go. Do aresztu centralnego.

Gdy policjanci wyprowadzali go ze sklepu, Wallace zawołał:

-

Niczego nie powiem. Jeżeli myślicie, że zacznę podawać nazwiska, bardzo się mylicie. Do niczego się nie przyznam.

Sachs po raz pierwszy usłyszała, jak Flaherty się śmieje.

- Oszalałeś, Robercie? Mają na ciebie tyle dowodów, że spędzisz za kratkami resztę życia. Nie musisz nic mówić. Właściwie wolałabym, żebyś już nigdy więcej nie otwierał ust.

Rozdział 34

R

hyme i Sachs byli sami w laboratorium i oglądali rozłożone na stołach dowody zebrane w sprawach afery korupcyjnej „St. James” i Zegarmistrza.

Sachs usiłowała się skupić, ale Rhyme wiedział, że ma trudności z koncentracją. Siedzieli do późna, rozmawiając o tym, co się stało. Poruszyła ją wiadomość o korupcji, ale fakt, że policjanci próbowali zabić innych funkcjonariuszy, jeszcze bardziej nią wstrząsnął.

Sachs twierdziła, że jeszcze nie podjęła decyzji o odejściu z poli-cji, lecz Rhyme'owi wystarczył rzut oka na jej twarz, by wiedzieć, że zamierza to zrobić. Wiedział też, że przeprowadziła już kilka

roz-mów z Argyle Security.

Nie było wątpliwości.

Rhyme zerknął na niewielki biały prostokąt spoczywający w otwartej teczce Sachs; była to koperta z jej rezygnacją. Biały list lśnił jak księżyc w pełni na ciemnym niebie. Trudno było go wyraż-nie zobaczyć; trudno było nie zauważyć.

Odsunął od siebie te myśli, kierując wzrok na dowody.

Gerald Duncan - nazwany przez Thoma „przestępcą w wersji light" - czekał na postawienie zarzutów, choć wszystkie dotyczyły drobnych wykroczeń (analiza DNA wykazała, że krew na nożu, kurt-ce wyłowionej z zatoki oraz na pomoście pochodziła od niego; frag-ment paznokcia pasował idealnie).

Sprawa korupcji na posterunku numer 118 wolno posuwała się naprzód.

Mieli wystarczające dowody przeciwko Bakerowi i Wallace'owi, a także Toby'emu Hensonowi. Ziemia z miejsca morderstwa Sarkow-skiego i próbki zebrane przez Sachs w domu Creeleya w Westchester Sadzały się z mikrośladami znalezionymi w domach Bakera i Hensofla. Włókno ze sznura potwierdzało związek Bakera ze śmiercią Cree-,eya, lecz podobne włókna zostały znalezione na łodzi Wallace'a. Wła-Clcielem skórzanych rękawiczek, których odciski Sachs odnalazła w Westchester, był Henson.

Cała trójka nie miała jednak ochoty współpracować. Odrzucali wszystkie oferty ugody z prokuratorem, a żaden z dowodów nie wska-zywał na udział innych osób, nawet dwóch funkcjonariuszy pełnią, cych straż przed sklepem na East Village, którzy utrzymywali, że są niewinni. Rhyme próbował wykorzystać przeciwko nim Kathryn Dance, ale odmówili składania jakichkolwiek zeznań.

Rhyme był przekonany, że w końcu znajdzie wszystkich spraw-ców ze Sto Osiemnastego i zdobędzie obciążające ich dowody. Nie zamierzał jednak czekać na „w końcu"; chciał to zrobić teraz. Jak zauważyła Sachs, istniało niebezpieczeństwo, że pozostali gliniarze z „St.

James" będą chcieli pozbyć się świadków - może nawet spró-bują przeprowadzić jeszcze jeden zamach na nią i Pułaskiego. Nie-wykluczone, że któryś z nich zmuszał Bakera, Hensona i Wallace'a do milczenia, grożąc ich rodzinom.

Poza tym Rhyme musiał się zająć innymi sprawami. Dostał wia-domość od agenta FBI Freda Dellraya (który na chwilę oderwał się od oszustw finansowych) o włamaniu i podpaleniu w Brooklynie, w federalnym budynku NIST - Krajowego Instytutu Normalizacji i Technologii.

Straty były niewielkie, ale sprawcy udało się pokonać bardzo skomplikowany system zabezpieczeń, a wobec nieustannego zagrożenia terroryzmem każdy przypadek włamania do placówki rządowej zwracał szczególną uwagę władz; federalni zwrócili się do Rhyme'a o pomoc w kryminalistycznej stronie śledztwa. Rhyme nie odmówił, ale najpierw chciał

zakończyć sprawę Bakera i Wallace'a. Przyjechał kurier z aktami sprawy morderstwa przyjaciela Dun-cana, które zaaranżował Baker, gdy biznesmen odmówił zapłaty ha-raczu.

Śledztwo było otwarte - przedawnienie nie dotyczy mor-derstw - ale od roku nie pojawiły się żadne nowe dokumenty. Rhyme miał nadzieję, że dzięki tym materiałom natrafi na trop pro-wadzący do sprawców z posterunku numer 118.

Rhyme najpierw przeczytał krótką notkę prasową w archiwum „New York Timesa".

Informowano w niej o śmierci biznesmena z Duluth, Andrew Culberta, który został zamordowany podczas na-padu rabunkowego na środkowym Manhattanie. Nie znaleziono po-

dejranych. Artykuł nie miał dalszego ciągu.

Rhyme polecił Thomowi umieścić raport ze śledztwa w ramce do czytania i zaczął przeglądać dokumenty. Jak to często bywało w sta-rych sprawach, pojawiało się w nich dużo wpisów sporządzanych róż-nym charakterem pisma, ponieważ z biegiem czasu śledztwo prze-chodziło z rąk do rąk - i prowadzono je z coraz mniejszą energią-Według protokołu z oględzin miejsca zdarzenia nie wykryto zbyt wie-lu śladów, nie było żadnych odcisków palców ani stóp, nie znaleziono łusek (oddano dwa strzały w głowę, a sprawca użył

popularnych poci-sków special .38; analiza balistyczna broni odebranej Bakerowi i in-nym policjantom z posterunku numer 118 nie potwierdziła, by strze-lano z niej do Culberta).

Masz spis dowodów z miejsca zdarzenia? - spytał Rhyme Amelię.

Zobaczmy. Jest - powiedziała, wyciągając z akt właściwy ar-f kusz. - Przeczytam ci.

Zamknął oczy, by lepiej wyobrazić sobie wszystkie przedmioty.

-

Portfel - czytała Sachs. - Klucz do pokoju hotelowego w „St.

Regis", kluczyk do barku, długopis Cross, palmtop, paczka gumy do żucia, bloczek papieru - na pierwszej kartce było napisane „Męska toaleta”. Na drugiej „chardonnay”. To wszystko. Sprawę prowadził

detektyw z wydziału zabójstw, John Repetti.

Rhyme patrzył gdzie indziej, głęboko się nad czymś zastanawiając.

Co mówiłaś?

Powiedziałam, że sprawę prowadził Repetti, z północno-centralnego. Mam do niego zadzwonić?

Po chwili Rhyme odrzekł:

- Nie.

Chcę, żebyś zrobiła coś innego.

To jakiś zły duch.

Słuchając przez iPoda zdartego nagrania bluesmana Blind Le-mon Jeffersona śpiewającego „See That My Grave Is Kept Clean”, Kathryn Dance bezradnie przyglądała się wypchanej walizce, która nie chciała się zamknąć.

Przecież kupiłam tylko dwie pary butów, parę prezentów świą-tecznych... no dobrze, trzy pary butów, ale jedno to czółenka. One się nie liczą. Ach, no tak, jeszcze ten sweter. Sweter był największym problemem.

Wyciągnęła go z walizki. I spróbowała jeszcze raz. Zatrzaski zam-ka zatrzymały się kilka centymetrów od siebie.

Zły duch...

No dobrze, będę wyglądać elegancko. Znalazła plastikową torbę na pranie i przeładowała do niej dzinsy, kostium, lokówki, pończo-chy i głównego winowajcę - obszerny sweter. Znów spróbowała zamk-nąć walizkę.

Trzask.

Pomoc egzorcysty nie była konieczna.

Zadzwoił telefon i recepcjonistka poinformowała ją, że ma go-ścia.

W samą porę.

Niech wejdzie na górę - powiedziała Dance i pięć minut póź-

niej na małej kanapie w pokoju siedziała Lucy Richter.



Napije się pani czegoś?

- Nie,

dziękuję. Wpadłam tylko na chwilę.

Dance wskazała małą lodówkę.

- Ktoś wyjątkowo złośliwy wynalazł hotelowe barki. Tak jak cze-koladowe batoniki i chipsy. To moje przekleństwo. Właściwie Wszystko jest moim przekleństwem. Na domiar złego salsa kosztuje tu dziesięć dolarów.

Lucy, której wygląd świadczył, że nigdy nie musiała liczyć kalorii ani gramów tłuszczu, parsknęła śmiechem i powiedziała:.

-

Podobno go złapali. Mówił mi policjant pilnujący mojego do-mu. Ale nie znał szczegółów.

Agentka opowiedziała o Geraldzie Duncanie, który okazał się niewinny, oraz o aferze korupcyjnej na posterunku policji.

Lucy z niedowierzaniem pokręciła głową. Potem rozejrzała się po niewielkim pokoju. Rzuciła kilka uwag o oprawionych w ramki reprodukcjach i widoku za oknem. Główne elementy krajobrazu stanowiły śnieg, sadza i kanał wentylacyjny.

Przysłałam, żeby pani podziękować.

Wcale nie, pomyślała Dance.

Nie musi mi pani dziękować - odrzekła. - Na tym polega nasza praca.

Zauważyła, że Lucy siedzi wygodnie, lekko odchyłona, ze swo-bodnie opuszczonymi, lecz nie zgarbionymi ramionami. Zbliżało się jakieś wyznanie.

Dance nie przerywała ciszy.

Jest pani terapeutką? - zapytała w końcu Lucy.

Nie. Tylko policjantką.

Ale podczas przesłuchań nieraz zdarzało się, że podejrzani, mimo że już przyznali się do winy, mówili dalej, opowiadając o innych nie-moralnych czynach, o nienawiści do rodziców, o zazdrości o rodzeń-stwo, o zdradzających mężach i żonach, o złości, radości, nadziejach.

Zwierzali się, oczekując rad. Nie, Dance nie była terapeutką. Ale by-ła policjantką, matką oraz ekspertem kinezyki, a każda z tych ról wymagała od niej umiejętności słuchania, w znacznym stopniu już

zapomnianej.

- Dobrze

się z panią rozmawia. Pomyślałam, że spytam panią

o zdanie w pewnej sprawie.

Słucham - zachęciła ją Dance.

Nie wiem, co robić - powiedziała Lucy. - Dzisiaj mam dostać to odznaczenie, o którym pani mówiłam. Ale jest pewien kłopot. - Za-częła opowiadać o swoich obowiązkach za oceanem, o pracy przy do-stawach paliwa i zapasów.

Dance otworzyła barek i wyciągnęła dwie buteleczki wody Per-rier za sześć dolarów sztuka.

Pytając uniosła brew. Lucy zawahała się przez chwilę.

- Tak,

chętnie.

Dance otworzyła wodę i podała butelkę Lucy. Kiedy człowiek ma zajęte ręce, łatwiej mu myśleć

i mówić.

-

Ten kapral był w moim oddziale. Pete. Rezerwista z Dakoty Południowej. Zabawny chłopak. Bardzo zabawny. W kraju był trenerem piłki nożnej, pracował w budownictwie. Kiedy tam przyjecha-

łam, bardzo mi pomógł. Pewnego dnia, mniej więcej miesiąc temu mieliśmy oboje zainwentaryzować uszkodzone pojazdy. Część wywozić

się do remontu w Fort Hood, część sami naprawiamy, a niektóre po prostu idą na złom.

Byłam w biurze, a Pete poszedł do kantyny. Umówiliśmy się na trzynastą i razem mieliśmy pojechać na plac z wrakami. Pojechałam po niego humvee. Zobaczyłam Pete'a, który na mnie czekał. W tym momencie wybuchł fugas. Bomba.

Dance wiedziała, co to jest.

- Oglądałam to z odległości dziesięciu, może dwunastu metrów, Pete pomachał do mnie, a potem błysnęło i nagle wszystko się zmieniło. W mgnieniu oka. - Spojrzała za okno. - Zniknęła frontowa ściana kantyny, palmy - bez śladu. Stało tam kilku żołnierzy i cywilów...

Są i nagle ich nie ma.

Mówiła dziwnie spokojnym głosem. Dance rozpoznała ten ton; często słyszała go u świadków, którzy stracili bliskich w wyniku przestępstw. (To były najtrudniejsze przesłuchania, gorsze od rozmów z najbardziej amoralnymi mordercami).

- Ciało Pete'a zostało zdruzgotane. Tylko tak można to opisać.

- Głos zaczął się jej łamać. - Poszarpane, czerwono-czarne... Widzia-

łam tam dużo rzeczy. Ale ten widok był okropny. - Upiła łyk wody, po czym kurczowo złapała butelkę gestem dziecka ściskającego ukochaną lalkę.

Dance nie próbowała okazać jej współczucia - słowa były zbędne. Skinęła tylko głową na znak, by Lucy kontynuowała. Sierżant Richter głęboko odetchnęła i ciasno zaplotła palce. W

swojej pracy Dance charakteryzowała ten często spotykany gest jako sygnał tłumienia nieznośnego napięcia wynikającego z poczucia winy, bólu lub wstydu.

Chodzi o to... że się spóźniłam. Byłam w biurze. Popatrzyłam na zegar. Była za pięć pierwsza, ale w kubku zostało mi jeszcze trochę coli. Pomyślałam, żeby ją wylać i wyjść - do kantyny dojechałabym w pięć minut - ale chciałam spokojnie ją dokończyć. Wyjechałam do kantyny za późno.

Gdybym była punktualnie, Pete by nie zginął.

W momencie eksplozji bylibyśmy kilometr dalej.

Została pani ranna?

- Trochę. - Podciągnęła rękaw, pokazując dużą skórzastą bliznę na przedramieniu. - Nic poważnego. - Spojrzała na bliznę i znów napiła się wody. Miała pusty wzrok. - Gdybym nawet spóźniła się o minutę, Pete siedziałby przynajmniej w samochodzie. I mógłby przeżyć.

Sześćdziesiąt sekund... Taka była dla niego różnica między życiem a śmiercią. Wszystko przez colę. Chciałam tylko dokończyć tę cholerną colę. - Z jej wyschniętych ust wyrwał się pełen smutku śmiech.

-1 kto przychodzi i próbuje mnie zabić? Jakiś sukinsyn, który przedstawia się jako Zegarmistrz i podrzuca mi w łazience wielki zegar z księżycem. Przez kilka tygodni myślę tylko o tym, że jedna minuta

może dzielić życie od śmierci. I nagle zjawia się ten świr i rzuca mi to prosto w twarz.

-  
Co dalej? - spytała Dance. - Nie powiedziała mi pani wszystkiego, prawda?

Zaśmiała się cicho.

- Zgadza

się, mam kłopot. Widzi pani, w przyszłym miesiącu kończę służbę. Ale czuję się winna z powodu Pete'a, dlatego powiedziałam dowódcy, że zaciągnę się drugi raz.

Dance pokiwała głową.

-

Po to właśnie jest dzisiejsza uroczystość. Nie chodzi o odznaczenia rannych. Codziennie ktoś zostaje ranny. Chodzi o przedłużenie służby o jeszcze jedną zmianę. Armii trudno jest zdobyć nowych rekrutów. Dowództwo chce wykorzystać tych, którzy przedłużają służ-

bę, do reklamy, żeby przyciągnąć nowych. Tak nam się podobało, że chcemy wrócić - coś w tym rodzaju.

-

A pani zaczyna mieć wątpliwości?

Skinęła głową.

-

Zaczynam od tego wariować. Nie mogę spać, nie mogę kochać się z mężem. Nie potrafię nic robić... czuję się samotna, boję się.

Tęsknię za rodziną. Ale wiem też, że robimy tam coś ważnego, coś dobrego dla wielu ludzi. Nie potrafię podjąć decyzji. Po prostu nie potrafię.

Co by się stało, gdyby powiedziała im pani, że zmieniła zdanie?

Nie wiem. Pewnie byliby wkurzeni. Ale sąd polowy nie wchodzi w grę. To bardziej mój problem. Rozczarowałabym wielu ludzi. Wycofałabym się. A tego nigdy w życiu nie zrobiłam. Złamałabym obietnicę.

Dance zamyśliła się, popijając wodę.

- Nie

mogę pani niczego kazać. Ale powiem jedno: moja praca polega na docieraniu do prawdy. Na ogół mam do czynienia z przestępcami. Znają prawdę i okłamują mnie, żeby ratować własny tyłek. Ale spotykam też wiele osób, które same siebie okłamują. I zazwyczaj nawet o tym nie wiedzą.

Wszystko jedno, czy oszukuje się policję, matkę, męża, przyjaciół czy samego siebie, symptomy zawsze są takie same. Człowiek jest w stresie, złości, depresji. Od kłamstwa ludzie brzydą. Prawda działa odwrotnie... Oczywiście czasem wydaje się, że prawda jest ostatnią rzeczą, jakiej pragniemy. Ale nie wiem, ile razy zdarzyło się tak, że kiedy skłoniłam przesłuchiwanego do wyznania prawdy, zobaczyłam na jego twarzy wyraz ogromnej ulgi.

Najdziwniejsze, że niektórzy nawet dziękowali.

Chce pani powiedzieć, że znam prawdę?

Och, tak. Prawda jest w pani. Ukryta gdzieś bardzo głęboko.

I kiedy ją pani odnajdzie, może się pani nie spodobać. Ale na pewno jest.

Jak mam ją znaleźć? Przesłuchać sama siebie?

Lepiej chyba nie można tego wyrazić. Rzeczywiście, musi pa11

szukać tego samego co ja: złości, depresji, zaprzeczenia, wymówek racjonalizacji. Kiedy to odczuwam i dlaczego? Co się kryje za tym uczuciem, a co za innym? Tylko niech pani szuka cierpliwie i nie sta-ra się zadowolić pierwszą lepszą odpowiedzią. Wtedy się pani dowie, czego naprawdę chce.

Lucy pochyliła się i uściskała Dance - niewiele spośród kiedykolwiek przesłuchiwanym przez nią osób zachowało się w ten sposób.

Sierżant Richter uśmiechnęła się szelmowsko.

- Mam

myśl. Napiszmy razem książkę. „Poradnik technik autoprzysłuchiwania dla dziewcząt”.

Murowany bestseller.

- W

każdej wolnej chwili - odparła ze śmiechem Dance.

Stuknęły się butelkami z wodą.

Piętnaście minut później, gdy siedziały przy zamówionych do pokoju bułeczkach z jagodami i kawie, zabrzączał telefon agentki. Kathryn Dance spojrzała w okienko wyświetlacza, pokręciła głową i wybuchnęła śmiechem.

W domu Rhyme'a odezwał się dzwonek u drzwi. Po chwili w laboratorium zjawił się Thom w towarzystwie Kathryn Dance. Agentka miała rozpuszczone włosy - nie jak zwykle zaplecione w ciasny war-kocz - spod których wyzierały słuchawki iPoda. Zdjęła cienki płaszcz, witając się z Sachs i Melem Cooperem, który właśnie przy-szedł.

Dance pochyliła się i pogłaskała Jacksona.

-

Hm, co by pani powiedziała na pożegnalny prezent? - spytał

Thom, wskazując na hawańczyka.

Roześmiała się.

-

Jest uroczy, ale w domu mam komplet żywego inwentarza

- dwu- i czworonożnego.

Zadzwoił do niej Rhyme, prosząc, by jeszcze raz im pomogła.

Obiecuję, że to już moja ostatnia prośba - powiedział, kiedy usiadła obok niego.

O co chodzi?

Mamy zagwozdkę. Potrzebuję twojej pomocy.

Co mogę zrobić?

Pamiętam, jak mówiłaś mi o sprawie Hansona w Kalifornii

~ kiedy przeczytałaś zapis zeznania i odgadłaś, co planuje.

Skinęła głową.

- Chciałbym, żebyś zrobiła dla nas to samo.

Rhyme wyjaśnił, co ustalili na temat morderstwa Andrew Culberta, przyjaciela Geralda Duncana, który w zemście postanowił wydać policji Bakera i Wallace'a.

-

Chodzi o to, że w aktach znaleźliśmy zastanawiające rzeczy,

^ulbert miał palmtopa, ale nie miał telefonu komórkowego. Dziwne.

\*-azdy businessmen ma dzisiaj komórkę. Poza tym miał bloczek do piania z dwiema notatkami.

Jedna brzmiała „chardonnay”, co mogło

oznaczać, że zapisał to sobie, żeby pamiętać o kupnie wina. Ale na drugiej kartce było napisane „toaleta męska”. Po co ktoś miałby to sobie zapisywać?

Myślałem o tym i przyszło mi do głowy, że takie rzeczy może zapisywać osoba, która ma problemy ze słuchem albo mową. Używa takich karteczek, żeby zamówić wino w restauracji i zapytać, gdzie jest toaleta. No i brak komórki. Przypuszczam, że mógł być niesłyszący.

Czyli przyjaciel Duncana zginął, bo bandyta stracił cierpliwość kiedy ofiara nie zrozumiała go albo nie dość szybko oddała mu portfel - zauważyła Dance. - Duncan przypuszczał, że to Baker zabił je-go przyjaciela, tymczasem mógł to być zbieg okoliczności.

Sprawa jest bardziej skomplikowana - powiedziała Sachs.

W Duluth odnalazłem wdowę po Culbercie - podjął Rhyme.

- Powiedziała mi, że od urodzenia był głuchoniemy.

-

A Duncan twierdził, że Culbert w wojsku uratował mu życie

- dodała Sachs. - Jeśli był głuchy, nie mógł służyć w armii.

- Podejrzewam,

że Duncan przeczytał o tym morderstwie w gazecie - rzekł Rhyme. -

twierdził, że to jego przyjaciel, żeby plan wystawienia Bakera brzmiał wiarygodnie. - Kryminalistyk wzruszył ramionami. - Być może to nie jest żaden problem, w końcu zgarnęliśmy skorumpowanego gliniarza. Ale pozostaje parę pytań. Możesz obejrzeć taśmę z przesłuchania Duncana i powiedzieć nam, co o tym są-

dzisz?

- Oczywiście.

Cooper zaczął stukać w klawiaturę.

Po chwili na monitorze ukazał się Gerald Duncan w szerokim planie. Siedział wygodnie w pokoju przesłuchań, a głos Łona Sellit-ta podawał jego nazwisko, datę i numer sprawy. Potem zaczęło się właściwe zeznanie. Duncan zrelacjonował właściwie te same fakty, o których opowiadał Rhyme'owi, siedząc na krawężniku przed ostat-nim miejscem przestępstwa

„seryjnego zabójcy”.

Dance przyglądała się nagraniu z uwagą, kiwając głową, gdy mówił o szczegółach swojego planu.

Kiedy skończył, Cooper wcisnął klawisz pauzy, zatrzymując na ekranie twarz Duncana w stopklatce. Dance spojrzała na Rhyme'a.

To wszystko?

Tak. - Zauważył, że jej twarz stężała. - Co o tym sądzisz?

Po chwili wahania odrzekła:

-Muszę powiedzieć... Mam wrażenie, że historia morderstwa przyjaciela to niejedyny problem. Wydaje mi się, że prawie wszyst-ko, co tu powiedział, to wierutne kłamstwo.

W domu Rhyme'a zaległa cisza. Absolutna cisza.

Wreszcie kryminalistyk oderwał wzrok od zastygłej twarzy Ge" ralda Duncana na ekranie i powiedział:

- Mów.

- Ustaliłam jego wzorzec reakcji, gdy wspomniał o szczegółach I planu, który miał doprowadzić

do aresztowania Bakera. Wiemy, że niektóre aspekty są prawdziwe. Kiedy więc zmienił się poziom stre-su, zakładałam, że mówi nieprawdę.

Zauważyłam poważne odchylenia od wzorca, kiedy mówił o swoim rzekomym przyjacielu.

Poza tym nie sądzę, żeby naprawdę nazywał się Duncan i mieszkał na Środko-wym Zachodzie. I w ogóle nie obchodzi go Dennis Baker. Nie wyka-zuje żadnego emocjonalnego zainteresowania jego aresztowaniem. I coś jeszcze.

Spojrzała na ekran.

- Możesz cofnąć do środka? Jest taki moment, kiedy dotyka policzka.

Cooper przewinął zapis wideo.

- Tu.

Włącz odtwarzanie.

„Nigdy nie zrobiłbym nikomu krzywdy. Nie potrafiłbym. Być mo-że nieco nagiąłem prawo...”.

Dance zmarszczyła brwi.

Co takiego? - spytała Sachs.

Jego oczy... - szepnęła Dance. - Och, to poważny problem.

Dlaczego?

Obawiam się, że jest niebezpieczny, bardzo niebezpieczny.

Przez kilka miesięcy analizowałam taśmy z przesłuchania Teda Bundy'ego, seryjnego mordercy. Był socjopata, a to znaczy, że potrafił kłamać, prawie niczym się nie zdradzając. Ale zwróciłam uwagę na wyraz oczu Bundy'ego, kiedy twierdził, że nigdy nikogo nie zabił. To nie była typowa reakcja sygnalizująca fałsz; raczej wyraz rozczarowania i poczucia zdrady. Jak gdyby zaprzeczał istocie samego siebie. - Wskazała na ekran. - Dokładnie tak samo jak Duncan.

Jesteś pewna? - zapytała Sachs.

Nie na sto procent, ale uważam, że musimy mu zadać więcej Pytań.

Bez względu na to, co kombinuje, lepiej kažmy go przenieść do lepiej strzeżonego aresztu, dopóki się nie dowiemy.

Ponieważ Gerald Duncan został aresztowany za drobne przestęp-stwa popełnione bez użycia przemocy, umieszczono go w celi o ob-niżonych środkach bezpieczeństwa przy Centre Street.

Ucieczka stamtąd była mało prawdopodobna, lecz możliwa. Rhyme polecił te-lefonowi połączyć się z naczelnikiem centralnego aresztu na dol-nym Manhattanie.

Przedstawił się i polecił przenieść Duncana do bezpieczniejszej celi.

Naczelnik się nie odzywał. Rhyme przypuszczał, że milczy, bo nie 'na ochoty wykonywać rozkazów cywila. Ta polityka...

Skrzywił się i zerknął na Sachs, dając jej znak, by autoryzował dyspozycję przeniesienia.

Zanim zdążyła otworzyć usta, poznali' prawdziwy powód milczenia naczelnika.

-

Detektywie Rhyme - powiedział niepewnie mężczyzna. - ten człowiek był u nas tylko kilka minut. Nie został nawet wciągnięty na listę aresztantów.

-Co?

- Prokurator

zawarł z nim jakąś ugodę i wczoraj wieczorem zwol-nił Duncana. Myślałem, że pan wie.

Rozdział 35

Lon Sellitto spacerował nerwowo po laboratorium Rhyme'a. Okazało się, że po spotkaniu adwokata Duncana z zastępcą prokuratora okręgowego w zamian za złożone pod przysięgą oświadczenie o przyznaniu się do winy, grzywnę w wysokości stu tysięcy dolarów za bezpodstawne wykorzystanie policji i straży pożarnej oraz pisemne zobowiązanie do zeznawania przeciwko Bakerowi prokuratura wycofała zarzuty kryminalne, zastrzegając sobie prawo ponownego ich postawienia, gdyby Duncan nie dopełnił warunków ugody i nie stawił

się w sądzie jako świadek przeciw Bakerowi. Nie został formalnie aresztowany i nie zdjęto mu odcisków palców.

Wymięty detektyw z rękami na biodrach wpatrywał się złowrogo w głośnik telefonu, jak gdyby urządzenie było niekompetentnym głupcem, który wypuścił na wolność potencjalnego mordercę. W głosie prokuratora wyraźnie słychać było obronny ton. - To był jedyny sposób, żeby skłonić go do współpracy - tłumaczył się. - Reprezentował go adwokat z Reed, Prince.

Oddał paszport. Wszystko odbyło się legalnie. Zgodził się nie opuszczać okręgu do rozpoczęcia procesu Bakera. Umieściłem go w hotelu w mieście, pilnuje go funkcjonariusz.

Nigdzie nie ucieknie. O co tyle krzyku?

Robiłem to już setki razy.

A Westchester? - zawołał do telefonu Rhyme. - Co z wykradzionymi zwłokami?

Odstąpili od oskarżenia. Obiecałem pomóc im w kilku innych sprawach, w których potrzebują naszej współpracy.

Dla prokuratora to była manna z nieba; rozbicie gangu skorumpowanych policjantów mogło mu przynieść wielką sławę.

Rhyme z wściekłością pokręcił głową. Niekompetencja i osobiste ambicje zawsze doprowadzały go do pasji. Praca i tak była trudna, nawet jeśli nie mieszała się do niej politycy.

Dlaczego do diabła przed zwolnieniem Duncana nikt nie raczył go spytać o zdanie? Nawet zanim usłyszeli opinię Kathryn Dance o nagraniu z przesłuchania, zbyt wiele pytań pozostawało bez odpowiedzi, by można było

zwolnić podejrzanego.

325

Gdzie on jest? - warknął Sellitto.

Zresztą jaki jest dowód...

Gdzie on jest, do cholery?! - wrzasnął detektyw.

Prokurator po chwili wahania podał im nazwę hotelu na środkowym Manhattanie i numer telefonu komórkowego policjanta, który pilnował Duncana.

Już dzwonię. - Cooper szybko wstukał numer.

Jak się nazywa jego adwokat? - ciągnął Sellitto.

Zastępca prokuratora okręgowego podał nazwisko. Nerwowy głos w głośniku telefonu dodał:

- Naprawdę nie rozumiem, po co tyle...

Sellitto rozłączył się i spojrzał na Dance.

- Zamierzam

poruszyć wszystkie sprężyny. Nawet te najważniejsze. Wiesz, o czym mówię?

Przytaknęła.

W Kalifornii też mamy śmierdzące afery. Ale jestem spokojna o swoje zdanie. Zróbcie wszystko,

żeby go znaleźć. Wszystko. Będę gotowa powtórzyć swoją opinię każdemu. Komendantowi, burmistrzowi, gubernatorowi.

Sprawdź, co o nim wie adwokat - powiedział Rhyme do Sachs, która wzięła od Sellitta nazwisko prawnika i otworzyła telefon.

Rhyme słyszał o kancelarii Reed, Prince. Była to duża, szanowana firma na dolnym Broadwayu. Jej adwokaci bronili głównie w głośnych sprawach dotyczących przestępstw urzędniczych.

Mamy problem - poinformował ich ponuro Cooper. - Rozmawiałem z gliniarzem, który pilnował Duncana w hotelu. Facet wła-

śnie się wymeldował. Zniknął, Lincoln.

-Co?

-

Podobno wczoraj Duncan mówił, że źle się czuje, położył się wcześniej i dzisiaj chciał dłużej pospać. Wygląda na to, że otworzył

wytrychem drzwi do sąsiedniego pokoju. Policjant nie ma pojęcia, kiedy to się stało. Być może jeszcze wczoraj wieczorem.

Sachs zatrasnęła kłapkę telefonu.

-

W Reed, Prince nie pracuje adwokat o nazwisku, które podał prokuratorowi. A Duncan nie jest ich klientem.

Niech to szlag - mruknął wściekle Rhyme.

No dobrze - rzekł Sellitto. - Czas na kawalerię. - Zadzwoił do dowódcy jednostki ESU, Bo Haumanna, oświadczając mu, że jego ludzie jeszcze raz będą potrzebni do aresztowania podejrzanego-

- Tylko nie jesteśmy pewni, gdzie jest - dodał detektyw.

Przekazał szefowi antyterrorystów skąpe szczegóły, jakie udało im się ustalić. Rhyme nie usłyszał reakcji Haumanna, ale odgadł J3 z miny Sellitta.

-

Mnie tego nie musisz mówić, Bo.

Sellitto zostawił wiadomość prokuratorowi okręgowemu, po czym zadzwonił do Centrali, aby poinformować o sprawie dowództwo.

- Chcę więcej o nim wiedzieć - oznajmił Cooperowi Rhyme.

Byliśmy cholernie z siebie zadowoleni i zadaliśmy za mało pytań.

Zerknął na Dance. - Kathryn, aż się boję prosić...

Właśnie chowała telefon.

Już odwołałam rezerwację.

Przykro mi. W końcu to nie jest twoja sprawa.

Moja, odkąd we wtorek przesłuchałam Cobba - odparła Dance, zaciskając usta w wąską kreskę. W jej zielonych oczach malował się chłód.

Cooper przewijał na ekranie zebrane dotąd informacje o Geraldzie Duncanie. Sporządził listę telefonów i zaczął dzwonić. Po kilku rozmowach powiedział:

- Posłuchajcie. To nie jest Duncan. Policja stanowa z Missouri wysłała radiowóz pod adres z jego prawa jazdy. Owszem, właścicielem domu jest Gerald Duncan, ale nie nasz Gerald Duncan.



Facet, który tam mieszkał, został na pół roku przeniesiony przez firmę do Anchorage. Dom jest do wynajęcia. Popatrzcie na zdjęcie.

Fotografia z prawa jazdy przedstawiała mężczyznę zupełnie nie-podobnego do człowieka, którego wczoraj aresztowali. Rhyme pokiwał głową.

- Genialne.

Przejrzał w gazecie ogłoszenia o wynajmie nieruchomości, znalazł dom, który długo jest na rynku, i doszedł do wniosku, że z powodu świąt przez kilka następnych tygodni nikt go nie wynajmie. Tak samo było z kościołem. Podrobił prawo jazdy, które nam pokazał. I paszport. Od początku go nie docenialiśmy.

Patrząc w ekran monitora, Cooper zawołał:

- Właściciel - prawdziwy Gerald Duncan - miał kłopoty z kartami kredytowymi. Kradzież tożsamości.

Lincoln Rhyme poczuł zimny dreszcz przeszywający całe ciało, choć teoretycznie nie powinien nic czuć. Miał nieodparte wrażenie, że nadciąga katastrofa.

Dance wpatrywała się w zastygłą w stopklatce twarz Duncana z taką samą uwagą, z jaką Rhyme wpatrywał się w tablice dowodów.

-

Co on kombinuje? - zastanawiała się głośno.

Na to pytanie nie potrafili znaleźć żadnej odpowiedzi.

Jadąc metrem, Charles Vespasian Hale, który podawał się za Gerald Duncana, Zegarmistrza, spojrzawszy na ręczny zegarek (kieszonkowy breguet, który nawet polubił, nie pasował do roli, jaką zamierał teraz zagrać).

Wszystko szło zgodnie z planem. Wyjeżdżając z Brooklynu, gdzie Urządził swoją główną kryjówkę, mimo lekkiego zniecierpliwienia i niepokoju, miał poczucie harmonii, jakiej nigdy jeszcze nie zaznał.

Oczywiście niewiele z tego, co powiedział Vincentowi Reynoldsovi o swojej przeszłości, było prawdą. Nie mógł sobie pozwolić na jej ujawnienie. Planował jeszcze długą karierę w swojej profesji, a wiedział, że opasły gwałciec już przy pierwszej groźbie wszystko wygada policji.

Ojciec urodzonego w Chicago Hale'a był nauczycielem łaciny w szkole średniej (stąd drugie imię na cześć wspaniałego cesarza Rzymu), a matka kierowała działem odzieży w małych rozmiarach w domu towarowym Sears na przedmieściach miasta. Jego rodzice niewiele robili, niewiele ze sobą rozmawiali. Co wieczór po zjedzonej w milczeniu kolacji ojciec odchodził

do książek, a matka pochylała się nad maszyną do szycia. Życie rodzinne polegało na tym, że zasiadali w oddzielnych fotelach przed małym telewizorem i oglądali kiepskie sitcomy i kryminały o przewidywalnych zakończeniach, dające im jedyną okazję do komunikacji -

komentując programy, wyrażali pragnienia i żale, o których nie mieli odwagi mówić wprost.

Cisza...

Chłopiec stał się samotnikiem. Był dzieckiem nieoczekiwanym i rodzice zachowywali się wobec niego oficjalnie, traktując go z obojętnością i lekkim zdziwieniem, jak gdyby był

gatunkiem rośliny, której pielęgnacja stanowiła dla nich zagadkę. Godziny nudy i samotności bolały jak otwarta rana. Charles rozpaczliwie pragnął zająć czymś czas, jakby się bał, że nieznośna cisza panująca w domu

go zadławi.

Spędzał wiele godzin na świeżym powietrzu - włóczęgą i wspi-nając na drzewa. Z jakiegoś powodu najlepiej było mu samemu. Za-wsze miał czym zająć uwagę, mógł znaleźć coś nowego za następnym wzgórzem czy na wyższej gałęzi klonu. W szkole należał do kółka biologicznego. Chodził na wyprawy organizowane przez Outward Bound i zawsze pierwszy pokonywał sznurowy most, skakał ze skał do wody, spuszczał się po linie ze zbocza.

Gdy Charles był skazany na zamknięcie w czterech ścianach, wypełniał sobie czas porządkowaniem wszystkiego. Zabijał bolesne go-dziny, bez końca układając przybory szkolne, książki i zabawki. Kiedy to robił, nie czuł się samotny, nie umierał z nudów, nie bał się ciszy.

Wiedziałeś, Vincent, że słowo „skrupulatny” pochodzi od łaciń-skiego „scrupulus” oznaczającego niepokój i niepewność?

Jeśli coś nie było w idealnym porządku, wpadał w szał, nawet kiedy chodziło o taką błaHOSTKĘ jak krzywo położone tory kolejki czy skrzywioną szprychę w kole roweru. Każda rzecz, która nie funk-cjonowała precyzyjnie, wytrącała go z równowagi, podobnie jak nie-którzy wzdrygali się na dźwięk paznokcia skrzypiącego na gładkie]

tablicy.

Jak na przykład małżeństwo jego rodziców. Po ich rozwodzie ni' gdy więcej nie rozmawiał z żadnym z nich. Życie powinno być per-fekcyjnie uporządkowane. Jeżeli było inaczej, powinno się mieć prawo do wyeliminowania wszystkich elementów zakłócających po' — j„i, r-i^rW niedv sie nie modlił (nie istniał żaden dowód enip1'

ryczny na to, że komunikacja z istotą boską pomaga we właściwym zorganizowaniu życia i osiągnięciu celów), ale gdyby to robił, w modli-twach życzyłby rodzicom śmierci.

Hale na dwa lata poszedł do wojska, gdzie w atmosferze porządku i dyscypliny poczuł się jak pączek w maśle. Wstąpiwszy do szkoły ofi-cerskiej, zwrócił na siebie uwagę profesorów, którzy po jego promocji wyznaczyli go do prowadzenia zajęć z historii wojskowości oraz plano-wania taktycznego i strategicznego, z których miał celujące wyniki.

Po zwolnieniu ze służby wyjechał do Europy, gdzie spędził rok na wędrówkach i wspinaczkach górskich, a kiedy wrócił do Ameryki, zajął się obracaniem kapitałem wysokiego ryzyka w banku inwe-stycyjnym, studiując wieczorowo prawo.

Przez pewien czas pracował jako radca prawny, okazując się wy-bitnym specjalistą w konstruowaniu umów. Bardzo dobrze zarabiał, lecz jego życie wciąż było naznaczone samotnością. Unikał zwią-zków z ludźmi, ponieważ wymagały improwizacji i opierały się na zu-pełnie nielogicznych zachowaniach. Rolę partnera coraz częściej przejmowało jego zamiłowanie do porządku i planowania. I jak każ-dy, kto zastępuje prawdziwy związek obsesją, Hale zaczął się rozgła-dać za źródłem intensywniejszych doznań.

Sześć lat temu znalazł rozwiązanie idealne. Pierwszy raz zabił człowieka.

Hale uznał, że miarka się przebrała. Opracował skomplikowany plan, który miał na celu zastraszenie chłopaka. Analizując swój po-mysł, uświadomił sobie jednak, że nie jest z niego do końca zadowolo-ny. Tkwiła w nim jakaś irytująca skaza. Plan nie był tak precyzyjny, jak powinien. Wreszcie Hale odkrył, czego w nim brakuje. Problem polegał na tym, że ofiara, choć przerażona, pozostawała przy życiu. Gdyby chłopak zginął, byłby to plan doskonały i żaden ślad nie wska-zywałby na udział Hale'a ani jego współnika.

Ale czy potrafiłby zabić człowieka? Myśl wydawała się niedo-rzeczna.

Tak czy nie?

Decyzję podjął w pewien deszczowy październikowy dzień.

Morderstwo powiodło się doskonale, a policja, niczego nie po-dejrzewając, uznała, że doszło do nieszczęśliwego wypadku poraże-nia prądem.

Hale przygotował się na wyrzuty sumienia. Nie miał jednak żad-nych. Był natomiast zachwycony. Plan został zrealizowany tak perfek-cyjnie, że fakt, iż zabił człowieka, wydawał

się zupełnie nieistotny.

Nałogowiec potrzebował nowej porcji narkotyku.

Niedługo potem Hale brał udział w joint venture w Mexico City - budowie osiedla ekskluzywnych hacjend. Ale pewien skorumpowany polityk namnożył tyle przeszkód, że przedsięwzięcie mogło y ogóle nie dojść do skutku. Meksykański odpowiednik Hale'a poinformował go, że zdarza się to nie pierwszy raz.

Szkoda, że nie można go usunąć - zauważył ostrożnie Hale.

Och, nie da się go usunąć - odparł Meksykanin. - Można powiedzieć, że jest niezniszczalny.

Słyszając to, Hale nagle się zainteresował.

- Dlaczego?

Meksykanin wyjaśnił, że skorumpowany komisarz Distrito Federal ma obsesję na punkcie bezpieczeństwa. Jeździł opancerzonym terenowym cadillakiem, zbudowanym specjalnie dla niego, i wszędzie towarzyszyli mu uzbrojeni goryle. Ochrona komisarza stale wytyczała nowe trasy, którymi poruszał się między swoimi domami urzędami a miejscami służbowych spotkań. Przeprowadzał rodzinę z domu do domu, a sam często w ogóle nie nocował u siebie, lecz u przyjaciół lub w wynajętych domach. Często też podróżował z małym synkiem -

według plotek wykorzystywał chłopca jako żywą tarczę. Komisarz był także pod ochroną wysokiego urzędnika z federalnego ministerstwa spraw wewnętrznych.

- Dlatego

właśnie jest niezniszczalny - wyjaśnił Meksykanin, nalewając do kieliszków drogą tequilę Patron.

-

Niezniszczalny - powtórzył szeptem Charles Hale, kiwając głową.

Krótko po tym spotkaniu w numerze „El Heraldo de Mexico”

z 23 października ukazało się pięć na pozór niezwiązanych ze sobą artykułów.

Z powodu pożaru z biura agencji ochrony Mexicana Seguridad Privado ewakuowano wszystkich pracowników. Według oficjalnych informacji nikt nie został ranny, a straty materialne były niewielkie.

Haker wyłączył główny komputer operatora sieci komórkowej, co doprowadziło do trwających dwie godziny zakłóceń w świadczeniu usług telekomunikacyjnych w części Mexico City oraz na południowych przedmieściach.

Na autostradzie numer 160 na południe od Mexico City, niedaleko Chalco, zapaliła się ciężarówka, całkowicie blokując ruch w kierunku północnym.

Henri Porfirio, przewodniczący komisji przyznającej koncesje budowlane w Distrito Federal, zginął w wypadku samochodowym - Jego terenowy cadillac naruszył konstrukcję jednopasmowego wiaduktu, runął z wysokości dwunastu metrów na stojącą pod es-takadą cysternę z propanem-butanem i eksplodował. Do zdarzenia doszło w chwili, gdy skierowano ruch z autostrady na objazd bocznymi drogami w celu uniknięcia korków. Inni kierowcy bezpiecznie pokonali wiadukt, ale stara konstrukcja nie wytrzymała ciężaru opancerzonego samochodu, mimo że znak drogowy do

puszczał wjazd na wiadukt pojazdów o takiej masie. Szef ochrony Porfiria wiedział o utrudnieniach w ruchu i próbował poinformować go o bezpieczniejszej trasie, ale nie mógł

się skontaktować z komisarzem, ponieważ jego telefon komórkowy nie działał. Z wiaduktu spadł tylko samochód komisarza. W samochodzie nie było syna Porfiria, ponieważ chłopiec tego dnia

został z matką w domu z powodu niegroźnego zatrucia po-karmowego.

• Erasmo Salermo, wysoki rangą urzędnik federalnego minister-stwa spraw wewnętrznych, został arestowany. Policja po otrzy-maniu anonimowej informacji odkryła w jego letnim domu ukry-tą broń i kokainę (co ciekawe, wiadomość o tym dotarła także do dziennikarzy, w tym fotoreportera współpracującego z „Los An-geles Timesem”).

Wszystkie artykuły ukazały się tego samego dnia.

Miesiąc później ruszyła budowa osiedla, a Hale otrzymał od współinwestorów z Meksyku premię w wysokości pięciuset tysięcy dolarów.

Pieniądze sprawiły mu przyjemność. Bardziej jednak był zadowo-lony z kontaktów, jakie nawiązał dzięki meksykańskiemu biznesme-nowi. Niedługo potem za jego pośrednictwem odezwała się do niego osoba z Ameryki, która potrzebowała podobnych usług.

Teraz kilka razy w roku, w przerwach między przedsięwzięcia-mi biznesowymi, przyjmował zlecenia tego rodzaju. Zwykle cho-dziło o morderstwo, choć angażował się również w przestępstwa fi-nansowe, oszustwa ubezpieczeniowe i skomplikowane kradzieże. Hale był gotów pracować dla każdego, bez względu na motyw, któ-ry uważał za nieistotny. Nie interesowało go, dlaczego ktoś chce zlecić popełnienie zbrodni. Dwa razy mordował mężów znęcają-cych się nad rodzinami. Zabił pedofila, a tydzień później zamor-dował biznesmenkę, która była hojną ofiarodawczynią fundacji Wspólna Droga.

Charles Vespasian Hale w sposób szczególny rozumiał pojęcia dobra i zła. Pobudzenie umysłu było dobre. Nuda była zła. Dobry był zgrabny, dobrze zrealizowany plan. Zły był plan albo niechlujnie ułożony, albo przeprowadzony byle jak.

Ale obecny projekt - z pewnością najbardziej złożony i daleko-siężny z dotychczasowych - przebiegał doskonale.

Bóg stworzył skomplikowany mechanizm wszechświata, potem nakręcił sprężynę i puścił go w ruch...

Hale wysiadł z metra i wyszedł na ulicę, czując, jak od mrozu drętwieje mu twarz i łzawią oczy. Ruszył przed siebie, aby urucho-mić wskazówki swojego prawdziwego chronometru.

Zadzwoił telefon Łona Sellitta. Detektyw odebrał i rozmawiał z kimś przez chwilę, marszcząc brwi.

- Sprawdź to.

Rhyme spojrział na niego wyczekująco.

- To

był Haumann. Właśnie dzwonił do niego dyrektor firmy kurierskiej z tego samego piętra biurowca, na które włamał się Zegarmistrz. Powiedział, że miał telefon od klienta. Nie dostał przesyłki która wczoraj miała nadejść. Wygląda na to, że ktoś ją ukradł, kiedy przeczesywaliśmy biura. Dyrektor pytał, czy coś o tym wiemy.

Wzrok Rhyme'a zatrzymał się na zrobionych przez Sachs zdję-ciach korytarza biurowca. Na szczęście obfotografowała całe piętro. Pod szyldem z nazwą firmy kurierskiej widniał napis:

„Przesyłki wartościowe - gwarancja dostawy. Zapewniamy rękojmię”.

Rhyme słyszał gwar głosów w tle, ale nie docierały do niego kon-kretne słowa. Spoglądał na fotografię i na pozostałe dowody.

Wstęp - szepnął.

Co? - spytał Sellitto, marszcząc czoło.

Tak bardzo skupiliśmy się na fałszywych morderstwach Zegarmistrza - a potem na jego planie wystawienia Bakera - że nie zwracaliśmy uwagi na nic innego.

Czyli na co? - zapytała Sachs.

Na włamanie. Rzeczywiście jego przestępstwo polegało na wtargnięciu na cudzy teren. Przez jakiś czas żadne z biur na piętrze nie było pilnowane. W trakcie ewakuacji budynku drzwi były otwarte?

Chyba tak - odrzekł gruby detektyw.

-

Czyli kiedy skupiliśmy się na firmie projektowania wnętrz -

powiedziała Sachs - Zegarmistrz mógł się przebrać za kuriera albo po prostu zawiesić sobie na szyi identyfikator, a potem wpaść do firmy kurierskiej i jak gdyby nigdy nic wziąć sobie przesyłkę.

Wstęp...

- Dzwonź do tej firmy. Dowiedz się, co było w paczce, kto ją nadał i dokąd miała trafić. Szybko.

Rozdział 38

Przed Metropolitan Museum of Art przy Piątej Alei zatrzymała się taksówka. Z okazji Bożego Narodzenia okazały gmach przystrójono w typowe dla wiktoriańskiego stylu Upper East Side gustowne dekoracje. Wyglądał odświeżenie, choć była to odświeżność dyskretna.

Z taksówki wysiadł Charles Vespasian Hale, który rozejrzał się uważnie, sprawdzając, czy nie śledzi go policja. Prawdopodobieństwo, że jest obserwowany, było znikome, mimo to niespiesznie zlustrował okolicę, szukając twarzy, które wykazywałyby jakiegokolwiek zainteresowanie jego osobą. Nie zauważył nic niepokojącego.

Pochylił się nad otwartym oknem samochodu i zapłacił taksówkarzowi - podając mu banknoty dłonią w rękawiczce - po czym zarzucił na ramię czarną płócienną torbę i wszedł po schodach do ogromnego, przypominającego wnętrze katedry holu, który rozbrzmiewał echem wielu głosów, w większości młodych; przed wejściem kłębiła się dzieciarnia zwolniona z lekcji. Wszędzie widać było zieleń, złoto, ozdoby i tiule. Z głośników sączyły się radosne dźwięki klawesynowych inwencji Bacha, odbijając się echem od ścian przestronnego westybulu.

Wśród nocnej ciszy...

Hale oddał czarną torbę do szatni, pozostając w płaszczu i kapełuszu. Szatniarz zajrzał do torby, zobaczył cztery albumy, po czym zasunął zamek i życzył mu miłego dnia. Hale wziął numerek i zapłacił za wstęp. Z uśmiechem skinął głową strażnikom przed wejściem i minął ich, wkraczając do muzeum.

Mechanizm Delficki? - Rhyme rozmawiał z dyrektorem Metro-Politan Museum of Art przez telefon z głośnikiem. - Jest jeszcze na Wystawie?

Tak, detektywie - odparł niepewnie mężczyzna. - Mamy go od dwóch tygodni. Jest częścią ekspozycji objazdowej...

Dobrze, dobrze. Czy jest strzeżony?

Oczywiście. Jest...

Istnieje niebezpieczeństwo, że ktoś będzie próbował go skraść.

Skraść? Jest pan pewien? To jedyny egzemplarz na świecie.

Ktokolwiek wejdzie w jego posiadanie, nigdy nie będzie go mógł pokazywać publicznie.

- Złodziej nie zamierza go nikomu sprzedawać - odrzekł Rhyme.

- Przypuszczam, że chce go dla siebie.

Kryminalistyk wyjaśnił, że przesyłkę skradzioną z firmy kurier-skiej z budynku przy Trzydziestej Drugiej miano dostarczyć do Metropolitan Museum of Art, a nadał ją pewien zamożny mecenas sztuki. W paczce był duży album ze zdjęciami antyków, które miały wzbogacić kolekcję mebli muzeum.

Metropolitan Museum?, pomyślał Rhyme. Potem przypomniał so-bie programy z muzeów znalezione w kościele. Zapytał Vincenta Reynoldsa i Victora Hallersteina, czy Duncan wspominał coś o Metropolitan. Okazało się, że tak - spędzał tam dużo czasu, wyrażając szczególne zainteresowanie Mechanizmem Delfickim.

- Przypuszczamy,

że skradł przesyłkę, żeby przemycić coś do muzeum - poinformował dyrektora Rhyme. - Może narzędzia, może ja-kiś program do unieszkodliwienia alarmów. Nie wiemy. W tym momencie nie potrafię tego sprecyzować. Sądzę jednak, że musimy być ostrożni.

- Mój

Boże... No dobrze, co mamy robić?

Rhyme spojrział na Coopera, który postukał w klawiaturę, po czym pokazał mu uniesiony kciuk. Kryminalistyk powiedział do mi-krofonu:

Właśnie wysłaliśmy do pana e-mail ze zdjęciem podejrzanego.

Może je pan wydrukować i rozdać wszystkim pracownikom, ochronie i szatniarcom? Może ktoś go rozpozna.

Zaraz to zrobię. Może pan zaczekać?

Oczywiście.

Wkrótce dyrektor odezwał się ponownie.

-

Detektywie Rhyme? - Mówił zdyszczanym głosem. - On tu jest!

Dziesięć minut temu oddał torbę do szatni. Szatniarz rozpoznał go na zdjęciu.

Torba jeszcze tam jest?

Tak. Jeszcze nie wyszedł.

Rhyme skinął głową Sellittowi, który chwycił telefon i przekazał naj-nowsze wieści Bo Haumannowi, którego ludzie jechali już do muzeum-

- Czy

strażnik pilnujący Mechanizmu jest uzbrojony? - zapytał

Rhyme.

- Nie.

Sądzi pan, że złodziej jest? Nie mamy wykrywaczy metalu przy wejściach. Mógł wnieść broń.

Możliwe. - Rhyme spojrział na Sellitta, unosząc brew.

Wprowadzić powoli zespół? - spytał detektyw. - Incognito?

- Zostawił w szatni torbę... i zna się na zegarach. Ktoś zaglądał do torby-spytał dyrektora?

Sprawdź. Proszę zaczekać. - Po chwili znów się odezwał. - Książ-

ki. W torbie są albumy. A szatniarz nie oglądał ich dokładnie.

Bomba dla odwrócenia uwagi? - zastanawiał się na głos Sellitto.

Niewykluczone. Być może tylko dymna, ale ludzie i tak wpadną w panikę. Wtedy też mogą być ofiary śmiertelne.

W radiu zatrzeszczał głos Haumanna:

Zespoły obstawiają wszystkie wejścia, publiczne i służbowe.

Jesteś przekonana, że nie zawaha się zabijać? - Zwrócił się do Dance Rhyme.

-Tak.

Zamyślił się nad zdumiewającą łatwością, z jaką ten człowiek ob-myślał kolejne podstępny.

Czy miał inny przebiegły plan na wypadek, gdyby zdał sobie sprawę, że grozi mu aresztowanie w muzeum? Rhyme podjął decyzję.

Ewakuujemy.

Całe muzeum? - zapytał Sellitto.

Chyba musimy. Przede wszystkim - ratować ludzi. Najpierw wyprowadzić wszystkich z szatni i holu, potem pozostałych. Niech ludzie Haumanna przyglądają się każdemu, kto wyjdzie z muzeum.

I dopilnuj, żeby mieli zdjęcie.

Dyrektor muzeum usłyszał, co planują.

Uważa pan, że to konieczne?

Tak. Proszę to zrobić.

Dobrze, ale po prostu nie rozumiem, jak ktoś mógłby skrać Mechanizm - odparł dyrektor. - Jest za grubą kuloodporną szybą.

Gablotę można otworzyć dopiero po zamknięciu wystawy, w przyszły wtorek.

Jak to? - zdziwił się Rhyme.

Umieściliśmy eksponat w specjalnej gablocie.

Ale dlaczego można ją otworzyć dopiero we wtorek?

Bo gablota ma komputerowy zamek z łączem satelitarnym do jakiegoś centralnego zegara. Powiedzieli mi, że nikt nie może się do niej włamać. Umieszczamy w niej najcenniejsze eksponaty.

Dyrektor mówił dalej, lecz Rhyme przestał słuchać. Jakaś myśl nie dawała mu spokoju. Po chwili sobie przypomniał.

-

Fred Dellray chciał, żeby mu pomóc przy sprawie jakiegoś pod-palenia. Gdzie był ten pożar?

Sachs z namysłem zmarszczyła brwi.

W jakimś budynku rządowym. W Instytucie Normalizacji i Technologii czy jakoś tak. Dlaczego pytasz?

Sprawdź to, Mel.

Technik wszedł do Internetu. Czytając informację z ekranu, powiedział: NIST to nowa nazwa Krajowego Urzędu Norm i...

Urzędu Norm? - przerwał mu Rhyme. - Tam jest przecież zegar atomowy... O to mu chodzi? Zamek w gablocie w Metropolitan ma łącze z zegarem NIST. Zegarmistrz chce zmienić czas, przekonać zamka, że jest przyszły wtorek. Gablota otworzy się automatycznie.

Może to zrobić? - zapytał Dance.

Nie wiem. Ale jeżeli to możliwe, znajdzie sposób. Założę się, że pożar w NIST miał odwrócić uwagę od włamania... - Rhyme zamilkł, uświadamiając sobie nagle wszystkie konsekwencje planu Zegarmistrza. - Och, nie...

-Co?



Rhyme przypomniał sobie spostrzeżenie Kathryn Dance: dla Ze-garmistrza ludzkie życie jest nieistotne.

-

Zegar atomowy jest wzorcem czasu w całym kraju - powiedział. - Funkcjonują według niego linie lotnicze, kolej, obrona naro-dowa, sieci energetyczne, komputery... wszystko. Macie pojęcie, co się stanie, jeżeli przestawi zegar?

W tanim hotelu na środkowym Manhattanie, na małej kanapie zalatującej stęchlizną i zapachem starego jedzenia, siedzieli kobieta i mężczyzna w średnim wieku. Wpatrywali się w telewizor.

Krępa Charlotte Allerton była tą samą kobietą, która udawała siostrę Theodore'a Adamsa, pierwszej „ofiary” znalezionej we wto-rek na uliczce. Siedzący obok Bud Allerton, jej mąż, zagrał adwoka-ta, który uzyskał zwolnienie Geralda Duncana z aresztu, obiecując prokuratorowi, że jego klient będzie świadkiem w sprawie przeciw-ko skorumpowanemu policjantowi.

Bud naprawdę był prawnikiem, choć od kilku lat nie praktykował. Ze względu na plan Duncana reaktywował swoje dawne umiejęt-no-ści, udając adwokata z dużej, prestiżowej firmy Reed, Prince. Zastęp-ca prokuratora okręgowego gładko łyknął maskaradę, nie trując się nawet, by zadzwonić do kancelarii i sprawdzić tożsamość adwokata. Gerald Duncan spodziewał się - słusznie - że prokuratorowi będzie tak bardzo zależało na sławie związanej z udziałem w aferze korup-cyjnej, że uwierzy we wszystko. Poza tym kto legitymuje adwokatów? Uwagę Allertonów przykuwał ekran telewizora, nadawano właśnie wiadomości lokalne. Program o bezpiecznym obchodzeniu się z choin-kami. Ple, ple, ple... Charlotte na chwilę odwróciła wzrok, by zajrzeć do sypialni, gdzie siedziała jej ładna, szczupła córka, czytając książkę-Dziewczynka spojrzała chmurnie przez otwarte drzwi na matkę i oj-czyna.

Ponura mina od kilku miesięcy nie znikwała z jej twarzy.

Ta dziewczyna...

Charlotte odwróciła się z powrotem do telewizora.

- Nie za długo to trwa?

Bud milczał. Siedział zgarbiony, opierając łokcie na kolanach i zaplatając grube palce.

Zastanawiała się, czy mąż się modli.

Nagle zniknął dziennikarz, który miał uchronić rodziny przeo groźbą płonących choinek, a na ekranie pojawił się napis: „Specjał' Hi wiadomości”.

Rozdział 37

Zbierając wiadomości na temat zegarmistrzostwa, by wiarygodnie ¼wypaść w roli mordercy-mściciela, Charles Hale poznał pojęcie „komplikacji”.

Komplikacja to każda dodatkowa funkcja czasomierza inna niż wskazywanie godziny. Na przykład małeńka tarcza na cyferblacie drogiego zegarka podająca takie informacje jak dzień tygodnia, da-ta, czas w różnych miejscach świata, lub mechanizm repetiera (wy-bijający godzinę w określonych odstępach). Zegarmistrze zawsze chętnie podejmowali wyzwanie, by wyposażyć swe dzieła w jak naj-więcej komplikacji. Typowym zegarkiem tego rodzaju jest model Patek Philippe Star Caliber 2000, składający się z ponad tysiąca elementów. Jego właściciel ma do dyspozycji informacje o godzinie wschodu i zachodu słońca, wieczny kalendarz podający dzień i mie-siąc, fazy księżycy oraz wskaźnik rezerwy napędu, osobny dla me-chanizmu zegarka oraz dla repetycji.

Kłopot z komplikacjami polega jednak na tym, że zgodnie ze swoją nazwą istotnie komplikują sprawę. Odwracają uwagę od głównego celu, jakiemu ma służyć zegarek: wskazywania czasu.

Breitling produkuje znakomite zegarki, lecz niektóre z modeli Professional i Navimeter mają tyle tarcz, wskazówek i dodatkowych funkcji, jak na przykład chronograf (techniczna nazwa stopera) i suwak logarytmiczny, że bardzo łatwo stracić z oczu dużą i małą wskazówkę.

Ale właśnie komplikacje były potrzebne Charlesowi Hale'owi do realizacji jego planu w Nowym Jorku - musiał odwrócić uwagę policji od tego, co naprawdę zamierzał zrobić.

Ponieważ zdawał sobie sprawę, że gdy Lincoln Rhyme i jego zespół dowiedzą się, iż został zwolniony z aresztu i nie jest Geraldem Duncanem, natychmiast się zorientują, że ma inny cel niż wyrównanie rachunków ze skorumpowanym gliną.

Potrzebował więc jeszcze jednej komplikacji, aby policja skupiła się na innej sprawie.

Hale poczuł wibrowanie telefonu komórkowego. Zerknął na tekst SMS-a, który przysłała Charlotte Allerton. „W TV wiadomości specjalne. Muzeum zamknięte. Policja cię tam szuka”. Schował komórkę do kieszeni.

I przeżył chwilę głębokiej, niemal seksualnej satysfakcji. Wiadomość oznaczała, że choć Rhyme rzeczywiście odkrył, iż Hale nie jest tym, za kogo się podawał, to policja nadal nie potrafiła dostrzec dużej i małej wskazówki, skupiając się na komplikacji Metropolitan Museum. Hale od początku naprowadzał ją na trop planu kradzieży słynnego Mechanizmu Delfickiego. W kościele zostawił foldery o wystawach chronometrycznych w Bostonie i Tampa. Zachwycał się urządzeniem w rozmowie z Vincentem Reynoldsem. Napomknął

sprzedawcy antyków o swoim zamiłowaniu do starych zegarów, wspominając o Mechanizmie Delfickim i wystawie w Metropolitan. Niewielki pożar, jaki wzniesił w Instytucie Normalizacji i Technologii w Brooklynie, miał przekonać policję, że chce przestać główny cezowy zegar w kraju, aby wyłączyć system bezpieczeństwa w muzeum i ukraść Mechanizm.

Hale dał gliniarzom dość powodów, by doszli do wniosku, że kunsztowny plan kradzieży urządzenia jest jego prawdziwym motywem. Policja przez wiele godzin będzie go szukać, przeczesując muzeum i pobliski Central Park oraz badając zawartość pozostawionej przez niego torby. Włożył do niej cztery wydrążone książki, w których ukrył dwie torebki sody oczyszczonej, mały skaner i oczywiście zegar - tani elektroniczny budzik. Przedmioty nie były groźne, lecz miały zająć policję na parę godzin.

Komplikacje były równie eleganckie, choć nie tak liczne, jak w podobno najbardziej wyrafinowanym zegarku świata, który wyszedł spod ręki Geralda Genty.

W tym momencie Hale był już jednak daleko od muzeum, które opuścił pół godziny wcześniej. Kiedy oddał do szatni torbę, skierował się do toalety, wszedł do kabiny i zdjął

płaszcz, pod którym miał wojskowy mundur majora. Włożył okulary i wojskową czapkę - ukrytą w kieszeni płaszcza - po czym pospiesznie opuścił Metropolitan. Był teraz w centrum Manhattanu, posuwając się wolno w kolejce czekającej na wejście do nowojorskiego biura Departamentu Rozwoju Mieszkalnictwa i Urbanistyki.

Niebawem miała się tu zjawić grupa żołnierzy wraz z rodzinami, aby uczestniczyć w ceremonii zorganizowanej na ich cześć w budynku urbanistyki przez miasto oraz departamenty obrony i stanu. Żołnierze wracający z zagranicznych misji zostaną powitani przez oficjeli, którzy wręczą im listy pochwalne w dowód wdzięczności za ofiarny udział w zagranicznych konfliktach i P0' dziękują za przedłużenie służby. Po uroczystości, a także krótkiej sesji dla fotoreporterów i kilku banalnych wypowiedziach dla - ••'lonok a generałowie i urzędnicy rządu-

\ wi zbiorą się ponownie, aby przedyskutować przyszłe działania j w celu szerzenia demokracji

na różnych krańcach świata.

Owi urzędnicy rządowi, podobnie jak żołnierze, ich rodziny oraz i dziennikarze obecni przy uroczystości stanowili prawdziwy cel misji I Charlesa Hale'a w Nowym Jorku.

Otrzymał proste zadanie, aby zabić ich jak najwięcej.

Lucy Richter i misiowaty, zawsze uśmiechnięty Bob, jadąc samo-| chodem, minęli właśnie trybunę honorową przed budynkiem Departamentu Rozwoju Mieszkalnictwa i Urbanistyki, gdzie właśnie wol-no kończyła się parada.

Lucy milczała, trzymając dłoń na muskularnym udzie męża.

Prowadząc hondę przez gęsty ruch, Bob gawędził z żoną, mówiąc o czekającym ich przyjęciu. Lucy odmrukiwała coś niechętnie. Znow zaczął ją dręczyć Wielki Konflikt, do którego przyznała się przed Kathryn Dance. Powinna przedłużyć służbę czy nie?

Autoprzesłuchanie...

Kiedy miesiąc wcześniej podjęła decyzję na „tak”, czy była wobec siebie szczerą, czy się oszukiwała?

Szukała tego, o czym mówiła jej Kathryn Dance: złości, depresji... Okłamuję się?

Starła się uciszyć wewnętrzny spór.

Kiedy zbliżali się do budynku departamentu urbanistyki, zobaczyła po drugiej stronie ulicy demonstrantów wznoszących hasła przeciwko udziałowi Ameryki w zagranicznych konfliktach. Jej przyjaciół i żołnierzy za oceanem wkurzały te protesty, ale Lucy, co ciekawe, patrzyła na to inaczej. W jej przekonaniu sam fakt, że ci ludzie mogli swobodnie demonstrować, a nie siedzieli w więzieniu, potwierdzał słusność tego, co robiła.

Zatrzymali się przy punkcie kontrolnym na skrzyżowaniu przed departamentem urbanistyki.

Podeszło do nich dwóch żołnierzy, by ich wylegitymować i zajrzeć do bagażnika.

Lucy zeszywniała.

Co jest? - spytał mąż.

Patrz.

Zerknął w dół. Jej prawa dłoń spoczywała na biodrze, gdzie na służbie nosiła broń.

Od razu łapiesz za spluwę, kowboju? - zażartował Bob.

To instynkt. Na punktach kontrolnych. - Zaśmiała się, ale nie było w tym cienia radości.

Gorzka mgła...

Bob skinął głową żołnierzom i uśmiechnął się do żony.

-

Wydaje mi się, że tu jest dosyć bezpiecznie. Nie jak w Bagdadzie czy Kabulu.

Lucy ścisnęła jego dłoń i po chwili wjechali na parking zarezerwowany dla gości honorowych.

Charles Hale nie był całkiem apolityczny. Miał swoje zdanie na temat demokracji, teokracji, komunizmu i faszyzmu. Wiedział jednak, że jego poglądy nie wykraczają poza opinie przeciętnych słuchaczy dzwoniących do audycji Rusha Limbaugha lub radia NPR i nie są ani szczególnie wyraziste, ani radykalne. Kiedy więc w październiku Charlotte i Bud Allertonowie zlecili mu „przekazanie wiadomości” o nadgorliwości rządu naruszającego wolność obywateli i haniebnej amerykańskiej interwencji w „pogańskich” krajach, Hale zaczął w duchu ziewać z nudów. Ale wyzwanie go zaintrygowało.

- Rozmawialiśmy z sześcioma ludźmi i nikt nie chciał się tego podjąć - oświadczył mu Bud Allerton. - To prawie niemożliwe.

Charlesowi Vespasianowi Hale'owi spодobało się to słowo. Człowiekowi nie grozi nuda, jeśli podejmuje się niemożliwego zadania. „Niemożliwy” brzmiał podobnie jak „niezniszczalny”.

Charlotte i Bud - jej drugi mąż - należeli do skrajnie prawicowe-go ruchu milicji obywatelskich, które od lat atakowały budynki i pracowników rządu federalnego oraz placówki ONZ. Grupa na pewien czas zesłała do podziemia, ale ostatnio, rozwścieczeni miesza-niem się rządu w sprawy świata, Charlotte wraz z innymi członkami swojej bezimiennej organizacji uznali, że czas dokonać wielkiego czynu.

Zamach miał nie tylko przekazać wiadomość, ale także zadać wrogowi prawdziwe straty; w jego wyniku mieli zginąć generałowie i urzędnicy rządu, którzy zdradzili podstawowe ideały Ameryki, wysyłając „naszych chłopców” i - o zgrozo - dziewczęta na obcą zie-mię, by wspierali lud zacofany, okrutny i niechrześcijański.

Hale zdołał się uwolnić od swoich fanatycznych klientów i zabrał się do pracy. W Halloween przyjechał do Nowego Jorku, zamieszkał w kryjówce w Brooklynie i przez następne półtora miesiąca ślęczał nad konstrukcją swego zegarka - gromadząc niezbędne rzeczy, znaj-dując nieświadomych swej roli współników (Dennisa Bakera i Vin-centa Reynoldsa), zbierając wszystkie dostępne informacje o rzeko-myh ofiarach Zegarmistrza i obserwując biurowiec departamentu urbanistyki.

Do którego właśnie podchodził, czując przenikliwy chłód poranka.

Wybrano ten gmach na miejsce uroczystości i zebrania nie ze względu na charakter zadań departamentu, które oczywiście nie miały nic wspólnego z wojskowością, lecz dlatego, że był

najbez-pieczniejszym budynkiem federalnym na dolnym Manhattanie. Miał grube kamienne mury; gdyby nawet jakimś terroryście uda-ło się sforsować bariery i zdetonować bombę ukrytą w samochodzie, eksplozja wyrządziłaby mniej szkód niż w nowoczesnej konstrukcji ze szklanym frontem. Biurowiec departamentu urbanistyki był także niższy od większości budynków w centrum, stanowił więc trudniejszy cel dla rakiet lub pilotowanych przez samobójców samolotów. Kontrolę dostępu ułatwiała niewielka liczba wejść i wyjść, a okna sali, w której miała się odbyć uroczystość i strategiczna nara-da, wychodziły na mur budynku naprzeciwko, więc żaden snajper nie mógł strzelić do nikogo w sali.

Ponad dwudziestu żołnierzy i policjantów uzbrojonych w broń automatyczną strzegło siedziby departamentu urbanistyki z przyle-gających ulic i dachów sąsiednich budynków, była to więc twierdza niemal nie do zdobycia.

Od zewnątrz.

Ale nikt nie brał pod uwagę możliwości, że zagrożenie może na-dejść od środka.

Charles Hale pokazał trzy identyfikatory, z których dwa wyda-no specjalnie na dzisiejsze wydarzenie i przekazano jego uczest-nikom przed zaledwie dwoma dniami. Kazano mu przejść przez bramkę wykrywacza metali, a następnie obszukano go ręcznie.

Wreszcie strażnik, kapral, drugi raz sprawdził dokumenty, po czym zasalutował. Hale odwzajemnił gest i wszedł do środka.

Biurowiec był prawdziwym labiryntem, lecz Hale szybko skiero-wał się do sutereny.

Doskonale znał plan budynku, ponieważ piątą rzekomą ofiarą psychopatycznego Zegarmistrza była Sarah Stanton, kosztorysantka w firmie projektowania wnętrz, która dostarczyła do biurowca dywany i linoleum, o czym dowiedział się z dokumentów 0 zleceńbiorcach

rządowych instytucji. W szafce w biurze Sary

znalazł precyzyjne szkice każdego pomieszczenia i korytarza w budynku. (Przedsiębiorstwo znajdowało się na tym samym piętrze co firma kurierska, do której wcześniej zadzwonił, informując, że do Metropolitan Museum nie dostarczono przesyłki - co uwiarygodniało rzekomy plan kradzieży Mechanizmu Delfickiego).

W istocie wszystkie „ataki” Zegarmistrza dokonane w tym tygo-dniu, z wyjątkiem jatki na pirsie, zainscenizowanej w celu przyciągnięcia uwagi, były ważnymi etapami dzisiejszej misji: firma dekora-cji wnętrz, mieszkanie Lucy Richter, uliczka przy Cedar Street 1 pracownia kwiaciarska.

Hale włamał się do Lucy, żeby sfotografować, a potem sfałszować specjalne przepustki, których wymagano od żołnierzy uczestniczą-cych w ceremonii (jej nazwisko znalazł w artykule o uroczystości). Poza tym skopiował i nauczył się na pamięć poufnej notatki Departa-mentu Obrony na temat procedur bezpieczeństwa podczas spotkania w biurowcu departamentu urbanistyki.

Rzekome morderstwo Teddy'ego Adamsa również miało swój cel. Hale położył ciało ofiary wypadku w Westchester na uliczce za biu-rowcem. Gdy zjawiała się Charlotte Allerton -

grająca zrozpaczoną siostrę Adamsa - strażnicy wpuścili rozhisteryzowaną kobietę do środka przez tylne wejście i pozwolili jej skorzystać z toalety na do-le, nie rewidując jej. Charlotte natomiast zostawiła coś, co Hale wła-śnie wyjął z dna wbudowanego w ścianę kosza na śmieci: pistolet

z tłumikiem kalibru .22 i dwa metalowe dyski. Nie było innego spo-IV sobu, by przemycić te przedmioty do budynku chronionego przez I kilka wykrywaczy metalu i strażników obszukujących każdą wcho-

dzącą osobę. Hale ukrył pistolet i dyski w kieszeniach, po czym skie-I rował się do sali konferencyjnej na piątym piętrze. I Tam zauważył sprężynę napędową swego precyzyjnego jak ze- ^

garek planu: dwie okazałe kompozycje kwiatowe przygotowane na uroczystość przez Joannę Harper - jedną z przodu, a drugą w głębi sali. Z listy zleceńbiorców w biurze agencji obsługują-cej urzędy federalne dowiedział się, że Joannę otrzymała zamó-wienie na kompozycje kwiatowe do sali w biurowcu departamen-tu urbanistyki. Włamał się do jej pracowni na Spring Street, aby ukryć coś w wazach, których, miał nadzieję, ochrona nie będzie zbyt uważnie oglądać, ponieważ Joannę od kilku lat była zaufaną współpracownicą instytucji rządowych. Kiedy Hale włamał się do jej pracowni, w torbie poza narzędziami i zegarem z księżycem miał dwa słoiki materiału wybuchowego znanego pod nazwą Astrolite.

Skuteczniejszy od trotylu i nitrogliceryny astrolite miał postać przezroczystego płynu i zachowywał swoje właściwości na-wet wówczas, gdy został wchłonięty przez inną substancję. Hale dowiedział się, które kompozycje są przeznaczone na uroczystość, i nalał astrolite na dno obu waz.

Hale mógł się oczywiście po prostu włamać do wszystkich czte-rech miejsc bez udziału fikcyjnego Zegarmistrza, lecz gdyby kto-kolwiek zobaczył włamywacza albo zauważył, że coś jest nie tak, powstałoby pytanie: co on naprawdę planuje? Dlatego upozorował motywy, układając je w warstwy. Jego pierwotny plan polegał na tym, by udając seryjnego mordercę, uzyskać dostęp do czterech miejsc, poświęcając swojego nieszczęsnego współnika, Vincenta Reynoldsa, który miał przekonać policję, że Zegarmistrz napraw-dę jest psychopatycznym zabójcą. Ale w połowie

listopada ode-zwał się do niego kontakt z przestępczości zorganizowanej, informując go, że niejaki Dennis Baker, policjant z Nowego Jorku, chce komuś zlecić zabójstwo innego detektywa z Nowego Jorku. Mafia nie miała zamiaru zabijać policjantów, ale czy Hale jest może zainteresowany? Nie był, ale natychmiast sobie uświadomił, że może wykorzystać Bakera jako drugą komplikację planu: obywatel mści się na skorumpowanym glinie. Na koniec dodał wspaniały ozdobnik w postaci kradzieży Mechanizmu Delfickiego.

Motyw to jedyny hak, na jaki na pewno cię złapią. Jeżeli eliminujesz motyw, eliminujesz podejrzenia...

Hale podszedł do kompozycji stojącej z przodu sali konferencyjnej i poprawił ją gestem lubiącego porządek żołnierza - dumnego że uczestniczy w tak ważnym wydarzeniu. Kiedy nikt nie patrzył - wsunął do materiału wybuchowego jeden z metalowych dysków elektronicznych zapalników - nacisnął guzik aby go uzbroić i po prawej mech ozdabiający wazę, zasłaniając urządzenie. To samo zrobił z drugą kompozycją, która miała zostać zdetonowana sygnałem radiowym wysłanym przez pierwszy zapalnik.

Dwie urocze kompozycje kwiatowe zmieniły się w śmiertelne bomby o sile zdolnej wysadzić w powietrze całą salę.

W laboratorium Rhyme'a panowała atmosfera ogromnego napięcia.

Wszyscy z wyjątkiem Pułaskiego, który wyszedł wykonać zadanie zleczone przez Rhyme'a, wpatrywali się w kryminalistykę, który z kolei patrzył na tablice dowodów otaczające go jak bataliony żołnierzy czekających na rozkazy.

- Ciągłe mamy za dużo pytań - rzekł Sellitto. - Wiesz, co się stanie, jeżeli poruszymy tę sprężynę.

Rhyme zerknął na Amelię Sachs.

Co o tym myślisz?

Zacisnęła pełne wargi.

Nie sądzę, żebyśmy mieli inne wyjście. Zgadzam się.

Rany - mruknął Sellitto.

Dzwon - powiedział Rhyme do wymiętego detektywa.

Lon Sellitto wybrał znany niewielu osobom numer, który połączył go bezpośrednio z telefonem stojącym na biurku burmistrza Nowego Jorku.

Stojąc w sali konferencyjnej z wolna wypełniającej się żołnierzami i ich gośćmi, Charles Hale poczuł wibrowanie telefonu. Wyciągnął aparat z kieszeni i zerknął na kolejną wiadomość od Charlotte Allerton. „Odwołują wszystkie loty. Stoją pociągi. Specjalny zespół sprawdza zegar w NIST. Niech się dzieje w imię Boże”.

Doskonale, pomyślał Charles. Policja uwierzyła w komplikację Mechanizmu Delfickiego i jego rzekomy plan włamania do komputera sterującego zegarem cezowym.

Hale cofnął się i rozejrzał po sali, przybierając zadowoloną minę. Następnie zjechał windą do holu i wyszedł od strony, gdzie nadzieje dęły pilnie strzeżone limuzyny. Niepostrzeżenie wsunął się w zgrozadzony po drugiej stronie betonowych barier tłum bijący brawo i wymachujący flagami.

Zauważył też demonstrantów, niechlujnych młodych ludzi, podstarzałych hipisów i lewicujących profesorów w towarzystwie małżonki. Trzymali transparenty i skandowali hasła, których Hale nie słyszał. Ich sednem było niezadowolenie z polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych.

Nie odchodźcie, poradził im w duchu.

Czasem prośby się spełniają.

## Rozdział 38

Wchodząc do sali konferencyjnej na piątym piętrze wraz z siedemnastoma innymi żołnierzami reprezentującymi wszystkie rodzaje sił zbrojnych, sierżant armii Stanów Zjednoczonych Lucy Richter posłała mężowi przelotny uśmiech. Mrugnęła też do rodziny -

rodziców i ciotki siedzących w głębi sali.

Pozdrowienie wyglądało może na odrobinę zbyt chłodne i oficjalne. Ale Lucy nie występowała tu jako żona Boba ani jako córka czy siostrzenica. Występowała jako odznaczony żołnierz w obecności zwierzchników oraz towarzyszy broni.

Wcześniej żołnierze zgromadzili się na dole, a ich rodziny i przyjaciele udali się do sali konferencyjnej. Czekać na uroczyste wejście, Lucy gawędziła z młodym człowiekiem, sanitariuszem z Teksasu, który służył w siłach powietrznych i wrócił do Stanów na leczenie (pieprzony pocisk z granatnika odbił się rykoszetem od jego plecaka i rozerwał się parę metrów dalej). Powiedział jej, że nie może się doczekać powrotu do domu.

-

Do domu? - zdziwiła się. - Myślałam, że zostajesz na drugą zmianę.

Spojrzał na nią zdumiony.

- Bo

zostaję. Mówię o swojej jednostce. To jest mój dom.

Stojąc teraz przed krzesłem, niepewnie zerknęła na dziennikarzy. Denerwował ją łakomy wzrok, jakim przyglądali się żołnierzom, szukając dobrego materiału na artykuł. Przypominali snajperów czy-hających na cel. Starając się nie zwracać na nich uwagi, spojrzała na udekorowaną w patriotycznym duchu salę. Wzruszył ją widok amerykańskiej flagi, fotografii wieżowców World Trade Center, wojskowych sztandarów i symboli, odznaczeń i rzędów baretek na piersiach oficerów, z których można było odczytać, jak długo i gdzie służyli. Cały czas toczył się w niej zażarty spór. Myśląc o tym, co mówna jej Kathryn Dance, Lucy pytała sama siebie: jaka jest więc moja

prawda?

Mam wracać do krainy gorzkiej mgły?

Tak, nie?

Otworzyły się boczne drzwi i do sali weszli dwaj mężczyźni o rozbieganych oczach - agenci Secret Service - a za nimi ukazało się sześćcioro mężczyzn i kobiet w garniturach i mundurach z insygniami wysokich oficerów, udekorowanych medalami i baretkami. Lucy poznała kilka z nich z Waszyngtonu i Nowego Jorku, choć bardziej poruszyła ją obecność przedstawicieli Pentagonu, ponieważ przeszli długą drogę w świecie, który stał się częścią jej życia.

Wciąż dręczyła ją niepewność.

Tak, nie...

Prawda... Jaka jest prawda?

Kiedy przedstawiciele władzy i dowództwa zajęli miejsca, jakiś generał z New Jersey powiedział kilka słów, przedstawiając stojącego mężczyznę o opanowanych rysach, ubranego w granatowy mundur. Generał Roger Poulin, przewodniczący Połączonego Komitetu Szefów Sztabów, wstał i podszedł do mikrofonu.

Poulin skinieniem głowy podziękował przedmówcy i powitał obecnych na sali. Niskim głosem powiedział:

- Panowie generałowie, szanowni przedstawiciele Departamentu Obrony, Departamentu Stanu

oraz miasta Nowy Jork, żołnierze, dro-dzy goście... Miło mi powitać państwa na uroczystej dekoracji osiemnastu dzielnych osób, ludzi, którzy narażali życie, okazując go-towość poniesienia najwyższej ofiary, by chronić wolność naszego kraju i krzewić idee demokracji na świecie.

Rozległy się burzliwe oklaski i wszyscy goście wstali z miejsc.

Gdy brawa ucichły, generał Poulin rozpoczął przemówienie. Lucy Richter z początku uważnie słuchała, lecz wkrótce przestała się skupiać na jego słowach. Przyglądała się cywilom na sali - rodzinom i gościom zaproszonym przez żołnierzy. Ludziom takim jak jej ojciec, matka, mąż i ciotka, oraz współmałżonkom, dzieciom, rodzicom, dziadkom i przyja-ciołom pozostałych bohaterów tej uroczystości.

Ci ludzie po uroczystości opuszczą salę, pójdą do pracy albo do domów. Wrócą do codziennych spraw, które będą im wypełniać każ-dy dzień, godzinę i minutę życia.

Chcąc zachować wojskową powagę, Lucy Richter nie mogła się uśmiechnąć, ale poczuła, jak mięśnie jej twarzy zaczynają się rozluź-niać, a napięcie ramion znika jak gorzka mgła rozwiana przez gorący wiatr. Złość, depresja, zaprzeczenie - wszystko, czego kazała jej w so-bie szukać Kathryn Dance - w jednej chwili zniknęło.

Na moment zamknęła oczy, po czym znów skierowała uwagę na człowieka, który po prezydencie Stanów Zjednoczonych był jej naj-wyższym zwierzchnikiem. Zrozumiała, że bez względu na to, co się jeszcze zdarzy w jej życiu, podjęła decyzję i już jej nie zmieni.

Charles Hale był w męskiej toalecie w małej restauracji niedale-ko budynku departamentu urbanistyki. W brudnej kabinie wydobył

spod podkoszulka worek na śmieci. Zdjął wojskowy mundur i prze-brał się w dzinsy, bluzę, kurtkę i rękawiczki, które właśnie kupił. Za-pakował do worka mundur, płaszcz i czapkę, zostawiając sobie pisto-let. Następnie wyciągnął z telefonu baterię i kartę, które także włożył

do plastikowej torby. Zaczekał, aż toaleta będzie pusta, a po-tem włożył worek do kosza na śmieci i opuścił restaurację, wycho-dząc na ulicę.

Później kupił za gotówkę telefon pre-paid i ruszył ocienionym chodnikiem, oddalając się na odległość trzech przecznic od siedziby departamentu urbanistyki. Zajął punkt obserwacyjny, z którego wi-dział tył biurowca i uliczkę, na której znaleziono pierwszą „ofiare” Zegarmistrza.

Dostrzegł stąd kawałeczek okna sali konferencyjnej na piątym piętrze, gdzie odbywała się uroczystość.

Kurtka była cienka i powinno mu być zimno, ale w podnieceniu w ogóle nie czuł chłodu.

Spojrzał na elektroniczny zegarek zsyn-chronizowany z zapalnikami czasowym bomb.

Cyfrowy wyświetlacz pokazywał 12:14:19. Ceremonia rozpoczęła się w południe. Z jego szczegółowych badań wynikało, że w przypad-ku zamachu bombowego zawsze trzeba zostawić pewien margines czasu, aby ludzie zajęli miejsca, maruderzy zdążyli wejść, a straźni-cy stracili nieco czujność.

12:14:29.

Tak się szczęśliwie złożyło, że skonstruowane przez niego bomby miały pewną dodatkową właściwość. Joannę wypełniła wazy setka-mi maleńkich szklanych kulek. Każdy, kto nie zginąłby lub nie zo-stał ranny w wyniku wybuchu, zostanie podziurawiony jak sito poci-skami ze szkła.

12:14:44.

Hale z niecierpliwości wspinał się na palce. Zawsze istniała moż-liwość, że coś pójdzie nie tak - ochrona mogła w ostatniej chwili przeprowadzić kontrolę, szukając ładunków wybuchowych, albo



ktoś oglądając obraz z kamery, mógł zwrócić uwagę, że Hale podejrzanie szybko opuścił budynek.  
12:14:52.

Mimo to ryzyko porażki sprawiało, że zwycięstwo nad nudą na-bierało jeszcze słodsze smaku. Hale wpatrywał się w uliczkę za biurowcem departamentu urbanistyki. 12:14:55.

12:14:56. 12:14:57. 12:14:58. 12:14:59.

12:15:00...

ę

W ciszy z okna sali konferencyjnej buchnęły płomienie i sypnęły się odłamki muru. Pół sekundy później rozległ się ogłuszający huk

Usłyszał przerażone głosy wokół siebie.

O Boże. Co...

Krzyki.

Patrzcie! Co to?

Boże, nie!

Dzwońcie pod dziewięćset jedenaście. Niech ktoś...

Przechodnie zbijali się w grupki na chodniku.

Bomba? Samolot?

Hale z zaniepokojoną miną pokręcił głową, jeszcze przez chwilę delektując się sukcesem.

Wybuch był potężniejszy, niż się spodzie-wał; straty będą większe, niż zakładali Charlotte i Bud.

Trudno przy-puszczać, by ktokolwiek przeżył.

Hale wolno się odwrócił i ruszył dalej ulicą. Potem zszedł na sta-cję metra i wsiadł do kolejki jadącej na górny Manhattan. Kiedy wysiadł, skierował się do hotelu Allertonów, gdzie miał dostać resz-tę honorarium.

Charles Hale czuł satysfakcję. Odpędził nudę i zarobił niezłe pie-niądze.

A co najważniejsze, wykonał zadanie z zapierającym dech w piersiach mistrzostwem.

Stworzył plan i perfekcyjnie go zrealizo-wał. Wszystko działało jak w zegarku, pomyślał, uśmiechając się do siebie.

Rozdział 39

Och, dziękuję - szepnęła Charlotte, zwracając się do Jezusa i czło-wieka, który wypełnił powierzona mu misję. Siedziała wychylona do przodu, wpatrując się w telewizor. Prze-rwano specjalny serwis o ewakuacji Metropolitan Museum i zatrzy-maniu komunikacji publicznej w całym mieście, aby podać wiado-mość o zamachu bombowym w budynku departamentu urbanistyki. Charlotte mocno uścisnęła dłoń męża. Bud ją pocałował. Uśmiech-nął się jak mały chłopiec.

Spikerka prowadząca wiadomości miała posępną minę - mimo tłu-mionej radości, że jej dyżur wypadł akurat podczas takiego wydarze-nia - podając uzyskane dotąd informacje: doszło do wybuchu bomby w biurowcu Departamentu Rozwoju Mieszkalnictwa i Urbanistyki na dolnym Manhattanie, gdzie odbywała się uroczystość z udziałem wy-sokich przedstawicieli rządu i dowództwa armii. Obecni byli podse-kretarz stanu i przewodniczący Połączzonego Komitetu Szefów Szta-bów. Kamery pokazały dym unoszący się z okien sali konferencyjnej.

Nie znano jeszcze liczby ofiar, choć wiadomo było, że w momencie eksplozji w sali przebywało co najmniej pięćdziesiąt osób.

Na ekranie ukazał się komentator; zupełny brak wiadomości na temat zdarzenia nie przeszkadzał mu w wygłoszeniu autorytatywnej opinii, że za zamachem stoją fundamentaliści islamscy. Wkrótce

się przekonają, że było inaczej.

- Popatrz, kochanie, udało się! - zawołała Charlotte do córki, która wciąż siedziała w sypialni, pogrążona w lekturze. (Znowu ten sa-tanistyczny Harry Potter. Charlotte wyrzuciła już dwie książki z tej serii. Skąd mała wzięła następną?).

Dziewczynka westchnęła z irytacją i wróciła do książki. Charlotte ogarnęła złość. Miała ochotę wpaść do pokoju i z całej siły uderzyć małą w twarz. Właśnie odnieśli spektakularne zwycięstwo, a ona okazywała im zupełny brak szacunku. Bud kilka razy pY" tał, czy może przyłożyć jej parę razy kijem w goły tyłek. Charlotte się nie zgodziła, ale teraz nie była pewna, czy to rzeczywiście był ta- Ale myśląc o dzisiejszym triumfie, powściągnęła gniew. Wstała.

-

Lepiej szykujmy się do drogi.

Wyłączyła telewizor, wracając do pakowania walizki. Bud po-szedł do pokoju, by zrobić to samo. Zamierzali pojechać samocho-dem do Filadelfii, a stamtąd odlecieć do St. Louis -

Duncan pora-dził im, żeby po zamachu unikali nowojorskich lotnisk. Potem mieli wrócić w lasy Missouri i znów zejść do podziemia - czekając na kolejną okazję, by przypomnieć o swojej sprawie.

Wkrótce przyjdzie Gerald Duncan. Miał odebrać resztę swoich pieniędzy i także opuścić miasto. Charlotte zastanawiała się, czy uda się jej przekonać go do ich sprawy. Rozmawiała z nim o ich wiel-kiej idei, ale nie wykazał zainteresowania, choć zapewnił ją, że bar-dzo chętnie znowu im pomoże, jeżeli znajdą szczególnie trudny cel i będą mogli zaoferować odpowiednią zapłatę.

Rozległo się pukanie.

Duncan był punktualny.

Charlotte, śmiejąc się radośnie, podeszła do drzwi i z rozmachem je otworzyła.

- Udało ci się! Widziałam...

Ale głos uwiązł jej w gardle, a śmiech zamarł na ustach. Do poko-ju wpadł policjant w czarnym hełmie i pełnym rynsztunku bojo-wym. Za jego plecami ukazała się Amelia Sachs, trzymając w ręku duży czarny pistolet i rozglądając się z wściekłością po pokoju.

Po nich wbiegło sześciu innych gliniarzy.

Policja! Nie ruszać się!

Nie! - zawyła Charlotte. Odwróciła się i zdążyła zrobić tylko jeden krok, zanim funkcjonariusz powalił ją na podłogę.

Słyszac w sąsiednim pomieszczeniu wrzask żony, ostre głosy i tu-pot nóg, Bud Allerton wydał stłumiony okrzyk i zatrzasnął drzwi sy-pialni. Chwycił spoczywający w walizce automatyczny pistolet i po-ciągnął zamek, umieszczając pocisk w komorze.

Nie! - krzyknęła jego pasierbica, ciskając na bok książkę i przypadając do drzwi.

Cicho - szepnął jadowicie. Złapał ją za ramię. Dziewczynka wrzasnęła, gdy rzucił ją na łóżko. Uderzyła głową w ścianę i ogłuszona opadła bezwładnie na pościel. Bud nigdy nie lubił małej, nie podobało mu się jej zachowanie, jej szyderstwa, jej przekora. Dzieci są od tego, żeby były posłuszne - zwłaszcza dziewczynki - a jeżeli nie są, muszą ponosić konsekwencje.

Nasłuchiwał pod drzwiami. Do salonu musiało wpaść kilkunastu Policjantów. Bud nie miał zbyt dużo czasu na modlitwę, ale tym, Przez których przemawia głos Boga, wolno rozmawiać z Nim niezależnie od okoliczności.

Jezu Chryste, panie mój i zbawicielu, dzięki Ci za chwałę, jaką okryłeś nas, prawdziwie wiernych. Proszę, daj mi siłę, abym mógł za-kończyć własne życie i wyruszyć w podróż do Ciebie. I

pozwól mi po-słać do piekła jak najwięcej tych, którzy przyszli tu grzeszyć prze-ciwko Tobie.

W magazynku miał piętnaście pocisków. Mógł zabrać ze sobą na tamten świat mnóstwo gliniarzy, jeżeli Bóg da mu spokój i siłę, by nie zważał na rany. Mimo to dysponowali ogromną przewagą. Musiał

jakoś zwiększyć swoje szansę.

Bud odwrócił się do pasierbicy, która łkała, trzymając się za krwawiącą głowę. Zakończył modlitwę prośbą, która zważywszy na sytuację, była dowodem niezwyklej wielkoduszności: A gdy przyjmiesz do nieba tę dziewczynkę, przebacz jej wszystkie grzechy. Nie wiedziała, co czyni.

Wstał, podszedł do pasierbicy i złapał ją za włosy. - Jest tam Allerton? - krzyknęła do Charlotte Amelia Sachs, wskazując zamknięte drzwi sypialni. Kobieta milczała.

- A mała?

Recepcjonista powiedział im, który apartament zajmują Char-lotte i Bud Allertonowie z córką, i opisał im rozkład pokoju. Był pra-wie pewien, że są na górze. Rozpoznał na zdjęciu Zegarmistrza, informując ich, że mężczyzna kilka razy odwiedził hotel, ale, o ile mu wiadomo, dzisiaj go nie było.

- Gdzie Allerton? - warknęła Sachs. Miała ochotę złapać kobietę i mocno nią potrząsnąć.

Charlotte nadal się nie odzywała, mierząc Sachs wściekłym spoj-rzeniem.

Łazienka czysta - zawołał jeden z funkcjonariuszy ESU.

Drugi pokój czysty.

Szafa czysta - zameldował Ron Pułaski, którego szczupła syl-wetka w obszernej kamizelce kuloodpornej i hełmie wyglądała ko-micznie.

Pozostała tylko zamknięta sypialnia. Sachs podeszła do drzwi, stanęła z boku i dała znak pozostałym, aby zeszli z linii ognia. - Ty w sypialni, posłuchaj.

Jestem z policji! Otwieraj!

Żadnej odpowiedzi.

Sachs przekręciła gałkę. Drzwi nie były zamknięte na klucz.

Wzięła głęboki oddech, unosząc broń.

Otworzyła drzwi, natychmiast przypadając do podłogi w pozycji strzeleckiej. Sachs ujrzała dziewczynkę - tę samą, która siedziała w samochodzie Charlotte na miejscu pierwszej zbrodni Zegarmi-strza. Dziewczynka miała związane ręce i zaklejone taśmą usta i nos. Sina z braku tlenu, rzuciła się na łóżku, rozpaczliwie pragnąc zaczerpnąć powietrza. Uduszenie było kwestią sekund, f^tio jest otwarte - zawołał Ron Pułaski. - Dał nogę!

Sachs chwyciła go za kamizelkę.

- Jeszcze nie jest bezpiecznie - warknęła. Ruchem głowy wska-zała salon. - Wyjrzyj stamtąd na schody przeciwpożarowe. Zobacz, czy go tam nie ma. I uważaj. Może celować w okno.

Nowy wybiegł z sypialni i szybko spojrział przez okno. - Nikogo! - krzyknął. - Pewnie już zwiął. - Przez radio zawiado-mił oddział ESU na zewnątrz, że podejrzany może być na uliczce za hotelem.

Sachs wahała się, ale nie mogła dłużej czekać. Musiała ratować

| dziewczynkę. Ruszyła naprzód.

I Ale nagle stanęła. Chociaż córka Charlotte się dusiła, dawała jej !L znaki. Gwałtownie potrząsała głową, co Sachs odczytała jako ostrze-żenie, że to pułapka. Dziewczynka spojrziała w prawo, wskazując I miejsce, gdzie czaił się Allerton lub ktoś inny, prawdopodobnie cze-!kając na okazję do oddania strzału. Sachs przypadła do podłogi. -

Ktokolwiek tu jest, rzucić broń! Położyć się twarzą do ziemi na środku pokoju!

Cisza.

Biedna dziewczynka rzucała się na łóżku, oczy wychodziły jej z orbit.

- Natychmiast rzuć broń!

Nic.

W drzwiach stanęło kilku funkcjonariuszy ESU. Jeden ważył w dłoni granat błyskowy służący do dezorientowania napastników. Ale nawet ogłuszony i oślepiony człowiek potrafi strzelić. Sachs obawiała się, że gdyby zaczął pruć na oślep, mógłby trafić dziewczynkę.

Przecząco pokręciła głową i wycelowała do sypialni przez otwarte drzwi. Musiała go jak najszybciej unieszkodliwić; dziecko nie miało już czasu.

Ale dziewczynka znów potrząsnęła głową. Usiłując opanować konwulsje, spojrzała na prawo od Sachs, a potem w dół. Mimo że się dusiła, nakierowywała ją na cel. Sachs dokładniej wymierzyła - wskazany punkt był znacznie dalej, niż z początku przypuszczała. Gdyby strzeliła w upatrzone wcześniej miejsce, napastnik zorientowałby się, gdzie jest, i prawdopodobnie odpowiedział ogniem. Dziewczynka skinęła głową.

Mimo to Sachs nadal zwlekała. Czy mała naprawdę dawała jej znaki? Dziecko wykazywało się opanowaniem, na jakie mogłoby się zdobyć niewielu dorosłych, i Sachs bała się, by nie zinterpretować błędnie dawanych przez dziewczynkę sygnałów; ryzyko skrzywdzenia niewinnej osoby było zbyt duże.

Przypomniała sobie jednak wyraz oczu dziewczynki, kiedy ujrzała ją pierwszy raz, w samochodzie obok zaułka przy Cedar Street. Wtedy dostrzegła w nich nadzieję. Teraz odwagę.

351

Sachs chwyciła mocno pistolet i oddała sześć strzałów z niewielkim rozrzutem, celując w miejsce wskazane przez dziewczynkę. Nie sprawdzając, w co trafiła, wpadła do pokoju, a za nią funkcjonariusze ESU.

- Zajmijcie się małą! - krzyknęła, omiatając lufą glocka prawą stronę sypialni, gdzie znajdowała się łazienka i szafa. Jeden z członków oddziału ESU

osłaniał pokój automatem MP-5, a pozostali policjanci chwycili dziewczynkę, zrywając taśmę z jej twarzy. Sachs usłyszała łapczywy wdech, a potem szloch.

Sachs otworzyła drzwi szafy i odskoczyła, gdy wypadło z niej ciało mężczyzny - trafionego czterema pociskami. Kopniakiem odsunęła na bok jego broń, po czym sprawdziła szafę i łazienkę, a potem - nie chcąc ryzykować - kabinę prysznicową, przestrzeń pod łóżkiem i wyjście przeciwpożarowe.

Minutę później apartament był już bezpieczny. Charlotte, czerwona z wściekłości i zalana łzami, siedziała na kanapie skuta kajdankami, a dziewczynka była w korytarzu, gdzie ratownicy podawali jej tlen; nie stwierdzili u niej żadnych poważnych obrażeń.

Charlotte nie chciała nic powiedzieć o Zegarmistrzu, a po wstępnym przeszukaniu pokoju nie natrafili na żadną wskazówkę, która mogłaby naprowadzić na jego ślad. Sachs znalazła kopertę, w której było ćwierć miliona dolarów w gotówce, co mogło oznaczać, że miał tu przyjść po honorarium. Połączyła się przez radio z czekającym na dole Sellitem, polecając mu usunąć z ulicy wszystkie policyjne samochody i przygotować ludzi do zatrzymania podejrzanego.

Rhyme był w drodze do hotelu, więc Sachs poradziła mu przez telefon, aby skorzystał z tylnego

wejścia. Następnie wyszła na korytarz zobaczyć, co z dziewczynką.

Jak się czujesz?

Chyba już dobrze. Twarz mnie boli.

Pewnie za szybko zerwali taśmę.

Pewnie tak.

- Dzięki za to, co zrobiłaś. Uratowałaś ludziom życie. Moje też.

Dziewczynka spojrzała na nią z zagadkową miną, po czym spuściła wzrok. Sachs podała jej książkę o Harrym Potterze znaną w sypialni i zapytała, czy wie coś o człowieku przedstawiającym się

jako Gerald Duncan.

Był straszny. Jakiś taki dziwny. Patrzył na mnie, jakbym była kamieniem, samochodem albo stołem. Nie człowiekiem.

Wiesz może, gdzie jest?

Pokręciła głową.

- Słyszałam tylko, jak mama mówiła, że wynajmuje jakiś dom w Brooklynie. Nie wiem gdzie. Nie mówił. Ale ma przyjść po pieniądze-Sachs odciągnęła na bok Pułaskiego, prosząc go, żeby sprawdził" wszystkie połączenia telefonów komórkowych Charlotte i Buda, ^oprowadzone przez telefon w pokoju.

- Może jeszcze w holu? To znaczy automat. I na ulicy niedaleko hotelu.

Uniosła brew.

- Dobra

myśl.

Nowy ruszył wykonać zadanie. Sachs przyniosła dziewczynce gazowany napój. Mała otworzyła puszkę i od razu wypila połowę. Dziwnie przyglądała się Sachs. Nagle parsknęła śmiechem.

Co? - zdziwiła się Sachs.

Naprawdę mnie pani nie pamięta? Już się kiedyś spotkałyśmy.

Przy uliczce we wtorek. Pamiętam.

Nie, nie. O wiele dawniej.

Sachs zmrużyła oczy. Przypomniała sobie, że istotnie twarz dziewczynki siedzącej w samochodzie wydała się jej znajoma. Teraz też odniosła to wrażenie. Nie potrafiła sobie jednak skojarzyć, gdzie wcześniej mogła widzieć tę małą.

Obawiam się, że nie pamiętam.

Uratowała mi pani życie. Byłam wtedy dzieckiem.

Dawno... -Amelia Sachs odwróciła się do jej matki, zmrużyła oczy i uważnie przyjrzała się Charlotte. - O Boże - wykrztusiła.

Rozdział 40

W

obskurnym pokoju hotelowym Lincoln Rhyme z niedowierzaniem pokręcił głową, usłyszawszy, czego dowiedziała się Sachs: poznali Charlotte przed laty, kiedy przyjechała do Nowego Jorku pod pseudonimem Carol Ganz. Wraz z córką, Pammy, były ofiarami w pierwszej sprawie prowadzonej wspólnie przez Sachs i Rhyme'a - którą kryminalistyk wcześniej wspominał - gdy szukali porywacza opętanego obsesją na punkcie ludzkich kości, równie inteligentnego i okrutnego jak Zegarmistrz.

Prowadząc pościg, Rhyme zwerbował Sachs, aby była jego oczami, uszami i nogami na

miejscach zdarzenia. Udało im się ocalić matkę i córkę, a później odkryli, że Carol naprawdę nazywa się Charlotte Willoughby i należy do prawicowego ruchu milicji obywatelskich, który nie znoślił rządu federalnego i jego zaangażowania w sprawy świata. Później kobiecie udało się podłożyć bombę w siedzibie ONZ na Manhattanie. W wybuchu zginęło sześć osób.

Rhyme i Sachs zajęli się tą sprawą, ale Charlotte z córką zniknęły wraz z radykalnym ruchem w podziemiu, prawdopodobnie na Zachodzie albo Środkowym Zachodzie, i trop się urwał.

Od czasu do czasu sprawdzali informacje o milicji i ultraprawicowych organizacjach politycznych w VICAP-ie i FBI, a także w raportach lokalnych policji, ale nie natrafili na żaden ślad Charlotte i jej córki. Sachs nigdy nie przestała się martwić o Pammy i czasem, leżąc w nocy obok Rhyme'a, zastanawiała się głośno, jak sobie radzi dziewczynka i czy nie jest za późno, by ją uratować. Sachs, która zawsze chciała mieć dzieci, była przerażona życiem, do jakiego matka zmuszała dziewczynkę - Pammy musiała się ukrywać, miała zapewne niewielu przyjaciół w swoim wieku i nigdy nie chodziła do normalnej szkoły -

wszystko w imię jakiejś chorej ideologii.

Po latach Charlotte - z drugim mężem, Budem Allertonem - wróciła do miasta w celu przeprowadzenia następnego zamachu terrorystycznego, a ich drogi znów przecięły się z drogami Rhyme'a i Sachs.

Charlotte utkwiała wściekle spojrzenie w Rhymie. W jej zapłakanych oczach malowała się nieskrywana nienawiść.

- Zamordowaliście Buda! Przekłęci faszyci! Zabiliście go. - Za-

śmiała się złowrogo. - Ale i tak zwyciężyliśmy! Ilu dzisiaj zabiliśmy?

Pięćdziesiąt osób? Siedemdziesiąt pięć? Ilu ważnych generałów z Pentagonu?

Sachs zbliżyła do niej twarz.

Wiedzieliście, że w sali są dzieci? Mężowie i żony żołnierzy?

Rodzice? Dziadkowie? Wiedzieliście o tym?

Oczywiście - odparła Charlotte.

To były po prostu ofiary, tak?

W imię wyższego dobra - odparowała Charlotte.

Być może było to hasło recytowane przez jej ruch na początku wieców czy jak nazywali swoje zebrania. Rhyme pochwycił spojrzenie Sachs.

- Może powinniśmy jej pokazać rozmiar masakry.

Sachs skinęła głową i włączyła telewizor.

Na ekranie pojawiła się spikerka wiadomości.

- ...lekkie

obrażenia. Odłamek niegroźnie ranił funkcjonariusza z oddziału pirotechników, który sterował robotem, próbując rozbroić bombę. Po opatrzeniu ran został zwolniony do domu. Straty materialne oszacowano na pięćset tysięcy dolarów. Wbrew wcześniejszym doniesieniom, zamach nie był dziełem al Kaidy ani innej islamskiej grupy terrorystycznej. Według rzeczniczki Departamentu Policji Nowego Jorku, odpowiedzialna za atak jest rodzima organizacja terrorystyczna. Tych z państwa, którzy teraz włączyli telewizor, informujemy, że w południe doszło do wybuchu dwóch bomb w biurze Departamentu Rozwoju Mieszkalnictwa i Urbanistyki na dolnym Manhattanie. Nie było ofiar śmiertelnych, tylko jedna osoba odniosła lekkie obrażenia. Wśród planowanych ofiar zamachu byli podsekretarz stanu oraz przewodniczący Połączonego Komitetu Szefów Sztabów...

Sachs ściszyła telewizor, spoglądając z satysfakcją na Charlotte.

Nie - wykrztusiła kobieta. - Och, nie... Jak to...

Oczywiście domyśliliśmy się wszystkiego - odrzekł Rhyme - zanim bomba wybuchła. Zdążyliśmy przeprowadzić ewakuację.

Charlotte była wstrząśnięta.

Ależ to niemożliwe... Lotniska były zamknięte, metro, pociąg...

Ach, to - odparł lekceważącym tonem Rhyme. - Musieliśmy po prostu zyskać na czasie. Z początku rzeczywiście myślałem, że chce ukraść Mechanizm Delficki, ale potem uznałem, że to podstęp. Co nie oznaczało, że nie majstrował przy zegarze atomowym. Kiedy więc próbowaliśmy ustalić, co naprawdę kombinuje, zadzwoniliśmy do burmistrza, który zawiesił cały ruch lotniczy i komunikację miejską.

Wiesz, co się stanie, jeżeli poruszymy tę sprężynę...

Spojrzała w stronę sypialni, gdzie jej mąż zginął tak bezsensowną śmiercią. Nagle odezwał się w niej głos fanatyczki.

Nigdy nas nie pokonacie. Może wygracie jedną czy dwie bitwy.

Ale odzyskamy nasz kraj. Zdobędziemy...

Daruj sobie propagandę, dobra? - Powiedział to wysoki i chudy czarnoskóry mężczyzna, który wkroczył do pokoju. Był to agent specjalny FBI Fred Dellray. Gdy dowiedział się o zamachu rodzimej grupy terrorystycznej, przekazał komuś prowadzoną przez siebie sprawę oszustw księgowych („Straszne nudziarstwo”) i oświadczył, że z ramienia federalnych zajmie się wybuchem w biurowcu departamentu urbanistyki.

Dellray miał na sobie bladoniebieski garnitur, jadownicę zieloną koszulę i brązowy płaszcz w jodełkę, modny w okolicach roku 1975; stroje agenta był równie wyzywające jak jego zachowanie. Obrzucił badawczym spojrzeniem Charlotte.

- Proszę, proszę, a kogóż to złapaliśmy. - Kobieta patrzyła na niego hardo. Dellray parsknął śmiechem. - Szkoda tylko, że pójdiesz za kratki na... na zawsze, a nawet nie udało ci się zrobić tego, co ci się marzyło. Jak to jest umoczyć na całej linii?

Podejście Dellraya do podejrzanych znacznie odbiegało od metod stosowanych przez Kathryn Dance; Rhyme podejrzewał, że agentka nie pochwaliłaby kolegi.

Charlotte została aresztowana przez Sachs, która przedstawiła jej zarzut złamania praw stanowych, teraz więc przyszła kolej na Dellraya, który miał ją aresztować za przestępstwa federalne - za dzisiejsze zdarzenie i dawny zamach bombowy w ONZ, a także za udział w strzelaninie w sądzie w San Francisco i kilka innych czynów.

Charlotte oświadczyła, że rozumie przysługujące jej prawa, po czym zaczęła następną tyradę.

Dellray pogroził jej palcem.

- Daj mi minutkę, skarbie. - Agent zwrócił się do Rhyme'a. - Jak to rozgryłeś, Lincoln?

Słyszeliśmy to i owo o jakichś chłopcach w mundurkach, którzy brali w łapę, i o stukniętym gościu, który zostawiał w upominku zegary, a tu nagle wyrrywają mnie z drzemki, za-mykają lotniska i ogłaszają alarm pierwszego stopnia w departamencie urbanistyki.

Rhyme zrelacjonował mu przebieg gorączkowej pracy, w której kryminalistyka i kinezyka połączyły siły, aby ujawnić prawdziwy plan Zegarmistrza. Kathryn Dance zasugerowała, że mówiąc o celu swojego pobytu w Nowym Jorku, Duncan kłamał. Jeszcze raz zaczęły badać dowody.

Niektóre wskazywały na zamiar kradzieży rzadkiego eksponatu z Metropolitan Museum.

Ale im głębiej Rhyme się nad tym zastanawiał, tym mniej wyda- wało się to prawdopodobne.

Domyślił się, że Duncan wymyślił hi-storyjkę o paczce do Metropolitan, aby skupili się na muzeum. Ktoś

tak staranny jak Zegarmistrz nie zostawiałby tak wyraźnego śladu. Przecież sam oddał w ręce policji Vincenta, wiedząc, że gwałciciel zdradzi informację o kościele, gdzie zostawił inne foldery na temat Mechanizmu. Wspomniał o zabytkowym urządzeniu w rozmowie z Hallersteinem i Vincentem. Nie, planował coś zupełnie innego. Ale co? Kathryn kilka razy przejrzała zapis przesłuchania i uznała, że mógł kłamać, mówiąc o tym, że wybierał ofiary tylko z powodu miejsca, z którego łatwo było uciec.

-

A to oznaczało - ciągnął Rhyme - że wybrał je z innego powodu. Jeśli tak, co miały ze sobą wspólnego?

Rhyme przypomniał sobie pewną informację o pierwszym miej-scu zdarzenia uzyskaną przez Dance. Ari Cobb twierdził, że naj-pierw samochód stał w głębi uliczki, ale Zegarmistrz podjechał do jej wylotu, by tam zostawić ciało.

-

Dlaczego? Jedyne powód mógł być taki, że chciał umieścić ofiarę w konkretnym miejscu. Co było w pobliżu? Tylne wejście do budynku departamentu urbanistyki.

Rhyme zajrzał do listy klientów firmy projektowania wnętrz, ; gdzie Duncan podłożył fałszywą bombę w gaśnicy, i dowiedział się z niej, że firma dostarczała do biur departamentu urbanistyki dywa-ny i linoleum.

- Wysłałem do centrum nowego, żeby się rozejrzał. Znalazł remontowany budynek po drugiej stronie Cedar Street. Ekipa tydzień temu smołowała dach, tuż przed ostatnimi mrozami. Płatki smoły pasowały do znalezionych na butach sprawcy. Dach był doskonałym punktem do obserwacji budynku departamentu urbanistyki.

To wyjaśniało, dlaczego rozsypał i starannie zamiótł piasek na uliczce - aby mieć absolutną pewność, że nikt nie znajdzie śladów, które pozwoliłyby go zidentyfikować, gdy wróci uzbroić bomby.

Rhyme odkrył również, że inne ofiary także miały jakiś związek z biurowcem. Lucy Richter była dzisiaj dekorowana i miała specjal-ne przepustki uprawniające do wejścia na teren całego budynku. Dostała też poufną notatkę na temat procedur bezpieczeństwa i ewakuacji.

Joannę Harper okazała się natomiast autorką kompozycji kwia-towych na uroczystość - w których bez trudu można było coś prze-myć.

Przypuszczam, że ukrył w nich bombę. Włączyliśmy w sprawę burmistrza, który dzwonił do prasy i kazał zaczekać z informacją o ewakuacji biurowca, żeby sprawcy się nie spłoszyli. Ale ładunek wybuchł, zanim pirotechnicy zdążyli go rozbroić. - Rhyme pokręcił

głową. - Nie lubię, kiedy dobre dowody wylatują w powietrze.

Wiesz, jak trudno jest zdjąć odciski z kawałków metalu, które latają w powietrzu z prędkością dziewięciu tysięcy metrów na sekundę?

A jak znalazłeś tę przyjemną panią? - spytał Dellray, wskazując głową Charlotte.

- To

było proste - odrzekł lekceważąco Rhyme. - Zachowywała się nieostrożnie. Pomyślałem, że



skoro Duncan był oszustem, to kobieta, która pomagała mu w pierwszym miejscu, też musiała być oszustką. Nasz nowy spisał numery rejestracyjne wszystkich samochodów zaparkowanych w pobliżu alejki przy Cedar. Samochód rze-komej siostry ofiary był z wypożyczalni Avis, wynajęty na nazwisko Buda Allertona. Przeszukaliśmy wszystkie hotele w mieście, aż ją znaleźliśmy.

Dellray pokręcił głową.

A ten twój sprawca? Zegarmistrz?

To już inna historia. - Wyjaśnił, że wiedzą od Pam, córki Charlotte, iż mieszka w jakimś domu w Brooklynie, ale dziewczynka nie wie, gdzie dokładnie. - Nie mamy innych tropów.

Dellray pochylił się nad aresztowaną.

Gdzie w Brooklynie? Muszę wiedzieć. Mów.

Jesteście żalosni! - odparowała hardo Charlotte. -Wszyscy! Pa-chołki biurokracji z Waszyngtonu. Zaprzedajecie duszę naszego kraju i...

Dellray zbliżył się do niej jeszcze bardziej, patrząc jej prosto w twarz. Cmoknął z niezadowolaniem.

Mhm. Żadnej polityki. Żadnej filozofii... Chcemy tylko odpowiedzi na proste pytania. Rozumiemy się?

Odpierdol się - odrzekła Charlotte.

Dellray nadał policzki jak trębacz i głośno wypuścił powietrze.

-

Ten intelekt mnie przerasta - jęknął.

Rhyme żałował, że nie ma tu Kathryn Dance, która przesłuchała-by tę kobietę, choć przypuszczał, że wyciąganie z niej informacji trwałoby długo. Podjechał wózkiem do Charlotte i szepnął, żeby Pam nie mogła go słyszeć:

- Jeżeli nam pomożesz, będziesz się mogła widywać z córką w więzieniu. Jeżeli nie zechcesz współpracować, gwarantuję, że nigdy więcej jej nie zobaczysz.

Charlotte wyjrzała na korytarz, gdzie Pam siedziała na fotelu, beczelnie czytając Harry'ego Pottera. Ciemnowłosa dziewczynka była ładna, o delikatnych rysach, ale bardzo szczupła.

Miała na so-bie wypłowiałe dzinsy i granatową bluzę. Skóra wokół jej oczu była ciemna. Pam nerwowo pstrykała palcami. Widać było, że rozpaczli-wie potrzebuje pomocy.

Charlotte ponownie spojrzała na Rhyme'a.

-

Wobec tego nigdy jej nie zobaczę - powiedziała spokojnie.

Dellray zdumiał się, a na jego nieprzeniknionej zwykle twarzy odmalowało się obrzydzenie.

Rhyme nie wiedział, co jeszcze mógłby powiedzieć tej kobiecie.

W tym momencie do pokoju wbiegł zziajany Ron Pułaski, z tru-dem łapiąc oddech.

-

Co? - spytał Rhyme.

Pułaski odzyskał głos dopiero po chwili.

Telefony... Zegarmistrz... - zdołał powiedzieć.

Wykrztuś to, Ron.

Przepraszam... - Odetchnął głęboko. - Nie mogliśmy namierzyć jego komórki, ale recepcjonista widział, jak Charlotte przez ostatnie cztery czy pięć dni codziennie o północy do kogoś dzwoniła.

Skontaktowałem się z operatorem. Dostałem numer, pod który dzwoniła. Namierzyli go. To

automat w Brooklynie. Na tym skrzyżowaniu. - Podał kartkę Sellittowi, który natychmiast przekazał wiadomość Bo Haumannowi i oddziałowi ESU.

Dobra robota - rzekł do Pułaskiego Sellitto. Zadzwoił do podinspektora z posterunku w okolicy automatu. Policja miała zacząć pytać ludzi w dzielnicy, gdy tylko Mel Cooper prześle na komisariat zdjęcie Duncana.

Rhyme przypuszczał, że Zegarmistrz raczej nie mieszka w pobliżu telefonu, ale zaledwie pół godziny później dostali wiadomość od patrolu o kilku sąsiadach, którzy rozpoznali mężczyznę na zdjęciu.

Sellitto zapisał numer domu i zaalarmował Bo Haumanna.

Odezwę się, kiedy będę na miejscu - oznajmiła Sachs.

Chwileczkę - rzekł Rhyme. - Może tym razem sobie odpuścisz.

Niech Bo się tym zajmie.

Co?

Mają dość ludzi.

Rhyme myślał o przesądzie, który mówił, że policjanci tuż przed odejściem ze służby giną lub zostają ranni częściej od innych. Rhyme nie wierzył w przesady. Nie miały żadnego znaczenia. Po prostu nie chciał, żeby tam szła.

Amelia Sachs myślała chyba o tym samym; widział, że się waha. Potem spojrzała na siedzącą w korytarzu Pam Willoughby. Odwróciła się do Rhyme'a. Ich oczy się spotkały.

Kryminalistyk uśmiechnął się nieznacznie i skinął głową.

Sachs chwyciła skórzaną kurtkę i ruszyła do drzwi.

Dwunastu funkcjonariuszy brygady specjalnej szło wolno chodnikiem w cichej dzielnicy Brooklynu, a sześciu innych przemykało się zaułkiem za odrapanym budynkiem.

Była to dzielnica skromnych domów z niewielkimi podwórkami, które teraz zdobiły bożonarodzeniowe dekoracje. Mikroskopijne rozmiary działek nie zdołały ograniczyć hojności, z jaką właściciele obstawiali je Świętymi Mikołajami, reniferami i elfami.

Sachs szła chodnikiem na czele zespołu szturmowego, rozmawiając przez radio z Rhyme'em.

Zabezpieczyliśmy domy po obu stronach i z tyłu. Naprzeciwko nie ma nikogo. - Po drugiej stronie ulicy był wspólny ogród, pośrodku którego stał obdarty strach na wróble. Zdobilo go graffiti.

Dobre miejsce, żeby go zgarnąć. Jesteśmy... zaczekaj, Rhyme.

-W jednym z okien od frontu zapaliło się światło. Policjanci zatrzymali się i przykucnęli. -

Jeszcze jest u siebie - szepnęła. -Wyłączam

się.

- Złap go, Sachs. - W głosie kryminalistyk usłyszała determinację. Denerwował się, że sprawcy udało się uciec. Wprawdzie uratowali ludzi w departamencie urbanistyki i złapali Charlotte, ale Rhyme byłby zadowolony dopiero wówczas, gdyby na rękach wszystkich sprawców zatrzasnęły się kajdanki.

Ale nie był tak zdeterminowany jak Amelia Sachs. Pragnęła dać Rhyme'owi Zegarmistrza - jako prezent z okazji ostatniej wspólnej sprawy.

Zmieniła częstotliwość i powiedziała do mikrofonu:

- Detektyw

pięć osiem osiem pięć do ESU jeden.

Odezwał się Bo Haumann ze stanowiska dowodzenia przecznicę dalej:

Mów.

Jest w domu. Widziałam światło w pokoju od frontu.

Zrozumiałem. Zespół B, słyszysz?

Zespół B był za bungalowem.

Dowódca B do ESU jeden. Zrozumiałem. Jesteśmy... Zaraz. Dobra, jest na górze. Właśnie zapaliło się światło. To chyba sypialnia.

Nie zakładajmy, że jest sam - powiedziała Sachs. - Może tam być ktoś z ekipy Charlotte. Albo znalazł sobie nowego współnika.

Zrozumiałem, detektywie - zachrypiał Haumann. - Rozpoznanie, co możecie nam powiedzieć?

Zespoły rozpoznania zajmowały pozycje na dachu budynku za kryjówką Zegarmistrza i w ogrodzie naprzeciwko, ustawiając sprzęt do obserwacji.

Rozpoznanie jeden do ESU jeden. Wszystkie rolety spuszczone. Nic nie widzę. Mamy źródło ciepła z tyłu domu. Nigdzie się nie przemieszcza. Jest światło na strychu, ale nie da się zajrzeć. Nie ma okien, tylko wywietrzniki, odbiór.

To samo u nas - rozpoznanie dwa. Nic nie widać. Źródło ciepła na górze, na parterze nic. Przed sekundą słyszałem jakiś trzask, od-biór.

Broń?

- Możliwe. Albo urządzenia domowe czy piec.

Funkcjonariusz ESU obok Sachs dał znak pozostałym, by zajęli stanowiska. Sam razem z Sachs i dwoma innymi stanął przy drzwiach frontowych, mając za plecami drugi czteroosobowy zespół. Jeden z policjantów trzymał taran. Pozostała trójka osłaniała okna na parterze i piętrze.

nariuszy.

Zespół B do ESU jeden. Jesteśmy na pozycjach. Obok okna pokoju z tyłu stoi drabina, odbiór.

Zespół A na pozycjach - szepnął do mikrofonu inny z funkcjo-Wchodzimy bez pukania - oznajmił Haumann. - Odliczam od sześciu, na trzy wrzucacie granaty błyskowe do pokojów, gdzie się pali światło. Rzućcie mocno, żeby wpadły przez rolety. Na jeden równoczesne dynamiczne wejście od frontu i tyłu. Zespół B, rozdzielić się, zabezpieczyć parter i piwnicę. Zespół A, wchodźcie prosto na górę. Pamiętajcie, że zna się na bombach. Szukajcie ładunków.

Zespół B, zrozumiałem.

A, zrozumiałem.

Mimo przenikliwego zimna Sachs poczuła, że pocą się jej dłonie w rękawicach z nomeksu.

Zdjęła prawą i dmuchnęła. To samo zrobiła z lewą rękawicą. Następnie zacisnęła paski kamizelki, otwierając futerał z zapasowym magazynkiem. Pozostali funkcjonariusze brygady specjalnej mieli broń automatyczną, ale Sachs nigdy za nią nie przepadała. Wolała elegancki, dobrze wymierzony strzał niż deszcz ołowiu.

Sachs i trójka pozostałych członków pierwszego zespołu porozumieli się skinieniem głowy.

Chrypliwy głos Haumanna zaczął odliczać.

- Sześć... pięć... cztery... trzy...

Powietrze przeszył brzęk stłuczonych przez granaty szyb. Haumann ciągnął spokojnie:

- Dwa...

jeden.

Oknami wstrząsnął huk granatów błyskowych, a wewnątrz domu na moment rozświetliło białe światło. Krzepki policjant z taranem uderzył nim w drzwi. Pękły bez oporu i po kilku sekundach funkcjonariusze rozbiegli się po skąpo umeblowanym domu.

Sachs trzymała się swojego zespołu, biegnąc na górę z latarką w jednej i pistoletem w drugiej ręce.

Usłyszała głosy pozostałych funkcjonariuszy meldujące, że piwnica i pokoje na parterze są czyste.

Sypialnia na piętrze była pusta, podobnie jak druga.

Wkrótce potem okazało się, że wszystkie pokoje są czyste.

Cholera, gdzie on jest? - mruknęła Sachs.

Zawsze jakaś przygoda, co? - odezwał się czyjś głos.

Niewidzialny sukinsyn - dorzucił ktoś inny.

Nagle w słuchawce usłyszała:

Rozpoznanie jeden, światło na strychu właśnie zgasło. Tam jest.

W małej sypialni z tyłu domu znaleźli klapę w suficie ze zwisającym z niej grubym sznurem.

Opuszczane schody. Jeden z policjantów wyłączył światło w pokoju, żeby trudniej było wziąć ich na cel. Cofnęli się, kierując lufy w stronę klapy, a Sachs chwyciła sznur i mocno pociągnęła. Skrzypnęły zawiasy i z sufitu opuściła się składowa drabina.

Dowódca zespołu krzyknął:

-

Ty na strychu. Zejdź... Słyszysz mnie? To twoja ostatnia szansa.

Nic.

-

Granat - powiedział dowódca.

Jeden z funkcjonariuszy zdjął granat z pasa i skinął głową. Dowódca zespołu położył dłoń na drabinie, ale Sachs powstrzymała go gestem.

Ja go zdejmę.

Na pewno chcesz to zrobić?

Sachs przytaknęła.

Tylko pożyczcie mi hełm.

Nałożyła go.

Jesteśmy gotowi, detektywie.

-

No to do dzieła. - Sachs wspięła się na kilka szczebli, po czym wzięła granat. Wyciągnęła zawleczkę i zamknęła oczy, aby błysk jej nie oślepił i żeby przyzwycząić wzrok do ciemności na strychu.

Dobra.

Cisnęła granat na strych i pochyliła głowę.

Po trzech sekundach huknęło, a Sachs, otwierając oczy, biegiem pokonała ostatnie szczeble drabiny i wpadła do ciasnego pomieszczenia, wypełnionego dymem i zapachem pozostałym po eksplozji. Odsunęła się od otworu, włączyła latarkę i omiotła snopem światła strych, chowając się za słupkiem - jedyną osłoną, jaką znalazła..

Z prawej nic, na środku nic, z lewej...

Nagle ziemia się pod nią zapadła.

Podłoga nie była z drewna, lecz z kartonu położonego na warstwie izolacyjnej. Jej prawa noga przebiła kartonowo-gipsowy sufit w sypialni, więznąc w pułapce. Unieruchomiona Sachs krzyknęła z bólu.

- Detektywie! - zawołał czyjś głos.

Sachs uniosła latarkę i broń w jedynym kierunku, jaki był w zasięgu jej wzroku - prosto przed siebie. Mordercy tam nie było.

Co oznaczało, że jest za jej plecami.

W tym momencie zapaliło się górne światło tuż nad jej głową, czyniąc z niej doskonały cel.

Usiłowała się odwrócić, czekając na huk broni i tępe uderzenie pocisku w głowę, ramię lub szyję.

Pomyślała o ojcu.

Pomyślała o Lincolnie Rhymie.

Ty i ja, Sachs...

Postanowiła, że nie da się bezkarnie zabić. Chwyliła pistolet w zęby i pomagając sobie rękami, próbowała się obrócić i znaleźć cel.

Usłyszała tupot ciężkich butów na drabinie i po chwili na strych wpadł jeden z funkcjonariuszy ESU, biegnąc jej na pomoc. Oczywiście na to właśnie liczył Zegarmistrz -

czekał na okazję, by zabić więcej policjantów. Wykorzystał ją jako przynętę, żeby zwabić w pułapkę innych i w zamieszaniu próbować ucieczki.

- TTwaea! - krzyknęła, zaciskając palce na pistolecie. - Jest...

-

Gdzie on jest? - zapytał dowódca zespołu A, stojąc na szczycie drabinki. Nie usłyszał - albo nie usłyszał - jej ostrzeżenia, wbiegając na strych z dwoma policjantami. Penetrowali pomieszczenie - patrząc także na jego część za plecami Sachs.

Słyszając łomot własnego serca, usiłowała obejrzeć się przez ramię.

Nie widzicie go? Musi tam być.

Zero.

Dwaj funkcjonariusze pochylili się, złapali ją za kamizelkę i wyswobodzili z potrzasku.

Sachs przykucnęła, odwracając się. Strych był pusty.

- Jak

się wydostał? - mruknął policjant. - Nie ma drzwi ani okien.

Sachs zauważyła coś na drugim końcu pomieszczenia. Zaśmiała się gorzko.

W ogóle go tu nie było. Ani tu, ani na dole. Pewnie zwiął parę godzin temu.

Przecież ktoś zapalał i gasił światła.

Nie. Popatrzcie. - Wskazała niewielkie beżowe pudełeczko pod-

łączone do skrzynki bezpiecznikowej. - Chciał, żebyśmy myśleli, że jest w domu. Żeby mieć lepsze szansę ucieczki.

Co to jest?

Jak to co? Wyłącznik czasowy.

Rozdział 41

S

achs skończyła oględziny domu w Brooklynie i wysłała do Rhy-me'a nieliczne dowody, jakie udało się jej znaleźć. Zdjęła kombinezon z tyveku, włożyła kurtkę i wybiegła na mróz do samochodu Sellitta. Z tyłu siedziała Pam Willoughby, ściskając książkę o Harrym Potterze i popijając gorącą czekoladę, którą zor-ganizował dla niej gruby detektyw. Sellitto wciąż tkwił

przy kry-jówce Zegarmistrza, kończąc papierkową robotę. Sachs wsiadła do samochodu obok Pam. Kathryn Dance poradziła, żeby przywieźć tu dziewczynkę i pokazać jej dom i rzeczy Zegarmistrza w nadziei, że jakiś szczegół pozwoli jej przypomnieć sobie coś więcej. Ale sprawca nie zostawił po sobie zbyt wiele, poza tym nic, co Pammy zobaczyła, nie pobudziło jej pamięci.

Sachs z uśmiechem przyjrzała się dziewczynce, przypominając sobie zagadkowy wyraz nadziei, jaki zobaczyła na jej twarzy we wto-rek na Cedar Street.

Dużo o tobie myślałam przez te lata - powiedziała.

Ja też - odrzekła Pam, patrząc w kubek.

Dokąd wyjechałyście z Nowego Jorku?

Wróciłyśmy do Missouri, do lasu. Mama często zostawiała mnie u innych ludzi. Ale zwykle byłam sama i czytałam. Nie bardzo lubi-

łam się z innymi. Traktowali mnie jak śmiecia. Kiedy ktoś nie myślał tak jak oni - a byli dość pokręcani - to okropnie się wkurzali.

Niektórzy uczyli w domach. Ale chciałam iść do normalnej szko-ły i bardzo się uparłam. Bud nie chciał, ale mama w końcu się zgo-dziła. Powiedziała tylko, żebym nikomu o niej nie mówiła, bo jak zdradzę, co zrobiła, to pójdę do więzienia jako współprac... nie, jako współsprawca. I mężczyźni będą mi robić różne rzeczy. Rozumie pa-ni, o czym mówię.

-

Och, skarbie. - Sachs ścisnęła jej rękę. Amelia Sachs bardzo pragnęła mieć dzieci i wiedziała, że tak czy owak kiedyś się ich doczeka. Była wstrząśnięta, że matka mogła narażać na coś takiego własne dziecko.

-

A czasem, kiedy było bardzo źle, myślałam o pani i udawałam, że jest pani moją matką. Nie wiedziałam, jak się pani nazywa. Mo-że wtedy słyszałam, ale nie mogłam sobie przypomnieć. Więc nadałam pani własne imię: Artemida. To z książki o mitologii. Ar-temida była boginią łowów. A pani zabiła tego wściekłego psa - te-go, który mnie atakował. - Spuściła wzrok. - Głupie imię.

Nie, cudowne. Bardzo mi się podoba... Poznałaś mnie na tej uliczce we wtorek, prawda? Kiedy siedziałaś w samochodzie?

Tak. Pomyślałam, że to przeznaczenie. Że przysłała pani, żeby znowu mnie uratować. Myśli pani, że takie rzeczy się zdarzają?

Nie, Sachs nie wierzyła w takie rzeczy. Powiedziała jednak:

-

Życie czasem dziwnie się układa.

Obok nich zatrzymał się miejski samochód, którym przyjechała kobieta z opieki społecznej, znajoma Sachs. Wsiadła do nich.

-

Hu, ale mróz. - Ładna Afroamerykanka zatarła dłonie nad nadmuchem ogrzewania. -A zima jeszcze się oficjalnie nie zaczęła. To nie fair. - Kobieta, która zajęła się sprawą dziewczynki,

poinformowała Pam: - Znaleźliśmy kilka miłych rodzin zastępczych. Jedną z Riverdale znam od lat. Zostaniesz tam przez parę dni, a my spróbujemy znaleźć twoich krewnych.

Pammy zmarszczyła brwi.

Mogę zmienić nazwisko?

Nazwisko?

Nie chcę już być sobą. I nie chcę nigdy więcej rozmawiać z matką. Nie chcę, żeby znaleźli mnie ci ludzie, z którymi się spotyka.

Sachs uprzedziła reakcję pracownicy opieki społecznej.

Dopilnujemy, żeby nic ci się nie stało. Obiecuję.

Pammy uściskała ją.

Zobaczymy się jeszcze? - zapytała ją Sachs.

Starając się opanować radość, dziewczynka odparła:

Chyba tak. Jeżeli pani chce.

Może jutro pójdziemy na zakupy?

Dobrze.

W takim razie jesteśmy umówione. - Nagle coś jej przyszło do głowy. - Słuchaj, lubisz psy?

Tak, w Missouri byłam kiedyś u takich ludzi, którzy mieli psa.

Lubiłam go bardziej od nich.

Sachs zadzwoniła do Thoma.

Mam pytanie.

Słucham.

Masz już chętnych na Jacksona?

Nie. Ciągle czeka na adopcję.

Wycofaj go z rynku - powiedziała Sachs. Rozłączyła się i spojrzała na Pam. - Mam dla ciebie pierwszy prezent świąteczny.

Czasem nawet najlepiej zaprojektowane zegarki po prostu nie działają.

Urządzenia te są zresztą niezwykle kruche. Pięćset, tysiąc ma-leńkich poruszających się części, mikroskopijne śrubki, sprężyny i kamienie, wszystkie precyzyjnie złożone, kilkadziesiąt zsynchronizowanych ruchów... Mogą się zdarzyć setki rzeczy. Czasem zegar-mistrz pomyli się w obliczeniach, czasem kawałek metalu jest uszkodzony, czasem właściciel za mocno nakręci sprężynę. Czasem upuści zegarek. Pod szkiełko przedostanie się wilgoć.

Zegarek w jakichś warunkach może działać doskonale, a w innych nie. Nawet słynny rolex oyster perpetual, rewolucyjny zegarek dla nurków, nie potrafi wytrzymać każdego ciśnienia pod wodą.

Charles Vespasian Hale siedział w Central Parku w swoim samo-chodzie, którym przyjechał z San Diego - nie do wykrycia, jeśli pła-ci się za benzynę gotówką i unika płatnych autostrad - i zastanawiał się, co poszło nie tak w jego planie.

Przypuszczał, że winna jest policja, zwłaszcza Lincoln Rhyme. Hale zrobił wszystko, by wyprzedzić każdy jego ruch. Ale były glina zawsze wybiegał o krok do przodu. Rhyme zrobił

dokładnie to, cze-go obawiał się Hale - na podstawie kilku dźwięgni i kólek rozwikłał zagadkę konstrukcji całego zegarka.

Miał dużo czasu na analizowanie, co poszło źle, aby w przyszłości uniknąć podobnych kłopotów. Zamierzał natychmiast wracać do Kalifornii. Zerknął na swoje odbicie w lusterku wstecznym. Jego włosy odzyskały naturalny kolor, bladoniebieskie szkła kontaktowe zniknęły, ale pod skórą został

jeszcze kolagen, dzięki któremu miał gru-by nos, wydatne policzki i podwójny podbródek. Dopiero za parę miesięcy odzyska osiemnaście kilogramów, które stracił przed tym zadaniem, i znów stanie się dawnym sobą. Po pobycie w tym mieście czuł

się wyczerpany i ociężały. Musiał wracać w swoje górskie odlu-dzie.

Owszem, plan się nie powiódł. Ale, jak powtarzał Vincentowi Reynoldsowi, w ostatecznym rozrachunku to zupełnie nieistotne. Nie przejmował się aresztowaniem Charlotte Allerton. Nie znała je-go prawdziwej tożsamości (oboje byli przekonani, że naprawdę na-zywa się Gerald Duncan), a skontaktowały ich ze sobą bardzo dys-kretne osoby.

Co więcej, porażka miała też swoją dobrą stronę - Hale dowie-dział się czegoś, co zmieniło jego życie. Stworzył Zegarmistrza tylko po to, by wzbudzić strach i przyciągnąć uwagę zwykłych ludzi i poli-cji, których wyobraźnię pobudzali okrutni przestępcy z seriali tele-wizyjnych.

Ale wchodząc w swoją rolę, Hale ze zdziwieniem uświadomił so-bie, że fikcyjna postać jest ucieleśnieniem jego prawdziwej osobo-wości. Grając go, czuł się sobą. I naprawdę zafascynowały go zegary i czas. (Zainteresował się też Mechanizmem Delfickim; nie wyklu-czał, że w przyszłości naprawdę pokusi się o kradzież zabytku).

Charles Hale sam był po prostu czasomierzem. Zegarek można wykorzystać do czegoś radosnego jak sprawdzanie częstotliwości skurczów przed narodzinami dziecka. Albo do czegoś potwornego: ustalania precyzyjnego czasu rozpoczęcia rzezi kobiet i dzieci.

Czas wykracza poza granice moralności.

Spojrzał na leżący obok złoty zegarek kieszonkowy Bregueta. Wziął go dłonią w rękawiczce, wolno nakręcił - zawsze lepiej nakrę-cić za słabo niż zbyt mocno - i ostrożnie wsunął do dużej białej ko-perty z folią ochronną.

Zakleił samoprzylepne skrzydełko i uruchomił samochód.

Nie było żadnych wyraźnych tropów.

Rhyme, Sellitto, Cooper i Pułaski siedzieli w laboratorium przy Central Park West, badając skromne znaleziska z kryjówki Zegarmi-strza w Brooklynie.

Amelii Sachs nie było. Nie powiedziała, dokąd się wybiera. Ale wcale nie musiała. W rozmowie z Thomem wspomniała, że gdyby jej potrzebowali, będzie niedaleko - na spotkaniu na Pięćdziesią-tej Siódmej i Szóstej. Rhyme sprawdził w książce telefonicznej. Pod tym adresem mieściła się agencja Argyle Security.

Rhyme po prostu nie mógł o tym myśleć, koncentrował się więc na dalszym pościgu za Zegarmistrzem, ktokolwiek nim był.

Patrząc wstecz, Rhyme zrekonstruował zarys scenariusza zda-rzeń. Uroczystość z udziałem żołnierzy zapowiedziano piętnastego października, więc Carol i Bud skontaktowali się z Zegarmistrzem w okolicach tej daty. Sprawca przyjechał do Nowego Jorku około pierwszego listopada, bo tego dnia wynajęto dom w Brooklynie. Kilka tygodni później Amelia Sachs dostała sprawę Creeleya, a wkrótce potem Baker i Wallace postanowili się jej pozbyć.

Wtedy nawiązali kontakt z Zegarmistrzem. Co powiedział, kiedy myśleliśmy, że jest Duncanem? Co mówił o spotkaniu?

Powiedział, że poznali się przez kogoś w klubie - rzekł Sellitto.

-Tam, gdzie Baker miał naciągnąć jego przyjaciela na forszę.

Ale kłamał. Nie było żadnego klubu... - Rhyme pokręcił głową.

- Ktoś ich skontaktował, ktoś, kto zna Zegarmistrza - prawdopodob-licie ktoś stąd. Jeżeli uda się go



znaleźć, będziemy mieli solidny trop.

Baker mówi?

-

Nie, ani słowa. Nikt nie chce mówić.

Nowy pokręcił głową.

- Ciężko będzie. Ile gangów mamy w mieście? Szukanie tego właściwego może potrwać całe wieki. Przecież nikt nie będzie miał ochoty nam pomagać.

Kryminalistyk zmarszczył brwi.

-

O czym ty mówisz? Co wspólnego mają z tym gangi?

-

Po prostu zakładam, że skontaktował ich ktoś z przestępczości zorganizowanej.

Dlaczego?

Baker chce zabić policjanta, prawda? Ale nie może zrobić tego tak, żeby ściągnąć na siebie podejrzania, musi więc kogoś wynająć.

Idzie do jakiegoś znajomego z mafii. Mafia nie chce załatwić gliny, więc kontaktuje Bakera z kimś, kto przyjmie robotę: z zegarmistrzem.

Gdy zapadło milczenie, Pułaski zarumienił się i spuścił oczy.

Nie wiem. Taka myśl przyszła mi do głowy.

Cholernie dobra, chłopcze - oświadczył Sellitto.

- Naprawdę?

Rhyme skinął głową.

- Niezła... Dzwońmy do wydziału przestępczości zorganizowanej w centrum. Może ich informatorzy będą nam mieli coś do powiedzenia. Trzeba też zadzwonić do Dellraya... No dobrze, wracajmy do dowodów.

W kryjówce w Brooklynie znaleźli kilka odcisków palców, lecz nie zidentyfikowali ich w federalnym systemie IAFIS i żaden nie pasował do odcisków z poprzednich miejsc. Dom wynajęto na kolejne fałszywe nazwisko, a najemca podał fałszywy poprzedni adres.

Transakcję przeprowadzono za gotówkę. Szczegółowe badanie aktywności internetowej w dzielnicy wykazało, że podejrzany sporadycznie ko-rzystał z sieci, łącząc się z nią za pośrednictwem kilku lokalnych dostawców bezprzewodowych. Nie wysyłał e-maili, odwiedzając tylko strony WWW. Najczęściej zaglądał na witrynę księgarni sprzedającej podręczniki na temat pewnych specjalizacji medycznych.

- Cholera,

może ktoś jeszcze go wynajął - powiedział Sellitto.

Pewnie, pomyślał Rhyme, kiwając głową.

- Chce

wziąć na cel następną ofiarę - albo ofiary. Prawdopodobnie zaczął już układać nowy plan. Pomyślcie tylko, jakich szkód mo-

że narobić, gdyby chciał udawać lekarza.

I ja pozwoliłem mu uciec.

Analizując mikroślady zebrane przez Sachs, nie znaleźli nic ważnego poza włóknami owczej

welny i fragmentami zielonego materiału roślinnego z zawartością odparowanej wody morskiej - okazało się, że próbka nie odpowiada śladom glonów i wody znalezionym w miejscu cumowania łodzi Wallace'a na Long Island.

Zadzwoił podinspektor z posterunku w Brooklynie, informując ich, że dalszy wywiad w dzielnicy nie przyniósł żadnych efektów. Sześć osób pamiętało, że widziało Zegarmistrza, ale nikt nic o nim

nie wiedział.

W sprawie Charlotte i Buda Allertonów śledztwo przyniosło więcej odpowiedzi. Małżeństwo było o wiele mniej uważne niż Zegarmistrz. Sachs znalazła dużo informacji o podziemnych grupach milicji obywatelskich, które dały im schronienie, w tym o dużej organizacji z Missouri i niesławnym Zgromadzeniu Patriotycznym z północnej części stanu Nowy Jork, z którym Rhyme i Sachs

zetrnęli się w przeszłości. Rozmowy telefoniczne, odciski palców i e-maile mogły stanowić bogate źródło tropów dla FBI i policji.

Ktoś zadzwonił do drzwi i Thom poszedł otworzyć. Po chwili przyprował kobietę w mundurze wojskowym. Była to Lucy Richter, czwarta „ofiara” Zegarmistrza. Rhyme zauważył, że bardziej zdziwił ją widok laboratorium kryminalistycznego w prywatnym domu niż niepełnosprawność jego właściciela. Potem pomyślał, że przecież ta kobieta bierze udział

w walkach, w których ulubioną bronią są bomby; niewątpliwie widziała w życiu ludzi bez kończyn oraz para- i te-traplegików wszelkiej maści. Stan Rhyme'a w ogóle jej nie speszył.

Wyjaśniła, że niedawno dzwoniła do Kathryn Dance, chcąc porozmawiać z kimś prowadzącym śledztwo; agentka z Kalifornii poradziła jej, żeby wpadła do Rhyme'a.

Do pokoju zajrzał Thom, proponując kawę albo herbatę. Rhyme, którego zwykle irytowali goście i robił wszystko, by zniechęcić ich do przeciągania wizyty, spiorunował wzrokiem swego asystenta.

- Thom,

przecież może być głodna. Albo ma ochotę na coś mocniejszego, na przykład szkocką.

-

Nie sposób cię rozgryźć - odparł Thom. - Nie wiedziałem, że w podręczniku savoir-vivre'u Lincolna Rhyme'a jest rozdział o gościnności wobec przedstawicieli sił zbrojnych.

- Dziękuję - powiedziała Lucy. - Przyszłam tylko na chwilę. Po pierwsze, chciałam panom podziękować. Za uratowanie mi życia

- dwa

razy.

-

Za pierwszym razem nic pani nie groziło - zauważył Sellitto.

- Nie

zamierzał zrobić pani krzywdy. A za drugim... zgoda, przyjmuję podziękowanie - bo faktycznie chciał rozwalić salę konferencyjną w drobny mak.

- Była tam moja rodzina - dodała Lucy. - Żadne podziękowanie nie wystarczy.

Rhyme jak zwykle czuł się skrępowany wyrazami wdzięczności, ale skinął głową, co jak sądził, wyglądało stosownie.

Drugi powód jest taki, że znalazłam coś, co może się do czegoś przydać. Rozmawiałam z sąsiadami o tym włamaniu. Jeden z nich, który mieszka trzy domy dalej, powiedział mi, że wczoraj

odbierał

jakiś towar z tyłu budynku i zauważył sznur zwisający z dachu. Można się tam bez trudu dostać z dachu mojej kamienicy. Myślę, że tamtędy mógł uciec.

Ciekawe - powiedział Rhyme.

Ale to nie wszystko. Mój mąż przyjrzał się temu sznurowi. Bob przez dwa lata służył w marynarce, w jednostce SEAL...

W marynarce? I pani jest w wojsku? - spytał ze śmiechem Pułaski.

Uśmiechnęła się.

-

Od czasu do czasu odbywamy... ciekawe rozmowy. Zwłaszcza podczas sezonu piłkarskiego. W każdym razie Bob obejrzał sznur i powiedział, że ten, kto go wiązał, znał się na rzeczy. To był mały znany węzeł używany przy zjeżdżaniu po linie. Nazywa się „węzeł nie-boszczyka”. U nas rzadko się go spotyka, częściej w Europie. Musiał mieć jakieś doświadczenia we wspinaczce za granicą.

Ach, konkretna informacja. - Rhyme posłał Pułaskiemu chmurne spojrzenie. - Wstyd, że ofiara znajduje dowody, nie uważasz? To zdaje się należy do naszych obowiązków. - Spojrzał na Lucy. - Sznur ciągle tam jest?

Tak.

To bardzo dobrze... Zostaje pani na jakiś czas w mieście? - spytał Rhyme. - Jeżeli go złapiemy, pani zeznania mogą się przydać na procesie.

Niedługo wyjeżdżam. Ale na proces na pewno wrócę. Mogę dostać specjalny urlop.

Jak długo pani tam zostanie?

Przedłużyłam służbę o dwa lata.

Naprawdę? - odezwał się Sellitto.

Na początku nie miałam zamiaru. To ciężkie życie. Ale postanowiłam jednak wrócić.

Z powodu bomby na uroczystości?

Nie, chwilę przed wybuchem. Patrzyłam na rodziny i innych żołnierzy i myślałam, że człowiek czasem trafia do zupełnie nieoczekiwanych miejsc. Ale kiedy robi tam coś dobrego i ważnego, czuje, że tak trzeba. - Narzuciła kurtkę. - Gdybyście mnie potrzebowali, wezmę urlop.

Pożegnali się i Thom odprowadził gościa do drzwi. Kiedy wrócił, Rhyme polecił: Dodaj to do profilu. Doświadczenia we wspinaczce, przypuszczalnie w Europie. - Zwracając się do Pułaskiego, Rhyme rzekł:

- Powiedz komuś z kryminalistycznego, żeby pojechał po sznur, którego w ogóle nie zauważyłeś...

To nie ja przeprowadzałem...

...a potem znajdź eksperta od wspinaczki. Chcę wiedzieć, gdzie mógł się uczyć. I sprawdź sznur. Gdzie go kupił, kiedy?

Tak jest.

Piętnaście minut później znów odezwał się dzwonek u drzwi. Tym razem przysłała Kathryn Dance. Przywitała się ze wszystkimi, kołysząc białymi słuchawkami iPod'a. W ręku trzymała białą kopertę formatu A4.

- Dzień dobry - rzekł Pułaski.

Rhyme na powitanie uniósł brew.

- Jadę na lotnisko - wyjaśniła Dance. - Chciałam się pożegnać.

A to leżało na progu.

Podala kopertę Thomowi. Asystent obejrzał ją.

-

Nie ma adresu zwrotnego - zauważył, marszcząc czoło.

- Lepiej

uważać - orzekł Rhyme. - Do kosza.

Sellitto wziął kopertę i podszedł do dużego pojemnika z plecio-nych stalowych pasków -

przypominającego kosz na bieliznę. Włożył kopertę do środka i zamknął pokrywę. Każda niezidentyfikowana przesyłka trafiała do kosza, który rozpraszał się eksplozji małych i średnich bomb domowej roboty. Zawierał czujniki wykrywające najmniejszy ślad azotanów i innych powszechnie stosowanych mate-riałów wybuchowych.

Komputer obwąchał opary wydzielane przez kopertę, po czym zameldował, że to nie jest bomba.

Cooper wyciągnął ją, włożywszy lateksowe rękawiczki. Na koper-cie widniało wydrukowane komputerowo nazwisko adresata „Lincoln Rhyme” i nic więcej.

-

Samoprzylepna - rzekł technik ze zrezygnowaną miną. Kryminaliści wolą staromodne koperty, które sprawcy muszą ślinić; klej staje się wówczas doskonałym źródłem DNA. Cooper poznał rodzaj koperty; sprzedawano ją w sklepach w całym kraju i nie sposób by-

ło ustalić miejsca jej pochodzenia.

Rhyme podjechał bliżej i razem z Dance przyglądali się, jak technik wyciąga zegarek kieszonkowy i list, także napisany na kom-puterze.

-

To od niego - oznajmił Cooper.

Koperta musiała leżeć pod drzwiami nie dłużej niż kwadrans - tyle czasu upłynęło między wyjściem Lucy Richter a nadejściem Dance. Sellitto zawiadomił centralę, by radiowozy z pobliskiego Dwudziestego posterunku przeczesały okolicę. Cooper przesłał na komisariat zdjęcie Zegarmistrza.

Zegarek tykał i pokazywał właściwą godzinę. Był złoty, a na cy-ferblacie widniało kilka mniejszych tarcz.

Ciężki - rzekł Cooper. Nałożył gogle powiększające i dokładnie go obejrzał. - Wygląda na stary, ślady zużycia... żadnych wy-grawerowanych napisów. - Wziął pędzel z wielbłądziego włosia i ostrożnie omiół nim zegarek nad płachtą papieru. To samo zrobił z kopertą. Nie usunął z nich żadnych mikrośladów.

A to list, Lincoln. - Włożył kartkę do rzutnika.

Szanowny panie Rhyme,

Kiedy otrzyma Pan ten list, będę już daleko. Oczywiście dowiedzia-łem się już, że żadna z osób obecnych w sali konferencyjnej nie odniosła obrażeń. Doszedłem do wniosku, że odgadł

Pan moje plany. Ja nato-miast odgadłem Pańskie i odłożyłem wizytę w hotelu Charlotte, dzięki czemu miałem okazję w porę zauważyć Pańskich funkcjonariuszy. Przypuszczam, że uratowaliście jej córkę. Cieszę się z tego. Zasługuje na lepszych rodziców niż tych dwoje.

Tak więc gratuluję. Sądziłem, że plan jest doskonały. Ale najwyraź-niej byłem w błędzie.

Zegarek to breguet. Mój ulubiony z wielu, na jakie się natknąłem. Został wyprodukowany na

początku XIX wieku i ma rubinowy wy-chwył cylindryczny, wieczny kalendarz oraz system przeciwwstrząso-wy. Mam nadzieję, że doceni Pan okienko pokazujące fazy księżyca, zwłaszcza w świetle naszych niedawnych przygód. Na świecie jest tyl-ko kilka egzemplarzy tego zegarka. Ofiarowuję go Panu w prezencie, w dowód szacunku. Nikomu nigdy się jeszcze nie udało powstrzymać mnie od ukończenia zadania; Pan okazał się najlepszy z tych, którzy próbowali tego dokonać. (Powiedziałbym, że jest Pan równie dobry jak ja, ale to niezupełnie prawda. Jednak mnie Pan nie złapał). Proszę regularnie nakręcać bregueta (lecz delikatnie); będzie odliczał czas do naszego następnego spotkania.

Dam Panu radę: na Pańskim miejscu postarałbym się wykorzystać każdą z tych sekund.

Zegarmistrz

Sellitto skrzywił się.

O co chodzi? - spytał Rhyme.

Dostajesz pogróżki lepszej klasy niż ja, Linc. Moi sprawcy zwykle mówią „Zabiję cię”. A to co jest? - Wskazał na list. - Średnik?

Grozi ci, używając średników? To zupełnie popieprzone.

Rhyme nie roześmiał się. Wciąż był wściekły z powodu ucieczki Zegarmistrza, a jeszcze bardziej zirytował się na wieść, że nie zamie-rza on wycofać się z gry.

-

Kiedy znudzisz się opowiadaniem kiepskich dowcipów, Lon, może zechcesz zwrócić uwagę, że jego składnia i styl są doskonałe. To coś nam o nim mówi. Dobre wykształcenie. Prymus? Szkoła prywatna? Wykształ-

cenie klasyczne? Stypendia? Dopisz to na tablicy, Thom.

Sellitto nie dał się zbić z tropu.

- Pieprzone

średniki.

Coś mam - rzekł Cooper znad komputera. - Zielony materiał

roślinny z jego domu w Brooklynie - jestem prawie pewien, że to *Caulerpa taxifolia*. Trujący glon.

Co takiego?

Glon, który rozmnaża się w niekontrolowany sposób. Powoduje mnóstwo problemów. W Stanach został zakazany.

I zapewne skoro się rozprzestrzenia, wszędzie można go znaleźć - odrzekł cierpkim tonem Rhyme. - Jako dowód do niczego.

Niekoniecznie - powiedział Cooper. - Dotąd znaleziono go tylko na pacyficznym wybrzeżu Ameryki Północnej.

Od Meksyku do Kanady?

Mniej więcej.

To prawie dokładny adres - zadrwił Rhyme. - Dzwońcie po brygadę specjalną.

Kathryn Dance zmarszczyła brwi.

- Zachodnie

Wybrzeże? - Przez chwilę się nad czymś zastanawia-

ła. - Gdzie jest zapis przesłuchania?

Mel Cooper znalazł plik. Włączył odtwarzanie i po raz kolejny oglądali mordercę patrzącego

prosto w obiektyw kamery i kłamią-cego w żywe oczy. Dance pochyliła się w skupieniu.

Przypominała Rhyme'a wpatrującego się w dowody.

Kryminalistyk tyle razy słyszał to przesłuchanie, że słowa nie robi-ły już na nim żadnego wrażenia. Dance zaśmiała się nieoczekiwanie.

- Coś mi przyszło na myśl.

-Co?

Dokładnego adresu wam nie podam, ale podam wam stan. Wydaje mi się, że pochodzi z Kalifornii. Albo mieszkał tam przez dłuż-

szy czas.

Dlaczego tak sądzisz?

Cofnęła zapis. Następnie odtworzyła fragment przesłuchania, w którym Zegarmistrz mówił o wyprawie na Long Island po skonfi-skowany samochód.

Dance zatrzymała obraz i wyjaśniła:

- Analizowałam kiedyś regionalizmy. Ludzie w Kalifornii, mówią o autostradach międzystanowych, używają numerów, na przykład „czterysta piątka” w Los Angeles. W przesłuchaniu wspomniał

0 czterysta

dziewięćdziesiątce piątce w Nowym Jorku. Powiedział

też „droga” zamiast „autostrada” czy „międzystanówka”. To też znak, że może być z Kalifornii.

Być może informacja do czegoś się przyda, pomyślał Rhyme. Jeszcze jedna cegiełka w murze dowodów.

Na tablicę - rozkazał.

Po powrocie otworzę u siebie oficjalne śledztwo - powiedziała.

- Wezmę to, co o nim mamy, i roześlę po całej Kalifornii. Zobaczymy, co z tego wyjdzie. No, muszę już iść... Aha, spodziewam się, że niedługo zobaczę was obu w Kalifornii.

Asystent zerknął na Rhyme'a.

- Musi

częściej podróżować. Udaje, że nie lubi, ale tak naprawdę bardzo się cieszy, kiedy gdzieś wyjdzie. O ile pod ręką jest szkocka 1 ciekawa

zbrodnia,

żeby się nie nudził.

W północnej Kalifornii mamy raczej wino, ale nie musisz się martwić, zbrodni na pewno nie zabraknie.

Zobaczymy - odparł wymijająco Rhyme. - Ale zrób coś dla mnie, dobrze?

Oczywiście.

Wyłącz telefon. Kiedy zdarzy się coś nowego, pewnie będzie mnie korciło, żeby do ciebie znowu zadzwonić.

Gdybym nie musiała wracać do dzieci, chyba skorzystałabym z zaproszenia.

Sellitto jeszcze raz jej podziękował, a Thom odprowadził ją do drzwi.

Ron, przydad się do czegoś - powiedział Rhyme.

Nowy spojrzął na tablicę dowodów.

Już dzwoniłem w sprawie sznura, jeżeli o to chodzi.

Nie, nie o to - mruknął Rhyme. - Powiedziałem, żebyś się do czegoś przydał. - Wskazał głową

butelkę szkockiej stojącą na półce w głębi pokoju.

Ach, jasne.

Nalej dwie - burknął Sellitto. -1 nie żałuj.

Pułaski nalał whisky i podał im szklanki - Cooper odmówił.

-

O sobie też nie zapominaj - dodał Rhyme.

-

Jestem w mundurze.

Sellitto stłumił śmiech.

-

No dobrze. Może odrobinę. - Nalał i spróbował mocnego - i wyjątkowo drogiego - trunku. -  
Dobre - rzekł, choć jego oczy mówiły co innego. - Nie można czasem dolać trochę napoju  
imbirowego al-bo sprite'a?

Rozdział 42

Przed i Po. Ludzie żyją dalej.

Z takiego czy innego powodu żyją dalej i Przed zmienia się w Po.

Te słowa dzwięczały w głowie Lincolna Rhyme'a jak zacięta płyta. Ludzie żyją dalej.

Sam użył kiedyś tego wyrażenia - niedługo po wypadku oświadczył żonie, że chce rozwodu.  
Ich związek od pewnego czasu przechodził kryzys, postanowił więc, że bez względu na to, czy  
przeżyje złamanie karku, pójdzie dalej swoją drogą, nie skazując żony na życie u boku kaleki.

Ale wówczas słowa „ludzie żyją dalej” oznaczały co innego niż dziś. Życie, jakie zbudował w  
ciągu ostatnich lat, tak niepewne, czekała poważna zmiana. Problem, który go nękał, polegał  
na tym, że wstępując do Argyle Security, Sachs nie szła dalej swoją drogą, lecz się cofała.

Sellitto i Cooper wyszli, a w laboratorium przy stole zostali tylko Rhyme i Pułaski, który  
segregował dowody zebrane w aferze korupcyjnej posterunku numer 118. W obliczu  
niepodważalnych dowodów - oraz faktu, że nieświadomie wynajęli rodzimą organizację terrory-  
styczną - Baker, Wallace i Henson przyjęli ofertę ugody i zaczęli sypać wszystkich ze Sto  
Osiemnastego. (Żaden z nich nie chciał jednak powiedzieć, kto skontaktował Bakera z  
Zegarmistrzem. Nic dziwnego. Nie zdradza się wysoko postawionego członka mafii, jeśli można tra-  
fić do tego samego więzienia co on).

Przygotowując się do odejścia Sachs, Rhyme doszedł do wniosku, że Ron Pułaski zostanie  
kiedyś doskonałym specjalistą od oględzin miejsc zbrodni. Był sprytny i inteligentny, a uporem  
dorównywał Sellittowi. W ciągu ośmiu miesięcy, najwyżej roku, Rhyme powinien go doszlifować.  
Razem z nowym będą badać miejsca, analizować dowody i znajdować sprawców, którzy trafią za  
kratki albo zginą, próbując się bronić przed więzieniem. System będzie działał dalej. Pilnowanie  
porządku publicznego to coś więcej niż praca jednego mężczyzny czy jednej kobiety; na pewno coś  
więcej.

375

li

Tak, system będzie działał... ale w żaden sposób nie można sobie było wyobrazić systemu bez  
Amelii Sachs.

Pieprzyć głupie sentymenty, powiedział do siebie Rhyme, i wrócił do pracy. Popatrzył na tablicę  
dowodów. Zegarmistrz gdzieś jest i działa; znajdę go. Nie... ucieknie...

Co takiego? - spytał Pułaski.

Nic nie mówiłem - warknął Rhyme.

-Mówił pan. Właśnie... - Zamilkł pod piorunującym spojrzeniem Rhyme'a.

Pochylając się nad pracą, Pułaski spytał:

-

Te notatki z biura Bakera są na tanim papierze. Mam użyć nin-hydryny do ujawnienia odcisków? Rhyme otworzył usta, by odpowiedzieć.

-

Nie - powiedział kobiecy głos. - Najpierw spróbuj oparami jo-du, potem ninhydryną, a potem azotanem srebra. Właśnie w takiej kolejności.

Rhyme zobaczył Sachs stojącą w drzwiach. Przybrał łagodny wyraz twarzy. Robię dobrą minę do złej gry, pochwalił się w duchu. Jestem wielkoduszny. Jestem dojrzały.

- Inaczej

środki wejdą ze sobą w reakcję i zniszczysz odciski.

Głupia sytuacja, pomyślał ze złością kryminalistyk. Wpatrywał

się w tablice dowodów w ciszy, która huczała jak grudniowy wiatr za oknem.

-

Przepraszam - przerwała milczenie Sachs.

Z jej ust rzadko padało to słowo; Sachs przepraszała równie często jak Lincoln Rhyme. Czyli prawie nigdy.

Rhyme nie odpowiedział. Nie odrywał wzroku od tablic.

- Naprawdę mi przykro.

Zirytowany ckliwymi słówkami, uciekł wzrokiem w bok, z trudem panując nad gniewem.

Ale przekonał się, że Sachs wcale nie mówi do niego. Patrzyła na Pułaskiego.

Jakoś ci to wynagrodzę. Następne oględziny zrobisz sam. Ja będę tylko pomagać. Albo zrobisz następne dwa miejsca.

Jak to? - zdziwił się nowy.

Podobno słyszałeś, że odchodzę.

Skinął głową.

Zmieniłam zdanie.

Zostajesz? - spytał Pułaski.

-Tak.

-

Nie ma sprawy - odparł Pułaski. - Nie mam nic przeciwko temu, żeby przez jakiś czas dzielić się tą robotą. - Ulga, że nie będzie jedyną mrówką pod lupą Lincolna Rhyme'a, wyraźnie przeważała nad rozczarowaniem, że został zdegradowany do asystenta.

Sachs przysunęła sobie krzesło i usiadła naprzeciw Rhyme'a.

- Myślałem, że jesteś w Argyle - powiedział.

- Byłam. Żeby odmówić.

- Mogę spytać dlaczego?

- Zadzwoiła do mnie Suzanne Creeley. Żona Bena Creeleya.

Dziękowała mi, że jej uwierzyłam, że znalazłam mordercę jej męża.

Płakała. Mówiła, że nie mogła znieść myśli, że mąż popełnił samobójstwo. Morderstwo to



okropna rzecz, ale samobójstwo - to by przekreśliło wszystko, co razem ze sobą przeżyli.

Sachs pokręciła głową.

- Węzeł i złamany kciuk... Uświadomiłam sobie, że na tym polega nasza robota, Rhyme. Nie na tym głównie, w które wdepnęłam, na polityce, na tych brudach z moim ojcem, Bakerem, Wallace'em...

Nie ma sensu niczego komplikować. Policyjna robota to ustalanie prawdy, związku między węzłem a złamanym kciukiem. Nic więcej.

Ty i ja, Sachs...

- Jest

coś nowego o naszym gagatku? - spytała rzeczowym tonem, wskazując na tablice.

Rhyme opowiedział jej o liście i prezencie - zegarku Bregueta - po czym podsumował: Wspinacz, prawdopodobnie szkolony w Europie. Jakiś czas spędził w Kalifornii, niedaleko wybrzeża. I był tam niedawno. Być może tam mieszka. Dobre

wykształcenie. Poprawna gramatyka, inter-punkcja i styl. Chcę jeszcze raz obejrzeć każdy trybik w tym zegarku. Jest Zegarmistrzem, zgadza się? Czyli prawdopodobnie otworzył

go, żeby pogrzebać w środku. Jeżeli jest tam choć cząsteczka mikro-

śladów, chcę ją mieć. - Rhyme wskazał list i dodał: - Przyznaje się, że obserwował hotel Charlotte, kiedy pojechaliśmy ją zdjąć. Trzeba przeszukać każdy punkt, gdzie mógł stać. Ron, to twoje zadanie.

Jasne.

I nie zapomnij, co o nim wiemy. Może wyjechał, a może nie.

Pamiętaj, żeby mieć broń pod ręką. Na tyveku, nie pod spodem.

Pamiętaj, żeby...

Szukać dobrze, ale pilnować tyłów? - dokończył Pułaski.

Celujący za pamięć - rzekł kryminalistyk. - Bierz się do roboty.

IV

12.48, poniedziałek

Czymże więc jest czas?

Jeśli nikt mnie o to nie pyta, wiem.

Jeśli pytającemu usiłuję wytłumaczyć, nie wiem\*

ŚW. AUGUSTYN

\* „Wyznania”, księga XI w przekładzie Zygmunta Kubiaka (przyp. tłum.)-

Rozdział 43

Grudniowy dzień nie był szczególnie zimny, ale wiekowy piec w do-mu Rhyme'a właśnie nawalił i wszyscy w laboratorium dygotali opatuleni w ciepłe kurtki. Przy każdym oddechu z ich ust wydobywa-ły się obłoczki pary, a nosy i uszy były jasnoczerwone. Amelia Sachs miała na sobie dwa swetry, a Pułaski zieloną pikowaną kurtkę nar-ciarską z zawieszonymi na niej biletami na wyciąg w Killington, któ-re przypominały medale weterana wojennego.

Gliniarz na nartach, pomyślał Rhyme. Dziwne, choć właściwie nie wiedział dlaczego. Może przyszło mu do głowy, że niezbyt bez-piecznie jest pędzić po stoku, mając pod kombinezonem dziewięcio-milimetrowy pistolet o czułym spuście.

Gdzie ten mechanik? - burknął do asystenta Rhyme.

Powiedział, że przyjdzie między pierwszą a piątą. - Thom był

odziany w tweedową marynarkę, którą Rhyme podarował mu w ostatnie Boże Narodzenie, i

ciemnofioletowy kaszmirowy szalik

- prezent od Sachs.

Ach, między pierwszą a piątą. Wiesz co, zadzwoń do niego i...

Tak mówił...

Nie, posłuchaj. Zadzwoń do niego i powiedz, że mamy zgłoszenie o psychopatycznym mordercy grasującym w okolicy i złapiemy go między pierwszą a piątą. Zobaczymy, jak mu się to spodoba.

Lincoln - powiedział cierpliwy asystent. - Nie sądzę...

Czy on w ogóle wie, co robimy? Wie, że jesteśmy po to, żeby służyć i chronić? Zadzwoń i zapytaj.

Pułaski zauważył, że Thom nie zamierza sięgnąć po telefon.

- Hm,

może ja? - spytał. - Może ja zadzwonię?

Ach, szczerłość młodości...

Nie zwracaj na niego uwagi - zwrócił się do posterunkowego Thom. - Przypomina skaczącego na ciebie psa. Jeżeli go zignorujesz, da sobie spokój.

Psa? - spytał Rhyme. - Faktycznie, życie mam pieskie. Para-doks, nie sądzisz, Thom? Bo to ty kąsasz rękę, która cię karmi. - Zadowolony z riposty, dorzucił: - Powiedz temu fachowcowi, że mam już hipotermię. Nawiasem mówiąc, wydaje mi się, że naprawdę mam.

A więc potrafi pan czuć... - zaczął nowy, lecz zaraz przerwał.

Tak, wyobraź sobie, że potrafię odczuwać pewien dyskomfort, Pułaski!

Przepraszam, nie chciałem...

Gratulacje! - wykrzyknął ze śmiechem Thom.

Dlaczego?

Awansowałeś do grona wybrańców, do których zwraca się po nazwisku. Zaczyna cię uważać za formę życia trochę wyższą od lar-wy... Tak mówi do ludzi, których naprawdę lubi. Ja na przykład jestem po prostu Thom. Na zawsze Thom.

- Ale

jeżeli go jeszcze raz przeprosisz - włączyła się Sachs - zostaniesz zdegradowany.

Rozległ się dzwonek u drzwi i Thom bez nazwiska poszedł otworzyć.

Rhyme zerknął na zegar. Pokazywał dwie minuty po pierwszej.

Czyżby mechanik był punktualny?

Ale oczywiście jego nadzieje okazały się płonne. Do laboratorium wszedł Lon Sellitto i zaczął zdejmować płaszcz, lecz zaraz zmienił zamiar. Spojrzał na parę własnego oddechu.

-

Jeżu, Linc, miasto buli ci tyle forsy, że mógłbyś zapłacić za ogrzewanie. To kawa? Gorąca?

Thom podał mu kubek, który Sellitto chwycił jedną ręką, drugą otwierając aktówkę.

- Wreszcie

dostałem. - Pokazał starą teczkę Redweld upstrzoną

wyblakłymi, kilkakrotnie przekreślonymi notatkami, świadczącymi o wyjątkowej oszczędności miasta, które skąpiło na wszystkim.

Akta Luponte? - zapytał Rhyme.

Zgadza się.

Chciałem je zobaczyć w zeszłym tygodniu - mruknął kryminalistyk, czując zimno wewnątrz nosa.

Może powie mechanikowi, że za-płaci mu za miesiąc albo pięć. Zerknął na teczkę. - Prawie pożegna-  
łem się z nadzieją. Wiem, jak bardzo lubisz frazeologizmy, Lon. Nie przychodzi ci do głowy  
wyrażenie „musztarda po obiedzie”?

Nie - odparł uprzejmym tonem detektyw. - Mam lepsze: „jeżeli oddasz komuś przysługę, a on  
narzeka, to niech się wypcha”.

Dobre - przyznał Lincoln Rhyme.

Nie powiedziałaś mi, jakie to tajne. Musiałem sam to odkryć, a potem prosić Rona Scotta, żeby to  
wygrzebał.

Rhyme przyglądał się, jak detektyw otwiera teczkę i przegląda jej zawartość. Ogarnął go  
niepokój, co też znajdą w środku. Może coś dobrego, może druzgocącego.

- Powinien tam być urzędowy raport. Poszukaj.

Sellitto szperał w teczce. Wreszcie odnalazł dokument. Na okład-ce teczki była kartka z  
wypisanym na maszynie nazwiskiem: „Antho-ny C. Luponte, zastępca komisarza”. Teczka była  
zaklejona czerwoną taśmą opatrzoną wyblakłym napisem „Poufne”.

Mam otworzyć?

Rhyme przewrócił oczami.

Linc, daj znać, kiedy ci wróci dobry humor, dobrze?

Zamontuj to w ramce. Proszę i dziękuję.

Sellitto rozerwał taśmę i podał Thomowi broszurkę.

Asystent umieścił ją w urządzeniu przypominającym uchwyt na książkę kucharską, na którym była  
zamontowana gumowa konstruk-cja odwracająca strony, gdy Rhyme sterował nią za pomocą swojego  
panelu dotykowego. Kryminalistyk zaczął

przeglądać dokument, czy-tając fragmenty i starając się opanować napięcie.

Luponte? - Sachs uniosła głowę znad stołu laboratoryjnego.

Odwrócił następną stronę.

Tak jest.

Akapit po akapicie przedzierał się przez urzędowy język tekstu. Szybciej, pomyślał ze złością.

Przejdź wreszcie do rzeczy... Wiadomość będzie dobra czy zła?

- Coś o Zegarmistrzu? - spytała Sachs.

Jak dotąd nie mieli o nim żadnych sygnałów, ani w Nowym Jor-ku, ani z Kalifornii, gdzie Kathryn  
Dance rozpoczęła własne śledz-two.

To nie ma z nim nic wspólnego - odparł Rhyme.

Sachs pokręciła głową.

Przecież po to chciałeś ten dokument.

Nie, przypuszczałem, że po to.

W takim razie o co chodzi, o jakąś inną sprawę? - Jej wzrok po-wędrował na tablice dowodów  
ukazujące postęp kilku dawnych spraw, które prowadzili.

Żadną z tych.

No to o co?

- Dowiedziałaabyś się szybciej, gdybyś mi nie przeszkadzała.

Sachs westchnęła.

Wreszcie dotarł do fragmentu, którego szukał. Spojrzał przez okno na nagie brązowe gałęzie w  
Central Parku. W głębi serca wie-rzył, że raport powie mu to, co chciał usłyszeć, ale Lincoln Rhyme

był przede wszystkim naukowcem i nie ufał sercu.

Jedynym celem jest prawda...

Jakie prawdy odkryją przed nim te słowa?

Ponownie spojrzął na ramkę i szybko odczytał właściwy frag-ment. Potem drugi raz.

Po chwili powiedział do Sachs:

Chcę ci coś przeczytać.

Dobrze, słucham.

Jego palec przesunął się po panelu, odwracając poprzednią stronę.

-

To z pierwszej strony. Słuchasz?

Przecież mówiłam.

To dobrze. „Treść niniejszego protokołu pozostanie utajniona.

W okresie od osiemnastego do dwudziestego dziewiątego czerwca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego roku dwunastu funkcjonariuszy policji miasta Nowy Jork zostało oskarżonych przez wielką ławę przysięgłych o wymuszanie pieniędzy od sklepikarzy i przedsiębiorców na Manhattanie i w Brooklynie oraz czerpanie korzyści materialnych w zamian za odstąpienie od czynności śledczych. Dodatkowo czterech funkcjonariuszy zostało oskarżonych o napaść bę-

dadą następstwem aktów wymuszenia. Dwunastu wspomnianych wy-

żej funkcjonariuszy należało do tak zwanego Klubu Szesnastej Alei, który stał się synonimem haniebnego dla policji przestępstwa korupcji".

Rhyme usłyszał, jak Sachs wstrzymuje oddech. Uniósł wzrok i zobaczył, że patrzy na raport z miną dziecka, które zobaczyło na po-dwórku węża.

Czytał dalej:

- „Nie ma większego zaufania niż to, jakim obywatele Stanów Zjednoczonych darzą funkcjonariuszy organów ścigania, których zadaniem jest ich ochrona. Funkcjonariusze z Klubu Szesnastej Alei dopuścili się niewybaczalnego nadużycia tego świętego zaufania i nie tylko popełnili przestępstwa, którym mieli zapobiegać, ale okryli hańbą swoich odważnych i gotowych do poświęceń braci i sióstr noszących ten sam mundur.

W związku z tym ja, burmistrz Nowego Jorku, niniejszym odznaczam Medalem za Męstwo następujących funkcjonariuszy, którzy dołożyli wszelkich starań, aby oddać przestępców w ręce sprawiedli-wości: posterunkowego Vincenta Pazzino, posterunkowego Her-mana Sachsa i detektywa trzeciego stopnia Lawrence'a Koepla".

-

Co? - wyszeptała Sachs.

Rhyme czytał:

- „Każdy z nich wielokrotnie narażał własne życie, działając w ukryciu, aby uzyskać informacje niezbędne do ujawnienia sprawców i zgromadzić dowody w celu przedstawienia ich sądowi. Ze względu na niebezpieczny charakter zadania odznaczenia zostają wręczone na spotkaniu niejawnym, a niniejszy protokół zostanie za-pieczętowany, aby zapewnić bezpieczeństwo wspomnianym trzem dzielnym funkcjonariuszom oraz ich rodzinom. Powinni jednak wiedzieć, że choć nie doczekają się publicznej pochwały za swoje czyny, miasto jest im nie mniej wdzięczne".

Amelia Sachs wpatrywała się w niego.

- Ojciec...

Rhyme skinął głową.

-

Twój ojciec był jednym z dobrych, Sachs. Owszem, był wśród trzech, którzy uniknęli kary, ale nie byli sprawcami. Pracowali dla wydziału wewnętrznego. Twój ojciec miał tyle wspólnego z Klubem Szesnastej Alei, co ty z bandą z „St. James”, tyle że działał w ukryciu.

Jak się dowiedziałeś?

Nie dowiedziałem się. Pamiętałem coś o raporcie Luponte i procesach korupcyjnych, ale nie wiedziałem, że twój ojciec brał

w tym udział. Dlatego chciałem zobaczyć raport.

I co wy na to? - rzekł Sellitto z ustami pełnymi ciasta kawowego.

Szukaj dalej, Lon. Coś tam jeszcze jest.

Detektyw sięgnął w głąb teczki i znalazł dyplom oraz medal. Był to Medal za Męstwo, jedno z najwyższych odznaczeń przyznawanych przez Departament Policji Nowego Jorku. Sellitto podał go Sachs, która rozchyliła usta i przeczytała spisany na pergaminie dokument, na którym figurowało nazwisko jej ojca. Medal kołysał się w jej drżących palcach.

-

Ładne - powiedział Pułaski, pokazując dyplom. - Wszystkie te zawijasy.

Rhyme wskazał głową ramkę.

-

Wszystko tu jest, Sachs. Jego zwierzchnik z wewnętrznego musiał się postarać, żeby inni mu uwierzyli. Dawał twojemu ojcu dwa tysiące dolarów miesięcznie, żeby sprawić wrażenie, że on też bierze w łapę. Musiał być wiarygodny - gdyby ktoś wiedział, że jest informatorem, mógłby go zabić, zwłaszcza że w sprawie maczał palce Tony Gallante. Wewnętrzny wszczął przeciw niemu lipne śledztwo, żeby wszystko odbyło się jak należy. Potem sprawę umorzono z powodu niewystarczających dowodów. Załatwili z kryminalistycznym zaginięcie kart ewidencyjnych.

Sachs opuściła głowę. Nagle cicho się zaśmiała.

Tato zawsze był skromny. To w jego stylu - najwyższe odznaczenie dostał w tajemnicy. Nigdy nie mówił o tym ani słowa.

Możesz poczytać o szczegółach. Twój ojciec mówił, że założy sobie podsłuch i zdobędzie wszystkie potrzebne informacje o Tonym Gallantem i innych mafiozach. Ale nigdy nie zeznawał w sądzie. Nie chciał narażać ciebie i matki.

Wpatrywała się w medal, który kołysał się... jak wahadło zegara, pomyślał gorzko Rhyme.

Wreszcie Lon Sellitto zatarł ręce.

Słuchajcie, cieszę się z dobrych wiadomości - oznajmił. - Ale mo-

że wyjdziemy z tej lodowicy i skoczmy do „Manny's”. Mam ochotę na lunch. I wiecie co? Założę się, że tam płacą za ogrzewanie.

Chętnie - odparł Rhyme z zapalem, który miał maskować jego absolutny brak chęci do pokonywania wózkami oblodzonych ulic.

- Ale właśnie piszę list do „Timesa”. Poza tym muszę czekać na mechanika. - Pokręcił głową. - Od pierwszej do piątej.

Thom otworzył usta - chcąc zapewne namówić Rhyme'a do wyjścia, ale uprzedziła go Sachs: Przepraszam. Mam inne plany.

Jeżeli jest w nich śnieg i lód, to ja dziękuję - powiedział

Rhyme. Przypuszczał, że Sachs z małą, Pam Willoughby, znowu wybierają się na spacer z nowym pupilem dziewczynki, hawańczykiem Jacksonem.

Ale Amelia Sachs wyraźnie miała inny zamiar.

Jest - powiedziała. - Śnieg i lód. - Zaśmiała się i pocałowała go w usta. - Ale nie ma w nich ciebie.

Dzięki Bogu - rzekł Lincoln Rhyme, wydmuchując stróżkę pary w stronę sufitu i odwracając się do komputera.

To ty.

Detektywie, co słyszać? - zapytała Amelia Sachs.

Art Snyder stał w otwartych drzwiach swojego bungalowu. Wyglądał lepiej niż podczas ich ostatniego spotkania - gdy bez czucia leżał w swoim samochodzie. Ale był tak samo zły jak wtedy. Utkwił w niej poczerwieniałe oczy.

Kiedy jednak w pracy grożą ci strzały, parę złych spojrzeń nic nie znaczy. Sachs odpowiedziała uśmiechem.

Przyszłam panu podziękować.

Tak, a za co? - Miał w ręku kubek, w którym najprawdopodobniej nie było kawy. Zauważyła, że na kredensie pojawiło się kilka butelek. I że żadne z przedsięwzięć remontowych jeszcze się nie rozpoczęło.

Zamknęliśmy sprawę „St. James”.

Tak, słyszałem.

Trochę tu zimno, detektywie - powiedziała.

Kochanie? - Z kuchni wyrzała krępa kobieta o krótkich brązowych włosach i pogodnej, zdradzającej hart ducha twarzy.

To ktoś z firmy.

Zaproś panią do środka. Zaparzę kawę.

Jest bardzo zajęta - odparł kwaśno Snyder. - Musi biegać po mieście, zadawać pytania, załatwiać mnóstwo spraw. Pewnie nie może zostać.

Zaraz zamarznię na kość.

Art! Wpuść ją.

Westchnął, odwrócił się i wszedł do domu, zostawiając na progu Sachs, by sama zamknęła drzwi. Weszła i rzuciła kurtkę na krzesło. Zjawiła się żona Snydera. Podały sobie ręce.

- Zaproś ją na fotel, Art - zbesztła go.

Sachs zagłębiła się w sfatygowanym rozkładanym fotelu, a Snyder usiadł na kanapie, która jęknęła pod jego ciężarem. Zwiększył głośność telewizora, w którym toczył się właśnie zacięty mecz koszykówki.

Jego żona przyniosła dwa kubki kawy.

-

Dla mnie nie - rzekł Snyder, patrząc na kubek.

- Już nalałam. Mam wylać? Zmarnować dobrą kawę? - Postawiła ją na stole obok męża i wróciła do kuchni, skąd dolatywała woń smażonego czosnku.

Sachs w milczeniu popijała mocną kawę. Snyder oglądał kanał ESPN. Jego oczy śledziły tor lotu

piłki zza linii trzech punktów. Gdy wpadała w obręcz kosza, jego dłoń lekko się zacisnęła.

Zacząła się przerwa na reklamy. Snyder przełączył na turniej po-kera dla gwiazd.

Sachs przypomniała sobie, co Kathryn Dance mówiła o skuteczności ciszy, kiedy chce się kogoś sprowokować do mówienia. Siedziała, piła kawę, patrzyła na niego i nie odzywała się ani słowem.

W końcu Snyder spytał zirytowanym głosem:

-  
No i co z tym „St. James”? Czytałem, że stał za tym Dennis Baker. I wiceburmistrz.

-Aha.

-  
Kilka razy spotkałem Bakera. Wydawał się w porządku. Zdziwiłem się, że brał w łapę. - Zafrasował się. - Zabójstwa to też oni? Sarkowskiego i tego drugiego? Skinęła głową.

- I  
usiłowanie następnego. - Nie wspomniała, że sama miała być ofiarą. Pokręcił głową.

- Pieniądze to jedno, ale wykańczanie ludzi... to zupełnie co innego. Amen.

-  
Czy jednym z nich był facet, o którym ci mówiłem? Który miał jakiś dom w Marylandzie?

Uznała, że jest mu coś winna.

- To  
był Wallace. Ale nie chodziło o dom, tylko o łódź. - Wprowadziła go w szczegóły. Zaśmiała się gorzko.

Nie żartuj. „Maryland Monroe”? Ale jaja.

Pewnie nie udałoby mi się zamknąć sprawy, gdyby nie pan - powiedziała Sachs.

Snyder przez ułamek sekundy miał satysfakcję. Potem jednak przypomniał sobie, że jest wściekły. Podniósł się z trudem, wes-tchnął i dolał do kubka whiskey. Usiadł na kanapie.

Kawa stała nie-tknięta. Znów zaczął przerzucać kanały.

Mogę o coś zapytać?

A mogę ci zabronić? - mruknął.

Mówił pan, że znał mojego ojca. Niewielu ludzi go pamięta.

Chciałam pana o niego spytać.

O Klub Szesnastej Alei?

Nie. O tym nie chcę wiedzieć.

Miał szczęście, że mu się upiekło - zauważył Snyder.

Czasem uda się uskoczyć przed kulą.

Przynajmniej potem sporządniał. Słyszałem, że później nie pakował się już w żadne kłopoty.

Podobno z nim pan pracował. Ojciec niewiele mówił o pracy.

Zawsze zastanawiałam się, jak to wtedy wyglądało. Pomyślałam sobie, że zapiszę parę rzeczy.

Dla wnuków?

Coś w tym rodzaju.

Nie byliśmy partnerami - odrzekł z ociąganiem Snyder.

Ale znał go pan.

Chwila wahania.

Tak.

Proszę mi powiedzieć: co to była za historia z naczelnikiem...

tym stukniętym? Zawsze chciałam się dowiedzieć.

Którym stukniętym? - zakpił Snyder. - Sporo ich było.

Tym, który wysłał zespół szturmowy pod zły adres.

Ach, Caruthers?

Chyba tak. Tato z innymi glinami z patrolu powstrzymywał porywacza zakładników, dopóki ESU nie znalazło domu.

Tak, tak... Też tam byłem. Co za dupek ten Caruthers. Skończony dureń... Dzięki Bogu, że nikomu nic się nie stało. Ach, a tego samego dnia zapomniał baterii do megafonu... Poza tym oddawał bu-ty do czyszczenia. Kazał je zanościć nowym. I dawał im za to napiwki

- pięć centów. Napiwki dla gliny w mundurze to już dziwna sprawa.

Ale nędzną piątkę?

Snyder odrobinę ściszył telewizor. Roześmiał się.

Chcesz posłuchać jeszcze jednej historii?

Pewnie. ;

Twój tato, ja i paru innych szliśmy kiedyś po służbie do Madison, na jakąś walkę bokserską czy mecz, nieważne. I nagle podchodzi do nas dzieciak z samopałem. Wiesz, co to jest?

Wiedziała. Powiedziała, że nie wie.

-

Taka pukawka domowej roboty. Na jeden pocisk, dwudziestkędwójkę. Nie uwierzysz, ale gnojek chce od nas pieniędzy. Na środku Trzydziestej Czwartej. Podajemy mu portfele. Twój tato upuszcza swój, tak niby przypadkiem, wiesz. I chłopak schyla się, żeby go podnieść. Kiedy się prostuje, mało nie narobi w spodnie

-

patrzy prosto w lufy naszych gnatów, cztery smittie, gotowe do strzału. Miał minę... Powiedział: „To chyba nie mój dzień”. To ja-kiś cytat z filmu? „To chyba nie mój dzień”. Śmiałyśmy się z tego cały wieczór. - Na jego twarzy zjawił się uśmiech. - A kiedy indziej...

Słuchając go, Sachs zachęcająco kiwała głową. Znała większość tych opowieści. Herman Sachs bardzo chętnie rozmawiał z córką o pracy. Spędzali długie godziny w garażu, naprawiając skrzynię bie-gów czy pompę paliwową, a towarzyszyły im historie z życia glin

""""i i<=>i r>rzvszłości.

Ale oczywiście nie przyszła tu słuchać rodzinnych opowieści. Nie, stawiała się tu na wezwanie 10-13, funkcjonariusz w niebezpieczeń-stwie. Sachs postanowiła, że były detektyw Art Snyder nie stoczy się na dno. Jeżeli jego rzekomi przyjaciele nie chcą go widzieć, bo po-mógł

przymknąć siatkę z „St. James”, pozna go z wieloma innymi, którzy chętnie się z nim spotkają: z Sellittem, Rhyme'em, Ronem Pułaskim, Fredem Dellrayem, Rolandem Bellem, Nancy Simpson, Frankiem Rettigiem i kilkunastoma innymi.

Pytała go, a on odpowiadał - czasem chętnie, czasem zirytowany, czasem z roztargnieniem, ale zawsze coś przekazywał. Dwa razy wstał, żeby napełnić kubek, i często popatrywał na zegarek, a potem na nią, jak gdyby chciał jej dać do zrozumienia: nigdzie na ciebie nie czekają?



Ale Sachs siedziała wygodnie w rozkładanym fotelu, zadawała pytania, a nawet sama opowiedziała parę własnych frontowych historii. Amelia Sachs nigdzie się nie wybierała; miała mnóstwo czasu.

OD AUTORA

O

jakości pracy pisarza decydują jego przyjaciele i współpracownicy, a ja miałem wyjątkowe szczęście znaleźć się w gronie wspólniały ludzi. Są to: Will i Tina Anderson, Alex Bonham, Louise Burke, Robby Burroughs, Britt Carlson, Jane Davis, Julie Reece Deaver, John Gilstrap, Cathy Gleason, Jamie Hodder-Williams, Kate Howard, Emma Longhurst, Diana Mackay, Joshua Martino, Carolyn Mays, Tara Parsons, Seba Pezzani, Carolyn Reidy, Ornella Robbiati, David Rosenthal, Marysue Rucci, Deborah Schneider, Vivienne Schuster, Brigitte Smith, Kevin Smith i Alexis Taines.

Szczególne podziękowania składam, jak zawsze, Madelyn War-cholik.

Zainteresowanych zegarmistrzostwem i kolekcjonowaniem zegarków zachęcam do lektury niewielkiej, lecz uroczej książeczki Michaela Kordy „Marking Time”.